



MRO CZNA
SERIA

ALEKSANDRA
MARININA
męskie
gry



w
ab
year
two


M R O C Z N A
S E R I A

ALEKSANDRA

MARININA
męskie
gry

przełożyła ELŻBIETA RAWSKA

Wydawnictwo
ab

Redakcja:
Ewa Rojewska-Olejarczuk

Korekta:
Magdalena Stajewska, Emilia Słomińska, Elżbieta Jaroszuk

Redakcja techniczna:
Urszula Ziętek

Projekt graficzny serii i rysunek na I stronie okładki:
Marek Goebel

Fotografia autorki: © W. Zawjałow

Wydawnictwo W.A.B.
02-502 Warszawa, Łowicka 31
tel./fax (22) 646 01 74, 646 01 75, 646 05 10, 646 05 11
wab@wab.com.pl
www.wab.com.pl

Skład i łamanie: Komputerowe
Usługi Poligraficzne Piaseczno, Żółkiewskiego 7

ISBN 978-83-7747-118-0

Tytuł oryginału: Мужские игры
Copyright © A. Marinina, 1997

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo W.A.B., 2004
Copyright © for the Polish translation by Wydawnictwo W.A.B., 2004

Wydanie I
Warszawa 2005

ROZDZIAŁ 1

– No cóż, jeśli nie ma do mnie pytań w sprawach bieżących, na tym skończymy.

Wiktor Aleksiejewicz Gordiejew, którego podwładni między sobą nazywali czule Pączkiem, prowadził swoją ostatnią odprawę operacyjną jako szef sekcji zabójstw. Jeszcze dziś miał objąć wyższe stanowisko w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Jego dotychczasowi pracownicy będą podlegać nowemu zwierzchnikowi.

Ów nowy też tu był, uczestniczył w odprawie od samego początku, zapoznawał się ze sprawami, przejmował gospodarstwo. „Ciekawe – myślała Nastia Kamieńska – czy chociaż w przybliżeniu zdaje sobie sprawę, jak bardzo go tutaj nie chcą?” Nowo mianowany szef, na to przynajmniej wyglądało, nie miał o tym pojęcia, gdyż spoglądał na obecnych z życzliwym, a nawet nieco protekcyjnym uśmiechem, jakby mówiąc: no cóż, kochani, rozumiem, jakeście tu żyli pod rządami tego starego grubasa, ale od dziś wszystko będzie inaczej, nie bójcie się.

Ani sama Nastia, ani jej koledzy wcale nie chcieli, żeby było „inaczej”. Rozumieli jednak, że skoro nie mają wpływu na sytuację, będą musieli po prostu zmienić stosunek do niej. Tak, nowy rok zaczął się niezbyt radośnie.

– Teraz przedstawię panu pracowników – powiedział pułkownik Gordiejew. – Podpułkownik Paweł Wasiljewicz Żeriechow, zastępca szefa sekcji.

Niewysoki, przygarbiony Żeriechow uniósł się z krzesła i skinął głową. Jego pokryta przedwczesnymi zmarszczkami twarz nie wyrażała niczego oprócz znużenia i obojętności. Ale wszyscy pracownicy sekcji wiedzieli, że za tą pozorną obojętnością kryje się niemal fizyczny ból. Gordiejew zawsze był dla Żeriechowa kimś więcej niż po prostu przełożonym.

– Starszy oficer operacyjny, major Jurij Wiktorowicz Korotkow. Uwielbia pracować od bladego świtu do późnego wieczora, a także w niedziele i święta.

To była prawda. U Korotkowa w domu panowało istne piekło, więc Jurij starał się bywać tam jak najkrócej i jak najrzadziej.

– Starszy oficer operacyjny, major Nikołaj Michajłowicz Siełujanow. Najlepszy topograf w MUR-ze¹, świetnie zna miasto, wszystkie ulice, ślepe zaułki i przechodnie podwórza. Półtora miesiąca temu miał wypadek samochodowy, dlatego jeszcze trochę kuleje. Proszę nie wyznaczać mu na razie zadań związanych z dużym wysiłkiem fizycznym, by mógł całkowicie wrócić do zdrowia. Starszy oficer operacyjny, major Anastazja Pawłowna Kamieńska. Sugerowałbym wykorzystanie jej zdolności analitycznych. Dla mnie opracowywała comiesięczne raporty o sytuacji operacyjnej w Moskwie. Mam nadzieję, że po moim odejściu ta praktyka nie zostanie zarzucona.

Oficer operacyjny, kapitan Igor Walentinowicz Lesnikow... Oficer operacyjny, kapitan Michaił Aleksandrowicz Docenko...Gordiejew przedstawiał pracowników, dodając na temat każdego kilka słów związanej informacji. Wszyscy kolejno wstawali, niektórzy usiłowali nawet przywołać na twarz coś w rodzaju powitalnego uśmiechu, ale większość zebranych nawet nie próbowała okazywać fałszywej uprzejmości. Pączka wszyscy lubili i jego odejście było dla nich bardzo przykre. Nowy zwierzchnik nie znajdował uznania w ich oczach już przez sam fakt, że nie jest Gordiejewem. Z pewnością zresztą miał i inne wady...

Po zebraniu wszyscy rozeszli się do swoich pokojów i nie minęło dwadzieścia minut, a w budynku przy Pietrowce 38 nie zostało prawie nikogo z pracowników sekcji. Pracy było, jak zwykle, dużo: w ciągu czterech świątecznych dni na początku roku ponury proceder pozbawiania życia tych, którzy z jakichś powodów nie podobają się czy przeszkadzają innym, nie uległ zawieszeniu, przeciwnie, nasilił się w związku ze wzmożonym spożyciem alkoholu. Szczególnie groźne zdawało się pojawienie w Moskwie kolejnego maniaka – seryjnego mordercy. Świadczyło o tym dobitnie siedem trupów; zwłoki odnaleziono w różnych punktach miasta. Wszystkie ofiary uduszono w identyczny sposób: przestępca atakował od tyłu, uciskał tętnicę szyjną napadniętego, żeby odciąć dopływ tlenu do mózgu, a następnie zdejmował nieprzytomnej już ofierze szalik albo chustkę i dusił nimi, tym razem aż do skutku. Zamordował czterech mężczyzn i trzy kobiety; ludzie ci nie mieli ze sobą nic wspólnego, nie znali się nawzajem, nie pracowali razem, nie wiązały ich żadne interesy. Wiek poszkodowanych – od dwudziestu siedmiu do czterdziestu dziewięciu lat. Czas dokonania przestępstwa – po dwudziestej trzeciej. Miejsce – bramy domów. Zwykle takie sprawy Gordiejew powierzał Nasti Kamińskiej, gdyż wymagały one starannej i dogłębnej analizy, bez której, jak pokazuje praktyka, nie sposób wpaść na trop zabójcy maniaka. Dzisiaj Pączek, „zapomniawszy” jakby, że już nie kieruje sekcją, zlecił zajęcie się tymi sprawami Nasti, Siełujanowowi i Miszy Docence. Nowy szef podczas zebrania nie wyraził sprzeciwu, co wcale jednak nie oznaczało, iż nie zmieni decyzji Gordiejewa. Teraz on tu rządzi i wszelkie dyrektywy swego poprzednika może mieć za nic.

Drzwi trzasnęły i do gabinetu Nasti wpadł Jura Korotkow. Bez słowa chwycił z biurka klucze, zamknął drzwi od wewnątrz i dopiero potem usiadł naprzeciwko Anastazji, przysunąwszy sobie wolne krzesło.

– Co ty wyprawiasz? – zdziwiła się Kamińska.

– Sz-sz-sz. — Korotkow przyłożył palec do ust. – Szeptem, bardzo proszę. Nowy dziedzic wyruszył na obchód swoich włości. Ludzie się rozbiegli, zostaliśmy tylko my dwoje. Udawajmy, że nas też nie ma, bo jeszcze się przyczepi, zacznie pogaduchy... Panisko, niech go cholera.

Nastia w milczeniu wzruszyła ramionami i zapaliła papierosa. Nie była zwolenniczką odkładania nieprzyjemnych spraw na później. Jeśli nie można ich

uniknąć, lepiej jak najprędzej mieć wszystko za sobą. Jeszcze na uniwersytecie, mimo panicznego strachu, zawsze podchodziła do egzaminów w pierwszym terminie i tylko raz nie weszła do sali w pierwszej piątce zdających. Chodziło o egzamin z prawa międzynarodowego. Zdawała go u groźnej pani profesor, damy, której wszyscy bali się jak ognia, gdyż było powszechnie wiadomo, że stara panna wprost nienawidzi dziewcząt, studentek, zwłaszcza niebrzydkich i dobrze ubranych. Ta nienawiść przenosiła się także na młodych ludzi płci męskiej, którzy, rzecz oczywista, najchętniej kręcą się właśnie wokół dziewcząt urodziwych i eleganckich. Krótko mówiąc, pani profesor piątek nie stawiała nikomu, a szansę na czwórkę miały osoby najbardziej niepozorne i niedbale odziane. Reszta musiała się zadowolić trójkami bądź otrzymywała dwóje. Rzeczywista znajomość materiału nie miała żadnego znaczenia. Nastia stała wówczas na korytarzu, starając się odsunąć moment nieuniknionej egzekucji, ale kiedy z audytorium kolejno zaczęli wychodzić ci, którzy zdali, pomyślała: „Mają już wszystko za sobą. Szczęściarze! A ja tu stoję i wciąż nie wiem, co mnie czeka. A, niech się dzieje, co chce...”.

– Jeśli dziedzic chce poznać swoich poddanych bliżej, i tak to robi – powiedziała cicho. – Nie wywinimy się.

Na korytarzu rozległy się kroki, ktoś mocno pchnął drzwi, a potem poruszył klamką. Nastia i Korotkow zamarli. Po chwili usłyszeli ciche stukanie. Tak zwykle pukali koledzy, którzy wiedzieli, że Nastia ma zwyczaj zamykać się na klucz, żeby w spokoju popracować. Jura zrobił ostrzegawczy gest: nie otwieraj, to na pewno szef, nikt ze swoich. Człowiek za drzwiami postać jeszcze chwilę, potem odszedł.

– Jurka, to głupie – szepnęła Nastia. – Zachowujemy się jak dzieci. Niechby już lepiej wszedł i powiedział, co ma do powiedzenia.

– Nie jestem w nastroju do towarzyskich pogawędek – burknął Korotkow. – Słyszałaś o zabójstwie Wawiłowa?

– Słyszałam. Zajmuje się tym wydział regionalny, ten, w którym dawniej pracował. Jak długo Wawiłow był na emeryturze?

– Około trzech miesięcy. Nie wiem, co mu się w pracy nie podobało, że odszedł. Zatrudnił się w banku – i oto skutki. A moja Lalka wciąż mi wierci dziurę w brzuchu, żebym się zwolnił ze służby i wreszcie zaczął zarabiać jakieś ludzkie pieniądze. Wydaje jej się, że jak tylko zrzucę mundur, to od razu zacznę przynosić do domu bajońskie sumy w dolarach. A to, że po przejściu do innej branży mogę nie przeżyć trzech miesięcy, jakoś dziwnie jej nie niepokoi.

– Daj spokój, Jura. Ona po prostu tego nie rozumie. Widzi przecież dookoła siebie żywych i dobrze sytuowanych ludzi, skąd może wiedzieć, jak często giną z cudzej ręki? To ty i ja co dzień mamy z tym do czynienia, a Lalka patrzy na życie inaczej. Nie czepiaj się jej. A propos, trzeba by zadzwonić do Władika Stasowa i powiedzieć mu o Wawiłowie, przecież kiedyś razem pracowali. Stasow na pewno będzie chciał pójść na pogrzeb.

– Wiesz co, wprośmy się do niego z wizytą. Podobno dają tam bardzo dobre ciasto – zaproponował Korotkow.

– Podobno. – Nastia uśmiechnęła się. – I jeszcze słyszałam, że nawet bez nas trudno się tam obrócić. Troje dorosłych i Lilka na dodatek, ma teraz ferie szkolne, więc całymi dniami sterczy u boku ukochanych cioteczek Tani i Iry.

– No, skoro ich jest czwórka, zmieścimy się i my. Cicho, chyba znów słyszę kroki. Jura nie mylił się, korytarzem rzeczywiście ktoś szedł i znowu przystanął pod drzwiami. Klamka się poruszyła, po czym rozległo się energiczne pukanie.

– Anastazjo Pawłowno, proszę otworzyć.

Korotkow pokręcił przecząco głową, ale Nastia szybko wstała, umyślnie głośno trzasnęła drzwiczkami sejfu i przekręciła klucz w zamku. W progu stał nowy szef, Władimir Borisowicz Mielnik.

– Zamyka się pani przed przełożonymi? – zapytał zresztą bez żadnej złośliwości.

– Przed osobami niepowołanymi – krótko wyjaśniła Nastia. – Przeglądaliśmy zebrane materiały. Sam pan wie, że instrukcja w sprawie zachowania tajemnicy...

– Tak, tak, oczywiście – przerwał jej Mielnik. – Przepraszam, że przeszkodziłem. Ale skoro już mnie pani wpuściła, może porozmawiamy o pani pracy analitycznej. Czy mogę przejrzeć raporty, które pani opracowywała dla Gordiejewa?

Nastia w milczeniu otworzyła sejf i wyjęła stamtąd grubą teczkę z kopiami raportów.

– Tu są materiały z ostatnich dwóch lat. Jeżeli potrzebuje pan wcześniejszych opracowań, też mogę panu dać. Mam je w innej teczce.

– Na razie nie, dziękuję. Na początek zapoznam się z tymi. Ale niech mi pani powie tak, z pamięci, ilu nieschwytanych morderców grasuje po Moskwie?

– Mniej więcej trzy setki.

– Aż tyle? Straszne u was nieporządki – próbował zażartować nowy szef.

– Przepraszam. Staramy się, jak możemy – odparła sucho Nastia.

Nie miała nastroju do żartów, zwłaszcza z Paniskiem (wyglądało na to, że powstałe już pierwszego dnia przezwisko ma wszelkie szanse, by się przyjąć na dobre wśród podwładnych). Władimir Borisowicz jednak okazał, że ma dość wycucia, i od razu zarzucił wymuszony lekki ton.

– Rozumiem, że trudno się wam rozstać z Wiktoorem Aleksiejewiczem — rzeki nieoczekiwanie ciepło – i że przez jakiś czas będę się spotykał z niechęcią z waszej strony. Nie czuję się dotknięty, sam bywałem w podobnych sytuacjach, i to nieraz. Jak sądzicie, czy wypada, żebym się przyłączył do was dziś wieczorem? Wiktor Aleksiejewicz mnie zaprosił, ale mam wrażenie, że będę tam zbyteczny. Z drugiej strony, nieładnie by było zlekceważyć zaproszenie. Co mi radzicie?

Nastia nie potrafiła ukryć zdziwienia. Jak widać, Panisku nieobce jest poczucie taktu i umiaru! Rzeczywiście, Gordiejew zaprosił dziś wszystkich pracowników sekcji do siebie do domu na wieczór pożegnalny. Mielnik także znalazł się w ich liczbie. Z

punktu widzenia taktyki wdrażania się do obowiązków szefa to miało sens – stwarzało możliwość bliższego poznania podwładnych, równocześnie jednak stanowiło pewne zagrożenie, jeśli chodzi o zachowanie właściwej hierarchii w stosunkach służbowych – nowy zwierzchnik nie powinien już pierwszego dnia pić ze swoimi pracownikami, gdyż mogłoby to prowadzić do zbyt bliskiego spoufalenia. Wiktor Aleksiejewicz urządził swemu następcy mały egzamin: jeśli przyjmiesz zaproszenie, weźmiesz udział we wspólnej popijawie i zachowasz się niestosownie, znaczy, żeś dureń i idziesz na łatwiznę; jeśli nie przyjmiesz, wystraszysz się – jesteś przewidujący, przezorny, ale tchórzliwy. Ale skoro przyjdiesz, będziesz pił razem ze wszystkimi, a mimo to potrafisz zachować dystans – znaczy, że się nadajesz, można cię zaakceptować. Mielnik chyba nie był pewien, jak postąpić, i szukał moralnego wsparcia u dwojga podwładnych, którzy akurat się nawinęli.

– Zlekceważyć zaproszenia nie można, co do tego ma pan rację – ze źle ukrywaną złośliwą satysfakcją powiedział Korotkow. – Zwłaszcza że ludzie mogą pomyśleć, że nie umie pan pić, i pańskie akcje od razu spadną. Wiktor Aleksiejewicz daje panu szansę zaprezentowania się i zdobycia naszego szacunku.

– No cóż... – rzekł z uśmiechem Panisko. – Skoro tak pan stawia sprawę, to oczywiście przyjdę. Chciałem się zachować taktownie, rozumiem przecież, że jestem dla was człowiekiem obcym, którego niechętnie się widzi w wąskim gronie przyjaciół. Ale skoro zamiast serdecznego pożegnania z szefem zamierzacie mi urządzić oględziny, nie mam prawa się uchylać. Wszyscy rano otrzymali zadania do wykonania, więc o szóstej po południu proszę mi zameldować, co zostało zrobione, a co nie, i dlaczego. Tymczasem żegnam.

Nastia i Korotkow w osłupieniu patrzyli na zamykające się za Mielnikiem drzwi.

– A jednak – odezwał się w końcu Jura. – Facet z charakterem.

– Czy ja wiem... Ciekawe, czy ten popołudniowy raport ma w repertuarze przez cały sezon, czy tylko dziś, w dniu premiery?

– Zobaczymy. Dobra, Aśka, będę leciał, roboty mam po uszy. Chciałaś może czegoś ode mnie?

– Obiecałeś mi informacje na temat poprzednich miejsc pracy wszystkich ofiar dusiciela w ostatnich pięciu latach. Ponieważ oficjalnie powinni się tym zajmować Siełujanow i Miszka, a nie ty, ja też mogę coś dla ciebie zrobić, żeby się odwdzięczyć.

– Napisz za mnie sprawozdanie z delegacji, dobrze? Opowiedziałem ci ze szczegółami o wszystkim, co działałem w Krasnodarze. A mnie tyle wysiłku kosztuje ta pisanina, że coś strasznego! Wolałbym zająć się jakąś pożyteczniejszą robotą. Na przykład twoimi uduszonymi.

– Zgoda – mruknęła Nastia.

Tak, za czasów Gordiejewa często tak robili. Dla Pączka zawsze najważniejszy był rezultat, więc pozwalał podwładnym tak dzielić pomiędzy siebie zadania, żeby sprawy posuwały się szybko, sprawnie, a wszelkie działania przynosiły konkretny skutek. Ale

jak się do tego odniesie Panisko? Wiktor Aleksiejewicz traktował ze zrozumieniem fakt, że Korotkow, podobnie zresztą jak Kola Siełujanow, nie cierpi papierkowej roboty i każde zdanie pisemnych raportów wydusza z siebie z niewiarygodnym wręcz trudem, tracąc na to mnóstwo sił i czasu. Doskonale wiedział, że bardzo często pisze je za niego Kamieńska, której przychodzi to bez najmniejszego wysiłku. Anastazja natomiast, znana ze swego fantastycznego wprost lenistwa i niechęci do jeżdżenia po mieście, wiele razy korzystała z usług kolegów przy zdobywaniu rozmaitych informacji.

*

Dzień mijał jak zwykle. Dopiero o siódmej wieczorem zdarzyło się coś nieoczekiwanego. Na biurku Nasti zabręczał dzwonek wewnętrznego telefonu i głos Paniska zapytał:

– Czy dysponuje pani roczną informacją w rozbiciu na okręgi?

– Na razie nie. Wszystkie potrzebne materiały są gotowe, trzeba je tylko zebrać razem i sporządzić wykresy ułatwiające porównanie – odparła Nastia, z całych sił starając się ukryć zdumienie.

– Taka informacja potrzebna mi jest natychmiast. Ma pani na jej przygotowanie dwadzieścia minut.

I koniec. Ani cienia wątpliwości, że polecenie zostanie wykonane. Ale jak to zrobić? Trzeba czym prędzej znaleźć wolny komputer, i to nie pierwszy z brzegu, tylko taki, w którym są programy umożliwiające tworzenie wykresów i tabel. Miotając się po ogromnym budynku GUWD² w poszukiwaniu komputera i błagając, by dopuszczono ją do niego chociaż na pół godziny, po czym w gorączkowym pośpiechu układając tekst i wprowadzając dane potrzebne do opracowania wykresów, Nastia, pełna wątpliwości, zadawała sobie w myślach pytanie: ale właściwie po co to wszystko? I czemu tak nagle? Najwidoczniej przyszedł z ministerstwa kolejny okólnik, szykuje się kolegium podsumowujące całoroczne wyniki. Żadnego innego wytłumaczenia dla nacisku zwierzchnika Nastia nie potrafiła znaleźć. Roczna informacja, na której przygotowanie dostała dwadzieścia minut, do niczego więcej nie mogła być potrzebna. I to jeszcze w rozbiciu na okręgi... Chociaż, z drugiej strony, chyba to nie dla ministerstwa, ministerstwo zajmuje się Rosją jako całością, a więc dane dotyczące okręgów miejskich nie mają dla niego znaczenia. Tam rozpatruje się wszystko w skali całych obwodów. Najprawdopodobniej zatem chodzi o kierownictwo GUWD. Co też zresztą wydaje się zaskakujące, jako że kierownictwo GUWD nigdy specjalnie się nie interesowało pracą analityków. To znaczy, oczywiście, stwarzało pozory, że jest inaczej, i zatrudniało specjalistów w tej dziedzinie, ale poziom owej analityki był... ech, szkoda gadać. Sam fakt, że kierownictwo całkowicie zadowolone było z tego stanu rzeczy, świadczył o tym, że nie stawia wielkich wymagań i nie wiąże z pracą analityków szczególnych nadziei, raczej

lekceważy ją, ceni bardzo nisko i nie dostrzega w niej żadnego sensu. Musiało się więc rzeczywiście wydarzyć coś ekstra, jeśli żądano tak pilnie materiału analitycznego. Oczywiście w wyznaczonym przez zwierzchnika czasie Nastia się nie zmieściła. Z dwudziestu przydzielonych na wykonanie zadania minut piętnaście upłynęło na poszukiwaniach wolnego komputera. Po dalszych pięciu major Kamieńska, jako osoba zdyscyplinowana, zadzwoniła do Paniska i zameldowała, że informacja nie jest jeszcze gotowa, a ona Nastia, potrzebuje na ukończenie pracy dodatkowych dwudziestu, może dwudziestu pięciu minut. Panisko milczał chwilę, po czym oznajmił, że czeka na możliwie jak najszybsze dostarczenie materiału, ale głos miał taki, jakby się właśnie dowiedział, że przez cały rok nie będą mu wypłacać pensji. Nastia rozumiała niezadowolenie szefa i denerwowała się, że opóźnia wykonanie pilnego zadania, co nie pozwalało jej się skupić – myliła się, a to wprawiało ją w jeszcze większą irytację. W końcu materiał został opracowany, Nastia wydrukowała go, włożyła arkusze do teczki i pomknęła do gabinetu Mielnika. Trzydzieści metrów przed drzwiami zwolniła kroku, usiłując wyrównać oddech, by nie pojawić się przed obliczem szefa zaczerwieniona, rozczochrana i zasapana, tym bardziej że w pokoju może być również ktoś obcy.

Zapukała dyskretnie, po czym weszła do gabinetu, który tak wiele lat zajmował Wiktor Aleksiejewicz Gordiejew, i osłupiała. Za biurkiem, na miejscu Gordiejewa, siedział oczywiście Władimir Borisowicz Mielnik, ale w tym akurat nie było nic dziwnego. Jednakże człowieka, który zajął jedno z krzeseł stojących przy stole konferencyjnym, Nastia absolutnie nie spodziewała się tu ujrzeć, chociaż wiedziała, że bywa na Pietrowce, i to nierzadko. Czyżby to ze względu na niego Panisko tak ją poganiał? Nie, to niemożliwe, pomyślała Nastia. Lonia na pewno przyszedł w jakichś swoich sprawach, a konieczność pilnego przedstawienia materiałów analitycznych wyniknęła niezależnie. Obie rzeczy po prostu zbiegły się w czasie.

– Proszę bardzo, Władimirze Borisowiczu – powiedziała, podchodząc do biurka szefa i podając mu teczkę z materiałami.

– Bardzo długo to trwało – rzekł sucho Mielnik. – Czy w pani pododdziale zawsze notuje się taki poziom operatywności?

– Nie, zwykle bywa jeszcze niższy – podobnym tonem poinformowała Nastia. – Dzisiaj starałam się pracować szybciej, żeby zrobić dobre wrażenie. Towarzyszu pułkowniku, gdyby na moim biurku stał komputer, dane byłyby gotowe w ciągu dziesięciu minut. Musiałam jednak szukać miejsca, gdzie mogłabym wykonać zadanie. Lwią część czasu, który mi pan wyznaczył, straciłam na bieganinę po korytarzach.

Usiłowała nie patrzeć na Leonida Pietrowicza. Zapomnieć, że to jej ojczym. Że to mąż jej matki. Zapomnieć, że to człowiek, który ją wychowywał od najmłodszych lat i którego ona gorąco kochała, i całe życie nazywała ojcem. Zapomnieć, że widzieli się zaledwie kilka dni temu, a w najbliższą sobotę mama i Lonia oczekują jej razem z

mężem na obiedzie. Nastia było nieprzyjemnie, że została skarcona w obecności ojczyma.

– Czy mogę odejść, Władimirze Borisowiczu?

– Tak, proszę. – Mielnik kiwnął głową, nie patrząc na Anastazję.

Nastia wróciła do swego pokoju, w środku cała aż kipiąc z wściekłości. Żeby chociaż powiedział „dziękuję”, palant. Ciekawe, czy wie, co ją łączy z Lonią, czy nie. Raczej nie, w przeciwnym razie niewątpliwie rzuciłby jakiś trywialny żarcik na ten temat. Nastia nie miała jeszcze na razie okazji przetestowania poczucia humoru nowego zwierzchnika, ale w głębi duszy była już przekonana, że dowcipy Paniska muszą być płaskie.

Próbowała wziąć się w garść i uspokoić. Włożyła grzałkę do wysokiego porcelitowego kubka z wodą i włączyła do kontaktu. Trzeba się napić kawy i wrócić do równowagi. Boże, dlaczego Pączek od nich odszedł? Odszedł, pozostawiając ich na pastwę tego... Zaczęła w myśli szukać dostatecznie zjadliwego epitetu, ale nic sensownego nie przychodziło jej do głowy. Panisko, nic dodać, nic ująć. Trudno o lepsze określenie.

Woda w kubku właśnie zaczęła wrzeć, kiedy drzwi się otworzyły. W progu stał Leonid Pietrowicz. Wyglądał jednocześnie na zmieszanego i rozbawionego.

– Cześć, tatku – powitała go Nastia z uśmiechem. – Napijesz się kawy?

– Może być.

Ojczym zdjął kożuszek, rzucił go niedbale na wolne biurko w kącie i podszedł do Nastii, żeby ją ucałować.

– Ejże, jesteś cała spocona – skonstatował zatroskany, dotknąwszy ustami jej czoła. – Coś ci dolega?

– Nie, nie przejmuj się. To z tego całego zamieszania i ze złości. No i jak ci się podobał nasz satrapa? Dwadzieścia minut, choćbyś miał stanąć na głowie. Nie wiesz, skąd nagle taki pożar?

– Dziecko, nie gniewaj się... – Leonid Pietrowicz był wyraźnie zmieszany. – To dla mnie.

– Co dla ciebie? – nie zrozumiała Nastia. – Te dane dla ciebie?

– No tak. Bywam przecież u was regularnie co miesiąc i proszę o wszystkie materiały, które można wykorzystać w toku nauczania. Chodzi o jak najlepszą ilustrację różnych zagadnień, konkretne przykłady. Przyszedłem do Gordiejewa, nic nie wiedziałem, że od dziś macie nowego szefa. Wspominałaś mi, że Wiktor ma odejść, ale nie sądziłem, że tak szybko... Słowem, wchodzę do gabinetu, patrzę – a tu jakiś nieznajomy. Przedstawiłem się i wyjaśniłem, po co przychodzę. A ten od razu zaczął naciskać guziki i wydawać dyspozycje. Słowo daję, że go o to nie prosiłem, a tym bardziej nie nalegałem, żeby materiały dostarczono mi w ciągu dwudziestu minut. To była jego inicjatywa.

– No jasne – rzuciła ze złością Nastia. – On wykazał inicjatywę, a ty z

zadowoleniem ją podtrzymałeś. Pewnie ci się bardzo spodobało, że on z twojego powodu naciska guziki i każe ludziom wychodzić z siebie, chociaż to wcale nie jest konieczne. Tatu, nigdy cię nie podejrzewałam o takie jaśniepańskie zapędy. Dlaczego go nie przystopowałeś? Mogłeś powiedzieć, że to nic pilnego. Albo po prostu zrezygnować i wyjść. Czemu pozwoliłeś, żeby się na mnie wyżywał? I w ogóle dlaczego do niego poszedłeś? Przecież wiesz, że te zestawienia robię ja, i zawsze brałeś je właśnie ode mnie, a nie występowałeś o nie drogą oficjalną.

– Dziecino, nie złość się. Skąd mogłem wiedzieć, że to dla ciebie taka skomplikowana sprawa?

– Nie chodzi o to, czy skomplikowana, czy nie! – wybuchnęła. – Nawet jeżeli nie, dlaczego miałbyś pozwolić mu się zgrywać na Bóg wie jakiego ważniaka? Czy ciebie samego to nie mierzi? Przecież to typowe maniere surowego bossa, obrzydliwe, chamskie zagrania, a ty jeszcze go podkręcasz i z satysfakcją uczestniczysz w tym przedstawieniu!

Przepraszam cię, tatuśku, ale po tobie nigdy bym się tego nie spodziewała.

Leonid Pietrowicz uśmiechnął się pojednawczo i sięgnął po papierosa.

– Przestań już, dziecino – powiedział spokojnie. – Mielnik nie przypadł ci do gustu, to widać na kilometr, dlatego wszystko masz mu za złe. Tyle lat pracujesz pośród samych mężczyzn i jeszcze się nie nauczyłaś, co to takiego męskie gierki. Tak, facet ma satysfakcję, że może naciskać guziki i wydawać polecenia, które muszą być niezwłocznie wykonane. No i co w tym złego? Tak, mnie też było przyjemnie, że dla mnie, kierownika katedry, twój szef tak się stara. Jesteśmy mężczyznami, mamy swój punkt widzenia, swoje zasady. Nie powinnaś nas za to potępiać. I przestań zachowywać się arogancko wobec zwierzchnika, to nieprofesjonalne. Musisz umieć się opanować. No co, skończyłaś już na dziś?

– Na razie nie. Jeszcze wcześniej. Mam kupę spraw do załatwienia.

– Może jednak? Podrzuciłbym cię do metra. Co?

– Nie, tatuśku. – Nastia też już zaczęła się uśmiechać.

– Dzięki. Popracuję jeszcze trochę. Poza tym Pączek wydaje dziś bal pożegnalny, wybieramy się wszyscy do niego.

– Nie zapomniałaś o sobocie?

– Ale skąd! – zachnęła się Nastia. – Loszka o niczym innym nie marzy, tylko o twoich smażonych kurczętach.

– Kiedy leci?

– Za tydzień.

– Na trzy miesiące?

– Trochę mniej. Wraca pod koniec marca.

– Nie będziesz tęsknić?

Nastia podniosła na ojczyrna zdziwiony wzrok.

– Tato, przecież mnie znasz.

– Znam, znam – westchnął Leonid Pietrowicz. – Chodzisz jak kot własnymi drogami. Nawet za mamą nie tęskniłaś, kiedy mieszkała za granicą. Dobrze, jeżeli nie chcesz ze mną jechać, to już pójdę. W sobotę o piątej, nie zapomnij.

Ucałował Nastię, włożył kożuszek i wyszedł.

Zrobiło jej się smutno. Oto jak nowy szef zaczyna pokazywać pazurki. Oczywiście, to miłe, że nie lekceważy metod naukowych, co od dawna uchodzi za rzecz w dobrym tonie, i potraktował poważnie sprawę dostarczenia materiałów dla katedry działań operacyjno-śledczych jednej z wyższych uczelni milicyjnych. Kto inny skrzywiłby się tylko i próbował się jakoś wykpić od prośby natręta, ale on – nie. Cóż, czas pokaże, jaki jest naprawdę Władimir Borisowicz Mielnik. Chociaż Gordiejew i tak był lepszy. Gordiejew to Gordiejew. Nie wypada go nawet porównywać z nikim innym.

Okolo ósmej wieczór zjawił się Jura Korotkow z miną niepewną i zaniepokojoną. Piętnaście minut szczegółowo relacjonował Nasti życiorysy ofiar tajemniczego dusiciela. Nastia słuchała uważnie, notowała, stawiała jakieś znaczki w swoich wykresach. Dotychczas nie natrafili na żaden trop. Nie było ani jednej cechy wspólnej, która łączyłaby wszystkie siedem zabójstw. Oprócz tej, naturalnie, że dokonano ich późnym wieczorem w opustoszałych bramach.

Nastia sprzątnęła papiery z biurka i wstała.

– Na razie nic nie mamy, Jurik. Dobra, jedźmy do Pączka, może pod wpływem alkoholu jakaś odkrywczą myśl przyjdzie nam do głowy.

*

Ogrzewanie w samochodzie działało sprawnie, więc mimo ostrego mrozu kierowca i pasażer byli w rozpiętych paltach i bez rękawiczek.

– No cóż, gratuluję pierwszych absolwentów – mówił pasażer, zwrócony bokiem do kierowcy. – O ile wiem, wszystko poszło dobrze. Jak zamierzacie przeprowadzić kolejną rekrutację?

– Z tym właśnie są problemy, Witaliju Arkadjewiczu. Mój zastępca nalega, by zastosować inne zasady naboru. Upiera się też przy innym systemie kształcenia. Nie mam argumentów, które pozwoliłyby mi go przekonać.

– Jak to nie masz argumentów? – zdziwił się pasażer.

– Czy uwieńczona sukcesem metoda nauczania, zastosowana wobec pierwszej grupy to niewystarczający argument?

– Niestety, nie. Na razie nie – uściślił kierowca. – Absolwenci zdali jedynie końcowy egzamin, ale jak się sprawdzą, że tak powiem, w warunkach polowych, nie wiadomo. Chciałbym wierzyć, że obejdzie się bez wpadek.

– A co sugeruje twój zastępca?

– Zielenin jest przeciwny temu, żeby przygotowywać ludzi w systemie koszarowym. Uważa, że zakłóca się w ten sposób proces socjalizacji, że z chwilą gdy

wyizolowuje się człowieka ze społeczeństwa i zwykłego, codziennego życia, staje się on oderwany od rzeczywistości, nieprzystosowany. Osobiście nie jestem zwolennikiem takiego poglądu, ale mój zastępca od wielu lat zajmuje się nauczaniem i trudno mi się z nim spierać. Zaczyna przytaczać takie przykłady... Krótko mówiąc, chciałbym prosić, żeby pan podjął decyzję w tej sprawie.

– Jaką znowu decyzję? Ty jesteś szefem. Ty rządysz. Nie potrafisz swojego zastępcy przywołać do porządku? Jeżeli nie, to żaden z ciebie zwierzchnik.

– Witaliju Arkadjewiczu, to nie takie proste. Zielenin cieszy się dużym poparciem w pańskim środowisku. Proszę pamiętać, że to nie ja go wyszukałem – pan mi go polecił. I powiedział pan, że Zielenin to kandydat pańskiego szefa. Byłbym zobowiązany, gdyby pan jakoś doszedł do porozumienia z Zieleninem.

– Dobrze, pogadam z nim. Ale tobie też coś powiem: to nie w porządku, kiedy szef boi się swojego zastępcy. Powinno być na odwrót. Zatrzymaj się na rogu, dalej pójde pieszko.

Witalij Arkadjewicz ociężale wygramolił się z samochodu i nie oglądając się za siebie, ruszył w stronę dużego budynku przy Nabrzeżu Krasnopriesieńskim. Dwadzieścia minut później siedział już w swoim gabinecie, wyłożonym dębową boazerią.

– Przejrzy pan pocztę, Witaliju Arkadjewiczu? – zapytała urodziwa sekretarka.

– Odłóż to – zarządził, popierając swe słowa władczyim gestem – i zrób mi herbaty, bo zmarłem. Z warsztatu nie dzwonili w sprawie samochodu?

– Dzwonili. Trzeba wymienić przerywacz. Wieczorem wóz będzie gotowy.

– To dobrze. – Skinął majestatycznie głową. – Niezręcznie mi już fatygować znajomych, wciąż prosić o podwiezienie.

Sekretarka wyszła, a Witalij Arkadjewicz chwilę się zastanawiał, po czym podniósł słuchawkę bezpośredniego telefonu.

– Wasiliju Walerianowiczu – rzekł oficjalnym tonem – pozwoli pan, że przyjdę?

Tak w ogóle to Wasilij Walerianowicz był dla niego po prostu Wasią, ale Witalij Arkadjewicz znał obyczaje swego szefa, który lubił rozmawiać przez głośno mówiący telefon. I jeśli w tej chwili w gabinecie Wasi ktoś akurat był, to wcale nie musiał wiedzieć, że dwóch pracowników agend rządowych łączy tak nieformalne stosunki.

Wasilij Walerianowicz, wysoki, chudy, z długą, pobrużdżoną twarzą i w okularach w grubej oprawie, przywitał go uśmiechem, który miał na zawołanie. Uśmiechał się zawsze, nawet kiedy był zły, ba, wściekły. Uśmiech był jakiś krzywy. Nieliczni tylko wiedzieli, że to następstwo mikrowylewu sprzed kilku lat.

– Muszę z tobą pogadać o programie – zaczął Witalij Arkadjewicz, usadowiwszy się w niewygodnym, za twardym fotelu. – Pierwszy etap został zakończony, pora przejść do drugiego. I tu wyłaniają się pewne problemy.

– Jakiego rodzaju?

– Stojanowowi nie układają się stosunki z twoim protegowanym, Zieleninem.

Mają odmienne koncepcje co do metod realizacji programu. Trzeba by zniwelować te różnice poglądów, Wasia, zanim obaj wezmą się za łby. Powiedz, masz wobec tego Zielenina jakieś zobowiązania?

– Naturalnie – wycedził przez zęby Wasilij Walerianowicz.

– Inaczej bym go nie polecał. O jakie różnice poglądów chodzi? Nie są zadowoleni z uposażenia, tak?

– Nie idzie o pieniądze, Wasia. Pensje mają jednakowe. Rzecz w podejściu do całego przedsięwzięcia. Na pierwszym etapie pozwoliliśmy Stojanowowi realizować je tak, jak to sam proponował. Teraz Zielenin upiera się przy tym, że sposób rekrutacji kadr i metody kształcenia muszą być zmienione. Stojanow...

Witalij Arkadjewicz zawahał się. Nie chciał być nieszczerzy wobec Wasilija, znali się zbyt długo i zbyt dobrze, by się bawić w kotka i myszkę. Ale żeby Stojanow, jego protegowany, podpadł, także nie chciał.

– No więc co Stojanow? – zniecierpliwił się Wasilij.

– Odniosłem wrażenie – zaczął znów ostrożnie Witalij Arkadjewicz – że Stojanow zgadza się ze swoim zastępcą. Rozumiesz? W głębi duszy się z nim zgadza. Uznaje jego racje. Ale nie chce tego przyznać głośno. No, sam wiesz, takie tam męskie gierki. Nie wolno zgadzać się z zastępcą, który zajmuje przeciwne stanowisko. To niesłuszne z punktu widzenia tego, kto sprawuje władzę. Dlatego Stojanow chce, żeby decyzja przyszła z góry. Wtedy będzie mógł zachować twarz.

– Widzisz go! – mruknął Wasilij. – I kto niby miałby wydać tę decyzję? Chodzi ci o to, żebym ja to zrobił?

– A któż by inny? Oczywiście że ty. Zielenin to twój człowiek. Moje słowo dla niego nic nie znaczy.

– A Stojanow – twój – przypomniał Wasilij.

– Ale ty kierujesz realizacją programu. To był twój pomysł, twoje ukochane dziecię. I ty, Wasia, powinieneś rozstrzygnąć, w jaki sposób przeprowadzić drugą rekrutację. Tak jak chce Zielenin czy tak jak Stojanow.

Wasilij Walerianowicz, który dotąd przechadzał się w zamyśleniu po obszernym gabinecie, stanął i przysiadł na skraju długiego biurka.

– Witalij, rozumiem, o co ci chodzi. Boisz się wziąć na siebie odpowiedzialność, ponieważ nie czujesz się w tej dziedzinie profesjonalistą. Ale i ja także nie jestem kompetentny. Właśnie dlatego postawiliśmy na czele tego przedsięwzięcia Stojanowa i Zielenina, którzy dobrze znają się na rzeczy. Ani ty, ani ja nie możemy rozsądzić, który z nich dwóch ma rację.

– Ale zmarnować drugiej rekrutacji także nam nie wolno – wtrącił Witalij Arkadjewicz.

– No właśnie. – Wasilij kiwnął głową. – Dlatego trzeba podjąć strategiczną decyzję. Myślę, że bez względu na to, jak będzie przeprowadzona druga rekrutacja, my nie powinniśmy narażać na szwank samej idei programu. Nie zapominaj, że

wprawdzie ja go opracowałem, ale pieniądze na realizację dają inni. Jeśli nie będzie dotacji, nie będzie programu. Zielenin to nie po prostu mój człowiek. Polecili mi go sponsorzy naszego przedsięwzięcia. I jeśli Stojanow zacznie z nim wojować, wyjdzie nam to bokiem.

– Ale Stojanowa też nie należy się pozbywać – skontrował Witalij Arkadjewicz. – Facet ma dojścia do samej góry, dobrze o tym wiesz.

– Wiem.

Wasilij Walerianowicz znów podjął spacer po gabinecie.

– Dlatego proponuję...

Już po upływie kilku minut Witalij Arkadjewicz wyraźnie poweselał. To, co przedstawił jego stary przyjaciel, było skomplikowaną, wielowątkową intrygą, ale pozwalało uporać się z problemem, który jeszcze niedawno wydawał się niemal nierozwiązywalny.

*

Pierwszy cios trafił w szczękę, i Nikita od razu poczuł na przygryzionym języku smak krwi. Nie zdążył się jeszcze odezwać, kiedy nastąpił drugi cios, a za nim – trzeci. Teraz bili go w brzuch. Dwóch trzymało Nikitę za ręce, trzeci metodycznie wymierzał jedno uderzenie za drugim.

– No i co? – zapytał jeden z tych, którzy go przytrzymywali. – Wystarczy? Czy mamy kontynuować?

Nikita w milczeniu kiwnął głową. Dłużej nie wytrzyma bicia.

– Czego kiwasz? Kontynuować, tak?

– Nie – wydusił z trudem. – Nie trzeba. Powiem.

Napastnicy posadzili go na kanapie. Dwaj usiedli tuż przy nim, po bokach, tak by zdążyć go chwycić, gdyby zaczął się szarpać. Trzeci, ten, który przed chwilą go bił, zajął się teraz czym innym – otworzył dużą torbę i wyjął z niej najpierw niewielki dyktafon, a potem wideo. Dyktafon postawił na stoliku obok kanapy, kamerę zaś zarzucił sobie na ramię.

– Zaczynaj. Najpierw się przedstaw, podaj imię i nazwisko, rok urodzenia i adres. Potem będziesz odpowiadał na pytania.

– Nikita Mamontow... – wybełkotał niezrozumiale napadnięty.

– Wyraźniej! Głośno i wyraźnie. Jeszcze raz.

Nikita zebrał wszystkie siły. Nie rozumiał, czego od niego chcą ci ludzie. To znaczy, rozumiał, oczywiście. Od razu na wstępie oznajmili, czego chcą, ale on nie mógł pojąć, na co im to potrzebne. Jeszcze gdyby byli z milicji... Ale nie, to niemożliwe. Z milicją miał już do czynienia.

– Nikita Mamontow, rok urodzenia tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty pierwszy, mieszkam w Moskwie, ulica...

– No proszę, już lepiej – pochwalił go szeptem ten, który siedział z lewej.

- Byłeś przesłuchiwany w sprawie o zabójstwo na Dworcu Paweleckim?
- Tak.
- W którym roku?
- W zeszłym.
- Konkretniej – zażądał ten, który stał przed nim z kamerą.
- W dziewięćdziesiątym piątym.
- Czyli w zaprzeszłym – uściślił siedzący z prawej. On także mówił szeptem.
- No tak – posłusznie zgodził się Nikita.
- Dlaczego cię nie posadzili?
- Nie było dowodów.
- Opowiedz dokładnie, co się zdarzyło.
- Mieliśmy czekać na pociąg...
- Co za „my”? Powiedziałem: dokładnie.

Nikita opowiadał o dokonanym przed półtorarokiem zabójstwie, przeklinając w duchu wszystko na świecie, a zwłaszcza siebie, swoją słabość. Bał się bólu, nigdy nie brał udziału w bójkach, i stosując przemoc fizyczną, można było z niego zrobić szmatę. Wtedy, w dziewięćdziesiątym piątym, przesłuchiowano go wiele razy, ale tamto wytrzymał bez trudu. Był niegłupi, miał dobrą pamięć i sporo sprytu, toteż nie plątał się w zeznaniach, twardo obstawał przy swoim, szybko pojawiając, że bezpośrednich dowodów brak, a gliniarze tylko czyhają na jakąś jego pomyłkę, żeby się czegoś ucześcić i go wrobić. Ale on nie pozwolił się na niczym przyłapać, więc go wypuszczono, sprawcy zabójstwa zaś pozostali niewykryci. Od chłopaków nasłuchiwał się różnych strasznych opowieści, jak to w milicji biją, i wiedział, że jeśli go uderzą choćby tylko dwa razy, od razu pęknie. Ale jakoś go nie bili. I to Nikitę uratowało.

A dzisiaj zjawili się ci trzej, wykręcili mu ręce i zaczęli go młócić. Okropnie bolało, i w ogóle strasznie się przeraził. Więc opowiedział im wszystko.

*

Nastia bardzo się bała, że wieczór pożegnalny u Gordiejewa będzie smutny, ale jej przewidywania na szczęście się nie sprawdziły. Ton nadał sam Wiktor Aleksiejewicz, który wciąż żartował, zwłaszcza na temat, że kiedy kota nie ma w domu, myszy harczą.

– Wiem, wiem – przygadywał – cieszycie się z całego serca, że wreszcie sobie pójdę i przestanę się was czepiać, dokuczać wam swoimi zawyżonymi wymaganiami. Pod rządami nowego szefa będziecie w końcu mieć spokój.

Nowy szef już był obecny, ochoczo przyłączał się do żartów Gordiejewa i wykazał się żywym, autentycznym poczuciem humoru. Nie bał się też wychylić kielicha, pił równo ze wszystkimi, ale działania alkoholu w ogóle nie było po nim widać.

Ponieważ – oprócz żony Gordiejewa, Nadieždy Andriejewny – Nastia była w towarzystwie jedyną kobietą, zaofiarowała się, że pomoże gospodyni. W pewnej

chwili, gdy myła talerze przed podaniem gorącego dania, została w kuchni sama. Skończywszy ze zmywaniem, już miała wrócić do pokoju, ale nieoczekiwanie zmieniła zamiar. Ogarnął ją nagły smutek, w gardle coś nieprzyjemnie ścisnęło, łzy nabiegły do oczu, więc Nastia naląła sobie szklankę wody i zapaliła papierosa. Chciała też odpocząć chwilę od hałasu.

– Znowu się pani chowa? – rozległ się za jej plecami głos Mielnika.

Odwróciła się, przywołując na twarz uprzejmy uśmiech. Panisko stał obok niej, trzymając w rękach kieliszek i szklaneczkę.

– Wypijmy, Anastazjo Pawłowno – powiedział, podając jej szklankę. – To martini. Uprzedzono mnie, że nic innego pani nie pija.

Nastia nie miała ochoty pić, zwłaszcza z Paniskiem. Ale nie wypadało odmówić. Wzięła więc szklaneczkę i spojrzała pytająco na zwierzchnika.

– Za co wypijemy?

– Za panią i za mnie.

– To znaczy?...

– Za panią i za mnie, tak jak powiedziałem – powtórzył Mielnik z uśmiechem. – Za to, żeby pomiędzy mną, pani nowym szefem, a panią, najlepszym analitykiem na Pietrowce, współpraca jak najlepiej się układała. Wiem, że cieszy się pani zasłużonym autorytetem wśród kolegów, i od pani zdania w dużym stopniu zależy, jak oni będą się do mnie odnosili. Dlatego nasze stosunki służbowe powinny być naprawdę dobre i oparte na wzajemnym zrozumieniu. Proszę, niech pani za to ze mną wypije.

No cóż, pomyślała Nastia, przynajmniej szczerze stawia sprawę. Z właściwym sobie męskim szowinizmem zawsze uważa kobietę za najsłabsze ogniwo łańcucha, dlatego też sądzi, że jest ona łatwą zdobyczą. Przeciągnąwszy na swoją stronę najpierw ją, potem zabierze się do innych podwładnych, tych o bardziej podatnym, łagodnym usposobieniu, i wreszcie sprawi, że stopniowo ilość przejdzie w jakość, a gdy już sobie zapewni poparcie większości, łatwo przekabaci i resztę.

Uniosła lekko szklaneczkę i wypila martini, nie trącając się z szefem. Powinna się przynajmniej uśmiechnąć, ale jakoś nie miała nastroju...

Panisko opróżnił kieliszek jednym haustem.

– Cóż to, pije pani, nie stuknąwszy się nawet, jak na stypie? – zażartował.

– Przepraszam, jakoś odeszłam od tych zasad – usprawiedliwiła się Nastia.

Mielnik postawił kieliszek obok zlewozmywaka i otworzył piecyk. Słaby dotąd zapach pieczonego mięsa od razu buchnął z duchówki i rozszedł się po całej kuchni.

– Według mnie, jest już gotowe – powiedział. – Poprosić Nadieżdę Andriejewnę czy poradzimy sobie sami?

– Zaraz wszystko zrobię.

– Pomogę pani – ochoczo zaofiarował się Panisko, zdejmując z haczyka grube kuchenne rękawice. – Kobieta o takich delikatnych dłoniach nie powinna dźwigać ciężkiej, gorącej brytfanny. Chciałem to pani powiedzieć jeszcze rano, ale wciąż jakoś

nie było okazji. Ma pani niezwykle piękne ręce, Anastazjo Pawłowno.

Nastia z niedowierzaniem spojrzała na szefa, a potem przeniosła wzrok na swoje dłonie.

– Cóż to, próbuje pan ze mną flirtować? – zapytała.

– A czemu to panią dziwi? Czyżby inni mężczyźni tego nie robili?

Nastia pomyślała z niechęcią, że Panisko ucieka się do starych, tanich chwytów, a ona nie bardzo potrafi radzić sobie w takich sytuacjach. Rzeczywiście mężczyźni rzadko prawili jej komplementy, co tam rzadko – prawie nigdy. Oczywiście, okazywali jej podziw i szacunek, ale to zwykle wiązało się z pracą, ze sprawami, które prowadziła. Kiedyś dostała nawet ogromny bukiet róż, lecz kwiaty przysłał członek mafii, żeby ją prosić o pomoc w wykryciu poważnego przestępstwa. Innym razem dostarczono jej do domu piękne mieczyki w wielkim kryształowym wazonie, ale to także był prezent od mafii, tyle że takiej, której – przeciwnie niż pierwszej – zależało na tym, by Nastia nie angażowała się w śledztwo. Bywało, że zapraszano ją do restauracji, niekiedy przyjmowała te zaproszenia, niekiedy zaś odmawiała, ale zawsze wiązało się to z koniecznością spotkania się z kimś czy rozmowy w sprawach służbowych. Tak że komplementy Nastia słyszała najczęściej nie z ust gorących wielbicieli (których zresztą nigdy nie miała), lecz od osób zainteresowanych w tym, by dobrze ją do siebie usposobić.

– Nie – powiedziała spokojnie, choć z trudem ukrywała rozdrażnienie – mężczyźni ze mną nie flirtują. Pewnie dlatego, że wiedzą, że mam męża, z którym nie wytrzymałoby konkurencji. Zatem nawet tego nie próbują.

– A więc to tak!

Panisko przysunął sobie taboret i usiadł obok Nasti, bardzo blisko. Tak blisko, że kolanem niemal dotykał jej biodra.

– I dlaczego to pani mąż jest taki niebezpieczny? Ma mistrzostwo świata w kick-boxingu?

– Władimirze Borisowiczu, nie zamierzam rozmawiać z panem o moim mężu. Jeżeli interesuje pana formalna strona zagadnienia, proszę wziąć moją teczkę personalną z działu kadr, tam znajdzie pan wszystkie informacje.

– A jeśli interesuje mnie strona nieformalna?

– O tej rozmawiam tylko z najbliższymi. I bardzo proszę nie patrzeć na mnie w tak znaczący sposób. Dawno już mam za sobą lata, kiedy robiło to na mnie wrażenie.

Mielnik wybuchnął śmiechem. Śmiał się z całego serca, wesoło, zaraźliwie.

– Jest pani naprawdę czarująca, Anastazjo Pawłowno! Dlaczego wszędzie węszy pani podstęp? Czy ktoś kiedyś w życiu tak bardzo panią oszukał, że jest pani gotowa w najbardziej niewinnych postępkach czy słowach dopatrywać się podłości i próby wyrządzenia pani krzywdy? Proszę brać sprawy prościej, a sama pani zobaczy, że tak o wiele łatwiej się żyje. Pani nawet nie dostrzega, że swoją nieustanną podejrzliwością zraza do siebie ludzi, którzy wcale źle pani nie życzą.

Położył dłoń na rękę Nasti, która na ten poufały gest po prostu osłupiała. Ręka Mielnika była ciepła, ale Anastazji, która z powodu kłopotów z krążeniem prawie zawsze miała zimne dłonie, wydała się gorąca jak poduszka elektryczna.

– Przypominam, że miał się pan zająć pieczeniem – zwróciła uwagę szefowi, wstając gwałtownie i usuwając się na bok.

Mielnik także się podniósł i znów włożył rękawice. Wyjął brytfannę z piecyka, zgrabnie przełożył wielki kawał pieczeni na deskę, po czym zaczął krajać mięso na równej grubości plastry i układać je na przygotowanym półmisku. Stał plecami do Nasti, która właśnie miała niepostrzeżenie wymknąć się z kuchni, kiedy zatrzymał ją głos Paniska:

– Anastazjo Pawłowno, czekałem na panią dzisiaj długo po szóstej, ale pani nie raczyła się pokazać, chociaż była pani jeszcze w pracy. Czy mam to uważać za swego rodzaju demonstrację, czy też pani po prostu zapomniała?

– Byłam punktualnie o szóstej, ale nie zastałam pana w pokoju.

– Wezwał mnie generał i wróciłem do siebie dziesięć po szóstej.

– Ale ja nie mogłam przewidzieć, że to sprawa kilku minut. Drzwi gabinetu były zamknięte, więc z czystym sumieniem wróciłam do swego pokoju. Pomyślałam, że jeśli będę panu potrzebna, sam mnie pan wezwie.

– Proszę mi powiedzieć, czy w waszej sekcji zwykło się uważać takie usprawiedliwienie za wystarczające?

– W naszej sekcji nikt nigdy nie musiał się usprawiedliwiać przed szefem z takiego powodu – sucho odparła Nastia.

– Wiktor Aleksiejewicz doskonale rozumiał, że wywiadowca nie może zaplanować rano dnia pracy w taki sposób, żeby punktualnie o szóstej zjawić się z raportem. To specyficzna robota. Żeby przyjść dokładnie o szóstej, musiałby zakończyć pracę mającą na celu wykrycie przestępstwa o trzeciej, po czym zamknąć się w pokoju i wypełniać papierki. Dlatego jeżeli o wpół do piątej znajdzie świadka, za którym uganiał się od dwóch tygodni, i doprowadzi do tego, że ten się wreszcie rozgada, to piętnaście po piątej będzie musiał mu powiedzieć: przepraszam, obywatelu, bardzo dobrze nam się rozmawia, ale musimy odłożyć pogawędkę do jutra, bo mam szefa despotę.

Mielnik z nożem w ręku odwrócił się do Nasti. Na jego twarzy malowała się ciekawość, niczym u entomologa, który obserwuje nieznanego mu dotychczas owada.

– A pani w ogóle się nie boi zwierzchników?

– Nie. W ogóle się nie boję. Przepracowałam ponad dziesięć lat z Gordiejewem i przyzwyczaiałam się do myśli, że dobry szef to taki, którego człowiek szanuje, a nie boi się go. Poza tym nie obawiam się też, że mnie wyrzucą.

– Czyżby? – Mielnik uniósł brwi. – Tak dalece czuje się pani niezastąpiona?

– Nie o to chodzi. Dopóki pracowałam u Gordiejewa, myśl o odejściu napawała mnie strachem. I rzeczywiście bałam się zrobić coś nie tak, naruszyć jakieś przepisy,

żeby nie wylecieć z pracy. A teraz jest mi wszystko jedno. Proszę mnie właściwie zrozumieć, Władimirze Borisowiczu. Nie chcę pana obrazić, ale jest mi obojętne, kto będzie moim szefem, jeśli nie będzie nim Gordiejew. Dlatego pana także się nie boję. Jeśli nie ułoży nam się współpraca – odejdę.

– Do Zatocznego? Czy też ma pani w odwodzie jeszcze jakichś generałów?

To już był cios poniżej pasa. Siedział tu, wdzieczył się, przyciskał kolanami, wypytywał o męża, udawał, że nic o Nasti nie wie, a tymczasem, jak widać, nieźle się przygotował, zebrał informacje, a nawet krążące plotki.

Nastia zastanawiała się, jak odpowiedzieć sensownie, a jednocześnie bez niepotrzebnej arogancji, ale właśnie w tej chwili przybiegła z pokoju żona Gordiejewa, Nadieżda Andriejewna.

– O Boże, zagadałam się z Miszeńką i zupełnie zapomniałam o mięsie!

– To nic, Nadieżdo Andriejewno – zapewnił wesoło Mielnik – strzeżliśmy go tu pilnie razem z Anastazją Pawłówną, żeby nie przegapić właściwego momentu.

Cofnął się od stołu i teatralnym gestem wskazał wielki prostokątny półmisek, na którym leżały równo ułożone płaty mięsa.

– Proszę bardzo, droga pani, można podawać.

Nadieżda Andriejewna wzięła półmisek i zaniósła go do pokoju. Nastia wymknęła się za nią, zadowolona, że w naturalny sposób udało się przerwać rozmowę, która przybrała tak nieprzyjemny obrót. Ostatni wszedł do pokoju Panisko o od razu wdał się w pogawędkę z Gordiejewem. Do końca wieczoru nie odezwał się do Nasti i nawet nie patrzył w jej stronę. A ona nie wiedziała, czy się z tego powodu cieszyć, czy raczej niepokoić.

ROZDZIAŁ 2

Nikita leżał na kanapie odwrócony do ściany, z kolanami podciągniętymi niemal pod brodę. Jego dręczyciele dawno już sobie poszli, bez złości wymierzając mu na pożegnanie parę kuksańców. Całe ciało miał obolałe, oddychał z trudem, przygryziony język wciąż jeszcze krwawił, pozostawiając nieprzyjemny, metaliczny posmak w ustach.

Tamci nagrali wyznanie na dyktafon i taśmę wideo – i zmyli się. Kim byli? Dlaczego przyszli? Do czego im potrzebna jego relacja?

Pierwszą myślą oczywiście było, że są z milicji. Rozważywszy jednak sprawę, Nikita doszedł do wniosku, że coś tu się nie zgadza. Jeżeli gliny mogą ot tak, po prostu, włamać się do mieszkania, dać człowiekowi wycisk i zmusić go do zeznań, to dlaczego zrobili to teraz, a nie półtora roku temu? W tej chwili cała sprawa jest absolutnie nieaktualna. O facecie, którego załatwił na Dworcu Paweleckim, wszyscy już dawno zapomnieli. Dzisiaj nawet o zabójstwach różnych gwiazd i wielkich polityków nikt nie pamięta dłużej niż dwa miesiące. A jeśli to ludzie działający na zlecenie jakiegoś ugrupowania mafijnego, to na cholerę jest komu potrzebny po półtora roku?

Dlatego następna myśl, która przyszła Nikicie Mamontowowi do głowy, wydała mu się o wiele słuszniejsza. Upomnieć się o swego mogli tylko jego koleżkowie. Nie spodobało się im, że w stolicy ktoś wykończył ich kumpla, i postanowili dać zabójcy nauczkę. Oczywiście milicyjne dochodzenie wcale im nie było na rękę, a fakt, że odłożono sprawę na półkę, mógł ich tylko cieszyć, ale działania milicji to jedno, natomiast prywatne, wewnątrzmafijne porachunki to całkiem inna bajka. Niech no tylko ten łobuz, który załatwił naszego kolesia, nawinie nam się pod rękę!

Przy takim podejściu do sprawy półtoraroczna zwłoka nie wydawała się niczym nadzwyczajnym. Członkowie struktur kryminalnych kierują się własną, odmienną niż milicyjna, logiką. To gliny zawsze się śpieszą, naczałstwo ich pogania, prokuratorzy nie dają spokoju. A ci z mafii rozliczają się między sobą inaczej. Wtedy, kiedy jego, Nikitę Mamontowa, wysłali na Dworzec Pawelecki, pomiędzy dwiema grupami gra była prawie wyrównana; zamiejscowi byli minimalnie górą – i załatwienie jednego z nich doprowadziło do remisów. Teraz zaś, po półtora roku, przewagę mogli uzyskać ci z Moskwy, więc ich „konkurencja” posłużyła się Nikitą jako kartą przetargową.

Przypomniał sobie oficera operacyjnego z Pietrowki, który go wtedy obrabiał. Wyciągał z niego duszę po kawałku, po trzy godziny dziennie nękał go pytaniami, usiłował się do niego dobrać i tak, i siak. Jak też on się nazywał? No, zresztą

nieważne. A więc ten oficer powtarzał Nikicie: „Wiem, że ty dokonałeś tego zabójstwa. Wiem i koniec. I radzę ci wziąć jedną rzecz pod uwagę. Jeżeli znajdę dowody twojej winy, dostaniesz wyrok. Solidny wyrok, ale to w końcu tylko odsiadka. Jeśli pójdziesz po rozum do głowy i sam się przyznasz na piśmie, wyrok będzie mniejszy, a jak zaczniesz aktywnie współpracować i powiesz, kto ci zlecił zabójstwo – jeszcze mniejszy. Natomiast jeżeli ja nie znajdę dowodów przeciwko tobie, pozostaniesz na wolności, ale długo na niej nie pożyjesz”.

Nikita wówczas nie uwierzył. Jego zleceniodawcy wydawali mu się silni, potężni i niezniszczalni. Na pewno nie pozwolą go skrzywdzić. Zwłaszcza że okazał się takim spryciarzem, wywinął się glinom. Jednakże minęło półtora roku i wszystko się zmieniło. Grupa, do której należał, nie była wcale taka silna i wszechmocna. Osłabiały ją właśnie wewnętrzne, a milicja także nie zasypiała gruszek w popiele, tego i owego potrafiła zahaczyć i zręcznie wyłować. Trzy miesiące temu żalosne resztki grupy włączyły się do innej struktury, większej i silniejszej, która podporządkowała sobie mocodawców Nikity Mamontowa. Dla samego Nikity jednak nie znalazło się w niej miejsce. To znaczy, owszem, nie zostawili go całkiem na lodzie, dostał odprawę, ale dano mu jasno do zrozumienia, że nikt nie będzie po nim płakał, jeśli się zmyje. Żaden z niego żołnierz, żaden snajper, osiłek, zabijaka czy mistrz kierownicy i w ogóle żadnymi specjalnymi umiejętnościami się nie wyróżnia. Jego dawni szefowie, ot, drobnica, cieszyli się z każdej pary rąk, zwłaszcza jeśli te ręce należały do tchórza, któremu łatwo rozkazywać. Ale u nowych panują inne porządki. Tam o każde miejsce trzeba się ubiegać niemal konkursowo i tacy jak Nikita w ogóle nie są potrzebni. Oczywiście, przyjmą go, jeżeli zechce zostać, ponieważ ma na swoim koncie mokrą robotę i tym sobie zasłużył na prawo przynależności do struktury mafijnej. Ale nic poza tym. Rola żalosnego pionka na łaskawym chlebie to maksimum, na jakie może liczyć.

Nikita odmówił z godnością, oświadczył, że nie rości sobie żadnych pretensji do niczego, i z ulgą zakończył swoje kontakty ze światem przestępczym. Od dziecka był słaby i tchórzliwy, ale mając lat dwadzieścia pięć nabrał przynajmniej trochę rozumu. Jako dziewiętnastolatek dał się wciągnąć w działalność kryminalną, gdyż bał się odmówić. W dwudziestym czwartym roku życia dokonał zabójstwa również dlatego, że stchórzył i nie odważył się powiedzieć „nie”. Bał się, że będą go bić. Ale od tamtej chwili myślał tylko o tym, jak by się z tego wszystkiego wymotać. Koniec, dość wygłupów. Trzeba pójść po rozum do głowy, nauczyć się jakiegoś zawodu i spać w miarę możliwości spokojnie. Ale wyrwać się ze świata przestępczego, i to jeszcze mając takiego haka, jak mokra robota, okazało się rzeczą wcale niełatwą. Najmniejszą niesubordynację traktowano jako przejaw „zsuczenia”, czyli działania na rzecz milicji bądź konkurentów. Niegłupi, lecz słaby Nikita siedziałby więc po wiek wieków na mafijnym przypiecku, gdyby – na jego szczęście – piec nagle nie zaczął się walić. Jawną pogardę nowych szefów dla swojej osoby Nikita uznał za prawdziwy dar losu,

który pozwoli mu wreszcie wieść normalne życie – bez zagrożeń, cudzych podejrzeń i strachu. Tak w każdym razie uważał. Ale nic z tego nie wyszło...

Wyglądało na to, że tamten oficer miał rację. Nikita niedługo cieszył się wolnością. Jak też on się nazywał? Mamontow przypomniał sobie, że milicjant dał mu wtedy swój telefon, i domowy, i służbowy, i powiedział:

– Kiedy się zdecydujesz zeznawać, od razu do mnie zadzwoń. Nie krępuj się, dzwoń o każdej porze, nawet w nocy.

Karteczkę z telefonami Nikita znalazł szybko. Zawsze lubił porządek i nigdy niczego nie gubił. Aha, Jurij Wiktorowicz Korotkow. I numery. A gdyby tak zadzwonić? Teraz już wszystko jedno, można i jemu przyznać się do zabójstwa, tamci trzej i tak mają to na wideo. Korotkow przynajmniej doradzi, co robić.

Nikita jeszcze chwilę się zastanawiał, potem zdecydowanym ruchem zdjął słuchawkę i wykręcił domowy numer Korotkowa. Była już dziesiąta wieczór, więc uznał, że dzwonić pod służbowy numer nie ma sensu.

Odezwał się niezadowolony kobiecy głos.

– Nie ma go. Coś przekazać?

– Zadzwonię później. Może być za godzinę?

– Proszę – sucho powiedziała kobieta i odłożyła słuchawkę.

Ale za godzinę Korotkowa też nie było w domu. Nikita postanowił dziś więcej nie dzwonić, jakoś nie wypada budzić całej rodziny. Zatelefonuje lepiej jutro rano. Ciekawe, czy ten Korotkow w ogóle go pamięta. Co dzień ma pewnie do czynienia z tuzinem takich jak Nikita.

*

Nastia Kamieńska nie zdążyła po przyjściu do pracy zdjąć kurtki i powiesić jej w szafie, kiedy już pojawił się u niej Korotkow.

– Aśka, odśwież mi pamięć. Dziewięćdziesiąty piąty rok, zabójstwo przyjezdnego kuriera na Dworcu Paweleckim. Podejrzany Nikita Mamontow.

– Było coś takiego – potwierdziła Nastia. – O jakie szczegóły ci chodzi? Mam to wszystko w papierach, ale szukanie długo potrwa.

– Nie musisz szukać, mów, co pamiętasz.

– A o co chodzi?

– Przed chwilą dzwonił do mnie ten Mamontow. Chce się spotkać. Umówiłem się z nim na wpół do dwunastej przy stacji metra Czertanowska.

Nastia w kilku zdaniach zrelacjonowała Korotkowowi wszystko, co pamiętała ze sprawy zabójstwa na Dworcu Paweleckim. Miała znakomitą pamięć, co często wykorzystywali jej koledzy.

– Czyli facet był z grupy Usojewa – rzekł w zamyśleniu Jura. – A grupa Usojewa, o ile wiem, czy raczej to, co z niej zostało, połączyła się gładko z grupą niejakiego Laszenki, ksywa Lach. Cóż, widocznie naszego małego Nikity zdecydowanie nie

urządza istniejący stan rzeczy. Ciekawe.

Cały ranek Nastia spędziła na analizie danych mających lub mogących mieć związek z dusicielem psychopata. Zaczęły już wpływać kolejne wyniki sekcji siedmiu ofiar i z wniosków patologów sądowych można było wyłuskać pewne informacje. Na przykład pierwsze ze znalezionych zwłok miały na szyi ślady paznokci, u wszystkich pozostałych natomiast – mimo że zaatakowano ofiary z podobną siłą – takich śladów nie wykryto. Należało więc sądzić, że pomiędzy pierwszym a drugim zabójstwem morderca obciął paznokcie. Istotny szczegół! Gdyby tak jeszcze dzięki tej informacji udało się wpaść na trop maniaka...

Uwagę Nasti zwróciła też inna wskazówka. Sądząc po rozmieszczeniu krwawych wybroczyn na szyjach ofiar, można było założyć, że zabójca jest osobą bardzo wysokiego wzrostu. Uduszeni mierzyli od stu sześćdziesięciu dwóch centymetrów do metra osiemdziesięciu, a ślady palców na ich szyjach pozwalały wyciągnąć wniosek, że napastnik był wyższy od wszystkich swoich ofiar. Niestety, miejsce i sposób zadziergnięcia pętli nie wnosił żadnych nowych informacji na temat przestępcy. Kiedy ofiara, po silnym uciśnięciu tętnicy szyjnej, traciła przytomność, napastnik kładł ją na ziemi, zdejmował jej szalik lub chustkę i zaciągał pętlę, jak pisali w swoich raportach z wyników sekcji lekarze sądowi, „ruchem od tyłu do przodu i z góry do dołu, co potwierdza obecność biegnącej ukośnie bruzdy w dolnej części szyi”. Uważali oni, że przestępca musi mieć co najmniej sto osiemdziesiąt osiem centymetrów wzrostu, ale – co pewniejsze – mierzy raczej blisko dwa metry. To już było coś. Należało rozejrzeć się wśród koszykarzy.

I jeszcze jedna sprawa, być może, najważniejsza. Człowiek wraca do domu o północy, wchodzi do pustej bramy. I natychmiast zostaje zaatakowany. Ale tylko w bajkach wszystko toczy się tak prosto i gładko. Co to znaczy „zostaje natychmiast zaatakowany”? Morderca musiał iść za upatrzoną ofiarą pustą ulicą, wejść za nią do bramy... Czy ludzie doprawdy są tak lekkomyślni? A przecież wyniki sekcji stwierdzają wyraźnie, że ani jedna z ofiar nie znajdowała się w stanie upojenia alkoholowego, kiedy to zdaje się człowiekowi, że wszyscy ludzie są najzyczliwszymi przyjaciółmi i że mógłby wręcz góry przenosić. A może zabójca nadchodził z przeciwnej strony, idąc na spotkanie ofiary? Ale wtedy człowiek tym bardziej czułby się wystraszony lub przynajmniej wzbudziłoby to jego czujność. I nie pozwoliłby tak łatwo chwycić się za gardło. Byłyby jakieś ślady walki. Tymczasem nic takiego nie znaleziono. A więc ofiara absolutnie nie spodziewała się ataku, jej mięśnie nie były instynktownie napięte i traciła przytomność natychmiast, gdy tylko palce mordercy ucisnęły tętnicę. Można to było wyjaśnić w trojaki sposób. Po pierwsze, ofiara znała zabójcę i nie bała się go. Przeprowadzone badania na razie nie potwierdzały tej wersji. W każdym razie wspólnych znajomych u całej siódemki denatów, jak dotąd, nie znaleziono. Po drugie, morderca pojawiał się z nienacka, nie szedł za ofiarą ani nie zbliżał się z przeciwka, lecz wynurzał się z ciemności, gdzie stał zacząjony, cierpliwie

czekając na spóźnionego lokatora. Teoretycznie to możliwe, ale w praktyce... Wszystkie bramy, w których znaleziono zwłoki mieszkańców, były dobrze oświetlone i nie miały zakamarków, gdzie można by się schować, a potem zniecka wyłonić.

Pozostawał trzeci wariant: ofiara widziała zabójcę, lecz nie obawiała się go i nie spodziewała, że zostanie zaatakowana, chociaż nie znała przestępcy. Przed kim można nie czuć strachu o dwunastej w nocy, w pustej bramie? Przed dzieckiem albo kobietą. Nawet bardzo wysoką kobietą...

Z tych rozważań wyrwał Nastię dzwonek telefonu. W słuchawce rozległ się głos Korotkowa:

– Asiu, zajrzyj do swoich papierów, potrzebny mi adres tego kretyna Mamontowa. Czekam już na niego godzinę, zmarłem na kość.

– A co, nie przyszedł?

– Nie przyszedł, bydlak. Jak go znajdę, nogi mu z tyłka powyrywam.

Nastia szybko otworzyła sejf i wyjęła teczkę z materiałami z 1995 roku, gratulując sobie w duchu przezorności. Oczywiście, prościej byłoby trzymać wszystko razem, w jednym miejscu, ale ona, kierowana jakimś niewytłumaczalnym instynktem, dzieliła materiały na dwie części. W jednej teźce przechowywała końcowe raporty i podsumowania, bezosobowe, najeżone cyframi i suchymi konstrukcjami logicznymi, niezawierające żadnych nazwisk, w drugiej – wszystkie bieżące notatki, kopie przesłuchań, nazwiska, ksywy, adresy, telefony i inne przydatne informacje. Co tydzień dane te Nastia wprowadzała do domowego komputera i tam, dzieląc je na pliki i katalogi, opracowywała następnie najrozmaitsze zestawienia i tabele, ale tu, w gabinecie na Pietrowce 38, materiały znajdowały się w teźkach, i to nie zawsze w najidealniejszym porządku. Co prawda, Nastia orientowała się w nich doskonale, ale nikt inny nie znalazłby tu potrzebnych danych. Gdyby wszystkie materiały trzymała w jednej teźce, a dwa dni temu Panisko osobiście zabrałby ją, żeby się z nimi „zapoznać”, Jurka Korotkow zobaczyłby potrzebny adres jak własne ucho. Musiałby go szukać przez biuro adresowe, a w Moskwie Mamontowów jest jak psów...

Podyktowała Korotkowowi adres i – na wszelki wypadek – numer telefonu Nikity Mamontowa, przesłuchiwanego w 1995 roku w związku ze sprawą zabójstwa na Dworcu Paweleckim. Nikita mieszkał daleko od stacji metra Czertanowska, na drugim końcu miasta, w Otradnem.

– Pojedziesz do niego teraz, od razu? – spytała Korotkowa.

– Akurat, już się rozpędziłem – burknął rozzłoszczony Jura. – I tak straciłem przez niego całą godzinę. Specjalnie wyznaczyłem mu spotkanie przy Czertanowskiej, bo mam w tej okolicy dwie sprawy do załatwienia. Jedna zresztą dotyczy twojego dusiciela. Jak skończę tutaj wszystko, co zaplanowałem, to potem może zajrzę do Nikity, jeśli jeszcze dam radę. No dobra, koleżanko, lecę dalej.

*

Była to klasyczna pułapka, którą zastawiano setki razy i w którą wpadało tyleż osób. Mało tego, przedstawiano ją w dziesiątkach powieści kryminalnych i filmów. Mimo to wpadki wciąż się zdarzały.

Major Korotkow był doświadczonym oficerem operacyjnym. Dlatego najpierw długo dzwonił do drzwi Nikity, a potem pchnął je ostrożnie. Stwierdziwszy, że są otwarte, nie wszedł do środka, przymknął drzwi i nacisnął dzwonek do sąsiedniego mieszkania. Otworzyła mu młoda kobieta z rocznym berbeciem na rękach. Jura pokazał jej legitymację.

– U pani sąsiada drzwi są otwarte – powiedział – a on nie reaguje na dzwonek. Czy mogę od pani zadzwonić po milicję?

– Przecież pan sam jest z milicji – roześmiała się kobieta.

– Pojedynczy milicjant to nie milicjant – konfidencjonalnie ścisząc głos, rzekł Korotkow.

– Jak to?

– A tak. Nam także potrzebni są świadkowie, jak wszystkim. Co by było, gdybym tak teraz wszedł do mieszkania Nikity i okazałoby się, że buszowali tam złodzieje? Nigdy w życiu bym nie udowodnił, że sam czegoś nie zabrałem, korzystając z okazji.

– Mogę wejść z panem – zaproponowała ochoczo sąsiadka Nikity. – I jeśli będzie trzeba, zaświadczę, że pan niczego nie wziął. Chce pan?

Korotkow nie chciał. Nie widział najmniejszej potrzeby, żeby ta miła młoda kobieta miała być zamieszana w sprawę o zabójstwo. Co zaś do tego, że chodzi właśnie o zabójstwo, a nie o okradzenie mieszkania, nie miał cienia wątpliwości. Jurij Korotkow był doświadczonym wywiadowcą.

*

Walentin Bagluk zawsze ciężko znosił kaca. Właściwie to pił niezbyt często, tylko w miłym, zaprzyjaźnionym gronie, ale wtedy już bez umiaru – miewał przerwy w życiorysie, nic nie pamiętał, słowem, pełny odlot. I za każdym razem po uroczym wieczorze następował ranek. Koszmary. Odrażający. Wprost nie do zniesienia. Tak straszny, że wydawał się Wali Baglukowi ostatnim porankiem w jego niedługim życiu.

Bagluk pracował w popularnej moskiewskiej gazecie, znanej z wyciągania na światło dzienne różnych skandali i podejmowania „gorących” tematów. Walentin, obudziwszy się, uznał, że już nigdy więcej nie napisze ani jednego artykułu do swojej gazety, z tej prostej przyczyny, że ten ranek będzie ostatnim w jego życiu. Do jasnej cholery, po co się wczoraj tak schlał? Przecież za każdym razem powtarza się ta sama historia: wie, co będzie następnego dnia, a mimo to pije, przy czym im więcej alkoholu w siebie wlewa, tym bardziej odległa i mglista staje się perspektywa koszmaru porannego kaca. Ranek jest jeszcze hen, daleko, a wesołość i radosne uniesienie trwają, są tu i teraz.

Słowem, Walentin czuł się fatalnie. Cierpiał jak potępieniec. Niemal płakał nad własną głupotą i bezsilnością, ponieważ jedno wiedział na pewno: nie może sobie pozwolić na klina. Jeśli człowiek zacznie od rana klinować, to znaczy, że jest zdeklarowanym alkoholikiem. I chociaż z opowieści przyjaciół Bagluk wiedział, że setka wódki w mgnieniu oka postawiłaby go na nogi, mężnie przemagał pragnienie.

Z trudem dobrnąwszy do łazienki, stanął pod prysznicem. Dziesięć minut pod letnią wodą sprawiło, że poczuł się odrobinę lepiej. Kiedyś, jeszcze za władzy radzieckiej, można było dostać w aptece wspaniałe tabletki pod nazwą aeron. Teraz już od dawna ich nie produkowano, ale Bagluk w tamtych dawnych czasach sprytnie zakupił spory ich zapas, gdyż właściwie przechowywane, zachowywały ważność do 1998 roku. Tabletką aeronu zażyta razem z tabletką novocefalginu skutecznie likwidowała ból głowy i nudności po przepiciu.

Walentin już wyszedł z łazienki, wyjął drogocenne lekarstwa i właśnie miał popić je wodą, kiedy zadzwonił telefon wiszący w kuchni na ścianie. Bagluk postanowił go nie odbierać. Nie miał siły rozmawiać. Ale sygnały nie ustawały, a wtyczki nie można było wyjąć z gniazdka, aparat był zamontowany na stałe. Żeby go wyłączyć, Walentin musiałby znaleźć śrubokręt, ukucnąć, wykręcić śruby i odłączyć zaciski. O tak skomplikowanej operacji w obecnym stanie nie mógł nawet pomyśleć. Co więcej, aparat był stary, regulator głośności dzwonka dawno się popsuł, tak że sygnału nie dawało się ściszyć. Chyba żeby przynieść z pokoju poduszkę... Ale to też nic nie da. Aparat przecież wisi na ścianie. Nie, lepiej już podnieść słuchawkę, bo od tych rozdzierających, przeraźliwych dzwonek można dostać konwulsji. O Boże, po co wczoraj tyle pił!

– Halo – zabełkotał w słuchawkę głosem umierającego, w nadziei, że dzwoniący weźmie go za ciężko chorego i odczepi się.

– Walentin Nikołajewicz? – rzekł nieznajomy głos.

– Tak, słucham – odezwał się Bagluk, oczyma duszy widząc się na scenie w roli Damy Kameliowej w ostatnim akcie dramatu.

– Czy jest pan zainteresowany informacjami dotyczącymi zabójstwa?

– Zależy jakiego.

– Morderstwa dokonano wczoraj. Ofiara jest informatorem Pietrowki. Proszę sobie przypomnieć, w wielu gazetach ukazały się informacje o tym, że milicja werbuje ludzi, wykorzystuje ich, a następnie wyrzuca jak bezużyteczne śmieci. Informator staje się nikomu niepotrzebny, mało tego, nawet ochrona jego danych osobowych przestaje obowiązywać. I oto rezultaty. Wasza gazeta, tak popularna i lubiana przez mieszkańców Moskwy, nie wiadomo dlaczego ani razu nie podjęła tego tematu. Redakcja nie jest tym zainteresowana?

Bagluk szybko powracał do życia. A więc to jeszcze nie finał, kiedy Dama Kameliowa umiera na suchoty. Jesteśmy dopiero w środku akcji.

– Owszem, jest, ale nie dysponowaliśmy wystarczającymi informacjami. Takich

przypadków, o jakich pan mówi, nie było wiele, i za każdym razem inne redakcje nas wyprzedzały. A jeśli nie ma się wyłączości na taką publikację, to już nie to, o co chodzi.

– Wobec tego tym bardziej powinno to pana zainteresować – oznajmił nieznajomy rozmówca. – Ponieważ pan jest pierwszym człowiekiem, który się dowiedział, że zamordowany wczoraj Nikita Mamontow był informatorem jednego z pracowników sekcji zabójstw na Pietrowce.

– Ale potrzebne mi są dowody – rzekł ostrożnie Bagluk.

– Wie pan przecież, że nasza gazeta i tak ma już na swoim koncie kilka procesów z powodu publikacji opartych na niesprawdzonych informacjach.

– Ma się rozumieć – odparł spokojnie nieznajomy. – Przedstawię panu dowody. Umówimy się od razu na spotkanie czy chce pan jeszcze przemyśleć sprawę?

– Chciałbym zrozumieć, jaki pan ma w tym interes. Dlaczego proponuje pan informacje akurat naszej gazecie, a właściwie konkretnie mnie. I na co pan liczy w zamian?

– Zaraz panu wyjaśnię. To jedyna gazeta codzienna, która może rozpracować tak skomplikowaną sprawę. Oczywiście, w „Ścisłe Tajnym” czy „Kronice Kryminalnej” są specjaliści, którzy lepiej od pana zorientują się w materiale i przedstawią całą historię o wiele efektowniej, ale te pisma ukazują się raz na miesiąc. Czyli byłaby to już musztarda po obiedzie. Teraz co do mojego własnego interesu. Pracuję w organach bezpieczeństwa i nie jest mi obojętne, jak przebiega działalność agenturalno-operacyjna. Niestety, obecnie sprawy wyglądają nie najlepiej. W tej sytuacji chciałbym zrobić wszystko, żeby ukrócić ten proceder, na przykład zorganizować w mediach kampanię, która otworzyłaby wreszcie władzom oczy na fakt, że system wykrywania przestępstw i ścigania winnych po prostu się sypie.

To wydało się Baglukowi dość przekonujące. W każdym razie zetknął się już z ludźmi, którzy usiłowali forsować swoje racje za pomocą skandali prasowych. Co prawda, racje te zawsze miały charakter polityczny, a nie zawodowo-merytoryczny... Ale za to artykułik będzie można napisać, że paluszki lizać!

*

Jura Korotkow przychodził do pracy bardzo wcześnie. Atmosfera w domu była nie do wytrzymania, więc zwykle starał się wstać, zjeść śniadanie i wyjść, zanim żona się obudzi, żeby uniknąć kolejnej awantury i nie psuć sobie nastroju na resztę dnia. Dzisiaj także zjawił się na Pietrowce bardzo wcześnie, już za kwadrans ósma siedział w gabinecie, który dzielił z Kolą Siełujanowem, i przepisywał na czysto informacje, które zdołał zebrać wczoraj. Notował je na różnych świstkach, bazgrał na pudełkach od papierosów, papierkach od cukierków i innych podobnych „nośnikach informacji”.

Dziesięć po ósmej zabręczał dzwonek telefonu wewnętrznego.

– Juriju Wiktorowiczu – rozległ się głos Mielnika – proszę do mnie.

Korotkow ze zdziwieniem spojrzął na zegarek i udał się do szefa. Władimir Borisowicz powitał go lodowatym milczeniem. Rzucił tylko na długi stół konferencyjny jakąś gazetę i stanął pod oknem, odwrócony od Korotkowa plecami. Jura wziął ją ze stołu, przebiegł wzrokiem tytuły, aż natknął się na jeden, zakreślony jadowicie zielonym markerem: *Zwłoki na śmietniku*. Artykuł był spory, zajmował cały dół drugiej kolumny. Początek brzmiał bardzo efektownie.

„Powiedział mi: «Wiem, że to ty zabiłeś. Być może nie potrafię tego udowodnić, ale i tak wiem to z całą pewnością...».

Doskonałe ujęcie sprawy, nieprawdaż? Macie państwo przed sobą spisane z taśmy zeznanie, w którym pewien młody człowiek imieniem Nikita przyznaje się do dokonania zabójstwa na Dworcu Paweleckim w 1995 roku. Jego nazwiska na razie nie wymienimy. Młodzieniec ów znalazł się od razu w orbicie zainteresowań wydziału kryminalnego, został zatrzymany i przez blisko miesiąc intensywnie go przesłuchiowano. Nie dość tego, gdyż – jak to już wiemy – pracownicy milicji byli przekonani, że właśnie on jest zabójcą. Wiedzieli to z całą pewnością. Wiedzieli i... wypuścili Nikitę.

Jakże to? – zapytacie. Dlaczego to zrobili, skoro mieli pewność, że jest winien? Czyżby Nikita był sprytnym mafiosem, który potrafił wszystkich przekupić? Nie. Był najzwyczajszym młodym człowiekiem, związanym wprawdzie z pewną grupą o charakterze przestępczym, stanowiącą jednak zaledwie margines środowiska kryminalnego. A może miał wpływowych rodziców, którzy zdecydowali się wywrzeć odpowiedni nacisk w duchu tak dobrze znanej tradycji: «Pan nie wie, kto ja jestem...»? I znów odpowiedź brzmi: nie. Matka Nikity jest lekarką w poradni dziecięcej, a ojciec dawno nie żyje. A więc co się stało? W jaki sposób Nikita znalazł się na wolności?

Odpowiedź jest prosta. Nikitę zwerbowano. Milicjanci udali, że nie mogą znaleźć dowodów jego winy, nie ujawnili ich podczas śledztwa i wypuścili zabójcę na wolność. W zamian zyskali informatora, który na bieżąco donosił im, co się dzieje wewnątrz grupy przestępczej, do której sam należał. Widzicie państwo, jakie to proste?

Nikita uczciwie spełniał swoje obowiązki, pracował w pocie czoła. Stopniowo grupa niejakiego Usojewa (bo właśnie do niej należał) zaczęła się rozpadać. Niektórych jej członków łapano przy jakichś drobnych wykroczeniach na gorącym uczynku. W grupie zaczęły się kłótnie, nastąpił rozłam, zwarty kolektyw słabł z dnia na dzień, aż w końcu, po upływie kilku miesięcy, władzę nad grupą przejął nowy szef, o większym autorytecie i wpływach. W nowej «rodzinie» nie znalazło się miejsce dla Nikity, a co za tym idzie, przestał być użyteczny dla milicji. Skoro nie można już było wyciągnąć od niego żadnych informacji, po co miał się plątać pod nogami? Milicja posłała go do wszystkich diabłów.

I nie byłoby w tym nic złego, gdyby jej czarna niewdzięczność ograniczyła się do utraty zainteresowania Nikitą. Na tym jednak nie koniec. Nie zatroszczono się nawet o

to, by fakt współpracy Nikity z wydziałem kryminalnym pozostał objęty tajemnicą. Zrozumiałe więc, że wiadomość dotarła, gdzie należy. W środowisku przestępczym zdrady się nie wybacza, to coś całkiem innego niż skok w bok męża czy żony. Nikita zaniepokoił się, czuł, że wokół niego robi się gorąco. I gorączkowo zaczął szukać pomocy. Do kogo się po nią zwrócił? A kogóż by miał prosić o radę i ochronę, jeśli nie owego oficera operacyjnego, dla którego pracował i któremu przekazywał informacje? W naszym posiadaniu jest kasetka z zapisem rozmowy, dzięki której pewne sprawy staną się dla czytelnika bardziej zrozumiałe.

– Halo, chciałbym mówić z Jurijem Wiktorowiczem.

– Słucham.

– Moje nazwisko Mamontow. Nikita Mamontow. Pamięta mnie pan?

Z wahaniem:

– Nie, nie przypominam sobie.

– Zabójstwo na Dworcu Paweleckim. No jak to, Juriju Wiktorowiczu... Dał mi pan przecież swoje numery telefonów, żebym w razie czego dzwonił.

– A, tak, pamiętam. O co chodzi?

– Muszę się z panem zobaczyć.

– Po co?

– To bardzo ważne. Proszę... Nie chcę o tym mówić przez telefon. Mam naprawdę ważną sprawę.

– Dobrze, wobec tego o wpół do dwunastej, stacja metra Czertanowska. Może być? Na wysokości ostatniego wagonu, koło kiosku loterii. Zrozumiałeś?

– Tak. Dziękuję panu...

Jak widzisz, drogi czytelniku, pracownik sekcji zabójstw wydziału kryminalnego, zwany Jurijem Wiktorowiczem, wcale się nie kwapił do spotkania ze swoim bezużytecznym już informatorem. Mało tego, próbował nawet udawać, że w ogóle Nikity Mamontowa nie zna i nie pamięta. Nikita, czując, że zagrożenie jest coraz bliżej, nie prosi o spotkanie, lecz nalega, błaga o nie niemal z płaczem, jego szef z milicji natomiast cedzi słowa przez zęby, by w końcu łaskawie się zgodzić.

Ot, taka sobie zwykła historyjka. Tyle że za chwilę, kochani czytelnicy, już za chwilę, przestanie być zwykła, jako że Nikitę znaleziono martwego. W jego własnym mieszkaniu. Jeszcze tego samego dnia. Komuś najwidoczniej bardzo się nie spodobało, że chciał się on spotkać z funkcjonariuszem organów ścigania. A może było to nie w smak samemu Jurijowi Wiktorowiczowi? Z pewnością nieprzypadkowo to on pierwszy znalazł się przy zwłokach swego byłego informatora. Informatora, który teraz stał się bezużyteczny, ale zbyt dużo wiedział...”.

Tyle, jeśli idzie o fakty; w dalszej części artykułu znalazł się wysoce emocjonalny komentarz autora, rozdzierającego szaty nad tym, jaka to milicja jest zła, bo nie chroni swoich informatorów, którzy ryzykują życie, pomagając w wykrywaniu przestępstw. Tekst zawierał mnóstwo zawoalowanych sugestii, że w eliminowaniu wykorzystanych

i niepotrzebnych już agentów zainteresowani są sami przedstawiciele organów ścigania, nie tylko środowiska przestępcze. Korotkow raz jeszcze rzucił okiem na miejsce w artykule, gdzie została przytoczona jego rozmowa telefoniczna z Mamontowem. Tak, wszystko się zgadzało, słowo w słowo. Czyżby Nikita dzwonił do niego na czyjeś polecenie z aparatu telefonicznego, w którym zamontowano podsłuch?

– Czekam na pańskie wyjaśnienia.

Głos Mielnika był zimny jak lód i zgrzytliwy niczym stary, zardzewiały nóż.

– Nie potrafię tego wyjaśnić.

– W ogóle? Nie ma mi pan nic do powiedzenia?

– Nie rozumiem, jak do tego doszło. Ale mogę przekazać panu to, co wiem.

– Nie rozumie pan? – Mielnik podniósł głos. – Pański informator zostaje rozszyfrowany, Juriju Wiktorowiczu, właśnie pański, a pan nie wie, jak do tego doszło? Proszę mi powiedzieć, jeśli łaska, kto jeszcze oprócz pana mógł znać jego nazwisko?

– Jest pan w błędzie. – Jura starał się mówić spokojnie, choć niezbyt dobrze mu to wychodziło. – Nikita Mamontow nigdy nie był moim informatorem. Nie pracował dla mnie.

– Juriju Wiktorowiczu, sam pan doskonale rozumie, że to gołosłowne twierdzenie. Mogę naturalnie sprawdzić wszystkie pańskie dokumenty, dotyczące siatki informatorów, ale jeśli nie znajdę tam nazwiska Mamontowa, to wcale jeszcze nie będzie znaczyło, że z panem nie współpracował. Ani pan, ani ja nie urodziliśmy się wczoraj i świetnie wiemy, ilu nieformalnych informatorów zatrudniają oficerowie operacyjni. Może jeszcze raz wspólnie przejrzymy artykuł. Pracował pan z Mamontowem w dziewięćdziesiątym piątym?

– Tak jest.

– Rzeczywiście był pan przekonany o jego winie?

– Tak.

– Więc dlaczego nie znalazł pan dowodów?

– Wszystko rozbijało się tam o zeznania świadków. Popracowali nad nimi skutecznie ludzie Usojewa, tak że nic nie mogliśmy zdziałać. Z punktu widzenia kryminalistyki była to zbrodnia dokonana. Proszę sobie wyobrazić tę sytuację: tłum pasażerów, którzy wysiedli z pociągu, rusza peronem w kierunku wyjścia, a z przeciwnej strony napiera taka sama masa ludzka, gdyż na sąsiedni tor podstawiono właśnie pociąg podmiejski, który za chwilę ma odjechać. W takich warunkach znalezienie jakichkolwiek śladów, przydatnych do identyfikacji, jest po prostu niemożliwe. Oskarżenie mogłoby się opierać jedynie na zeznaniach świadków.

– Tak, rozumiem. Więc wypuścił pan Mamontowa?

– Nie ja, tylko śledczy. To już nie była moja sprawa.

– O tyle pańska, że nie potrafił pan znaleźć sposobu, żeby udowodnić mu winę.

Czy to prawda, że mówił pan Mamontowowi, iż jest pan przekonany, że to on dokonał

zabójstwa, czy też chodzi tu jedynie o dziennikarski blef, któremu Mamontow nie może już teraz zaprzeczyć?

– Tak, towarzyszu pułkowniku, mówiłem to Nikicie. Niegłupi chłopak, tylko słaby. Podczas przesłuchań trudno go było zbić z tropu i przyłapać na kłamstwie, proszę mi wierzyć, miałem z nim wtedy do czynienia blisko miesiąc. Próbowałem go złamać, twierdząc, że i tak jesteśmy przekonani o jego winie, ale, niestety, ten numer nie wyszedł. Mamontow trzymał się twardo do końca.

– Co było dalej? Zwerbował go pan jeszcze przed zwolnieniem, czy później?

– Władimirze Borisowiczu, zapewniam, że nie werbowałem Mamontowa. Daję panu na to słowo honoru.

– Tak? A dlaczegoż to? Przecież sam pan powiedział, że był niegłupi, choć słaby. Takim osobnikom zwykle ciąży przynależność do struktur przestępczych, źle ją znoszą i chętnie idą na współpracę z nami. Czemu więc nie skorzystał pan z okazji?

Takiego obrotu sprawy Jurij nie oczekiwał. Dlaczego nie zrobił Nikity Mamontowa swoim informatorem? Ależ dlatego, że Mamontow w ogóle się do tej roli nie nadawał. Jurze nie przyszło wówczas nawet do głowy, żeby chłopaka wciągać do współpracy. Tchórzliwy, mało odporny na ból, wygada się natychmiast przed każdym, kto tylko podniesie na niego rękę. Cóż z takiego faceta za informator? Śmiechu warte.

– Mamontow nie nadawał się do zwerbowania ze względów psychologicznych – odparł.

– Przypuśćmy, że tak – zgodził się Mielnik. – Co było dalej?

– Nie wiem. – Korotkow wrzucił ramionami. – Zawieszono dochodzenie ze względu na brak winnego, którego można by pociągnąć do odpowiedzialności karnej. Mamontow został zwolniony. Więcej go nie widziałem.

– Więc czym należy tłumaczyć fakt, że trzy dni temu do pana zadzwonił?

– Nie wiem.

– Zapis waszej rozmowy telefonicznej jest prawdziwy?

– Prawdziwy.

– Może pan to jakoś wytłumaczyć?

– Nie, towarzyszu pułkowniku, nie mogę. Mogę tylko przypuszczać, że Nikita dzwonił z aparatu z wmontowaną pluskwą.

– Bardzo wnikliwy wniosek.

Mielnik milczał chwilę, spoglądając gdzieś w bok, po czym podniósł na Jurę jasne oczy o przenikliwym spojrzeniu.

– Co panu powiedział Mamontow?

– To, co pan przeczytał w gazecie, Władimirze Borisowiczu. Rozmowę przytoczono w całości.

– Niech pan nie robi ze mnie idioty! – wybuchnął Mielnik.

– Pytam, co panu powiedział Mamontow podczas spotkania. Co się stało? Dlaczego do pana dzwonił?

– Nie widzieliśmy się.

– A to czemu?

– Nie wiem. Byliśmy umówieni o wpół do dwunastej na stacji metra Czertanowska. Mamontow nie przyszedł na spotkanie.

– To może pan opowiadać swojej cioci. Mnie, z łaski swojej, proszę opisać, jak się spotkaliście i co Mamontow panu mówił.

– Władimirze Borisowiczu, daję panu słowo honoru, że nie widziałem się z Mamontowem.

– A co pan robił w pobliżu jego mieszkania w chwili zabójstwa?

A niech to, zaklął w duchu Korotkow, teraz wszystko będzie obracał przeciwko mnie. Trzeba przyznać, bez dwóch zdań, że nowy szef potrafi rozwiązać człowiekowi język. Proszę, jak to zgrabnie ujął: co pan robił w pobliżu jego mieszkania w chwili zabójstwa? Trzeba starannie przemyśleć odpowiedź, bo inaczej zaraz się przyczepi: a skąd pan wie, kiedy doszło do zabójstwa?

– Pojechałem do Mamontowa do domu, żeby sprawdzić, co się stało i dlaczego nie stawiał się na spotkanie.

– Skąd tyle troski?

– Zdawałem sobie przecież sprawę, że nie zadzwonił ot, tak. Z pewnością wydarzyło się coś ważnego, skoro przypomniał sobie o mnie. Zachowałbym się nieprofesjonalnie, lekceważąc to. Sprawdziłem adres Mamontowa, załatwiłem swoje sprawy w Czertanowie i dopiero potem pojechałem do Otradnego. Najpierw długo dzwoniłem do mieszkania, potem odkryłem, że drzwi nie są zamknięte.

– I oczywiście wszedł pan do środka – z nieukrywaną złością dokończył Mielnik.

– Zostawił pan tam odciski palców i teraz już nigdy w życiu nie udowodni pan, że zjawił się pan w mieszkaniu w jakiś czas po zabójstwie, a nie w momencie dokonywania przestępstwa.

– Nic podobnego – zaprzeczył stanowczo Korotkow. – Nie wchodziłem do mieszkania. Moich odcisków tam nie ma i być nie może.

Mielnik podniósł na niego oczy, których spojrzenie w jednej chwili stało się cieplejsze.

– To prawda? Nie wchodził pan tam?

– Nie wchodziłem. Władimirze Borisowiczu, sam pan przecież powiedział, że nie urodziliśmy się wczoraj. To pułapka stara jak świat, wstyd po prostu byłoby w nią wpaść.

– No to chwała Bogu!

Mielnik zdawał się tym tak uradowany, że Korotkow, choć złość w nim jeszcze kipiała, nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– Dobrze, Juriju Wiktorowiczu, podejrzenie o zabójstwo Nikity Mamontowa na razie odrzucamy. Ale pozostaje sprawa rozszyfrowania informatora. Musimy postawić wszystkie kropki nad „i”. Mamontow był pańskim informatorem, to dla mnie nie

ulega kwestii i niech pan nie próbuje mnie oszukiwać. A ponieważ pracował dla pana, na panu właśnie spoczywa cały ciężar winy i odpowiedzialności za jego rozszyfrowanie. To sytuacja, która nie powinna się zdarzyć. Musimy wdrożyć wobec pana wewnętrzne śledztwo. Trzeba wyjaśnić, w jaki sposób informacja o pańskich kontaktach z Mamontowem dotarła do zabójców, a następnie do dziennikarza. Tego, no, jak mu tam... – Mielnik wziął gazetę i szybko rzucił okiem na podpis pod artykułem. – Bagluka. Znalazł się pan w bardzo trudnej sytuacji, majorze Korotkow, i trudno mi sobie nawet wyobrazić, jak pan się z niej wyplącie. Całkiem niedawno nasz minister po raz kolejny zwrócił uwagę na niedopuszczalne zaniedbania w pracy z tajnymi współpracownikami, a zwłaszcza podkreślił, że prowadzi to do dekonspiracji osób powiązanych w taki czy inny sposób z organami ścigania. Jeśli doszło do najmniejszego choćby zaniedbania z pańskiej strony, zostanie pan ukarany, i to z całą surowością. Może pan odejść.

Jura automatycznie zrobił w tył zwrot, wyszedł z gabinetu i ruszył długim korytarzem. Nic z tego nie rozumiał. Wszystko, co mówił Mielnik, było merytorycznie słuszne i całkowicie logiczne. Oprócz jednego: Nikita Mamontow nigdy nie pracował dla Korotkova. Może zwerbował go kto inny? Na przykład ktoś z podsekcji do zwalczania przestępczości zorganizowanej, jako że chłopak należał do niegroźnej, ale jednak grupy przestępczej. Istotne wszakże było zupełnie co innego. A mianowicie początek tego cholernego artykułu. Dlaczego Mielnik nic nie wspomniał na ten temat? Czyżby nie zauważył?

„No to wpadłeś, Korotkow” – pomyślał Jura, otwierając drzwi swojego gabinetu.

ROZDZIAŁ 3

O dziesiątej, zebrawszy pracowników na codziennej porannej odprawie, Mielnik oznajmił:

– Dzisiaj wasz dawny szef będzie mi przekazywał sprawy o charakterze tajnym. Proszę, żeby po szesnastej wszyscy byli na miejscu. Chcę sprawdzić wasze rachunki osobiste.

Oficerowie operacyjni powitali to oświadczenie ciężkim westchnieniem. Rozumieli, że to konieczne, ale musieli zmieniać plany na cały dzień. Wszystkie sprawy tajne, które prowadzili pracownicy zespołu operacyjnego, były rozliczane ogólnie, w ramach sekcji, a ściślej biorąc „firmował” je szef, pułkownik Gordiejew. Materiały wszakże znajdowały się w sejfach poszczególnych oficerów, wraz ze specjalnym blankietem zwanym „rachunkiem osobistym”, na którym wpisywało się liczbę spraw i ich aktualny stan. Odchodząc ze swego stanowiska, Wiktor Aleksiejewicz musiał przekazać sprawy tajne swojemu następcy, a dalej wszystko już zależało właśnie od niego. Mógł przejąć wszystko na słowo honoru, czyli wziąć od Gordiejewa spis, udać, że się z nim zapoznaje, złożyć podpis potwierdzający, że go otrzymał, i schować papiery do sejfu. Ale mógł też zażądać, by wszystkie wymienione w spisie sprawy zostały mu przedstawione do wglądu. Mielnik, jak widać, wybrał ten właśnie wariant. Cała ta procedura była ogromnie czasochłonna, gdyż w sejfach pracowników znajdowało się mnóstwo teczek z tego rodzaju materiałami. Jeśli winnych przestępstwa nie udaje się wykryć, śledczy wnosi o zawieszenie dochodzenia i sprawa po prostu trafia do archiwum. Zupełnie inaczej rzecz się ma, jeśli chodzi o oficerów operacyjnych. Praca nad nierozwiązanymi sprawami trwa nadal, wywiadowcy wciąż obmyślają nowe sposoby jej rozgryzienia, na ile starcza im sił, czasu i wyobraźni, a szef nieustannie ich kontroluje – czy aby przypadkiem nie zapomnieli, że sprawcy zabójstwa sprzed pięciu lat, dotychczas nieujęci, znajdują się na wolności.

I ciągną się te działania operacyjne bez końca, do usranej śmierci, a raczej albo do chwili wykrycia winnych przestępstwa, albo też do upływu terminu przedawnienia konkretnej sprawy. A w wypadku zabójstw terminy te są bardzo długie. Liczą się w dziesiątkach lat. Można więc sobie wyobrazić, ile teczek z takimi sprawami leży w sejfach oficerów operacyjnych...

Ale jak mus to mus, trzeba będzie pokazać je wszystkie Panisku. Dobrze jeszcze, jeśli ten rzuci tylko okiem na teczki, upewni się, że materiały są, nie zaginęły, i da sobie spokój. Gorzej, jeśli zechce się z nimi szczegółowo zapoznać. Sprawdzić, czy

jego podwładni równie sumiennie zajmują się nie tylko sprawami bieżącymi, lecz i dawnymi. A zatem materiały powinny być w absolutnym porządku. Dlatego też w ten śnieżny styczniowy dzień pracownicy sekcji zabójstw, zgrzytając zębami ze złości, odłożyli wszelkie, nawet najpilniejsze sprawy, i zajęli się papierową robotą.

O wpół do piątej teczki znalazły się w gabinecie Mielnika, który z miłym uśmiechem poinformował:

– Zapoznam się ze wszystkimi materiałami, a potem zwołam specjalną naradę w tej sprawie. Jesteście wolni.

Pracownicy rozeszli się do swoich zajęć, usiłując przynajmniej częściowo wykorzystać dzień, w większości stracony na nieprzewidziane porządkowanie teczek. Wciąż jeszcze utykając, Kola Siełujanow zaszedł do Nasti i już od progu zaczął się uskarżać na przeciwności losu.

– No co się dzieje, Aśka, do cholery, powiedz sama! Odkąd się zaczęła zła passa tamtym wypadkiem w listopadzie, tak trwa do dzisiaj. Mamy już nowy rok, a ona mnie nie opuszcza niczym wierna żona. Samochód odstawiłem do serwisu, obiecali zrobić na połowę grudnia, ale do tej pory nie jest gotowy, no i muszę kuśtykać po całym mieście na swojej przetrąconej nodze. Miałem zamiar pojechać dzisiaj do Federacji Koszykówki, tak jak chciałaś, no i proszę, Mielnikowi zachciało się sprawdzianu.

– Daj spokój, pojedziesz jutro – próbowała go ułagodzić Nastia.

– Dobrze ci mówić, na jutro mam akurat całkiem inne plany. Po drugie, Aśka, nie zapominaj, że nasz dusiciel to seryjny morderca, psychopata. Może w czasie kiedy my się tu grzebiemy w starych, zakurzonych teczkach, odwalając papierkową robotę, jego znów coś najdzie i sprokuruje ósmą ofiarę?

Nikołaj miał oczywiście rację. Praca nad zabójstwem, którego sprawca morduje konkretną, wybraną osobę z określonych powodów, zasadniczo różni się od działań mających na celu schwytywanie mordercy-maniaka. W pierwszym wypadku, gdy zabójca dokona już swego dzieła, dalsze jego postępowanie zmierza tylko do tego, by nie pozwolić się złapać i nie dać udowodnić sobie winy, maniakalny morderca natomiast nie zadowolona się osiągniętym już celem, lecz nadal zabija, atakując w określonych odstępach czasu, dopóki nie zostanie schwytyany na gorącym uczynku. Dlatego każdy dzień zwłoki groził nowym zabójstwem. Słabe pocieszenie stanowił jedynie fakt, że siedmiu seryjnych morderstw dokonano w ciągu dość krótkiego czasu, między 13 a 24 grudnia, a więc od znalezienia ostatniej ofiary minęło już ponad dwa tygodnie. Innymi słowy, można było mieć nadzieję, że zabójca, jeśli rzeczywiście jest człowiekiem psychicznie chorym, ma już za sobą zaostrzenie choroby, wrócił do równowagi i w najbliższej przewidywalnej przyszłości nikogo nie zaatakuje. Jednak z ludźmi chorymi psychicznie nigdy nic nie wiadomo na pewno...

– Jak tam twoje złamania? – spytała Nastia.

– Bolał – westchnął Kola. – Zwłaszcza na zmianę pogody. Nie wiesz, jak długo

jeszcze będę się tak męczył?

– Całe życie. – Nastia uśmiechnęła się. – Może ból nie będzie tak silny, ale całkiem nigdy nie minie. Tak że bądź na to przygotowany.

– A toś mnie pocieszyła! No dobra, skoro dzisiaj nie udało mi się wybrać do tych koszykarzy, podszlifujmy trochę legendę. Jakoś nie bardzo mi ona leży. Jaki ze mnie dziennikarz, no, powiedz sama. Na czole mam wypisane, że nie potrafię trzech zdań z sensem sklecić.

– No więc niech to będzie nie dziennikarz, tylko pracownik naukowy. Na przykład, psycholog społeczny albo specjalista z dziedziny psychologii klinicznej. Chociaż masz rację, Nikołasz, na pracownika naukowego też nie bardzo wyglądasz. Może mój pomysł nie jest tak dobry, jak mi się z początku wydawało.

– Nie, pomysł jest dobry, tylko wykonawca nie nadaje się do roli. A może by tak wysłać Miszkę?

– Wiesz – ożywiła się Nastia – chyba masz rację! Miszeńka z powodzeniem może ująć i za dziennikarza, i za naukowca, mola książkowego. Gdzie on jest? Nigdzie jeszcze nie poleciał?

Siełujanow zerwał się z krzesła i utykając, wybiegł z gabinetu. Po pięciu minutach wrócił w towarzystwie Miszy, wysokiego, czarnookiego i bardzo sympatycznego oficera operacyjnego, który odznaczał się dwiema zaletami: doskonale potrafił odświeżać pamięć świadków i ofiar oraz elegancko i modnie się ubierał; zawsze wyglądał jak z igły. Miał też jeszcze jedną osobliwą cechę, o której wiedzieli jednak tylko jego koledzy – otóż odczuwał dziwny lęk przed Nastią, w jej obecności czuł się straszliwie skrępowany i zwracał się do niej z szacunkiem per „pani”, mimo że pracowali razem od pięciu lat i Anastazja nieraz go prosiła, żeby mówił jej po imieniu.

Misza Docenko również zajmował się sprawą dusiciela, dlatego Siełujanow z czystym sumieniem przerzucał teraz na niego obowiązek wizyty w Federacji Koszykówki.

– Według jednej z naszych roboczych hipotez zabójcy należy szukać pośród kobiet bardzo wysokiego wzrostu. Może to być na przykład koszykarka. Ponieważ nie ma ich zbyt wiele, stanowią wąski krąg, w którym informacje szybko się rozchodzą. A jako że są to mimo wszystko kobiety, chociaż bardzo wysokie, można mieć nadzieję, że informacje owe długo nie pozostają tajemnicą. Dlatego nie wolno nam dopuścić, żeby zaczęło się gadanie o tym, że właśnie w tym środowisku szukamy seryjnej morderczynie. Lepiej od razu zamieścić o tym ogłoszenie w prasie, skutek będzie ten sam. Uzналиśmy we dwoje z Kolą, że najrozsądniej wybrać się do nich pod pretekstem zbierania materiałów do artykułu lub jakiejś pracy naukowej. Temat: model życia w sporcie i jego wpływ na model życia poza sportem. Rozumiesz?

– Niezupełnie – przyznał się Misza.

– Wobec tego wyjaśnię ci to szczegółowo. Ponieważ sportowcy często popadają w kryzysy psychiczne albo nerwowe, musimy zbadać, czy kryzysy te wiążą się z

modelem życia człowieka, który zajmuje się wielkim sportem, i czy ten model życia ma wpływ na to, jak taki człowiek radzi sobie później, kiedy już się wycofa z czynnego uprawiania swojej dyscypliny. Oraz czy rozstrój psychiczny lub nerwowy przeszkadza osiągać dobre wyniki w sporcie, czy na przykład schizofrenik albo psychopata może zostać mistrzem. I tak dalej, i tak dalej. Twoim zadaniem będzie uzyskać informacje o osobach, których przypadki potwierdzają tego rodzaju zależności.

– No dobra, rozumiem. A dokumenty?

– Masz, trzymaj. – Siełujanow wręczył mu legitymację dziennikarską, którą dostał dzisiaj rano i do której wklejono jego zdjęcie. – Idź do chłopaków, niech załatwią, żeby ją przepisali na ciebie. I poczytaj trochę, naucz się paru terminów fachowych, żebyś mógł uchodzić za specjalistę.

– Kola – z wyrzutem upomniała go Nastia – miejże sumienie.

– Ależ Anastazjo Pawłowno – uśmiechnął się promiennie Docenko. – To pani się boję, z Kolą nie będę się patyczkował. Po prostu w pani obecności czuję się skrępowany i robię kulturalne miny.

Misza poszedł przerobić legitymację dziennikarską, która potwierdzała, że jest on pracownikiem pewnego mało znanego pisma. Kiedyś jego redaktor naczelny został napadnięty i silnie poturbowany, ale – trzeba mu to przyznać – choć nie potrafił stawić oporu napastnikom, umiał okazać dość przytomności umysłu, by zapamiętać ich wygląd, ubiór oraz sposób mówienia, i to tak dokładnie, że napastników ujęto w ciągu doby, a skradzione pieniądze i przedmioty wróciły do właściciela. Od tej pory redaktor czuł się dozgonnym dłużnikiem wywiadowców z Pietrowki i zgodnie z cichą umową zawsze pozwalał im posługiwać się legitymacjami służbowymi pracowników swego pisma, solennie potwierdzając tożsamość samozwańczych żurnalistów, jeśli jakimś niedowiarkowi przyszło do głowy ją sprawdzić.

Do siódmej Nastia przesiedziała w pracy, rozmyślając nie tyle o przestępcach i ich ofiarach, ile o tym, że dziś wieczorem jej mąż leci na prawie trzy miesiące do Stanów. Po długich sporach i niekończących się podliczaniach ich skąpych zasobów finansowych udało się jej namówić męża, by przyjął zaproszenie Stanford University, gdzie miał wygłosić cykl wykładów z dziedziny wyższej matematyki. Amerykanie płacili więcej niż przyzwoicie, można by więc wreszcie wyremontować mieszkanie i zrobić najpilniejsze zakupy, z którymi doprawdy trudno było dłużej zwlekać.

Losza miał przyjechać po nią kwadrans po siódmej i punktualnie o tej porze Nastia stała na ulicy obok wejścia na portiernię, zastanawiając się, czy przyjdzie jej tu marznąć tylko piętnaście minut, czy też pół godziny. Losza – przy wszystkich swoich niewątpliwych zaletach – spóźniał się wszędzie i zawsze, i można było uważać za wielki sukces, jeśli w ogóle zjawiał się na miejscu spotkania, a nie czekał gdzieś na drugim końcu miasta, kolejny raz wszystko poplątawszy. Na przykład Czertanowo z Czerkizowem, Biriulewo z Bibiriewem czy Szosę Dmitrowską z Wielką Dmitrowką.

Nastia starała się brać pod uwagę tę jego osobliwą skłonność i nie wyznaczać mu spotkań w miejscach o „ryzykownych” nazwach, ale niekiedy i ona, choć znała Aleksieja już dwadzieścia lat, nie była w stanie przewidzieć absolutnie fantastycznych meandrów jego skojarzeń myślowych. Prywatnym rekordem Aleksieja Czistiakowa stało się dwugodzinne oczekiwanie kogoś przy stacji metra Rzymska, podczas gdy miejscem umówionego spotkania miała być stacja Praska. „Przepraszam – tłumaczył się potem – bardzo przepraszam, pamiętałem, że chodzi o jakąś stolicę europejską”.

Na szczęście miejsca pracy Nasti Losza nie mógł raczej z niczym pomylić, pozostawała więc nadzieja, że spóźnienie jest jedynie wynikiem jego roztargnienia, braku poczucia czasu i nieuwzględniania takich przeszkód, jak korki na jezdniach. I tak właśnie było. Mąż Nasti spóźnił się zaledwie o dwadzieścia minut, co – wzięwszy pod uwagę opisaną wyżej osobliwość jego charakteru – można w zasadzie uznać za przybycie punktualne. Kiedy Nastia zobaczyła, że Aleksiej przyjechał własnym samochodem, zirytowała się nie na żarty. Była przekonana, że na lotnisko podrzuci ich któryś z przyjaciół czy krewnych, a Losza zostawi swój wóz w garażu przy domu rodziców. Tymczasem okazało się, że to ona sama będzie musiała prowadzić z lotniska do domu, a potem jeszcze się martwić, co dalej z samochodem.

– Loszka, no powiedz, dlaczego... – zaczęła przygnębiona Nastia, wchodząc do nagrzanego wozu.

– Nie marudź – przerwał jej energicznie mąż. – Przyzwyczajaj się do życia automobilisty. Jak wrócę, kupię ci samochód.

– A na diabła mi on potrzebny! – zdenerwowała się Nastia. – Wiesz, że nie znoszę prowadzić. I w ogóle boję się samochodów. Metro całkowicie mi wystarczy. Jadę sobie i jeszcze po drodze czytam książkę. O nic się nie muszę martwić. Jeżeli ci tak dużo zapłaca, kup lepiej sobie nowy wózek, bo w tym się ledwie mieścisz, siedzisz z kolanami pod brodą, aż żal patrzeć, zgięty we dwoje.

– Dobrze – rzekł Losza pojednawczo – jak przyjadę, obgadamy sprawę.

– Dobryś sobie! A ciekawa jestem, co mam zrobić z tym samochodem? Nie spać po nocach ze strachu, że go ukradną? Bo jeździć nim tak czy owak nie będę.

– No dobrze, jeżeli nie będziesz, to odstaw go do moich staruszków do garażu. Asieńko, nie złość się, miałem dziś takie urwanie głowy, że naprawdę nie zdążyłem tego zrobić. Sama wiesz, że przed wyjazdem zawsze coś niespodziewanie wyskoczy, jakaś niezłałatwiona sprawa.

– W porządku, odstawię – łagodniejszym tonem odezwała się Nastia.

Na Szeriemietiewo przyjechali punktualnie, właśnie ogłoszono przez megafon, że zaczyna się odprawa pasażerów odlatujących do Stanów. Ale kolejka oczekujących była już bardzo długa.

– Może nie warto, żebyś czekała? – zapytał niepewnie Aleksiej. – Popatrz tylko, jaki tłum. Pożegnajmy się i jedź do domu.

– Co to, to nie – zaśmiała się Nastia. – Muszę się na własne oczy przekonać, że

przeszedłeś kontrolę celną.

– A po co? – zdziwił się Aleksiej. – Nie spodziewam się żadnych nieprzyjemnych niespodzianek.

– Nigdy nic nie wiadomo. Nie było mnie przy tym, jak pakowałeś walizkę. Znam cię, słoneczko, wiem, co potrafisz.

– No, co na przykład?

– Na przykład, czy zabrałeś ze sobą spirytusowy tonik przeciw uczuleniom?

– Oczywiście, nie ruszam się bez niego. Gdybym użył innej wody, momentalnie by mnie obsypało.

– A tabletki przeciwalergiczne?

– Naturalnie. Nie obawiaj się, z leków niczego nie zapomniałem.

– To ty się powinieneś obawiać, kolego, ponieważ celnik z pewnością cię zapyta, co jest w buteleczce, i każe ci ją wyjąć i otworzyć. A jak cię znam, położyłeś ją na samym dnie walizki. I na oczach zdumionej publiczności będziesz grzebał w rzeczach i wstrzymywał całą kolejkę. A w walizce wszystko zostanie przewrócone do góry nogami. Więc póki jeszcze jest czas, odejdz na bok i przepakuj ją, tak żeby te rzeczy, które mogą budzić wątpliwości, leżały na samym wierzchu. Notatki do wykładów też tam połącz, celnicy czasami sprawdzają, czy nie wywozi się jakichś tajnych materiałów. Idź, idź, przepakuj bagaż, a ja ci zajmę miejsce.

Aleksiej oddalił się, ciągnąc za sobą walizkę na kółkach, Nastia zaś stanęła w kolejce do odprawy, zapaliła i z nikłym zainteresowaniem zaczęła obserwować odlatujących i odprowadzających. Udało jej się podzielić wszystkich w długiej kolejce na kilka grup według ubrania, wyrazu twarzy i ilości bagaży: tych, którzy wybierali się w odwiedziny, tych, którzy z nich wracali, a także tych, co lecieli do Stanów służbowo lub przyjechali właśnie z podróży w interesach. Nastia próbowała postawić się na ich miejscu i ze zdziwieniem stwierdziła, że nie ma najmniejszej ochoty dokądkolwiek wyruszać. W ogóle była strasznym leniem i najbardziej na świecie lubiła dwa miejsca – kanapę we własnym mieszkaniu i swój służbowy gabinet. A co się tyczy dalekich podróży, trzeba by Bóg wie jakich szczególnych okoliczności, żeby się ruszyła. Ze służbowego wyjazdu do Włoch pozostały jej miłe wspomnienia, ale więcej nigdzie za granicą nie była. Oczywiście, chętnie by zobaczyła Paryż, zamki nad Loarą, Wenecję, Florencję czy Wiedeń... ale tylko wówczas, gdyby można było to zrobić, nie ruszając się z kanapy!

Kiedy Czistiakow wrócił, Nastia była w połowie kolejki do majaczącego w oddali stanowiska kontroli celnej.

– No! Zrobiłem, jak kazałaś – zameldował mąż. – Teraz już nie ma sensu, żebyś czekała. Idź, Asieńko, jest dziesiąta, i tak do domu dotrzesz dopiero koło jedenastej.

– Nie, poczekam – sprzeciwiła się. – Jeszcze różne rzeczy mogą się zdarzyć. Może trzeba będzie ci pomóc. Pół godziny w tył czy w przód nie gra roli.

– Na dworze jest minus dwadzieścia stopni – przekonywał żonę Aleksiej. – Silnik

zamarznie, stracisz kupę czasu, żeby go rozgrzać, zanim ruszysz. Im dłużej wóz będzie stał na mrozie, tym będzie gorzej... No, Asiu...

– Nie. Nie wyrzucisz mnie, Czistiakow. Chyba że masz pożegnalne spotkanie z jakąś damą?

– Cała ty! – Aleksiej z rezygnacją machnął ręką. – Nie można cię przegadać. Twój upór jest silniejszy od ciebie.

– Znowu wszystko pokręciłeś – zaśmiała się Nastia. – Nie upór, tylko lenistwo.

Kolejka nagle zaczęła się posuwać o wiele szybciej; nie minęło dziesięć minut, a Aleksiej już podawał celnikowi paszport, deklarację i pozwolenie na wywóz dewiz. Nastia miała rację, czujny funkcjonariusz zwrócił uwagę na buteleczkę z tonikiem, polecił wyjąć ją z walizki i otworzyć. Losza przez ramię rzucił zdumione spojrzenie żonie. Nastia mrugnęła do niego w odpowiedzi.

– Dlaczego obrączka nie została wpisana do deklaracji? – zapytał surowo celnik.

Nastia skarciła się w duchu. No cóż, nie dopilnowała – i znowu wpadka. Loszka oczywiście wpisał, że nie wiezie żadnych wyrobów z metali szlachetnych. O obrączce naturalnie zupełnie zapomniał.

– Przecież to obrączka ślubna – odpowiedział speszony.

– Ale złota – rzekł z naciskiem funkcjonariusz. – Albo wpisze ją pan do deklaracji, albo proszę oddać odprowadzającym.

Nastia zrobiła krok w stronę barierki stanowiska i dotknęła ramienia męża.

– Losza, daj mi obrączkę.

Czistiakow odwrócił się i rzucił jej piorunujące spojrzenie.

– Wpiszę ją do deklaracji.

Nastia cofnęła się. Ależ z niej idiotka! Jak w ogóle mogła pomyśleć, że Loszka zdejmie z palca obrączkę! Nie zrobiłby tego za nic na świecie. Zbyt dobrze знаła swojego męża i wiedziała, że obrączki ślubnej nie dałby sobie odebrać nawet za cenę życia. Profesor matematyki, trochę oschły, czasem wręcz denerwująco logiczny, bywał niekiedy zaskakująco sentymentalny, zwłaszcza w kwestii swojego małżeństwa. Tak długo czekał na Nastię, tak długo namawiał ją, by za niego wyszła, że teraz obrączka na palcu stała się dla niego symbolem i jednocześnie talizmanem, z którym w żadnych okolicznościach nie potrafił się rozstać.

Celnik przystawił pieczętki w uzupełnionej deklaracji i zwrócił Loszy dokumenty. Czistiakow chwycił walizkę, zrobił parę kroków do przodu, odwrócił się, odnalazł wzrokiem Nastię i pomachał do niej. Ona zrobiła to samo. „No i w porządku, niemal bez żadnych przygód” – pomyślała z ulgą.

Przepowiednia męża się sprawdziła. Silnik zamarzł tak, jakby wóz stał na mrozie co najmniej tydzień. Ale Nastia Kamieńska potrafiła nie irytować się i nie złościć z powodu okoliczności, na które nie miała wpływu. Dlatego też cierpliwie rozgrzewała silnik, wróciwszy jednocześnie myślami do dusiciela psychopaty, który w ciągu dwóch tygodni zamordował siedem osób. I im dłużej o tym myślała, tym silniejsze

stawało się jej przekonanie, że to jednak nie ON, tylko ONA.

*

Tryb życia Jewgienija Parygina ukształtował się wiele lat temu i od tamtych czasów praktycznie się nie zmienił. Parygin wstawał o szóstej, robił dość skomplikowaną gimnastykę, potem odbywał półgodzinny jogging, po przebieżce brał prysznic, zjadał obfite śniadanie i szedł do pracy. Albo zostawał w domu, jeśli to był wolny dzień czy święto. Parygin odznaczał się doskonałym, godnym pozazdrosczenia zdrowiem. Jedynie przed wirusem grypy jego organizm nie potrafił się obronić. Jeśli w Moskwie wybuchała kolejna epidemia, nieodmiennie chorował mimo skrupulatnie podejmowanych działań profilaktycznych – zażywania witamin oraz jedzenia dużych ilości cebuli i czosnku.

W tym roku, gdy tylko nadano przez radio pierwsze ostrzeżenie służb medycznych o nadciągającej epidemii wybitnie złośliwej odmiany grypy, przebiegającej z wysoką gorączką i objawami zatrucia, Jewgienij natychmiast zaczął łykać garściami witaminy i opychać się na noc znienawidzoną cebulą, ale i tak powaliła go blisko czterdziestostopniowa temperatura oraz męczące nudności. Cztery dni minęły niczym w koszmarnym śnie, potem jednak krzepki organizm zaczął brać górę nad chorobą i Parygin szybko jął przychodzić do siebie. Lekarz z przychodni rejonowej wypisał mu zwolnienie od razu na dziesięć dni, dlatego Jewgienij z czystym sumieniem mógł nie chodzić do pracy. Dzisiaj mijał już ósmy dzień, Parygin czuł się zupełnie dobrze, więc z przyzwyczajenia wstawszy o szóstej rano, przystąpił do gimnastyki, snując jednocześnie plany na resztę dnia. Ani razu w ciągu ostatnich trzydziestu lat z przeżytych czterdziestu ośmiu Jewgienij Parygin nie rozpoczął dzionka, nie mając w głowie dokładnego planu działania i listy spraw do załatwienia.

Z biegnięcia postanowił dzisiaj zrezygnować, pamiętając, że wysoka gorączka osłabia serce. Nie warto szarżować, bo potem może się to niekorzystnie odbić na ogólnej formie. Po gimnastyce Parygin wziął prysznic i z przyjemnością zabrał się do przygotowywania śniadania. Żadnej jajecznicy, tym niech się żywią zatwardziali starzy kawalerowie, którzy nie troszczą się o poziom cholesterolu we krwi. Żadnych ugotowanych naprędce parówek, w których i tak nie ma mięsa, tylko diabli wiedzą co pół na pół z papierem toaletowym i zmielonymi chrząstkami. Po pierwsze – koniecznie – owsianka. Owsianki Parygin nie cierpiał, ale mężnie jadł ją codziennie rano, by zapobiec chorobom przewodu pokarmowego. Dobrze przynajmniej, że w ostatnim roku pojawiły się w sklepach angielskie płatki owsiane z dodatkiem owoców i orzechów. Nie trzeba ich gotować, wystarczy tylko zalać wodą lub mlekiem, i w smaku są o wiele lepsze niż kasza, jednakże Jewgienij pozwalał sobie na taki luksus bynajmniej nie codziennie. Przecież wartości lecznicze zawarte są nie tylko w rozlicznych witaminach i substancjach mineralnych, chodzi również o to, że kasza – to kasza; gorąca, półpłynna, dobroczynnie działa na ścianki żołądka. Po drugie, stałymi

składnikami śniadania były oliwki, jedna kanapka z czarnym kawiozem i jeden średniej wielkości owoc granatu. O hemoglobinę także należy zadbać, w przeciwnym razie człowiek słabnie, a sił Jewgienij potrzebuje zawsze. Po trzecie, Parygin pijał rano herbatę bez cukru, ale za to z suszonymi morelami i rodzynkami dla podtrzymania aktywności mięśnia sercowego. Na zakończenie posiłku zaś zjadał garść orzechów włoskich. Człowiek nigdy nie wie, co uda mu się zjeść na obiad i gdzie będzie spożywał kolację, dlatego wszystkie produkty konieczne do utrzymania organizmu w formie Jewgienij wolał mu dostarczyć rano, żeby mieć pewność, iż nie będzie niespodzianek.

Zmęczył już owsiankę i z zadowoleniem przystąpił do o wiele atrakcyjniejszych komponentów posiłku, kiedy zatelefonowała Lolita.

– Żenia, nie wiem, co robić – zajęczała. – Tamci znowu dzwoniли. Powiedzieli, że jeśli nie zorganizuję pieniędzy, dobiorą się do Sieriożeńki.

– Rozumiem. Jaki termin wyznaczyli tym razem?

– Tydzień. Jeżeli do tego czasu nie będzie pieniędzy, to oni...

– Powiedziałem przecież: rozumiem. Nie panikuj, Lola. Gdzie dzisiaj będziesz? W pracy?

– A gdzież by? Zaraz wychodzę. Byłam już w drzwiach, kiedy zadzwonili.

– Wpadnę do ciebie. W porze obiadowej.

– A ty nie idziesz do pracy?

– Jestem na zwolnieniu. No, to leć, bo się spóźnisz.

Odłożywszy słuchawkę, Parygin wrócił do nieśpiesznego pojadania oliwek. Lolita była żoną jego stryjecznego brata, pechowego biznesmena. Przy czym pechowego do tego stopnia, że skończyło się to wszystko tragicznie. Brat, namówiony przez jakiegoś mało znanego osobnika, wplątał się w zakup hurtowych ilości masła, które później miało zostać rozprzedane dalej. Wspomniany typ zapewnił, że za dwadzieścia pięć tysięcy dolarów można ściągnąć wagony z towarem i na jego sprzedaży zarobić, zgodnie ze wstępnymi obliczeniami, około szesnastu tysięcy. Przedstawił nawet próbkę proponowanego produktu. Brat, chłop niegłupi, ów towar, pocięty na zgrabne kostki i efektownie opakowany, pokazał przedsiębiorcom z branży spożywczej, i wszyscy oni jak jeden mąż orzekli, że produkt jest dobrej jakości, a oni chętnie go zakupią po proponowanej cenie (która pozwoliłaby jednocześnie osiągnąć przewidywany zysk). Pomysłodawca całej operacji nie miał w niej udziału finansowego, uzgodnił jedynie procent, jaki otrzyma w wyniku pomyślnej realizacji przedsięwzięcia, więc brat Parygina zaczął gorączkowo, na wszystkie strony pożyczać pieniądze. Dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, czyli wcale nie mało. Rozumie się, na procent, inaczej dziś nikt nie robi. Dalej wszystko potoczyło się w sposób prosty i łatwy do przewidzenia. Towar przyjechał. Jednakże okazał się, po pierwsze, zupełnie innej jakości, a poza tym – luzem, niekonfekcjonowany. Brat musiał wynająć magazyn-chłodnię i zatrudnić ludzi do paczkowania. Ale na masło i tak nie było

chętnych, nabywcy gdzieś zniknęli. Typ, który namówił brata Parygina do transakcji, również przepadł. Towar leżał w magazynie, za co też trzeba było płacić. A procenty rosły, rosły, rosły...

I urosły do niewyobrażalnych rozmiarów. Wierzyciele zaczęli żądać od brata Parygina zwrotu długów lub choćby – na początek – procentów. Dłużnik sprzedał wszystko, co mógł, dołożył gdzieś jeszcze trochę pieniędzy i spłacił procenty. Za parę miesięcy jednak wierzyciele znowu go naszli, domagając się zwrotu rosnących na nowo procentów, a najlepiej – całej pożyczonej sumy. Krótko mówiąc, facet zrozumiał, że wpadł na dobre i sytuacja jest bez wyjścia. W swej naiwności sądził, że skoro zawinił on sam, odpowiedzialność ciąży tylko na nim. Przystawił więc sobie lufę do skroni i nacisnął spust. Nie wiedział jednak, że wspomniana wyżej zasada moralna nie obowiązuje bynajmniej w otaczającym go świecie. O jakich tu zresztą zasadach moralnych może być mowa, skoro w grę wchodzi takie pieniądze. Jeśli nasz dłużnik strzelił sobie w łeb, weźmiemy się do jego żony. Niech zdobędzie forszę. Nikogo to nie obchodzi, że żona nie zajmuje się biznesem, została sama z siedmioletnim synem i w ogóle nie śmierdzi groszem. Nawet sprzedać nie ma co, ponieważ wszystko, co można było spieniężyć, spieniężył już zmarły mąż.

Parygin ze swoim stryjecznym bratem przyjaźnił się od dziecka. I chociaż o przygodach z masłem nic nie wiedział – bo gdyby wiedział, poinstruowałby kuzyna w porę – bardzo się przejął sytuacją Lolity. Miał możliwość zdobycia pieniędzy i obiecał wdowie, że uczyni wszystko, co się da, w tej przykłej sprawie. Jednakże szansa na zdobycie gotówki rozplynęła się i trzeba było myśleć, jak by tu szybko zdobyć potrzebną sumę, która obecnie osiągnęła już wysokość prawie czterdziestu tysięcy dolarów.

Wyławiając z kubka rozmoczone, bladopomarańczowe morele, Jewgienij doszedł do wniosku, że trzeba zamelinować Lolitę razem z synem w mieszkaniu, gdzie natarczywi wierzyciele ich nie znajdą. Na jakiś czas, oczywiście, dopóki on nie zdobędzie szmalu.

Skończywszy swoje solidne, zdrowe śniadanie, Parygin ubrał się i właśnie się zastanawiał, którą kurtkę włożyć, kiedy rozległ się dzwonek u drzwi. „Na pewno lekarz z przychodni – pomyślał Jewgienij. – Dobrze, że jeszcze mnie zastał w domu. Może mi przedłuży zwolnienie”.

Okazało się jednak, że to wcale nie lekarz. Do mieszkania wdarło się trzech facetów, którzy w mgnieniu oka wepchnęli gospodarza do pokoju.

– Jewgienij Iljicz Parygin? – zapytał jeden.

– Przypuśćmy, że tak – odrzekł spokojnie zagadnięty.

Prawie nie czuł strachu. Napad rabunkowy – to bez sensu; żadnych pieniędzy ani wartościowych przedmiotów w mieszkaniu nie było. A jeśli to milicja, Bóg z nimi. Z pracownikami milicji potrafił rozmawiać i nigdy się ich specjalnie nie obawiał.

Pierwszy cios, w splot słoneczny, został wymierzony błyskawicznie. Parygin

odruchowo zgiął się w pół i osłonił szczękę przed następnym uderzeniem. Co do tego, że przybyli będą celować właśnie tam, nie miał najmniejszych wątpliwości. Uderzenie w twarz zawsze odbiera pewność siebie, choćby nawet nie było zbyt bolesne. Z pewnym trudem przychodziło Paryginowi trzymać się w ryzach i nie wdawać w bójkę. Po co te bysiory miałyby wiedzieć, że ciosu w splot słoneczny prawie nie poczuł? Dzięki specjalnej gimnastyce, którą uprawiał od wielu lat, wytrenowane mięśnie jego brzucha z powodzeniem zastępowały tarczę ochronną.

Parygin udał, że z wysiłkiem unosi głowę, i spytał zająkliwie:

– Czego ode mnie chcecie?

– Żebyś się przyznał – rzeczowo oznajmił najniższy i zaczął otwierać dużą sportową torbę.

– D-do czego?

– Do zabójstwa. Zaraz nam opowiesz, jak pół roku temu dokonałeś zabójstwa obywatela Szepielowa i jak udało ci się zamydląć oczy milicji. A potem wyjdziemy. I koniec. Widzisz, jakie to proste? I w dodatku nie będzie bolało, jeżeli tylko będziesz grzecznie się zachowywał.

Parygin wyprostował się i zrobił krok do tyłu, w stronę okna, jak gdyby cofając się w oszołomieniu.

– To jakaś pomyłka... Nikogo nie zabiłem...

– No tak, jasne – zgodził się ten wyższy i szerszy w barach. – Już to mówiłeś milicji, kiedy cię zgarnęła. Tak że nam tych bajek nie musisz powtarzać, nie interesują nas.

Kilka kolejnych ciosów trafiło w korpus. Napastnicy bili byle jak, bez agresji. Jewgienij zręcznie udawał, że odczuwa ból, przeczekał pięć czy sześć uderzeń, po czym wybełkotał:

– Dobrze... Nie bijcie więcej... Powiem.

Leżał na podłodze, tuż pod oknem, buchający ciepłem kaloryfer przyjemnie grzał jego ramię obciążone cienką trykotową koszulką. Parygin wyciągnął rękę w stronę stojącego najbliżej krzesła, jak gdyby szukając oparcia. Przysunął krzesło do siebie, błyskawicznie zerwał się na nogi i z całej siły rąbnął nim w szybę okienną. Goście osłupieli. Parygin mieszkał na pierwszym piętrze i dobrze widział, jak wokół leżącego na chodniku krzesła zaczynają się gromadzić przechodnie. Ludzie zadzierali głowy i pokazywali sobie wzajemnie wybite okno. Nawet głosy z dołu było słychać:

– Coś się musiało stać...

– Pewnie jakaś bójka...

– Trzeba by wezwać milicję...

– Może kogoś mordują...

– A tam, akurat, popili się i tyle...

Pierwszy opamiętał się niski, który przedtem zdążył wyjąć ze swojej olbrzymiej torby kamerę wideo.

– Spadamy – zakomenderował krótko, już z kamerą pod pachą.

Przy samych drzwiach odwrócił się i wysyczał złowieszczo:

– No, skurwielu, jeszcze do ciebie przyjdziemy. To nie będzie miła wizyta.

Jewgienij spoglądał za nimi w milczeniu. Potem znów odwrócił się do okna i poczekał, aż goście wyjdą i wsiądą do samochodu – zwykłego żiguli w brudnobiałym kolorze. Wóz stał tak, że numerów nie udało się Paryginowi odczytać.

Teraz trzeba było się zająć oknem. Dopiero potem – usiąść i spokojnie wszystko przemyśleć. Parygin zadzwonił do znajomego, który takie problemy jak stłuczona szyba rozwiązywał w ciągu godziny. Facet nie zawiódł; także i tym razem oszklenie okna nie trwało dłużej.

Mieszkanie jednak było spalone. Parygin szybko spakował do torby najpotrzebniejsze rzeczy, wziął dokumenty i książeczkę oszczędnościową, jeszcze raz obrzucił spojrzeniem domostwo, które zamierzał opuścić na czas nieokreślony, starannie zamknął drzwi i wyszedł z domu. Na ulicy wyrzucone przez okno krzesło nadal leżało na chodniku. Ludzkiej ciekawości i gotowości przyjścia z pomocą nie starczyło na długo, nawet milicji nikt nie wezwał. Ale w każdym razie numer zadziałał.

Jewgienij skierował się do banku, gdzie podjął z konta pięć milionów. Na jakiś czas wystarczy, a później się zobaczy.

*

Wysiadając z samochodu, Wasilij Walerianowicz z całej siły zatrzasnął drzwi, usiłując wprawić się w stan irytacji i niezadowolenia. Tu, w centrum szkolenia, wszyscy chodzili po cywilnemu, człowiek w mundurze nie mógł się pojawić w tych murach w żadnych okolicznościach, a jednak młody chłopak za barierką przy wejściu zerwał się i wyprężył przed nim jak struna.

– Zaprowadzić pana?

– Sam trafię – burknął Wasilij Walerianowicz, doskonale wiedząc, że gdy tylko zniknie za zakrętem długiego korytarza, chłopak natychmiast chwyci za słuchawkę i zamelduje Stojanowowi, że idzie do niego szef i jest w złym humorze.

Tak też się stało. Z wyrazu twarzy Stojanowa Wasilij Walerianowicz od razu wywnioskował, że ten został już uprzedzony o nadciągającej burzy. Jego uśmiech był zdecydowanie zbyt uprzejmy i serdeczny. W milczeniu zdjąwszy palto i pańskim gestem rzuciwszy je na ręce Stojanowa, Wasilij Walerianowicz przemierzył gabinet i usiadł za biurkiem naczelnika.

– Gdzie twój zastępca? – zapytał sucho, spoglądając w bok.

– U siebie. Mam go wezwać?

– Wezwij. I powiedz, żeby przynieśli herbaty, zimno tu u was.

Parę minut później do gabinetu wszedł Zielenin, niewysoki, rumiany, krzepki mężczyzna o wesołej twarzy i nieoczekiwanie chmurnym wejrzeniu. W ślad za nim

wśliznęła się przystojna młoda dziewczyna z tacą, na której stał dzbanek z herbatą, cukiernica i szklanka oraz miseczka z cukierkami. Wasilij Walerianowicz bez pośpiechu nalał sobie herbaty, osłodził ją i długo, niewypowiedzianie długo mieszał, podzwaniając łyżeczką o szklankę. Nie miał ochoty wdawać się w analizę sytuacji, nie czuł się w nastroju. Rozumiał wszakże, iż włączając się do gry, trzeba ją prowadzić do ostatniego gwizdka, a nie schodzić z boiska w samym jej środku, i to tylko dlatego, że nagle się człowiekowi odechciało.

– A więc, drodzy panowie, proszę o wyjaśnienie, dlaczego – jeśli chodzi o nową rekrutację – zdarzyły się wam dwie wpadki z rzędu. Najpierw nie potrafiliście wymyślić nic lepszego, niż narwać się na informatora Pietrowki, i nasi dzielni przyjaciele z milicji będą teraz stawać na głowie, by wyjaśnić przypadek Nikity Mamontowa. A dzisiaj nowa afera. Jak to należy rozumieć?

– Wasiliju Walerianowiczu – zaczął Stojanow – nie dysponowaliśmy żadnymi danymi, że Mamontow był informatorem któregoś z...

– To nie jest usprawiedliwienie! – podniósł głos Wasilij Walerianowicz. – Nawet nie mogliście nimi dysponować, zwłaszcza jeśli chodziło o dobrego agenta. Jednakże, przyjmując swój system rekrutacji, powinniście to byli przewidzieć. To ty, Grigorij, całe życie przepracowałeś w milicji, a nie ja. I twoją rzeczą było zdawać sobie sprawę, jakie mogą wyniknąć komplikacje. Twoją, niczyją inną, tylko twoją. Co ty jesteś, dziecko? Nie wiedziałeś, że informatorów werbuje się spośród elementu kryminalnego? Powinieneś był przewidzieć, że wyszukując kandydatów na szkolenie, można natknąć się na kogoś takiego, jak ten Mamontow.

– Przepraszam – mruknął Stojanow. – To moja wina.

– Oczywiście, że twoja! A dzisiejszy incydent? Dlaczego nikt nie wpadł na to, że facet może działać całkiem przytomnie i wzywać pomocy? A gdyby tak milicja była akurat w pobliżu? Przyzwyczailiśmy się, że jeśli ktoś jest w coś umoczony, siedzi cicho i ani mru-mru. Ale dzisiaj ludzie są inni, nie dają sobie w kaszę dmuchać. Co o nim wiedziałeś, kiedy zdecydowałeś się wysłać do niego swoich przygłupów?

– Mieliśmy informacje, że podejrzewa się go o zabójstwo, którego dokonano pół roku temu. I podejrzewa nie bez podstaw. Wywiadowcy mieli dobre źródła, potwierdzające jego udział w sprawie, ale dowodów niezbędnych do wdrożenia śledztwa i skierowania sprawy do sądu nie znaleźli, dlatego Parygina zwolniono.

– Zwolniono, zwolniono – powtórzył ze złością Wasilij Walerianowicz. – Zwolniono, ale i tyś go nie potrafił przyskrzynie. A w ogóle, skąd przekonanie, że ci z kryminalnego nigdy się nie mylą? Przecież pracowałeś tam, więc sam powinieneś wiedzieć, że mylą się o wiele częściej, niżbyśmy chcieli. Może niesłusznie go podejrzewali i cały ten Parygin jest czysty jak łąza. I teraz, podczas kiedy wy mi tu opowiadacie, jaki to z niego złoczyńca i morderca, on już siedzi na milicji i pisze skargę na bandytów, którzy włamali się do jego mieszkania i żądali, żeby się przyznał do Bóg wie czego. Nie, Grigorij, to na nic. Trzeba coś zmienić w twojej metodzie. A

ty co powiesz? – zwrócił się do Zielenina.

Zielenin długo w milczeniu patrzył na Wasilija i dopiero po dobrej chwili raczył się odezwać:

– Jeżeli pan pozwoli, Wasiliju Walerianowiczu, przedstawię swój punkt widzenia. Chcę też od razu uprzedzić, że nie jest on zgodny z punktem widzenia Grigorija Iwanowicza.

– No dobrze, mów – zgodził się łaskawie Wasilij.

– Od samego początku byłem przeciwny temu, żeby rekrutować kandydatów ze środowiska przestępczego. Ponadto sprzeciwiałem się również koncepcji, by przygotowywać ich w zamkniętym centrum szkolenia, w reżimie koszarowym. Bez względu na to, jaki jest cel tej edukacji, każdy absolwent powinien po jej zakończeniu otrzymać legendę, a jeśli komukolwiek przyjdzie do głowy, by ją sprawdzić, te cztery miesiące, które facet spędził tutaj, od razu wypłyną. Cztery miesiące absolutnej nieobecności, izolacji – to bez wątpienia zaniepokoi sprawdzającego. I jeszcze jeden element, nie mniej ważny. Życie toczy się bardzo szybko, wystarczą nawet te cztery miesiące, żeby zostać w tyle. Człowiek oderwany na tak długi czas od bieżących spraw nigdy nie zrekompensuje sobie w pełni tej wyrwy. Nawet jeśli codziennie będzie czytał gazety i oglądał telewizję, i tak prędzej czy później popełni jakiś błąd, gafę, która specjaliście od razu pozwoli się zorientować, że faceta nie było w tym czasie w Moskwie. I zacnie dopasowywać fragmenty układanki. Oczywiście, pytany będzie się starał czymś wytłumaczyć swoją niewiedzę czy brak orientacji, ale jeśli tylko się chce, zawsze można to sprawdzić i przyłapać go na krętactwie. Osobiście uważam, że szkolenie powinno przebiegać w normalnym systemie stacjonarnym, nauka tylko w dzień, bez skoszarowania. Jeśli chodzi o nabór kandydatów, to uważam, że powinno się ich rekrutować spośród osób, które nigdy nie znalazły się w kręgu zainteresowania organów ścigania.

– To niesłuszna koncepcja – ostro sprzeciwił się Stojanow. – Powinniśmy dysponować narzędziem, dzięki któremu bez trudu uda nam się utrzymać człowieka pod kontrolą. Takim narzędziem może być tylko strach przed zdemaskowaniem. Właśnie dlatego wybieramy osoby winne ciężkich przestępstw, zmuszamy je do przyznania się i utrwalamy ich zeznania na taśmie. Potem faceci są już łagodni jak baranki. Inaczej w żaden sposób sobie z nimi nie poradzimy.

– No, właśnie widzieliśmy, jakie z nich baranki – wtrącił złośliwie Wasilij Walerianowicz. – Jeden w te pędy poleciał do oficera operacyjnego, z którym współpracował, żeby prosić o pomoc. A drugi poradził sobie bez niczyjej łaski. Powiem więcej. Te dwie wpadki sprawiły, że odwołałem się do fachowców, którzy zwrócili mi uwagę na interesującą rzecz. Istnieje mianowicie praktyka, że przestępstwa celowo się nie wykrywa, a niewątpliwego sprawcę wypuszcza na wolność w zamian za zgodę na udzielanie informacji. I wspomnianą praktykę stosuje się od dość dawna. Czy ty, Grigorij, wiedziałeś o tym?

– Pierwszy raz słyszę – ze zdziwieniem zaprzeczył Stojanow. – To niemożliwe.

– Możliwe, mój drogi, nawet bardzo możliwe. I realne. Jest, było i będzie. I wstyd, że ty, kadrowy milicjant, o tym nie wiesz. Ile lat przepracowałeś w wydziale kryminalnym?

– Dwadzieścia cztery.

– Wobec tego tym bardziej powinieneś się wstydić, że zdarzają się takie nedoróbki. Daję wam obu dwa dni na opracowanie nowego systemu rekrutacji i szkolenia kadr. Różnice zdań pomiędzy wami mnie nie interesują. Pracujecie w jednym zespole, więc bądźcie uprzejmi załatwiać swoje konflikty wewnętrzne sami, i na dodatek w taki sposób, by nie przyniosło to uszczerbku przedsięwzięciu, w które wszyscy jesteśmy zaangażowani. Przyjadę za dwa dni, a wy zreferujecie mi swoje wnioski. Wszelkie błędy i niedopatżenia powinny zostać z nowej koncepcji wyeliminowane.

Wasilij Walerianowicz energicznie wstał, dając do zrozumienia, że wizyta jest skończona.

*

Stojanow odprowadził go do wyjścia, usłużnie otworzył przed nim drzwi auta i stał na schodkach w samym garniturze, bez okrycia, póki wóz Wasilija Walerianowicza nie minął posterunku przy bramie wjazdowej na teren centrum szkoleniowego. Zapalił, postął jeszcze chwilę zamyślony, spoglądając na ledwo widoczne w mroku wierzchołki drzew, a potem z rozdrażnieniem cisnął niedopałek w śnieg i wrócił do budynku. Idąc długim korytarzem, odruchowo szukał wzrokiem śladu jakiegoś nieporządku, do którego można by się przyczepić i wyładować na kimś złość, ale nic nie znalazł. Pierwsza grupa zakończyła szkolenie i została obsadzona na stanowiskach, drugiej jeszcze nie skompletowali, tak więc w całym centrum nie było nikogo oprócz kierownictwa, instruktorów i nielicznego personelu pomocniczego.

Otworzywszy drzwi do swego gabinetu, zobaczył Zielenina, który nie ruszył się stąd po wyjściu zwierzchnika. Co więcej, najwyraźniej zamierzał podjąć pracę nad nową koncepcją rekrutacji. Rozłożył już nawet papiery i jakieś wykresy na biurku. Stojanow mruknął coś niechętnie pod nosem. Od razu widać, że jego zastępca ani jednego dnia nie chodził „po ziemi”, chociaż służył w resorcie siłowym i dochrapał się wysokiego stopnia. Jak świat światem, w praktyce obowiązywała niewzruszona zasada: jeśli otrzymasz polecenie służbowe, nie śpiesz się z wykonywaniem go, niewykluczone bowiem, że jeszcze zostanie odwołane. Ale ci, którzy siedzieli za biurkami i rozgrywali teoretyczne batalie, kierowali się innymi regułami. Działali jak najszybciej, ponieważ ten, kto pierwszy pojawi się z meldunkiem, ma rację. Kto sprawniej przygotowuje raport, okaże się bardziej operatywny, ten zdobędzie błogosławieństwo góry. Stojanowowi trudno się pracuje z Zieleninem, ponieważ są różni, kompletnie różni. Aleksander Pietrowicz Zielenin to mól książkowy, teoretyk,

lubi papierkową robotę. A Stojanow całe życie twardo stąpał po ziemi, chwycił przestępców własnymi rękami i dobrze ich potrafił przycisnąć, tak dobrze, że puszczali farbę, aż miło. A ten tu... W ogóle się nie rozumie na operacyjnej robocie. Tak samo na werbowaniu. Czy on w ogóle ma pojęcie, jak zmusić człowieka, żeby się podporządkował i nie podskakiwał?

– No i co, od razu chcesz się zasłużyć? – Stojanow nie potrafił ukryć złośliwego uśmiechu. – Ledwo dostałeś polecenie, już się rzuciłeś do wypełniania?

Zielenin podniósł na niego chmurne spojrzenie. To zawsze było zagadką dla Stojanowa: jak człowiek o tak okrągłej, rumianej twarzy, która jakby przez samą naturę została stworzona do szerokiego, przyjaznego uśmiechu, potrafi stale wyglądać na ponurego, zatroskanego i zwróconego w głąb siebie. W dodatku taki wyraz twarzy zachowywał Zielenin również wówczas, kiedy był akurat w doskonałym humorze.

– Trzeba brać się do roboty od zaraz – odparł Zielenin spokojnie, jakby nie zauważając ironii przełożonego. – Dwa dni to nie tak dużo, jak ci się wydaje. Możesz mi wierzyć, opracowałem już w życiu dziesiątki różnych koncepcji, to bardzo pracochłonne zajęcie.

– Nie zawracaj głowy – burknął Stojanow, siadając przy biurku naprzeciwko swego zastępcy. – Pół godziny i będzie po wszystkim.

– Tak?

Zielenin szybko złożył swoje papiery, wsunął je do teczki i wstał.

– Wobec tego rób to sam. Za dwa dni przedstawimy Wasilijowi dwie koncepcje, jedną twoją, drugą moją.

– Siadaj – rzucił ostro Stojanow. – Koncepcja musi być jedna. On sam tak powiedział. Nie ma co udawać obrażonego. Co też mu przyszło do głowy z tą koncepcją? Pierwszą rekrutację całkiem dobrze przeprowadziliśmy bez żadnej koncepcji. Po prostu podjęliśmy decyzję i zrealizowaliśmy ją. Po co mącisz wodę swoimi pseudonaukowymi wymysłami?

Zielenin usiadł i milcząc, wpatrywał się w niego nieodgadnionym wzrokiem.

– Dobra, zaczynaj, skoro taki z ciebie wielki specjalista od koncepcji – zezwolił Stojanow. – I przede wszystkim znajdź mi metodę, jak uniknąć pomyłek przy rekrutacji naszych kandydatów. A potem dopiero pomówimy o tym, w jaki sposób organizować szkolenie.

– Nie od tego należy zaczynać – sprzeciwił się Zielenin, znów otwierając teczkę i wyjmując z niej notatki i wykresy.

– A od czego?

– Od sprecyzowania celu. Powinniśmy być dokładnie świadomi, co chcemy osiągnąć, jakiego specjalistę wykształcić. Następnie obmyślić, jak go przygotować, czego i w jaki sposób nauczyć. Dalej – mniej więcej określić, kto może z powodzeniem zaliczyć taki kurs, opanować to wszystko, co chcemy mu przekazać, a po zakończeniu szkolenia dobrze pracować. A potem dopiero powinniśmy się

zastanawiać, gdzie i jak takiego człowieka znaleźć. Inaczej mówiąc, należy opracować trzy wzorce. Pierwszy – modelowy wzorzec absolwenta-specjalisty, z uwzględnieniem koniecznej wiedzy i umiejętności, a także odpowiednich materiałów do opracowania późniejszej legendy. Drugi – wzorzec uczestnika kursu. To znaczy, jakie powinien on spełniać wymagania pod względem predyspozycji psychicznych, fizycznych i intelektualnych, by ukończyć kurs z wynikiem pozytywnym. I trzeci wzorzec – kandydata. Dopiero kiedy już obaj opracujemy te trzy wzorcowe modele, zaczniemy się zastanawiać nad tym, jak przekształcić jeden w drugi, a drugi w trzeci. Inaczej mówiąc, wypracujemy zasady wynajdywania, rekrutacji i szkolenia. W ten właśnie sposób, Grisza, tworzy się koncepcje. Tylko w taki. A to, co możesz sklecić w pół godziny, nadaje się wyłącznie do wyrzucenia. Do wychodka.

Stojanow z trudem stłumił rosnącą złość. Rozumiał, że jego zastępca ma rację. Ale głośno się do tego przyznać wcale nie miał ochoty. I nawet nie o to chodziło, że nie chciał przyznać słuszności Zieleninowi. Problem wydawał się o wiele szerszy. Dwadzieścia cztery lata Stojanow tyrał w wydziale kryminalnym. Bez mała ćwierć wieku. I przez cały ten czas nie ulegało wątpliwości, że nauka to bzdury, dziecinne igraszki, dobre dla tych, którzy chcą nosić oficerskie szlify i dostawać za to pieniądze, ale wcale nie mają ochoty zajmować się brudną, męczącą i niebezpieczną robotą. Dla takich właśnie synków, zięciów i przyjaciółek wysoko postawionych osobistości wymyślono system nauki w ramach MSW i stworzono specjalne, ciepłe synekury. Dobrze płatne i niewymagające dużego nakładu pracy. Jaka nauka może być przydatna do chwytania przestępców? Chyba że w kryminalistyce. Wszystkie te chemie, biologie i inne mądrości, które są pomocne w przeprowadzaniu badań i ekspertyz. A cała reszta to pic na wodę, przelewanie z pustego w próżne od wypłaty do wypłaty.

I co teraz, miałyby uznać wyższość i racje człowieka, który całe życie spędził za biurkiem, mnożąc jakieś naukowe bzdety? Nie, za nic.

Za nic? A co z Mamontowem i Paryginem? To oczywiste wpadki, trudno je zlekceważyć. Trzeba będzie dać za wygraną i zabrać się razem z Zieleninem do opracowania tej idiotycznej koncepcji. Może jemu, Stojanowowi, to wyjdzie na dobre. Zielenin, który prochu nie wachał, na pewno wysmaży jakąś bzdurę. Pierwszą rekrutację przeprowadzono pomyślnie, a przecież postępowano według wskazówek Stojanowa. Niech teraz druga rekrutacja zostanie przeprowadzona zgodnie z koncepcją Zielenina. Od razu będzie widać, kto miał rację.

ROZDZIAŁ 4

Parygin miał drugie mieszkanie, o czym nikt z jego znajomych nie wiedział. Tam właśnie zawiózł oszalałą ze strachu i ledwie żywą od płaczu wdowę po swoim stryjecznym bracie, Lolitę, i jej siedmioletniego syna Sieriożę.

– Czyje to mieszkanie? – spytała Lolita, ze zdziwieniem rozglądając się po skąpo umeblowanym wnętrzu; nie było tu ani jednego przedmiotu czy mebla oprócz najbardziej niezbędnych.

– Mojego znajomego – odparł wymijająco Parygin. – Możesz być spokojna, nikt cię tu nie będzie niepokoił. Klucze mam tylko ja. Siedz w domu, nigdzie nie wychodź.

– A jedzenie? Dziecko przecież musi jeść.

– Sam wszystko przyniosę. Nocować też będę tutaj, żebyście się nie bali.

Poszedł do sklepu, zapełnił lodówkę jedzeniem, poklepał bratanka po ciemnoblonde włosach i ruszył załatwiać własne sprawy. Zajęty urządzaniem Lolity w swoim drugim mieszkaniu, cały czas myślał o rannej wizycie niespodziewanych gości i w końcu doszedł do wniosku, że najprawdopodobniej faceci byli z milicji.

Miał zresztą podstawy, żeby tak sądzić, i to całkiem ważkie. Rzeczywiście pół roku wcześniej dokonał zabójstwa. I milicja nigdy by nie wpadła na jego ślad, gdyby nie pewna pechowa okoliczność. Uciekając z miejsca przestępstwa, Parygin pośliznął się na jakimś rozlanym na chodniku paskudztwie i upadł tak niefortunnie, że rozwalił sobie nogę i skaleczył się w policzek. Zaraz się jednak podniósł i pobiegł dalej. Nikt za nim nie gonił, nikt nie krzychał: „Łapać mordercę!”. Nic takiego się nie zdarzyło. Parygin w ogóle był przekonany, że nikt go nie widział, gdyż działo się to późnym wieczorem, ludzi na ulicy prawie nie było, a on strzelał do swojej ofiary w bramie. I w ciemnościach. W każdym razie jego twarzy wyraźnie nikt nie mógłby zobaczyć. Ale zraniona noga i twarz to już całkiem inna śpiewka. I na nieszczęście Parygina znalazł się jakiś niespokojny tatulek, który sterczał w oknie, czekając na spóźniającą się córeczkę. On właśnie opowiedział milicjantom, że widział, jak przyjechał samochód, z którego wysiadł jego sąsiad Szepielow i wszedł do bramy, a dosłownie w kilka sekund później wypadł stamtąd jakiś mężczyzna, pośliznął się, upadł, ale zaraz wstał, chwycił się za policzek i znów pobiegł, trochę kulejąc. Milicja wykazała godną podziwu inicjatywę – w ciągu najbliższej doby w całej Moskwie zatrzymywano utykających mężczyzn z posiniaczonymi policzkami. Parygin także nadział się na milicjantów, kiedy szedł następnego ranka do pracy. No i to już właściwie cała historia. Każdemu kiedyś noga musi się powinąć – tym razem zdarzyło się to zawodowemu najemnemu mordercy Żeni Paryginowi, który dotąd bez zakłóceń realizował zamówienia przez

blisko trzydzieści lat.

Zaczął w roku 1968, kiedy to wrócił z wojska. Przeszedł dobrą szkołę, miał doświadczonych nauczycieli. Zleceń w tamtych latach nie było zbyt wiele, nie to co obecnie, dlatego też i wykonawców o wysokich kwalifikacjach w całym kraju działało może dziesięciu. Niewykryte zabójstwa nie były wtedy popularne, fingowało się raczej awarie samochodowe, zatrucia, utonięcia i inne nieszczęśliwe wypadki. Paryginowi przypadały trzy-cztery zamówienia rocznie, a resztę czasu poświęcał na studia w instytucie transportu, a później – pracę w zakładach samochodowych. Był tam zresztą zatrudniony do dziś. Jeśli ma się tak specyficzne hobby, o wiele lepiej jest, gdy w miejscu pracy koledzy człowieka znają od lat, szanują i – kiedy trzeba – mogą uczciwie zaświadczyć, że jest wzorem dokładności i dyscypliny.

Żadnych luk w życiorysie, wprost ze studenckiej ławy do pracy na rzecz pomyślnego rozwoju rodzimej bazy transportowej. Dobra opinia w połączeniu z tak zwanym żelaznym zdrowiem zawsze bardzo Paryginowi pomagała. Jeśli otrzymał zlecenie, którego przygotowanie i realizacja wymagały jego nieobecności w pracy przez parę godzin lub nawet parę dni, nigdy nie musiał zawracać sobie głowy wizytami w przychodni i zdobywaniem zwolnień czy uciekać się do kłamstw, że musi uczestniczyć w pogrzebie ukochanej cioteczki. Wystarczyło, że się poskarżył na złe samopoczucie, a szefowie sami mu proponowali, żeby poszedł do domu i poleżał parę dni, bo przechodzona grypa grozi poważnymi komplikacjami. Nikomu nie przyszło do głowy podejrzewać Parygina o brak sumienności i wymigiwanie się od pracy, gdyż nigdy nie brał lipnych zwolnień lekarskich. Owszem, raz do roku powalała go grypa, ale poza tym na nic długo ani poważnie nie chorował. Nie zwalniał się też nigdy z powodów rodzinnych.

Kiedy Parygina, kulejącego i z plastrem na policzku, odstawiono na milicję i zaczęto wypytywać, gdzie był poprzedniego dnia wieczorem, co robił i kto może to potwierdzić, od razu zrozumiał, że takich jak on zatrzymano dziesiątki, jeśli nie setki. I że milicja nie jest w stanie zbadać dokładnie, szczegółowo każdego przypadku. Kandydaci na podejrzanych zostaną wytypowani zgodnie ze starym, utartym schematem. Na pierwszy ogień pójdą nigdzie niepracujący, nieposiadający stałego źródła dochodów, niezameldowani w Moskwie, karani sądownie lub po prostu notowani. Jewgienij nie należał do żadnej z tych kategorii. Przyzwoity obywatel, inżynier z zakładów samochodowych, można powiedzieć, weteran pracy (ponad dwadzieścia lat w jednej fabryce), rodowity moskwianin, nienadużywający alkoholu. A jeśli chodzi o alibi, to oczywiście, że się o nie postarał, bez tego nigdy nie zabierał się do realizacji zlecenia.

Wypuszczono go dosyć szybko. Potem, co prawda, był jeszcze parę razy wzywany, ale w pytaniach śledczych nie pojawił się żaden nowy element. I Parygin pomyślał wtedy, że „torpeda przeszła bokiem”.

Co zatem stało się teraz? Odpowiedź była prosta. W każdym razie tak się

Paryginowi wydawało. Zabójca pozostał niewykryty, wywiadowcy wciąż pracowali nad sprawą i w pewnym momencie musiała wypłynąć jakaś niebezpieczna dla Parygina informacja. Różne rzeczy się zdarzają... Ktoś coś chlapnął, załamał się, wygadał. Bywa i tak. I milicja, żeby nie tracić czasu i sił na pedantyczne sprawdzanie i papierkową robotę, postanowiła zastosować chwyt siłowy. Udając pospolitych bandziorów. Żeby było prościej i łatwiej. Niewykluczone, że mają niewiele informacji, wiedzą tyle co nic, więc dlaczego by nie spróbować? Tam, na milicji, Parygin zachowywał się spokojnie, grzecznie, kulturalnie, nie pozwalał sobie na żadne aroganckie wypowiedzi, a już zwłaszcza na demonstrację siły fizycznej. Oczywiście, postarał się zrobić wrażenie faceta, który – jeśli istotnie jest winien – załamał się nawet pod lekką presją. Zupełnie możliwe, że na Pietrowce zmieniła się „góra” i domaga się energiczniejszej pracy nad niewykrytymi dotąd zabójstwami, więc funkcjonariusze ponownie wzięli na warsztat wszystkich wówczas zatrzymanych kulejących podejrzanych. On, Parygin, nie jest jedynym. Po prostu kolejnym. Jednym z wielu.

A skoro tak, to wszystko w porządku. Więcej nie będą się go czepiać. Nie uzyskali też od niego żadnych informacji. Jemu dali spokój, teraz pójda do innych.

Ale jeżeli nie... Jeżeli jest inaczej, to jego sprawy kiepsko wyglądają. Są dwie możliwości: albo ktoś rzeczywiście pękł i udzielił informacji o Paryginie, albo to w ogóle nie była milicja, tylko ktoś od „tamtych”. Zleceniodawców i ich kompanów. Parygin i jego zeznanie jest im do czegoś potrzebne. Do czego – to już inna sprawa, ale i tak wiadomo, że odpowiedź na to pytanie nie będzie przyjemna. Widocznie nie przypadkiem ostatnie zlecenie zostało odwołane. Niby już wszystko zostało omówione, uzgodnione i nagle – „przepraszamy, dziękujemy, nie skorzystamy”. To sprawka konkurencji, psia ich mać. Podaż większa niż popyt. Po co płacić wysoką stawkę profesjonalistom o najwyższych kwalifikacjach, jeśli można uzyskać tę samą usługę, zatrudniając głupkowatego dyletanta, który weźmie o wiele mniej. Ale przecież Parygin nie jest zwyczajnym, przeciętnym wykonawcą. Ma olbrzymie doświadczenie i cieszy się doskonałą opinią. Także i system kontaktowania się z nim jest skomplikowany, możliwość wszelkich przypadkowych wpadek została zeń wyeliminowana, przez wiele lat działał bez zarzutu. Żaden zleceniodawca nie zna nazwiska Parygina, a tym bardziej jego adresu. Jeśli więc to ich sprawka, musieliby się z nim skontaktować inaczej. Czyli w domu mogła go najść tylko milicja. Spisali wtedy jego adres z dowodu osobistego, ten, pod którym jest zameldowany i faktycznie mieszka. Wygląda na to, że ostatnie zlecenie wcale nie było na serio, wszystko to lipa, zasłona dymna. Nie mieli zamiaru nikogo sprzątnąć. Chcieli tylko skontaktować się z Paryginem i usiąść mu na ogonie. Jedynie w ten sposób mogli zdobyć jego oficjalny adres. Widać zrobił się koło niego jakiś smród. Czyżby komuś się czymś naraził? Albo spaprał robotę?

Kto posiada informacje, ten jest górą, powiedział sobie Jewgienij. Przede

wszystkim powinien się dowiedzieć, kim są ci, którzy u niego byli, i czy odwiedzili tylko jego. W tym celu musi namierzyć tego wywiadowcę z Pietrowki, który go wtedy przesłuchiwał, i pochodzić za nim parę dni, zorientować się w jego kontaktach. Jeśli w otoczeniu tego faceta mignie mu któryś z tamtej trójki, wtedy zajmie się nim i sprawdzi, czy grupa z kamerą wideo nachodzi również innych. Jeśli tak, to wszystko w porządku, postawili sobie ambitne zadanie, żeby wszystkich zatrzymanych wówczas jako ewentualnych podejrzanych przycisnąć jeszcze raz, to może któryś wreszcie pęknie. Jeżeli natomiast nikogo więcej nie wizytują, to znaczy, że mają coś wyłącznie na niego. W wypadku zaś, gdyby żaden z owej trójki nie pojawił się w pobliżu wywiadowcy z Pietrowki, trzeba będzie zrobić rozeznanie wśród zleceniodawców.

*

Misza Docenko wysłuchał już bodajże piętnastej rozdzierającej historii o smutnym losie sportowców. Po to, żeby dotrzeć do tej dobrze poinformowanej i skłonnej do długich pogawędek damulki, musiał stracić dwa dni. Większość działaczy sportowych to, jak wiadomo, mężczyźni, a ci rzadko interesują się cudzymi sprawami. Nie budził w nich również szczególnego zainteresowania sympatyczny, wysoki dziennikarz. Dlatego też kierowano Miszę od gabinetu do gabinetu, z piętra na piętro, doradzając mu spotkać się i porozmawiać z Iwanem Pietrowiczem lub Piotrem Iwanowiczem, ten zaś odsyłał dziennikarza jeszcze do kogoś innego. Ale ta tułaczka stokrotnie się opłacała, gdy Misza w końcu trafił na tę wspaniałą pod każdym względem damę, która przez całe życie zbierała wszelkie pogłoski i plotki i z zapalem przekazywała je dalej. Niestety jednak polegało na tym, że na razie żadna z opowiedzianych przez nią historii na nic się Miszy nie mogła przydać.

–...kompletnie się rozpił. A jak się upił, zaczynał bić żonę. Sił mu nie brakowało, może pan sobie wyobrazić, tymczasem ona, jak to gimnastyczka, szczuplutka, lekka jak piórko, wystarczy tknąć ją palcem i polecą w kąt. Ile razy mu się mówiło: Witia, trzymaj się od niej z daleka, bo napytasz sobie nieszczęścia. Ale co tam! Kiedyś tak się spił, że wyrzucił ją z balkonu prosto na ulicę. Siedzi teraz. – Dama westchnęła z goryczą. – Dobrze jeszcze, że nie mieli dzieci. Wyobraża pan sobie, co by to było? Matka nie żyje, ojciec w kryminale. Bywały i takie wypadki...

Docenko wiedział, że usłyszy zaraz kolejną, szesnastą historię, ale znów będzie ona dotyczyła mężczyzny. A on potrzebował kobiety. Kobiety koszykarki z okaleczoną psychiką. Rozmowną damę należało naprowadzić na interesujący Miszę temat, łagodnie, ostrożnie, aby jej, broń Boże, nie urazić.

– A dlaczego żona to wszystko znosiła? – zapytał. – Miała taki uległy, bezwolny charakter?

– Ależ skąd, Michaile Aleksandrowiczu, czy sportsmenka może być bezwolna? Wolę ma żelazną, ale wszystkie jej zasoby pochłania sport. Rozumie pan, co chcę

przez to powiedzieć? Jeśli chodzi o sport, od dzieciństwa przywykła zmuszać się do wysiłku, nagiąć, robić to, na co nie ma ochoty, gdyż przyświecał jej konkretny cel – być pierwszą, być lepszą od innych. Mistrzynią olimpijską. I na tym ołtarzu składa się w ofierze cały zasób swoich sił duchowych. Dlatego na nic innego ich już nie starcza. Zwłaszcza że nie ma również innego celu, który mógłby konkurować z dążeniem do bycia pierwszą. W tej sytuacji cała reszta wydaje się czymś nierealnym, nieważnym, mrzonką, na którą nie warto trwonić sił.

„Cóż, z zadowoleniem pomyślał Docenko – połowę drogi już pokonaliśmy, mamy na tapecie kobiety. Teraz płynnie przejdziemy do koszykówki”.

– A proszę mi powiedzieć, czy koszykarkom także zdarzają się problemy w życiu osobistym? Czy też głównie dotyczy to mężczyzn?

– Och, co pan! – Dama aż klasnęła w ręce. – Nasze dziewczyny wciąż mają problemy z życiem osobistym. Są przecież takie wysokie! Ze znalezieniem żony facet wysokiego wzrostu nie ma najmniejszego problemu, każda mu pasuje, byle tylko ją kochał. A co mają zrobić dziewczęta? Pozostaje im tylko jedno wyjście: szukać męża pośród swoich kolegów koszykarzy. Ale nasi chłopcy wysokich dziewcząt nie lubią, na tym polega paradoks. O, właśnie, przed chwilą opowiadałam panu o Witi, który żonę gimnastyczkę wyrzucił przez okno. Niech pan sam pomyśli: gimnastyczkę! Czyli wzrostu niewiele ponad metr, i to w kapeluszu. Typowe. Dwumetrowe draby uwielbiają miniaturowe kobietki. A co mają robić dwumetrowe dziewczyny?

– Rzeczywiście wszystkie są dwumetrowe? – z niedowierzaniem zapytał Docenko.

– Ależ nie, po prostu zaokrągliłam... – Dama roześmiała się i od razu odmłodziła o dziesięć lat. – Mają przeciętnie po metr dziewięćdziesiąt. Zgodzi się pan, że to też niemało.

Zdarzają się olbrzymki powyżej dwóch metrów, ale to już rzadkość.

– I co wtedy? Jak im się udaje wyjść za mąż?

– Różnie to bywa. Trzeba przyznać, że mają spore powodzenie u mężczyzn, którzy są niżsi od nich. Tym, które potrafią nie zwracać uwagi na różnicę wzrostu, udaje się założyć rodzinę. Ale to się zdarza raczej rzadko. Wiele dziewcząt boi się, że będzie wyglądać śmiesznie z niskim mężczyzną u boku. Starają się znaleźć wysokiego, a wysocy, jak już panu mówiłam, lubią małe kobietki. I tak koło się zamyka.

– Proszę mi powiedzieć, a czy nie wpływa to negatywnie na charakter tych dziewcząt? – niewinnie zainteresował się Misza.

– O, jeszcze jak! Nie we wszystkich wypadkach, oczywiście. Ale jeśli taka dziewczyna wbije sobie do głowy, że koniecznie musi wyjść za mąż, gdyż w przeciwnym razie będzie jak gdyby niepełno wartościowa, to zaczyna się naprawdę sodoma i gomora. Rywalizacja, zazdrość, niekiedy dochodzi nawet do bójek.

– Do bójek? – Docenko zrobił minę, która była mieszaniną niedowierzania ze zdumieniem.

– Niech pan sobie wyobrazi. Po przykłady nie trzeba daleko sięgać. Weźmy

choćby taką Marinę Tichwińską... Tylko niech pan w artykule nie podaje nazwisk, dobrze?

– To zrozumiałe – zapewnił Misza. – Nazwiska zresztą nie będą potrzebne. Na razie zbieram tylko materiał faktograficzny, a dopiero potem go przeanalizuję, podsumuję i poszukam prawidłowości. A więc czy możemy wrócić do Tichwińskiej? To ta, która podczas meczu z Kubankami zdobyła decydujący punkt?

– Tak, tak, właśnie ona. A pan ogląda mecze?

– Rzadko – przyznał się Misza. – Ale ten akurat widziałem.

– No więc Marinka spotykała się z chłopakiem, nie od nas, był z telewizji. Operator, zdaje się. Poznali się w czasie transmisji meczu. Przystojny facet, sympatyczny, wysoki, nawet wyższy od niej. Marina miała urodziny, zaprosiła dziewczęta z drużyny, no i ten chłopak, naturalnie, też był. Dziewczyny oczywiście zaraz się na niego rzuciły, nie dosłownie, w sensie przenośnym, ma się rozumieć. Kokietowały go, komplementowały. Zaczęły go Marinie odbijać. Niektóre tylko dla żartu, ot, wygłupiały się, ale niektórym na serio wpadł w oko, rozumie pan, taki łakomy kąsek. Zwłaszcza jedna strasznie się na niego napaliła, wciąż go prosiła do tańca, wyciągała do kuchni, na klatkę schodową, niby to zaczerpnąć świeżego powietrza. Marinka się wściekła, wzięły się za łby, doszło do bójki. Dziewczyny, które były świadkami tego zajścia, opowiadały potem, że Marinę jakby coś opętało. Zbladła, oczy jej błyskały, nic do niej nie docierało. Po prostu diabeł w nią wstąpił. A później, kiedy wszystko się skończyło, twierdziła, że nic nie pamięta. Dziwiła się nawet, że wywołała taką awanturę. Nic a nic nie pamiętała, wyobraża pan sobie?

Docenko potrafił to sobie wyobrazić. Cóż, usłyszał klasyczny opis działania w afekcie. Widocznie ta Tichwińska ma jakieś problemy z psychiką.

– Czy coś takiego zdarzyło się jej pierwszy raz, czy przedtem też dochodziło do podobnych incydentów?

– Podobno pierwszy. Ale potem jeszcze parę razy się powtórzyło. Zresztą właśnie za to została zdyskwalifikowana.

Ciepło, ciepło. No, dalej, poganiał w duchu swoją rozmówczynię Docenko, opowiadaj o agresywnej sportsmence, skłonnej do działania w afekcie. Trzeba kobietę zachęcić do dalszych wynurzeń.

– Co pani mówi! Za bójkę?

– Właśnie. W czasie meczu rzuciła się na zawodniczkę przeciwnej drużyny, która niechcący uderzyła ją w goleń, i zaczęła ją bić. To była okropna scena. Ledwo je rozdzielili. Przybiegł lekarz, od razu zabrał Marinę, zrobił jej jakiś zastrzyk. A ona znowu niczego nie pamiętała. Kiedy stanęła przed komisją, strasznie płakała! Przepraszała, mówiła, że nic na to nie może poradzić, nie potrafi się opanować, nie jest sobą, no i nic nie pamięta.

– I co? Wyrzucili ją z drużyny?

– Wyrzucili. – Dama twierdząco skinęła głową. – Jakże by mogli ją zostawić?

Przecież to istna beczka prochu. W każdej chwili gotowa wybuchnąć, zerwać mecz, pobić kogoś. Chociaż to była wielka strata, bo jako zawodniczka miała bardzo dobrą opinię.

– I co się z nią potem stało? Ułożyła sobie jakoś życie?

– Wie pan, Michaile Aleksandrowiczu, nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Ze sportu musiała odejść, to prawda, ale trafiła na jakąś firmę, angielską czy kanadyjską, która specjalizuje się w produkcji odzieży dla nietypowych, no, dla grubasów czy bardzo wysokich osób, projektowanie ubiorów w ekstrarozmiarach. A Marinka jest bardzo ładna, sam pan widział w telewizji. No i znalazła tam zatrudnienie. Tak że teraz jest za granicą i ma się nieźle.

Kłapa. A wszystko szło już tak dobrze... Ale Marina Tichwińska odpada. Siedzi na Zachodzie i cieszy się życiem.

– A czy zdarzają się wśród sportowców próby samobójcze? – zapytał Misza, spodziewając się usłyszeć w odpowiedzi kolejną historię.

– Rzadko – oświadczyła autorytatywnie dama. – No bo kiedy ludzie chcą ze sobą skończyć? Kiedy dochodzą do wniosku, że zmarnowali życie, nic im się nie udało, nie wyszło, i nikomu nie są potrzebni. Nawet z powodu nieszczęśliwej miłości na ogół nie wpadają w depresję, ponieważ, jak już panu mówiłam, najważniejszą sprawą dla nich są osiągnięcia sportowe. Cała reszta liczy się znacznie mniej... Oczywiście, kiedy zaczynają się starzeć, zdarza się, że... Ale zwykle rezygnują z czynnego uprawiania sportu wcześniej. Zawodnik na nowo urządza sobie życie, podejmuje pracę jako trener czy instruktor, znajduje inne zajęcie. Próbuje się adaptować do zmienionych warunków. I dopiero po jakimś czasie, jeśli nic z tego nie wychodzi, popada w depresję. Ale zwykle prowadzi to do pijaństwa, nie do samobójstw. Chociaż i tak się zdarza, oczywiście. Ania Łazariewa na przykład dwa razy próbowała się otruć, kiedy przestała grać.

– Ją też wyrzucono z drużyny?

– Nie, chodziło o wiek, wie pan... Sama zrezygnowała. Ale życie jakoś jej się nie układało. Ania bardzo chciała wyjść za mąż. Czasem to wyglądało aż nieprzyzwoicie. Dziewczyny sobie z niej żartowały... Miała jakieś... staroświeckie poglądy. Uważała, że jeśli chłopak się z nią przespał, to ma poważne zamiary. I strasznie przeżywała, kiedy się okazywało, że tak nie jest, że po dwóch dniach dawno już o niej zdążył zapomnieć. Nie miała cienia dumy czy ambicji, natychmiast się zakochiwała, deptała każdemu swemu wybrankowi po piętach, łąziła za nim, nie dawała mu spokoju, zaglądała w oczy. Obsypywała go prezentami, zapraszała do domu, żeby przedstawić ukochanego rodzicom. Oczywiście chłopaki bały się jej jak ognia. Dla nich przespać się z dziewczyną podczas zgrupowania to był chleb powszedni, zwykle zawiązują się tam krótkotrwałe romanse, ale nikt dla nikogo nie traci głowy. A Anieczka każdą najmniejszą oznakę zainteresowania traktowała jak prawdziwe oświadczenie. Chłopak zaprosił ją raz do tańca na wieczorku, a ona już snuła marzenia, jak to on będzie się o

nią starał i jaki wspinały romans ich czeka, a na końcu oczywiście – ślub. Przy tym wszystkim wcale nie była cnotką, bez oporów szła do łóżka, w tej kwestii miała całkowicie nowoczesne poglądy. Ale co za marzycielka! Naiwna, romantyczna, wrażliwa marzycielka! Jednakże, dopóki grała, sport stawiała zawsze na pierwszym miejscu. Dopiero kiedy musiała odejść, jej niepowodzenia miłosne urosły do gigantycznych rozmiarów. Moim zdaniem, chyba się dziewczynie nawet trochę w głowie pomieszało.

– Dlaczego pani tak myśli? Dziwnie się zachowywała?

– Bo ja wiem... Raczej dziwnie. W ogóle zrobiła się dziwna. Czasem ją widuję, mieszkamy w pobliżu tej samej stacji metra. Z początku zawsze chętnie przystawała na chwilę, żeby pogadać, a teraz udaje, że mnie nie widzi. Dlaczego? Czy zrobiłam jej coś złego? To nie moja wina, że musiała odejść ze sportu. Każdego to czeka prędzej czy później.

– A może jej zachowanie wiąże się z próbami samobójczymi? – podsunął Michaił.
– Wie pani, niektórzy ludzie lubią o tym opowiadać, wystawiać swoją tragedię na pokaz, i oczekują współczucia, inni natomiast bardzo się tego wstydzą, czują się skrępowani i usiłują unikać kontaktów z tymi, którzy wiedzą o ich próbie targnięcia się na życie. Mówię to pani jako specjalista.

Rozmowa na pewien czas zeszła na problemy ściśle psychiatryczne. Tak dobrze zorientowana w szczegółach życia osobistego koszykarzy dama w psychiatrii okazała się całkowitą ignorantką, i wiedza Miszy, nabyta podczas kursu psychiatrii sądowej, okazała się aż nadto wystarczająca, żeby kobietę oszołomić i wywołać wrażenie, że ma do czynienia z prawdziwym ekspertem. Potem Michaiłowi bez trudu udało się prześliznąć od mało dlań interesującego tematu z powrotem do sprawy byłej zawodniczki Anny Łazariewej. Z każdą chwilą też nabierał większego przekonania, że należy zwrócić na nią baczną uwagę.

*

Oficera operacyjnego, który rozmawiał z nim latem, Parygin znalazł bez trudu. Przypomniał sobie nawet, jak facet się nazywa – Michaił Aleksandrowicz. Dobrze, że pracownicy państwowi muszą co dzień chodzić do swoich urzędów i że ten akurat urząd znajduje się w samym centrum Moskwy, można powiedzieć – na oczach wszystkich. Wystarczy stanąć i cierpliwie poczekać, a potrzebny człowiek niewątpliwie wcześniej czy później się pojawi.

Sympatyczny czarnooki facet, zwany Michaiłem Aleksandrowiczem, oczywiście także się pojawił, co bardzo ucieszyło Parygina. To znaczyło, że tamten nie odszedł ze służby, nadal jest zatrudniony. Gdyby się zwolnił lub podjął pracę gdzie indziej, znacznie skomplikowałoby to całą rzecz. Niełatwo byłoby się wówczas dowiedzieć, kto przejął sprawę zabójstwa Szepielowa. Ale, chwała Bogu, Michaił Aleksandrowicz jest tam, gdzie był, zatem można przystąpić do realizacji zamierzonego celu.

Pierwszy dzień obserwacji nie przyniósł nic interesującego. Michaił wyszedł z pracy około pierwszej po południu i udał się do jakiegoś dziwnego miejsca, gdzie spędził czas prawie do siódmej wieczorem. Co prawda, na budynku, do którego wszedł, znajdowała się tabliczka informująca, że mieści się tu Federacja Koszykówki, ale Parygin był przekonany, że to lipa. Czego wywiadowca miałby szukać w środowisku koszykarzy? Z pewnością nie zabójcy obywatela Szepielowa.

Parygin odprowadził Docenkę do samego domu, a nazajutrz rano zobaczył go wychodzącego stamtąd, gdyż na swoim punkcie obserwacyjnym pojawił się już o siódmej. Tym razem Michaił znów pojechał najpierw na Pietrowkę, a potem gdzieś na jakieś zadupie, do Oriechowa-Borisowa, na ulicę Jesionową. Nie zabawił tam długo, i znów Parygin włókł się za nim przez całe miasto. Żadnego z trzech dziwnych gości nigdzie nie zauważył.

Nie zamierzał jednak działać pochopnie. Wiedział, że niekiedy trzeba czekać bardzo długo, a szczęście uśmiecha się tylko do tych, którzy potrafią być cierpliwi. Będę musiał jutro wpaść do przychodni, przedłużyć zwolnienie, pomyślał, wracając późnym wieczorem do swego drugiego mieszkania, do Lolity i bratanka.

*

Rozmowna damulka z Federacji Koszykówki mimochodem podsunęła Miszy pomysł, że najlepszym sposobem nawiązania znajomości z Anną Łazariewą będzie flirt. Byłą koszykarkę odnalazł w rejonie stacji metra Profsojuzna, gdzie dziewczyna prowadziła stoisko z prasą. Z daleka wydawała się Michaiłowi niezbyt wysoka, ale kiedy podszedł bliżej, zobaczył, że Anna nie stoi, lecz siedzi na składanym krześle. Zdecydowanie nie była piękną, rysy miała nieregularne, nos zaczerwieniony od mrozu, a nieobecny wyraz twarzy bynajmniej nie sprzyjał nawiązaniu z nią kontaktu.

– Dzień dobry – rzucił wesoło Docenko. – Proszę mi doradzić, co mógłbym poczytać w podróży.

Anna podniosła na niego nierozumiejące i jakieś senne spojrzenie.

– Słucham?

– Mówiłem, że przede mną daleka droga. Co mógłbym u pani kupić do poczytania?

– Proszę wybierać – odparła obojętnie. – Wszystko jest wyłożone.

– Chciałbym coś ciekawego. Proszę mi doradzić, przecież pani lepiej ode mnie zna te wszystkie wydawnictwa. Kupię na przykład za dwadzieścia tysięcy to arcydzieło poligrafii – Misza na chybił trafił wskazał palcem jaskrawą okładkę „Playboya” w foliowej koszulce – a w środku nie znajdzie się nic do czytania, same reklamy.

Usta dziewczyny drgnęły w ledwie zauważalnym uśmiechu.

– Tam akurat nie ma reklam, tylko gołe dziewczyny, wam, mężczyznom, to się podoba. Niech pan weźmie.

– Ależ co pani! – Misza zrobił oburzoną minę. – Czy ja wyglądam na człowieka,

któremu takie rzeczy mogą się podobać? Nie, mnie chodzi o coś z sensem, nad czym można pomyśleć. Jest takie doskonałe pismo, „Nauka i Życie”. Ma je pani może?

– Nie, nie dostaję. Niech pan weźmie „Ścisłe Tajne”, są tam ciekawe artykuły. I jest o czym pomyśleć.

– Proszę mi dać.

Sięgnął po portfel, jednocześnie obrzucając wzrokiem stoisko.

– A co to za książki leżą tam, z boku?

– Te tutaj? To romanse, powieści o miłości. Nie zainteresują pana.

– Dlaczego pani tak sądzi?

– Mężczyźni nigdy ich nie kupują. To lektura dla kobiet.

– Nonsens – zdecydowanie zaprotestował Michaił. – Nie istnieje na świecie nic ważniejszego i bardziej interesującego niż miłość we wszystkich jej przejawach. Zawsze z przyjemnością czytam romanse, jeśli tylko są dobrze napisane. A pani je czytała?

– Te tutaj? Oczywiście. Siedzę tu przecież całymi dniami. Czytam wszystko, co przywożą do sprzedania.

– Więc proszę mi coś wybrać wedle swojego gustu – poprosił Docenko.

– A jeśli się panu nie spodoba?

– To niemożliwe. Jestem pewien, że ma pani dobry gust.

Anna sięgnęła na skraj stoiska i wyciągnęła dwie książki kieszonkowego formatu, w jaskrawych okładkach.

– Proszę rzucić okiem na te. To chyba najlepsze. Naprawdę kupuje pan dla siebie, a nie dla żony?

– Nie, kochana, na razie się jeszcze nie ożeniłem. Pewnie dlatego, że czytam za dużo powieści o miłości. – Misza uśmiechnął się czarująco. Mówił powoli, z naciskiem, żeby ani jedno wypowiedziane przez niego słowo nie umknęło uwagi sprzedawczyni. – Karmię się tymi obrazami szczęśliwej miłości i sam chciałbym taką znaleźć. A ona wciąż nie przychodzi.

– Akurat. – Twarz Ani ożywiła się. – Taki przystojny młody człowiek i nieżonaty. To niemożliwe.

– Mój Boże, dziewczyno... Przepraszam, jak pani ma na imię?

– Ania.

– A mnie Misza. No więc, Aniu, kto pani powiedział, że uroda to gwarancja szczęścia w miłości? Niech pani spojrzy na mnie, jestem żywym przykładem tego, że to nieprawda. Szczęśliwi w miłości są nie ci, którzy dobrze się prezentują, lecz ci, co umieją kochać. Zgadza się pani? Jestem gotów się założyć, że wie pani o tym nie gorzej ode mnie. Oczy panią zdradzają.

– Jak to?

– A tak. Widzę po oczach, że wiele pani wycierpiała z powodu nieodwzajemnionej miłości. I dlatego stała się pani mądra i spokojna. Zgadłem?

– Dziewczyno – wtrąciła się stojąca obok kobieta, która podeszła już dawno i spokojnie czekała, aż sprzedawczyni zwróci na nią uwagę, ale widać jej cierpliwość już się skończyła – daj mi „Poradnik Domowy” i „Gazetę dla Kobiet”. Ile można gadać, bój się Boga!

– Przepraszam. Proszę bardzo.

Anna szybko podała kobiecie pismo i gazetę, odliczyła resztę. Docenko zrozumiał, że dziewczyna boi się, żeby nie odszedł, kiedy ona będzie zajęta klientką. Gdybyż tylko wiedziała, że nie zamierza ruszyć się na krok, dopóki się z nią nie umówi!

– Nie marznie pani, siedząc tak cały dzień na mrozie? – zapytał współczująco. – Powinna pani trochę się poruszać, zrobić parę kroków dla rozgrzewki.

– Nie, jestem przyzwyczajona. – Uśmiech Ani nie był już bojaźliwy. – Trochę mi zimno, oczywiście, ale można wytrzymać.

Michaił zrozumiał, że często muszą się zdarzać sytuacje, kiedy Anna krępuje się swego wzrostu, i dlatego nie wstaje również i teraz, podczas rozmowy z nim.

– Chętnie przyniosę pani gorącej kawy. Można dostać tu obok, w kiosku. Sam też się napiję, lubię pić kawę w miłym towarzystwie.

– Dziękuję panu. – Wsunęła rękę do kieszeni, by wyjąć pieniądze.

– Ależ co pani! – powstrzymał ją Michaił. – Nie trzeba. Zaraz wracam.

Nie minęły trzy minuty, gdy zjawił się z powrotem, podając Annie plastikowy kubeczek z niezbyt gorącą kawą i kanapkę z salami w serwetce.

– Czekają pan na kogoś? – spytała, a w jej głosie było tyle beznadziejnego smutku, że Docenko poczuł ukłucie w sercu.

– Nie – odparł z jak najszczerzej udanym zdziwieniem.

– Dlaczego pani sądzi, że na kogoś czekam?

– Cóż. – Wzruszyła ramionami i upiła spory łyk kawy.

– Pomyślałam po prostu, że ktoś, kto śpieszy się dokądś w swoich sprawach, nie będzie tracił tyle czasu tylko po to, żeby postawić nieznamym dziewczynie kawę.

– No, po pierwsze, dziewczyna nie jest już nieznamym, skoro ja znam jej imię, a ona moje.

– A po drugie?

– Po drugie, bardzo rzadko się zdarza, żeby przypadkiem nawiązana rozmowa z obcą osobą nagle stała się interesująca. I jeśli już coś takiego się człowiekowi przytrafi, nie wolno tego zlekceważyć. Warto wtedy odłożyć nawet ważne sprawy. Tak że może mi pani wierzyć – na nikogo tutaj nie czekam.

– I co, naprawdę przyjemnie się panu ze mną rozmawia?

– Oczywiście. Przysięgam na wszystkie świętości – żartobliwie zaklął się Misza, mrugając łobuzersko. – Tyle że co do jednego ma pani rację, rzeczywiście pędziłem w swoich sprawach. Muszę jechać na drugi koniec Moskwy, do stacji Ałtufiewo, dlatego chciałem kupić coś do poczytania w metrze. I teraz mamy tylko dwa wyjścia.

– Jakie?

– Pierwsze: nie stawiam się na ważne spotkanie służbowe i zostaję, żeby dalej z panią rozmawiać. Następnie szef obdziera mnie ze skóry bez znieczulenia i cierpię zasłużone męki. Drugie: jadę na spotkanie, bo istotnie jest ważne, ale rozmowę będziemy kontynuować. A pani, Anieczko, powie mi, gdzie i kiedy.

Wiedział, że ucieka się do prymitywnego, taniego chwytu, ale czas naglił. I tak dwa dni stracił na to, by poznać nazwisko byłej koszykarki, której odbiło.

Anna popatrzyła na niego w zamyśleniu, po czym gwałtownie zerwała się ze swego krzeselka. Była oczywiście trochę za wysoka nawet dla Docenki, który miał metr osiemdziesiąt dziewięć wzrostu, ale nie na tyle, żeby wyglądało to śmiesznie. Przeciwnie, w oczach przeważającej większości ludzi mierzących poniżej metra osiemdziesiąt wyglądali właściwie na osoby tego samego wzrostu.

– I co, nadal chce pan ze mną rozmawiać? – zapytała Anna z nieoczekiwaną złością. Agresja pojawiła się nagle, nic jej wcześniej nie zapowiadało. Jeszcze przed chwilą dziewczyna siedziała, lekko przygarbiona, na swoim niewygodnym, niskim krzeselku, jadła kanapkę, popijała kawę i nieśmiało uśmiechała się do Miszy w obawie, że ten zaraz odwróci się i odejdzie, i nagle jej głos stał się napięty, usta się zacięły, oczy rozbłyły, a zaczerwienione od mrozu policzki pobladły.

– Ma pani na myśli swój wzrost? Przecież i ze mnie nie ułomek. Może być między nami różnica pięciu centymetrów, nie więcej. Niech mi pani pokaże swoje botki. No tak, tak właśnie myślałem, platformy. Czyli w rzeczywistości różnica jeszcze mniejsza. I w ogóle, Anieczko, nie rozumiem, co ma do tego pani wzrost. Szczerze mówiąc, o wiele bardziej interesuje mnie dusza. Dlaczego pani się złości? Czyżbym panią czymś obraził?

Nie odpowiedziała, w milczeniu usiadła z powrotem na krześle i zaczęła liczyć gazety leżące w dużym pudle. Ręce jej się trzęsły i Docenko zorientował się, że Ania jest zdenerwowana i potrzebuje paru chwil, żeby opanować emocje.

– O której kończy pani pracę?

– Koło siódmej. Czasem siedzę do ósmej. Zależy kiedy samochód przyjedzie – odpowiedziała cicho, nie podnosząc głowy.

– Więc jeżeli tu wrócę o siódmej, zastanę panią?

– Nie wiem. Być może.

– Wobec tego będę o szóstej – obiecał wesoło Docenko.

– Tylko proszę mi dać słowo, że do mojego powrotu przestanie się pani złościć. Ile płacę za pismo i te dwie książki?

– Szesnaście pięćset – cicho mruknęła Ania.

Docenko uregulował należność, wsunął do aktówki zakupioną lekturę i zniknął w zejściu do metra.

*

Na stację Profsojuzna wrócił o wpół do siódmej. Jakiś czas stał niezauważony w

pewnej odległości, obserwując Łazariewą. Dziewczyna co chwila spoglądała na zegarek i za każdym razem jej twarz mroczyła coraz bardziej. W którymś momencie Misza pomyślał, że Ania zaraz się rozplacze, i uznał, że nie powinien dłużej zwlekać. Kupił w pobliskim kiosku wspaniałą białą różę na długiej łodydze i podszedł do dziewczyny.

– Dobry wieczór, Anieczko! Nie zapomniała pani o mnie?

Jej twarz zajaśniała taką radością, że Misza poczuł się głupio. To, co opowiadała mu pracownica Federacji Koszykówki, okazało się prawdą. Ania Łazariewa istotnie w każdym mężczyźnie, który zwrócił na nią uwagę, gotowa była widzieć romantycznego wielbiciela, a nawet narzeczonego. No a jeśli ów mężczyzna był przystojny i słusznego wzrostu...

– To dla pani. – Wręczył jej różę. – Obawiam się tylko, że kwiatek zmarznie, kiedy my będziemy rozmawiać o pułapkach miłości. Proszę mi sprzedać jakąś gazetę, to go opakuję. Zawinę różę w kilka warstw papieru, będzie biedaczce cieplej. Kiedy się pani spodziewa swoich wybawców?

– Moich... kogo?

– Tych, którzy zabiorą niesprzedaną prasę i pozwolą pani wrócić do domu.

– Nie wiem. Chyba wkrótce. Śpieszy się panu?

– Nie. Nigdzie mi nie pilno, załatwiłem wszystkie sprawy i przyjechałem, żeby odprowadzić panią po pracy, dokąd tylko pani zechce. Mam nadzieję, że nie mieszka pani w domu obok?

– W Oriechowie-Borisowie. To daleko. Od metra jeszcze dwadzieścia minut piechotą.

– Wcale nie tak daleko, Anieczko. To świetnie. Czy ktoś czeka na panią w domu?

– Tylko rodzice.

– Wobec tego zapraszam panią na kolację. W cieple o wiele przyjemniej się rozmawia. Zgadza się pani?

– Nie jestem odpowiednio ubrana.

– Ale ja zapraszam panią do siebie do domu. Tak że ubiór nie gra roli.

– Nie wiem... Zaskoczył mnie pan.

Z tyłu zatrzymał się pick-up, z którego wysiadło dwóch rosnących chłopów.

– Aniućko-niezabudko, zbieraj się! – krzyknął jeden.

Docenko odszedł na bok, żeby nie przeszkadzać. Obserwował Annę Łazariewą, próbując dostrzec objawy braku równowagi psychicznej. Przesadna gwałtowność ruchów na zmianę z ich raptownym spowolnieniem, nieadekwatna reakcja na odzywki facetów, którzy przyjechali po prasę, rozdrażnienie, a następnie nie wiadomo czym wywołany histeryczny śmiech i wiele innych oznak mogłoby stanowić dla Michaiła sygnał, że z tą dziewczyną nie wszystko jest w porządku. Na razie jednak nic takiego nie rzuciło mu się w oczy. Ale przecież pamiętał przyływ nagłej złości w czasie ich pierwszej rozmowy. I trzęsące się ręce, i bezowocne próby uporania się z

nerwowością i wzburzeniem. Wszystko to widział i nie mógł zlekceważyć.

*

Do domu, gdzie mieszkał Michaił, ze stacji Profsojuzna dojazd nie był łatwy, musieli się dwa razy przesiadać na inną linię metra. Przez całą drogę Ania milczała i gdy tylko zwalniało się miejsce, siadała, prawdopodobnie po to, by jej wzrost nie rzucał się w oczy; potem szła przygarbiona i z rękami w kieszeniach. Dopiero przekroczywszy próg mieszkania nowego znajomego, odprężyła się i rozprostowała ramiona.

– Tak przemarzałam w ciągu dnia, że aż się boję rozebrać – wyznała. – Co wieczór mi się zdaje, że już nigdy się nie rozgrzeję.

– U mnie jest ciepło – zapewnił Docenko, pochwaliwszy się w duchu za to, że rano, wychodząc z domu, nie otworzył lufcika. Teraz w mieszkaniu było nie tylko ciepło, ale i duszno, czego nie znosił, ale Ani z pewnością to odpowiadało.

– Mieszka pan zupełnie sam? – zapytała.

– Z mamą, ale teraz mama jest w szpitalu.

– Coś poważnego? – W głosie Ani brzmiało szczere współczucie.

– Nie, po prostu pojawiła się możliwość umieszczenia jej w dobrej klinice, gdzie zrobią wszystkie badania, zaaplikują kurację witaminową i ogólnie ją wzmocnią. Niech się pani rozbierze, Anieczko, i pójdziemy do kuchni. Kucharz ze mnie marny, więc będziemy szykować kolację razem, a jeżeli okaże się niesmaczna, wspólnie po bohatersku ją zjemy.

Anna powoli, jakby niechętnie, rozpięła długą do kolan puchową kurtkę, zdjęła wełnianą czapkę i kozaczki na grubej podeszwie. Teraz wyglądała zupełnie inaczej niż jeszcze godzinę temu, kiedy siedziała, nieszczęśliwa i przemarznięta, z czerwonym nosem, nad swoimi gazetami i czasopismami. Pod kurtką miała piękny sweter w kolorze turkusowym, a dżinsy, ciasno opinające niewiarygodnie długie i umięśnione nogi, były modne i najwyraźniej nowe. Kiedy Anna zdjęła wełnianą czapeczkę, ściśle zakrywającą głowę i uszy, okazało się, że ma gęste, lśniące ciemnoblonde włosy, a do pracy, choć tak nieciekawej, wkłada kolczyki. Nie brylantowe, oczywiście, ale eleganckie, srebrne, wiszące, z turkusami, dobrane pod kolor swetra. Tak, pięknocią dawna zawodniczka zdecydowanie nie była, ale nie ulegało wątpliwości, że bardzo o siebie dba. Ciekawe, jakie też ma ręce, zastanawiał się Docenko, prowadząc gościa do kuchni i wydając z lodówki produkty potrzebne do przygotowania kolacji.

– Nawet nie wiem, jaki powinien być podział pracy – powiedział, niepewnie spoglądając na talerze i paczuski na stole. – Ma pani manikiur? Proszę pokazać ręce.

Ania posłusznie wysunęła dłonie. Docenko delikatnie ujął jej palce i zaczął je uważnie oglądać. Kamieńska mówiła, że pierwsza ofiara dusiciela miała na szyi ślady paznokci, u pozostałych zaś takich śladów nie znaleziono, czyli po dokonaniu pierwszego zabójstwa maniak musiał obciąć paznokcie. Coś tu się nie zgadzało...

Paznokcie Łazariewej były długie i zadbane. Chociaż to, oczywiście, jeszcze o niczym nie świadczyło. Tipy można kupić w każdej drogerii. Tak więc przede wszystkim należy ustalić, czy to własne paznokcie Anny, czy sztuczne, nakładane.

– Ma pani piękne ręce – powiedział z zachwytem. – Chyba trudno z takimi paznokciami zajmować się pracami domowymi?

– Wcale nietrudno. – Ania uśmiechnęła się. – W domu wszystko oprócz gotowania robię sama. Gotować nie umiem, ale piorę i zmywam.

– A jak długo trzeba zapuszczać takie pazurki? – niewinnie zainteresował się Misza.

– Około trzech miesięcy. Misza, obiecał pan kolację, a zajmuje się pan moimi rękami.

– Och, przepraszam. – Michaił udał zmieszanie. – Kiedy widzę coś niezwykłego, zapominam o wszystkim. A więc, Anieczko, przedstawiam pani do wyboru następujące czynności: obieranie kartofli, rozbicie kotletów, pokrojenie warzyw do sałatki. Na co się pani decyduje?

– Na to, co najprostsze. – Uśmiechnęła się ze skruchą. – Przyznałam się przecież uczciwie, że prawie wcale nie umiem gotować. Może obiorę ziemniaki, tu przynajmniej nie można niczego zepsuć.

– W porządku. Tutaj ma pani fartuch, tutaj nóż, garnek, a ziemniaki są w tej torbie.

Anna stanęła przy zlewie i wzięła się do roboty, a Misza tymczasem zajął się mięsem, usiłując sobie przypomnieć, co i w jakiej kolejności robiła mama.

– Aniu, a jak to się stało, że pani nie umie gotować? – zapytał, krojąc mięso na solidnej grubości kotlety. – Mama wyręczała panią w zajęciach domowych?

– Nie, skąd, mówiłam przecież, że w domu wszystko robię. Po prostu z natury nie mam do tego drygu. Staram się nawet, ale nic mi jakoś nie wychodzi. To nie dosolę, to przepieprzę, to nie dopiekę. Trzeba po prostu mieć wyczucie, a mnie go brakuje. Tak mówi mama.

– Nie, Aniu, nie chodzi o brak wrodzonego wyczucia, tylko o miłość. Niech mi pani wierzy. Dopóki mieszka pani z mamą, pani wyczucie pozostaje uśpione, ponieważ mama i tak zawsze coś ugotuje. Ale kiedy stanie pani przed koniecznością nakarmienia ukochanego mężczyzny, i to w dodatku smacznie, żeby się do pani nie rozczarował, a będzie to pani musiała zrobić sama, nie mając się kim wyręczyć, wtedy wszystko doskonale się uda. Zmobilizuje pani rezerwy wewnętrzne, i to, co w pani do tej pory drzemało, przebudzi się i zaktywizuje.

– Myśli pan?

Przerwała obieranie kartofli i odwróciła się do Miszy.

– Jestem pewien.

– I musi to być koniecznie ukochany mężczyzna, inaczej nic nie wyjdzie?

– Wystarczy, jeśli będzie się pani podobał. Ważne, żeby zależało pani na tym, by się nie rozczarował.

– To znaczy, że jeśli spróbuję ugotować kolację dla pana, musi mi się udać?

Tak, dama z federacji nic a nic nie przesadziła, opowiadając o Annie Łazariowej. Dziewczyna już gotowa była przystąpić do sprecyzowania ich wzajemnych relacji i widoków na przyszłość. Zaraz uczepli się go jak pijawka i zaczęła wymuszać deklaracje na temat pokrewieństwa dusz i dalszych perspektyw ich znajomości. Trudno, nie ma rady, trzeba ciągnąć tę grę, sam ją przecież zaczął.

– A co, podobam się pani? – zapytał.

– Tak. Inaczej bym do pana nie przyszła.

– Zatem do dzieła, Anieczko. Wycofuję się z działalności kulinarnej, żeby nie zakłócić warunków eksperymentu. Spróbujemy?

– Chce pan zaryzykować? – Ania uśmiechnęła się chytrze.

– A jeżeli oszukałam pana i wcale mi się pan nie podoba? Wtedy wszystkie te dobra zostaną zmarnowane, bo zjeść tego, co ugotuję, i tak pan nie da rady.

– Chyba zaryzykuję. Ponieważ sam też nie umiem gotować, z pewnością gorzej nie będzie. A może moja teoria okaże się słuszna? Wtedy mam szansę na prawdziwą ucztę w środku roboczego tygodnia.

– No cóż... Lubię zdecydowanych mężczyzn.

Wróciła do obierania kartofli. Misza usiadł przy kuchennym stole i uważnie ją obserwował, jednocześnie gładząc coś mechanicznie na temat powieści o miłości. Mężczyzna dobrze znający i z przyjemnością czytający tego rodzaju literaturę to wielka rzadkość, więc Docenko po długim namyśle wybrał sobie właśnie takie hobby, chociaż naprawdę od romansów go po prostu mdliło. Ale kobiety brały się na to błyskawicznie i bez pudła. Nawet te, które takiej lektury same nie lubiły i romansów nie czytywały. Urzekła je po prostu niezwykłość sytuacji. Można przecież nie lubić psów, ale trudno nie zwrócić uwagi na psa o dwu głowach. Tak więc już od dwóch lat Misza Docenko kupował i starannie, z ołówkiem w ręku, studiował historie miłosne pióra zagranicznych autorek, wyszukiwał i odnotowywał podobieństwa i różnice, starał się zapamiętać tytuły książek i imiona bohaterów. „Hobby” okazało się bardzo pożyteczne, i im bardziej rosła liczba kobiet, których życzliwość udało mu się zdobyć i dzięki temu uzyskać od nich cenne dla wykrycia przestępstwa informacje, tym mniejszy odczuwał wstręt do tej szczególnej lektury. Podobne doświadczenie miał w dzieciństwie z białym serem. Mały Misza uczęszczał na zajęcia sekcji sportowej i wciąż łamał to rękę, to nogę, i to w sytuacjach, kiedy jego koledzy wykpiwali się zwykłymi siniakami. Lekarz powiedział wtedy mamie Miszy, że chłopiec ma niedobór wapnia, i dlatego właśnie jego kości są tak kruche. Dzieciak powinien zażywać specjalne preparaty i spożywać więcej produktów zawierających wapń, zwłaszcza ser i twaróg. Misza nie cierpiał twarogu, dławił się nim, ale mama zmuszała go do jedzenia... Po roku kości stały się mocniejsze i już nie łamały się przy każdym upadku. Po dwóch latach Misza znów zaczął uprawiać sport, a znienawidzony twarożek jadł po dziś dzień. W końcu ser nie mógł być aż tak paskudny, jeśli przynosił całkiem

wymierne i oczywiste korzyści.

Snując rozważania na temat bohaterów i bohaterek zagranicznych romansów, Misza obserwował zręczne ruchy swojego gościa. Dziewczyna kłamie, że nie umie gotować, pomyślał w pewnej chwili. Wszystko doskonale potrafi. To pułapka, zwyczajna pułapka na mężczyzn. Ach, Anieczko, Anieczko! Tak, rzeczywiście wieszasz się na szyi każdemu, kto okaże ci odrobinę zainteresowania, i w swoim arsenale w ciągu wielu lat zgromadziłaś bogaty repertuar środków. Nie jesteś wcale taka naiwna, za jaką chcesz uchodzić.

–...ta powieść doczekała się ekranizacji, moim zdaniem niezbyt udanej. Widziała pani *Przepastną toń miłości*? Szło to w telewizji chyba w połowie grudnia.

– Nie – odpowiedziała, nie odwracając się.

– Naprawdę pani nie widziała? A może po prostu pani nie pamięta? Richardson grał tam Michaela...

– Nie, nie widziałam. To dobry film?

– Nie bardzo. Książka jest o wiele lepsza...

No cóż, pierwszego sprawdzianu, Anieczko Łazariewa, nie zaliczyłaś. Docenko przygotowywał się do nawiązania znajomości z dziewczyną naprawdę gruntownie, zawczasu obmyślając, jak i na czym będzie próbował ją przyłapać. Zwłaszcza bardzo starannie przestudiował wieczorny program telewizyjny, z tych dni, kiedy dokonano siedmiu zabójstw, i zapamiętał, jakie audycje i filmy wtedy szły. Amerykański obraz *Przepastna toń miłości* pokazywano akurat tego wieczoru i w tym czasie, kiedy zginęła czwarta ofiara. Gdyby Anna widziała ten film, mogłoby to stanowić dla niej alibi. Oczywiście należałoby jeszcze sprawdzić, czy oglądała go właśnie w grudniu i w telewizji, a nie na wideo, ale zawsze byłby to jakiś punkt wyjścia.

– Misza, gdzie trzyma pan pieprz?

– W szafce, po prawej. Wszystkie inne przyprawy też tam stoją. Aniu, czy uprawiała pani sport?

– Koszykówkę – odpowiedziała krótko.

– Z powodzeniem?

– Jak najbardziej.

– Dawno rzuciła pani sport?

– Dwa lata temu. Na której patelni smaży pan mięso?

Docenko zorientował się, że Anna niechętnie rozmawia o swojej karierze sportowej. Cóż, to zupełnie naturalne, jeśli sprawia jej to przykrość. Ale sprawdźmy, czy rzeczywiście takie to Annie niemiłe.

– A dlaczego zrezygnowała pani ze sportu?

– Byłam za stara. Mogę prosić o miskę do sałaty?

Docenko wstał i wyjął z szafki ładną plastikową miskę.

– Proszę. Ile pani ma lat? Czy może nie wypada o to pytać?

– Dwadzieścia dziewięć. Misza, nie mówmy o tym, dobrze? Opowiadał pan o

ekranizacjach...

– Tak, dobrze, że mi pani przypomniała. Właśnie chciałem panią zapytać o to i owo jako eksperta, bo mimo wszystko trudno mi czasem zrozumieć kobiecy punkt widzenia. Czytała pani *Twój słodki obraz*?– Czytałam.

– Więc niech mi pani powie, czy to możliwe, żeby kobieta z powodu jednej jedynej nieszczęśliwej miłości zapalała nienawiścią do całego świata? Kiedy czytałem tę książkę, wydawało mi się to trochę... powiedzmy, naciągane. Jestem przekonany, że nie ma kobiety, która choć raz nie przeżyłaby takiej porażki. Wszystkie przez to przechodzą, ale gdyby z tej przyczyny miały doznać tak straszliwego urazu psychicznego, na świecie panowałyby jedynie nienawiść. A przecież nie jest tak. Większość kobiet to istoty najzupełniej normalne i spokojne. W każdym razie nam, mężczyznom, tak się wydaje. Ale możliwe, że się mylimy. Co pani o tym sądzi, Anieczko?

Nie było odpowiedzi. Anna przewróciła na patelni mięso, starannie umyła pod kranem pomidory, ogórki, natkę i koperek, przygotowała deskę do krojenia, a potem przesadnie długo wybierała odpowiedni nóż. Milczenie przeciągało się, i Miszy wcale się to nie podobało. Wreszcie Anna odezwała się:

– Nic nie sądzę. Niektóre kobiety łatwo się godzą nawet z dziesięcioma nieszczęśliwymi miłościami. A inne z powodu jednej jedynej zupełnie się załamują. To bardzo indywidualna sprawa. Zależy od psychiki.

Nagle krzyknęła, cisnęła nóż do zlewu i podniosła palec do ust.

– Do diabła, skaleczyłam się.

Docenko zerwał się i zaczął szukać bandaża i jodyny. Anna stała blada jak płótno, kropla krwi kapnęła na jasne linoleum. Misza zręcznie opatrzył skaleczony palec i podsunął dziewczynie krzesło.

– Niech pani posiedzi spokojnie, sam zrobię sałatkę. Bardzo boli?

– Nie, po prostu się przestraszyłam. – Anna próbowała się uśmiechnąć. – Nie znoszę widoku krwi.

Ręce jej się trzęsły, twarz wciąż była blada, prawie biała. Michaił kroił warzywa i zastanawiał się nad jej dziwnym zachowaniem. Widział na własne oczy, jak zręcznie Ania obchodziła się z nożem. Prawie nie patrzyła na ręce, jej ruchy były sprawne, niemal mechaniczne. Jak zdołała się skaleczyć? Czyżby poruszony przez niego temat był dla niej tak bolesny, że straciła panowanie nad sobą? A może celowo przejechała nożem po palcu, żeby odwrócić jego uwagę i uniknąć dalszych rozważań? Jeżeli tak, to jej zachowanie na pewno nie mieści się w granicach normy. Kiedyś uczono Miszę, że nienaruszalność cielesna jest jedną z największych wartości, wbudowanych w podświadomość. Każda interwencja chirurgiczna, każda operacja wywołuje uraz psychiczny, którego człowiek może sobie zrazu nie uświadamiać, nie odczuwać. Ale nawet drobne skaleczenie jest zakłóceniem owej nienaruszalności cielesnej. I co innego, jeśli dochodzi do niego na skutek nieszczęśliwego wypadku, co innego zaś,

gdy człowiek celowo rani się nożem. Cóż, pewne odchylenia od normy w psychice Anny Łazariewej bez wątpienia da się zauważyć.

Zbliżała się już północ, kiedy Docenko odprowadził Anię do domu. Kolacja upłynęła w miłej, spokojnej atmosferze. Kotlety okazały się bardzo smaczne, dziewczyna otrzymała należną porcję komplementów i pochwał, skaleczony palec nie bolał i Ania szczęśliwie o nim zapomniała. Docenko przezornie starał się nie prowokować dziewczyny i nie sprowadzać rozmowy na niebezpieczne tory, bojąc się, że znów chwyci za nóż. Anna robiła wrażenie trochę pobudzonej, ale to wydawało się Miszy zupełnie naturalne, jako że flirt zawsze ożywia i podnieca.

Im bliżej byli domu przy Jesionowej, tym większe napięcie wyczuwał w Łazariewej. Zdawał sobie sprawę, że oczekuje z jego strony jakichś szczególnych słów, obietnic, prośby o następne spotkanie, ale nie był właściwie pewien, jak powinien rozegrać sprawę. Fakt, że dziewczyna mogła budzić podejrzenia. W ciągu minionego wieczoru Misza zdołał sprawdzić, czy była w domu w czasie, gdy dokonano jeszcze dwóch zabójstw, niby to od niechcienia, mimochodem, zadając pytania na temat programu telewizyjnego i filmów. Okazało się, że Anna akurat wtedy nie oglądała telewizji, co – z jednej strony – świadczyło przeciwko niej, z drugiej zaś – jeszcze o niczym nie przesądzało. W końcu nikt nie ma obowiązku gapić się w skrzynkę, nawet jeśli siedzi w domu. Ale te trzęsące się ręce... I skaleczenie...

Jak się wobec niej zachować? Podtrzymać znajomość, umawiając się na następny raz? Czy też w zawołany sposób dać jej do zrozumienia, że pierwsze spotkanie było jednocześnie ostatnim?

Kiedy od wejścia do klatki schodowej dzieliło ich już tylko kilka kroków, Docenko podjął decyzję. Musi Annę rozpracowywać dalej, gdyż na razie sprawa pozostaje niejasna.

I nawet jeżeli dziewczyna okaże się niewinna, będzie można uzyskać od niej informacje na temat innych koszykarek z odchyleniami od normy. Damulka z federacji wie dużo, to prawda, ale z pewnością nie wszystko, poza tym Misza nie może wypytywać jej zbyt natrętnie, gdyż może to wzbudzić podejrzenia.

– Czy codziennie mogę panią znaleźć tam, gdzie dzisiaj?

– Oprócz wtorków i sobót. A zamierza pan mnie szukać?

– Oczywiście. Miłość to bardzo szerokie zagadnienie, a my dopiero zaczęliśmy je omawiać.

– Wobec tego będę czekała. – Zbliżyła twarz do jego twarzy, najwyraźniej oczekując pocałunku, ale Docenko postanowił utrzymać dystans i lekko się cofnął. – Mam nadzieję, że nie potrwa to zbyt długo – dodała niemal szeptem.

– W żadnym wypadku – przyrzekł głośno i wesoło. - Inaczej po prostu umarłbym z głodu. Dopóki mama będzie w szpitalu, oprócz pani nie ma nikogo, kto by mnie karmił. Zwłaszcza że doskonale to pani wychodzi.

– No widzi pan – nadal mówiła bardzo cicho, jakby chcąc go zmusić, żeby się

zbliżył – to znaczy, że pańska teoria jest słuszna. A tak przy okazji, nie boi się pan głodować w te dni, kiedy nie pracuję przy Profsojuznej?

– Boję się. I będzie mi pani musiała dać swój telefon, żebym mógł być spokojny.

Zapisał numer telefonu Anny, który i tak już znał od wczoraj.

– No dobrze, Anieczko, dziękuję za miły wieczór, muszę lecieć, bo ostatnie metro mi ucieknie.

Mimo to Anna zdecydowała, że nie pozwoli mu odejść bez pocałunku, lecz Docenko zręcznie podstawiał jej policzek, udając, że na nic więcej nie liczył. Oddalił się już spory kawałek od jej domu, ale skręcając za róg, jeszcze się obejrzał. Anna stała na chodniku, odprowadzając go wzrokiem.

ROZDZIAŁ 5

Minęło już pięć dni, a Władimir Borisowicz Mielnik wciąż jeszcze zapoznawał się ze sprawami, które prowadzili jego nowi podwładni. Część teczek już zwrócił, pozostałe trzymał na razie u siebie, od czasu do czasu wzywając któregoś z pracowników i prosząc o dodatkowe wyjaśnienia. Przyszła również kolej na Korotkowa.

– Juriju Wiktorowiczu, zapoznałem się z materiałami w sprawie zabójstwa na Dworcu Paweleckim. Jest tam oczywiście sporo niedoróbek i luk, ale nie będziemy teraz o tym mówić. Jakość pracy sekcji zabójstw będzie tematem specjalnego zebrania, uprzedzałem o tym wszystkich. Teraz chodzi o tego nieszczęsnego Mamontowa. W materiałach rzeczywiście nie ma nic, co pozwoliłoby stwierdzić, że Mamontow był pańskim informatorem. Ale także nic, co zaprzeczałoby tej tezie. Jak wobec tego, pańskim zdaniem, mam rozumieć fakt ukazania się wiadomego artykułu?

– Władimirze Borisowiczu, prosiłem pana o pozwolenie na spotkanie z dziennikarzem, który go napisał, ale pan się nie zgodził.

– I postąpiłem słusznie. Najpierw sam musiałem się przekonać, że jest pan w porządku. Mam nadzieję, że nie spotkał się z nim pan bez mojej zgody?

Korotkow uśmiechnął się. Gdyby doba liczyła siedemdziesiąt dwie godziny, mógłby olać wszystkie zakazy szefa. Ale ponieważ było tych godzin tylko dwadzieścia cztery, z trudem zdążali tak ułożyć czas, by wypełnić zadania, które Mielnik zlecał i z których surowo rozliczał. O tym, żeby zrobić coś, czego zabronił, nie można było nawet marzyć. Gdy szefował im Pączek, oficerowie operacyjni sami planowali czas i kolejność swoich działań, ale Mielnik wprowadził nowe porządki – każdy pracownik rano musiał mu przedstawić plan pracy na dany dzień, a wieczorem złożyć z niego sprawozdanie punkt po punkcie. Aż dziw, skąd brał takie głupie pomysły, bo sam przecież kiedyś był oficerem operacyjnym. A wyglądało tak, jakby nigdy nie pracował w wydziale kryminalnym i nie wiedział, jak trudno wywiadowcy z góry zaplanować czas.

– Proszę na jutro umówić się z Baglukiem, niech sam wyjaśni, skąd uzyskał informację o pańskiej współpracy z Mamontowem.

– Towarzyszu pułkowniku, facet nic nie powie, doskonale pan o tym wie. Nawet nie ma obowiązku niczego wyjaśniać, przecież mamy wolność prasy. Wyjaśnień może od niego zażądać tylko sąd, jeżeli pozwiemy gazetę o naruszenie dobrego imienia, szkalowanie itede, no i zwierchnicy Bagluka, oczywiście. Ale nikt więcej. Jeżeli wyrazi pan zgodę, żebym chociaż wstępnie rozpracował tego gościa...

– Dobrze – przerwał mu Panisko. – Tylko niech się pan za bardzo nie angażuje, nie ma na to czasu. Nie możemy pozwolić, żeby dziennikarze myśleli, że wszystko im ujdzie na sucho i mogą nas bezkarnie obrzucać błotem. Dobrze by było, gdyby ten Bagluk okazał się w coś zamieszany. Wtedy moglibyśmy odpowiedzieć na cios, nie wdając się z nim w bezpośredni kontakt. Niech pan zbierze jak najwięcej kompromitujących materiałów, a ja już znajdę człowieka z lekkim piórem, który napisze odpowiedni artykuł i umieści go, gdzie należy. Powiem panu więcej, Korotkow: nadal dopuszczam możliwość, że okłamuje mnie pan w sprawie Mamontowa. Mimo wszystko odnoszę wrażenie, że był pana stałym informatorem, chociaż pan twierdzi inaczej. Na dziś zadanie numer jeden to skuteczne uniemożliwienie wykorzystania nie wiadomo jak zdobytej informacji do zdekonspirowania naszej siatki agenturalnej. Potem rozpatrzmy się w tym wszystkim i sami dojdziemy, w jaki sposób wiadomość o Mamontowie przedostała się do prasy. Najważniejsze to sprawić, żeby dziennikarzom raz na zawsze przeszła ochota do publikowania tego rodzaju informacji. Zrozumiano?

– Tak jest, Władimirze Borisowiczu.

– Wobec tego oczekuję, że jutro rano przedstawi mi pan plan działania. Dopóki go nie zobaczę i nie zaakceptuję, niech pan nie podejmuje żadnych kroków na własną rękę. Nie wiem, jakimi zasadami kierował się w pracy Gordiejew, ale widzę, że nic dobrego z nich nie wynikło. Musicie się teraz przestawić i działać zgodnie z moimi zaleceniami.

Korotkow wyszedł z gabinetu szefa i wiedziony starym przyzwyczajeniem skierował się nie do siebie, tylko do Anastazji. Byli bliskimi przyjaciółmi od wielu lat i Jura po prostu nie wyobrażał sobie, jak można, otrzymawszy nowe instrukcje, nie podzielić się najpierw wrażeniami z Kamieńską.

– Asiu, Panisko w końcu dojrzał i postanowił wydać wojnę prasie – oznajmił bez wstępów.

– Długo to trwało – zgryźliwie zauważyła Nastia. – Wszyscy już prawie uznali, że zapomniał o artykule i o tym, że jako dobry zwierzchnik powinien bronić godności munduru.

– No cóż, prawdziwe z niego rosyjskie Panisko, długo zaprzęga, za to potem tak popędza konie, że za nim nie nadążysz. Jutro rano mam mu przedstawić plan rozpracowania Bagluka. Nieźle, co?

– A co, z góry założył, że facet ma nieczyste konto? Po co go rozpracowywać?

– Jest w tym pewien sens. Przecież nasze zadanie to przede wszystkim wyjaśnić, skąd Bagluk wziął tę idiotyczną, nieprawdziwą informację na temat Mamontowa. A w końcu...

– Poczekaj, Jura. – Nastia skrzywiła się i potarła czoło.

– Skąd taka niezachwiana pewność, że jest nieprawdziwa? Mamontow nie był twoim informatorem, ale nie wiesz, czy nie korzystał z jego usług ktoś inny.

– Stąd, że zwrócił się o pomoc do mnie, a nie do swojego kuratora! Gdyby współpracował z kimś innym, to czy dzwoniłby do mnie? Kim dla niego jestem? Ni brat, ni swat. Po prostu przesłuchiwałem go w sprawie zabójstwa na dworcu i tyle. Nic więcej. I musiałem przyznać, że nie ma przeciwko niemu żadnych dowodów. Dlatego śledczy go wypuścił. Mamontow doskonale wiedział, że jestem przekonany o jego winie, a w każdym razie o współudziale w przestępstwie, nie ukrywałem tego przed nim. W tej sytuacji powinien mnie unikać jak diabeł święconej wody. Więc skoro zdecydował się zadzwonić, to znaczy, że nie miał się do kogo zwrócić.

– Racja – przyznała Nastia. – Jeżeli oczywiście nie działał pod czyjąś presją. Weź pod uwagę, że ktoś mógł rozpocząć przeciwko tobie jakąś grę. Ostrą grę, z góry skazując nieszczęsnego chłopaka na śmierć. Faktycznie naprowadzili cię na trupa. Wiedzieli, że ty, jako oficer operacyjny, nie doczekawszy się Mamontowa na umówionym miejscu, pojedziesz do niego, żeby wyjaśnić, co się stało. I pojechałeś. A tam już czekało pięknie zaaranżowane, jeszcze ciepłe miejsce przestępstwa. Twoje szczęście, żeś w to nie wdepnął. Musiałbyś się potem z tego tłumaczyć do sądowego dnia.

– I tak się tłumaczę. Panisko mi nie wierzy, uważa, że coś przegapiłem, pokpiłem sprawę i wystawiłem Mamontowa. W dodatku nie rozumiem, o co chodzi z tym nagraniem, pamiętasz, mówię o artykule Bagluka. Nasza prasa pozwala sobie na różne numery, ale coś podobnego! Były już przecież afery z publikowaniem niesprawdzonych informacji i procesy sądowe. Nie wierzę, żeby redakcja puściła materiał Bagluka bez upewnienia się, że wszystkie fakty są prawdziwe. A więc znaczy, że jakieś nagranie było. Może Mamontow dzwonił do mnie w tej sprawie?

– Może. Słuchaj, bądź tak miły i przynieś wody, dobrze?

– Nastia podsunęła Korotkowowi pustą karafkę. – Męska toaleta jest bliżej.

– Ale leń z ciebie – mruknął Korotkow, biorąc naczynie.

– Za to dasz mi kawy i ciasta, tego smacznego, które miałaś wczoraj.

– No właśnie, wczoraj. – Nastia roześmiała się. – Już mi całe zjedli. Dam ci cukierka. No, nie targuj się, idź.

Po półgodzinie, kiedy zdążyli już wypić po dwie filiżanki kawy i zjeść do ostatniego czekoladowe cukierki, które ktoś ofiarował Nasti na Gwiazdkę, zajrzał Misza Docenko. Tak jak inni, pod koniec dnia pracy miał obowiązek zameldować Mielnikowi o wykonaniu bieżących zadań.

– Wybieram się na kolejne spotkanie z Łazariewą – poinformował. – Mielnik uważa, że idziemy w dobrym kierunku. Nawet pochwalił nas za to, że tak szybko się sprawiliśmy.

– Jesteś pewien, że to właściwy trop? – zdziwiła się Nastia.

Cóż, Wiktor Aleksiejewicz Gordiejew zawsze miał wątpliwości, aż do końca, do wyroku sądu, a niekiedy nawet po nim. Być może dlatego, że pracował w sekcji zabójstw dwa razy dłużej niż ich nowy szef i w związku z tym odnotował dwukrotnie

więcej błędów popełnionych przez oficerów operacyjnych i śledczych. Pączek był zaciekle przeciwnikiem kary śmierci. Za każdym razem, gdy się dowiedział, że znaleziono prawdziwego sprawcę przestępstwa, za które już ktoś siedział, a zdarzało się, że wykonano na nim wyrok, tracił spokój. „Wyobrażam sobie, jak się teraz czuje ten, kto znalazł dowody przeciwko niewinnemu człowiekowi – mówił. – Nie daj Boże mnie ani nikomu z was znaleźć się w jego skórze. Do śmierci sobie nie wybaczycie, będziecie się zadrećcać, że niesprawiedliwie odebrano komuś życie”. No cóż, Panisko jest młodszy, bardziej pewny siebie. Może to i dobrze.

– I co powiesz o Łazariewej? – zapytała Nastia Docenkę.

– Trudna sprawa. – Misza lekko się uśmiechnął. – To całkiem niegłupia dziewczyna, fakt, że niezbyt wykształcona, ale na pewno ma sporą wrodzoną inteligencję. I jest dosyć sympatyczna w obejściu. Ale nerwy łatwo jej puszczają, bez wątpienia. Nie bardzo nad sobą panuje. I wiecie co... – zająknął się –...rzeczywiście romantyczka z niej. Zwróciłem uwagę na to, jak się ubiera. To znaczy teraz, oczywiście, robi to, licząc na spotkanie ze mną. Ale pierwszego dnia, wtedy kiedy zawarłem z nią znajomość, nigdzie się wieczorem nie wybierała, a wyglądała super. Człowiek ma wrażenie, że dziewczyna przez dwadzieścia cztery godziny na dobę czeka na swego księcia. Jest bardzo zadbana, wypielęgnowana, kolczyki w uszach, manikiur.

– Tak, manikiur – mruknęła Nastia w zadumie. – Manikiur absolutnie nas nie urządza. Odkąd napomknął mi pan o tym pierwszy raz, cały czas łamię sobie głowę i nie mogę... Mam! Przypomniałam sobie. – Uśmiechnęła się zadowolona. – A niech to, dwa dni się męczyłam. Teraz mnie olśniło. W jakiejś gazecie czytałam ogłoszenie reklamujące nowy rodzaj usług kosmetycznych, co prawda, obłędnie drogich. Za pomocą jakichś specjalnych preparatów czy urządzeń można sprawić, że błyskawicznie rosną włosy i paznokcie. Miszeńka, niech pan pędzi do swojej niezrównoważonej wielbicielki, a ja postaram się odnaleźć tę reklamę, sprawdzę, gdzie dokonują takich cudów, i dowiem się, czy Łazariewa nie zalicza się do klientek tej firmy. Jeżeli rzeczywiście korzystała z jej usług po dacie znalezienia ostatniej ofiary, możemy uznać, że nam się powiodło.

Kiedy za Docenką zamknęły się drzwi, Nastia siedziała chwilę wpatrzona niewidzącym spojrzeniem w okno, po czym dokończyła półgłosem:

– A jeżeli się okaże, że nie korzystała, wtedy wszystko na nic. To nie ona. Wiesz, Jura, okazuje się, że w nauce niekiedy można znaleźć pocieszenie. Przeczytałam ostatnio jeden ciekawy artykuł, chociaż tak naprawdę nie wiem, na ile wiarygodne jest to, co tam napisano. Otóż istnieje jakoby związek między datą urodzenia seryjnego mordercy i datami popełnionych przez niego przestępstw. Seria tych zabójstw to realizacja pewnego programu, który ktoś taki ma jakby zakodowany od urodzenia. I program ten musi być zrealizowany, bo tak chce natura. Dzieje się to niezależnie od wszelkich okoliczności zewnętrznych. Rozumiesz, co to znaczy?

– Ni cholery. – Korotkow wzruszył ramionami. – Za mądre dla mnie.

– Nie ma w tym nic nadzwyczajnego, po prostu nie chce ci się pomyśleć. Jeżeli realizacja programu jest niezależna od okoliczności zewnętrznych, to nikt nie może wpłynąć na zachowanie seryjnego zabójcy, czyli zidentyfikować go i odnaleźć, dopóki program nie zostanie w całości zrealizowany. Nie da się kogoś takiego odstraszyć, przekonać czy w jakikolwiek sposób powstrzymać od jego wypełnienia. Jeżeli się nie mylimy i zabójstw istotnie dokonała Łazariewa, to możemy ją rozpracować bez pośpiechu, bo nikogo więcej już nie zamorduje.

– Jasne, gdzieżby tam – zażartował Jura – przecież Miszka spędza z nią całe wieczory i odprowadza dziewczynę pod sam dom, nie pozwalając jej działać w charakterystycznej dla zabójcy porze, czyli o jedenastej w nocy.

– Ależ nie, nie o to chodzi. Łazariewa więcej nie będzie zabijać, ponieważ już zrealizowała program. Gdyby tak nie było, nie znaleźlibyśmy jej.

– A niech cię, Aśka! – rozeźlił się Korotkow. – Naprawdę wierzysz w te brednie? Nie masz nic lepszego do roboty niż zaśmiecać sobie mózg podobnymi teoriami? Pomóż mi lepiej ułożyć plan rozpracowania Bagluka.

– Aha, pewnie, za przyniesienie karafki wody będziesz mnie teraz eksploatował przez tydzień. No dobra, niech tam, bierzmy się do planu.

*

W wagonie metra było dosyć luźno, nikt Nasti nie dyszał w kark ani nie szturchał ją w żebra łokciem, nawet udało jej się znaleźć siedzące miejsce w rogu. Wyjęła z torby zbiór artykułów naukowych w skromnej, szarej okładce i raz jeszcze wróciła do publikacji, do której tak sceptycznie odniósł się Korotkow. Na podstawie analizy seryjnych zabójstw naukowcy sformułowali wniosek, że im młodszy jest przestępca, tym większa częstotliwość zbrodniczych epizodów. Siedem morderstw w ciągu dwóch tygodni. To by zdecydowanie świadczyło o tym, że maniakałny zabójca jest młody. A więc dwudziestodwujęcioletnia Łazariewa pasuje jak ulał. Istnieje jednak również inna zależność: im przestępca jest starszy, tym większa rozpiętość wieku ofiar. Siódemka zamordowanych to ludzie w różnym wieku, od dwudziestu siedmiu do czterdziestu dziewięciu lat, co z kolei stawia pod znakiem zapytania winę Łazariewej; przestępca powinien być starszy. Należałoby przygotować inne hipotezy, na wypadek gdyby się okazało, że mylili się co do koszykarki. No i nawiązać kontakt z naukowcami, którzy zajmują się seryjnymi zabójstwami. Może oni coś podpowiedzą...

–...prosimy o opuszczenie pociągu. Szanowni pasażerowie, wysiadając, nie zapominajcie zabrać swoich rzeczy.

O rzeczach pozostawionych przez innych pasażerów należy poinformować dyżurnego ruchu na stacji.

Nastia ocknęła się i szybko wysiadła z wagonu. Przypomnienie o rzeczach pozostawionych przez innych pasażerów wydało jej się dzisiaj szczególnie

złowieszcze. Życie dawno przestało być proste i zrozumiałe. Kiedyś obowiązywały twarde, nienaruszalne zasady: nie przyprowadzaj do domu przypadkowych znajomych i nie pozwól się do nich zapraszać, nie pożyczaj od nikogo pieniędzy, unikaj pijanych; to wszystko pomoże ci ustrzec się od nieprzyjemności. Teraz natomiast od słusznego czy, jak mówią Amerykanie, bezpiecznego postępowania niewiele zależy. W metrze czy autobusie może wybuchnąć bomba. Gdy przechodzisz przez jezdnię na zielonym świetle, może cię potrącić pędzący zagranicznym samochodem, odurzony alkoholem czy narkotykiem szaleniec. Oczywiście, maniakalni mordercy istnieli zawsze, i sto, i pięćset lat temu – na to nie było rady. Dlatego są tak groźni, że ich ofiarą może stać się każdy, choćby przestrzegał wszelkich zasad bezpiecznego zachowania. Ale mimo wszystko to co innego, kiedy zagrażają tylko psychopaci, a co innego, gdy w grę wchodzi bomby, piraci drogowi, terroryści wysadzający w powietrze budynki mieszkalne i szpitale. Człowiek nie wie, gdzie znajdzie się jutro i czy będzie jeszcze żył następnego dnia wieczorem. Boi się cokolwiek planować i przez to traci poczucie perspektywy życiowej. Przestaje wtedy dostrzegać przyszłość i pogrąża się z głową w teraźniejszości, starając się wycisnąć z niej, co się da, gdyż teraźniejszość przynajmniej istnieje, a czy będzie jakaś przyszłość, nie wiadomo.

Pod wieczór niespodziewanie się ociepliło i kiedy Nastia wyszła z metra na ulicę, znalazła się po kostki w brudnej brei roztającego śniegu. Nastrój, i tak nie najlepszy, odkąd odszedł Gordiejew, do reszty jej się zepsuł, zapragnęła najszybciej, jak można, znaleźć się w domu, i zrobiła to, na co zdecydowała się tylko w wyjątkowych okolicznościach – zatrzymała jakiegoś łebka. Kierowca okazał się bardzo rozmowny i przez całą drogę usta mu się nie zamykały, dobrze jeszcze, że nie domagał się odpowiedzi. Nastia z trudem wytrzymała kilkanaście minut jazdy, wsunęła facetowi banknot dziesięcioletni i z ulgą wysiadła z samochodu przed swoim domem.

W mieszkaniu było cicho i pusto, Loszka w Ameryce, nikt na nią nie czekał. Chwilę snuła się po pokoju, rozważając, czy zjeść kolację, czy od razu wziąć prysznic i się położyć. Głód jej doskwierał, ale nie miała ochoty szykować nic do jedzenia. W końcu zdecydowała się na kompromis: weźmie długą, gorącą kąpiel, poleży w wannie z książką, a potem postąpi w zależności od reakcji organizmu. Jeżeli uczucie głodu minie, co daj Boże, Nastia z czystym sumieniem wsunie się pod ciepłą kołdrę. Jeśli zaś jeszcze bardziej będzie jej się chciało jeść, wówczas skleci jakąś kolację z tego, co znajdzie w lodówce.

Przygotowanie kąpieli zajęło jej trochę czasu, trzeba było wybrać odpowiednią książkę, przenieść do łazienki telefon, znaleźć płyn do kąpieli. Nastia weszła do gorącej wanny, napełnionej pachnącą pianą, wyciągnęła się wygodnie i z błogością zamknęła oczy, czując, jak mijają dreszcze, które nękały ją stale w czasie jesiennych i zimowych chłódów. Już wyciągała rękę po książkę, kiedy zadzwonił telefon. Oczywiście była to matka, Nadieżda Rostisławowna, z tradycyjnym pytaniem:

– Co jadłaś?

- Dopiero weszłam do domu – skłamała Nastia. – Zaraz sobie zrobię kolację.
- Znowu kanapka z kiełbasą? – westchnęła matka.
- Parówki z kaszą gryczaną.

Powtarzało się to codziennie wieczorem. Świetnie znając swoją córkę, Nadieżda Rostisławowna mogłaby przewidzieć, że ta i tak nie powie prawdy, żeby jej nie martwić. Niemniej co wieczór – wystarczyło, że Aleksiej gdzieś służbowo wyjechał – dzwoniła, pytając o to samo, i otrzymywała tę samą odpowiedź. Zmieniały się w niej jedynie dodatki, ale parówki występowały na przemian z mrożonymi befsztykami.

Następny dzwonek rozległ się, kiedy Nasti udało się przeczytać może pięć stron pieczołowicie wybranej książki. Kola Siełujanow poszukiwał Korotkowa, a ponieważ nie zastał go ani w domu, ani w pracy, uznał, że najlepiej będzie zasięgnąć u Anastazji informacji, gdzie też Jurka się podziewa. Po następnych dwóch stronicach telefon rozdzwonił się krótkimi, szybkimi sygnałami – zamiejscowa. Głos męża był tak bliski i wyraźny, jakby Losza stał obok, koło wanny.

– Oczywiście nic nie jadłaś – zaczął bez długich wstępów.

– A ty, oczywiście, nazywasz się Nadieżda Rostisławowna – przedrzeźniła go Nastia. – Zrobiła mi już wykład na ten temat. Dlaczego wszyscy uważacie, że najważniejszą sprawą w życiu jest jedzenie? Pomówmy lepiej o czymś przyjemniejszym.

– Proszę bardzo – zgodził się ulegle Losza. – Znalazłem takie pantofle, jak chciałaś, i kupiłem od razu dwie pary, na zapas.

– Dziękuję, słoneczko, wspaniała wiadomość.

Tak, to rzeczywiście szczęśliwy traf. Trzy lata temu Nastia kupiła takie pantofle we Włoszech, a potem włosy sobie rwała z żalu, że przywiozła tylko jedną parę. Buty były z mięciusieńkiej skórki, niezwykle wygodne, czuła się w nich po prostu jak w kapciach. Stopy się nie męczyły i nawet jeśli puchły w czasie letnich upałów, czarodziejskie pantofelki nie cisnęły. W dodatku były na obcasiku i wyglądały naprawdę elegancko. Nastia, która do tej pory chodziła wyłącznie w sportowym obuwiu, w ciągu dwóch lat zносиła swoje cudowne pantofelki do granic wytrzymałości i teraz cierpiała na myśl o tym, że znowu będzie musiała wskoczyć w adidas, które na lato, prawdę mówiąc, są trochę za mało przewiewne. Niestety, jednak w żadnym innym obuwiu nie mogła chodzić. Poza, oczywiście, wspomnianymi pantofelkami. Ale w Rosji nie można było ich dostać.

Nie minęło pół minuty od chwili, gdy skończyła rozmowę z mężem, i telefon znów się odezwał. Częsty, nagły sygnał, a więc również zamiejscowa. Widocznie Losza zapomniał jej o czymś powiedzieć.

– Tak, słoneczko – zwróciła się do męża pieszczotliwie.

W odpowiedzi usłyszała speszone chrząknięcie.

– Dobry wieczór, Anastazjo Pawłowno.

Nastia drgnęła. Tego głosu nie spodziewała się usłyszeć. Czyżby znowu w jej

życiu zaczynały się problemy?

- Witam, Anatoliju Władimirowiczu – odpowiedziała z wyczuwalną rezerwą.
- Poznała mnie pani?
- Naturalnie, słuch mi dopisuje.
- Wszystkiego najlepszego na święta i nowy rok.
- Dziękuję, nawzajem.

Zapanowała chwila niezręcznego milczenia. Serce Nasti zabiło szybciej, po tym telefonie można się było spodziewać wszystkiego, ale na pewno nie dobrych wieści.

– Anastazjo Pawłowno, dzwonię właściwie... Z Eduardem Pietrowiczem nie jest najlepiej.

– Co mu...

– Rak. Chwała Bogu, lekarze mają nadzieję, że będzie można operować. Jutro przewieziemy go do Moskwy, w klinice już czekają.

– Bardzo z nim źle?

– Cóż... Obiektywnie rzecz biorąc, raczej nie. Samodzielnie się porusza, nadal się wszystkim zajmuje. Ale zna pani Eda, zawsze był ruchliwy, dziarski, energiczny. I to, że teraz musi się oszczędzać i szybko się męczy, to dla niego prawdziwa katastrofa. Są ludzie, dla których coś takiego jest rzeczą normalną, funkcjonują w ten sposób latami, ale on uważa, że życie się skończyło.

– Mogę jakoś pomóc?

– Dziękuję, Anastazjo Pawłowno, nie ma potrzeby, wszystko już zostało załatwione. Pomyślałem tylko, że przed operacją Eduard Pietrowicz na pewno zechce się z panią zobaczyć i porozmawiać, więc proszę, żeby pani niczego po sobie nie pokazywała, nawet jeśli wyda się pani, że bardzo źle wygląda. Wie pani, on jak dziecko gotów jest każdego pytać, czy widzi dla niego jakąś nadzieję. I wierzy we wszystko, co usłyszy.

– Dlaczego pan sądzi, że będzie chciał ze mną rozmawiać?

– Wiem o tym. Jest pani bardzo życzliwy.

– Nie mieliśmy kontaktu przeszło rok – powiedziała Nastia. – Na pewno już o mnie zapomniał.

– Myli się pani, pamięta panią i bardzo ciepło o pani mówi. A nie dzwoni dlatego, że nie chce przysparzać pani kłopotów. Ale przed operacją z pewnością się odezwie, może nawet poprosi, żeby pani go odwiedziła w klinice. Chyba mu pani nie odmówi?

– Oczywiście że nie. Przyjadę, jeśli zechce.

Denisow. Wszechmocny, potężny finansista, który ma w kieszeni całe miasto razem z administracją, milicją i wymiarem sprawiedliwości, bogaty jak Krezus. Człowiek, dla którego nie istnieją rzeczy niemożliwe. Dwukrotnie Nastia przychodziła mu z pomocą, raz sama zwróciła się o nią do Denisowa. Pomógł jej, choć zapłacił za to życiem własnego syna. Stosunki między nimi dwojgiem były skomplikowane. Eduard Pietrowicz nigdy nie prosił Nasti, by zrobiła coś, omijając prawo, w obu

wypadkach chodziło tylko o to, żeby pomóc w wykryciu przestępstwa i znaleźć sprawców. Ale Nastia Kamińska, która przepracowała w wydziale kryminalnym niejednym rokiem, zdawała sobie sprawę, że nie wolno bez zastrzeżeń liczyć na przyzwoitość i uczciwość bezwzględnie mafiosa. Oczywiście, chciała wierzyć, że Ed Burgundzki, jak nazywali go ludzie z jego kręgu, nie nadużyje jej zaufania i nie będzie próbował jej wciągnąć w jakieś podejrzanymachinacje. Ale ręczyć za to głową by nie mogła.

A teraz Denisow jest chory. Istnieją więc granice jego możliwości. Są rzeczy, na które człowiek nie ma wpływu pomimo niewyobrażalnego bogactwa i najwyższych nawet koneksji.

Nasti wydało się, że woda w wannie zupełnie wystygła. Dodała więc gorącej, ale nic nie pomogło, i zrozumiała, że to nerwy. Znowu trzęsły ją dreszcze. A tak dobrze się wszystko zaczęło! Pachnąca piana, dobra książka, telefon od Aleksieja...

Staną pod prysznicem, żeby się opłukać, nie czując najmniejszej przyjemności, choć tak lubiła celebrować wieczorną kąpiel. Nigdy nie wiadomo, kiedy dopadnie człowieka nieszczęście. Wybuch, terrorysta, maniackalny morderca. Albo nieuleczalna choroba. Żal jej Denisowa. Ale czy powinna go żałować? Tak, zdecydowała. Bez względu na jego konflikty z prawem. Każdy człowiek godzien jest współczucia, jeśli dopadnie go nieszczęście. Zwłaszcza takie.

Opatuliła się szlafrokiem i poszła do kuchni, czując nagły przypływ entuzjazmu na myśl o kolacji. Był to rzadki przypadek, kiedy nie chciało jej się po prostu siedzieć i myśleć. Musi się czymś zająć, oderwać od ponurych rozważań – i w tym celu była nawet gotowa na wyczyny kulinarne. W zamrażarce znalazła paczkę kalafiora, bardzo dobrze. Wsypała zawartość pakietu do garnka, po czym rozpoczęła poszukiwania kawałka czerstwej bułki, żeby utrzyć ją na tarce. Zakończyły się one sukcesem, jako że przewidujący Losza niedojedzone resztki pieczywa kładł na stojącej na parapiecie tacce, by mogły tam schnąć w oczekiwaniu lepszych czasów, które właśnie nadeszły. Ale nadzieje Nasti nie sprawdziły się, tarcie czerstwych kawałków bułki okazało się zajęciem nudnym i absolutnie jałowym, tak że przykre refleksje na temat nieprzewidywalnych kolei podstępного losu znów zaprzętnęły jej myśli.

*

– Kim ona jest? – natarczywie dopytywała się Olga.

– Kobieta – spokojnie odparł Docenko.

Dawno już przestał reagować na sceny zazdrości, które urządzały jego przyjaciółki. Misza był przystojny; dziewczyny stale się w nim zakochiwały, a ponieważ nie spotkał jeszcze tej jednej jedynej, rozstawał się z nimi łatwo, zwłaszcza z takimi, które nie mogły się pogodzić ze szczególnym charakterem jego pracy. Teraz na tapecie była Olga, bardzo niezadowolona z tego, że Michaił już któryś kolejny wieczór pozbawia ją swego towarzystwa. Nie dzwoni i do domu wraca po północy.

- Dawno ją znasz? – kontynuowała śledztwo.
- Niezbyt.
- Ale kim ona jest?
- Nie wszystko ci jedno? – odpowiedział pytaniem na pytanie. – Uważasz, że to jakaś różnica, czy jest sprzątaczką, czy gwiazdą filmową?
- Postanowiłeś mnie rzucić?
- Na razie nie. Ale jeżeli będziesz mi przeszkadzać w pracy, zrobię to na pewno. Olu, jestem śmiertelnie zmęczony i strasznie mi się chce spać, dajmy już spokój, dobrze?

Rozgniewana dziewczyna rzuciła słuchawkę. Misza uśmiechnął się i wrócił do przerwanej kolacji. Jego troskliwa mama przed pójściem do szpitala poprosiła swoje liczne przyjaciółki z sąsiedztwa, żeby miały oko na jej syna, i nawet zostawiła im klucze od mieszkania, tak więc na Miszę co wieczór czekała obfita kolacja – rezultat zbiorowych wysiłków sympatycznych emerytek. Tego dnia, kiedy była tutaj Anna, w lodówce także stały różne garnuszki, słoiczki, leżały zawiniątka, a w nich kotlety, sałatki i pierożki, Docenko jednak liczył na to, że gość nie będzie tam zaglądał i kupi jego historyjkę o kawalerskiej kolacji.

W czasie codziennych spotkań z Łazariową Michaił prowadził rozmowy, które pozwalały mu poznać charakter i sposób myślenia byłej zawodniczki. Jednocześnie starał się sprawdzić jej alibi na dni, kiedy dokonano siedmiu zabójstw. Wychodziło z tego wszystkiego pomieszanie z poplątaniem. Z jednej strony, Anna była bardzo silna fizycznie i mogła szybko i bez trudu udusić kobietę, a nawet niezbyt mocno zbudowanego mężczyznę. Z drugiej, miała długie paznokcie, co przeczyło wynikom autopsji. No cóż, Kamińska obiecała skontaktować się z salonem kosmetycznym i zdobyć informację, czy Łazariowa nie zafundowała sobie zabiegu przyśpieszającego wyrastanie paznokci. Dalej: Anna nie robiła wrażenia wariatki, w jej wypowiedziach nie było nic takiego, co mogłoby wskazywać na zaburzenia psychiczne, natręctwa czy rozdwojenie jaźni. Niemniej odznaczała się wielką nerwowością, łatwo traciła panowanie nad sobą, cechowała ją duża zmienność nastrojów, i to niezależna od okoliczności zewnętrznych. Nikt jej nie uraził, nie dotknął, nie zirytował, nie zdarzyło się nic nieprzyjemnego, a ona nagle robiła się przygnębiona, smutna, zamknięta w sobie i nieskłonna do rozmowy. Albo przeciwnie, zupełnie bez powodu stawała się wesoła, pobudzona, paplała jak najęta, żartowała, chichotała, nie dopuszczała Miszy do słowa. Męczyło go to, z trudem wytrzymywał kontakty z Anną, zwłaszcza że dziewczyna usilnie prowokowała określone sytuacje, zmuszając go do długiego wystawiania pod domem i pocałunków. Całować umiała dobrze, ale ponieważ nie podobała się Miszy, te przeciągające się pożegnania stawały się dla niego prawdziwą torturą. Anna była wyraźnie zdziwiona faktem, że Michaił nie zaprasza jej więcej do siebie, i stale napomykała, że chętnie przeprowadziłaby jeszcze jeden eksperyment kulinarny, jako że – zgodnie z teorią Docenki – jego rezultat powinien być

oszałamiający.

Misza jednak zdecydowanie nie miał na to ochoty. Pragnął tylko, by wszystko się jak najszybciej wyjaśniło, a on nie musiał się już spotykać z dziewczyną, tak uporczywie marzącą o namiętnej miłości i małżeństwie. Jednym z zadań, zleconych Miszy przez Kamińską, było wysondowanie, czy Anna Łazariewa nie padła w dzieciństwie ofiarą przemocy, a konkretnie – czy nie napadnięto jej wieczorem w opustoszałej bramie lub klatce schodowej. Badania wykazują, że seryjni mordercy nie wybierają swoich ofiar przypadkowo. Ofiara powinna spełniać określone warunki – być, na przykład, do kogoś podobna lub ubrana w charakterystyczny sposób, mieć takie a nie inne zajęcie. Pierwszą rzeczą, jakiej należy dokonać, gdy ma się do czynienia z seryjnym mordercą, jest jak najdokładniejsza analiza wszelkich podobieństw, które łączą poszkodowanych, w celu stworzenia „portretu ofiary”, żeby zrozumieć, dlaczego musiała być właśnie taka; to dopiero staje się punktem wyjścia do scharakteryzowania osobowości przestępcy. W sprawie siedmiorga uduszonych w żaden sposób nie można było stworzyć „portretu ofiary”. Trzy kobiety i czterech mężczyzn w różnym wieku i o zupełnie odmiennej powierzchowności. Jedynym punktem wspólnym był czas, miejsce i sposób dokonania zabójstwa. Dlatego wysunięto hipotezę, że te właśnie cechy są najistotniejsze i podstawowe dla charakterystyki zabójcy. Wszystko mu jedno, kogo zamorduje, byleby mógł dokonać przestępstwa wieczorem, w bramie budynku mieszkalnego. I zabić nie nożem czy strzałem z broni palnej, lecz właśnie udusić. Taki maniackalny przymus wewnętrzny mógł pojawić się u osoby, którą w dzieciństwie napadnięto w podobnych okolicznościach. Z początku u dziecka rodzi się nieprzewyciężony – co wydaje się całkiem naturalne – strach przed pustą bramą, zwłaszcza wieczorem. Potem, z biegiem lat, pod wpływem wielu procesów psychicznych, może powstać nieprzemierzalna chęć, by samemu zrobić to, czego człowiek tak długo się bał. Żeby w ten sposób zabić swój strach.

Dlatego właśnie Kamińska poleciła Miszy, żeby się dowiedziała, czy coś podobnego nie zdarzyło się Łazariewej w dzieciństwie. Nastia ze swojej strony zobowiązała się przejrzeć wszystkie materiały sprzed lat, dotyczące napadów na dzieci i nastolatki i sprawdzić, czy nie znajdzie tam przypadkiem nazwiska Anny.

Docenko wyłaził ze skóry, by w rozmowie z Łazariewą zahaczyć jakoś o interesujący go temat, ale na razie jego wysiłki pozostawały bezowocne. Ani wspomnienia przykrych chwil w dzieciństwie, ani próby podyskutowania o teorii Freuda i psychoanalizie nie dawały rezultatu.

Michaił czuł się niezręcznie, świadomy, że Anna poważnie bierze go – przystojnego, wysokiego, nieżonatego „dziennikarza”, amatora powieści o miłości – pod uwagę jako kandydata na męża, chociaż, Bóg widzi, nie robił jej żadnych nadziei ani nie składał deklaracji uczuciowych, nie ciągnął dziewczyny do łóżka i w ogóle zachowywał się wręcz nieprzyzwoicie skromnie. Ale Ania Łazariewa już taka była,

nie bez kozery uprzedzała go o tym wszechwiedząca dama z Federacji Koszykówki. Dziewczyna żarliwie wierzyła w to, w co pragnęła wierzyć, rozniecając płomycek nadziei na podstawie najbliższych, niekiedy wręcz nieistniejących przesłanek. A Docenko niecierpliwie oczekiwał chwili, kiedy będzie mógł wreszcie przestać przyjeżdżać o siódmej na stację Profsojuzna.

*

Parygin niepokoił się coraz bardziej. Już kilka dni śledził wywiadowcę z Pietrowki nazwiskiem Docenko, ale, jak dotąd, niczego nie wyjaśnił. Facet snuł się po całym mieście, wieczorami spotykał się z paskudną gidią z długim, czerwonym od mrozu nosem (ciekawe, co w niej widzi?), ani razu jednak nie pojawił się w pobliżu niego żaden z tych gości, którzy wdarli się do mieszkania Parygina. Na wszelki wypadek Jewgienij na pół dnia zostawił Docenkę w spokoju i ruszył za innym wywiadowcą, z którym Michaił wychodził z pracy. Niewykluczone, że Docenko ma jakiegoś partnera, i tamten właśnie spotyka się z ową trójką, a nie on sam. Ale również i ta inicjatywa nie przyniosła rezultatu. Żaden z trzech napastników nie pojawiał się nigdzie w pobliżu.

Parygina dręczył nie tylko strach o własną skórę, ale i sprawa pieniędzy dla Lolity. Forse musiał zdobyć za wszelką cenę, gdyż obecnej sytuacji nie można było przeciągać w nieskończoność. Lolita i chłopak nie mieszkają w domu, dzieciak nie chodzi do szkoły, dobrze chociaż, że Lola załatwiła sobie urlop bezpłatny. Ale to wszystko nie rozwiązywało sprawy. Nie darmo się mówi, że nie ma nic trwalszego niż prowizorka. W dodatku, ponieważ musiał zająć się krewnymi, Jewgienij – po pierwsze – stracił mieszkanie, które mógłby wykorzystać jako miejsce kontaktów lub nawet realizacji zlecenia (bo i tak się zdarzało), po drugie zaś – swobodę przemieszczania się. Jeśli zajdzie potrzeba wyjazdu z Moskwy, nie będzie mógł tego zrobić, ponieważ musi się troszczyć o Lolitę i małego Sieriożę. Oni sami nie mogą opuszczać mieszkania, zabronił im nawet korzystać z telefonu, tak więc stał się dla nich jedynym łącznikiem ze światem zewnętrznym, nie mówiąc już o zakupie żywności. Nie, Parygin musi koniecznie wziąć sprawę w swoje ręce i sensownie ją zakończyć.

Wytrawnemu zabójcy na zlecenie nawet do głowy nie przyszło, by wykorzystać swoje profesjonalne doświadczenie w celu pozbycia się wierzycieli kuzyna. Długi trzeba oddać, to zasada, od której nie ma wyjątków. Wierzyciele nie są winni temu, że ktoś nie zwrócił im pieniędzy. Pożyczyli człowiekowi forse, właściwie na słowo honoru, nie biorąc nawet nic w zastaw. Za co więc miałby ich zabijać? Lepiej poczekać, aż trafi się zamówienie, sprzątnąć, kogo należy, wziąć pieniądze za wykonanie zlecenia i uregulować dług kuzyna. Ale zabijać tych, którzy domagają się zwrotu pożyczonej sumy z procentami, i to jak najbardziej słusznie – nie, to nie byłoby w porządku. Zabójstwo zabójstwu nierówne, uważał Parygin. Zabić człowieka za pieniądze, na zamówienie, to zupełnie co innego, niż pozbawiać życia kogoś, z kim

nie można się dogadać, zawrzeć ugody i rozładować konfliktu. To po prostu wstyd, postępowanie niegodne prawdziwego mężczyzny. W pierwszym przypadku natomiast – rzecz zupełnie dopuszczalna.

Gazety Jewgienij czytywał rzadko, wolał dowiadywać się wszystkiego z wiadomości telewizyjnych. Lubił oglądać telewizję, włączał odbiornik automatycznie, gdy tylko przekroczył próg domu, starannie studiował „TV Park”, wybierając audycje i filmy, które chciał obejrzyć, i zaznaczając je niebieskim markerem. Prasę kupował tylko do czytania w podróży lub kiedy zapowiadało się długie czekanie. Dziś rano, goląc się przed lustrem, uznał, że pora się ostrzyć. „Odprowadziwszy” Docenkę o siódmej do stacji Profsojuzna i upewniwszy się, że znów odchodzi stamtąd razem ze swoją czerwonoносą gidą, stwierdził, że wieczór nie przyniesie już żadnych niespodzianek, i udał się najspokojniej do zakładu fryzjerskiego. I tam właśnie, czekając na swoją kolejkę, wziął ze stolika gazety, zostawione prawdopodobnie parę dni wcześniej przez roztargnionego klienta.

– Człowieku, usnął pan, czy co? – rozległ się nagle nad uchem Parygina wesoły głos.

– Nie, nie, już idę – ocknął się Jewgienij, wsunął gazety do kieszeni kurtki i zajął miejsce w fotelu.

No cóż, tak się pogрузił we własnych rozważaniach, że nie zauważył, kiedy nadeszła jego kolej. Gruba fryzjerka szczękała nożycami gdzieś w okolicach jego karku, a Jewgienij siedział z zamkniętymi oczami, starając się uporządkować myśli. Co za dziwny artykuł! Jakiś chłopak, którego później znaleziono zabitego, przyznaje się do zabójstwa popełnionego półtora roku wcześniej. To by jeszcze nie było nic, gdyby nie budzące strach zdanie o nagraniu magnetofonowym... A parę dni później zjawiają się u Parygina jakieś draby i także usiłują nagrać jego przyznanie się do zabójstwa. Zbyt wiele tu podobieństw, by mogło chodzić o przypadek. Co to wszystko znaczy? Jeżeli wierzyć informacjom zamieszczonym w artykule, chłopak był informatorem milicji, i to ona go wsypała, dopuszczając do przecieku, a struktura przestępcza, z którą był związany, zamknęła zdrajcy usta raz na zawsze. No dobrze, przypuśćmy, że chłopak naprawdę współpracował z tymi z Pietrowki. Ale przecież on, Jewgienij Parygin, nie jest niczym agentem i nikomu żadnych informacji nie przekazuje. A zatem milicja nie mogła go wsypać. Więc dlaczego przyszli także do niego?

Ano dlatego. Jego pierwszy domysł okazał się słuszny. Milicja zabrała się do odrabiania zaległości, usiłując doprowadzić do końca przynajmniej niektóre z odłożonych na półkę spraw. Widać zmieniło się coś u nich na górze, przyszli nowi ludzie, dali pracownikom czadu. Wynaleźli, skurwysyny, nowy sposób, chodzą po wszystkich podejrzanych i starają się wydusić z nich przyznanie do winy, działając z zaskoczenia i przy użyciu siły. Od przestępstwa minęła już kupa czasu, człowiek dawno zdołał się uspokoić, niebezpieczeństwo przeszło bokiem, Bóg strzegł, a tu

raptem taki numer. Mało kto wytrzyma i zachowa zimną krew. Chłopak, jak mu tam, Nikita Mamontow, od razu wymiękł. Z Paryginem ten manewr nie przeszedł, nie wiedzieli, na kogo się porywają, ale z wielu innymi uda im się na pewno. Doświadczonych i zahartowanych psychicznie wykonawców zabójstw na zlecenie już niewiele zostało, więcej teraz nieostrzelanych młodziaków, których łatwo zastraszyć i pociągnąć za język. Tamci, oczywiście, są tańsi, pracują za grosze, ale i jakość usług jest odpowiednio niższa. No i oto rezultaty.

A więc jednak milicja. Zawsze to pewna ulga, że sprawa się wyjaśniła. Najważniejsze, że nie chodzi o zleceniodawców, z nimi trudno byłoby sobie Jewgienijowi poradzić. To znaczy, poradziłby sobie bez problemu, ale tu już powstałoby pewne ryzyko, a przecież przez wszystkie te lata jego żelaznym glejtem była starannie strzeżona anonimowość. Żaden ze zleceniodawców nie znał jego prawdziwego nazwiska, tylko pseudonim i system kontaktowania się, skomplikowany i naprawdę bezpieczny, gwarantujący, że nie będzie wpadki.

Teraz należałoby się dowiedzieć, czy milicja zahaczyła powtórnie tylko jego, Parygina, w związku z zabójstwem Szepielowa, czy też wszystkich utykających i z siniakami na twarzach, których wówczas zatrzymano. Trzeba będzie jeszcze połączyć za tym czarnookim przystojniakiem Docenką.

Jewgienij zapłacił za strzyżenie, wyszedł z zakładu i uznał, że czytanie prasy przynosi pewne korzyści. Musi uważniej przejrzeć gazety. Teraz kronikę kryminalną ma każde pismo, ludzie lubią relacje o cudzej śmierci, bo mogą się wtedy cieszyć, że nie ich spotkała. Można tam wyczytać wiele ciekawych rzeczy i wyciągnąć wnioski. Nic się nie stanie, jeśli na jeden dzień przerwie śledzenie gliniarza i poświęci czas na przestudiowanie prasy. Najprościej byłoby to zrobić w zakładowej bibliotece, leżą tam zszywki półtora dziesiątka gazet, ale pchać się na miejsce pracy to zbyt niebezpieczne. Jeżeli go szukają, to w pobliżu domu, tam gdzie jest zameldowany, i zakładu, w którym pracuje. Trzeba będzie iść do biblioteki dzielnicowej, ale nie szkodzi, to dość daleko od jego ulicy, i tam na pewno nie przyjdzie im do głowy go szukać.

Zawodowego zabójcę ujęto w bibliotece, studiującego prasę codzienną. Kupa śmiechu!

*

– Zapoznałem się z pani materiałami analitycznymi. Są dobrze opracowane i zawierają dużo pożytecznych informacji. Proszę dalej iść w tym kierunku. Będzie pani, tak jak za Gordiejewa, co miesiąc przedstawiać mi sprawozdanie – powiedział Mielnik, zwracając Nastii grubą teczkę. – Teraz proszę mnie uświadomić, co zamierza pani zrobić dzisiaj w sprawie seryjnego mordercy.

– Trwa rozpracowywanie byłej koszykarki Łazariewej. Równocześnie przeglądam stare materiały, dotyczące napadów na dzieci i nastolatków w bramach w godzinach wieczornych.

– Ma pani na myśli te, w których nie wykryto sprawców? – uściślił Mielnik. – Sądzi pani, że taki niewykryty przestępca z czasem przerzucił się na dorosłych?

– Nie, sądzę, że w dzieciństwie sam mógł być ofiarą tego rodzaju napaści. Dlatego przeglądam wszystkie materiały, także dotyczące przestępstw, w których sprawca został wykryty.

Panisko chwilę milczał, potem kiwnął głową.

– Dobry kierunek. Bardzo dobry. Szuka pani pośród poszkodowanych dziewczynki nazwiskiem Ania Łazariewa?

– Otóż to. A jednocześnie zestawiam listę takich osób, żeby sprawdzić każdą.

– Po co? – zdziwił się Mielnik. – Ma pani wątpliwości co do Łazariewej? O ile dobrze zrozumiałem, z wczorajszego raportu Docenki wynika, że sprawa jest jasna. Osoba niezrównoważona, po nieszczęśliwych przejściach w życiu osobistym, niestabilizowana życiowo. I nie ma alibi. Czego pani jeszcze potrzeba?

– Zbija mnie z tropu sprawa jej manikiuru. Jeżeli wierzyć patologom, ślady paznokci znaleziono na szyi tylko u pierwszej ofiary. Wyglądałoby więc na to, że sprawca po pierwszym zabójstwie obciął paznokcie. Minęło nie tak wiele czasu, a Łazariewa ma paznokcie takiej długości, jakby je zapuszczała trzy miesiące.

Mielnik spochmurniał, przygryzł wargę.

– Może to sztuczne, nakładane? – zapytał. – Słyszałem, że są takie.

– Nie, Misza sprawdził. Łazariewa ma własne paznokcie, naturalne. Ale jest jeszcze coś. Wybieram się dzisiaj do pewnego salonu kosmetycznego, gdzie w ciągu dwu godzin potrafią sprokurować paznokcie dowolnej długości.

– Świetnie! – ucieszył się Mielnik. – Brawo, Anastazjo Pawłowno. Mnie by nawet do głowy nie przyszło coś takiego. No proszę, jaki krok do przodu zrobiła nauka! Niedługo będą umieli i włosy zagaścić i wydłużyć.

– Już umieją – krótko odparła Nastia. – W tym samym salonie, jeśli wierzyć reklamie. Mogę odejść?

– Proszę. Wieczorem zda mi pani sprawozdanie z tych poczynąń.

Nastia wróciła do swego pokoju, żeby włożyć kurtkę. Właściwie niczego sobie facet z tego Mielnika, nawet pochwali człowieka, nie zachowuje się arogancko. Może niepotrzebnie od początku źle się do niego nastawiła? A że się czepia planowania i sprawozdawczości, to trudno – taki ma styl sprawowania rządów. Przyszedł z aparatu kierowniczego, gdzie obowiązują inne porządki. Każdy ma na biurku gruby, drukowany na zamówienie „Zeszyt pracy”, w którym dni podzielone są na godziny, a wypełnianie tych rubryk regularnie sprawdza szefostwo. Dokładnie takie same agendy leżą na biurkach wielu pracowników GUWD.

W końcu to śmieszne i niemądre nie lubić człowieka tylko za to, że nie jest Gordiejewem. Pączek to egzemplarz jedyny na świecie, drugiego takiego nie ma, więc co, miałyby teraz znienawidzić z tego powodu wszystkich innych ludzi?

Nastia Kamieńska ze wszystkich sił starała się zachować obiektywizm, ale – wstyd

się przyznać – czuła, że jakoś nie bardzo jej to wychodzi.

*

Długo szukała salonu kosmetycznego pod wdzięczną nazwą Nimfa Leśna. Krył się w plataninie krętych zaułków w okolicach bulwaru Cwietnego, a mieścił – w starej trzypiętrowej ni to willi, ni to kamieniczce, zajmując całą pierwszą kondygnację. Na Nastię długo nikt nie zwracał uwagi – ceny w zakładzie były takie, że po jej ubraniu od razu poznano, iż żadna z niej klientka. W końcu dziewczyna siedząca za wysoką ladą recepcyjną łaskawie przeniosła na Anastazję zamglone spojrzenie.

– Słucham panią – zagadnęła bez entuzjazmu.

– Chodzi mi o przyśpieszone wydłużanie paznokci – oznajmiła Nastia. – Czy wykonujecie tego rodzaju zabieg?

– Proszę. – Dziewczyna otworzyła brulion. – Tak, do początku lutego wszystkie terminy są zajęte. Mam panią zapisać?

– Na razie nie. Zastanowię się jeszcze. Chciałam się tylko dowiedzieć. Jedna moja znajoma powiedziała mi, że doprowadzała sobie u was ręce do porządku i była bardzo zadowolona. Ale boję się trochę, że ta cała procedura może uszkodzić tkanę. Z kim mogłabym porozmawiać, żeby się dowiedzieć czegoś więcej?

– Zabieg jest absolutnie nieszkodliwy – oświadczyła kategorycznym tonem dziewczyna za ladą.

– A jednak wolałabym porozmawiać osobiście – nie ustępowała Nastia. – Kto się tutaj zajmuje tymi sprawami?

Dziewczyna zdjęła słuchawkę z widełek.

– Galu, możesz przyjść? Tak, tutaj. Dobrze, proszę.

Po chwili nadeszła przystojna, postawna kobieta około czterdziestki, w okularach i z brylantami w uszach.

– Galu, pani chciałaby się skonsultować w sprawie paznokci.

Dama w okularach obrzuciła Nastię bystrym spojrzeniem i nagle się uśmiechnęła. Uśmiech miała miły, bez owej domieszki pobłażliwości, charakterystycznej dla dobrze sytuowanych dam, gdy spoglądają na prostoduszne naiwniaczki. Widać nieźle znała się na ludziach i nie dała się zwieść niepozornemu wyglądowi Nasti oraz skromności jej ubioru.

– Zapraszam do siebie – powiedziała uprzejmie. – Tędy, proszę.

Nastia weszła za kobietą do maleńkiego gabinetu, gdzie nie było żadnej aparatury, tylko stół i trzy krzesła, jedno dla pracownicy, dwa dla klientek.

– Proszę usiąść – zachęciła kobieta. – I zdjąć kurtkę, u nas jest ciepło. A więc czego chciała się pani dowiedzieć?

– Chciałam się upewnić, czy zabieg szybkiego wydłużania paznokci nie niszczy tkanki.

– Jest pani dziennikarką?

– Nie, skąd to pani przyszło do głowy? – zdziwiła się Nastia. – Nic podobnego.

– A mnie się już wydawało, że zamierza pani napisać o nas artykuł krytyczny. Naprawdę nie?

Galina znowu się uśmiechnęła, ale tym razem jej uśmiech był chłodny i pełen rezerwy.

– Ależ skąd, jestem zainteresowana osobiście...

– Nieprawda. Ma pani bardzo ładne paznokcie i taki zabieg absolutnie nie jest pani potrzebny. Myśli pani, że ja nic nie widzę? Bądź co bądź, jestem profesjonalistką.

Nastia roześmiała się i odruchowo spojrzała na swoje dłonie. Tak, to było przeoczenie, paznokcie miała długie i zadbane. Powinna je przynajmniej skrócić przed przyjściem tutaj.

– Cóż, racja. Zabieg nie jest mi potrzebny. Ale dam pani słowo honoru, że nie jestem dziennikarką i nie zamierzam pisać artykułu.

– Wobec tego o co chodzi? Jest pani z policji skarbowej?

– Z milicji. Chodzi o to, że muszę się dowiedzieć, czy nie korzystała z waszych usług pewna kobieta. I to wszystko.

– Mogła pani poprosić o tę informację dziewczynę, która z panią rozmawiała. Ona ma wszystko zapisane.

– Ale przecież nie prosicie tu o dowód tożsamości – powiedziała Nastia. – Klientka może wam podać pierwsze z brzegu nazwisko. W dodatku nie znam danych tej osoby. A jeżeli opiszę jej wygląd, niewiele to pomoże, przez zakład przewija się bardzo dużo klientek i dziewczyna w recepcji z pewnością nie wszystkie pamięta. Dlatego prosiłam o rozmowę z panią.

– Dobrze. A więc jak ona wygląda?

– Jest bardzo wysoka.

– I to wszystko? – zdziwiła się Galina. – Żadnych więcej konkretnych cech?

– Ta jest najważniejsza. Kobieta, która mnie interesuje, to nie po prostu osoba wysoka, lecz bardzo wysoka. Jak koszykarka.

– Ach, Ania? – żywo zareagowała Galina. – Chodzi pani o Anieczkę?

– Nie wiem, jak się nazywa – znów skłamała Nastia, żeby jeszcze raz nie pokpić sprawy. – Idzie o to, że sprawdzamy alibi pewnego przestępcy, który utrzymuje, iż w określonym czasie znajdował się na tej ulicy, siedział w samochodzie. Nikt tego nie może potwierdzić, w aucie był sam, zapewnia jednak, że widział, jak bardzo wysoka kobieta, która rzucała się w oczy z powodu swego wzrostu, wchodzi do waszego zakładu. Dlatego chciałabym wyjaśnić, czy rzeczywiście w tym czasie taka osoba tutaj była. Rozumiem, że pani dobrze ją zna?

– Bywa u nas stale.

– Właśnie u pani? – uściśliła pytanie Nastia.

– Nie, Anieczka chodzi do różnych specjalistów. Bardzo o siebie dba, wie pani. Pedikiur, masaże, czyszczenie, maseczki, zabiegi wzmacniające włosy. U mnie też

bywa. Paznokcie jej się rozdwarzają i często łamią, a ona lubi, żeby ręce były zadbane.

– Kiedy była u pani ostatni raz?

– Zaraz sprawdzę.

Galina wyjęła z szuflady gruby zeszyt i zaczęła go kartkować.

– Jest. – Przesunęła palcem wzdłuż linijki. – Łazariewa, dwudziestego szóstego grudnia. Interesuje panią właśnie ten dzień?

– Tak, ten. Dziękuję. Zaraz przekażę śledczemu, że podejrzany istotnie mógł widzieć na tej ulicy w określonym czasie kobietę bardzo wysokiego wzrostu. Być może, że zechce panią przesłuchać i umieścić pani zeznanie w protokole. Jeśli tak, będzie pani musiała do niego podjechać. I proszę koniecznie zabrać ze sobą swój zeszyt, dobrze?

Galinie wszystko to wyraźnie się nie podobało. Jej twarz jak gdyby stężała, usta się zacisnęły, na brodzie zaznaczył się dołek. Wzmianka o zeszytce, w którym zapisywała wizyty klientek, znów sprowadziła jej myśli na policję skarbową i różne kontrole. Chyba nie uwierzyła w bajeczkę o alibi i umysł miała zaprzątnięty niezapłaconymi podatkami. A, co tam, niech sobie myśli, o czym chce, byleby się tylko nie zorientowała, że głównym obiektem zainteresowania jest sama Łazariewa, bo jeszcze ją uprzedzi – na to ma dość rozumu.

– Proszę mi powiedzieć... – Galina zająknęła się –...a ten człowiek w samochodzie... To jakiś mafioso, tak?

– Skąd to pani przyszło do głowy? – zdumiała się szczerze Nastia.

– No... Pomyślałam... wie pani, być świadkiem w sprawie związanej z mafią, to niebezpieczna rzecz. Nie chciałabym...

– Niech się pani nie denerwuje – szybko uspokoiła ją Nastia. – Jeżeli nasz podejrzany istotnie w chwili dokonania przestępstwa był tu, w okolicach bulwaru Cwietnego, to znaczy, że nie jest winien. Pani zeznanie będzie świadczyć na jego korzyść i za to może być pani tylko wdzięczny.

– W takim razie oczywiście – zgodziła się Galina. – Jeżeli trzeba, przyjadę na pewno.

Nastia wyszła z salonu i nieśpiesznie ruszyła w stronę metra. Cóż, Aniu Łazariewa, twoje sprawy kiepsko stoją. W ostatnich dniach Misza Docenko gorliwie wypytywał mieszkańców domów w pobliżu miejsc zbrodni, usiłując się dowiedzieć, czy nikt nie widział w tych dniach około jedenastej wieczorem gdzieś w pobliżu wysokiej młodej kobiety. Na razie bez powodzenia, ale w takich sprawach konieczna jest cierpliwość, bardzo rzadko się bowiem zdarza, żeby na potrzebnych świadków trafić od razu za pierwszym podejściem. Ale jeśli się tacy znajdą, można być pewnym, że Miszka potrafi pomóc im przypomnieć sobie wszystkie szczegóły, aż do najdrobniejszych detali: kroju ubrania czy koloru szminki. W tej dziedzinie jest naprawdę wybitnym specjalistą. Lepszego ze świecą szukać.

ROZDZIAŁ 6

W czytelnicy było cicho, jasno i niezwykle przytulnie. Parygin siedział przy stole, na którym leżała pokaźna sarta gazetowych zszywek, i co jakiś czas przyłapywał się na tym, że odrywa się od drobnych czcionek tekstu i zanurza w spokojną, kojącą ciszę. Nigdzie nie musiał się śpieszyć, przed nikim ukrywać, nie musiał też myśleć o bająnskiej sumie, którą trzeba było zdobyć dla Lolity. Chciałby tak siedzieć długo, jak najdłużej... A potem wrócić do domu, włączyć telewizor, przygotować sobie kolację, obejrzeć dobry film i położyć się spać. Rankiem zaś znowu przyjść tutaj, do tej przestronnej, cichej sali.

Są przecież ludzie, którzy tak właśnie żyją. Na przykład, pracownicy naukowcy. Przesiadują w bibliotekach całymi tygodniami, nawet miesiącami i latami, nikt na nich nie poluje i nie wiszą nad nimi długi wysokości wielu tysięcy dolarów. Śpią ci szczęśliwcy spokojnie, a w snach widzą nie śmierć, lecz równania matematyczne, archeologiczne wykopki lub jeszcze coś równie bezpiecznego. Ot, choćby ten pod oknem, obstawiony grubymi tomami. Przechodząc obok niego, Jewgienij z ciekawości zerknął mu przez ramię i zorientował się, że staruszek czyta stare komplety materiałów ze zjazdów KPZR. Pewnie jakiś historyk. A może zagorzały członek partii przygotowuje się do zebrania. Albo ta siedemnastoletnia dziewczyna, która właśnie odebrała z okienka gruby tom prac Bielińskiego i teraz robi z nich konspekt, nisko pochylona nad zeszytem. Parygin pamiętał, że w szkole także im kazano czytać prace wielkiego krytyka i pisać konspekty. Nic się widać nie zmieniło przez tyle lat. Na tę myśl zrobiło się Jewgienijowi ciepło na sercu. Dziewczynka mogłaby być jego córką, wiek był odpowiedni. Nie miał dzieci, bo jakże tu o tym myśleć przy jego specyficznym sposobie zarobkowania. Żony także nigdy nie miał. Kobiety, oczywiście, stale przewijały się przez jego życie, był przecież normalnym, zdrowym mężczyzną i potrzebował nie tylko kontaktu fizycznego, ale i po prostu kobiecej obecności, pieczyoty, czułości. Nigdy jednak nie pragnął być żonaty. Wiedział, że wielu mężczyzn żeni się jedynie dla wygody, po to, żeby ktoś prowadził im dom, sprzątał i gotował, a więc brali sobie nie żony, lecz służące. Tego rodzaju zapotrzebowań Jewgienij nie miał, zawsze był całkowicie samodzielny i doskonale potrafił o siebie zadbać. Ale dzieci chciałby mieć. Dziewczynkę. Nie wiadomo dlaczego, właśnie dziewczynkę, maleńką, tłuściutką, kędzierzawą.

Z trudem zmusił się, by znów wrócić do gazet. Coś podobnego, okazuje się, że oczy mu się męczą przy czytaniu drobnego druku. Czyżby to sprawa wieku? Trzeba będzie się wybrać do okulisty. Czterdzieści osiem lat to nie tak mało, pora spojrzeć

prawdzie w oczy. Oczywiście, zdrowie ma żelazne i jest w doskonałej formie, wysportowany tak, że trudno lepiej – ale naturze trudno wyjaśnić, że czujesz się wciąż jeszcze młody i pełny sił. Jej jest to głęboko obojętne, gdyż kieruje się własnymi prawami gry. W wieku czterdziestu ośmiu lat, tuż u progu szóstego krzyżyka, człowiek musi mieć jakieś kłopoty ze zdrowiem. Musi i koniec. Zabawne...

Parygin podniósł oczy znad lektury i spojrzał w stronę okienka, gdzie wydawano książki. Bibliotekarka, kobieta mniej więcej w wieku Jewgienija, znów mu się przyglądała. Widocznie coś ją w nim zainteresowało. Może mężczyźni jego pokroju w ogóle tutaj nie bywają? Tylko uczniowie i studenci, tak jak ta blondyneczka, i emeryci, których nie stać teraz na subskrypcję ulubionych dzieł, więc czytają gazety i czasopisma w bezpłatnych bibliotekach. A co? Zaprzyjaźnić się z bibliotekarką – to niezła myśl. Choćby wypić razem herbatę, bo długo tu jeszcze będzie musiał posiedzieć.

Jewgienij przeciągnął się, rozprostowując zdrętwiałe plecy, wstał od stołu i podszedł do okienka. Bibliotekarka bez trudu dała się wciągnąć w rozmowę, widocznie się nudziła, więc ochoczo wdała się w pogawędkę z mężczyzną wertującym prasę. W ciągu dwu minut Parygin dowiedział się, że w pobliżu nie ma miejsca, gdzie można by coś naprędce przegryźć, ale obok jest bardzo dobra piekarnia, w której sprzedają też świeże ciastka i torty. Po dalszych paru minutach zostało postanowione, że Parygin skoczy po ciastka, a Wiktorja Władimirowna, która pozwoliła się nazywać po prostu Wiką, nastawi tymczasem czajnik.

Rozwiązawszy w ten niezbyt skomplikowany sposób problem obiadu, Jewgienij, wesóło pogwarzywszy z Wiką, wrócił do swoich gazet. Pod wieczór dopiero znalazł coś, co go zainteresowało. Co prawda, w żaden sposób nie wiązało się to z najściem trzech drabów na jego mieszkanie, ale samo w sobie stanowiło niezwykle ciekawą informację. Otóż człowiek, którego na zamówienie zleceniodawców Parygin miał zabić, padł ofiarą dusiciela – seryjnego mordercy. Coś podobnego! Wygląda na to, że zlecenie odwołano z tego właśnie powodu, iż los zrządził inaczej, a wcale nie dlatego, że trafił się jakiś tańszy wykonawca.

Mimo woli parsknął cichym śmiechem, gdy przypomniał sobie – niezupełnie a propos – dowcip o dwóch killerach, czekających w bramie na „zamówioną” ofiarę. Ofiara spóźnia się i killerzy, niespokojnie spoglądając na zegarki, zastanawiają się, czy aby, broń Boże, nie przytrafiło się człowiekowi jakieś nieszczęście, dzisiaj przecież na ulicach bywa tak niebezpiecznie...

Ale śmiech śmiechem, a niedoszła ofiara killerów, niejaki Alikadi Nurbagandow, została zrządzeniem losu zlikwidowana zupełnie bezpłatnie! A zatem Parygin bezpodstawnie obwiniał zleceniodawców; konkurencja też nie miała tu nic do rzeczy. Zbieg okoliczności, nic więcej.

Teraz już było zupełnie jasne, że trójka z kamerą wideo została nasłana przez milicję. Jak by się tu jednak dowiedzieć, czy mentownia posługuje się tą metodą

wobec niektórych z podejrzanych ot tak, w ciemno, próbując tu i ówdzie, a nuż się uda, czy też uwzięła się konkretnie na niego, Parygina? Może nie warto się już włóczyć za Docenką? Czas przejść do aktywniejszych działań, postanowił w duchu profesjonalny zabójca Jewgienij Iljicz.

*

Do Akademii Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, w pobliżu stacji metra Wojkowska, Nastia Kamieńska przyjechała o czwartej. Taki termin wyznaczył jej profesor Samojłow, autor opracowań na temat seryjnych zabójstw.

Znaleźć gabinet Samojłowa okazało się sprawą niełatwą, gdyż architektura budynku była dosyć swoista. Specjalnie zbudowana część centralna miała dwa przytykające do niej skrzydła boczne, które przedtem pełniły funkcję zwykłych budynków mieszkalnych. Obecnie jedno skrzydło zostało wewnątrz przebudowane i wyremontowane zgodnie z przeznaczeniem, drugie zaś pozostawało nadal w poprzednim stanie; zachowano tu klatki schodowe i mieszkania. W tym właśnie „mieszkalnym” skrzydle mieścił się gabinet profesora. Błądzenie po schodach i łącznikach zajęło Nasti prawie pół godziny, gdyż ani rusz nie mogła zrozumieć, w jaki sposób, przechodząc z piątego piętra jednego skrzydła do sąsiedniej części budynku, nagle znajduje się tam na szóstym piętrze, zamiast na piątym.

Profesor Samojłow, dość jeszcze młody i atrakcyjny brodac, powitał Nastię z rezerwą.

– Jestem gotów z panią porozmawiać – uprzedził od razu – ale tylko, jeśli przysłała pani z konkretną sprawą. Nie mam zamiaru zaspokajać zwykłej ludzkiej ciekawości.

– O jakiego rodzaju ciekawość panu chodzi? – zdziwiła się Nastia.

– Wszelkiego – z lekkim rozdrażnieniem odparł Samojłow. – Niektórzy na przykład przychodzą do mnie jako do astrologa, proszą, żebym przepowiedział, czy nie grozi im gwałtowna śmierć, a jeśli tak, to kiedy i gdzie. Jeżeli pani zjawiała się w podobnej sprawie, odprowadzę panią do wyjścia. W tych naszych katakumbach, wie pani, łatwo zabłądzić.

– Wiem – uśmiechnęła się Nastia – zdążyłam się już po nich pobłąkać. Olegu Grigorjewiczu, przychodzę w sprawie służbowej. Potrzebna mi pańska konsultacja.

– Chodzi o serię zabójstw?

– Tak. Siedem w ciągu dwóch tygodni, *modus operandi* we wszystkich przypadkach jednakowy. Chciałabym pana prosić o przejrzenie materiałów. Wiem, że swego czasu na podobnej podstawie wyodrębnił pan charakterystyczne cechy człowieka, który dokonał serii zabójstw w Moskwie i Zielenogradzie. Powiedziano mi, że kiedy morderca został ujęty, dziesięć na jedenaście podanych przez pana cech się zgadzało.

– A więcej nic pani nie powiedziano? – spytał Samojłow; na jego twarzy pojawił się na moment jakiś dziwny grymas, ni to ironii, ni to znużenia czy obojętności.

– Więcej nic.

– Wobec tego pragnę panią poinformować, że w czasie poszukiwań i ujmowania przestępcy wyodrębnione przeze mnie cechy charakterystyczne w ogóle nie były brane pod uwagę. Został złapany w zupełnie inny sposób.

– Chce pan powiedzieć...

– Tak, szanowna Anastazjo Pawłowno, to właśnie chcę powiedzieć. Nie spałem kilka nocy, pracowałem zgodnie ze swoją metodą, usiłując stworzyć maksymalnie szczegółowy portret psychologiczny seryjnego zabójcy. Gdyby się tym portretem posłużono, ujęto by sprawcę najdalej w ciągu tygodnia. Schwytano go, oczywiście, ale po upływie dwóch miesięcy. Ileż sił stracono, ile środków! Nie mówię bynajmniej o sobie, własnego wkładu pracy mi nie żal. Współczuję tylko oficerom operacyjnym, którzy przez dwa miesiące nie jedli i nie spali. Żal mi też ludzi, którzy niepotrzebnie spędzili ten czas w strachu i poczuciu zagrożenia przed nieuchwytnym maniakiem.

– Chwileczkę, Olegu Grigorjewiczu, ale przecież pisze pan w swoich artykułach, że kiedy program zostaje wyczerpany, psychopata więcej nie morduje i nie stanowi zagrożenia. Można się go już dłużej nie bać.

– Tak, kochaneczko, to właśnie można przeczytać w moich artykułach, ale nie w „Argumentach i Faktach”. A gazetom wierzą wszyscy. Rozprawom nikt natomiast nie daje wiary, ba, nikt ich nawet nie czyta. Chyba że naukowcy o wąskich specjalizacjach, pracujący nad własnymi dysertacjami. Słowem, moja metoda okazała się w praktyce dla pracowników operacyjnych nieprzydatna – uprzejmie mnie wysłuchali i dalej robili swoje. Za to kiedy przestępcę zatrzymano i wyszło na jaw, że miałem rację, wszyscy jak jeden mąż zapomnieli o moim portrecie psychologicznym. Wie pani, Anastazjo Pawłowno, od lat pracuję naukowo i dawno przywykłem do tego, że nauki nikt nie traktuje poważnie. Praktycy wyśmiewają się z nas i uważają nas za obiboków i darmozjadów. Z początku mnie to bolało, obrażało, potem się przyzwyczaiłem. Ale staram się nie wystawiać bez potrzeby na ciosy. Rozumie pani, co chcę powiedzieć?

– Owszem, rozumiem. A więc przejrzy pan moje materiały?

– Proszę mi je dać – z westchnieniem zgodził się Samojłow. – Będą mi potrzebne dane dotyczące ofiar: daty urodzenia i miejsca znalezienia zwłok.

Nastia wyjęła z torby tekturową teczkę i rozłożyła papiery na biurku. Samojłow starannie zanotował dane i popatrzył na nią pytająco.

– Na co pani czeka? Myśli pani, że jak iluzjonista zacznę wyciągać króliki z kapelusza? Tak szybko to nie idzie. Siedem osób to sporo, na opracowanie danych potrzebuję czasu.

– Kiedy będzie pan gotowy?

– Za dwa dni, nie wcześniej.

– Olegu Grigorjewiczu – zaczęła błagalnym tonem Nastia – proszę... Widzi pan, mamy konkretnego podejrzanego. Może by pan choć w największym przybliżeniu

mógł powiedzieć, czy się nie mylimy. Jestem gotowa czekać, ile będzie trzeba. Ale bardzo bym chciała coś wiedzieć już dzisiaj.

Samojłow zerknął na nią z zaciekawieniem. Wstał zza biurka i zaczął się wolnym krokiem przechadzać po niewielkim gabinecie.

– Dziwna z pani kobieta – rzekł w końcu. – Coś mi mówi, że pani rzeczywiście wierzy w moją metodę. A może po prostu chwyta się jej pani jak tonący brzytwy?

– Nie – zaprzeczyła z uśmiechem Nastia – na razie jeszcze sytuacja nie wygląda tak beznadziejnie. Mamy sporo hipotez, których nawet jeszcze nie zaczęliśmy sprawdzać. Poza tym pańska teza o programie realizowanym niezależnie od okoliczności zewnętrznych wydaje mi się bardzo przekonująca, jestem prawie pewna, iż następnych ofiar już nie będzie.

Ale ma pan rację i co do tego, że szkoda bezproduktywnie tracić czas i energię, bo oprócz sprawy tego dusiciela mamy jeszcze do rozwiązania mnóstwo innych. Olegu Grigorjewiczu, proszę mnie wykorzystać jako tanią siłę roboczą. Jeśli trzeba, usiądę do komputera, mogę coś obliczyć, porównać. Potrafię nawet pisać programy. Kiedyś dość poważnie zajmowałam się matematyką. Proszę, niech pan mi już dzisiaj udzieli choćby najmniejszej informacji.

– Co ja mam z panią zrobić! – Profesor pokiwał głową.

– Rujnuje mi pani wszystkie plany na wieczór. Dobrze, po co miałyby pani siedzieć bezczynnie, lepiej już proszę nam zrobić herbaty i przejść się do bufetu, może znajda się tam jakieś drożdżówki albo kanapki.

Bufet mieścił się w centralnej części budynku, w pomieszczeniu stołówki, i Nastia bała się znowu zabłądzić, ale tym razem jakoś się udało – grunt, żeby zapamiętać, iż szóste piętro skrzydła bocznego płynnie przechodzi w piąte gmachu głównego, i nie pomylić się w rachubach. W bufecie dla pracowników Akademii MSW udało jej się kupić kanapki z serem o dość odstręczającym wyglądzie oraz dwie paczki herbatników pochodzących, jeśli wierzyć etykietce, aż z Izraela. Płaciła właśnie bufetowej, gdy usłyszała znajomy głos:

– Nastia! To naprawdę ty?

Nastia odwróciła się i ujrzała ojczyma, który wszedł do stołówki z jakimiś dwoma generałami o surowym wyglądzie.

– Co tu robisz?

– Przyszłam w sprawie konsultacji.

Włożyła zakupy do reklamówki i podeszła do Leonida Pietrowicza, nie wiedząc, czy wypada go pocałować w tak oficjalnych okolicznościach. Ale on rozstrzygnął tę kwestię, obejmując Nastię i cmokając ją w nos.

– Pozwólcie, panowie, to moja córka – zwrócił się do generałów. – Major Kamieńska, starszy oficer operacyjny wydziału kryminalnego.

Generałowie skinęli głowami obojętnie i skierowali się w stronę bufetowej lady. Leonid Pietrowicz wciąż stał przy Nasti.

- Co słytać, dziecino? Jak ci idzie? – zapytał życzliwie.
 - Dawno u nas nie byłaś.
 - Mam masę roboty – usprawiedliwiła się. – A ty co tu robisz?
 - Konferencja praktyczno-naukowa. Widzisz, zjechało się mnóstwo generałów, rozmaitych szyszek. Po raz kolejny omawiamy problemy walki ze zorganizowaną przestępczością.
 - Ty przecież nie jesteś żadną szyszką.
 - No jak to? Kierownik katedry to też szyszka. A może i ty zachorowałaś na szowinizm panujący w Moskiewskim Wydziale Kryminalnym i podobnie jak wszyscy stamtąd uważasz, że tylko „praktycy” mają prawo być traktowani po ludzku? To prawdziwa epidemia. A ci, którzy w instytutach tych „praktyków” kształcą, to co, nadają się tylko na śmietnik?
 - No co ty, tato, nie chodzi mi o...
 - Wiem – uśmiechnął się ojczym – że zawsze byłaś normalnym dzieckiem i normalnie myślałaś. Aha, a kiedy zamierzasz tu skończyć swoje sprawy? Mógłbym cię podrzucić.
 - O, jeszcze nieprędko, dopiero niedawno przyjechałam.
 - Do kogo, jeśli to nie tajemnica?
 - Do Samożłowa.
 - Do Olega Grigorjewicza? Znam go, to dobry specjalista. I co, wciąż jeszcze nie trafiłaś na swego seryjnego zabójcę? Zgadłem?
 - Zgadłeś. Wracaj do swoich nadętych generałów, bo już spoglądają na ciebie złym okiem. Widocznie uważają, że skoro im towarzyszysz, to powinieneś płacić za ich wyżerkę.
 - Dziecino – zapytał ze zdumieniem Leonid Pietrowicz – skąd u ciebie taka nienawiść do starszych stopniem? Dawniej tego nie było. Albo przynajmniej ja nic nie zauważyłem.
 - Nie, nie było – uspokoiła go Nastia. – Znieubiłam wszystkich generałów, odkąd Pączek nas porzucił w pogoni za generalskimi szlifami. To nielogiczne i głupie, prawda?
 - Ale za to bardzo kobiece. Jak ci się pracuje z Mielnikiem?
 - W porządku. Oczywiście, to nie Pączek, ale można wytrzymać. No dobrze, tatuśku, muszę lecieć. Ucałuj mamę. I jeżeli znowu będzie lamentować z powodu mojego chronicznego niedożywienia, możesz jej z czystym sumieniem powiedzieć, że na własne oczy widziałeś, jak jadłam kanapki i herbatniki.
- Już wychodząc ze stołówki, Nastia odwróciła się i zobaczyła, jak Leonid Pietrowicz dyskutuje o czymś z ożywi eniem z dwoma generałami, rozpartymi przy stoliku. Jeden z nich obrzucił Nastię szybkim spojrzeniem i znów zajął się otwieraniem puszki piwa, którą trzymał w ręce.
- Anastazja wróciła do gabinetu profesora.

- Myślałem, że znów pani zabłądziła – burknął z niezadowoleniem, nie podnosząc oczu znad papierów. – Panią to tylko po śmierć posłać.
- Przepraszam. Spotkałam w stołówce ojca i chwilę się zatrzymałam.
- Pani ojciec pracuje w akademii?
- Nie, przyjechał na konferencję. Jaką pan sobie życzy herbatę – mocną czy...
- Średnią. I w dużym kubku, stoi tam, na parapecie. Niech się pani postara nie hałasować i nie przeszkadzać mi w pracy.

Nastia, usiłując się poruszać możliwie najostrożniej, zaparzyła herbatę i podała ją Samołowowi, obok stawiając talerzyk z kanapkami i ciasteczkami. Była już piąta, a przed siódmą powinna się zameldować u Paniska i zdać sprawozdanie z tego, co udało jej się zrobić przez cały dzień. Nie zdąży, nie zdąży w żaden sposób. Trzeba by chociaż zadzwonić, może przyjmie raport telefonicznie i nie będzie nalegał, żeby wracała na Pietrowkę.

Telefon stał obok, na biurku, ale Nastia krępowiała się zapytać, czy może z niego skorzystać, jako że Samołow jasno powiedział: nie hałasować i nie przeszkadzać. Wyszła więc na palcach do przedpokoju, postąpiła chwilę w zadumie i odkryła drzwi na klatkę schodową. Na podeście znajdowały się cztery „mieszkania”, drzwi do jednego z nich były szeroko otwarte, więc Nastia postanowiła spróbować szczęścia. W końcu nie przyszła pożyczyć pieniędzy, tylko spytać, czy mogłaby zatelefonować. Weszła do dawnego przedpokoju i rozejrzała się. Drzwi do łazienki i toalety, zaraz za nimi chyba wejście do kuchni. Kuchnie nigdy nie bywają duże, pewnie teraz mieści się tam czyjś niewielki gabinecik, może kierownika sekcji czy katedry. Nie, z nikim takim nie chce mieć do czynienia. Żaden zwierzchnik nie znosi, kiedy jakaś nieznajoma osoba wchodzi z prośbą o pozwolenie skorzystania z telefonu. Trzeba poszukać pomieszczenia, gdzie siedzi więcej pracowników.

Nastia zdecydowanym ruchem pchnęła drzwi prowadzące do pokoju. W środku nie było nikogo. Stały tu cztery biurka, dwa sejfy, szafa ubraniowa, leżały jakieś teczki i torebki – i ani żywego ducha. Za to aż dwa aparaty telefoniczne. Zdumiewająca lekkomyślność, jak na akademię policyjną! Bardzo proszę – wchodź, człowieku, bierz, co chcesz, kradnij śmiało. W przeciwległym rogu dużego pokoju były jeszcze jedne drzwi, i dopiero za nimi Nastia zastała kobietę w średnim wieku, zapamiętała stukającą w klawisze maszyny do pisania. Maszyna była elektryczna i poprzez jej hałas nikt nie mógłby usłyszeć, co się dzieje za ścianą.

- Przepraszam – głośno odezwała się Nastia – czy mogę skorzystać z telefonu?

Kobieta, nie przerywając pisania, zrobiła ruch głową w stronę sąsiedniego pokoju, gdzie stały telefony. Nastia przymknęła drzwi i zadzwoniła do Mielnika. Ku jej zdziwieniu, zareagował bardzo spokojnie.

- Czego się pani dowiedziała w salonie kosmetycznym?
- Łazariewa była tam zaraz po odnalezieniu siódmej ofiary – poinformowała. – Wydłużała paznokcie. Chodzi na te zabiegi regularnie, ma marne paznokcie,

rozdawają jej się, łamią.

– No to świetnie! Po prostu doskonale! Niech pani uprzedzi Docenkę, żeby był bardzo ostrożny, zadaje się z niebezpieczną przestępczynią, która może się okazać fizycznie nawet silniejsza od niego. I proszę dalej ją rozpracowywać. Jak się posuwa praca nad materiałami archiwalnymi?

– Właśnie w tej sprawie dzwonię. Czy mogę się nie stawić na wieczorny raport? O wizycie w salonie już zameldowałam, a na razie nie mam więcej nic konkretnego. Skończyłabym dzisiaj z naszymi archiwami, a jutro złożę zamówienie na materiały z archiwów sądowych i zabiorę się do nich.

– Dobrze – zgodził się Mielnik – może pani dziś nie przychodzić. Mamy już osobę podejrzaną, a jutro proszę przedstawić mi plan zgromadzenia dowodów. Proszę się skontaktować ze śledczym, niech powie pani, jakie dowody są potrzebne, żeby postawić Łazariewą w stan oskarżenia, a żeby je zebrać, to już pani w tym głowa. Czy Docenko przygotowuje okazanie?

– Tak jest. Szuka osób, które mogły widzieć Łazariewą w pobliżu miejsca zabójstwa.

– No to brawo.

Cóż, nowy szef nie skąpi pochwał, trzeba przyznać. Ciekawe, czy to naprawdę w jego stylu, czy też tylko chce zrobić dobre wrażenie na początku.

Nastia cicho wśliznęła się do gabinetu Olega Grigorjewicza i ostrożnie przycupnęła na brzeżku krzesła, bojąc się zakłócić spokój choćby najlżejszym skrzypnięciem. Czas płynął, profesor nie zwracał na nią najmniejszej uwagi, a ona siedziała bez ruchu, nie chcąc go rozpraszać. W głowie czuła natłok myśli, które jej samej wydawały się niestosowne i głupie. Na przykład, jak postąpić z informacją uzyskaną od Samożłowa, jeśli trzeba ją będzie wykorzystać przy wykrywaniu przestępstw? Powiedzieć o tym Mielnikowi czy lepiej nie ryzykować? Z jednej strony, sądząc z tego, jak się odniósł do jej ojczyma, Panisko traktuje naukę jeśli nie z szacunkiem, to przynajmniej bez jawnej pogardy. Z drugiej jednak, może to być kolejna gra, jedna z tych, którą tak uwielbiają mężczyźni, zwłaszcza na kierowniczych stanowiskach: siedząc w miękkim skórzanym fotelu, kreować się na nowoczesnego, elastycznego zwierzchnika o szerokich horyzontach, biegłego w zarządzaniu („Znajdę sposób rozwiązania każdego problemu”), o demokratycznym podejściu, wykształconego („Oczywiście, przywiązujemy wielką wagę do pracy analitycznej”), a jednocześnie sprawnego organizatora, który w mgnieniu oka potrafi się uporać z wykonaniem każdego zadania („Proszę tylko popatrzeć, jak moi ludzie pracują!”). Wbrew temu wszystkiemu w głębi duszy taki facet lekceważy znaczenie wykształcenia, elastycznego podejścia, demokratyzmu – to jedynie pozory, pusta demonstracja na użytek ludzi z zewnątrz. Kiedy zaś ma do czynienia ze swoimi, czyli z podwładnymi, to już całkiem inna rozmowa, jako że ktoś taki uważa, iż nigdy nie utrzyma w ryzach zespołu, jeśli zapanują prawdziwie demokratyczne stosunki i każdy

będzie mógł mieć własne zdanie. Ale „polityczna poprawność” wymaga... No i w ten sposób rodzi się podwójne, Janusowe oblicze.

Z Paniska myśli Nastia przeskoczyły na dziennikarza Walentina Bagluka, autora artykułu o cynicznych wywiadowcach, którzy nie czują się w obowiązku uchronić nawet własnych informatorów. Jurij Korotkow wziął się ostro do rozpracowania tego pismaka, jak tego żądał Mielnik, jednakże żadnych kompromitujących materiałów na razie nie znalazł. Ma się rozumieć, gdybyśmy mieli teraz nie rok dziewięćdziesiąty siódmy, tylko osiemdziesiąty szósty, z Bagluka nie zostałyby już nawet mokra plama. Facet nie umiał pić i kiedy uderzał w gaz, tak rozrabiał, że jedna pijacka awantura wystarczyłaby, żeby z hukiem wyleciał z pracy i nigdy więcej jej nie dostał. Na dodatek jego życie osobiste było kompletnie nieuporządkowane, wręcz nie do opisanego. Pośród tego chaosu niby świecące komety przemykały to żona redaktora naczelnego, to córka kierownika działu, to przyjaciółka któregoś ze sponsorów. Innymi słowy, rozwiązłego żurnalistę w niezapomnianym roku osiemdziesiątym szóstym³ niewątpliwie wywaliliby z hukiem i trzaskiem za pijaństwo lub niemoralne prowadzenie się, bądź za obie te rzeczy razem. Ale, chwalić Boga, był rok dziewięćdziesiąty siódmy i wszystkie dyscyplinarne obostrzenia dawno przestały kogokolwiek obchodzić. Nic więcej zaś Bagluk nie miał na sumieniu. Tak więc Korotkow nazajutrz wybierał się do redakcji gazety, by poznać osobiście zbyt dobrze poinformowanego dziennikarza i poprosić go o odpowiedź na parę pytań. Łagodnie, mimochodem, bez nacisku... – Podejrzewacie kobietę?

Nastia drgnęła i omal nie podskoczyła na krześle. Tak się zagłębiła we własne myśli, że zapomniała, gdzie jest i po co.

– Przepraszam, nie dosłyszałam...

– Pytam, czy wasz podejrzany to kobieta.

– A, tak. Kobieta. Jak pan to wywnioskował?

– Dzięki swojej metodzie. Mówi pani serio? Naprawdę wytypowaliście na sprawczynię tych zabójstw kobietę?

– Naprawdę. Zupełnie mnie pan zaskoczył.

– Znaczący, że moja metoda zdaje egzamin – skonstatował z zadowoleniem Samojłow. – To mnie cieszy. Powinna mieć jakieś dwadzieścia sześć lat.

– Dwadzieścia dziewięć.

– Niemożliwe – zaprotestował stanowczo profesor. – Nie mogłem się pomylić o trzy lata. Jeśli chodzi o wiek przestępcy, dopuszczalna granica błędu to dwa, trzy tygodnie, ale nie trzy lata. Macie niedokładne dane.

Niedokładne dane! Data urodzenia to akurat rzecz, którą można ustalić absolutnie dokładnie. Wszystko inne – rzeczywiście w przybliżeniu.

– Ma dwadzieścia dziewięć lat – powtórzyła z naciskiem Nastia. – To informacja sprawdzona i potwierdzona w dokumentach.

Samojłow zamyślił się, a potem znów zajrzał w swoje notatki.

– Niech mi pani powie, czy ona przypadkiem nie uprawiała sportu?

– Ależ tak – potwierdziła zdumiona Nastia. – To po prostu fantastyczne.

– Nie ma w tym nic fantastycznego, to jedynie przypuszczenie oparte na długotrwałym doświadczeniu – odparł sucho Samojułow. – Otóż, Anastazjo Pawłowno, muszę zwrócić pani uwagę na fakt, że jeśli chodzi o sportowców, nigdy nie można być pewnym, że zna się dokładnie ich datę urodzenia. Wielokrotnie się z tym zetknąłem w trakcie opracowywania mojej metody.

– A dlaczego tak jest?

– Dlatego, że bardzo często wiek celowo się podwyższa lub obniża, w zależności od tego, czy dany zawodnik występuje w grupie seniorów, czy juniorów. Rozumie pani? Znam wypadki, kiedy sportowiec tyle razy fałszował rok i miesiąc urodzenia w swoich dokumentach, że potem w ogóle nie można było się w tym połapać. Skąd pochodzą dane o wieku podejrzanej?

– Z Federacji Koszykówki. Ale zgadzają się z danymi z Centralnego Biura Adresowego. Tam również figuruje rok urodzenia tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty siódmy.

– Niech mi pani nie każe wyjaśniać sobie podstawowych rzeczy. – Profesor znowu stawał się rozdrażniony. – Przychodzą tam dane z milicyjnego biura ewidencji ludności, gdzie wydaje się dowody osobiste. Jaka data urodzenia widnieje w dowodzie osobistym, taką mają i w Centralnym Biurze Adresowym. A czy pomyślała pani, na jakiej podstawie wydaje się dowód osobisty? Tak, na podstawie świadectwa urodzenia. Metryka jest jedynym dokumentem człowieka, dopóki nie ukończy szesnastu lat. A sportowcy zaczynają karierę o wiele wcześniej. I fałszować daty zaczynają już w metrykach. Chwyta pani teraz, w czym rzecz? Oczywiście, wasza podejrzana z pewnością musiała mieć wystarczający wzrost i budowę, by w latach jej młodości czy nawet dzieciństwa „postarzano” ją o całe trzy lata, i nikt tego nie zauważył.

– Tak – kiwnęła głową Nastia – co do tego ma pan absolutną rację. To bardzo wysoka dziewczyna. Wyższa ode mnie o piętnaście centymetrów. Będę musiała zbadać, co to za historia z jej wiekiem. A co jeszcze może mi pan powiedzieć?

– Chwileczkę, nie wszystko od razu. Uzyskałem na razie jedynie bardzo przybliżone informacje na podstawie analizy danych dotyczących pierwszej z siedmiu ofiar. Muszę zbadać przynajmniej dwa zabójstwa, a jeszcze lepiej trzy, żeby powiedzieć coś konkretniejszego. Co do daty urodzenia też uzyskamy większą pewność.

– Ale ja i tak nie rozumiem, jak pan to robi – przyznała Nastia. – W moich oczach jest pan czarodziejem.

– Niech pani da spokój. – Samojułow skrzywił się. – Naprawdę już nie mogę tego znieść. Czarodziej, mag, sztukmistrz... Bzdury! Opracowałem tak zwaną metodę chrono-biopsychologiczną, której zastosowanie przy wykrywaniu seryjnych zabójstw

może dawać pozytywne rezultaty, i to wszystko. Istnieją określone prawidłowości, w których najistotniejszą rolę gra element czasu. Moment, w którym jeden człowiek zadaje śmierć drugiemu, to punkt przecięcia się dwóch prostych: czasu życia zabójcy i czasu życia jego ofiary. Na pierwszy rzut oka wydaje się to kwestią przypadku, ale w rzeczywistości niezupełnie tak jest. Seryjny morderca dokonuje zbrodni wtedy, kiedy czuje wewnętrzną gotowość, potrzebę. Przymus, jeśli pani woli. Nie może nie zabić, dlatego zabija. Ale nie pierwszego lepszego człowieka, tylko takiego, który mu „pasuje” ze względu na pewne cechy powierzchowności lub jeszcze coś innego. Nie należy jednakowo podchodzić do seryjnego zabójcy i, na przykład, mordercy na zlecenie. Killer zabija nie dlatego, że w danej chwili nie może nie zabić. Otrzymuje za to pieniądze, więc działa, uwzględniając jedynie dwa czynniki: termin realizacji zamówienia, który może być bardzo ograniczony w czasie, i realną możliwość dokonania zabójstwa. Nieraz musi długo czekać na sposobną chwilę. Tak więc moment, który nazywam punktem przecięcia, zależy od wielu czynników. I od zachowania ofiary, i od woli klienta, i od zręczności killera, i od przypadkowych przeszkód i różnych innych elementów. W przypadku seryjnego mordercy wszystko wygląda inaczej. Moja metoda powstała w rezultacie długoletnich studiów nad seryjnymi zabójstwami; podstawą analiz były dane, jakie otrzymywałem o tych przestępstwach. Naprawdę nie ma w tym żadnych czarów. Pamięta pani, między pierwszym i drugim zabójstwem minęły cztery dni. Zabójca w chwili popełniania drugiego przestępstwa był o cztery dni starszy. Teraz weźmy dane dotyczące drugiej ofiary i wyliczmy wedle mojej metody wiek człowieka, który pozbawił tę osobę życia konkretnego dnia. Jeśli metoda się sprawdzi, powinniśmy uzyskać mniej więcej taki sam wskaźnik, jak poprzednio. Wtedy wyszło nam dwadzieścia sześć lat, dwa miesiące i siedemnaście dni, z marginesem błędu w granicach dziesięciu dni. Zobaczmy, jaki wynik uzyskamy teraz. Nie nuży pani takie długie siedzenie w milczeniu, bez słowa?

– Nie, nie, skąd. To dla mnie stan normalny.

– Tym razem pójdzie nam szybciej – obiecał Samojłow.

I rzeczywiście, na wynik analizy danych dotyczących drugiej ofiary dusiciela nie trzeba było długo czekać. Jednakże profesor nie kwapił się z jego ogłoszeniem. Nastia spostrzegła, że Samojłow sposepniał, skrzywił się z niezadowoleniem, zmiął kartkę, na której coś pisał, i wrzucił ją do kosza, po czym podjął obliczenia na nowo. Ale i kolejny wynik go nie zadowolił. Samojłow nachylił się, wyciągnął z kosza na śmieci zmiętą kartkę i porównał oba zapisy. W jego oczach błysnęło zdziwienie. Powoli podniósł głowę, starannie złożył swoje papiery i wsunął je do tekturowej teczki, zawiązał troczki, a następnie schował ją do biurka. Potem gwałtownie i jakby z obrzydzeniem odepchnął od siebie papiery, które dała mu Nastia.

– A więc, Anastazjo Pawłowno, czy zechce mi pani powiedzieć, po co tutaj przyszła? Uważam swój czas za bardzo cenny, podobnie jak czas każdego uczonego,

pani zaś postanowiła zabawić się moim kosztem, czy tak?

– Chwileczkę, Olegu Grigorjewiczu... Co się stało? Dlaczego pan tak mówi?

– Dlatego że mam ku temu podstawy. Po co pani do mnie przyszła? Jakie dane mi pani przedstawiła?

– Dane na temat siedmiu ofiar, uduszonych w ciągu dwóch tygodni w ten sam sposób. Mówiłam panu.

– Okłamała mnie pani.

– Ale przecież nie...

– Okłamała mnie pani – z trudem hamując wściekłość, powtórzył Samojłow. – Nie znam tajemnic państwowych i zdaję sobie sprawę, że wymyślanie pretekstów do zawarcia ze mną znajomości w celach operacyjnych nie jest potrzebne. Chwała Bogu, nie zajmuję się bronią kosmiczną, lecz zaledwie problemami wykrywania zabójstw, i nie stanowią interesującego obiektu ani dla obcego wywiadu, ani dla struktur mafijnych. A zatem wizyty pani nie mogę potraktować inaczej niż jak niemądrego żartu o niejasnym dla mnie na razie podłożu, zwłaszcza że jej powód był najwyraźniej naciągany. Może zechce się pani wytłumaczyć?

Nastia poczuła się kompletnie zagubiona. Nie mogła pojąć, co tak rozdrażniło profesora, i nie bardzo wiedziała, jak się w takiej sytuacji zachować.

– Myli się pan. – Starła się mówić możliwie najspokojniej. – Olegu Grigorjewiczu, przyszłam do pana jako do specjalisty od seryjnych zabójstw, gdyż przeczytałam pańskie artykuły. Tylko dlatego. Innych powodów nie ma. Nie rozumiem, o co mnie pan obwinia. Nie kierowałam się żadnymi ukrytymi intencjami. Ale pańskie słowa dają mi wiele do myślenia. Proszę powiedzieć, co pana tak rozzłościło.

– Nie pozwolę nikomu zabawiać się moim kosztem – rzekł sucho Samojłow. – Czas do domu, muszę już iść.

Nastia zerwała się z za biurka i podeszła do niego blisko, błagalnie patrząc mu w oczy.

– Olegu Grigorjewiczu, proszę pana... Proszę, niech mi pan uwierzy, przyszłam do pana tylko dlatego, że zajmuję się sprawą siedmiu osób, uduszonych przez nieznanego maniaka. Jest kobieta, którą podejrzewamy o te zabójstwa, wytypowaliśmy ją w trakcie działań operacyjnych. Wyjaśnię wszystko, ponieważ chcę, żeby pan mi uwierzył. Ekspertyzy medyczne wskazywały na to, że zabójca musiał być bardzo wysokiego wzrostu. A nasze własne analizy doprowadziły nas do wniosku, że chodzi raczej o kobietę. Wszystkie ofiary zostały zaatakowane od tyłu, żadna z nich się nie broniła, czyli nie zdawała sobie sprawy z niebezpieczeństwa, nie przeczuwała nic złego. Po kobiecie zwykle nikt się nie spodziewa napaści, prawda? I dlatego zaczęliśmy szukać bardzo wysokiej i silnej fizycznie kobiety. To zupełnie naturalne, że na pierwszy ogień poszły koszykarki. I znaleźliśmy wśród nich młodą kobietę o pewnych odchyleniach psychicznych. Podejrzana nie ma mocnego alibi na czas

dokonania zabójstw. Ale to przecież nie wystarczy, żeby ją oskarżyć. Niestety, z kryminalistycznego punktu widzenia jesteśmy w wielkim kłopotcie. Nie mamy niczego do badań porównawczych, w miejscach znalezienia zwłok ze względu na błoto brak jakichkolwiek śladów. Panie profesorze, chciałabym się dowiedzieć, gdzie i jak szukać dowodów. Jedyne, co możemy teraz zrobić, to odnaleźć świadków, którzy mogli widzieć naszą podejrzaną w pobliżu miejsca zabójstwa. Ale nawet jeśli się okaże, że tacy istnieją i rozpoznają tę kobietę, nie będzie to stanowiło wystarczającej podstawy do jej oskarżenia. Proszę mi pomóc.

– Chce pani, żeby się przyznała?

– Niekoniecznie, chociaż, oczywiście, byłoby niezłe. Jeśli dzięki pańskiej metodzie uzyskam o zabójcy taką informację, którą dotychczas nie dysponuję, może wpadnę na pomysł, gdzie i jak szukać dowodów.

Samojłow odsunął się od Nasti na odległość kilku kroków i w zamyśleniu potarł palcami skronie.

– Wierzę pani. Pewnie nie powinienem, ale wierzę. Być może jest pani ślepym narzędziem w czyichś rękach. Jeśli tak, szczerze pani współczuję. Ktoś po prostu chciał panią wykorzystać, posłużyć się panią.

– Zapewniam pana, że nikt mną nie manipuluje. Decyzję skonsultowania się z panem podjęłam samodzielnie. Więcej, nie powiadomiłam o niej ani kolegów, ani kierownictwa sekcji. Nie musi mi pan współczuć, profesorze. Skoncentrujmy się lepiej wspólnie na tym, co tak pana rozgniewało. Proszę mi powiedzieć, o co tu chodzi.

– O co chodzi? Dobrze, powiem pani. Podsunięto pani niewłaściwe informacje. Albo ktoś od początku panią oszukiwał, albo podmienił dane w pani teczce.

– Skąd to panu przyszło do głowy? – wykrzyknęła Nastia.

– Po co ktoś miałby mnie oszukiwać i podsuwać mi fałszywe materiały? Czymś takim mógłby być zainteresowany jedynie zabójca. Nie chce pan chyba powiedzieć, że przestępcą jest któryś z moich kolegów?

– Tego nie wiem – odparł wymijająco Samojułow. – W każdym razie informacje na temat drugiej ofiary są mocno zastanawiające. Mało tego, przejrzałem dane dotyczące trzeciej ofiary. I wie pani, co pani powiem, szanowna Anastazjo Pawłowno?

Nagle poczuła jakiś dziwny lęk. Nie mogłaby nawet sensownie wytłumaczyć dlaczego. Była w zwyczajnym, niewielkim gabinecie, w budynku pełnym pracowników organów bezpieczeństwa. Obok niej siedział szanowany profesor, sympatyczny, inteligentny mężczyzna, pułkownik milicji. Skąd w niej ten strach, jak gdyby nagle zgaszono światło, a z każdego kąta mogły wypełznąć nagle jadowite żmije albo wyskoczyć uzbrojeni szaleńcy? Serce Nasti tłuło się w piersiach jak szalone, dłonie zwilgotniały, palce drżały.

– Tych zabójstw dokonali różni ludzie, Anastazjo Pawłowno. Zupełnie różni. I nie maniacy.

ROZDZIAŁ 7

Denisow jednak zadzwonił. I Nastia właściwie nie była pewna, choć próbowała się nad tym zastanawiać, czy rzeczywiście wprawilo ją to w zakłopotanie. Z jednej strony, cóż może być niebezpiecznego w tym, że starszy człowiek w przeddzień skomplikowanej operacji chce się zobaczyć z ludźmi, którzy nie są mu obojętni? Z drugiej, ten starszy człowiek to sam Eduard Pietrowicz Denisow, a to wiele znaczy.

Denisow zadzwonił w sobotę późnym wieczorem. Nastia umówiła się, że przyjedzie do niego do kliniki w niedzielę – termin operacji wyznaczono na poniedziałek. Wygląd Denisowa nią wstrząsnął. Nie widzieli się od ponad roku i przez ten czas choroba postarzyła go o piętnaście lat. Jednak Nastia, uprzedzona przez Anatolija Władimirowicza, usilnie starała się nie dać po sobie niczego poznać.

– Zdziwiło panią moje zaproszenie? – zapytał Denisow z ironicznym uśmiechem.

Tylko po tym uśmieszku można było poznać dawnego Eduarda Pietrowicza. Nawet głos mu się zmienił, mówił wolno i jakby z trudem.

– Zdziwiło – przyznała Natasza. – Myślałam, że całkiem pan o mnie zapomniał.

– Tylko proszę nie mówić, że sprawiło to pani przykrość. Doskonale pamiętam, że po naszej ostatniej epopei miała pani wielkie nieprzyjemności w pracy, więc uznałem, że lepiej będzie nie niepokoić pani bez potrzeby. Ale dzisiaj chciałbym zrobić pani prezent.

– Z jakiej okazji?

– Bez szczególnego powodu. – Znowu się uśmiechnął. – Widzę, widzę, że Tola panią przygotował i prosił, by pani udawała, że wyglądam kwitnąco. Nie chcę go denerwować, ale sam doskonale wiem, że źle ze mną. Oczywiście, nadzieja, jak zapewniają mądrzy ludzie, umiera ostatnia, dlatego nie wpadam w rozpacz, ale muszę brać pod uwagę, co może się zdarzyć. Dlatego nie chciałbym się znaleźć na stole operacyjnym, nie spłaciwszy swoich długów.

– Jeśli dobrze pamiętam – wtrąciła ostrożnie Nastia – podczas naszego ostatniego spotkania powiedział pan, że jesteśmy kwita. Nic mi pan nie jest winien.

– To dotyczyło interesów. Ale w przyjaźni, droga Anastazjo, nie ma takich rachunków. Zdaje sobie pani przecież sprawę, że serdecznie panią lubię, podziwiam i mam dla pani niemal ojcowskie uczucia. A ponieważ nasze dzisiejsze spotkanie rzeczywiście może być ostatnie, nie chcę, żeby mnie pani źle wspominała.

Szli powoli przez zaśnieżony ogród, otaczający klinikę. Przed nimi i z tyłu, w „przepisowej” odległości, podążali ochroniarze Denisowa. Mimo że był on teraz ciężko chorym, starym człowiekiem, wciąż pozostawał wielkim mafiosem, i wszystko

mogło się zdarzyć... Eduard Pietrowicz mocno trzymał Nastię pod rękę, starając się ukryć słabość i zawroty głowy. Skoro mówi się cicho, półgłosem, to rzecz naturalna, że ucho rozmówcy powinno się znajdować możliwie jak najbliżej...

– Moja bezinteresowność ma jednak granice – ciągnął.

– Dlatego chcę zrobić pani prezent, który będzie miał sens tylko w wypadku... no, powiedzmy, niepomyślnego wyniku operacji. Musi mi pani dać słowo, że jeśli wszystko się uda i moje zdrowie się poprawi, nie zrobi pani użytku z mojego podarunku.

– A cóż to takiego? – spytała rozbawiona Nastia. – Willa na Lazurowym Wybrzeżu? Boi się pan, że się tam wprowadzę i nie wpuszczę pana za próg?

Denisow nagle spowaźniał. Szedł teraz jeszcze wolniej i ochroniarze także natychmiast zwolnili kroku.

– Szczerze mówiąc, rzeczywiście chciałbym zostawić pani na pamiątkę coś konkretnego, choćby właśnie willę na Lazurowym Wybrzeżu. Ale pani przecież nie przyjmie takiego prezentu?

– Oczywiście, że nie.

– A dlaczego? No cóż, naturalnie znam odpowiedź. Uwielbia pani swoje zajęcie i wysoko je sobie ceni, a taki podarunek sprawiłby, że tego samego dnia straciłaby pani pracę. Mam rację?

– Częściowo.

– O co jeszcze chodzi?

– Nie chcę wprowadzać do naszej serdecznej znajomości aspektu materialnego. Nie będę ukrywała przed panem, Eduardzie Pietrowiczu, że od początku było mi trudno znaleźć logiczne wyjaśnienie dla naszej wzajemnej sympatii. Pan jest potentatem finansowym, znanym na całym świecie specjalistą od prania brudnych pieniędzy. Ja – oficerem milicji. Co prawda, nie zajmuję się przestępstwami gospodarczymi, lecz zabójstwami, i żadnych pieniędzy ani innych dóbr materialnych od pana nie przyjmowałam, ale przyzna pan, że mimo wszystko sytuacja wydaje się dość dwuznaczna.

– Przyznaję. – Denisow skinął głową. – Ale nie zagłębiajmy się w to teraz, odkręcić tej dwuznacznej sytuacji już nie możemy, jako że nasza znajomość sięga paru lat wstecz, a historii, jak wiadomo, nie da się zmienić. Co się stało, to się nie odstanie. Znając pani charakter, nigdy nie robiłem pani prezentów przedstawiających jakąś wymierną wartość finansową, nawet na urodziny. To, co chciałbym pani dziś ofiarować, to także nie pieniądze ani żadne dobra materialne. Chodzi o informację. Usiądźmy na chwilę, trochę się zmęczyłem.

Nasti boleśnie ścisnęło się serce. Spacerują nie dłużej niż piętnaście minut, a on już odczuwa zmęczenie. Jak bardzo różni się ten Denisow od tamtego rosłego, młodzieńczego, pełnego sił mężczyzny, który mimo swoich siedemdziesięciu lat mógł przejść pieszo dziesięć kilometrów, ani na chwilę nie przysiadając dla odpoczynku.

Teraz ciężko opadł na oczyszczoną ze śniegu ławkę. Ochroniarze zatrzymali się po prawej i po lewej stronie, zachowując dystans czterech metrów, czyli odległość wystarczającą, by nie słyszeć prowadzonej półgłosem rozmowy.

– Czy wiadomo pani, droga Anastazjo, że nasz rząd bardzo serio zajął się kwestią wzmocnienia dyscypliny finansowej i podatkowej?

– Wiadomo – potwierdziła Nastia. – Wszyscy o tym wiedzą, to żadna tajemnica, powstają przecież ustawy i rozporządzenia w tej sprawie. Powołano nawet komisję nadzwyczajną.

– A czy wie pani, że opracowano specjalny program zwalczania naruszeń prawa w tej dziedzinie? I już wprowadza się go w życie.

– Nietrudno się tego domyślić. Skoro istnieje problem, powinno się podjąć kroki zmierzające do jego rozwiązania. To logiczne.

– A czy domyśla się pani również, co stanowi istotną treść tego programu?

– To już trudniejsza sprawa. Gdybym wiedziała, kto jest jego twórcą, polityk, ekonomista czy prawnik, wtedy pewnie mogłabym wysnuć jakieś wnioski. Ale...

– No dobrze, nie będę pani egzaminował. Program ma bardzo szeroki zakres i znajduje się w nim również część dotycząca działania służb operacyjnych i wywiadowczych.

Nastia nie potrafiła ukryć zdumienia.

– Coś podobnego! Dziwne, że pracownicy tych służb nic na ten temat nie wiedzą. Nie myli się pan, Eduardzie Pietrowiczu?

– Anastazjo, obraża mnie pani – z wyrzutem powiedział Denisow. – Ludzie, którzy kierują programem, to osoby trzeźwo myślące; zdają sobie sprawę z tego, że niepotrzebny rozgłos może zniweczyć wszelkie ich wysiłki. Jednym z punktów wspomnianej części programu jest stworzenie sieci rezydentów w instytucjach finansowych i handlowych. Z początku – w największych, następnie także w wielu pomniejszych. Chodzi o to, żeby zrezygnować z werbowania informatorów wewnątrz takich struktur, gdyż podobne działania się nie sprawdziły, a zamiast tego kierować tam – jako rzekomych pracowników czy nawet kadrę zarządzającą – specjalnie przeszkolone osoby, które doskonale by się orientowały w operacjach ekonomicznych i potrafiły dokonać wnikliwej analizy dokumentów finansowych, a jednocześnie zachowywać się i postępować tak, by nie wzbudzać podejrzeń, przestrzegać zasad konspiracji itede. Zresztą rozumie pani, o co chodzi.

– Tak, oczywiście – przytaknęła Nastia. – Rozumiem, co pan ma na myśli. Pomysł, nawiasem mówiąc, nie jest nowy, sugerowano coś podobnego od dawna, ale bez widocznego skutku.

– Tak się pani tylko wydaje. Jak widać, wzięto rzecz pod uwagę i nawet wprowadzono w życie. Ale to, jeszcze nie koniec, moja kochana. Drugi punkt programu przewiduje powołanie specjalnego centrum szkoleniowego, które będzie przygotowywało takich rezydentów. I takie centrum już istnieje. Co więcej, pierwsi

jego absolwenci przystąpili do pracy. Na razie zaledwie dwadzieścia sześć osób w całej Rosji, w tym również w Moskwie. Ale to tylko wstęp, Anastazjo.

– Bardzo obiecujący. Mogę sobie wyobrazić ciąg dalszy – ironicznie zauważyła Nastia.

– Nie byłbym taki pewien. – Denisow pokręcił głową. - Cała rzecz jest trochę skomplikowana, ale sądzę, że zainteresuje panią. Lubi pani przecież różne łamigłówki. A więc w tej chwili z dwudziestu sześciu absolwentów tylko dwudziestu pięciu pracuje tam, dokąd ich skierowano.

– A co z dwudziestym szóstym?

– O-o-o – wyraźnie chcąc zaintrygować Nastię, rzekł Denisow – gdybym wiedział, gdzie on jest, nie byłoby łamigłówki.

– I jego nazwiska, oczywiście, też pan nie zna – na wpół pytająco rzuciła Nastia.

– Oczywiście – przyświadczył. – Za to wiem co innego. Tam, dokąd został skierowany dwudziesty szósty absolwent centrum szkoleniowego, niedawno zdarzył się pewien wypadek. Zabito mianowicie jednego z szefów ochrony, emerytowanego pracownika Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. No i co, droga Anastazjo, zaskoczyłem panią?

– Jak na razie, nie bardzo. Nie widzę w tym żadnej łamigłówki. I nie rozumiem, dlaczego nie można wykorzystać tej informacji... – Chciała zakończyć: „jeszcze za pańskiego życia”, ponieważ Denisow właśnie o tym wspomniał na początku rozmowy, ale w porę się powstrzymała. – To znaczy, chcę powiedzieć, że ustalenie, w których instytucjach na terenie całego kraju niedawno doszło do tego rodzaju wypadków, nie wydaje mi się sprawą szczególnie skomplikowaną. Zajmie to sporo czasu, ale jest absolutnie możliwe. Tym bardziej że nie wszędzie pracownik, który zginął, musiał być w przeszłości oficerem milicji. Następnie należałoby wyjaśnić, kto w interesującym nas przedziale czasu został tam przyjęty do pracy, po czym wkrótce się zwolnił. I prześledzić losy każdego z nich. Pracochłonne, ale najzupełniej realne. Nie rozumiem tylko, czemu by to miało służyć. Sugeruje pan, że dwudziesty szósty absolwent, który zniknął z horyzontu, ma coś wspólnego z zabójstwem szefa ochrony? Mogę pana zapewnić, że ci, którym powierzono tę sprawę, przede wszystkim zwrócili uwagę na nowego pracownika, który w krótkim czasie się zwolnił. Nie są głupszy niż pan czy ja. Czegoś pan nie dopowiada, Eduardzie Pietrowiczu. To nieuczciwe.

Denisow długo milczał, wydawało się, że stracił zainteresowanie rozmową; siedział nieruchomo, nie odrywając oczu od puszystych, okrytych śnieżnymi czapami świerków.

– Gdyby ktoś mnie kiedyś poprosił, żebym wymienił trzy kobiety, które pozostawiły głęboki ślad w moim życiu – odezwał się nagle – podałbym trzy imiona. Pierwsza byłaby Wiera Aleksandrowna, moja żona, która przeżyła ze mną blisko pięćdziesiąt lat i była mi podporą w najtrudniejszych chwilach. Druga to Liliana, kobieta, którą gorąco kochałem i która tak bezsensownie zginęła. Trzecią jest pani,

Anastazjo. Nie przestaję pani podziwiać.

– Dlaczegoż to? – sucho spytała Nastia. Zrobiło jej się jakoś nieprzyjemnie i przykro. Także myśl o tym, że pozostawiła jakoby głęboki ślad w życiu wytrawnego mafiosa, bynajmniej nie była miła.

– Przyjechała pani zobaczyć się z człowiekiem umierającym... Tak, tak, proszę mnie nie przekonywać i nie zaprzeczać, nie jestem dzieckiem. Przyjechała pani zobaczyć się z człowiekiem umierającym, co więcej, przyjechała pani do kogoś, kto zawsze darzył panią sympatią i zaufaniem i kto nigdy nie wyrządził pani najmniejszej krzywdy. Nie może pani przecież zaprzeczyć, prawda? Nawet te nieprzyjemności w pracy, których powodem były pani kontakty ze mną, wyniknęły nie z mojej winy. Poprosiła pani wtedy, żebym przyjechał do Moskwy zobaczyć się z panią, to nie była moja inicjatywa. Zatem, powtarzam, rozmawia pani teraz z człowiekiem, który ma wobec pani jak najlepsze intencje i któremu pozostało już niewiele czasu, a jednak nie potrafi się pani wyzbyć właściwej sobie nieufności i czujnego dystansu. W każdym moim słowie doszukuje się pani podstępu. Co więcej, traktuje mnie pani jak równego sobie i stara się odnaleźć logiczny wątek w tym, co mówię, wytykając mi sprzeczności i niekonsekwencje. A przecież nie mamy równych szans, moja droga. Przed panią jeszcze całe życie, a moja perspektywa to sala operacyjna i zabieg, po którym mogę się już nie obudzić. Lekarze zwodzą mnie, raz zapewniając, że operacja pomoże, to znów uczciwie uprzedzając, że mogę jej nie przetrzymać. I nawet w tej sytuacji nie chce mnie pani traktować z większą wyrozumiałością. Jest pani okrutna, Anastazjo. Cóż, to cecha młodości. Ma pani trzydzieści sześć lat, nie mylę się?

– Nie myli się pan.

– Po prostu smarkula. – Denisow uśmiechnął się smutno.

– Ale jak zawsze, ma pani rację: nie powiedziałem wszystkiego. Program, o którym mowa, jest bardzo kosztowny, nie starcza nań pieniędzy z budżetu. Więc ludzie, którzy nim kierują, weszli w porozumienie z pewnymi strukturami.

– Rozumiem. – Nastia westchnęła. – Jedni dają pieniądze, żeby drudzy zostawili ich w spokoju. Tak?

– Otóż to. Ja także finansuję ten program w zamian za solenną obietnicę, że żaden ze świeżo upieczonych rezydentów nigdy nie pojawi się na terenie mojego miasta. Dlatego nie jestem zainteresowany w tym, żeby – dopóki żyję – sprawa została rozgrzebana. Rozumie pani? Jeśli pani pociągnie za nitkę, którą przed chwilą pani wskazałem, dzięki swemu uporowi i inteligencji koniec końców dobierze się pani i do centrum szkoleniowego, i do organizatorów i szefów programu. A wtedy mogą nastąpić różne przetasowania, w tym zmiany personalne w aparacie wykonawczym programu, nie mówiąc o źródłach finansowania. I już nie uda mi się doprowadzić do zawarcia rozejmu z władzami. Ale jeśli umrę, to całkiem inna sprawa.

„Umrze. – Nastia nagle jasno to zrozumiała. – Nie ma już żadnej nadziei i jest przygotowany na najgorsze. Właśnie dlatego powiedział mi to wszystko. Gdyby tliła

się w nim jeszcze iskierka nadziei, za nic nie przekazałby mi tej informacji. Jest świadom swojego stanu o wiele bardziej niż jego otoczenie. I na bezsensowną – z jego punktu widzenia – operację zgodził się tylko dlatego, żeby nie martwić najbliższych. Niech się pocieszają złudzeniami. Ale jeżeli nie mam racji i Denisow liczy, że się jakoś wygrzebie z choroby, musi mnie uważać za kompletną idiotkę. Bo tylko skończonemu durniowi można powierzyć taką informację i mieć pewność, że ten jej nie wykorzysta, powodowany wyłącznie osobistą sympatią. Czy aż tak wysoko ocenia swój wpływ na mnie i wierzy, że nigdy nie wykonam najmniejszego ruchu, który mógłby mu zaszkodzić?” – Eduardzie Pietrowiczu, przepraszam za to pytanie: od dawna pan choruje? – nagle zmieniła temat Nastia.

Denisow powoli zwrócił ku niej swoją dużą, siwowłosą głowę i uważnie popatrzył Nasti prosto w oczy, a ona nagle pomyślała, że widzi ją na wskroś i sens jej nietaktownego pytania jest dla niego absolutnie jasny. I tak rzeczywiście było.

– Nie, moja droga, zaledwie od czterech miesięcy. Zobaczyła pani dziś sama, co w tym czasie zrobiła ze mnie choroba. Niestety, postępuje bardzo szybko. Gdybym się nie poddał operacji, zostałoby mi naprawdę niewiele życia. Co najwyżej parę tygodni.

– A jeżeli operacja się uda?

– Niech pani da spokój. – Skrzywił się i znowu usiadł prosto, utkwivszy nieruchome spojrzenie w puszystych świerkach. – Przecież sama pani w to nie wierzy. Przez te cztery miesiące choroba tak przeżarła organizm, że serce nie wytrzyma nawet dwugodzinnej narkozy. Z każdym dniem jestem słabszy, czuję się coraz gorzej, a to znaczy, że przerzuty powstają wszędzie, i to błyskawicznie. Nic ich już nie powstrzyma. Przepraszam panią, Anastazjo, wiem, że łatwiej byłoby pani rozmawiać ze mną w innym tonie, w innym duchu, podtrzymywać we mnie nadzieję i słuchać, jak snuję plany na przyszłość. W każdym razie wiedziałyby pani wtedy, co mi powiedzieć. Ale jak się zachować wobec człowieka, który zdaje sobie sprawę, że wkrótce umrze, i nawet usiłuje o tym mówić? To bardzo trudne. Ja jednak zbyt wysoko panią cenię, by oszukiwać i tym samym zmuszać panią do udawania. Nie jestem człowiekiem na tyle pani bliskim, żeby rozpaczała pani po mnie, tak jak będzie rozpaczał Tola Starkow, nie mówiąc już o mojej rodzinie. Pani mogę zdradzić, jak sytuacja naprawdę wygląda, nie muszę pani oszczędzać. Długo już nie pożyję. Dlatego opowiedziałem pani o programie.

– Po co? Po co pan to zrobił? O co panu chodzi, co pan chce osiągnąć?

– No, po prostu chcę, żeby pani o tym wiedziała. Ot, tak – nie wykluczam, że pomoże to pani w pracy, na przykład wtedy, gdy będzie się pani wydawało, że czegoś pani nie rozumie.

– Znowu się pan ucieka do niedomówień.

– Tak... A pani znowu ma rację. Jeszcze nie wszystko powiedziałem, ale nie dlatego, że chcę wypróbować pani domyślność, proszę mi wierzyć. Długo się przygotowywałem do tej rozmowy, jednak do chwili pani przyjazdu nie zdołałem

sobie odpowiedzieć na podstawowe pytanie.

– I nie potrafi pan tego zrobić?

– Nie, nie potrafię. Chociaż myślę nad tym od czterech miesięcy, odkąd zrozumiałem, że siedmiomilowymi krokami zbliżam się do kresu. Ludzie pewni siebie rzadko zastanawiają się nad tym, co będzie, kiedy ich zabraknie. Wydaje nam się, że będziemy żyć wiecznie i nigdy nie umrzemy. A potem nagle się okazuje, że to nie tak. I coraz częściej zaczynamy rozmyślać o tym, że odejdziemy z tego życia, które przecież będzie toczyć się dalej mimo naszej w nim nieobecności. Z początku wszystko wydaje się całkiem jasne, i na pytanie, jakie to życie będzie, pierwszą odpowiedzią, która się nasuwa, jest: „To będzie życie bez nas”. Niektórzy na niej poprzestają. A inni, borykając się nieustannie z tą nieprzyjemną myślą, przechodzą do następnego etapu i mówią sobie: „Dobrze, już pojąłem, że to będzie życie beze mnie. Ale chciałbym wiedzieć, jakie ono będzie – dobre czy złe? I czy mi na tym zależy, czy mnie to obchodzi?”. Oto na jakie pytanie poszukuję odpowiedzi. I usiłuję dociec, czy to cudze życie, w którym mnie już nie będzie, jest mi obojętne, czy też nie.

– I ku czemu się pan skłania?

– Nie wiem. Nie potrafię się zdecydować. Zbyt wiele leży na szali wagi. Między innymi – dobro i pomyślność ludzi, za których przez długie lata byłem odpowiedzialny i których nie mam prawa zostawiać na pastwę losu.

– Chce pan, żebym pozostała przy panu, dopóki pan nie podejmie decyzji?

– Tak. Chcę tego. Ale nie śmiem pani o to prosić. Dzisiaj niedziela i na pewno ma pani jakieś swoje plany. Poza tym to nic przyjemnego spędzać czas w towarzystwie umierającego starca. Ale pani na pewno zmarła i zgłodniała? – zmienił nagle temat Denisow.

– Nie, skąd – uprzejmie zaprzeczyła Nastia, chociaż rzeczywiście było jej zimno i czuła głód.

– Niech pani nie oszukuje. – Denisow roześmiał się. – Po oczach widzę, że to nieprawda. Wracajmy do mojego pokoju, urządzimy sobie obiad pożegnalny. Niechże pani nie patrzy na mnie jak na nieboszczyka! Na razie jeszcze żyję i zdając sobie sprawę z niezbyt przyjemnych perspektyw, pragnę czas, który mi jeszcze pozostał, spędzić jak najmilej. Chodźmy, chodźmy.

Z trudem wstał z ławki i znów wsparł się na ramieniu Nasti. Teraz szedł jeszcze wolniej i kilkadziesiąt metrów, które dzieliło ich od wejścia do pawilonu szpitalnego, pokonywali tak długo, jak gdyby każdy krok wymagał nadzwyczajnego wysiłku. W sali, przypominającej raczej luksusowy apartament hotelowy, Denisow zdjął płaszcz, i widząc go tylko w dresie, Nastia z przerażeniem pomyślała, jak straszliwie wychudł. Skóra i kości. A przecież był taki postawny, barczysty...

Pokój szpitalny Denisowa rzeczywiście różnił się od sal, gdzie leżeli inni chorzy. Istotnie było to coś w rodzaju apartamentu. Za czasów radzieckich pewnie umieszczano tu członków rządu i Biura Politycznego KC, a teraz, kiedy wszystko

można dostać za pieniądze, mógł się w tym miejscu ulokować każdy, kto dysponował odpowiednimi środkami. Apartament składał się z trzech pomieszczeń – sypialni, saloniku i gabinetu. Zakładano najwidoczniej, że wysoko postawieni pacjenci będą się tutaj nie tylko leczyć, lecz także przyjmować odwiedzających i pracować nad ważnymi dokumentami, istotnymi dla losów kraju.

Denisow i Nastia usiedli w saloniku, a ochroniarze, którzy weszli w ślad za nimi, natychmiast zaczęli nakrywać do stołu. Z lodówki stojącej w kącie pokoju wyjęli półmiski z wędzonym jesiotrem i serami, miseczki z kawiozem, owoce.

– Do dzieła – zachęcił wesoło Denisow. – Ale proszę mieć na uwadze, że będzie jeszcze coś na gorąco.

– A właśnie, jak się miewa pański znakomity kucharz? – zainteresowała się Nastia.

– Alan? Sama pani zobaczy. Przywiozłem go ze sobą. Pozwalają mi tu, jak pani widzi, trzymać nawet własnego kucharza. Szpitalne posiłki są naprawdę niejadalne. Poza tym odwiedza mnie tu sporo osób, a ja lubię być gościnnym gospodarzem. Alan nocuje u przyjaciół, niedaleko stąd, a od rana do późnego wieczora jest na miejscu, w klinice.

Nasti wydawało się, że nastrój Eduarda Pietrowicza się poprawił, nawet oczy mu błyszczały. Zaczął sypać komplementami, opowiadać dowcipy i różne zabawne historyjki ze swego życia. Wkrótce pojawił się Alan; mały grubasek z wielkim brzuchem i rozłożystą brodą, przypominał poczciwego krasnoludka. Nastię poznał od razu i uśmiechnął się do niej szeroko, błyskając złotymi koronkami.

– Cieszę się, że panią widzę, cieszę się, że panią widzę – powtarzał wciąż, nakładając na półmisek przyrządzone w jakiś wyszukany sposób warzywa. – Przez cały czas łamałem sobie głowę, na czyją to cześć Eduard Pietrowicz zamówił już z samego rana taki posiłek. Mężczyźni wolą raczej mięso, a pani lubi ryby i warzywa, pamiętam.

– Anastazjo, zupełnie oczarowała pani cały mój zespół – zażartował Denisow. – Niech pani tylko pomyśli, przez ponad trzy lata Alan nie zapomniał o pani upodobaniach kulinarnych. To o czymś świadczy! A Toli Starkowowi aż dech zapiera na pani widok.

– Co pan opowiada – spieszyła się Nastia. – Wydaje się panu.

Anatolij Władimirowicz Starkow był w drużynie Denisowa szefem kontrwywiadu. Cóż, wiadomo, po której stronie barykady się znajdował, realia są nieubłagane, ale imponował Nasti opanowaniem, rzetelnością i kompetencją, a także tym, że był jednym z nielicznych mężczyzn, którzy nie uważali kobiety pracującej w wydziale kryminalnym za babę-dziwo i w ogóle kompletne nieporozumienie.

– Ależ nie, wcale mi się nie wydaje. Zdradzę pani pewien mały sekret. Kiedy zastanawiałem się nad tym, czyby nie poprosić pani o pomoc w poszukiwaniach zabójcy mojej Lilianny, Tola usilnie mi to odradzał.

– Ach tak? Miał wątpliwości, czy potrafię panu pomóc?

– Absolutnie nie. Nigdy nie wątpił w pani zdolności. Widzi pani, obawiał się, że postawię panią w niezręcznej sytuacji. Bardzo nalegał, żebym pani w to nie wciągał.

– I na tej podstawie uznał pan, że Anatolij Władimirowicz nie jest wobec mnie obojętny? To po prostu człowiek, który ma subtelne wyczucie rzeczywistości. I tyle.

– Oczywiście – mruknął Denisow. – Którego ja, jak rozumiem, jestem całkowicie pozbawiony. Szkoda, że pani nie słyszała, z jakim przydechem wypowiada pani imię. No dobrze, to wszystko głupstwa, starcza gadanina. Proszę mi lepiej opowiedzieć, jak tam pani życie rodzinne.

– Na swój sposób w porządku – żartobliwym tonem odparła Nastia. – W tej chwili jestem sama, mąż wyjechał do Stanów, prowadzi tam wykłady z wyższej matematyki.

Gawędzili lekko i niewymuszenie, jakby ciężka choroba i bliska śmierć były hen, za górami, za lasami. Po gorącym daniu Alan podał Nasti kawę, a Denisowowi jego ulubiony koktajl mleczno-jabłkowy. Za oknem szybko się ściemniało, zbliżał się wieczór, a Denisow wciąż nie wypuszczał Anastazji, wynajdując coraz to nowe tematy do rozmowy. Kilka razy zajął lekarz, z zadowoleniem stwierdzając, że chory w przeddzień operacji jest ożywiony, wesoły i nie okazuje zdenerwowania. W końcu Eduard Pietrowicz przeszedł do rzeczy.

– Wróćmy do programu – powiedział, porzucając raptem żartobliwy ton. – Zrozumiałem, że mimo wszystko nie jest mi obojętne, co się będzie działo w moim mieście, kiedy mnie zabraknie. Nie będę się niepotrzebnie powtarzał, doskonale pani wie, że sponsorujemy je na wielką skalę, za moje pieniądze remontuje się szkoły, buduje drogi, realizuje akcje socjalne, wspomaga się biedaków i tak dalej. Jeśli ucierpią te instytucje i przedsięwzięcia, które w moim mieście funkcjonują i przynoszą dochody, odbije się to przede wszystkim na ludziach. Dlatego chciałbym w maksymalnym stopniu zabezpieczyć to swoje ukochane dziecię, choćby na jakiś czas, dopóki budżet miejski nie okrzepnie. I proszę panią, Anastazjo, o rzecz następującą. Jeśli pani sama zabierze się do spraw związanych z programem, proszę uprzedzić tych, którzy zajmą moje miejsce. Mam na myśli zwłaszcza Tolę Starkowa. Nie mogę i nie chcę prosić, żeby w ogóle zostawiła pani całą rzecz w spokoju i nie mieszała się do niej. Ale niech pani przynajmniej o tym uprzedzi, tak żeby moje miasto nie okazało się bezradne wobec nagłych zmian polityki ze strony państwa.

„«Nie mogę i nie chcę prosić!» Ciekawe, dlaczego to, Eduardzie Pietrowiczu? – zadała mu w duchu pytanie Nastia.

– Dlatego, że kolidowałyby to z etyką zawodową? Czy też istnieje jeszcze jakaś inna przyczyna?” – Eduardzie Pietrowiczu, nie rozumiem, co pana tak niepokoi – zaczęła ostrożnie. – Program rządowy to program rządowy, ani mniej, ani więcej. Nie chodzi przecież o jakąś organizację przestępczą i we wspomnianych przez pana działaniach nie widzę absolutnie nic, co stałoby w sprzeczności z prawem. Przeciwnie, są one skierowane na ochronę porządku prawnego. Dlaczego myśli pan, że zechcę się

w to wtrącać i, jak sam się pan wyraził, rozgrzebywać sprawę? Niech mi pan wierzy, nie mam tam nic do roboty.

– Boję się, moja droga, że tutaj się pani myli – tonem bardzo serio rzekł Denisow.

– Daj Boże, aby się okazało, że nie mam racji, ale intuicja mi podpowiada, że z tym programem nie wszystko jest w porządku.

„A jakże, intuicja! – skomentowała w myśli Nastia. – Nie żadna intuicja, tylko konkretna informacja. A nie chcesz mówić, drogi panie, żeby nie wskazać jej źródła”.

– Co konkretnie? – niewinnie spytała na głos.

– Sam nie wiem. Ale coś tu śmierdzi. Wróćmy do tego, o czym mówiliśmy w ogrodzie. Dwudziesty szósty absolwent bynajmniej nie zniknął, to znaczy w tym sensie, żeby należało go szukać. Został przeniesiony do innej instytucji, a po kilku dniach zmarł.

– Sam? Czy też ktoś mu w tym pomógł?

– I to jeszcze jak! Podejrzewam, że u was figuruje jako ofiara, której zabójcy na razie nie wykryto.

– To znaczy, że pańskie aluzje na temat związku dwudziestego szóstego absolwenta z zabójstwem szefa ochrony były zwykłym blefem? Chciał pan sprawdzić, czy połknę taką marną przynętę? Wstydziliby się pan, Eduardzie Pietrowiczu.

– Chwileczkę, Anastazjo, jeszcze nie skończyłem. Dwudziesty szósty nie zabił szefa ochrony. O tym mogę panią zapewnić z całkowitym przekonaniem.

– A może mógłby pan wskazać prawdziwego zabójcę?

– Nie, tego nie mogę zrobić. Nie znam go.

– Skąd taka absolutna pewność co do niewinności dwudziestego szóstego?

– Na podstawie kalendarza. Dwudziesty szósty zginął wcześniej, o jakieś dwa, trzy tygodnie. Tak że sama pani widzi... – Denisow rozłożył ręce.

– To znaczy, że nie ma związku pomiędzy tymi dwoma zabójstwami?

– Związek jest. Istnieje, Anastazjo. To jedyne, co mogę twierdzić z całą pewnością. I proszę nie pytać, skąd o tym wiem. Dlatego powtarzam: jeżeli w trakcie realizacji programu rządowego wychodzi na jaw związek między dwoma takimi zabójstwami, to coś w tym programie brzydko pachnie. Coś z nim jest nie tak. Przekonałem panią?

– Jak dotąd, nie. Ale pomyślę o tym.

– Jeszcze raz panią proszę: jeśli w wyniku swoich rozważań dojdzie pani do konkretnych wniosków, niechże będzie pani tak dobra i powiadomi o tym łaskawie moich ludzi.

– Eduardzie Pietrowiczu, po co pan mi o tym wszystkim opowiedział? Już pana o to pytałam, ale pańska odpowiedź mnie nie usatysfakcjonowała. Mógł pan przecież zachować całą sprawę w tajemnicy, i ja o niczym bym się nie dowiedziała. Jeśli z programem rzeczywiście coś jest nie w porządku, to dzieląc się ze mną swoimi podejrzeniami, zwiększył pan tylko ryzyko powstania sytuacji, której sam pan się

obawia.

– Cóż, moja droga, muszę się przyznać, że nawet u progu śmierci staram się dbać o swoje interesy. Chciałbym zawrzeć z panią umowę. Taką umowę, jakiej nie mogę zawrzeć z nikim innym.

– Wystraszył mnie pan – zażartowała Nastia. – Z tego, co pan mówi, wynika, że jestem jedynym człowiekiem w milicji, z którym można zawrzeć umowę, innymi słowy – skorumpować go. Chce pan mnie obrazić?

– Nigdy w życiu. Prędzej umrę, niż panią obrażę. Zresztą rzeczywiście wkrótce umrę... Dobrze, dobrze, nie mówmy już więcej o smutnych rzeczach – dorzucił szybko, widząc, jak twarz Nasti w okamgnieniu sposepniała. – Wróćmy do umowy. Nie będę ukrywał, że to dla mnie korzystny układ: uczestniczyć w finansowaniu programu, a w zamian posiadać gwarancję bezpieczeństwa dla własnych interesów. Ale nie mam prawa zamykać oczu na to, że program jest wadliwy, niemoralny, a może nawet przestępczy. To znaczy, wcześniej czy później wyjdzie to na jaw i zasadnicze zmiany w jego realizacji staną się nieuchronne. Ich ewentualne konsekwencje już omówiliśmy. Ale jeżeli owe zmiany nastąpią w rezultacie działań kogoś innego, a nie pani, Anastazjo, moi ludzie nie zostaną uprzedzeni. Dlatego zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, żeby pani, oczywiście mając do tego podstawy, zdążyła pierwsza zająć się tą sprawą. Powtarzam, przekazałem pani informację, dzięki której już dzisiaj może pani zacząć wyjaśniać, czy istnieją realne przesłanki dla moich podejrzeń. Z pewnością znajdzie się ktoś jeszcze, kto – być może przypadkiem – pociągnie za nitkę i rozwinie cały kłębek. Wystarczy tylko, żeby na tę nitkę natrafił. A to jedynie kwestia czasu. Dlatego wolę, żeby nitka znalazła się w pani rękach wcześniej niż w rękach kogoś innego. Niewykluczone, że moje podejrzania są bezzasadne, i byłbym bardzo rad, gdyby się okazało, że się myliłem. Chociaż w głębi ducha jestem pewien, że mam rację. Jakkolwiek jednak sprawy się potoczą, wierzę, że mogę zaufać pani słowu i mieć pewność, że mojego miasta nie dosięgnie jakiś nagły kataklizm.

– I jest pan pewien, że dam panu to słowo?

– Nie odmówi pani umierającemu.

Powiedział to tak poważnie i szczerze, że Nasti łzy napłynęły do oczu. Denisow wstał od stołu i przesiadł się na miękkiego, głębokiego fotela w kącie pokoju.

– Teraz naprawdę powiedziałem już wszystko. Nie śmiem nalegać, by męczyła się pani dłużej w moim towarzystwie. Proszę mi wybaczyć, Anastazjo, rzeczywiście trochę się zmęczyłem, a jutro czeka mnie ciężki dzień. I jeszcze jedna sprawa. Jeżeli przeżyję operację, niech mnie pani nie odwiedza, dopóki sam o to nie poproszę. Umowa stoi?

Nastia w milczeniu skinęła głową i sięgnęła po kurtkę. Eduard Pietrowicz nie wstał, żeby pomóc jej się ubrać, i to wymowniej niż wszelkie słowa świadczyło o tym, jak bardzo jest słaby. Nigdy dotąd wielki Ed Burgundzki, jak nazywali go ludzie z najbliższego otoczenia, nie pozwoliłby sobie na nieuprzejmość wobec damy.

*

W życiu Jewgienija Parygina pojawiła się jeszcze jedna komplikacja, i to zupełnie nieoczekiwanie. Spodziewał się wszystkiego, ale nie tego, że wdowa po jego bracie, Lolita, zachowa się w ten sposób.

Parygin spał na polówce w kuchni, tapczan w pokoju oddał do dyspozycji Lolicie i Sierioży. Do wczorajszego wieczora wszystko było w porządku, ale właśnie wczoraj Parygin zauważył, że bratowa jest starannie umalowana, chociaż wcześniej, po pośpiesznej przeprowadzce do tego mieszkania, obywatela się bez makijażu, jako że i tak skazana była na siedzenie w czterech ścianach.

– Co się stało, wychodziłaś z domu? – przestraszył się Parygin.

– Nie, skąd ci to przyszło do głowy?

– To po co się malowałaś?

– Dla ciebie.

– Nie rozumiem...

Jewgienij naturalnie zrozumiał, ale postanowił udawać, że nie wie, o co chodzi. „Może mi się wydawało” – pomyślał z obawą. Nie był tchórzem, ale serce ścisnęło mu się boleśnie. Tego tylko brakowało!

– Czego nie rozumiesz? – Lolita szeroko otworzyła oczy.

– To przecież całkiem proste. Kobieta robi makijaż po to, żeby lepiej wyglądać i żeby mężczyźni przyjemnie było na nią patrzeć.

Nachyliła się nad stołem, rozstawiając talerze, a jej szlafroczek kusząco rozchylił się na piersiach, i Parygina owionęła ciepła fala zapachu słodkich, duszących perfum. Sytuacja stawała się absolutnie niedwuznaczna, więc zaczął myśleć gorączkowo, jak by się z niej wyplątać, nie urażając jednocześnie Lolity. Bratowa nie była w jego typie, nie podobała mu się. Uważał za swój obowiązek się o nią troszczyć, gdyż kochał nieżyjącego brata, ale jako kobieta nie budziła w nim najmniejszych emocji. Lolita była silną brunetką, postawną i szerokobiodrą, jemu natomiast zawsze podobały się kobiety o pastelowej, stonowanej urodzie, niezbyt jasne blondynki o łagodnych rysach i cichym głosie. Poza tym od dawna wiedział, że żona brata nie należy do kobiet, które chcą i potrafią należeć do jednego tylko mężczyzny. Nic konkretnego nie mógł jej zarzucić... nie, ale z jej oczu i sposobu zachowania wnioskował bez najmniejszych wątpliwości, że to puszczalska, choćby nawet na razie nic nie miała na sumieniu. „Widać nudzi jej się tak siedzieć w czterech ścianach i szuka jakiejś rozrywki, czegoś, co by przynajmniej na chwilę oderwało ją od myśli o olbrzymim długu i groźbach pod adresem syna” – pomyślał ze współczuciem Jewgienij.

Nie zamierzał bynajmniej przyjmować jej awansów, ale rzeczywiście należałoby pomyśleć o tym, żeby Lolita się nie nudziła, nie wpadała we frustrację z powodu przymusowej bezczynności i zmartwień. Nie mogła przecież nawet pogadać z nikim przez telefon, Parygin jej zabronił. Jeżeli wierzyliciele już rozpoczęli poszukiwania

zaginionej dłużniczki, to z pewnością zastawili na nią pułapki wszędzie, gdzie można, i w pracy, i u znajomych.

Parygin, pogrążony w niewesołych rozmyślaniach, machinalnie jadł przygotowaną przez Lolitę kolację, która także mu nie smakowała. Lola, która wychowała się na Kaukazie, przyrządzała najczęściej potrawy tłuste i pikantne, co kłóciło się z poglądami Parygina na temat zdrowego żywienia, które pozwalało zachować dobrą kondycję przez długie lata. Nie przekonywał go nawet fakt, że ludzi długowiecznych na terytorium dawnego ZSRR spotykało się tylko w republikach kaukaskich. „To ci, co żywią się chlebem i serem i dużo pracują fizycznie na świeżym powietrzu, a nie osoby, które się obżerają tłustymi i ostrymi potrawami” – twierdził kategorycznie Jewgienij. Żeby jednak nie urazić bratowej, udawał, że jej kuchnia w zupełności mu odpowiada.

Z pokoju przybiegł siedmioletni Sierioża i z rozpędu wskoczył mu na kolana. Parygin objął malca i z przyjemnością wciągnął w nozdrza zapach dziecięcej skóry.

– Wujku Żenia, kiedy się stąd wyniesiemy?

– Nie wiem, trudno powiedzieć. A co, stęskniłeś się za szkołą?

– Akurat! – prychnął mały. – W ogóle bym tam nie chodził, gdyby mi nie kazali.

– No to ciesz się, że na razie jesteś tutaj.

– Ale mi się nu-u-udzi – poskarżył się Sierioża. – Nie ma chłopaków, nie można się bawić.

– Obejdiesz się bez swoich koleżków! – zirytowała się Lolita. – Wiesz przecież, że sprawa jest poważna, wierzyciele ojca mogą cię porwać. Podziękuj lepiej wujkowi Żeni, on nas ukrył, troszczy się o nas, a ty mu zawracasz głowę głupstwami. Nudzi mu się, widzicie go! Wytrzymasz! Poczytaj lepiej książkę, daj wujkowi spokój, widzisz chyba, że jest zmęczony i głodny.

Sierioża niechętnie zsunął się z kolan Parygina i z ponurą miną wycofał się z powrotem do pokoju. Lolita westchnęła głośno i zaczęła nakładać Jewgienijowi duże, parujące chinkali.

– Bardzo się do ciebie przywiązał – powiedziała. – Co tu gadać, wiadomo, chłopak potrzebuje ojca. Dziękuję ci, że nie zostawiłeś nas w tej sytuacji samych.

No tak, teraz Lolita próbowała go podejść z innej strony. Chłopak potrzebuje ojca, a ona męża, więc któż jak nie ty, drogi szwagrze Żenia, lepiej by się na niego nadawał. Nie szkodzi, że jesteś ode mnie starszy o dwadzieścia lat, to może być nawet interesujące. Jewgienij skrzywił się mimo woli i udał, że jest całkowicie pochłonięty spożywaniem kolacji. Ale Lolita nie dawała za wygraną:

– Poświęcasz nam tyle czasu, że doprawdy mnie to krępuje. Nawet nocujesz tutaj. Na pewno masz przyjaciółkę, która jest niezadowolona, że ją zaniedbujesz. Tak?

– Nie – uciął krótko Parygin. – Nie ma sprawy. Wszystko w porządku.

– Czyżbyś nie miał żadnej kobiety? – nie ustępowała Lola.

– Wiesz, przyzwyczailiśmy się już jakoś do tego, że nie jesteś żonaty i nie

zamierzasz się żenić, ale byliśmy pewni, że kogoś masz.

– Bądź spokojna, w niczym mi nie przeszkadzacie.

– Ale masz kobietę czy nie?

– Mam. Nie jedną, trzy. Jesteś zadowolona?

– A niech cię! – Lolita obrazila się, wargi jej zadrżały, jakby miała się rozpłakać. – Dlaczego ty nigdy nie rozmawiasz ze mną poważnie?

– Jestem absolutnie poważny, dziecino. Nie nabijaj sobie głowy wydumanymi problemami. Ty i Sierioża nie sprawiacie mi żadnego kłopotu, a jeżeli zechcę się zobaczyć ze swoją znajomą, mogę to zrobić w dzień. Wcale nie muszę zapraszać jej do siebie ani zostawać u niej na noc.

– Czyli wychodzi na to, że w ciągu dnia widzisz się ze swoją babą zamiast organizować pieniądze? – Lolita uśmiechnęła się złośliwie.

Już zaczynała się zachowywać jak ślubna małżonka Parygina, która ma prawo wiedzieć o każdym jego kroku i o każdej minucie spędzonej z dala od niej. Jewgienija zawsze zdumiewało, jak błyskawicznie niektóre kobiety potrafią adaptować się do sytuacji i wchodzić w rolę nie gorzej niż zawodowe aktorki. Ty zaczynasz się o taką troszczyć, a ona po trzech dniach czuje się jak pełnoprawna małżonka.

– Lolu, robię wszystko, co możliwe, żeby wam pomóc, ale nie jestem czarodziejem, tylko zwyczajnym inżynierem, nie zapominaj o tym. Dziękuję, było bardzo smaczne – powiedział Parygin, odsuwając pusty talerz. – Idź spać, ja sam pozmywam. Już późno.

Lolita zorientowała się naturalnie, że przebrała miarkę, więc zaczęła się pośpiesznie wycofywać, usiłując jednocześnie zająć przeciwnika od tyłu i stamtąd podstępnie go zaatakować. Podeszła do Parygina, objęła go za szyję i przyłgnęła do niego pełnym, jędrnym biustem. Jej oczy były pełne łez.

– Wybacz mi, Żenieczka, wybacz, bardzo proszę. Jestem taka głupia. Nie mam przecież żadnego prawa tak z tobą rozmawiać. Wiem, że wzięłeś na swoje barki cały ciężar troski o mnie i Sieriożę, starasz się nam pomóc. Wszystko to wiem, Żenieczka, mój kochany. A gadam głupstwa, bo po prostu mi wstyd. Kiedy jest mi wstyd, nagle tak głupieję, że aż strach. Wygaduję różne bzdury, sama nie wiem, co plotę. Wstyd mi, że siedzimy ci na karku i przysparzamy zmartwień. No bo kim niby dla ciebie jesteśmy? Zupełnie obcymi ludźmi. Lepiej, żebyś poświęcił ten czas na coś przyjemniejszego.

Lolita tak jawnie dopraszała się o komplementy, że Parygin omal nie roześmiał jej się w twarz, ale w porę się pohamował. Oczywiście, namolna baba oczekuje, że on zaraz zacznie zaprzeczać i powie, że ona i jej syn nie są dla niego obcy, przeciwnie, uważa ich za najbliższe osoby, jako że nie ma żadnych innych krewnych, a w dodatku nie wyobraża sobie miłszego zajęcia niż wspólne spędzanie z nimi czasu. Dalej wszystko potoczyło się zgodnie z przewidywaniami Parygina. Pełne, soczyste wargi Lolity drgały kusząco niebezpiecznie blisko twarzy Jewgienija, a biodra kobiety

wprost buchały żarem.

– To wszystko głupstwa, dziecino – rzucił obojętnie, choć starał się nadać głosowi ciepłe, łagodne brzmienie. – Ty i Sierioża nie jesteście dla mnie ciężarem. A teraz idź już do pokoju. Ja posprzątam i położę się, muszę jutro wcześniej wstać.

– W ogóle się nie wysypiasz – westchnęła współczująco Lolita, ani myśląc zabrać rękę z szyi Parygina. – Na polówce pewnie bardzo niewygodnie się śpi, co? Może się położysz na tapczanie w pokoju, a Sieriożę przeniesiemy tutaj, do kuchni? Jest mały, będzie mu wygodnie.

No, tego już za wiele!... Na tapczanie w pokoju! Czyli w jednym łóżku z nią? A to babsztyl! Mój Boże, jakie też ten biedak brat miał z nią życie? Musiała się chyba przespać ze wszystkimi jego przyjaciółmi.

– Daj spokój – z uśmiechem rzekł Jewgienij, uwalniając się z jej krzepkich objęć i po ojcowsku całując ją w czoło – tu mi jest bardzo wygodnie.

Lolita odsunęła się od niego z wyraźną niechęcią. Z jej twarzy jednak Parygin bez trudu odczytał, że bynajmniej nie porzuciła swoich zamysłów. Cóż, trzeba będzie coś z tym zrobić, bo inaczej nieszczęście gotowe. Oczywiście, że Jewgienij nie przyjmie niedwuznacznej propozycji Lolity, ale – z drugiej strony – nie ma nic bardziej niebezpiecznego niż odrzucona kobieta. Trzeba jak najprędzej załatwić pieniądze i skończyć z tą idiotyczną sytuacją. W dodatku mieszkanie też mu jest potrzebne, do siebie do domu przecież wrócić nie może.

ROZDZIAŁ 8

Były podpułkownik milicji Władisław Stasow nawet nie podejrzewał, że w obecnych czasach remont mieszkania to zupełnie co innego niż piętnaście czy nawet dziesięć lat temu. W ciągu całej swojej kariery zawodowej zdobył się na to zaledwie dwa razy: pierwszy – kiedy żenił się z Ritą Mieziencową i przeprowadził do jej dwupokojowego mieszkania w Sokolnikach, drugi – kiedy się z nią rozwiódł i wrócił do swojego maleńkiego mieszkanca w Czeriomuszkach. I wtedy, i wtedy przez słowo „remont” rozumiało się malowanie sufitu, wytapetowanie ścian, doprowadzenie do porządku podłóg i położenie nowej wykładziny. Oprócz tego drobiazgi w rodzaju malowania na olejno tak zwanych otworów czy wbijania gwoździ. W czasach radzieckich nic innego nie wchodziło w grę. Gdyby nawet starczyło człowiekowi fantazji, i tak nigdzie nie mógł kupić tego, co trzeba, a jeśli nawet dostał, nie znalazłby fachowców, którzy by wiedzieli, jak się zabrać do rzeczy. Gdyby zaś jakimś cudem wykonawcy się trafili, z pewnością zainteresowanemu nie starczyłoby pieniędzy, żeby opłacić ich niezwykle wysokie kwalifikacje.

Teraz Stasow przeprowadzał remont po raz trzeci w życiu i nie przestawał się dziwić temu, jak wielu rzeczy nie wie. Tym razem nie chodziło o dziuplę w Czeriomuszkach, lecz o trzypokojowe mieszkanie w nowo wybudowanym domu, do którego miał się wprowadzić z drugą żoną Tatianą i jej krewną Irawą. Na pomysł remontu wpadł nie Stasow, lecz właśnie Ira. Władisław uważał, że skoro dom został dopiero co oddany do użytku i nikt w nim jeszcze nie mieszkał, o żadnym remoncie nie może być mowy. Irocza jednak szybko mu wyjaśniła, jak głęboko się myli.

– Tapety są beznadziejne – oświadczyła kategorycznie. – Listwy krzywe, ściany nierówne. Wszystko zrobione byle jak, gołym okiem widać. Na parkiet żal patrzeć. Moim zdaniem, pod spodem nic nie ma, położyli klepkę wprost na cemencie. Biały montaż też nadaje się do wymiany, no i przy okazji trzeba zrobić podłączenie do pralki. Z okien wieje, w mieszkaniu będzie zimno, trzeba wstawić okna z PCV. Krótko mówiąc, Stasow, nie warto się tu wprowadzać, dopóki nie będzie zrobione, co trzeba.

– Ciekawe, co na to powie Tania – rzekł z powątpiewaniem Władisław.

Tatiany nie było przy tej rozmowie, pracowała jako śledczy i do domu wracała późno.

– Tania powie, co należy – zapewniła Stasowa Irocza.

– Pamiętaj, że za pół roku urodzi się wam dziecko, więc trzeba to wziąć pod uwagę przy przeróbce mieszkania.

Władysław usiłował tłumaczyć, że ani on, ani Tatiana nie mają czasu się tym zająć, codziennie pracują do późna, ale Ira stanowczo ucięła wszelkie próby sprzeciwu.

– Sama się tym zajmę – oświadczyła. – Ja przecież nie pracuję.

Ostatnim argumentem Stasowa były pieniądze. Jeśli zdecydują się na taki remont, jaki planuje Ira, zostaną dosłownie bez grosza.

– I co z tego? – odparowała młoda kobieta. – Po co ci pieniądze, kiedy będziesz miał piękne mieszkanie, wyposażone we wszystko, co trzeba? Zresztą zarobicie nowe. Tania napisze jeszcze parę książek i sytuacja wróci do normy.

Stasow nie podzielał tego optymizmu. Sprawa była prosta, kiedy Tatiana pracowała w Petersburgu i mieszkała razem z Iry, która dobrowolnie wzięła na siebie obowiązki gospodyni i służącej. Zupełnie inaczej wygląda to w Moskwie: Tatiana niedługo ma rodzić, a Irocza będzie musiała obsłużyć nie tylko siebie i Tanię, jak dotąd, ale jeszcze Stasowa i malucha, który przyjdzie na świat. Jeżeli w Pitrze Tatiana potrafiła napisać i opublikować trzy, cztery książki rocznie, dzięki czemu zresztą mogli sobie pozwolić na kupno mieszkania w Moskwie, to w zmienionej sytuacji perspektywy wydawały się o wiele skromniejsze.

Tatiana, ku zdziwieniu Stasowa, nie sprzeciwiała się planom Iroczy, chociaż daleka była od zachwyty. Po prostu machnęła ręką i rzuciła obojętnym tonem:

– Rób, jak chcesz, tylko mnie w to nie wciągaj. Nie mogę się tym zająć.

Ira z entuzjazmem przystąpiła do urządzania nowego gniazda. Znalazła projektanta, z którym podpisała umowę, i teraz co dzień wieczorem wisiła na telefonie, omawiając z nim szczegółowo tok prowadzonych w mieszkaniu prac. Stasow nie rozumiał nawet połowy tego, co mówiła. Mimo najlepszych chęci nie mógł pojąć, po co jest potrzebne dodatkowe podwójne wzmocnienie prętowe, co to takiego nietypowa forma konstrukcyjna otworu i dlaczego pralka musi być ustawiona pomiędzy umywalką i wanną, a nie między umywalką i drzwiami. Nie wiedział, co znaczy słowo „meander” i dlaczego wciąż jest mowa o okapie w kuchni, gdyż okap kojarzył mu się raczej z werandą wiejskiego domu.

Nade wszystko zaś zdziwił go fakt, że nieoczekiwanie głębokie zainteresowanie remontem przejawia jego ukochana córka z pierwszego małżeństwa Lila, która w marcu miała skończyć dziesięć lat. Dziewczynka miała wyraźną słabość, jak mawiał sam Stasow, do wszystkiego, co „rodzinne”, uważała, że ludzie powinni żyć wyłącznie w związkach małżeńskich, i bardzo się martwiła, że jej ukochany tatuś po rozwodzie z mamą wciąż jakoś się nie żeni z ciocią Tanią, którą po prostu ubóstwiała. Jako że w wachlarz „rodziny” instytucji wchodziło w pojęciu Lili również ognisko domowe, energiczna i niezmordowana Ira szybko znalazła w dziewczynce oddaną sojuszniczkę. Matka Lili pracowała w branży filmowej, do domu wracała po północy, często wyjeżdżała w delegacje służbowe i była bardzo zadowolona z tego, że ktoś może zająć się dzieckiem. Stasow był szefem ochrony dużej wytwórni filmowej, jego żona, jak już wiadomo, pracowała jako sędzia śledczy... Krótko mówiąc, nikt nawet

nie zdążył okiem mrugnąć, jak cały ten nowy układ wzajemnych stosunków przybrał ostateczną i nieodwracalną formę.

Po szkole Lila jechała do Czeriomuszek, gdzie czekała na nią zawsze wesoła i kochająca ciocia Ira. Czterdzieści minut zajmowało dziewczynce odrabianie lekcji (prawdę mówiąc, nad wiek rozwinięta, inteligentna prymuska nie musiała poświęcać na to więcej czasu), a następnie zaczynało się cudowne, prawdziwe życie, pełne fascynujących wypraw do sklepów, wyboru glazury do łazienki lub tapet do przedpokoju, częstych wizyt w remontowanym mieszkaniu i rzeczowych dyskusji z fachowcami, zakupów i innych zachwycających atrakcji. Po powrocie do domu Lila siadała w kuchni z książką w ręce, dostawała od cioci Iry litrowy kubek ciepłego mleka i ogromny kawał pieroga z kapustą lub jabłkami (w dziedzinie tych wypieków Irocza Miłowanowa była prawdziwą mistrzynią) i siedziała cicho, podczas gdy Ira szykowała kalację dla tatusia i cioci Tani. Parę razy próbowała zainteresować Lilę gotowaniem, ale szybko zrozumiała, że dziewczynka woli zjeść coś na zimno, byle nie rezygnować z lektury. Książki po prostu połykała.

Teraz właśnie Lila siedziała w kuchni mieszkania w Czeriomuszkach, zatopiona w powieści pod intrygującym tytułem *Śmierć na proscenium*, Ira zaś krzątała się przy kuchence. Upojne zapachy wypełniały całe mieszkanie, Irocza jednak nie wyglądała na zadowoloną, co chwila wzdychała i mruczała coś gniewnie.

– Co ci jest, ciociu? – zaniepokoiła się Lila. – Boli cię coś?

– Głowa – rzuciła w roztargnieniu Ira, nakładając farsz do ciasta.

– Połknij tabletkę – doradziła dziewczynka.

– Nie o to chodzi. Tylko że za nic nie mogę się przyzwyczaić do gotowania na cztery osoby. Znowu źle obliczyłam.

– I wyszło za mało?

– Przeciwnie, za dużo. A te pierożki akurat mają to do siebie, że dobrze smakują tylko prosto z piecyka. Na drugi dzień to już prawdziwe paskudztwo, twarde, wyschnięte i obrzydliwe. Szkoda wyrzucić resztę farszu i ciasto, ale jeżeli upiekę za dużo, i tak będą niejadalne i zmarnują się.

– To zaprosimy gości – zasugerowała Lila.

– Gości? Na przykład kogo?

– No, choćby ciocię Nastię. Tatuś mówił, że wujek Losza wyjechał na trzy miesiące do Ameryki, więc ciocia Nastia teraz głoduje, bo nikt o nią nie dba.

– Dobra myśl – pochwaliła Ira. – Nastię trzeba koniecznie zaprosić, ale ona sama to za mało. Potrzebna jest przynajmniej jeszcze jedna osoba. Ty tymczasem pomyśl, przypomnij sobie któregoś z przyjaciół tatusia, a ja zadzwonię.

Ira wykręciła numer służbowego telefonu Kamieńskiej. Wszystko poszło gładko, Nastia chętnie się zgodziła przyjechać około dziewiątej i oświadczyła, że Jura Korotkow od dawna już wprost rwie się do nich z wizytą, więc jeżeli szukają jeszcze jednego ochotnika, nie ma sprawy.

*

Dla takiego tłumu ludzi mieszkanie Stasowa było zdecydowanie za małe, ale wszyscy w końcu jakoś się usadowili w pokoju przy rozsuwanym stole. Rozmowa przez pierwszych dziesięć minut toczyła się wokół remontu, ale temat szybko się wyczerpał, jako że ekspertem była tylko Ira i częściowo Lila, a inni nie bardzo pojmowali, o czym mowa.

– Może i ja się wreszcie zdobędę na remont, jeśli Loszka zarobi w Stanach trochę forsy – powiedziała Nastia, zajadając ze smakiem już czwarty, naprawdę pyszny pierożek.

Ira od razu uprzedziła, że pierożków nie można zostawiać do jutra, trzeba je wszystkie zjeść – według jej obliczeń, wypadało minimum po sześć sztuk na każdego dorosłego, a dla Lili zostawały cztery, gdyż dziewczynka jak na swój wzrost była trochę za tęga. Tak więc Nastia Kamieńska z przyjemnością myślała o jeszcze dwóch pierożkach z jakiegoś niewiarygodnie puszystego ciasta.

Wzmianka o forsie skierowała rozmowę na temat marnych zarobków w milicji, a w tej kwestii mieli coś do powiedzenia zarówno Nastia i Korotkow, jak Stasow i Tatiana.

– Do cholery z takim życiem – poskarżył się Jura. – Kto to widział, żeby milicjanta nie stać było na przyzwoity remont mieszkania! Aśki mąż jest przynajmniej profesorem, twoja żona pisze książki, a co ja mam począć? Sam powiedz, Wład, gdyby nie honoraria Tatiany, mógłbyś sobie pozwolić na taki remont, jaki Ira zarządziła?

– W żadnym wypadku – oznajmił z przekonaniem Stasow. – Szef ochrony wcale nie zarabia takich kokosów, jak się niektórym wydaje. Oczywiście, płacą mi teraz o wiele więcej, niż kiedy pracowałem w milicji jako wywiadowca, ale o wiele za mało, żeby mnie było stać na taki remont. Wykluczone. Zresztą włożyliśmy już w niego nie tylko honoraria Tatiany, ale i pieniądze za mieszkanie w Pitrze. Strach pomyśleć, ile forsy to już pochłonęło! Ten remont to jakaś beczka bez dna.

– Jak myślisz, Władik, czy wszyscy szefowie ochrony w przedsiębiorstwach handlowych to dawni pracownicy milicji albo służb bezpieczeństwa? – zapytała Nastia.

Nie była specjalnie zainteresowana ani sprawami remontu, ani cudzych zarobków. Ale szef ochrony, na dodatek były oficer milicji, to zupełnie inna sprawa. To, co wczoraj usłyszała od Denisowa, nie dawało jej spokoju, uwierało jak drobny kamyk w bucie – niby nic takiego, ale wciąż się czuje, że tam jest.

– Sądzę, że co najmniej dziewięćdziesiąt procent – odparł Władisław. – No, powiedz sama, kto jeszcze może zostać szefem ochrony? To znaczy, oczywiście, może nim zostać każdy, tyle że byle kogo na takim stanowisku nie zatrudnią.

– A wśród tych dziewięćdziesięciu procent więcej jest byłych milicjantów czy

esbeków?

– Milicjantów – bez wahania rzekł Stasow. – Po pierwsze, nas zawsze było po prostu więcej, a po drugie, Komitet, czy jak tam się on teraz nazywa, nadal pozostał instytucją o szczególnym charakterze. Oni inaczej zarabiają pieniądze. Ale dlaczego tak nagle cię to zainteresowało?

– No wiesz... Muszę zrobić zestawienie wszystkich dużych firm w kraju, w których niedawno zabity szef ochrony był w przeszłości oficerem MSW. I po prostu próbuję się do tego przymierzyć, zorientować się, na jaką skalę trzeba będzie rozpocząć działania. Czuję moje serce, że naszukam się tego emeryta... Do upadłego.

– A po co masz go szukać? Nie znasz nazwiska?

– Nie-e-e. – Pokręciła głową i sięgnęła po kolejny pierożek, już piąty.

– Ani nazwy firmy?

– Nie.

– Ale może chociaż region, okręg... cokolwiek?

– Nie wiem nic prócz tego, że był emerytowanym oficerem milicji. Współczujesz mi, Władik?

– Do bólu! – parsknął Stasow. – To nie może być nikt inny, tylko ja. Były podpułkownik milicji, obecnie szef ochrony dużej instytucji. Wprawdzie jeszcze żyję, ale to można łatwo naprawić. Zaraz zjem ostatni pierożek, po czym czeka mnie śmierć w męczarniach. Z przejedzenia.

– Robisz sobie żarty, a mnie czeka szukanie igły w stogu siana. Słuchaj, może masz jakichś znajomych, pracujących w ochronie innych firm, którzy mogliby mi doradzić, jak zawęzić krąg poszukiwań i przeprowadzić je szybko i skutecznie?

– W ochronie innych firm? – Władisław zmrużył oczy i wbił wzrok w sufit. – No cóż... Miałem jednego, Dimkę Wawiłowa, niedawno był pogrzeb. Pracowaliśmy razem w urzędzie regionalnym... Poczekaj, a Wawiłow by ci nie pasował? Szef ochrony, dawniej – pułkownik milicji. Co?

– Nie wiem, Stasow. Muszę znać szczegóły. Może by i pasował. Gdzie pracował?

– W banku Rosyjska Trojka.

– Rosyjska Trojka – wolno powtórzyła Nastia. – Brzmi jakoś znajomo... Słyszałam gdzieś tę nazwę całkiem niedawno, prawda, Korotkow? Oderwij się na chwilę od tych sałatek, mówię do ciebie.

– O co chodzi?

Korotkow odwrócił się do niej z niezadowoloną miną, ze smakiem żując kęs mięsa i wsuwając jednocześnie do ust sporą porcję sałatki jarzynowej.

– Czego się czepiasz starego, zgłodniałego wywiadowcy akurat wtedy, kiedy wreszcie pozwolili mu się najeść i w dodatku posadzili go obok czarującej dziewczyny? Wstrętny babus. – Jego słowa brzmiały jednak łagodnie, niemal czule.

– Przepraszam. Nazwa Rosyjska Trojka nic ci nie mówi?

– Jest taki bank. W zachodnim okręgu.

– Tyle sama wiem. Ale mam takie wrażenie, jakby całkiem niedawno ta nazwa mignęła mi przed oczami, tylko nie mogę sobie przypomnieć, w związku z czym.

– No cóż, moja droga – Korotkow podkreślił te słowa wyrazistym gestem ręki, w której trzymał widelec – w tym, niestety, nie mogę ci pomóc. Tobie coś mignęło, nie mnie.

Półmiski na stole szybko się opróżniały, apetyt wszystkim dopisywał, z wyjątkiem Tatiany, która źle znosiła ciężę i prawie nic nie jadła, w rozmowie też właściwie nie brała udziału, siedziała pogrążona we własnych myślach, blada, z podkrążonymi oczyma.

Około dziesiątej była żona Stasowa, Rita, przyjechała, żeby zabrać Lilę do domu. Jak zwykle, nie weszła dalej niż do przedpokoju i tak ponaglała Lilę, jakby każda sekunda spędzona w domu byłego męża i jego nowej żony rozdzierała jej serce. Oczywiście Rita miała kochankę, tego samego, z którym nawiązała romans jeszcze przed rozwodem ze Stasowem, ale to bynajmniej nie znaczyło, że pogodziła się z obojętnością eksmałżonka. Uważała, że powinni ją kochać wszyscy mężczyźni co do jednego, i to do grobowej deski. Ten obowiązek dotyczył również Władysława, a każde odchylenie od tej normy Rita traktowała jak przestępstwo.

Około jedenastej zaczęli się żegnać również Nastia i Korotkow. Jutro czekał ich dzień pracy, a do domu mieli daleko. Samochód Korotkowa był właściwie w ruinie, nie wiadomo jakim cudem jeszcze jeździł, i bodaj jedynym działającym w nim sprawnie urządzeniem była zapalniczka. Ogrzewanie naturalnie nie działało, ale po obfitym posiłku w ciepłym mieszkaniu na razie nie odczuwało się chłodu. Nastia odważnie zdjęła rękawiczki, żeby poszukać w torebce papierosów.

– Taniuszka jest jakaś przybita – zauważył Jura ze współczuciem. – Aż przykro na nią patrzeć. Moja, kiedy chodziła w ciąży z synem, po prostu rozkwitła. Nadawałaby się na reklamę „Pijcie sok pomidorowy”.

– Też mi porównanie! Ile twoja żona miała wtedy lat?

– Była tuż po dwudziestce.

– A Taniuszka ma ponad trzydzieści. I kłopoty ze zdrowiem... Słuchaj, zastanów się, może przyjdzie ci jednak do głowy, gdzie się mogłam natknąć na tę Rosyjską Trojkę, co?

– Odczep się, Aśka, ze swoją Trojką. Pomówmy lepiej o Bagluku.

– O tym dziennikarzu? No dobrze.

– Przez całą sobotę i niedzielę kręciłem się koło niego, miałem nadzieję, że może wpadnę na jakiś trop. A dzisiaj za zgodą Paniska poszedłem do niego do redakcji. Przedstawiłem się i mówię: panie Bagluk, tak i tak, dotknął mnie pan swoim artykułem do żywego, czuję się znieważony i musimy wspólnie sobie wyjaśnić całe nieporozumienie. Bo, jak powiadają, nie ma nic gorszego niż obrażony milicjant.

– No i co on na to?

– Nic. Siedzi sobie spokojnie, uśmiecha się. Jeżeli obraziłem szanownego pana,

mówi to nie ze złej woli, lecz z szacunku dla prawdy, jako że każde napisane przeze mnie słowo znajduje potwierdzenie w dowodach, które wraz z tekstem artykułu przedstawiłem kierownictwu gazety. Tak więc nie może mi pan niczego zarzucić.

Nastia wysunęła popielniczkę i strząsnęła do niej popiół.

– Kłamał?

– Nie wyglądało na to. Zaraz zresztą podniósł słuchawkę i zatelefonował do wspomnianego kierownictwa, a kierownictwo zaprosiło nas do gabinetu, gdzie wytłumaczyło przystępnie mnie, durnemu cepowi, że posiadają dowody, na których oparł się autor artykułu *Zwłoki na śmietniku*. Jeżeli znam fakty, które mogą owe dowody obalić, to proszą, żebym je przedstawił. Wtedy się zastanowią. A na razie nie ma podstaw, by podważać wiarygodność istniejących dowodów.

– Długo tak jeszcze możesz nawijać? – rozłościła się Nastia. – Mów, co mają.

– Mają, Asieńko, kasetę wideo z monologiem Nikity Mamontowa, w którym przyznaje się do zabójstwa na Dworcu Paweleckim i opowiada, jak go werbowałem, obiecując, że uchronię go od odpowiedzialności karnej, w następstwie czego stał się moim informatorem. Wszystko to również zostało nagrane na dyktafon.

– Fiu, fiu, to całkiem nieźle. Rozumiesz coś z tego?

– Ni cholery.

– Poczekaj, Jura, a jesteś zupełnie pewny, że to rzeczywiście Mamontow? Tak dobrze pamiętasz jego twarz?

– Właśnie o to chodzi... Żywego Mamontowa pamiętam raczej mgliście. To przecież sprawa sprzed półtora roku i od tamtej pory miałem do czynienia z tyloma osobami, że czuję kompletny zamęt w głowie. Za to na martwego Mamontowa napatrzyłem się, ile wlezie. Nie mam podstaw, żeby kwestionować autentyczność nagrania, ale specjaliści powinni rzucić na nie okiem. Ludzi podobnych jest wielu, nikt nie wie tego lepiej niż my.

– I co jeszcze usłyszałeś od kierownictwa gazety?

– Że są gotowi obie kasety udostępnić technikom dla przeprowadzenia wstępnych badań, ale nalegają, żeby nie byli to eksperci z ministerstwa, tylko osoby neutralne, całkowicie obiektywne. Zaproponowałem, żeby się zwrócić do Federalnego Biura Ekspertyz Sądowych. Zgodzili się i wszystkie formalności są już załatwione.

– Mówiłeś Panisku?

– A jakże, bez tego by się nie obeszło – gniewnie rzucił Jura. – Niedługo będziemy musieli go pytać, czy możemy wyjść za potrzebą, jak pierwszoklasiści.

– I jak zareagował?

– Oj, Asiu, a jak ten idiota mógł zareagować? Jest przekonany na sto procent, że cała ta heca to najprawdziwsza prawda, że Nikita był moim informatorem, a ja usiłuję wykręcić się sianem i posuwam się do naiwnych kłamstw wobec przełożonego. Jak tylko usłyszał, że dziennikarz ma taśmę wideo i że jest gotów ją udostępnić do analizy, od razu zaczął wertować swój notes i szukać znajomych z biura ekspertyz,

którzy mogliby po starej przyjaźni napisać w raporcie, że ten na wideo to nie Mamontow, tylko ktoś inny, bardzo do niego podobny, w związku z czym dowody są lipne, artykuł kłamliwy, dziennikarze nieodpowiedzialni, prasa podła, krótko mówiąc, wszyscy są unurzani w gównie, tylko my to dżentelmeni w białych frakach. Oczywiście, to bardzo miło, że szef rzuca się na pomoc i chce uchronić podwładnego, za wszelką cenę, ale przecież on mi nie wierzy, Asiu. Nie wierzy mi. A mnie łatwo urazić, wiesz o tym. I nie chcę, żeby mnie bronił ktoś, kto mi nie wierzy i w głębi duszy uważa za nieprofesjonalnego durnia albo zdrajcę.

– Emocje – mruknęła Nastia, szczelniej otulając się kurtką, gdyż w wozie zapanował lodowaty ziąb – wszystko to emocje, Juroczka. Kocha, lubi, szanuje – nie chce, nie dba, żartuje. Co za różnica, czy Panisko ci wierzy, czy nie. Chodzi o to, żeby się dowiedzieć, dlaczego Nikita Mamontow mówił do kamery oczywistą nieprawdę. Kto i jak go do tego zmusił. I w jakim celu. Myślę, że to właśnie zamierzał ci powiedzieć, kiedy prosił o spotkanie. Byłeś u niego w mieszkaniu, prawda?

– Byłem – potwierdził Jura.

– Gdzie stał telefon?

– W przedpokoju, na szafce. Dlaczego pytasz?

– Tak sobie. Wciąż kombinuję, skąd wiedzą o twojej rozmowie telefonicznej z Mamontowem. Mówiłeś przecież, że w artykule przytoczona jest dosłownie.

– Absolutnie. Słowo w słowo.

– Wobec tego mamy dwa warianty. Albo Mamontow sam powiedział komuś o rozmowie, albo ma w aparacie pluskwę. Dlatego pytałam, gdzie stoi. Co jest na kasecie?

– No tak! – ożywił się Korotkow. – Racja! Na wideo Mamontow ma taką minę, że od razu widać – przed chwilą go bili. A z tyłu plakat z Chuckiem Norrisem i oparcie kanapy z szarym obiciem. Taki plakat i kanapa są w jego mieszkaniu. To znaczy, że nagrywali go w domu, a gdy go bito i wymuszano kłamliwe zeznanie, ktoś bez trudu mógł wsunąć do aparatu w przedpokoju pluskwę. Kiedy go wykończyli, zdjęli podsłuch.

– Albo nie.

– Dlaczego nie? – zdziwił się Korotkow.

– Czy ja wiem... – Nastia wzruszyła ramionami i wyjęła następnego papierosa. – Przyczyn może być wiele. Zapomnieli. Albo nie zdążyli, śpieszyli się. Ktoś ich spłoszył.

– A niech to szlag!... – Korotkow ze złości gwałtownie dodał gazu, tak że stary rżech, zatrzęsł się jak w febrze, grożąc, że lada chwila się rozsypie. – Nie pomyślałem o tym. Zresztą kiedy znaleziono zwłoki Mamontowa, nikomu nie mogło akurat przyjść do głowy, że za parę dni ukaże się artykuł, a w nim zostanie przytoczona dosłownie nasza rozmowa. Gdybym o tym wiedział, na pewno sprawdziłbym telefon. Teraz to już nie ma sensu, minęło mnóstwo czasu, tyle osób miało dostęp do aparatu...

Śnieg padał coraz gęstszy, więc Korotkow musiał jechać wolniej, gdyż widoczność była bliska zeru. Nastia marzła coraz bardziej. Znów naciągnęła rękawiczki i schowała ręce do kieszeni, ale niewiele to pomogło. Dobrze, że już niedaleko do domu, dziesięć minut jazdy, nie więcej, oczywiście jeśli będą mieli szczęście.

– Jura, wiesz co, pomyśl jednak o tej Rosyjskiej Trojce – poprosiła. – Na pewno ostatnio gdzieś się przewinęła, dobrze pamiętam.

– Aśka, daj spokój. Ale a propos, co to za rozdzierająca historia o bezimiennym szefie ochrony, którego zabito, a ty musisz go znaleźć jak igłę w stogu siana? Dlaczego ja nic o tym nie wiem?

– Kiedyś ci opowiem, ale później, nie teraz.

– Dlaczego nie teraz?

– Na razie jeszcze na to za wcześnie. Chcę wszystko sama sprawdzić, żeby niepotrzebnie nie narobić szumu.

– Znowu jakieś sekrety? Chyba wobec mnie nie musisz być taka tajemnicza...

Korotkow prychnął obrażony, a Nastia roześmiała się cicho, patrząc na jego nadętą, zagniewaną minę.

– Biorę przykład z ciebie. Zapomniałeś już, ile ode mnie zażądałeś za nalanie wody do karafki? I kawa, i cukierki, i sprawozdanie z delegacji. Teraz ja będę robiła tak samo. Dopóki sobie nie przypomnisz, gdzie widziałeś wzmiankę o banku Rosyjska Trojka, nic ci nie powiem o szefach ochrony.

– No, Asieńko – jęknął z wyrzutem Korotkow – sama powiedz, jak mogę sobie to przypomnieć? Gdybyś pytała o coś, co ja gdzieś widziałem czy słyszałem, to inna sprawa. Ale przecież chodzi o ciebie. Skąd mogę wiedzieć, co i gdzie widziałeś?

– Jak chcesz. – Wzruszyła ramionami i wzdrygnęła się z zimna. – Jak sobie nie przypomnisz, nie usłyszysz mojej historii.

– No nie, jednak koszmary z ciebie babus – skonstatował rozczarowany Korotkow.

Im bliżej domu, tym większy niepokój ogarniał Nastię. Dzisiaj miała się odbyć operacja Denisowa. Jak przebiegła? Anastazja jeszcze wczoraj umówiła się z Anatolijem Władimirowiczem, że ten zawiadomi ją o rezultacie. Było wszakże oczywiste, że dzwonić będzie tylko do niej do domu, w żadnym wypadku do pracy. W to, że Starkow zatelefonuje, ani przez chwilę nie wątpiła, ludzie Denisowa byli słowni i zdyscyplinowani. Tylko co jej powie...

Nastia pośpiesznie pożegnała się przed wejściem z Korotkowem i popędziła do domu, żeby się wreszcie rozgrzać. Pierwszą jej myślą było wejść do gorącej wanny, ale zaraz sobie przypomniała, że nie tak dawno także leżała w ciepłej kąpieli. Wtedy właśnie zadzwonił Starkow i poinformował ją, że Denisow jest ciężko chory. Tak się wówczas zdenerwowała, że nawet w gorącej wodzie dalej trzęsły ją dreszcze. Przyszło jej do głowy, że jeśli teraz wejdzie do wanny, Starkow na pewno zadzwoni z

jakaś nieprzyjemną wiadomością.

Istniał jeszcze jeden sposób na to, żeby się rozgrzać. Polegał na otwarciu wszystkich czterech palników gazowych. Nastia zdjęła w przedpokoju buty, zapaliła gaz w kuchni i usiadła przy stole, nie zdejmując kurtki. W ciągu dziesięciu minut zrobiło się ciepło, chociaż jednocześnie trochę duszno, można było rozpiąć kurtkę, a po następnych dziesięciu ją zdjąć.

Nastia siedziała w kuchni, pogrążona w dziwnym odrętwieniu, czując z przyjemnością, jak powoli się rozgrzewa. Chętnie napiłaby się kawy, ale jakoś nie miała siły wstać i nalać wody do elektrycznego czajnika, który stał na stole. Skąd takie osłabienie? Dwie godziny przesiedziała przy kolacji, potem czterdzieści minut w samochodzie, nie stała, nie chodziła i nie biegała, nie dźwigała nic ciężkiego. Kiedyś ktoś jej powiedział, że wysiłek intelektualny może wywołać uczucie fizycznego zmęczenia, ale Nastia w to nie wierzyła. Była głupia. Teraz sama widzi, jak to jest. Ale nie, wykluczone, to nie może być prawda. Bzdury. Po prostu otwarty gaz pochłania cały tlen, stąd to odrętwienie, bezwład...

Dzwonek telefonu wyrwał ją z tego dziwnego stanu. Z trudem wróciła do przytomności i nie od razu się zorientowała, co to za dźwięk i gdzie stoi aparat. Telefon był obok, na podłodze, ale upłynęła dobra chwila, nim Nastia go znalazła i podniosła słuchawkę. Gdy usłyszała głos Anatolija Władimirowicza, wszystko stało się dla niej jasne bez słów. Eduard Pietrowicz zmarł.

*

Wasilij Walerianowicz był całkowicie usatysfakcjonowany rezultatami uknutej przez siebie intrygi. Wszystko szło jak po maśle. A to, że w toku tego „maślanego” przedsięwzięcia umierali ludzie, było sprawą drugorzędną i zupełnie nieistotną.

Znajdował się u samych źródeł tajnego programu rządowego. Usłyszał gdzieś o jego ogólnej koncepcji i długo, bardzo długo nad nią rozmyślał, wyszukując w niej wciąż nowe pozytywne aspekty. Wreszcie, kiedy budżet państwa w związku z polityką podatkową znalazł się w stanie krytycznym, Wasilij Walerianowicz zaczął z początku ostrożnie, a potem coraz śmieiej propagować zarówno ogólną koncepcję całego programu, jak i jego części związanej z przygotowaniem i osadzeniem w wielkich firmach handlowych specjalnie przeszkolonych osób, które będą przekazywać instytucjom powołanym do ochrony prawa informacje o nadużyciach finansowych i najrozmaitszych przekrętach, pozwalających zmniejszyć wysokość podatków. Poza tym Wasilijowi Walerianowiczowi bardzo imponował pomysł utworzenia specjalnych przedsiębiorstw czy firm, które by celowo przyciągały brudne pieniądze. Wiedział, że w USA robi się takie rzeczy. Taka firma, powołana przez FBI, funkcjonuje dziewięć czy dziesięć miesięcy, budząc zainteresowanie ludzi, którzy handlują narkotykami lub bronią, uzyskuje potrzebne informacje, po czym zostaje zlikwidowana. Wówczas sprawę przejmują agenci federalni.

Wątpliwe, czy znalazłby się ktoś, kto kwestionowałby fakt, że Wasilij Walerianowicz Gałuzo jest entuzjastycznym zwolennikiem zaostrenia dyscypliny podatkowej i gorliwym strażnikiem państwowej kasy. I tylko bardzo nieliczni – w ich liczbie jego stary druh Witalij Arkadjewicz Borowkow – wiedzieli, co się kryje za tym entuzjazmem i gorliwością. Gałuzo był strategiem, nigdy nie żył dniem dzisiejszym. Jego oczy, osadzone w długiej, pobrużdżonej twarzy, zawsze spoglądały naprzód, w przyszłość. Jeśli się opracuje w najdrobniejszych szczegółach i wcieli w życie program rządowy, a zwłaszcza jego ściśle tajną część, można będzie sobie podporządkować wszystkich największych rosyjskich finansistów. I nie tylko rosyjskich... Z jednej strony – zapewnić środki na finansowanie programu i jego pomyslną realizację, a tym samym wyrobić sobie opinię dobrego organizatora, wytrawnego specjalisty od zarządzania i dalekowzroczego polityka. Z drugiej – rzucić na kolana wszystkich macherów od finansowych machlojek i trzymać ich na krótkiej smyczy, doić z nich forszę na program w zamian za obietnice, że nikt ich nie ruszy. Minie jakiś czas, w kraju rozpoczną się przygotowania do kolejnych wyborów prezydenckich w roku 2000, i wtedy dopiero się okaże, kto to taki Wasilij Walerianowicz Gałuzo. Jako że pieniądze na kampanię wyborczą potrzebne będą wszystkim. A skąd je wziąć? Ależ tak, od finansistów i przemysłowców, przeciągając ich na swoją stronę obietnicami, że po objęciu władzy przez kandydata na prezydenta otrzymają wszelkie ulgi i przywileje. Wówczas to finansiści i przemysłowcy będą zmuszeni się zastanowić, czy aby ich działania nie okażą się sprzeczne z interesami tych, którzy obiecali im ochronę przed konsekwencjami realizowanego powszechnie programu rządowego. A co, jeśli wyłożą środki na kampanię wyborczą jakiegoś kandydata, którego akurat nie popierają realizatorzy programu? I usłyszą: „A zabieraj sobie, Iwanie Tierientjewiczu, swoje parszywe, złodziejskie, zatajone przed skarbem państwa pieniądze, nie będziesz już finansował naszego wspaniałego programu rządowego, i idź razem ze swoim kandydatem do diabła! A my jutro naszpikujemy twój koncern swoimi specjalistami, już oni szybko cię wyprowadzą na czyste wody”. Wobec takiej perspektywy magnaci przemysłowi i handlowi dziesięć razy pomyślą, zanim zgodzą się zaangażować w czyjąś kampanię wyborczą. A kiedy dojdą już do właściwych wniosków, poszukają rady nie u kogo innego, tylko u Wasilija Walerianowicza Gałuzy. „Rada” to oczywiście eufemizm dla naiwnych. Naprawdę nie będą prosić o radę, lecz o pozwolenie. P o z w o l e n i e.

I to w zasadzie wszystko. A Wasilij Walerianowicz stanie się najpotężniejszym i najbardziej wpływowym człowiekiem w naszej wielkiej i nieprzewidywalnej ojczyźnie. O co mu właśnie chodziło.

Nie wszystko jednak szło gładko i szybko. W istocie Gałuzo chciał wcielić swój pomysł w życie już w czasie wyborów 1996 roku, ale w tym celu trzeba było sprawić, aby program wzmocnienia dyscypliny podatkowej – już zatwierdzony – wszedł w życie przynajmniej w połowie 1995 roku. Gałuzo nie zdążył tego osiągnąć.

Opracowanie projektu wciąż utykało na różnych szczeblach i w różnych instancjach, ponieważ wciąż zmieniali się ich szefowie, a wraz z nimi i kadra. Wreszcie jednak Wasilij Walerianowicz uznał, że pokonał pierwszy odcinek drogi. Idea owładnęła umysłami, wydano polecenie opracowania programu, na czele grupy roboczej stanął oczywiście Wasilij Gałuzo, który niezwłocznie powołał w jej skład swego starego przyjaciela Witalija Borowkowa i powierzył mu właśnie ową ściśle tajną część, kluczową dla całego przedsięwzięcia.

Kiedy program był gotowy i został zatwierdzony przez wszystkie konieczne instancje, zajęto się wreszcie jego stroną organizacyjną. Wasilij Walerianowicz chciał zostać szefem „swojej” części i musiał dość długo o to walczyć. Co zabawne, właśnie jemu jako pomysłodawcy i twórcy programu zaproponowano stanowisko zastępcy kierownika całego programu i chciano powierzyć sprawę rekrutacji i rozmieszczenia kadr. Oczywiście, była to bardzo prestiżowa funkcja, ale Wasilijowi Gałuzie chodziło o coś zupełnie innego. Pragnął kierować tajną częścią programu. Sprzeciwiano się temu, przekonywano go, że człowiek, który był jego twórcą i stał na czele grupy roboczej, nie może teraz objąć stanowiska niższego niż zastępcza szefa do spraw personalnych lub finansowych. Gałuzo opierał się, przysięgał, że nie ma takich ambicji i nie rwie się do wysokich funkcji. W końcu znaleziono rozwiązanie kompromisowe i mianowano go zastępcą szefa całego programu, odpowiedzialnym za jego „tajny”, czyli piąty dział. To Wasilija Walerianowicza całkowicie usatysfakcjonowało.

Niezwłocznie wezwał Borowkowa i zaproponował mu stanowisko swego zastępcy do spraw działu piątego.

– Nie wiem, Wasia – wahał się Witalij Arkadjewicz. – Obaj nie jesteśmy fachowcami w tej dziedzinie. Potrzebny ci inny zastępca, jakiś oficer milicji czy kontrwywiadu.

– Bzdury – uciął Gałuzo. – Fachowcy powinni się zajmować sprawami merytorycznymi, a kierować nimi – politycy. To elementarna zasada zarządzania. Dobry pedagog niekoniecznie musi być dobrym ministrem edukacji. Pedagog dysponuje innymi kwalifikacjami zawodowymi, innymi – minister. Poza tym mam pewien pomysł, w który mogę wtajemniczyć jedynie ciebie. Do naszego piątego działu dodamy jeszcze jeden, absolutnie utajniony punkt. Jego realizacja pozwoli nam zarobić trochę grosza, nie za wiele, ot, tak, żeby starczyło naszym żonom na szpilki, ale nie to jest najważniejsze. Grunt, że nigdy już nie będziemy bezradni i bezsilni.

Wysłuchawszy dalszych objaśnień Wasilija, Borowkow był zachwycony dalekowzrocznością i totalnym cynizmem przyjaciela. I z punktu zaproponował swego dobrego znajomego Grigorija Iwanowicza Stojanowa na stanowisko szefa centrum szkolenia rezydentów. Stojanow niedawno przeszedł na emeryturę. Mając dwudziestopięcioletni staż pracy w wydziale kryminalnym, był zarazem jeszcze stosunkowo młody, dopiero stuknęła mu pięćdziesiątka. Borowkow uważał, że można

na nim polegać.

Stojanow pracował wprawdzie w wydziale kryminalnym, ale nie na Pietrowce 38; przez wiele lat był oficerem operacyjnym w hotelach Inturistu. Zaczynał od szeregowego wywiadowcy, zakończył służbę jako zastępca szefa dzielnicowego urzędu spraw wewnętrznych, gdzie podlegały mu wszelkie działania operacyjne. Można się jedynie domyślać, ile mu zawdzięczał w owych czasach KGB; Grisza Stojanow systematycznie i bez pudła dawał tam bowiem cynk o prostytutkach, które można i trzeba zwerbować, i ostrzegał przed tymi, które się do tego nie nadają, zawała sprawę lub będą działały na dwie strony. Stojanow pomagał jednak nie tylko „starszemu bratu”, czyli Komitetowi, ale i o sobie nigdy nie zapominał. W swoim sejfie zgromadził pokaźnych rozmiarów dossier, dotyczące wysokich funkcjonariuszy partyjnych i państwowych, których czujnie namierzył podczas kontaktów z zagranicznymi gośćmi, przybywającymi do Moskwy bynajmniej nie w celu umocnienia przyjaźni i współpracy krajów obozu socjalistycznego. Stojanow nie zasypiał gruszek w popiele; nie zwlekając zbyt długo, udawał się do takiego funkcjonariusza i po prostu się z nim dogadywał. Sympatyczna twarz, szczerzy uśmiech i rosła sylwetka dobrze do niego usposabiała nawet tych, którzy w pierwszej chwili udusiliby go najchętniej gołymi rękami. Co więcej, jeśli przyłapani na gorącym uczynku obywatele najpierw po prostu płacili Stojanowowi za milczenie, to później znaleźli się wśród nich bystrzejsi, którzy rozumowali następująco: skoro już milicjant wziął łapówkę, można faceta uważać za swego, a zatem po co opłacać go post factum? Lepiej bulić regularnie i mieć w nim sojusznika. Po prostu wziąć go na etat.

Czas płynął, funkcjonariusze, których potajemne kontakty z zagranicznymi partnerami bezpiecznie osłaniał Stojanow, zajmowali coraz wyższe stanowiska, awansował także on sam, na jego naramiennikach przybywało kolejnych gwiazdek. Potem sytuacja się zmieniła, ale krąg wpływowych i zamożnych osób, powiązanych ze Stojanowem, nie rozpadł się. Co z tego, że partia upadła, a za niemoralny tryb życia i handel walutą przestano pociągać do odpowiedzialności karnej, co z tego, że wyjazdy zagraniczne stały się łatwo dostępne. Zawsze są i będą problemy, do których rozwiązania przyda się doświadczony oficer milicji.

Tak więc kwestia, komu można by powierzyć kierowanie centrum szkoleniowym, została rozstrzygnięta. Jednak w sprawach personalnych nic nie idzie łatwo. Tak było i teraz. Ledwie Gałuzo i Borowkow zdążyli się dogadać ze Stojanowem i wyjaśnić mu sens tajnego i supertajnego działu programu, kiedy pojawiła się kandydatura Aleksandra Pietrowicza Zielenina. Rekomendował go ktoś, komu Gałuzo w żadnym wypadku nie mógł odmówić. Jednakże Stojanow okazał się uparty i nieoczekiwanie ambitny.

– Odszedłem na emeryturę ze stanowiska zastępcy – oświadczył Borowkowowi. – Teraz mogę być tylko szefem. Albo otrzymam stanowisko szefa centrum, albo będziecie musieli poszukać sobie kogoś innego.

Wdawać się w spór ze Stojanowem było niebezpiecznie, przecież spośród ludzi, którzy zaciągnęli wobec niego wiadome zobowiązania, wielu miało dzisiaj pozycję wyższą niż Borowkow. Tak więc zrobili Stojanowa szefem, a Zielenina zastępcą, przy każdej okazji jednak dając do zrozumienia jego protektorowi, że gdy tylko to będzie możliwe, Zielenin zostanie awansowany. On sam traktował sprawę z całkowitym spokojem i nie okazywał najmniejszego niezadowolenia, ale ludzie, którzy za nim stali, po prostu kipieli z oburzenia, przekonani, że ich protegowany powinien otrzymać możliwie najwyższe stanowisko. Koncepcja obmyślona przez Wasilija Walerianowicza nie była znów tak skomplikowana, by inni nie mogli jej przejrzeć. Dlatego też różne ugrupowania polityczne, przeniknąwszy sprytne zamierzenia Gałuzy, zaczęły podsuwać mu swoich ludzi. Jednym z nich był właśnie Zielenin. Tak więc kontrowersja pomiędzy dwoma zwierzchnikami centrum szkoleniowego w istocie stanowiła odbicie bezwzględnych zmagania dwóch ugrupowań politycznych o zagarnięcie kapitału, który mogłyby wykorzystać w przyszłym wyścigu przedwyborczym.

Gałuzo nie chciał zaostrzać konfliktu, nie lubił otwartej walki, wolał intrygować i osiągać pożądane rezultaty w taki sposób, by się wydawało, że wszystko toczy się po prostu naturalną drogą. Niech zostanie, jak jest, niech Stojanow będzie szefem, a Zielenin jego zastępcą; za jakiś czas wszakże stanie się jasne, że Stojanow nie ma wystarczających kompetencji, Zielenin o wiele lepiej się we wszystkim orientuje.

Oczywiście, nie można odebrać Stojanowowi stanowiska i usunąć go z centrum szkoleniowego. Nie należy wdawać się w konflikty z tymi, którzy dysponują poufną informacją, to podstawowa zasada. Trzeba albo pozostawać z nimi w przyjaźni, albo rozstawać się na zawsze – innymi słowy, eliminować ich. Zabijać. Dlatego ostatecznym celem uknutej przez Gałuzę intrygi było zmuszenie Stojanowa, by sam uznał, że Zielenin jest lepszy, i oddał w jego ręce ster władzy, nominalnie nadal sprawując dotychczasową funkcję. Faktycznie jednak centrum szkoleniowym będzie kierował Aleksander Pietrowicz Zielenin. W ten sposób ci, którzy popierają Stojanowa, stopniowo zostaną odsunięci na bok. A potem można będzie obmyślić jeszcze jakąś intryżkę, dzięki której protektorzy Zielenina także powściągną swoje apetyty. Wasilij Walerianowicz zawsze pamiętał o dobrej zasadzie: trzeba się dzielić. I był gotów się podzielić. Ale przecież nie oddać wszystko! Chwilowo sytuacja wydawała się obiecująca. Kilka niefortunnych posunięć Stojanowa zapewniło Zieleninowi pozycję człowieka, który lepiej wie, jak organizować pracę centrum szkoleniowego. Rozumie się, że Wasilij Walerianowicz wraz z Witalijem Arkadjewiczem w niemałym stopniu przyczynili się do wpadek Stojanowa. Jedyne pierwsza, związana z bankiem Rosyjska Trojka, była kwestią przypadku. A pozostałe... Jak to mówią, miej w Bogu nadzieję, ale i sam nie pokpij sprawy.

ROZDZIAŁ 9

Myśl o banku Rosyjska Trojka nie dawała Nasti spokoju aż do rana. Starła się jednak ją odsunąć, jako że sprawą numer jeden pozostawał dusiciel psychopata. Po wizycie u profesora Samożłowa Nastia wciąż miała uczucie, że idzie mylnym tropem. Można by było, oczywiście, machnąć ręką na te naukowe mądrości, zwłaszcza że podejrzenia co do osoby Anny Łazariewej ciągle się umacniały. Ale...

Nastia postanowiła jeszcze raz uważnie przejrzeć materiały dotyczące ofiar dusiciela. Korotkow dostarczył jej w zeszłym tygodniu informacji na temat trybu życia i zajęć tych osób, obejmujące pięć ostatnich lat, a ona jakoś nie znalazła czasu, by te informacje uporządkować, rzuciła na nie po prostu okiem, nie dostrzegła nic interesującego i włożyła papiery do sejfu. Po przyjeździe na Pietrowkę zameldowała się, jak wszyscy, u Mielnika, który wyraził zgodę, by poświęciła cały dzień pracy analitycznej.

Nastia na czystych arkuszach papieru wykreśliła tabele, po czym zaczęła umieszczać w odpowiednich rubrykach różnego rodzaju informacje. Ofiary często zmieniały miejsce zatrudnienia, zamieszkania, wstępowały w związki małżeńskie i rozwodziły się, rodziły się im dzieci i umierali krewni – wszystko to zostało naniesione na wykres wedle systemu, w którym orientowała się jedynie Nastia. Czas płynął, piła już trzecią filiżankę kawy, popielniczka była pełna niedopałków, a w tabelach przybywało słów i znaków. I nagle Anastazja natknęła się na nazwę banku Rosyjska Trojka. Druga ofiara dusiciela, niejaki Alikadi Nurbagandow, urodzony w 1964 roku w Dagestanie i od 1970 mieszkający w Moskwie, w chwili śmierci nie był nigdzie zatrudniony, ale jeszcze dziesięć dni wcześniej pracował w banku Rosyjska Trojka. Co więcej, został tam przyjęty na dwa tygodnie przed śmiercią, a więc przepracował zaledwie cztery dni i zaraz się zwolnił. Bardzo interesujące! A w dodatku parę dni po jego śmierci ginie szef ochrony tegoż banku, Dmitrij Wawiłow. Całkiem nieźle.

I co my tu mamy? Wszystko wygląda zupełnie jak u Chestertona. Gdzie najłatwiej schować liść? W lesie. A kamyk? Nad brzegiem morza. Trupa? Na polu bitwy. W tym wypadku – pośród ofiar dusiciela.

Najprawdopodobniej więc co najmniej jedna z siedmiu zamordowanych osób nie zginęła z ręki maniaka. A pozostałych sześć? Nie, to nie tak. Maniak zabił wszystkie siedem, po prostu niefortunnym zbiegiem okoliczności jedna ofiara okazała się akurat dwudziestym szóstym absolwentem tajnego centrum szkoleniowego. Cóż, mogło się tak zdarzyć.

Nie, znowu nie tak. Denisow utrzymywał, że pomiędzy śmiercią dwudziestego szóstego a zamordowaniem szefa ochrony istnieje związek. Ale o jakimże związku może być mowa, skoro pierwszego zabójstwa dokonała osoba chora psychicznie? To wykluczone. Chyba że w następującym przypadku: Wawiłow wykrył zabójcę Nurbagandowa, a maniak, obawiając się zdemaskowania, zabił również jego. Ale przecież Wawiłowa nie uduszono, ktoś strzelał do niego z samochodu, to teraz modne.

A więc Nurbagandowa zabił ktoś inny. Ale jak to możliwe, aby sposób popełnienia przestępstwa był dokładnie taki, jak w pozostałych sześciu przypadkach? Trudno mówić o naśladowaniu mordercy, gdyż Nurbagandow był dopiero drugą ofiarą, a nie piątą czy siódmą. Gdyby ktoś chciał rzeczywiście ukryć dwudziestego szóstego absolwenta pośród ofiar zabójcy, powinien był raczej czekać na moment, kiedy dla wszystkich stanie się jasne, że chodzi o seryjnego mordercę, a więc do chwili, gdy zginą co najmniej dwie osoby, zamordowane w ten sam sposób, w dodatku zaś będzie można wykluczyć zabójstwo na zlecenie. Gdybyż Nurbagandow był przynajmniej trzeci... Ale był drugi. A po pierwszym przestępstwie nikt nie może przesądzić, że to początek serii.

Tak, mamy do czynienia z prawdziwą łamigłówką. Denisow nie kłamał, niech mu ziemia lekka będzie. Profesor Samojułow też miał absolutną rację, twierdząc, że pierwszego i drugiego zabójstwa dokonały dwie zupełnie różne osoby. Czyli jego metoda się sprawdza.

Nastia chwyciła słuchawkę i z pamięci wykreśliła numer Samojułowa.

– Olegu Grigorjewiczu, mówi Kamieńska. Przepraszam, że przeszkadzam, ale znów potrzebuję pańskiej pomocy.

W słuchawce słyhać było rozgwar wielu głosów i Nastia zorientowała się, że w gabinecie profesora jest pełno ludzi.

– Proszę mi podać swój numer, zadzwonię do pani – rzekł sucho Samojułow.

Znowu trzeba czekać! I nie wiadomo, jak długo. Może Samojułow zaraz zacznie zajęcia, a potem w ogóle zapomni się do niej odezwać. Albo zgubi karteczkę z numerem telefonu. Albo...

Ale Samojułow zadzwonił dosyć szybko, Nastia nie zdążyła się nawet porządnie zdenerwować.

– Cóż tam znowu za katastrofa? – zapytał współczująco.

– Miała pani taki głos, jakby mury wokół się waliły.

– Olegu Grigorjewiczu – szybko zaczęła wyjaśniać Nastia – przed chwilą znalazłam potwierdzenie, że miał pan słusność. Pierwszego i drugiego zabójstwa rzeczywiście dokonały dwie różne osoby. Muszę mieć koniecznie pańską opinię o wszystkich pozostałych przestępstwach.

– Cóż, bardzo mnie to cieszy – odparł spokojnie Samojułow. – To znaczy, że moja metoda nie jest taka zła, jak niektórzy sądzą. Proszę przynieść materiały, przejrzę je.

– Nie obrazi się pan, jeśli prześlę teczkę przez któregoś z moich kolegów? Zaraz

spróbuję znaleźć kogoś, kto ma samochód i jedzie akurat w tamtą stronę. Gdybym się wybrała sama, bardzo długo by to trwało.

– A co, pali się? – zapytał z rozbawieniem Samojułow. – W takich sprawach godzina czy dwie nie grają roli, zwłaszcza że wspólnie ustaliliśmy, że seria jest zamknięta.

– Olegu Grigorjewiczu, bardzo proszę...

– No dobrze, niech pani przysyła. Tylko proszę pamiętać, że o piętnastej zaczynam egzaminy i będę wolny nie wcześniej niż o siedemnastej trzydzieści. Jeżeli pani kurier nie zastanie mnie w gabinecie, niech przyniesie teczkę do sali numer czterysta dwadzieścia jeden.

– A...a kiedy można do pana zadzwonić? – zapytała nieśmiało Nastia.

– Jutro w porze obiadowej. Nie wcześniej.

– Dziękuję – rzekła z westchnieniem.

Jutro w porze obiadowej. No cóż, nie zawsze wszystko idzie tak szybko, jak by się chciało. Trzeba będzie poczekać.

Odłożyła słuchawkę i znów zajęła się swoimi tabelami. Pod koniec dnia musiała przecież czymś się wykazać przed Paniskiem, a o metodzie profesora Samojułowa nie zamierzała go informować. Przynajmniej na razie. Wyśmiałyby ją. O Denisowie też lepiej nie wspominać. Będzie musiała udawać, że do swoich zaskakujących wniosków na temat seryjnych zabójstw doszła jedynie w wyniku pracy analitycznej.

*

Kierownictwo Moskiewskiego Wydziału Kryminalnego wiedziało, oczywiście, o skandalicznym artykule *Zwłoki na śmietniku*, dlatego też zrobiono wszystko, co możliwe, by znaleźć odpowiednie chody w Federalnym Biurze Ekspertyz Sądowych i spowodować jak najszybsze zbadanie nagrania wideo – poza kolejnością.

Nazajutrz po dostarczeniu kasety ktoś z biura zadzwonił do Korotkowa i poprosił, by ten przyjechał razem z dziennikarzem. Na miejscu posadzono ich przed ekranem i puszczono nagranie.

– Czy to ta sama kasetka, którą pan otrzymał i na podstawie której napisał pan artykuł? – zapytał Bagluka ekspert.

– Tak, ta sama – potwierdził Bagluk.

– Proszę się nie śpieszyć i obejrzyć nagranie do końca.

Ale i później Bagluk utrzymywał z całym przekonaniem, że to ta sama kasetka, słuchał nagrania wiele razy i znał je niemal na pamięć.

– Otóż to, s ł u c h a ł pan. – Ekspert uśmiechnął się zagadkowo. – Właśnie słuchał, a nie oglądał. Puśćmy nagranie jeszcze raz od początku, coś panu pokażę.

Znów zaczęli oglądać. Na ekranie nieboszczyk Nikita Mamontow podawał swoje personalia i opowiadał, jak dokonał zabójstwa na Dworcu Paweleckim.

– A teraz proszę patrzeć uważnie – powiedział ekspert.

– Patrzeć i słuchać jednocześnie.

Korotkow od razu dostrzegł, w czym rzecz. I zdumiał się, jak mógł nie zwrócić na to uwagi, oglądając nagranie po raz pierwszy w redakcji i po raz drugi – przed chwilą tutaj, w laboratorium. Prawdopodobnie zadziałał mechanizm psychologiczny: jeżeli istotna jest treść wypowiedzi, trzeba wsłuchiwać się w słowa, a nie patrzeć na tego, kto mówi. Gdyby Mamontow w czasie swojej relacji coś pokazywał, na przykład, w jaki sposób zadawał ofierze ciosy nożem na zatłoczonym peronie, wówczas niewątpliwie przyciągnąłby uwagę widza. A tak...

– Jak pan mógł nie zauważyć? – z wyrzutem zwrócił się ekspert do Bagluka. – Począwszy od słów: „Na Pietrowce przesłuchiwał mnie Jurij Wiktorowicz Korotkow”, artykulacja mówiącego nie odpowiada tekstowi, który słyszymy.

– Jak to? – zachnął się dziennikarz. – Dlaczego nie odpowiada?

– To nie jest pytanie do mnie. – Ekspert wzruszył ramionami. – Moim zadaniem było stwierdzić, że pod drugą część nagrania podłożono nowy tekst.

– To niemożliwe. – Bagluk był oszołomiony. – Jak to? Jest pan pewien?

– Gdybym nie był pewien, nie prosiłbym pana o przybycie. Spektrogram głosu pierwszej i drugiej części nagrania jest zupełnie inny. Tekst wypowiedziały dwie różne osoby, chociaż trzeba przyznać, że podróbkę oceniam bardzo wysoko, głosy rzeczywiście trudno rozróżnić.

– Tak jest tylko na wideo czy również na nagraniu dyktafonowym? – odezwał się Bagluk głucho.

„Tonący brzytwy się chwyta – złośliwie pomyślał Korotkow. – Po co pytać, skoro tekst na obu nagraniach jest identyczny?” – Na obu tak samo.

– Rozumiem – wybąkał znękany żurnalista.

– A proszę powiedzieć, czy na podstawie artykulacji da się odtworzyć pierwotnie nagrany tekst? – zapytał Korotkow.

– W każdym razie można spróbować. Ale niczego nie obiecuję na pewno. Trzeba by zaprosić specjalistę od czytania z ruchu warg, oni mają wyćwiczone oko. To zresztą możecie zrobić sami, poradzicie sobie beze mnie. A więc, drodzy panowie, wszystko już jasne czy macie jeszcze jakieś pytania?

– Jasne jak słońce – szybko powiedział Korotkow. – Dziękujemy.

Razem z Baglukiem wyszedł z budynku. Walentin wyglądał żałośnie, był naprawdę przybity, ale Jura wcale mu nie współczuł. Gdyby ten pismak nie gonił za gorącym tematem, może z większym krytycyzmem odniósłby się do otrzymanych nie wiadomo skąd materiałów, oglądałby je uważniej i w porę by dostrzegł podróbkę. A tak tylko nerwy człowiek przez niego traci, nie może spokojnie pracować.

– Juriju Wiktorowiczu – odezwał się ponuro Bagluk – proszę przyjąć moje gorące przeprosiny...

Zaczął bełkotać jakieś usprawiedliwienia i prośby o wybaczenie szkód moralnych oraz obiecywał sprostowanie, ale Korotkow mu przerwał:

– Pojedziemy teraz na Pietrowkę do mojego szefa i tam pan mu wszystko dokładnie opowie – kto, kiedy i w jakich okolicznościach wcisnął panu te podróbki. Może pan z nim pomówić również o szkodach moralnych i sprostowaniu. I proszę przyjąć przyjacielską radę: niech pan się nie bierze do skandalizujących tematów na kacu, bo pańska głowa po nadużyciu alkoholu w ogóle nie pracuje.

Na Pietrowkę każdy z nich jechał swoim samochodem, Korotkow pierwszy, Bagluk za nim. Idąc długimi korytarzami budynku, dziennikarz usiłował nawiązać rozmowę z Jurą, ale ten milczał i tylko przyśpieszał kroku. Wydawało się, że chce się jak najprędzej uwolnić od tego niesympatycznego typu. Otworzywszy drzwi do gabinetu Mielnika, niemal wepchnął Walentina do środka.

– Władimirze Borisowiczu, przedstawiam panu Walentina Bagluka, autora znakomitego artykułu *Zwłoki na śmietniku*. Właśnie wracamy z Federalnego Biura Ekspertyz Sądowych, gdzie ustalono, że nagrania z zapisem zeznań Nikity Mamontowa są fałszywkami.

– To znaczy?... – zapytał Mielnik, wstając z krzesła i robiąc krok w ich stronę.

– Mamontow rzeczywiście przyznał się do zabójstwa sprzed półtora roku. Nie wspomniał jednak ani słowem, że ja go zwerbowałem.

– Więc skąd pan wziął tę informację? – zwrócił się nachmurzony Mielnik do dziennikarza.

– Właśnie z tego nagrania, które mu podsunęto – wyjaśnił Korotkow, jakby Bagluka w ogóle nie było w pokoju.

– Wcisnęli mu podróbkę, a on, jeszcze całkiem wczorajszy, nawet się nie zorientował.

– Niech pan siada – rzucił Mielnik do Bagluka. – I proszę opowiedzieć wszystko po kolei. A pan, Juriju Wiktorowiczu, może odejść.

Korotkow wyszedł. Z jednej strony, chętnie by posłuchał relacji dziennikarza, z drugiej jednak, była mu niemiła sama obecność Bagluka, przez którego miał tyle nieprzyjemności. Ze starego nawyku poszedł nie od razu do siebie, lecz do Nasti. Kamieńska była blada i wyglądała na niewyspaną, oczy miała zaczerwienione albo ze zmęczenia, albo od zasnuwającego cały gabinet papierosowego dymu.

Jura z rozmachem opadł na krzesło, nawet nie zdejmując kurtki.

– Już po wszystkim, Aśka, załatwiłem pismaka.

Nastia podniosła na niego zmęczone spojrzenie, w którym nie było nawet zwykłego przyjacielskiego zainteresowania.

– W jaki sposób?

– Eksperci ustalili, że nagranie jest lipne. Pierwszą część tekstu wypowiada sam Mamontow, drugą – zupełnie ktoś inny, naśladując jego głos. Niezłe, co? Zaciągnąłem tego kretyna Bagluka do Paniska, niech ma za swoje.

– I co cię tak cieszy? – spytała zdziwiona Nastia.

– Jak to co? To, że wreszcie wszystko się skończyło. Nikt mnie teraz nie będzie

oskarżał o przecieki tajnych informacji i zdradzanie ich źródeł. A już tym bardziej o to, że śmierć Mamontowa była mi na rękę.

– A komu była? Nic się jeszcze nie skończyło, Jurik, wszystko się dopiero zaczyna. Ktoś przecież to zrobił. Ktoś nagrał jego przyznanie się do winy, dokonał podróbki, podsunął ją dziennikarzowi i zabił chłopaka. Kto? I dlaczego? Chcą cię wkopać czy też co innego mają na celu?

– A niech cię cholera – zdenerwował się Korotkow. - Chciałem się pół godzinki nacieszyć, a ty podcinasz człowiekowi skrzydła w locie. Za trzydzieści minut ja sam zacznę się zadręczać tymi pytaniami, ale te pół godzinki mogłabyś mi darować. Jednak wredna z ciebie baba, Anastazjo.

– Przepraszam.

– A ty dlaczego taka nie w sosie? Stało się coś?

– No wiesz, człowiek ma głowę zaśmieconą różnymi głupstwami.

– Na przykład?

– Na przykład, wreszcie wiem, gdzie mi mignęła nazwa banku Rosyjska Trojka.

– Och, chwała Bogu! Już się bałem, że znowu zaczniesz się mnie czepiać. No i gdzie?

– W twoich notatkach, słonko ty moje najdroższe. W tych, które mi przyniosłeś. Na temat ofiar dusiciela.

– Czyżby? To znaczy, że zasłużyłem na filiżankę kawy. No już, staruszek, włącz czajnik i opowiadaj. Powoli i po porządku, żeby mi się mógł rozsmakować.

Korotkow osiągnął swój cel – Nastia zaczęła się uśmiechać i jej spojrzenie pojaśniało.

– Pieczeniarz – skarciła go łagodnie.

– Nie przesadzaj, po prostu partner – odciął się Jura. - Opowiadaj o banku.

– Nie tyle chodzi tu o bank, co o naszego dusiciela. Pracownik banku, niejaki Alikadi Nurbagandow, był drugą z siedmiu ofiar. W chwili zabójstwa nigdzie już jednak nie pracował, dziesięć dni przed śmiercią zwolnił się z Rosyjskiej Trojki. A wkrótce po jego zamordowaniu został zastrzelony Wawilow, szef ochrony banku.

– No i co? Jaki związek ma jedno z drugim?

– Nie wiem. Ale związek musi być.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Wiesz... Tylko się nie śmieję i nie rób sobie żartów, dobrze? Pamiętasz, opowiadałam ci o teoriach naukowych, dotyczących seryjnych zabójstw.

– To o jakimś tam programie i o tym, że przestępcy nie można złapać, dopóki nie zabije wszystkich, których wytypował?

– No tak, mniej więcej. A więc widziałam się z autorem tych opracowań.

– Po co?! – Brwi Korotkowa podjechały w górę, oczy ze zdumienia niemal wylazły z orbit, nawet usta się lekko rozchyliły. – Po co to zrobiłaś? Wierzysz w te brednie?

– Jura – Nastia skrzywiła się, niezadowolona – umówiliśmy się przecież. Bardzo cię proszę, tylko bez emocji. Najpierw mnie wysłuchaj, mówić będziesz potem.

– No dobrze, dobrze – zgodził się – ale ja i tak nie rozumiem, po co...

– Jurka! Bo w ogóle nic ci nie powiem – zagroziła Nastia.

– No już, zamykam się. Daj mi puszkę, nasypię kawy i zaparzę, a ty mów, prymusko.

– Autor opracowań naukowych, profesor Samojułow, przejrzał i zanalizował dane o datach urodzin i śmierci ofiar oraz miejscach znalezienia zwłok. A półtorej godziny później zarzucił mi celowe wprowadzanie go w błąd i oskarżył mnie o głupie zagrywki.

– Nie rozumiem – wtrącił Korotkow, mieszając cukier w kawie. – To znaczy, o co mu chodziło?

– Ja też nie rozumiałam. Okazuje się, że – zgodnie z analizą przeprowadzoną jego metodą – pierwszych dwóch zabójstw dokonały dwie różne osoby. Ja mówiłam o serii siedmiu przestępstw, a on na podstawie danych stwierdził, że nie ma mowy o żadnej serii, i ja po prostu zawracam mu głowę.

– Chyba raczej on tobie – rozzłościł się Korotkow – a ty już jesteś gotowa przyznać mu rację. To nie tylko seria, ale seria jak jasna cholera!

– Nie gorączkuj się przedwcześnie. Wysłałam od niego kompletnie skołowana, nic nie rozumiałam i zaczęłam powątpiewać w wartość metod naukowych. To było w piątek. A w niedzielę odwiedziłam w szpitalu Denisowa.

– Kogo? Do reszty zwariowałaś? – wykrzyknął Korotkow.

– Po coś do niego polazła? Mało ci było zeszłorocznych kłopotów?

– Cicho, cicho – uspokajająco pogładziła Jurija po ręce – nie wrzeszcz, bo ludzie się zlecą. Denisow był ciężko chory, nazajutrz czekała go operacja, której nie spodziewał się przeżyć, i po prostu chciał się ze mną pożegnać.

– Pożegnać się – Korotkow zniżył głos, chociaż nadal był zły – a jakże, możesz być pewna, że ten mafioso wszystkich nas przeżyje. Znowu chciał cię w coś wciągnąć?

– Oczywiście – odrzekła Nastia z uśmiechem. – Inaczej nie byłby sobą. Jako prezent pożegnalny przekazał mi informację, że w pewnej firmie niedawno został zabity szef ochrony, a krótko przedtem odszedł stamtąd pewien pracownik, którego także w niedługi czas potem zamordowano, i to jeszcze przed zabójstwem wspomnianego szefa ochrony. Inaczej mówiąc, to nie były pracownik go załatwił. Ale między oboma wypadkami istnieje związek.

– Ciekawe, jaki?

– Nie wiem, Denisow mi nie powiedział.

– To zapytaj go, na pewno ci nie odmówi informacji.

– Nie mogę, Jurik.

– A to dlaczego? Niezręcznie ci go poprosić, prymusko?

– Nie o to chodzi. Denisow w poniedziałek zmarł.

– Więc to tak... – Jurij zamyślił się na chwilę. – Ale po co ci to powiedział? Chciał, żebyś odkryła ten mityczny związek?

– Jura, koncentrujesz się nie na tym, co trzeba. Po co mi powiedział, to akurat najmniej ważne. Interesuje mnie co innego. Jeżeli między zabójstwami Nurbagandowa i Wawiłowa rzeczywiście istnieje jakiś związek, to Nurbagandowa nie udusił maniak. Więc dlaczego sposób popełnienia przestępstwa tak przypomina pozostałych sześć zabójstw?

– Naśladownictwo – rzucił natychmiast Jura. – Imitacja stylu maniaka. Mieliśmy już coś podobnego w sprawie żydowskich chłopców. Czyżbyś zapomniała?

– Nie ma analogii. – Nastia pokręciła głową. – Nurbagandow to ofiara numer dwa, a po pierwszym zabójstwie trudno przesądzać o sposobie popełnienia przestępstwa i jego seryjnym charakterze.

– No tak, faktycznie – zgodził się Korotkow. – Czyli co?

– Nie wiem co. – Nastia rozłożyła ręce. – Dlatego siedzę i myślę, jak to się mogło stać.

– Ta-a-ak... Słuchaj, a jak twój profesor na to wpadł?

– Rozpatrując sprawę zgodnie ze swoją metodą. Wyszło mu po prostu, że zamordowali dwaj różni ludzie.

– Daj spokój, Aśka, to niemożliwe. Pewnie mu sama wypaplałaś.

– Przecież mówię ci, że byłam u niego w piątek, kiedy w ogóle jeszcze nic nie wiedziałam! Przypomnij sobie, że dopiero w poniedziałek wieczorem, jak byliśmy u Stasowa, przysłała mi na myśl ta Rosyjska Trojka.

– Czyli wychodzi na to, że ten twój profesor ma jakieś nadprzyrodzone zdolności?

– Przestań – powiedziała Nastia spokojnie – przestaw się wreszcie na inną fałę. Profesor Samożłow opracował specjalną metodę analizowania przypadków seryjnych zabójstw i ta metoda się sprawdza, musisz to po prostu przyznać, niczego więcej od ciebie nie żądam. Na razie – uściśliła. – Wysłałam do niego Miszę ze wszystkimi materiałami; Samożłow obiecał je przejrzeć i wyrazić swoją opinię na temat każdego z zabójstw.

– A ty...

– Czekam. Będzie gotów jutro koło południa.

– No nie, Aśka – znów się zirytował Korotkow – przecież to jakaś szarlataneria. Niepotrzebnie rozpętałaś całą aferę.

A już Panisko za taką samowolę żywcem cię rozszarpie. Pomyślałaś o tym przynajmniej?

– Pomyślałam. Panisku o metodzie Samożłowa nic nie będę mówić. Chociaż nie wydaje mi się, żeby należał do ludzi, którzy lekceważą metody naukowe. Ale na wszelki wypadek wolę być ostrożna. Mam nadzieję, że mnie nie zdradzisz?

– Nie zdradzę – zapewnił z westchnieniem Korotkow – ale nie myśl, że to

pochwalam. Fakt, staruszko, że jesteś od nas wszystkich mądrzejsza, ale w tym wypadku nie masz racji.

– Bardzo być może. Ale spróbować trzeba. Postaram się w jakiś inny sposób naprowadzić Panisko na myśl o tym, że w sprawie maniaka nie wszystko wygląda tak klarownie, jak się z początku wydawało. Zarzucę go naukowymi terminami, wywodami analitycznymi, wymyślę różne schematy, wykresy... Krótko mówiąc, to moje zmartwienie. Ale Panisko nie może wiedzieć o dwóch sprawach: o Denisowie i o Samojułowie. Zgoda?

– Jasne. Im mniej Panisko wie o swoich poddanych, tym lepiej dla nich. Słuchaj no, a co z twoją koszykarką? Alarm odwołany?

– Na razie nie, poczekam, co powie Samojuł. Jeśli z siedmiu zabójstw sześć popełniła ta sama osoba, profesor może podać wiele jej cech osobowościowych oraz dość dokładnie określić wiek.

– Niech ci będzie – bez przekonania zgodził się Jura. - Ale ja w to nie wierzę. To jakieś pseudonaukowe sztuczki, i tyle.

– Nie wierzysz, to trudno.

Spojrzała na zegarek i przeraziła się.

– O matko, już ósma! Ciekawe, że Panisko nie pogania mnie z wieczornym raportem.

– Bo rozmawia teraz z tym dziennikarzem. I, jak myślę, tak szybko nie skończy.

Nastia podniosła słuchawkę wewnętrznego telefonu.

– Władimirze Borisowiczu, tu Kamieńska. Czy będzie mnie pan dzisiaj wzywał? Dobrze, dziękuję.

Odłożyła słuchawkę i mrugnęła wesoło do Korotkowa.

– Na dziś mamy amnestię. Jego wielmożność jest zajęty i prędko nie skończy. Możemy spokojnie pracować.

– Długo jeszcze będziesz siedziała?

– Jakies półtorej godziny, muszę uporządkować papiery. A ty?

– Mniej więcej tyle samo. Podrzucę cię do metra.

Okolo dziewiętej Nastia i Jura Korotkow zaczęli się zbierać do wyjścia. Na dworze Anastazja podniosła głowę i poszukała wzrokiem gabinetu Mielnika. Paliło się tam światło, Władimir Borisowicz jeszcze pracował. Pączek, czyli Gordiejew, też nigdy nie wychodził wcześniej, zdarzało się, że nawet nocował na Pietrowce. Cóż, może nowy szef okaże się w końcu nie gorszy od poprzedniego...

*

Hamując przy kolejnym skrzyżowaniu, Walentin Bagluk z trudem zapanował nad samochodem. Jezdnia była bardzo śliska. I co go podkusiło, żeby znowu pić? No cóż, to jasne, zdenerwował się z powodu kasety i w ogóle całej tej historii. Idiotycznej zresztą, jeśli głębiej się nad nią zastanowić. Że też pozwolił się tak głupio zrobić!

Sam dał plamę i skompromitował redakcję. Kretyn. Rozdrażniony, postanowił zalać robaka. Teraz czuł się zamroczony, myśli mu się rwały, ręce i nogi odmawiały posłuszeństwa. No trudno, byleby jakoś dojechać do domu – i do łóżka. A jutro się zobaczy.

Facet z Pietrowki, milicyjna szycha, okazał się całkiem w porządku, nie wrzeszczał, nie powoływał się na przepisy prawne, tylko wypytywał go o wszystko spokojnie i szczegółowo. Widać było, że mu współczuje, rozumie, że popełnił błąd nie ze złej woli. Nie to, co ten cholerny pies, Korotkow, który aż kipiał ze złości, nienawiść go dusiła. Baglukowi nawet gadać się z nim nie chciało. Za to z Władimirem Borisowiczem naprawdę szczerze sobie porozmawiali. Bagluk, oczywiście, kajał się, bił w piersi i przeproszał, ale Mielnik cały czas mu przerywał i tylko wciąż od nowa wracał do okoliczności, w jakich podsunęto mu kasety.

– Ktoś rozpoczął przeciwko wydziałowi kryminalnemu brudną grę – mówił Walentinowi – i pańskie przeprosiny nie są teraz dla mnie najważniejsze. Chciałbym zrozumieć, kto i dlaczego to zrobił.

I znowu pytał, kiedy ten facet zadzwonił, co powiedział, gdzie się spotkali, jak wyglądał nieznajomy, w co był ubrany. Nalegał, żeby Walentin przypomniawszy sobie jego sposób poruszania się, gesty, zachowanie, ton głosu, charakterystyczne zwroty. Bagluk starał się, jak mógł, natęczał pamięć, opowiadał, usiłując nie pominąć żadnego szczegółu. Władimir Borisowicz był człowiekiem niewątpliwie zajęтым. W czasie rozmowy kilka razy wychodził z gabinetu w niecierpiących zwłoki sprawach, zostawiając Bagluka samego, co prawda, nie na długo – pięć, może siedem minut. I za każdym razem przeproszał, że musiał przerwać rozmowę. Dobrze wychowany, uprzejmy gość. Słowem, sympatyczny facet.

Ciężkie upojenie alkoholowe nie mijało, Baglukowi dwoiło się w oczach, reakcje miał spowolnione. Przeżył chwilę grozy, kiedy wydawało mu się, że zupełnie nie panuje nad samochodem, który jedzie, dokąd sam chce. Może lepiej zostawić go w jakiejś bocznej uliczce i wsiąść w taksówkę, a jutro, już na trzeźwo, zabrać wóz? Ale, cholera jasna, ukradną go jak nic albo rozbiorą na części, w samochodzie nie ma alarmu. Sto razy obiecywał sobie, że każe go założyć, ale zawsze brakowało mu na to czasu albo pieniędzy. Lepiej będzie jeszcze coś łyknąć i dodać gazu, żeby się nie dręczyć głupimi myślami i czym prędzej dotrzeć do zbawczego garażu obok domu.

Przystanąwszy na czerwonym świetle, Walentin rozejrzył się ukradkiem dookoła, szybko wyjął ze schowka płaską butelkę whisky i pociągnął z niej trzy duże łyki. Od razu zrobiło mu się raźniej na duszy, jezdni nie wydawała się już taka śliska, a samochód nieposłuszny. I czego się tak przestraszył, głupi? W końcu nie pierwszy raz siedział pijany za kierownicą. Co prawda, dotąd jeździł zaledwie lekko podcięty, w takim stanie jak dziś nigdy mu się jeszcze nie zdarzyło prowadzić. No i dobrze. Zawsze się jakoś udawało, uda się i tym razem. Nie ma się czego bać. Anioł stróż jakoś go uchroni. Teraz tylko dodamy gazu – i za dziesięć minut będziemy w domu.

Właściwie można uznać, że już jesteśmy na miejscu.

*

Poranna odprawa u Mielnika zaczęła się nietypowo, a jej dalszy ciąg przybrał jeszcze bardziej nieoczekiwany kierunek. Zebrawszy podwładnych, Mielnik powiedział:

– Wszyscy, oczywiście, wiecie, że niedawno w jednej z gazet został opublikowany artykuł *Zwłoki na śmietniku*. Sądzę, że każdy z was go czytał, dlatego nie będę wracał do jego treści. Autor wylał na nas kubeł pomyj.

Zebrani kiwnęli głowami, tak, naturalnie, znają tę publikację, nie trzeba jej streszczać.

– Chcę wam powiedzieć, że artykuł został napisany na podstawie materiałów, które przy dokładniejszej analizie okazały się fałszywką. Z ulgą zatem stwierdzam, że nie doszło do przecieku tajnych informacji z naszej sekcji. Ale w całej tej niecodziennej sytuacji jeden z naszych pracowników wykazał karygodny brak profesjonalizmu i lekceważenie pracy. Mam na myśli majora Korotkowa.

Wszyscy ze zdumieniem popatrzyli na Jurę. Cóż to znowu? Jurka nigdy nie...

– Przedwczoraj major Korotkow odwiedził redakcję gazety, która opublikowała artykuł, poznał dziennikarza Walentina Bagluka, jego autora, i dowiedział się, na podstawie jakich materiałów powstał wyżej wymieniony tekst. Za zgodą redakcji materiały te zostały przekazane Federalnemu Biuru Ekspertyz Sądowych w celu dokonania analizy wstępnej. Wczoraj tamtejsi eksperci zaprosili Korotkowa i Bagluka i wykazali im naocznie, że dowody zostały sfalszowane, po czym Jurij Wiktorowicz przywiózł Bagluka na Pietrowkę, do mnie, w celu złożenia wyjaśnień. Juriju Wiktorowiczu – zwrócił się Mielnik do Korotkowa – niech pan będzie łaskaw opowiedzieć nam, czego się pan dowiedział o okolicznościach, w jakich trafiły do Bagluka podrobione kasety.

Z miny Korotkowa było jasno widać, że nie poczuwa się on do żadnej winy i nie rozumie, do czego przełożony zmierza.

– Bagluk powiedział mi, że otrzymał te materiały od nieznanego mężczyzny, któremu jakoby leży na sercu drastyczne rozprężenie w pracy milicji, konkretnie w działaniach agenturalno-operacyjnych, i pragnie, by został opublikowany na ten temat skandalizujący artykuł, który zwróciłby wreszcie uwagę na ów problem.

– I to wszystko?

– Tak jest, towarzyszu pułkowniku.

– I pan, doświadczony oficer operacyjny, uważa, że to wystarczy? Ustalił pan, co to za człowiek, jak się zachowywał i co mówił? Czy zapytał pan przynajmniej o to Bagluka?

– Nie zdążyłem, Władimirze Borisowiczu. Kiedy tylko w redakcji pokazano mi kasety, natychmiast zadzwoniłem do pana, pamięta pan przecież. A pan powiedział,

żebyśmy wzięli te kasety i od razu pojechali do Federalnego Biura Ekspertyz. Obiecał pan, że nim tam dotrzemy, przedstawi pan sprawę tamtejszemu kierownictwu i załatwi, aby wydano polecenie zajęcia się naszymi materiałami poza kolejnością.

– I pojechaliście?

– Tak jest.

– Czym?

– Ja swoim samochodem, a przedstawiciele redakcji wozem Bagluka.

– Co było dalej?

– Na miejscu od razu udaliśmy się do dyrektora, który powiedział, że już miał telefon w tej sprawie, i skierował nas do działu ekspertyz fonoskopowych. Tam oddaliśmy nagrania, zarejestrowano je, po czym każdy pojechał w swoją stronę.

– Doskonale. Pan oddał się w swoich sprawach i z Baglukiem więcej się nie widział. Czy dobrze pana zrozumiałem?

– Tego dnia nie, nie widziałem się.

– A wczoraj?

– Wczoraj spotkaliśmy się w biurze ekspertyz, a po rozmowie z ekspertem przyjechaliśmy tutaj, do pana.

– Również każdy swoim samochodem?

– Tak jest.

– Jak to, Juriju Wiktorowiczu? Pozwoli pan, że zapytam, czy jest pan oficerem operacyjnym, czy konwojentem? Może pan uważa, że do naszych obowiązków służbowych należy towarzyszenie dziennikarzowi Baglukowi w przemieszczaniu się po mieście? Jak należy tłumaczyć fakt, że pan nawet nie próbował przeprowadzić z nim wnikliwej rozmowy, wyjaśnić szczegółów, które mogłyby rzucić światło na to, kto wcisnął mu te podróbki? Czy jest pan tak dalece zaprzątnięty rozwiązywaniem licznych problemów osobistych, że całkowicie zapomniał pan o swoich obowiązkach i wolał rzucić je na cudze barki?

To była wysoce nietaktowna uwaga. Wszyscy koledzy wiedzieli o tym, że Jura od dawna już nie dochowuje wierności żonie, co więcej, wielu znało kobietę, z którą od czterech lat miał romans, ale nikt nigdy nie mógłby mu zarzucić, że dzieje się to z uszczerbkiem dla jego pracy. Korotkow poczerwieniał, zacisnął usta i wydawało się, że za chwilę wybuchnie.

– Władimirze Borisowiczu... – zaczął z tłumioną złością, ale Mielnik przerwał mu:

– Wczoraj bardzo skutecznie zwał pan swoje obowiązki na mnie, podrzucając mi Bagluka niczym dokuczliwy ciężar, którego chciał się pan pozbyć, i radośnie pomknął pan na kawę do swojej przyjaciółki Kamińskiej. W tej sytuacji musiałem wziąć na siebie rolę wywiadowcy i też wyręczyć pana w obowiązkach, o których pan zapomniał. Wyciągnąłem z Bagluka wszystkie informacje, jakie tylko się dało. I chwala Bogu, że to zrobiłem. – Tu Mielnik zrobił pełną dramatyzmu pauzę, świdrując wzrokiem Korotkova, który stał przed nim, zalany purpurowym rumieńcem. –

Gdybym bowiem tego nie uczynił, dzisiaj okazałoby się, że te informacje zostały bezpowrotnie zaprzepaszczone. Wczoraj późnym wieczorem redaktor Walentin Bagluk zginął w wypadku. Prowadził w stanie silnego upojenia alkoholowego i na śliskiej jezdni stracił kontrolę nad samochodem. Niech pan siada, Korotkow. Mam nadzieję, że wyciągnie pan wnioski z tego, co się stało. W ciągu trzech tygodni zdołałem się już zorientować, że pod rządami Gordiejewa przywykliście tu żyć jak jedna wielka rodzina. Być może taka atmosfera z psychologicznego punktu widzenia jest nawet całkiem przyjemna. Jednakże absolutnie nie sprzyja poważnemu traktowaniu obowiązków. W rodzinie można nie pozmywać naczyń lub nie uprać skarpetek, ponieważ robi to za człowieka ktoś inny, a jeżeli nawet nie robi, nie stanie się nic strasznego. Praca nie zajac, nie ucieknie. Ale pora zerwać z tymi nawykami. Tutaj jesteście na służbie i bądźcie łaskawi o tym pamiętać. Dziękuję. Wszyscy są wolni.

*

Korotkow po porannej odprawie z trudem wrócił do równowagi. I zanim zabrał się do swoich spraw, zgodnie ze starym zwyczajem wstąpił do Nastii. Do diabła z Paniskiem, proszę bardzo, niech go nawet przyłapie na gorącym uczynku.

– Tak, dałem płamę – perorował wściekły, przypalając papierosa od papierosa. – Ale kto mógł przypuszczać, że ten idiota schla się i pijany usiądzie za kierownicą! Już od trzech dni jezdnie w mieście są tak śliskie, że niech Bóg broni, nie przejedzie człowiek kilometra, żeby nie zobaczył rozwalonego samochodu albo jakiegoś wypadku. Bagluk jako kierowca widział chyba, co się dzieje. Ale nie, nawalił się jak stodoła i pojechał.

Nastia w milczeniu wypełniała jakiś formularz. Wiedziała, że nie ma sensu przerywać Korotkowowi, który po prostu musiał się wygadać, żeby dać upust złości. Gdy to robi, uspokoi się.

– Musiał sobie wytrzeć gębę i Lusią, i tobą – wściekał się dalej Jura na Mielnika. – Pańska przyjaciółka! A przecież cała sekcja do ciebie przychodzi. Sama powiedz, Aśka, tylko obiektywnie, czy chociaż raz zawaliłem robotę z tego powodu, że widuję się z Lusią? No powiedz, zawaliłem?

– Nie zawaliłeś – powiedziała Nastia, nie podnosząc głowy znad papierów. – Daj sobie spokój, Jura, nie zwracaj na to uwagi. Nowa miotła, i tak dalej. To choroba pierwszych dni na kierowniczym stanowisku. Chce sobie podnieść samoocenę, krytykując dotychczasowe porządki, i napędzić strachu podwładnym, zawyżając wymagania. Musimy to przeczekać. Taki atak nadgorliwości szybko mija.

– Jak długo to jeszcze może potrwać? – burknął Korotkow już spokojniej.

– Jakies pół roku. Wtedy przyjdzie pora na półroczne sprawozdania, a przecież całe te sześć miesięcy przepracujemy pod jego kierownictwem, pamiętaj, że został mianowany pierwszego stycznia, więc nic już nie będzie mógł zwalić na dawnego

zwierzchnika. Pączek, zanim odszedł, zamknął wszystkie zeszłoroczne sprawy. Dlatego im bliżej będzie półrocznych sprawozdań, tym Panisko zrobi się cichszy i zacznie działać z myślą o wynikach, a nie o zaspokajaniu własnych ambicji.

– Ale, Aśka, pomyśl sama – znowu rozsierdził się Korotkow – potraktował mnie przy wszystkich jak zwykłego gówniarza! I za co, pytam się?! Można by pomyśleć, że nic więcej nie mam na głowie, tylko tego cholernego Bagluka z jego kretyńskim artykułem. A tymczasem jest dwanaście trupów, którymi powinienem się zająć, i całymi dniami dwoję się i troję, żeby wieczorem móc zameldować, jakie poczyniłem postępy w każdej z tych spraw. W końcu Bagluk to nie to samo.

– Teraz już tak – zauważyła Nastia. – Trzynasty trup.

– Ale nie ofiara przestępstwa – upierał się Jurij. – No dobra, idę wypełniać plan. Nie chcesz, żebym cię gdzieś podwiózł?

– Nie, czekam na telefon od Samożłowa. Zbliża się koniec miesiąca, powiedziałam Mielnikowi, że muszę przygotować zestawienie prac analitycznych za styczeń, więc to, że się nie ruszam z gabinetu, nie budzi jego podejrzeń.

Jura wyszedł. Po kwadransie zjawił się Misza Docenko. Widać było, że poranna odprawa zrobiła na nim silne wrażenie.

– Anastazjo Pawłowno, teraz już zawsze tak będzie? – znękany zapytał już od progu.

Nastia znów musiała stracić trochę czasu, żeby wyjaśnić Miszy to, co niedawno tłumaczyła Korotkowowi. Że nowa miotła...

– Ale co tam w sprawie Łazariewej, Miszeńka? Udało się znaleźć jakichś świadków?

– Coś tam jest, ale na razie niewiele. W trzech przypadkach na siedem mieszkańcy pobliskich domów widzieli w interesującym nas przedziale czasowym osobę bardzo wysokiego wzrostu. Ale nie potrafią z całą pewnością określić, czy chodzi o mężczyznę, czy kobietę. Po pierwsze, było ciemno, po drugie, ta osoba miała na sobie kurtkę z kapturem. To znaczy, z początku wszyscy jak jeden mąż twierdzili, że to był mężczyzna, ale to zrozumiałe; kiedy się widzi kogoś bardzo wysokiego, nie przychodzi człowiekowi do głowy, że to może być kobieta. Kiedy jednak zaczynałem wypytywać dokładniej, okazywało się, że żadnych cech pozwalających zdecydowanie określić płeć świadkowie nie potrafią wymienić.

– A kurtka?

– Niestety. Wszyscy podają typowy opis, powtarzam, było ciemno, koloru nie można ustalić, najwyżej: jasny albo ciemny. Ale ciemnych kurtek w Moskwie jest zatrzęsienie, co trzeci mieszkaniec w takiej chodzi. Łazariewa też zresztą nosi ciemną kurtkę. I też z kapturem..

Po twarzy Docenki przebiegł cień, oczy mu przygasły, jakby ktoś nagle zgasił żarówkę, która się w nim paliła.

– Co, znudziło się panu ją emablować? – zapytała współczująco Nastia.

– Nie mam już siły – poskarżył się Michaił. – Wczepiła się we mnie po prostu jak pijawka. Wciąż robi mi jakieś prezenty, sam nie wiem, jak się wykręcać, żeby jej nie zrobić przykrości. Ofiarowuje mi to krawat, to rękawiczki. Na dobrą sprawę ja też powinienem zrewanżować się jej jakimś prezentem, ale po prostu się boję. Dam jej jakiś upominek, to potraktuje to jako sygnał do prowadzenia wspólnego gospodarstwa, nie dam – wyjdzie na to, że jestem źle wychowany. Za każdym razem kupuję dziewczynie kwiaty i czuję się jak skończony idiota. W sumie to całkiem miła babeczka, ale zdecydowanie zanadto się narzuca. Nic dziwnego, że faceci szybko dają od niej nogę. Gdyby nie była taka natrętna, z pewnością dawno już wyszłaby za męża.

– Miła? – upewniła się Nastia. – Nie zapomniał pan przypadkiem, że podejrzewamy ją o serię zabójstw?

– Cóż, to inna sprawa. Oczywiście, jest nienormalna, to znaczy, nie całkiem normalna – uściślił Docenko. – Psychiczna. Z pewnością może się okazać morderczynią. Ale w zasadzie to dobra dziewczyna. Lituje się nad bezpańskimi psami i kotami.

– Podoba się panu?

– Nie!

Zaprzeczył tak pośpiesznie i z takim przekonaniem, że Nastia mimo woli się roześmiała. W zasadzie znała gust młodego kapitana. Podobały mu się eleganckie, seksowne brunetki, niezbyt wysokie, o zgrabnych nogach i ciemnych oczach. Anna Łazariewa absolutnie nie była w jego typie.

– Niech się pan nie przejmuj, Misza, to już długo nie potrwa. W najbliższym czasie będziemy mogli potwierdzić lub wykluczyć winę Łazariewej.

– Ma pani jakieś nowe informacje? – zapytał Misza z wyraźną ulgą.

– Na razie nie, ale może uzyskam je jeszcze dzisiaj.

– To znaczy, że wieczorem muszę znów... – Nie dokończył i tylko zrezygnowany machnął ręką.

– Chyba tak. Ale przed spotkaniem z Łazariewą niech pan do mnie zadzwoni. Może będę miała dla pana dobre wieści.

– Bardzo bym chciał – powiedział udręczony Docenko. – Naprawdę co dzień trudniej mi przychodzi grać rolę takiego niewiniątka. Ona za nic nie może zrozumieć, dlaczego nie staram się zaciągnąć jej do łóżka.

Do trzeciej Nastia przesiedziała nad styczniowym sprawozdaniem z pracy analitycznej, dotyczącej poziomu przestępczości oraz wykrywalności przestępstw, podskakując na dźwięk każdego dzwonka telefonu i niecierpliwie chwytając słuchawkę. Co ten Samojłow sobie myśli, dlaczego się nie odzywa?

Na koniec rozległ się długo oczekiwany sygnał. Głos profesora był, podobnie jak wczoraj, suchy i opanowany.

– Nie wykryłem w przedstawionych przez panią materiałach cech charakterystycznych dla seryjnych zabójstw – poinformował obojętnym tonem.

– A co pan wykrył? – zapytała Nastia, czując nagły dreszcz.

– Nic. Każdego z siedmiu przestępstw dokonał inny sprawca. Przykro mi, ale w niczym więcej nie mogę pani pomóc. Moja metoda sprawdza się wyłącznie w odniesieniu do seryjnych zabójców. W wypadku zwykłych przestępców nie ma zastosowania, dlatego nie mogę pani dostarczyć żadnych dodatkowych informacji.

Nastia podziękowała profesorowi, odłożyła słuchawkę i wpatrzyła się w gęsty mrok za oknem. I co teraz robić? Zaufać profesorowi Samojłowowi czy nie?

ROZDZIAŁ 10

Parygin był już niemal całkowicie przekonany, że młody oficer operacyjny Docenko nie naprowadzi go na tych, którzy wdarli się do jego mieszkania z kamerą wideo.

Wczoraj Jewgienij po raz trzeci z zachowaniem największej ostrożności sprawdził ulicę, przy której znajdowało się jego mieszkanie, i nie zaobserwował niczego, co by wskazywało na to, że ktoś go szuka. Nie zauważył też nic podejrzanego w pobliżu miejsca pracy. Może sobie to wszystko wymyślił? Diabli wiedzą... Ale przecież tamci trzej to nie była halucynacja. Podobnie rozbite okno. I wyrzucone na ulicę krzesło.

Najbardziej ze wszystkiego na świecie Jewgienij Parygin bał się postradać zmysły. Doskonale zdawał sobie sprawę, że niemal trzydziestoletni staż w zawodzie płatnego zabójcy nie może nie odbić się na zdrowiu psychicznym, jako że pozbawienie życia osobnika tego samego gatunku jest przeciwne naturze. Dlatego też wsłuchiwał się w siebie ze szczególną uwagą, czy aby mu szajba nie odbiła, jak to określał. Na wszelki wypadek zadzwonił do znajomego – tego, który tak sprawnie sobie radził z wybitymi szybami – i pogadał z nim chwilę, ot tak, o niczym, zapytał, co słyhać. Facet zainteresował się, czy aby znowu nie trzeba wprawić szyby, z czego Jewgienij wywnioskował, że nie uległ halucynacji, okno rzeczywiście zostało wybite, a uszkodzenie potem naprawione. Cóż to, doprawdy, za historia bez dalszego ciągu? Dziwne.

No dobrze, dzisiaj ostatni raz będę śledził wywiadowcę, postanowił Parygin. Około wpół do szóstej Docenko wszedł do budynku przy Pietrowce, ale teraz dochodziła już siódma, a on ani myślał wychodzić i jechać na stację Profsojuzna, do swojej gidii, jak to zwykle robił w ciągu ostatnich dni. „Czyżbym go przegapił? – z nagłym lękiem pomyślał Jewgienij. – Cholera, jeżeli wyszedł innym wyjściem, bocznym, to może właśnie akurat dzisiaj, naruszając ustalony porządek, zobaczy się z tymi, którzy mnie interesują?” Puścił się biegiem do metra i dziesięć po siódmej był już na Profsojuznej. Gidia z czerwonym od mrozu nosem jeszcze handlowała, ale minę miała nietęgą. Co chwila spoglądała na zegarek i niepewność malująca się na jej twarzy stopniowo przechodziła w wyraz beznadziei. Za piętnaście ósma podjechał samochód, dwóch roślących facetów załadowało do niego niesprzedane pisma, książki oraz składane stoliki, po czym odjechali. Dziewczyna jednak nie zamierzała odchodzić, stała bez ruchu w jednym miejscu, tępo wpatrzona beznadziejnym spojrzeniem w stopnie prowadzące do podziemnego tunelu. Wszystko jasne, pomyślał Parygin, pokłócili się i facet nie przyszedł, jak to zwykle bywa. Cóż, skoro przegapił

Docenkę, nie zaszkodzi, jeśli pójdzie za dziewczyną. Może nawet nie byłoby takie głupie, gdyby zawarł z nią znajomość. Obrażone damulki często całkiem chętnie opowiadają o swoich kawalerach różne nieprzyjemne historie, w tym również takie, o których lepiej byłoby zamilczeć.

Wskazówka minutowa zatoczyła pełny krąg i rozpoczęła następny, a gidia wciąż stała nieporuszona. Twarz miała teraz zupełnie bez wyrazu, jakby zupełnie zapomniała, po co stoi przy wejściu do metra; wyglądało to tak, jak gdyby ktoś kazał jej stać, a ona bezmyślnie wypełniała rozkaz. Parygin zaczynał już marznąć, ale dzielnie to znosił, rozumiejąc, że dzieje się coś niezwykłego i szkoda byłoby przepuścić okazję. Chyba chodzi o coś więcej niż tylko o kłótnię, inaczej nie czekałaby tak długo. Gdyby się wczoraj posprzeczali, już o wpół do ósmej zrozumiałaby, że Docenko nie przyjdzie, i spokojnie pojechałaby do domu. Tymczasem zbliża się już dziesiąta, a dziewczyna wciąż stoi. Musiało się stać coś innego.

Po dziesiątej gidia w końcu opuściła posterunek. Wpatrzona w przestrzeń niewidzącymi oczyma, powoli, jak automat, zaczęła schodzić na stację metra. Parygin ruszył za nią. Dziewczyna weszła na peron, ale nie wsiadła do pociągu, tylko bezładnie osunęła się na ławkę. Ludzi o tej porze było niewielu i Parygin, żeby nie rzucać się w oczy, przystanął za kolumną, pięć metrów od gidii. Pociągi przyjeżdżały i odjeżdżały, a ona wciąż siedziała i wyglądało na to, że bynajmniej nie zamierza się stąd ruszać.

Nagle Parygin sprężył się: z otwartych drzwi wagonu wyszedł wysoki facet w popielatej zamszowej kurtce, lamowanej barankiem. W pierwszej chwili Jewgienijowi wydawało się, że to Docenko. Dziewczyna gwałtownie wstała i zrobiła krok w stronę mężczyzny, ale w tym samym momencie Parygin zrozumiał, że oboje się pomylili. Facet w ogóle nie przypominał Docenki, tyle że miał podobną sylwetkę, no i taką samą kurtkę. Wyminął ich szybkim krokiem, a dziewczyna znów zajęła miejsce na ławce. Ramiona jej opadły, wargi zadrżały, po policzkach spłynęły łzy. Parygin ze zdziwieniem poczuł, że bardzo mu żal tej nieładnej, zbyt wysokiej dziewczyny, która już ponad trzy godziny czeka na swego chłopaka, nie rozumie, dlaczego się nie zjawił, i z lękiem myśli o tym, że ją rzucił.

Teraz łzy już nie toczyły się po policzkach biedaczki, lecz po prostu płynęły nieprzerwanym strumieniem, ramiona jej dygotały, ale ona nie spuszczała głowy, nie zakrywała twarzy ręką – wciąż wpatrywała się w pasażerów wysiadających z wagonów. Nikt nie zwracał na nią uwagi, ludzie mijali ją obojętnie, zaprzątnięci swoimi myślami i troskami; płacząca na peronie kobieta nie budziła niczyjego zdziwienia.

Parygin podszedł i stanął tuż przed nią, ale dziewczyna chyba go nie zauważyła. Jewgienij położył jej rękę na ramieniu i łagodnie pogłaskał szlochającą.

– Nie płacz – powiedział. – On nie jest wart twoich łez. Jeżeli mógł postąpić w ten

sposób, to znaczy, że nie masz czego żałować.

Nie podniosła oczu, nie spojrzała mu w twarz, lecz objęła Jewgienija rękami i wtuliła twarz w jego kurtkę. W łoskocie nadjeżdżającego pociągu nie usłyszał jej rozpaczliwych łkań i tylko po drgających plecach poznał, że dziewczyna przestała nad sobą panować i dała upust rozpaczy.

Jewgienij nie bał się kobiecych łez. Wiedział, że niektórzy mężczyźni – a raczej większość – ich nie znoszą, czują się zmieszani, nie wiedzą, jak się zachować, i dlatego stają się szorstcy i brutalni albo też dają za wygraną i ustępują we wszystkim płaczącej kobiecie. Z nim było inaczej. Właściwie nie widział różnicy między kobietą płaczącą a śmiejącą się. W jednym i drugim przypadku chodziło przecież jedynie o fizjologiczny objaw silnych emocji, nieważne, negatywnych czy pozytywnych. Dlatego Parygin stał w milczeniu przed szlochającą dziewczyną, nie odczuwając choćby najłżejszego dyskomfortu psychicznego, i cierpliwie czekał, kiedy skończy się atak histerycznego płaczu.

Nie trwało to długo, zdążyły przejechać w tym czasie cztery pociągi. Dziewczyna wypuściła Parygina z objęć i zaczęła grzebać w torebce w poszukiwaniu chusteczki. Jewgienij usiadł obok niej i ujął ją za łokieć.

– A teraz opowiadaj, kto śmiał cię skrzywdzić.

– Po co? – chlipnęła, wycierając nos. – Chce pan być moim obrońcą?

– Niekoniecznie. Jesteś osobą samodzielną, jeśli zechcesz, sama się obronisz.

– Czego pan chce?

– Chcę, żebyś przestała płakać i denerwować się. Chcę, żebyś się uśmiechała, ponieważ masz miły uśmiech i ładne zęby, a od łez nos ci czerwienieje i wcale ci z tym nie do twarzy, sama przyznasz.

– Skąd pan wie, jaki mam uśmiech?

– Parę razy kupowałem u ciebie jakieś pisma. Nie pamiętasz?

Przecząco pokręciła głową i znów wysiakała nos. Teraz, po rozpaczliwych szlochach, była nie tyle po prostu nieładna, co wręcz odrażająca z opuchniętymi, załzawionymi oczyma, obrzmiałą twarzą i czerwonymi plamami na policzkach.

– Co się stało? Nie przyszedł?

Kiwnęła głową, z oczami wlepionymi w podłogę.

– I myślisz, że już nigdy nie przyjdzie?

Znów ruch głowy i krótkie chlipnięcie.

– I to jest powód tej całej tragedii? Tak bardzo jesteś do niego przywiązana? No cóż, to znaczy, że będziesz musiała pogodzić się z tym, że uczucie nie zawsze bywa wzajemne. Jesteś dorosłą kobietą i nigdy nie uwierzę, że to pierwsza w twoim życiu miłość bez wzajemności. Na pewno przeżyłaś już coś takiego, prawda?

Parygin miał jakieś niedobre przeczucie. Dziewczyna nie była skora do rozmowy, chociaż po ataku hysterii kobiety zwykle – gdy się już uspokoją – z każdą chwilą stają się wymowniejsze i z rosnącym gniewem zaczynają oskarżać „tego łobuza” o

wszystkie najcięższe grzechy. Ta zaś, przeciwnie, coraz bardziej zapadała się w siebie, chowała się jak ślimak w muszli. To Parygina bynajmniej nie urządziła, nie po to marzył diabli wiedzą jak długo na ulicy i sterczał na peronie za filarem, żeby w końcu trafić na dziewczynę, z której każde słowo trzeba wyciągać obcęgami. Taka nie opowie nic, co by się mogło przydać. Musi ją jakoś rozczmuchać, nie dać jej się na dobre zamknąć w sobie.

– Ja też mam za sobą podobne przeżycia, dlatego wiem, jak cię to teraz boli. Wiesz, już od dawna cię obserwuję. Często musiałem bywać w tej okolicy i zawsze kupowałem u ciebie gazety i pisma. Tylko że ty mnie nie zauważałaś, nie zwracałaś na mnie uwagi. Raz już prawie zebrałem się na odwagę, żeby do ciebie zagadać, ale akurat podszedł taki wysoki przystojniak i dał ci kwiaty, więc zrozumiałem, że nie mam szans. Może ci się to wyda dziwne, ale mimo swojego wieku jestem bardzo nieśmiały. Zabawne, co?

Nie uśmiechnęła się, ale odwróciła głowę w jego stronę. To już coś.

– Kim pan jest? – spytała cicho.

– Nazywam się Jewgienij Iljicz. A ty?

– Anna.

– Masz gdzie przenocować?

– W domu – odparła krótko.

– Kto tam mieszka? Rodzice?

Znów kiwnięcie głową. No, Parygin, spręż się, daj z siebie wszystko, bo dziewczyna zaraz straci ochotę na dalszą pogawędkę i zamknie się w sobie, potrząśnij nią, niech się wreszcie ocknie.

– Nie możesz wrócić do domu – powiedział stanowczo.

– Wiem po sobie, że nie ma nic gorszego, niż pokazywać się w takim stanie rodzicom. Zaraz będą chcieli wiedzieć, co się stało, duszę z ciebie wy trzęsą. Masz jakąś bliską przyjaciółkę?

– Mam gdzie przenocować.

– Zrozum – rzekł z przejęciem Jewgienij – nie powinnaś teraz jechać tam, gdzie są twoi znajomi, przyjaciele czy krewni. Zamęczą cię pytaniami, idiotycznymi radami i poniżającą litością, i będziesz się czuła jeszcze gorzej. Potrzebne ci miejsce, gdzie nikogo nie ma. Znasz takie?

Znów kiwnęła głową.

– No to jedźmy, odwiozę cię. Chodźmy, chodźmy. – Wstał z ławki i pociągnął ją za rękę. – Złapiemy jakąś taksówkę i pojedziemy.

Anna wstała posłusznie i szła obok niego. Parygin mocno trzymał ją pod rękę; miał wrażenie, że dziewczyna nie widzi, co ma pod nogami, i w każdej chwili może się potknąć, zwłaszcza na schodach. Wyprowadził ją na ulicę, stanął na skraju chodnika i podniósł rękę. Jakieś auto zatrzymało się niemal od razu. Jewgienij dosłownie wepchnął Annę do środka, gdyż dziewczyna była tak zamyślona, że

zupełnie nie zdawała sobie sprawy z tego, co się wokół dzieje.

– Dokąd jedziemy? – zapytał wesoły kierowca, odwracając się do pasażerów.

Parygin ścisnął dziewczynę za łokieć, starając się, żeby zabolalo, aby przywrócić ją do rzeczywistości.

– Aniu, dokąd? – zapytał cicho.

– Co? A, tak... Na ulicę Mosfilmu...

Mimo młodego wieku kierowca okazał się doświadczony i ostrożny, nie szarżował na śliskich jezdniach i przestrzegał wszystkich przepisów. Chociaż nie jechał zbyt szybko, wkrótce znaleźli się na miejscu. Parygin zapłacił i pomógł Ani wysiąść. Dziewczyna milcząc, bez słowa podziękowania, ruszyła w stronę klatki schodowej, Jewgienij, również w milczeniu, szedł za nią, jak gdyby było rzeczą samą przez się zrozumiałą, że odprowadzi ją aż pod drzwi mieszkania. Gdy wysiedli z windy, Anna długo szukała w portmonetce klucza. Po tym, jak niepewnie i niewprawnie otwierała nim drzwi, Parygin zorientował się, że mieszkanie nie należy do niej i że jeśli nawet tu przedtem bywała, to nieczęsto. Wszedł razem z nią do maleńkiego, ciasnego przedpokoiku.

– Czyje to mieszkanie?

Anna, jakby nie słysząc pytania, zrobiła krok i usiadła na taborecie koło wieszaka. Zgarbiła się, wzrok wbiła w pokrytą tanim linoleum podłogę.

– Aniu! Słyszysz mnie?

Żadnej reakcji. Parygin szybko zrzucił kurtkę, wszedł do kuchni, rozejrzał się za czajnikiem, nalał do niego wody i postawił go na gazie. Potem otworzył lodówkę. Nie wyglądało na to, żeby ktoś tu mieszkał.

Wrócił do przedpokoju i przysiadł w kucki przed zastygłą w bezruchu, milczącą dziewczyną.

– Aniu! Ocknij się. Musisz się rozebrać i umyć twarz. Zaraz będzie herbata. No, Anusiu, skarbie, weź się w garść. Rozumiem, że jest ci ciężko, pewnie żyć ci się nie chce, ale musisz się przełamać. Chodź, kochanie, wstań.

Mówił coś jeszcze, starając się nie przestawać, żeby brzmieniem swego głosu wyciągnąć ją z otchłani, w której się pogrążyła i z której nie chciała wyjść z powrotem na świat pełen bólu i rozpacz. Wreszcie jednak Anna podniosła głowę i spojrzała Paryginowi prosto w oczy.

– Po co pan sobie mną zawraca głowę? Kim ja jestem dla pana?

– Jesteś dziewczyną, którą chciałem poznać. Czy to nie wystarczy?

– Niech pan sobie idzie – powiedziała Anna głucho. - Chcę zostać sama.

– Co to, to nie. – Parygin uśmiechnął się. – Nieładnie być niewdzięczną, gdyby nie ja, do tej pory szłochałabyś w metrze. A potem pojechałabyś do domu, gdzie rodzice wyrwaliby z ciebie żywcem flaki. Czy naprawdę nie zasłużyłem na godzinę odpoczynku i filiżankę herbaty?

– Niech pan odpoczywa – rzuciła Anna obojętnie. – I niech się pan napije herbaty.

A potem proszę iść.

Taki obrót spraw nie odpowiadał Jewgienijowi. Wiedział już, że ta dziewczyna będzie mu potrzebna do realizacji tego, co sobie zamierzył. Po pierwsze, ma lokum, w którym można się na razie rozgościć, gdyż wracać do domu jest zbyt niebezpiecznie, dopóki sprawy się nie wyjaśnią, a nocowanie w jednym mieszkaniu z Lolitą stwarza zbyt dwuznaczną sytuację, on zaś nie chciał komplikować stosunków z bratową. Po drugie, potrzebuje pomocnicy do załatwienia pieniędzy dla Loli. Wykombinował już, skąd je wziąć, ale nie obejdzie się bez udziału osoby trzeciej.

Parygin wstał, chwycił dziewczynę pod pachy i szarpnięciem postawił na nogi. Mimo znacznej różnicy we wzroście i budowie, udało mu się to bez trudu, wytrenowane latami mięśnie nigdy nie odmawiały posłuszeństwa, działały sprawnie. Zręcznie rozpiąwszy zamek błyskawiczny kurtki, zdjął z Anny okrycie, ściągnął jej czapkę i okręcony wokół szyi ciepły szalik. Nie sprzeciwiała się, ale i nie pomagała mu, po prostu stała niczym szmaciana lalka, gotowa upaść, gdy jej ktoś nie podtrzyma. Butów Jewgienij Annie nie zdjął, i tak zaprowadził ją do kuchni. Tam dziewczyna usiadła na najbliższym stołku i oparłszy łokcie na stole, dłońmi objęła głowę. Wydawało się, że jest tak słaba, iż nie potrafi utrzymać się w pozycji pionowej.

Czajnik zakipiał, Parygin zaparzył świeżą herbatę – znalazł w szafce nierozpoczęte opakowanie liptona – postawił na stole filiżanki, jedną przysunął Annie.

– Pij.

Nie poruszyła się. Jewgienij bez pośpiechu wypił swoją herbatę, nalał sobie drugą filiżankę, a potem zaczął po kolei otwierać drzwiczki kuchennych szafek. Tak, to zupełnie jasne, nikt tutaj nie mieszka. Herbata, kawa, cukier, butelka koniaku, słoiczek dżemu truskawkowego – wszystko nienapoczęte. Więcej nic. Podwieczorkowy zestaw skromnego dżentelmena. Nagle olśniło go.

– Wynajmujesz to mieszkanie?

Milczące kiwnięcie w odpowiedzi.

– Ale nie bywasz tutaj, prawda?

– Nie bywam – mruknęła Anna.

– Dlaczego? Po co wynajmujesz mieszkanie, jeżeli z niego nie korzystasz? Szkoda pieniędzy.

Milczenie.

– Wynajęłaś je, żeby się z nim spotykać, tak? I kupiłaś to i owo, żeby można się było napić herbaty. Ale ani razu tu z nim nie przyjechałaś. Dlaczego, Aniu? Nie chciał być z tobą?

Znowu zapłakała cicho, tak jak niedawno w metrze, nie zmieniając pozy, nie zasłaniając twarzy, bezgłośnie. Teraz Parygin wszystko zrozumiał. Co za sens spotykać się z dziewczyną, jeśli unika się zbliżenia? Nie żyjemy w epoce królowej Wiktorii, nie te czasy, wokół szaleje rewolucja seksualna. Docenko ją rozpracowywał, to jasne. Dopóki była potrzebna, przybiegał na spotkanie, teraz, kiedy już nie jest –

rzucił ją. Jak zepsutą zabawkę, z której i tak nie ma żadnego pożytku.

Parygin podszedł do Anny, objął ją, zaczął powoli gładzić po głowie.

– Popłacz sobie, Anieczko, popłacz – zachęcił łagodnie.

– Łzy dobrze robią, oczyszczają duszę.

– Po co pan traci ze mną czas? – wybełkotała Anna drżącym głosem. – Czego pan ode mnie chce? Proszę już iść.

– Dokąd mam iść? Metro już nie chodzi, a jestem bez samochodu. Wyganasz mnie w nocy na mróz? A ja myślałem, że dobra z ciebie dziewczyna.

Anna nagle gwałtownie wyrwała się z jego rąk i wstała ze stołka. Jej twarz wykrzywił grymas takiej wściekłości, że Jewgienij aż się przestraszył.

– Nienawidzę! – wrzasnęła dziewczyna. – Nienawidzę was wszystkich! I jego także. Zabiję! Uduszę własnymi rękami! Łajdak!

– Cicho! – Parygin również podniósł głos. – No już, przestań się wydzierać, obudzisz cały dom.

– Nienawidzę was! Wszyscy jesteście tacy sami!

Próbowała go odepchnąć i wybiec z kuchni, ale Jewgienij zręcznie chwycił ją za przeguby i ścisnął z całej siły. Mimo że sporo wyższa, Anna okazała się o wiele słabsza od Parygina, chociaż jego też kosztowało trochę wysiłku, żeby ją utrzymać. Sportsmenka, nic dziwnego. Wściekła, usiłowała wyrwać się z uścisku jego silnych rąk, próbowała nawet kopać, oczy jej błyskały, twarz pobraźla, wargi zacisnęły się w wąską kreskę. Po paru chwilach Parygin ze zdumieniem poczuł, że coraz trudniej mu utrzymać szalejącą dziewczynę; narastała w niej jakby jakaś dziwna siła, przydając mięśniom siły, a ruchom – gwałtowności i szybkości. „To jakiś idiotyzm – pomyślał Jewgienij – stoję w środku nocy w cudzej kuchni i niemal się biję z nieznaną dziewczyną. Niezła z niej wariatka! Skąd się w niej bierze tyle siły?” Annie chytrym sposobem udało się wywinąć z rąk Parygina i złapała go za włosy. Ten, zaskoczony, zawył z bólu i w jednej chwili zapomniał o tym, że ma do czynienia z kobietą. Stosując bolesny chwyt, powalił Annę na podłogę i wykręcił jej ręce do tyłu. Wściekłość dziewczyny rozviała się równie błyskawicznie, jak wybuchła. Teraz Anna leżała z twarzą przyciśniętą do niezbyt czystego linoleum i chyba znów była bliska płaczu. Jewgienij ukucnął przy niej.

– Co się z tobą dzieje? – zapytał spokojnym głosem. - Rzucasz się na ludzi... Aniu, daj sobie z tym wszystkim spokój. Rozumiem, że cierpisz, ale musisz to jakoś przetrzymać. Nie masz innego wyjścia. Awanturami i bójkami nic nie wskórasz, twój chłopak cię rzucił i już nie wróci, choćbyś mnie pobiła do krwi, a nawet zabiła. Nie wróci i musisz się z tym pogodzić. No już? Możesz wstać?

Puścił jej ręce i pomógł się podnieść. Twarz dziewczyny wciąż była blada, ale oczy przygasły i już nie błyskała w nich taka wściekłość, jak jeszcze parę minut temu.

– Przepraszam – powiedziała Anna półgłosem. – Nie powinnam była się tak zachować. Bardzo przepraszam. Zapomniałam, jak pan się nazywa.

- Jewgienij Iljicz – przypominał jej Parygin.
- Tak... Przepraszam, Jewgieniju Iljiczu.
- Lepiej się już czujesz?
- Tak. Wszystko w porządku.

Jej głos stawał się coraz cichszy i Jewgienij zorientował się, że dziewczyna znowu pogrąża się w swojej depresji. Co za psychika! Takie gwałtowne skoki nastrojów...

Objął ją ramieniem i ostrożnie zaprowadził do pokoju. Anna szła posłusznie i bez sprzeciwu usiadła obok Jewgienija na kanapie. Parygin nie znał się na psychiatrii i nie bardzo wiedział, jak należy postępować z tak znerwicowaną osobą, dlatego postanowił zdać się na intuicję, która podpowiadała mu, że Anna powinna jak najprędzej znaleźć się w łóżku. Albo choćby na podłodze. Wszystko jedno. Jeżeli tak się paliła do swojego czarnookiego gliniarza, a on ani razu z tego nie skorzystał, to szalał w niej prawdziwy huragan niespełnionej seksualności, i to już od dłuższego czasu. A więc tylko seks mógł ją teraz oderwać od ponurych myśli i uspokoić.

Parygin zachował się dość brutalnie, ale ta linia postępowania okazała się słuszna. Anna natychmiast odpowiedziała na gest niewyszukanej czułości, mocno obejmując Jewgienija, podsuwając mu usta do pocałunku i przywierając doń długim, muskularnym ciałem. Dalej wszystko potoczyło się prosto i zwyczajnie, Anna oddawała się wprawnie i zarazem namiętnie, z zapalem, co sprawiło, że Parygin nie czuł się nawet winny. Miał dość siły i doświadczenia, by Anna nie podejrzewała go, że udaje miłosne uniesienie.

- Naprawdę ci się podobam? – zapytała po wszystkim.
- Naprawdę – zamruczał, prawie nie otwierając ust. - Czyżbyś miała wątpliwości?
- A kiedy sobie uświadomiłeś, że ci się podobam?
- Już dawno, mówiłem ci przecież.
- I nie peszy cię to, że jesteś ode mnie niższy? – kontynuowała swoje śledztwo.
- A czy ciebie peszy, że jesteś ode mnie wyższa? – zażartował Parygin. – Wiesz co, ubierzmy się, zimno tutaj.

Nie udało mu się jednak odciągnąć dziewczyny od tematu, z uporem kierowała rozmową w ten sposób, by wydobyć z Jewgienija jeżeli nie romantyczne wyznania, to przynajmniej komplementy. W prawieniu miłych słówek akurat nie był mistrzem i czuł, że jego uniki nie są zbyt dżentelmeńskie.

- O której jutro zaczynasz pracę? – zapytał.
- Jutro nie pracuję, wtorki i soboty mam wolne.
- Wszystko jedno, Anieczko, rozzłóżmy teraz kanapę i kładźmy się spać. Miałaś ciężki dzień, a muszę przyznać, że ja też.
- Co będziemy robić jutro?
- Zobaczymy – odparł Jewgienij ze znużeniem, pomagając Annie wstać z podłogi.

Życie emocjonalne Anny Łazariewej zawsze było trudne. Trudne – to może nawet za mało powiedziane; przysparzało jej wiele bólu. W jakiś dziwny sposób przepełniały dziewczynę – z jednej strony – skłonność do sentymentalnych porywów i czułość, z drugiej – wszechogarniająca nienawiść do świata wokół. Tej nienawiści nagromadziło się w niej chyba zbyt wiele, i właśnie dlatego Anna instynktownie pragnęła więcej ciepła i miłości. Stąd też brały się jej wszystkie nieszczęścia.

Do dwunastego roku życia Anna Łazariewa była niczym się niewyróżniającą, zwykłą uczennicą. Nauczyciele doceniali jej pilność, dlatego nigdy nie stawiali dziewczynce dwójek, nie mniej przy najlepszej nawet woli nie mogli ocenić jej umiejętności wyżej niż dostatecznie. Niekiedy w dzienniku pojawiały się czwórki i piątki, z tak jednak nieobciążających intelektualnie przedmiotów, jak rysunki, śpiew czy wychowanie fizyczne. W sumie jednak Ania była zawsze trójkową uczennicą. Kiedy klasa ustawiała się według wzrostu, ona stała w szeregu pierwsza, ale to nie stanowiło jeszcze wówczas powodu do złośliwych uwag i docinków, gdyż drugi pod względem wysokości chłopiec był zaledwie o pół centymetra niższy. Słowem, Ania nie rzucała się w oczy, w klasie mieli drugorocznych, wyrosniętych dwójkowiczów, prawie tego samego wzrostu, co ona. Tyle że była chyba najbrzydsza...

W wieku dwunastu lat nagle zaczęła rosnąć i nie minął rok, jak przyłgnęło do niej na dobre przezwisko Gidia. Życie wśród rówieśników stało się nie do zniesienia, wszyscy jej dokuczali, nie szczędzili głupich, ordynarnych dowcipów i żartów, a do tego przekleństwem dziewczynki stały się pryszczki, które z pewnością nie dodawały jej urody. Czternastoletnie koleżanki Ani nosiły już złote kolczyki, malowały oczy, modnie się strzygły i umawiały z chłopakami ze starszych klas, ona zaś na ich tle wyglądała nawet nie jak brzydkie kaczątko – przypominała raczej młodego dinozaura o długiej szyi i niekształtnej głowie.

Wtedy też pojawiły się wybuchy złości. Rodzice, trzeba im oddać sprawiedliwość, prowadzali córkę po lekarzach, a ci tłumaczyli, że wzrost jest sprawą zmian hormonalnych w organizmie, pryszczki przestaną wyskakiwać za rok czy dwa, to typowa dolegliwość wieku dojrzewania, a jeśli chodzi o rozdrażnienie i wybuchy agresji, to najlepiej, żeby dziewczynka zaczęła uprawiać jakiś sport.

Anię przyjęto z entuzjazmem do sekcji koszykówki, zwłaszcza że jej ogólna kondycja fizyczna była bardzo dobra. Nie minęło pół roku, jak życie dziewczynki zupełnie się odmieniło. Trener przyszedł do szkoły, do dyrektora, i poprosił, by Łazariewą z ósmej „b” zwolnić na obóz szkoleniowy przed zawodami międzyrepublikańskimi.

– Ania to chluba naszej drużyny, cała nadzieja tylko w niej, i jeśli szkoła nie zwolni jej z zajęć, moskiewska reprezentacja juniorów nie ma szans na wygraną – przekonywał.

Oczywiście, pozwolono Ani wyjechać na zgrupowanie, a cała szkoła została powiadomiona, że Łazariewa jest wschodzącą gwiazdą radzieckiej koszykówki.

Dziewczynce natychmiast przestano dokuczać, a jej wzrost – dotąd stały temat obrzydliwych docinków – nagle stał się godnym pozazdroszczenia walorem. Kariera sportowa Ani rozwijała się pomyślnie, pryszcze stopniowo zniknęły, zgodnie z zapewnieniami lekarzy, i wszystko układałoby się całkiem nieźle, gdyby nie komplikacje w dziedzinie uczuciowej. Dwa lata z okładem, które Ania przeżyła jako pryszczata gidia, okazały się wystarczającą podstawą do tego, by w chwiejnej, młodzieńczej psychice ukształtował się silny kompleks niższości. Ania chciała być taka jak inne dziewczyny, chciała biegać na randki, nosić złote kolczyki, modnie się strzyc i całować z chłopakami. Ale elegancka fryzura tylko podkreślała brzydotę obsypanej pryszczami twarzy, i nikt Ani nie proponował randek. Dlatego też dziewczyna nienawidziła do głębi koleżanek, które miały więcej szczęścia, i chłopaków, którzy nie zwracali na nią uwagi, a jeśli zwracali, to tylko po to, by złośliwie z niej szydzić. Nienawidziła rodziców, klepiących w kółko idiotyczne frazesy o pięknie duchowym i walorach umysłowych. Nienawidziła wszystkich ludzi w ogóle za to, że spoglądają na nią ze współczuciem. Nauczycieli, że nie potrafią jej obronić przed rówieśnikami. I głupiej natury za to, że pokarała ją takim wzrostem. Krótko mówiąc, Ania nienawidziła wszystkich i wszystkiego.

Jedynym wyjściem z tego świata wszechobecnej nienawiści wydawała jej się miłość. Tylko miłość. Ania powinna pokazać wszystkim, że w niczym nie jest gorsza od nich, że i ją adorują i zapraszają na randki, i jej wyznają uczucia. Entuzjastycznie reagowała na najdrobniejsze oznaki zainteresowania ze strony przedstawicieli płci przeciwnej, odczując je aprobować i sama przejawiała aktywność... Czym odstraszała ewentualnych zalotników.

Tymczasem życie toczyło się normalną koleją, Ania ukończyła szkołę, ale o dalszej nauce nie myślała. Zresztą ze swoimi „dostatecznymi” nie dostałaby się na uczelnię. Ponieważ zgodnie z obowiązującymi wówczas przepisami niepodjęcie pracy było karalne, a uprawianie sportu wymagało codziennych treningów i częstych wyjazdów na zgrupowania lub zawody, istniała praktyka formalnego jedynie zatrudniania sportowców w różnych zakładach i instytucjach. Zawodnik był gdzieś przypisany, ale do pracy nie chodził, a pensję przekazywał temu, który harował za dwóch. Z Anią Łazariewą również tak było. Jak wielu młodych ludzi, nie myślała o przyszłości, wierząc, że zawsze będzie zdrowa, silna i zdolna do uprawiania sportu.

Jednak i rodzice, i trenerzy stale powtarzali swoją śpiewkę o wyższym wykształceniu. Z początku Ania opędzała się od rozmów na ten temat, ale z czasem, obserwując innych sportowców i życie w ogóle, zrozumiała, że mają rację.

Szlak był przetarty: studia w akademii wychowania fizycznego równoległe z karierą sportową, a potem, po jej zakończeniu – praca trenera. Wielu wybierało taką właśnie drogę.

Nauka w akademii przychodziła jej łatwo, Ania nawet sama była tym zdziwiona, pamiętając swoje wieczne szkolne trójki. Przeszedłszy na czwarty rok, grała już w

reprezentacji kraju i przyszłość wydawała jej się jasno określona. Kto mógł przypuszczać, że przemiany w życiu politycznym i gospodarce doprowadzą do stopniowego obumierania sportu... Wszystko stało się drogie i za wszystko trzeba było płacić: za wynajmowanie sali treningowej i ośrodka, gdzie odbywały się obozy szkoleniowe, a o cenach biletów kolejowych czy samolotowych, jeśli drużyna miała dokądś pojechać, lepiej już nie mówić. Wraz ze zmniejszaniem się liczby sekcji sportowych gwałtownie malało również zapotrzebowanie na trenerów.

Stało się więc tak, że otrzymawszy dyplom ukończenia wyższych studiów i zbyt się „zestarzawszy”, by występować w składzie reprezentacji, Ania Łazariewa w wieku lat dwudziestu siedmiu okazała się nikomu niepotrzebna. Nie mogła już uprawiać sportu ani też podjąć żadnej innej działalności, ponieważ jedynym, co umiała, była gra w koszykówkę.

Poczuła się zatem oszukana. Od piętnastego roku życia cały swój czas i siły poświęcała koszykówce, właściwie nie tyle żyła, ile – przede wszystkim – funkcjonowała niczym sprawnie biegający, skaczący i wrzucający piłkę do kosza mechanizm. Dwanaście lat jak psu pod ogon. Ani rodziny, ani dziecka, ani zawodu, ani pieniędzy – nic. Jeśli chodzi o przeszłość – jedynie sportowe nagrody, rozczarowania miłosne i kilka skrobanek. A co dalej?

Pierwsza depresja była długa i ciężka, Ania usiłowała się otruć, ale rodzice wcześniej wrócili do domu z dachy i zdążyli w porę wezwać pogotowie. Obawiając się leczenia w zakładzie psychiatrycznym, na które zwykle kieruje się osoby po próbach samobójczych, Anna wszystkiemu zaprzeczała, zapewniała lekarzy o swoim umiłowaniu życia, dziękowała im za jego uratowanie i desperacko kłamała, tłumacząc, dlaczego połknęła tyle tabletek. Był rok 1994, całkowita obojętność wobec nieszczęść innych ludzi opanowała w tym czasie również system państwowej służby zdrowia, zwłaszcza że brakowało leków i budynki szpitalne od dawna znajdowały się w opłakanym stanie, tak że nie było gdzie umieszczać nowych pacjentów, zatem Annę pozostawiono własnemu losowi, nie podejmując żadnych prób leczenia.

Po upływie kilku miesięcy depresja się powtórzyła, powtórzyła się również – znowu nieudana – próba samobójcza. Tym razem uratował Annę nie powrót rodziców, lecz nierzetelność człowieka, od którego kupiła tabletki. W opakowaniu było ich pięćdziesiąt, lecz tylko osiem miało skład zgodny z etykietką, reszta pochodziła, jak to się mówi, z innej bajki, w dodatku zaś była przeterminowana. Znowu obeszło się bez interwencji państwowej służby zdrowia; co prawda, wystraszeni rodzice wezwali do domu prywatnego lekarza psychiatrę, ten jednak ograniczył się do sakramentalnego zalecenia: „Powinna się czymś zająć. Rodziną, pracą...”. Po jego wyjściu Anna w ataku hysterii tłukła naczynia, trzaskała drzwiami i darła się na nieszczęsnych rodziców jak zarzynana, zabraniając im się wtrącać do jej życia.

– Wystarczy, że kiedy miałam piętnaście lat, wrobiliście mnie w tę kretyńską koszykówkę! – wrzeszczała, błyskając wściekle oczyma. – Lepiej byście mi

zafundowali operację plastyczną, poprawili mi gębę, przynajmniej już dawno byłabym mężatką i żyła jak wszyscy! Trzeba było mi załatwić korepetycje, żebym się mogła dostać na jakąś sensowną uczelnię, miałabym chociaż jakiś konkretny zawód! A wyście mnie wrobili w sport i zadowoleni umyliście od wszystkiego ręce, jeszczeście mi doradzili akademię wychowania fizycznego, na cholere dzisiaj komu takie wykształcenie! Spapraliście mi całe życie, a teraz chcecie mnie wysłać do wariatkowa? O nie, co to, to nie!

Atak wściekłości minął, a po kilku dniach Anna dzięki pomocy znajomych znalazła zatrudnienie w firmie Metropress, zajmującej się sprzedażą gazet, czasopism i książek. Praca rzeczywiście trochę ją odciągnęła od ponurych myśli, za to Anna znów powróciła do marzeń o pięknym księciu. Jej rodzinie powodziło się nieźle, a dodatkowy zarobek dał dziewczynie możliwość zadbania o siebie, pozwalał na wizyty w salonie kosmetycznym, tak że zawsze wyglądała jeśli nie na osobę o urzekającej urodzie, to przynajmniej na starannie wypielęgowaną. Co pewien czas w życiu Anny pojawiali się mężczyźni, ale jej natrętny sposób bycia, ciągłe żądania deklaracji uczuciowych i wymuszanie prezentów prowadziły zawsze do tego samego: kawalerowie szybko dawali nogę. Kobieta, która w istocie mogłaby być i doskonałą żoną, i namiętną i wierną kochanką, odstręczała mężczyzn swoją natarczywością i bezgranicznym oddaniem, budząc prawdziwy strach.

Za każdym razem porzucona Anna rozpaczała, szlochała, popadała w szaleństwo lub apatię, chciała zabić niewiernego kochanka lub skończyć ze sobą. Potem uspokajała się i cierpliwie wyczekiwała na następną okazję, nie zastanawiając się bynajmniej, gdzie należy szukać przyczyny wszystkich tych niepowodzeń. Nawet przez myśl jej nie przeszło, że zło tkwi w niej samej i że powinna zacząć inaczej postępować z mężczyznami.

Nagle pojawienie się w jej życiu przystojnego dziennikarza imieniem Michaił tak bardzo przypominało bajkę o pięknym księciu! Wysoki, modnie i dobrze ubrany, ocytany, ofiarowujący kwiaty – wszystko to było jak film, oglądany przez Annę w myślach setki razy, film, który nagle stał się rzeczywistością. Dlatego też nieoczekiwane zniknięcie wielbiciela było dla niej absolutną katastrofą. A przecież sen już zaczął się ziszczać...

Natomiast dziwny facet, zwany Jewgienijem Iljiczem, nigdy przedtem nie pojawiał się w jej fantazjach. Choć Anna Łazariewa wciąż marzyła o szczęśliwej miłości, w owych marzeniach nie ukazywał się nawet przelotnie niemłody, średniego wzrostu mężczyzna, który znalazłby ją i zabrał, łkającą i zapuchniętą od płaczu, późnym wieczorem z peronu metra. I być może właśnie ów brak wszelkich przewidywań i fantazji pozwolił Annie zachowywać się wobec nowego znajomego w sposób naturalny, przynajmniej w pierwszych godzinach, i zamiast czepiać się go natarczywie – z uporem nalegać, by sobie poszedł.

Jednak na zbliżenie z nim chętnie się zgodziła, prawdopodobnie z tych właśnie

powodów, których tak przenikliwie domyślił się Parygin. I obudziwszy się rano w obcym mieszkaniu obok Jewgienija, Anna poczuła, że ból po stracie pięknego księcia nie jest już tak silny, jak wczoraj wieczorem.

Dała spokój iluzjom i nie usiłowała już tłumaczyć samej sobie, że Michaił był bardzo zajęty i dlatego nie mógł przyjść. Nie, wszystko było jasne od samego początku, kiedy to zaczął udawać, że nie rozumie aluzji Anny na temat mieszkania, gdzie mogliby być tylko we dwoje. Ależ z niej idiotka! Przecież gdyby naprawdę chciał z nią być, wziąłby ją do łóżka już pierwszego dnia, kiedy przyprowadził ją do siebie do domu. A ona, kretynka, nazajutrz pobiegła wynajmować mieszkanie, zapłaciła za miesiąc z góry, co dzień czekała, że a nuż... I faktu, że wczoraj nie przyszedł, nie można sobie tłumaczyć tym, że jest zajęty. Wszystko jasne. Ku temu cały czas zmierzał. Wcale jej nie chce. A ona tak się rozmarzyła! Ale cóż, zawsze kończy się tak samo – najpierw nabija sobie głowę różnymi romantycznymi głupstwami, a potem kończy się to atakiem hysterii.

Odrzuciwszy kołdrę, Anna ostrożnie wstała z łóżka i przemknęła do łazienki. Wzięła szybki prysznic, ale kiedy sięgnęła po ręcznik, gardło znowu zdradziecko się jej ścisnęło. Ten ręcznik, zupełnie nowy, specjalnie kupiony, przyniosła tutaj razem z innymi zakupami, robionymi w nadziei na spotkanie z Michaiłem... Ach, czy można być taką idiotką... A teraz zamiast Michaiła leży w łóżku jakiś dziwny facet, zupełnie nieprzypominający romantycznego bohatera. I w dodatku niższy od niej o głowę. Dlaczego w jej życiu zawsze wszystko tak bezsensownie się układa?

Przygarbiona, powłócząc nogami, wyszła z łazienki, wróciła do pokoju i przysiadła na brzegu łóżka. Nie chciało jej się wciągać dzinsów i swetra na wilgotne jeszcze po prysznicu ciało, a szlafroka tutaj nie miała, ale po paru minutach zaczęła marznąć. Jewgienij leżał nieruchomo i równo, spokojnie oddychał, widać mocno spał, a jej żal było go budzić, ale kłaść się z powrotem też nie miała ochoty. Sięgnęła po rajstopy i podkoszulek, i w tej chwili Jewgienij otworzył oczy.

– Musisz już iść? – zapytał wcale nierozespanym głosem.

– Nie, ale już się obudziłam, a nie lubię się wylegiwać. Pośpij jeszcze, jeżeli chcesz.

– A ty co będziesz robić?

– Skoczę do sklepu, tutaj niedaleko, kupię coś na śniadanie.

– Pójdziemy razem – powiedział zdecydowanie, odrzucając kołdrę.

Wczoraj, kiedy się kochali, w pokoju było ciemno i dopiero teraz, przy świetle dziennym, Anna mogła się dobrze przyjrzeć swojemu przypadkowemu partnerowi. Wcale nie był taki najgorszy. Sylwetka po prostu znakomita, ma przecież chyba koło pięćdziesiątki, włosy na piersi mu siwieją, ale pod skórą ani grama zbędnego tłuszczu, same mięśnie. Nogi długie i szczupłe, wąskie biodra, ramiona szerokie. No proszę! A w ubraniu wygląda jak...

Anna nie mogła znaleźć właściwego słowa. Krótko mówiąc, zwyczajnie, wygląda

zwyczajnie, jak wielu mężczyzn w tym wieku, którym od siedzącego trybu życia wiotczeją mięśnie, pojawia się brzuszki, chudną nogi. Anna poczuła nieprzepartą chęć, by znaleźć w Jewgieniju takie walory, które usprawiedliwiłyby jej wczorajszy poryw i jednocześnie zdegradowały niewiernego ukochanego. Michaił na pewno jest maminsynkiem, kapryśnym, rozpieszczonym, i nigdy nie uprawiał sportu. Może się wstydzi rozbierać przy dziewczynach, ma krzywe nogi, brak mu mięśni? Albo w ogóle jest impotentem? Dlatego unikał zbliżenia. Skoro do tej pory się nie ożenił... Może to nawet pedzio. Zacztyuje się przecież romansami dla kobiet. A Jewgienij jest bardzo dobry w łóżku, silny, doświadczony i bez kompleksów.

Anna tak się zagłębiła w swoich myślach, że nie zauważyła, kiedy Jewgienij umył się i ubrał.

– No co, Aniu? Miałaś się przecież ubrać.

– A, tak – ocknęła się i szybko wciągnęła dżinsy.

Poszli do najbliższego sklepu i zrobili zakupy. Płacił za wszystko Jewgienij, a z ilości i rodzaju sprawunków Anna zorientowała się, że nie zamierza się on poprzestać jedynie na śniadaniu.

– Umiesz przyrządzać czachochbili? – zapytał Jewgienij.

– Umiem.

– No to trzeba będzie kupić kurczaka. Widziałem tu gdzieś babinę z kinzą i rejchanem. Nie pamiętasz gdzie?

– Tam, przy straganie, w drugim rzędzie – wskazała rozradowana Anna. – O, widzisz, w niebieskiej czapce.

Boże, on chce z nią mieszkać! Chce, żeby gotowała mu obiady! To pierwszy mężczyzna w jej życiu, który nie uważa, że wspólnie spędzona noc to jeszcze nie powód do kontynuowania znajomości. Może niepotrzebnie szukała partnera tylko pośród młodych mężczyzn? A kto powiedział, że wszyscy książęta muszą być młodzi?

Nastrój się Annie poprawił, z niedawnej depresji nie zostało ani śladu, przeciwnie, dziewczyna była teraz w stanie radosnego pobudzenia. I nagle uświadomiła sobie, że absolutnie nic nie wie o człowieku, dla którego będzie dzisiaj przyrządzać czachochbili.

*

– Żenia, kim ty jesteś? – zapytała, odchodząc od straganu z warzywami, gdzie przed chwilą starannie wybierali rejchan, kinzę i pietruszkę.

– Jestem Żenia. – Parygin uśmiechnął się. – Jewgienij Iljicz. Już zapomniałaś?

– Chodzi mi o twój zawód. O to, co robisz.

– Będę musiał cię zmartwić. Jestem zwyczajnym inżynierem w zwyczajnych zakładach samochodowych. Nie milionerem, bankierem ani gwiazdorem filmowym.

– A dlaczego nie poszedłeś dzisiaj do pracy?

– Jestem na zwolnieniu lekarskim. Grypa.

– Niemożliwe. Sądząc po wczorajszym, jesteś zupełnie zdrow, młodzi mogliby ci pozazdrościć kondycji – zażartowała Anna.

– Tak? – Znow się uśmiechnął i pieszczotliwie dotknął jej ręki. – Dziękuję, Anieczko, to bardzo miły komplement. Cieszę się, że cię nie rozczarowałem. A co do grypy, to częściowo masz rację. Rzeczywiście powiedziałem lekarzowi, że wciąż jeszcze źle się czuję, więc przedłużył mi zwolnienie. Mam do załatwienia parę spraw, które wymagają wolnego czasu. Myślę nawet o tym, żeby wziąć dodatkowo parę dni urlopu bezpłatnego.

Postanowił chwycić byka za rogi. Dłużej nie może zwlekać, czas płynie, a pieniędzy dla Lolity wciąż nie ma. Potrzebna mu pomocnica – ta niezrównoważona psychicznie dziwaczka to może nienajlepsze rozwiązanie, ale zawsze coś. Zwłaszcza że dziewczyna przeżywa odrzucenie, do głębi zraniona przez Docenkę; możliwe, że chętnie zgodzi się pomóc, choćby po to, żeby się oderwać od przykrych myśli i czuć się potrzebną.

– Co to za sprawy?

– Rodzinne.

– Coś z żoną?

– Nie. Jestem kawalerem. Chodzi o wdowę po moim bracie. Muszę jej pomóc zdobyć pieniądze, dużo pieniędzy. Widzisz, mój brat zmarł, zostawiając wielkie długi, i nieszczęsną kobietę osaczyli teraz wierzyciele. Grożą jej i dziecku, a chłopiec ma dopiero siedem lat. Muszę się o nich zatroszczyć, rozumiesz?

– Rozumiem. – Anna skinęła głową.

Kupili jeszcze chleb i ruszyli z powrotem do domu. Przewidujący Parygin pomyślał także o „witaminach” – suszonych morelach, rodzynkach, orzechach, oliwkach. Jeśli zdoła nadać znajomości z Anną właściwy ton, to mieszkanie przy ulicy Mosfilmu stanie się na najbliższe dni jego azylem, a więc trzeba się w nim zagospodarować jak należy.

Bez pośpiechu zjedli śniadanie, a potem znowu się kochali. Parygin przeznaczył ten dzień na ostateczne obmyślenie dalszych posunięć w sprawie pieniędzy, a jednocześnie na obłaskawienie Ani. Miał w życiu wiele kobiet i nauczył się nieźle je rozumieć. W każdym razie w połowie dnia już wiedział, że najważniejsze dla Anny jest małżeństwo lub przynajmniej stały związek z mężczyzną, nawet żonatym. Dlatego też po zjedzeniu przyrządzonego przez nią na obiad czachochbili, powiedział w zamyśleniu:

– No i proszę, jakie to cuda zdarzają się na świecie. Całe życie szukałem takiej kobiety jak ty, a kiedy już ją znalazłem przypadkowo w metrze, to się okazało, że jest zakochana w innym. No i dlaczego mam takiego pecha, co?

Strzał był starannie przygotowany, dlatego też bezbłędnie trafił w cel. Anna oblała się rumieńcem i spuściła oczy.

– Skąd ci przyszło do głowy, że kocham innego? To bzdura.

– A wczoraj? – podstępnie spytał Parygin.

– Wczoraj to było wczoraj.

– To znaczy, że w dodatku jesteś niestała?

– Coś ty... Po prostu się zadurzyłam. Wiesz, jak to bywa. Przejściowe zamroczenie. Ty jesteś o wiele lepszy.

– Lepszy niż co?

– Niż kto. Niż on.

Przez cały czas ani razu nie wymieniła imienia Michaiła, więc Parygin musiał bardzo uważać na każde swoje słowo, żeby przypadkiem się nie wygadać, że zna nie tylko imię, ale i nazwisko kapitana Docenki.

– A tak przy okazji, czym „on” się zajmuje?

– Jest dziennikarzem.

– Tak? – mruknął Parygin. – Modny zawód.

To już lepiej. Wygląda na to, że dziewczyna nie wie, iż Docenko pracuje w policji. Teraz już jest zupełnie jasne, że Docence nie chodziło o nawiązanie romansu – po prostu wykonywał zadanie. No, no! Czyżby o coś podejrzewał tę gidie? W co ona może być zamieszana? Może w nic, a kapitan tylko sprawdzał jej kontakty. Nie wróży to najlepiej, bo natrętny gliniarz znów może się zacząć kręcić koło Anny, a zatem również koło niego, Parygina. Ale doświadczenie podpowiadało Jewgienijowi, że raczej do tego nie dojdzie. Gdyby dziewczyna jeszcze była kapitanowi potrzebna, nie zniknęłyby tak nagle, nastawiając ją przeciwko sobie.

– Może byś jednak do niego zadzwoniła? – zasugerował Annie. – Może niepotrzebnie wczoraj tak rozpaczałaś. Mogło mu wypaść coś niespodziewanego.

– Nie znam jego telefonu.

– A to ciekawe! Jakiś dziwny układ was łączył...

– Taki tam... – Anna milczała chwilę. – Idiotyczny układ. Zналиśmy się zresztą od niedawna, zaledwie dziesięć dni. On wziął ode mnie numer telefonu, ale swojego mi nie dał. Właściwie jego numer nie był mi potrzebny, bo on sam co wieczór przychodził do mnie na Profsojuzną.

– A w te dni, kiedy nie pracowałaś?

– Dzwonił i umawialiśmy się gdzieś na spotkanie. Słuchaj, Żenia, nie mówmy o tym więcej, dobrze? Było, minęło. To już przeszłość. Powinam się była wcześniej zorientować, że nic mi z nim nie wyjdzie.

– A ze mną?

– Z tobą wyjdzie. Ty jesteś zupełnie inny.

– I wyjdiesz za mnie?

Anna długo na niego patrzyła w milczeniu i Parygin nagle dostrzegł, jakie dziewczyna ma ogromne, złotozielone oczy. I niezwykle długie rzęsy. I że wcale nie jest brzydka – szpeci ją tylko za długi nos.

– Wyjdem, jeżeli mi się oświadczysz – odpowiedziała w końcu.

– Już się oświadczyłem.

– Dlaczego? Przecież mnie w ogóle nie znasz.

– Wcale nie muszę cię znać. W zupełności wystarczy, że przyjemnie mi się z tobą siedzi tu, w kuchni, i gada. I gotujesz po prostu wspaniale. Jesteś świetna w łóżku. Tylko nie oczekuj ode mnie wyznań miłosnych, za stary już jestem, żeby się uczyć słodkich słówek, więc nie obrażaj się, dobrze? Będę dobrym mężem, dam słowo. No co, zgadzasz się?

– Tak. Jeżeli się nie rozmyślisz.

Parygin zapomniał na chwilę, że gra. Do diabła, a czemu właściwie nie miałby się ożenić z tą dziewczyną? Nie musi przecież umierać jako syngiel. Oczywiście, to psychopatka, takie osoby nigdy go nie pociągały, nie mówiąc już o wyglądzie zewnętrznym, ale przecież istnieje zasada, zgodnie z którą mężczyznom podoba się określony typ kobiet, lecz żenią się z innymi. I wcale nie dlatego, że życie jest źle urządzone, tylko dlatego, że tak trzeba. Właśnie tak. Poza tym, być może, Anna jest taka nie zrównoważona tylko dlatego, że nie może wyjść za mąż. A kiedy już zostanie ślubną małżonką – wszystko przejdzie jak ręką odjął. Urodzi mu córeczkę, maleńką, pulchniutką, w szydełkowym kaftaniczku...

– Nie rozmyślę się – z całą powagą zapewnił Parygin.

– Ale najpierw muszę załatwić sprawę pieniędzy dla wdowy po bracie. Kiedy tylko się z tym uporam, złożymy papiery.

– Może mogę ci w czymś pomóc? – spytała Anna.

– Możesz. Przy twojej pomocy poradzę sobie z tym dużo szybciej. A im szybciej zdobędziemy pieniądze, tym szybciej pójdziemy do urzędu stanu cywilnego. Tak?

Skinęła głową, wzięła Jewgienija za rękę i przytuliła policzek do jego dłoni.

– Zrobię wszystko, Żenia. Nawet jeśli z powodu tych pieniędzy trzeba będzie kogoś zabić.

– No, do tego raczej nie dojdzie. – Parygin uśmiechnął się.

A w duchu pomyślał: „Miejmy nadzieję, że nie”.

ROZDZIAŁ 11

Po silnych mrozach nagle zrobiło się ciepło i przysła odwilż, zresztą w ciągu kilku kolejnych lat takie zimowe kaprysy pogody stały się czymś normalnym. Nastia Kamieńska ostatni raz miała na nogach zimowe skórzane botki sześć lat temu, kiedy to doszła do wniosku, że ten niewybaczalny luksus prowadzi jedynie do tego, iż brodzenie po kostki w roztajałym od soli, brudnym śniegu niszczy obuwie, zanim jeszcze zedrą się firmowe fleki. Od tamtej pory nosiła tanie botki ze sztucznej skóry, które wprawdzie pękały na mrozie, ale za to nie było ich żal, kiedy nadchodziła odwilż i roztopy.

Dzisiaj rano, wychodząc do pracy, Nastia kolejny raz obrzuciła zatroskanym spojrzeniem stojący pod domem samochód męża. Do tej pory nie znalazła czasu, żeby odstawić wóz do garażu rodziców Loszy. Sama wyprawa zajęłaby pół dnia, potem Nastia musiałaby posiedzieć u teściowej, gdyż niegrzecznie byłoby skracać taką wizytę, jako że i tak widywały się nieczęsto. W samochodzie, oczywiście, jest alarm, ale niewiele z niego pożytku...

Jeżeli niedawno dzień pracy zaczął się od nieprzyjemności dla Korotkowa, to dzisiaj widać przyszła kolej na Nastię.

– Kapitanie Docenko, proszę opowiedzieć kolegom, gdzie i z kim spędził pan wczorajszy wieczór – polecił Mielnik w czasie porannej odprawy.

– Nie rozumiem, towarzyszu pułkowniku – odezwał się zdziwiony Michaił. – Czy są wobec mnie jakieś zastrzeżenia?

– Tak, i to poważne. Powinien się pan zajmować rozpracowywaniem Łazariewej, a zamiast tego spędził pan wieczór tutaj, na Pietrowce. I uczestniczył pan w ogólnej pijatyce.

Wczoraj były urodziny Igora Lesnikowa. Ale, po pierwsze, tradycji wspólnego świętowania urodzin w gronie kolegów nikt nigdy nie negował, nawet w okresie najsurowszej walki z alkoholizmem, po drugie zaś, takie obchody, w każdym razie w ich sekcji, nie miały nigdy charakteru pijatyki, przypominały raczej przyjacielskie pogaduszki, choć oczywiście były i napoje wysokokowe, nikt temu nie zaprzecza.

Nastia poczuła, że nadeszła chwila, gdy musi wziąć cios na siebie. Przecież to ona wczoraj, po rozmowie z profesorem Samołowem, powiedziała Miszy, żeby nie jechał na spotkanie z koszykarką, której miał już serdecznie dość.

– Władimirze Borisowiczu – powiedziała, wstając – to była moja inicjatywa, uważam, że rozpracowywanie Łazariewej można na razie przerwać.

– Pani uważa?

Mielnik uniósł brwi, a na jego twarzy odmalował się wyraz takiego zdumienia, jakby Nastia ani z racji zajmowanego stanowiska, ani z samej natury rzeczy nie wolno było myśleć oraz mieć własnego zdania.

– Pozwoli więc pani, że zapytam, na czym opiera pani opinię, że możemy sobie odpuścić rozpracowywanie osoby podejrzanej o siedem zabójstw? Nie może się pani doczekać ósmego trupa? Czy też nazywa się pani Mielnik i sądzi, że ma prawo samodzielnie podejmować decyzje i wydawać polecenia młodszym od siebie stopniem? Proszę to łaskawie wyjaśnić, Anastazjo Pawłowno.

– Zakończyłam wczoraj szczegółową analizę danych dotyczących wszystkich siedmiu ofiar i zamierzałam przedstawić dziś panu jej wyniki. Mam wszelkie podstawy sądzić, że choć te zabójstwa może coś łączyć, to z pewnością nie jest to osoba przestępca. Wchodzi tu w grę jakiś inny mechanizm, ale w żadnym razie nie psychoza jednego człowieka, ogarniętego manią zabijania.

– Bzdura! – ostro zareplikował Mielnik. – I pani sama nie może nie zdawać sobie sprawy, że to kompletna bzdura. Po prostu chce pani osłaniać Docenkę. Proszę natychmiast wznowić rozpracowywanie Łazariewej. Natychmiast! Tylko tego brakuje, żeby się nam wymknęła. Na razie codziennie wieczorem obstawia ją Docenko, a zatem możemy być spokojni i – mam nadzieję, z dobrym skutkiem – szukać dowodów jej winy. Jeśli jednak Łazariewa znowu kogoś zabije, winą za to będziemy obciążeni my. A konkretnie – Kamińska i Docenko. Sądzę, że nie muszę pani wyjaśniać, iż w takim wypadku pani będzie zmuszona złożyć podanie o przeniesienie na inne stanowisko służbowe, gdzie mniej szkody wyrządzą pani pewność siebie i brak profesjonalizmu.

– Władimirze Borisowiczu, to bezproduktywne marnowanie czasu i środków – z uporem broniła swego stanowiska Nastia. – W sprawie dusiciela daliśmy się zwięść jednej jedynej hipotezie po prostu dlatego, że zebrane pierwotnie informacje pozwoliły nam wytypować Łazariewą na osobę podejrzaną i zapomnieliśmy o rozpatrzeniu innych ewentualności. Poza tym poszlak wskazujących na Łazariewą nie ma znowu tak wiele, żeby można było ograniczyć się tylko do niej. Nalegam, by wziąć pod uwagę również inne hipotezy robocze.

– Pani nalega? – powtórzył groźnym tonem Mielnik. – Nalegać może pani u siebie w kuchni, omawiając z mężem, co ma być na obiad. A tutaj proszę łaskawie wypełniać moje polecenia. Łazariewej nie spuszczać z oka. Ani przez jeden wieczór nie może być sama. Jeżeli zajdzie potrzeba, włączymy jeszcze kogoś poza Docenką, ale ta koszykarka to nasz obiekt numer jeden. Najważniejszy. Czy to jasne?

Nastia w milczeniu skinęła głową i usiadła. Cóż, pewnie, Mielnik to nie Gordiejew, trzeba się do tego przyzwyczaić. Sama jest sobie winna, pozwoliła sobie na dawny luz i działanie w taki sposób, jak to zwykła robić za czasów poprzedniego szefa. I jeszcze Miskę wkopała! Idiotka. Jeśli nie można zmienić sytuacji, należy zmienić swój stosunek do niej. Tej zasady zawsze się trzymała. Ale czy rzeczywiście

zachodzi tutaj taki wypadek? Niewykluczone, że akurat tym razem mogłaby mieć wpływ na zmianę sytuacji. Tylko jak to zrobić? W najprostszy sposób. Odejść od Mielnika. Nie warto się przyzwyczajać do szefa, z którym nie sposób się dogadać, jeśli istnieje możliwość przejścia pod inne rządy. Takiego Zatocznego, na przykład...

Aż do końca odprawy Nastia była pogrążona w rozważaniach na ten temat, toteż zupełnie do niej nie docierało, o czym była mowa na zebraniu. Od początku, kiedy tylko stało się wiadome, że Gordiejew awansuje na wyższe stanowisko, wszystkie jej myśli nakierowane były na jedno: jak ma pracować pod kierunkiem nowego zwierzchnika. Dlatego też od pierwszego dnia, kiedy pojawił się Panisko Mielnik, Nastia uważnie obserwowała jego poczynania, próbując odnaleźć logikę działań i wymogów szefa, starając się przystosować do jego stylu pracy i sposobu myślenia. Do głowy nawet Nasti nie przychodziło, że można rozpatrywać ten problem w zupełnie innej płaszczyźnie. Tak, Mielnik jej się nie podobał, ale szukała usprawiedliwienia dla jego posunięć i dość często je znajdowała. Broniła nawet nowego szefa przed kolegami, choćby przed Jurą Korotkowem. I po co to wszystko? Po co tracić siły i energię duchową na Mielnika, jeśli można po prostu odejść? I pracować z człowiekiem, który cię rozumie i ma do ciebie zaufanie.

*

Misza Docenko stał przed Nastią speszony jak mały chłopiec i już od bitych dziesięciu minut usiłował się usprawiedliwiać, chociaż nie miał z czego.

– Gdybym tylko przypuszczał, że tak zareaguje, postarałbym się wczoraj schodzić mu z oczu. Ale kto mógł wiedzieć! Anastazjo Pawłowno...

– Niech pan da spokój, Misza. – Nastia skrzywiła się, ponieważ ona też czuła się winna. – Oboje daliśmy plamę, nie doceniliśmy Mielnika. Niech pan się nie przejmuj.

– To znaczy, że dzisiaj znowu będę musiał?...

– Po co? – Nastia podniosła na niego oczy i uśmiechnęła się. – Niech pan nawet o tym nie myśli. Wielkie rzeczy, szef na pana nakrzyczał, nerwy mu puściły, cóż to, nie pierwszy raz w życiu, nie ostatni. Uznaliśmy przecież oboje, że Łazariewa nie ma z tym nic wspólnego.

– A on?

– On niech sobie myśli, co chce. Nie zamierzam mu się podlizywać. Ale zadzierać z nim też nie warto. Po prostu niech się pan tu nie pokazuje wieczorami, i tyle. I niech pan mu z czystym sumieniem opowiada o spacerach z Anną przy księżycu. Oczywiście, na kłamstwie zawsze można wpaść, więc niech się pan zabezpieczy, i sprawdza ją od czasu do czasu, ale w żadnym wypadku nie traci na tę sprawę tyle czasu i energii. To nie ona.

– Jest pani pewna? – z powątpiewaniem spytał Docenko.

– Nie. To znaczy tak. Nie wiem, Misza, nie mam stuprocentowej pewności. Ale

tak czy owak czeka nas mnóstwo pracy, na którą po prostu nie starczy czasu, jeśli uczepimy się Łazariewej. Trzeba na serio zabrać się do Nurbagandowa i postarać się powiązać wszystkie uzyskane informacje ze sprawą zabójstwa Wawiłowa z banku Rosyjska Trojka. Ma pan tutaj telefon faceta z wydziału regionalnego, który zajmuje się Wawiłowem, już się z nim dogadałam, że powie nam o wszystkim, czego się dogrzebał. Niech pan już jedzie i przestanie sobie zawracać głowę Mielnikiem.

Kiedy Nastia została sama, zrobiło jej się jakoś nieprzyjemnie. Przez długie lata pracy na Pietrowce przyzwyczaiła się tu czuć jak w domu, a dzisiaj nagle zapragnęła czym prędzej wyjść, żeby nie napatoczyć się na Mielnika. Wiktor Aleksiejewicz Gordiejew nigdy nie był dla niej „źródłem zagrożenia”, nigdy go nie unikała ani nie bała się... A ten tu... No cóż, myśl, która przyszła jej do głowy w czasie zebrania, była chyba słuszna. Trzeba stąd odejść. I to im szybciej, tym lepiej.

Spraw bieżących było jak zwykle mnóstwo, ale Nastia tchórzliwie wybrała te z nich, które wymagały opuszczenia Pietrowki. Zdążyła przejść dwieście metrów w stronę stacji metra, gdy obok zahamował dawno niemyty samochodzik Korotkowa.

– Dokąd się wybierasz?

– Gdzie oczy poniosą – zgodnie z prawdą odparła Nastia.

– Uciekasz przed Paniskiem?

– Mhm. A ty dokąd?

– Wskakuj, to ci opowiem.

Nastia wsiadła, samochód ruszył.

– Aśka, wiem, że moje wybuchy słusznie cię irytują, dlatego jestem duchowo przygotowany na to, że mnie objedziesz – poinformował Jurij.

– Dobry początek. – Nastia kiwnęła głową. – Najważniejsze to samokrytyczne podejście. Mów dalej, słoneczko.

– Nie mogę znieść, kiedy ktoś mnie poniża, zwłaszcza publicznie. Ale czuję się jeszcze bardziej wkurzony, gdy ktoś poniża moich przyjaciół. W tym wypadku – ciebie i Miskę.

– Rozumiem – westchnęła Nastia – płoniesz żądzą zemsty. I na czym chcesz przyłapać Mielnika? Baba? Zbiorowe pijaństwo?

– Jeszcze nie wiem, muszę się rozejrzeć.

Nastia odwróciła się do Korotkowa i uważnie spojrzała na jego skupioną twarz.

– Mam nadzieję, że żartujesz?

– Ani mi się śni. Jestem poważny jak kawaler, który za chwilę ma rodziców panny poprosić o rękę.

– Daj spokój, Jurik. Co to za idiotyczny pomysł, naprawdę, żeby się odgrywać na zwierchniku, wyrównywać z nim rachunki, i to jeszcze w taki głupi sposób. Lepiej od razu o tym zapomnij, słyszysz?

– Słyszę. A ty, skoro taka z ciebie mądrała, powiedz mi, dlaczego Bagluk usiadł za kierownicą pijany.

Nastia zamyśliła się. Faktycznie, Jurka ma rację. Tamtego dnia wychodzili z pracy tuż przed dziewiątą, i Mielnik jeszcze był u siebie. Mniej więcej dziesięć, piętnaście po siódmej zwolnił ich z codziennego raportu i zajął się Baglukiem. Około wpół do ósmej Bagluk jeszcze był trzeźwy i znajdował się na Pietrowce. Wypadek, w którym zginął, wydarzył się o dwudziestej trzeciej dziesiątej. O której Bagluk wyszedł od Mielnika i dokąd się udał, że zdążył w ciągu trzech godzin spać jak bela? I czy tylko o to chodzi?...

– Jur, dlaczego tak się dzieje, że ile razy pojawia się możliwość uzyskania jakichś informacji dotyczących Mamontowa, ewentualny informator natychmiast ginie?

– No właśnie! – Korotkow podniósł palec. – Przecież to mam cały czas na myśli! Mamontow chciał mi coś powiedzieć i został zabity. Bagluk wszedł w kontakt z wydziałem kryminalnym i zaraz bardzo skutecznie rozwalił się samochodem. Oczywiście, nie był abstynentem, to każdy potwierdzi, ale ten ostatni raz napił się bardzo w porę. Dlatego chciałbym pojechać do chłopaków na komisariat i dowiedzieć się, jaki był stan techniczny samochodu Bagluka. A przy okazji obejrzyć przedmioty znalezione na miejscu wypadku. Wiesz, papiery, notatki itede.

– Myślisz, że po rozmowie z Mielnikiem do kogoś pojechał, zaczął pić i opowiadał o fałszywych kasetach, a tymczasem ktoś popracował nad jego wozem?

– Tak, staruszek, mniej więcej. Chcę udowodnić mojemu ukochanemu szefowi Panisku, że z niego też nie Bóg wie jaki profesjonalista, skoro nie przewidział takiego rozwoju wypadków. Gdyby zdawał sobie sprawę, jak niebezpieczne jest to, co się stało, osobiście odstawiłby Bagluka do domu i sprawdził, czy naszemu pismakowi nic nie grozi. Poza tym, jeśli byłby był dobrym oficerem operacyjnym, bez trudu dodałby dwa do dwóch, to znaczy zwyczaj Bagluka upijania się w sztok i jego rzucające się w oczy rozkojarzenie i nerwowość, a zatem powinien przewidzieć, że w tej sytuacji Bagluk natychmiast poszuka okazji, żeby się napić, i to zanim dojedzie do domu, a jezdnie są śliskie. Przypomnij sobie, czego nas zawsze uczyli: zwracajcie uwagę na to, w jakim stanie ducha człowiek od was wychodzi, i nauczcie się przewidywać, jak się w najbliższym czasie zachowa, co zrobi, dokąd i w jakim nastroju uda się po rozmowie z wami.

– Tak – potwierdziła Nastia. – A zasada jeszcze wyższego rzędu głosiła: musicie umieć pokierować rozmową tak, żeby po niej człowiek poszedł tam, dokąd wy chcecie, i zrobił to, czego się po nim spodziewacie.

– No właśnie, a Mielnik się poszkapił. Widział, że facet ledwo żyje ze strachu i wstydu, wiedział, że lubi dawać sobie w szyję i nie umie się w porę powstrzymać, że przyjechał samochodem, więc usiadł za kółkiem, a na drogach jest gołoledź, i mimo wszystko wypuścił go samego. Więc niech mi nie opowiada, że w całej sekcji tylko ja jeden jestem kretynek.

– Uspokój się, człowieku – łagodnie powiedziała Nastia – nikt cię nie uważa za kretynek. Jurik, spór z przeciwnikiem za pomocą argumentu „sam jesteś kretynek”

naprawdę nie ma sensu. Proszę cię, odpuść sobie.

Milczała chwilę, zapaliła papierosa, po czym dodała:

– W naszych naukach wywiadowczych jest jeszcze trzeci stopień wtajemniczenia. Jeśli podejrzewasz, że człowiek w rozmowie z tobą kłamie, zastanów się nad tym, komu później powie prawdę. Jeśli nasz przyjaciel Bagluk rzeczywiście tak się rozstroił w gabinecie Mielnika, a potem czym prędzej pojechał do kogoś na wódkę, to temu „komuś” z pewnością szczegółowo opowiedział o wszystkim, co zdarzyło się w ciągu dnia i rąbnęło go jak obuchem.

– Właśnie, właśnie – podchwycił Korotkow. – A my powinniśmy znaleźć tego człowieka. Po pierwsze, dzięki temu dowiemy się, czy to, co Bagluk opowiedział Mielnikowi, nie różni się od relacji, którą przedstawił osobie, z którą pił.

– A po drugie?

Korotkow milczał. Nastia uśmiechnęła się lekko, odgadując bieg jego myśli. Przyjaźnili się od wielu lat i dobrze wiedziała, jaki Jurij jest ambitny. Oczywiście, chce udowodnić Mielnikowi, że nie jest w ciemny bity i potrafi zdobyć potrzebne informacje, nawet jeśli przełożony uważa, że to sprawa „bezpowrotnie stracona”.

– Masz zamiar dać Panisku po nosie i dowieść mu, że Bagluk nie był z nim szczerzy?

– No, chociażby – niechętnie potwierdził Jurij.

– I co jeszcze?

– Jeszcze... Zwróciłaś uwagę, że Panisko wrzeszczał na mnie, mieszał mnie z błotem, ale w końcu nie powiedział, czego konkretnie dowiedział się od dziennikarza. Kto mu przekazał nagrania, co to był za człowiek i tak dalej. Chwalił się tylko, że udało mu się to wszystko z niego wyciągnąć. Więc jeżeli wszystkie te informacje zdołam – niezależnie od Mielnika – uzyskać od faceta, z którym Bagluk pił, będę mógł podjąć z Paniskiem interesującą grę.

– Jurka!

– No co? Co takiego? Dlaczego wciąż mnie tak strofujesz? Nie pozwolę z siebie zrobić idioty. Trzeba raz na zawsze pokazać Panisku, że nie może robić człowiekowi awantur, dopóki dokładnie nie zorientuje się w sytuacji. Będzie miał nauczkę.

– Aha, w dodatku chcesz z nim zagrać nie fair?

– I co z tego? – Korotkow wzruszył ramionami. – Dobry wywiadowca nie zawsze może prowadzić czystą grę. Gdyby tak robił, marny byłby z niego pożytek.

– Nie przeciągaj struny, Jura.

Sens słów Korotkowa był dla Nasti zupełnie jasny. Jura chce uzyskać te same informacje, co Mielnik, a następnie oświadczyć mu, że wszystkie jego zarzuty były niesłuszne, gdyż on zdążył porozmawiać z Baglukiem i wyciągnąć z niego, co trzeba, ale nie uważał za konieczne przedstawiać tego na ogólnym zebraniu wszystkich pracowników sekcji, a to dlatego, by zapobiec przeciekom, jako że w tę sprawę może być zamieszany któryś z nich. Tak więc nie należało roztrząsać całego problemu

publicznie, tylko wezwać Korotkova i zapytać go o to, czego się dowiedział, na osobności.

– Jesteś dzisiaj jakaś dziwna – zauważył nagle Jurij.

– Dlaczego dziwna?

– Za spokojna. Myślałem, że zaczniesz ciskać gromy i błyskawice, ochrzaniać mnie za infantylne pomysły, a ty milczysz, jakbyś nie miała nic przeciwko temu. Coś się stało?

– Nie, wszystko w porządku.

– Nie łżyj, Aśka, znam cię przecież na wylot. Jesteś dzisiaj jakaś podejrzenie spokojna.

Nastia milczała chwilę, uchyliła okno, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Wreszcie odezwała się:

– Masz rację. Przygotowuję się duchowo do pewnego tchórzliwego uniku.

– To do ciebie niepodobne. Nigdy nie byłaś tchórzem.

– Nieprawda, zawsze jestem bardzo ostrożna.

– Otóż to. Ostrożna. Ale nie tchórzliwa. To wielka różnica.

– Dobra, nie musisz mnie pocieszać. Sama wiem, jak jest. Jura, wiesz co, wydaje mi się, że nie potrafię pracować z Mielnikiem.

– Aha. Tu jest pies pogrzebany. Chyba nie masz zamiaru odejść?

– Zastanawiam się – odparła wymijająco.

Nagle zrobiło jej się głupio, a pomysł odejścia wydał się dziecinny i zawstydzający.

– No cóż, twoje prawo. Powinnaś niedługo dostać podpułkownika, a wciąż masz stopień majora. Ale czy warto się przenosić?

– A ty nie powinienes? – odparowała Nastia. – Mimo to nie odchodzisz.

– Pączek obiecał mi awans. Ja, bądź co bądź, mam szansę zostać szefem sekcji, a ty nie. Kobięcie nigdy nie zaproponują tego stanowiska.

– Pączek to co innego. Mielnik za Boga cię nie awansuje, zwłaszcza po tej aferze, którą rozpętał. Nie mówiąc już o tym, co będzie, jeżeli mu udowodnisz, że nie miał racji. Ludzie pokroju Mielnika są pamiętliwi i nie puszczają płazem takich rzeczy. Lepiej uderz się w piersi, przyznaj do błędu i pokaż, że potrafisz się poprawić.

– Za nic na świecie!

Tak gwałtownie pokręcił głową, że Nastia nie wytrzymała i parsknęła śmiechem.

– Wolę już być majorem, ale publicznego upokorzenia mu nie daruję. Bić się w piersi i przyznawać do błędu to dobre dla bab. A ja jestem mężczyzną.

– Więc co zamierzasz?

– Nic. Nie będę się poniżał. Udowodnię mu, że sam jest głupi.

– No tak, znajdziesz się w niełasce, ale za to będziesz chodził z dumnie podniesioną głową. Juroczka, to dziecinada, a ty jesteś już dużym chłopcem.

Korotkow westchnął ciężko i zasępił się.

– Podobno generał dogadał się z merem o corocznym przydziale puli mieszkaniowej dla pracowników milicji – powiedział, zmieniając nagle temat.

Nastia zrozumiała, co miał na myśli. Korotkow od wielu lat był na liście osób oczekujących na mieszkanie. Kolejka jednak od dawna ani drgnęła, ale gdyby władze miasta, zgodnie z obietnicą, zaczęły przydzielać lokale pracownikom urzędu, to i Jurijowi błysnęłaby jakaś iskierka nadziei. I wieloletnia praca w tej samej komórce mogłaby odegrać znaczącą rolę w zaopiniowaniu jego podania. Na Pietrowce Jurkę znają wszyscy, w każdym razie prawie wszyscy, w tej liczbie członkowie komisji do spraw socjalno-bytowych, która zajmuje się przyznawaniem mieszkań z wydzielonej puli. Gdyby Jura odszedł, kto wie, jak potoczyłyby się sprawy. Dlatego będzie jednak próbował ułożyć jakoś stosunki służbowe z Mielnikiem, zaadaptować się, i zostanie. A ona, Nastia, chce odejść. Czyżby potwierdzała się teza, że korzystna sytuacja materialna zapewnia nie tylko komfort życia, ale i wolność osobistą? Nastia ma mieszkanie, wprawdzie małe i na peryferiach, prawie przy samej obwodnicy, ale za to własne, i obojgu z mężem nie jest tam za ciasno. Nie czeka w kolejce na przydział i dlatego może sobie pozwolić na to, żeby zmienić pracę, skoro szef jej się nie podoba. A Jurka nie może. Musi zaakceptować istniejącą sytuację. I z tego powodu nie może wdać się z nowym szefem w idiotyczne męskie rozgrywki.

Na posterunek GAI⁴ przyjechali akurat w czasie przerwy obiadowej. Kolega, którego potrzebowali, był na miejscu i zaprosił Nastię i Korotkova do wspólnego stołu. Oprócz zwykłych amerykańskich „gorących kubków” i kanapek na środku stołu pysznił się ogromny tort. – Urodziny? – domyślił się Korotkow.

– Coś więcej – poinformował łysawy kapitan ze złamanym boksterskim nosem. – Przegrany zakład.

– To dlaczego tort, a nie flaszka? W ramach walki z alkoholizmem?

– Akurat! Po prostu przegrałem z naszą Swietką, a ona lubi słodczyce. Nie, chłopaki, to po prostu coś fantastycznego! Do tej pory nie mogę uwierzyć!

– Stało się coś? – zapytała Nastia.

– Okradli moją teściową – oznajmił radośnie kapitan.

– No cóż – mruknął Korotkow – z takiej okazji warto wypić.

– Najpierw posłuchaj. – Kapitan ani myślał się obrażać.

– Trzy dni temu w autobusie wyciągnęli jej z torebki pieniądze i dokumenty. W domu, oczywiście, płacz i zgrzytanie zębów, bo diabli wzięli i dowód osobisty, i legitymację emerycką, i książeczkę oszczędnościową, słowem, wszystko przepadło. Nie mówiąc już o gotówce – całkiem spora suma. Teściowa zadzwoniła do mnie do pracy i omdlewającym głosem zażądała, żebym coś zrobił. To, że pracuję w GAI, a nie w kryminalnym, mało ją wzrusza, dla niej mundur to mundur. Opowiedziałem o wszystkim chłopakom, wiadomo, ochy i achy, ale na tym się skończyło. A wieczorem nasza Swietka, wywiadowca, dzwoni do mnie do domu i pyta, jaki był numer autobusu, w którym obrobili moją teściową. No to mówię jej, że sto trzy. Na to

Swietka mi oświadcza: nie denerwuj się, Sania, dokumenty podrzuca, idź na przystanek w pobliżu miejsca kradzieży i poszukaj. Złapałem kurtkę, wskoczyłem w samochód i zasuwam na przystanek, o którym mówiła teściowa. No i faktycznie – uśmiechnął się szeroko – dokumenty leżały pod ławką. Ledwo je wypatrzyłem w ciemności. Wyobrażacie sobie, co za cyrk?

– Skąd o tym wiedziała? – spytał Korotkow, sadowiac się na niewygodnym, twardym krześle.

– Mąż Swietki też jest milicjantem, pisze pracę na temat kradzieży kieszonkowych, pięć lat zbierał materiały w całej Moskwie. Otóż na linii 103 pracuje w pojedynkę kobieta, wytrawna złodziejka, wszystkie pobliskie komisariaty o niej wiedzą, ale nikomu jeszcze nie udało się jej złapać na gorącym uczynku. Nie ma żadnych współników, dokumenty wyrzuca zaraz po opuszczeniu autobusu. Taki ma zwyczaj. Z początku, jak Swietka do mnie zadzwoniła, nie wierzyłem, założyłem się z nią nawet o tort. Ale potem myślę, na wszelki wypadek sprawdzę, a nuż będę miał szczęście, pojedę. No i pojechałem. Teściowa od zmysłów odchodziła ze szczęścia. Ale wy mi, chłopaki, powiedzcie, jak to jest: dlaczego mąż Swietki wie, że ta złodziejka podrzuca dokumenty na przystankach, a milicjanci na komisariacie, gdzie teściowa pobiegła zgłosić kradzież, o tym nie wiedzą? Dlaczego jej nie powiedzieli: nie denerwuj się, kobieto, rozejrzyj się na przystankach tej linii, na pewno odzyskasz swoje dokumenty?

– Może naprawdę nie wiedzieli – wtrąciła Nastia.

– Akurat, nie wiedzieli! Codziennie zgłasza się do nich kupa ludzi okradzionych na tej linii. I wszyscy inni wiedzą, tylko oni nie! To niemożliwe. No dobra, siadajcie, jak komu wygodnie, zaraz przyjdzie reszta...

– Tylko że my... – zaczął Korotkow, lecz kapitan ze złamanym nosem nie pozwolił mu dokończyć:

– Jasna sprawa. Ale zjeść trzeba. Sprawy też zdążymy załatwić. Mówiłeś mi przez telefon, że interesuje cię Bagluk. A o co konkretnie chodzi?

– O to, co miał przy sobie, w kieszeniach, no i w samochodzie. I o ekspertyzę techniczną. Jakie były ewentualne przyczyny wypadku i czy wóz był w pełni sprawny.

– Na ekspertyzę trzeba będzie poczekać, to dłuższa sprawa, kolejka jak diabli. Zwłaszcza teraz, z powodu tej gołoledzi mamy całą kupę porozbijanych samochodów. Koszmar! Ale jego rzeczy mam w sejfie. Chcesz zobaczyć?

Korotkow i Nastia zgodnie kiwnęli głowami. Kapitan Sania otworzył sejf i wyjął z niego okazały pakiet.

– Masz tu wszystko, co znaleźliśmy przy nim i w samochodzie – powiedział. – Z bagażnika niczego nie wyjmowałem, bo brakuje nam tu miejsca na przechowywanie. A co, ten kierowca to wasz człowiek?

Korotkow kiwnął głową i otworzył pakiet. Papiery wozu, prawo jazdy, dowód osobisty Bagluka, legitymacja dziennikarska, kalendarzyk, portfel, dwie chustki do

nosa, dwa długopisy, jedno wieczne pióro, drogie, dyktafon, notes, standardowa „apteczka” – tabletki przeciwbólowe i prezerwatywy, mocno sfatygowany przewodnik *Ulice Moskwy*, plan Moskwy i okolic, papierosy, zapalniczka, rękawiczki, plastikowa butelka po whisky...

– Mogę to wziąć? – zapytał Jura. – Czy muszę ci przynieść papierek jak zwykłemu biurokracie?

– Jasna sprawa, bierz – zgodził się Sania. Słowa „jasna sprawa” były chyba jego ulubionym zwrotem. – Ale papier przynieś, nie mogę inaczej. A tę drobnicę możesz na razie wziąć na słowo honoru, po starej znajomości. Chcesz wszystko?

Jura spojrział pytająco na Nastię. Jeśli chodzi o niego, wzięłyby tylko kalendarzyk i notes, ale Aśka może mieć jakiś chytry pomysł.

– Jeżeli można, weźmiemy wszystko – powiedziała szybko.

– Proszę bardzo – wielkodusznie zezwolił Sania. – Mam dziś dzień dobroci. Tylko nie zapomnijcie o podkładce, dobra?

Drzwi otworzyły się szeroko i mały pokój momentalnie zapełnił się pracownikami posterunku, którzy zbiegli się na tort. Po oczach Korotkowa Nastia poznała, że jest śmiertelnie głodny i nie zamierza wyjść, nie skosztowawszy tortu, ale sama absolutnie nie miała ochoty zostać. Nie chodziło o to, że nie podobali jej się koledzy z drogówki, nie, byli bardzo sympatyczni i gościnni, ale nastrój miała fatalny.

Po pierwsze, wciąż dręczyła się myślą o ewentualnym odejściu z pracy. Po drugie, jakiś dziwny niepokój budziła w niej butelka po whisky. Niby nic w niej nie było szczególnego, butelka jak butelka, tyle że nie szklana; można taką kupić w każdym kiosku czy sklepie. Jednak na jej widok Nastia poczuła bolesne ukłucie, jakby przyłapano ją publicznie na jakimś wstydlivym uczynku. Nie miała najmniejszej ochoty na tort nawet w tak wesołym, rozbawionym towarzystwie.

Trąciła lekko Korotkowa w łokieć i szepnęła:

– Jurik, bardzo chcesz zostać?

– Jestem głodny – burknął w odpowiedzi.

– To może poczekam w twoim samochodzie, dopóki się nie najesz, co? Głowa mnie rozboleła, nie wytrzymam tu.

Jura obrzucił ją szybkim spojrzeniem i uśmiechnął się.

– Znowu łiesz. No dobra, idź, trudno. Nie zabawię długo. Masz tu kluczyki.

Starając się nie zwracać na siebie uwagi, Nastia ostrożnie wymknęła się za drzwi. Na ulicy rozejrzała się i spostrzegła niedaleko lokal z szyldem U Smirnowa. Ciekawe, jak tam wygląda w środku? Minęła samochód Jury i zdecydowanym ruchem pchnęła drzwi restauracji.

W sali było pusto, przy jednym ze stolików nudzili się dwaj kelnerzy w eleganckich muszkach. Grali w szachy, ale po minach było widać, że zupełnie ich to nie interesuje. Kiedy Nastia weszła, nawet nie podnieśli głów, dalej przesuwali figury na szachownicy i wymieniali jakieś uwagi półgłosem. Nastia pociągnęła nosem,

starając się rozeznać węchem, na co w tym lokalu można liczyć. Pachniało smażonym mięsem i – co dziwne – cynamonem. Uczucie przygnębienia Nasti przerodziło się nagle w w rozdrażnienie i złość. Skierowała się wprost do stolika szachistów.

– A więc tak, chłopcy – powiedziała, nie poznając własnego głosu, w którym dźwięczał teraz metal. – Duża filiżanka mocnej kawy i kanapka. Na wynos. Samochód stoi na ulicy. Partyjkę dokończycie potem.

Przelotnie rzuciła okiem na szachownicę. Nad czym się tu zastanawiać? Dwa ruchy i już jest mat dla białych, wystarczy się posłużyć czarną wieżą. Czyżby tego nie widzieli? Chyba że po prostu bezmyślnie przesuwają figury, ot, tak, byle czymś zająć ręce. Zresztą białe miałyby jeszcze jakąś szansę, gdyby zaryzykowały odsłonięcie króla. Ale czarne i tak w końcu wygrają, tyle że w pięciu ruchach, nie w dwóch.

Obróciła się na pięcie i wyszła, nie przestając się dziwić sama sobie. Nigdy się tak nie zachowywała i nie traktowała w równie niegrzeczny sposób obsługi, uważała to za dowód głupoty i braku wychowania. Co się z nią dzieje? Czyżby rozważania na temat haniebnej rejterady z wydziału kryminalnego do tego stopnia wytrąciły ją z równowagi? I jeszcze ta cholerna butelka...

Otworzyła samochód, usiadła na miejscu dla pasażera, opuściła szybę i zapaliła papierosa. Ciekawe, czy przyniosą jej kawę, czy uznają ją za wariatkę i dalej będą spokojnie grać?

W drzwiach lokalu ukazał się kelner, który grał białymi. W rękach trzymał niewielką tackę, na niej stała duża, parująca biała filiżanka. Chłopak rozejrzał się, zobaczył samochód i na jego twarzy odmalował się wyraz absolutnego niedowierzania. No jasne, pomyślała Nastia, na podstawie mojego zachowania z pewnością wyobraził sobie, że siedzę co najmniej w mercedesie 600, a samochodu rodzimej produkcji, w dodatku od dawna niemytego, w ogóle nie brał pod uwagę. Nastia sięgnęła do torebki i wyjęła portmonetkę.

Kelner podszedł do niej niepewnie i wsunął tackę przez otwarte okno.

– Dziękuję – powiedziała Nastia sucho. – Filiżankę odniosę później. Ile płacę?

– Trzydzieści tysięcy.

To już była bezczelność, ale Anastazja bez słowa położyła na tacce trzy banknoty, po czym wzięła kawę i kanapkę z wędzonym jesiotrem. Uznajmy, że to marża za obsługę na zewnątrz lokalu, pomyślała. Upiła łyk kawy i skrzywiła się. Napar był gorący, ale niesmaczny i słaby. No i proszę, Kamieńska, złośliwie skarciła się w duchu Nastia, masz swój napój w cenie brylantów, dostałaś nauczkę na przyszłość.

Odchyłona wygodnie na miękkie oparcie siedzenia, powoli żuła kanapkę, popijając każdy kęs niesmaczną kawą, i rozmyślała o butelce po whisky, która nadal ją niepokoiła. Butelka jak butelka. Niezadrukowane części etykiety zabazgrane zwykłym ołówkiem. Niektórzy ludzie mają taki nawyk: kiedy o czymś intensywnie myślą albo podczas rozmowy zasmarowują w ten sposób nalepki na pudełkach zapalek, marginesy gazet czy czasopism albo wolne miejsca na ilustracjach, rubryki

kalendarzy. Słowem, co im wpadnie pod rękę. Oczywiście osoby, które zarysowują etykiety na butelkach, spotyka się znacznie rzadziej, ale Nastia była przekonana, że kogoś takiego widziała. I to właśnie nie dawało jej spokoju. Zabazgrać etykietę mógł sam Bagluk lub ten, z kim dziennikarz pił w czasie pomiędzy wizytą na Pietrowce a wypadkiem. Bagluka jednak nie znała, nawet go nie widziała, więc jeśli rzeczywiście miał takie przyzwyczajenie, nie było okazji, by to stwierdzić. A przecież kogoś takiego musiała zaobserwować. Na to mogłaby przysiąc. A gdzie? Kto to był? Pamięć odmawiała Nasti posłuszeństwa, a jej nastrój z minuty na minutę się pogarszał. Anastazja nie zamierzała się oszukiwać, dobrze wiedziała, że jeżeli zamiast sobie coś przypomnieć, zaczyna czuć zamęt w głowie, to znaczy, że pamięć pragnie zepchnąć tę nieprzyjemną informację głęboko, w najodleglejsze zakamarki mózgu. Podświadomość nie chce jej uwolnić, gdyż ta informacja jest niebezpieczna. Śmiertelnie niebezpieczna. Albo przynajmniej trudna do zaakceptowania, przykra.

Nastia nawet nie zauważyła, kiedy podszedł uśmiechnięty Korotkow, w jednej ręce niosąc pakiet z rzeczami Bagluka, w drugiej – kawałek tortu na tekturowym talerzyku.

– A to co takiego? – spytał, patrząc ze zdziwieniem na filiżankę.

– Przedtem kawa, a teraz pusta filiżanka.

– Skąd?

– Stąd. – Nastia wskazała na wejście do lokalu. – Od niejakiego Smirnowa. Poczekaj chwileczkę, tylko ją odniosę.

– Już dobrze, siedź, sam to zrobię.

Jura rzucił pakiet na tylne siedzenie, wziął od Nasti pustą filiżankę, podając jej w zamian talerzyk z tortem, i skierował się w stronę restauracji. Wrócił po dziesięciu minutach, a uśmiech na jego twarzy był teraz jeszcze weselszy.

– Ile im zapłaciłaś? – spytał, wsiadając do wozu.

– Trzydzieści patyków. Reki kapitalizmu, niech ich cholera.

– Masz tu resztę. – Korotkow rzucił jej na kolana dwa banknoty, dziesięcio- i pięciotysięczny.

– Co się stało? Sumienie ich ruszyło?

– Akurat! Marzycielka! – Korotkow parsknął śmiechem. – Przestraszyli się. Zobaczyli, że przyniosłem filiżankę, i zainteresowali się, cóż to za księżniczka, co zamawia sobie kawę do samochodu, a brudne naczynia zwraca za nią facet. Więc im wyjaśniłem, a oni nagle sobie przypomnieli, że nie wydali ci reszty.

– I jak mnie przedstawiłeś?

– Jako prestidigitatora.

– Co takiego?!

– Tak. Jako osobistego prestidigitatora szefa miejskiej policji skarbowej. Masz pojęcie! Kupili to od razu. Skąd mają wiedzieć, że prestidigitatorzy występują w cyrku i na estradzie, a nie pracują w policji skarbowej? Ot, ciemnota, buraki. A już to, że

osobisty, zupełnie ich dobiło. Wzięli cię za jakiegoś tajnego doradcę.

Nastia wybuchnęła śmiechem i na parę minut zapomniała o swoim złym nastroju. Zdążyli już przejechać kilka przecznic, gdy raptem się zainteresowała:

– A właściwie dokąd mnie wiesziesz?

– Do redakcji, gdzie pracował Bagluk. Chcę pogadać z jego kolegami i ustalić, z kim pił przed wypadkiem. A co, masz inne plany?

– Tak. Od początku miałam inne, ale jak głupia pojechałam z tobą do GAI, bo zacząłeś mnie zagadywać, snując plany krwawej zemsty na Panisku, a ja nie potrafiłam się temu oprzeć i uległam twojej presji.

– Aśka, bądź człowiekiem, dobra? We dwójkę zawsze weselej, tym bardziej że poruszamy się samochodem, marnym, co prawda, ale zawsze samochodem. Pojedźmy najpierw razem do redakcji, a potem podrzucę cię, gdzie zechcesz.

– Wiesz co, twoje pomysły, mścicielu, odbierają ci rozum. Czym się wykażemy wieczorem przed Paniskiem? Jaki plan ci zatwierdził na dzisiaj?

– A niech się buja razem ze swoimi planami! – rozwścieczył się Korotkow. – Nakłamię mu coś i tobie zalecam to samo. W końcu nas przecież nie sprawdza, chyba zauważyłaś. Najważniejsze, żebyśmy się zameldowali w porę, podjęli go pod nogi i złożyli wiernopoddańczy hołd. Żebyśmy pamiętali, kto tu jest panem.

– Uważaj, żebyś nie wpadł na tych kłamstwach – ostrzegła go Nastia.

Ale w głębi ducha była przekonana, że Jura ma rację. Mielnik rzeczywiście ich nie sprawdza, zresztą nie ma takiej możliwości. Jego poranne i wieczorne raporty to nic innego niż próba zdyscyplinowania „kompletnie rozpuszczonych podwładnych”, którym poprzedni szef zostawiał zbyt wiele swobody. Nastia czuła instynktownie, że powinna pojechać razem z Jurą do redakcji, choćby po to, żeby przestać myśleć o butelce z zabazgraną etykietą. Dowiedzą się, z kim Bagluk pił, znajdą tego człowieka, pogadają z nim i wszystkie klocki układanki znajdą się na swoim miejscu. Ona wreszcie będzie mogła przestać sobie łamać głowę, gdzie już widziała identyczną, zasmarowaną ołówkiem etykietę na butelce. Nie zastanawiać się nad tym więcej i nie bać się. Nie rozumiała, skąd ten strach, dlaczego ta myśl jest taka nieprzyjemna.

*

Jewgienij Parygin zawsze uważał, że pracuje uczciwie. Oczywiście jeśli nie brać pod uwagę tego, w jaki sposób zarabia pieniądze, lecz tylko fakt, że istotnie je zarabia, to znaczy otrzymuje wynagrodzenie za wykonanie konkretnego zadania, co wymaga umiejętności, wysiłku, doświadczenia i wyobraźni. Nigdy w życiu nie dostał ani kopiejki ot, tak, za nic, na piękne oczy. Pieniądze dla Lolity również pierwotnie zamierzał zdobyć tą drogą. Ale zamówienie zostało odwołane, i to nie z jego winy. Innych zleceń w najbliższym czasie nie przewidywał. A forsa była potrzebna, i to pilnie.

Dlatego po raz pierwszy w życiu Jewgienij Iljicz postanowił odstąpić od

dotychczasowych zasad i zdobyć niezbędną sumę w inny sposób. Rozważania na temat niejasnej sytuacji, związanej z artykułem w gazecie i zeznaniami niejakiego Nikity Mamontowa w sprawie dokonanego swego czasu zabójstwa, nasunęły mu myśl odszukania osób, które stoją za aferą z kasetą wideo, i wymuszenia od nich potrzebnej kwoty. Oczywiście drogą grózb i szantażu. Jeśli nie doprowadzi go do tych ludzi wywiadowca Docenko, spróbuje do nich trafić przez autora artykułu *Zwłoki na śmietniku*. Nie można przecież wykluczyć, że dziennikarz odegrał w tej sprawie niepoślednią rolę, zupełnie prawdopodobne, iż pismacy mają jakieś przynoszące wzajemną korzyść powiązania z dobrze poinformowanymi źródłami na samej górze, tam gdzie prowadzi się własne rozgrywki – polityczne. I dawni wysoko postawieni zleceniodawcy, kierowani żądzą odwetu, nie wahają się poświęcić zwykłych wykonawców.

Prawie dobę poświęcił Parygin na to, by oswoić i przywiązać do siebie Annę. Ponawiał propozycję małżeństwa, kochał się z nią i mówił – tak jak umiał – słowa, które pragnęła słyszeć. Chciał, by Anna zapragnęła możliwie najszybciej się za niego wydać, a tym samym – by jak najprędzej udało mu się zdobyć pieniądze dla jego bratowej. Z pracą Anny nie było kłopotu – otrzymywała wynagrodzenie za tyle dni, ile realnie przepracowała, oraz premię, jeśli plan sprzedaży wykonała z nadwyżką. Jeżeli zaś nie chciała z jakichś powodów stawić się do pracy, mogła sobie siedzieć w domu, byleby tylko uprzedziła w porę przedsiębiorstwo. Swoje sprawy także bez trudu udało się Paryginowi załatwić, zadzwonił do fabryki i powiadomił, że musi wziąć urlop bezpłatny z powodów osobistych, mówiąc to odpowiednio zgnębnym głosem. Uwierzyli we wszystko bez zastrzeżeń i nawet poszli mu na rękę, pozwalając załatwić formalności później, gdy już wróci do pracy. Oto co znaczy dobra opinia! Zawsze może się przydać.

Teraz chodziło tylko o to, by Anna mu zaufała. Zaufała ślepo, bezkrytycznie, nie wątpiąc w ani jedno jego słowo. Jej jedynym pragnieniem powinno być teraz zostanie żoną Jewgienija, i owo pragnienie musi przesłonić dziewczynie wszystko inne. W tym również wszelkie niewłaściwości jego postępowania.

Pod koniec pierwszej doby znajomości Jewgienij zaproponował dziewczynie spacer. Była siódma wieczorem, sklepy jeszcze otwarte, i Parygin umyślnie poprowadził Annę ulicami, wzdłuż jasno oświetlonych witryn.

– Kiedy zamieszkamy razem – mówił, gdy przechodzili obok salonu „Włoskie meble i wyposażenie kuchni” – trzeba będzie od razu kupić najnowsze urządzenia kuchenne, żebyś miała wygodę.

...Nie mogę patrzeć na te skórzane płaszcze – ciągnął, gdy przystanęli koło wystawy sklepu z odzieżą. – Jako moja żona musisz chodzić wyłącznie w futrze. Jesteś wysoka i masz zgrabną sylwetkę, drogie futro będzie się na tobie doskonale prezentować, zupełnie jak na modelce.

...Trzeba będzie znaleźć w pobliżu naszego domu salon kosmetyczny, żebyś mogła

tam bywać co najmniej raz w tygodniu. Moja żona musi być elegancka i zadbana...

Anna tylko w milczeniu kiwała głową i z oddaniem spoglądała mu w oczy. Przechodnie często odwracali się i obrzucali ich zaciekawionym spojrzeniem; bardzo nietypowo wyglądała bowiem ta para, w której kobieta była o głowę wyższa od swego partnera. Ale Anna po raz pierwszy w życiu wcale się tym nie przejmowała. Cała po prostu promieniała radością.

– Będę musiał chyba zmienić samochód. Z twoimi długimi nogami w moim żiguli będzie ci niewygodnie. Co byś wolała, wołęgę czy jakiś zachodni wóz?

– Nie, zachodni nie – mitygowała Jewgienija uszczęśliwiona Anna. – Zagraniczne wozy nie są przystosowane do naszych dróg. Lepiej kupić coś rodzimej produkcji.

– Taka kobieta jak ty nie powinna zadowalać się byle czym – perswadował z naciskiem Parygin. – Nie jesteś jedną z wielu, pamiętaj o tym.

– Żenia, mówiłeś przecież, że jesteś zwykłym inżynierem, skąd weźmiesz pieniądze na wszystkie te zakupy?

– To już, moja kochana dziewczynko, nie twoje zmartwienie. Żona nie powinna martwić się o to, skąd mąż bierze pieniądze, tylko myśleć, jak je najlepiej wydać. W końcu jestem mężczyzną i mam obowiązek zapewnić ci taki poziom życia, na jaki zasługujesz.

Boże drogi, to były słowa, o których marzyła całe życie. Nie jest jedną z wielu. Jest niezwykła. A on pragnie się o nią troszczyć, dbać i zapewnić jej wszelkie wygody. To nie jakiś pryszczaty szczeniak, nie młody chłopak, trzymający się matinej spódnicy, tylko dojrzały, samodzielny mężczyzna, mądry, doświadczony, godny zaufania. On, jej książę! Nagroda, którą los na koniec jej zesłał, za wszystkie dotychczasowe upokorzenia, rozczarowania i łzy. Musiał się w jej życiu pojawić lekkomyślny i niestały przystojniak Michaił, żeby mogła sprawiedliwie ocenić i zrozumieć takiego mężczyznę jak Jewgienij. I w ogóle nie wydawało jej się dziwne, że się oświadczył, ledwie się poznali. Tak właśnie powinno się było stać: zobaczył ją, zakochał się i wkrótce się z nią ożeni. Właśnie tak bywa w prawdziwych bajkach, i właśnie o tym marzyła.

Wrócili do domu, do wynajętego przez Annę mieszkania, gdzie Jewgienij znowu dał Annie okazję popisania się mistrzostwem kulinarnym; aby mogła utwierdzić go w przekonaniu, że nie pomylił się w wyborze, że będzie dla niego dobrą żoną. Parygina niepokoiła Lolita, ponieważ zamierzał także i dzisiaj nocować u Anny. Wczoraj wprawdzie dzwonił do bratowej późnym wieczorem, prawie nocą, aby ją uprzedzić, że nie przyjedzie, ale na tę wieść Lola zareagowała wyraźnym niezadowoleniem. Oczywiście nie robiła mu żadnych wymówek, jednak chłodny ton jej głosu obwieszczał jednoznacznie: „No jasne, znowu baby, a o moich problemach zupełnie zapomniałaś”. Diabli wiedzą, co z tą Lolitą, wbije sobie jeszcze coś do głowy i narobi głupstw, na przykład wyjdzie z domu i pojawi się tam, gdzie już dawno czekają na nią wierzyciele. Wie przecież, że może się tak stać, ale pójdzie, Paryginowi na złość, żeby

mu pokazać, że nie powinien zostawiać jej samej i w dodatku obrażać. O takich osobach stare ludowe porzekadło mówi: na złość teściowej wydlubię sobie oko, niech ma ślepego zięcia.

No, ale trzeba jednak do Lolity zadzwonić, uspokoić ją. Jewgienij upewnił się, że Anna zajęta jest czyszczeniem grzybów, i poszedł do pokoju zatelefonować. Ma się rozumieć, Lola zaczęła histeryzować, ale niczego innego się nie spodziewał.

– Myślisz, że nas ukryłeś, wyrwałeś z normalnego życia, i na tym koniec? – krzyczała w słuchawkę. – I co teraz, mamy umrzeć w tym zamknięciu? Zamierzasz rozwiązać jakoś problem tych pieniędzy czy nie?

– Cały czas to robię – starając się zachować spokój, odparł Parygin. – Ale to nie idzie tak szybko, nie jestem milionerem, tylko zwykłym inżynierem, nie zapominaj o tym.

– Jeżeli nie potrafisz zdobyć pieniędzy, to nie trzeba było obiecywać! Ciągłe tylko słyszysz „jutro” i „jutro”. Gdybyś powiedział od razu, że nie możesz pomóc, znalazłabym inny sposób! Już dawno miałabym pieniądze i zwróciłabym dług zamiast siedzieć tutaj jak w więzieniu!

Parygin z trudem się powstrzymał, żeby nie zareagować zbyt ostro. Jeżeli baba ma inne możliwości zdobycia forsy, to po kiego siedzi mu na karku i oczekuje pomocy? Niechby się postarała o szmal własnymi kanałami zamiast histeryzować i wrzeszczeć w słuchawkę!

– Lolu, robię wszystko, co w mojej mocy. Proszę cię, bądź cierpliwa.

Lolita chwilę milczała, po czym zainteresowała się:

– Jesteś u kobiety?

– Tak.

– No cóż... Poproś ją z łaski swojej do telefonu.

– A to po co?

– Chcę z nią porozmawiać.

– To nie jest konieczne. Lolu, weź się w garść.

– Poproś ją! – zażądała ponownie Lolita. – Jeżeli tego nie zrobisz, jutro wracam do domu. Nie, nie jutro. Zaraz.

No pięknie, posuwa się już do szantażu. Niech moja teściowa ma ślepego zięcia. Bodaj diabli wzięli tę idiotkę. Gdyby nie była wdową po jego bracie, dawno dałby sobie z nią spokój.

– Co masz zamiar jej powiedzieć?

– Jeżeli chce, żebyś spędzał z nią więcej czasu, niech ci pomoże zdobyć dla mnie pieniądze. To leży w jej interesie. Poza tym wolę sprawdzić, czy rzeczywiście jesteś u kobiety, czy tylko mnie unikasz i kręcisz, bo nie możesz załatwić forsy. Kobieta to przynajmniej konkretny powód. Poproś ją.

– Zaczekaj chwilę.

Parygin wrócił do kuchni i lekko ujął Annę za ramię.

– Aniu, moja bratowa prosi cię do telefonu. Porozmawiaj z nią. Tylko nie zwracaj uwagi na jej... no, powiedzmy, dziwactwa. To dosyć energiczna dama, o wielkim temperamencie, wybuchowa, i kiedy się zdenerwuje, wygaduje różne głupstwa.

– Ale czego chce ode mnie? – zdziwiła się Anna. – Przecież nawet mnie nie zna.

– Chce się przekonać, czy naprawdę jestem z tobą.

– Nie rozumiem...

– Już ci mówiłem, że nęka ją wierzyciele mojego zmarłego brata, grożą porwaniem syna, jeżeli Lolita nie zwróci długu, który jest bardzo duży. Ponieważ całe życie byłem w jak najlepszych stosunkach z jej mężem, czuję się w obowiązku kobiecie pomóc, rozumiesz? Nie lubię jej, to głupia i kłótliwa baba, ale przez pamięć o bracie muszę ją wesprzeć. Nie mogę zostawić Lolity i swego bratanka na pastwę losu. Miotam się na wszystkie strony, żeby zdobyć te cholerne pieniądze, ale na razie nic mi z tego nie wychodzi. A ona uważa, że się przed nią ukrywam, aby się nie zajmować jej sprawami, i nie wierzy, że nie objam się Bóg wie gdzie, tylko spędzam czas z kobietą, którą kocham i z którą zamierzam się ożenić. Podejź do telefonu, Aniu, proszę cię, inaczej Lolita się nie uspokoi. I nie przejmuj się tym, co usłyszysz, cokolwiek by mówiła.

– Dobrze. – Anna kiwnęła głową. – Porozmawiam z nią. Na imię jej Lolita, tak?

– Lolita.

Anna szybko weszła do pokoju i wzięła słuchawkę leżącą obok aparatu.

– Słucham panią, Lolito.

Parygin dużo by dał teraz za to, aby usłyszeć, co mówi Lola. Czujnie obserwował Annę, łowił każde jej słowo, usiłując na tej podstawie odtworzyć sobie dialog obu kobiet, ale nie bardzo mu się to udawało, gdyż Anna ograniczała się tylko do krótkich odpowiedzi: „Tak, tak, rozumiem”. W końcu powiedziała: „Wszystkiego dobrego, do widzenia”, i odłożyła słuchawkę.

– Co ci mówiła? – od razu zapytał Parygin.

– Doradzała mi, żebym ci udzieliła jak najdalej idącej pomocy. Im prędzej zdobędziesz pieniądze dla niej, tym szybciej uwolnisz się od troski o nią i będziesz mógł cały wolny czas poświęcić mnie.

– I to wszystko?

– Wszystko.

– Nie obraziła cię?

– Ale skąd, Żenia, nic podobnego.

– Posmutniałaś jakoś – zauważył zaniepokojony Parygin.

– Jednak czymś cię musiała zdenerwować.

– Mówię ci, że nie. Skłoniła mnie tylko do zastanowienia.

– Nad czym?

– Nad tym, jak ci pomóc. Żenia, powiedziałam ci już, że jestem gotowa na wszystko, w całym tego słowa znaczeniu. Możesz na mnie polegać.

Parygin milczał dłuższą chwilę. Nadszedł właśnie bardzo ważny moment, drugiego takiego już nie będzie, i jeżeli teraz on źle rozegra sprawę, wszystko zawali. Lola to oczywiście skończona idiotka, ale w tym wypadku jej głupota i prostactwo były mu na rękę, bratowa powiedziała Ani dokładnie to, co chciał wbić dziewczynie do głowy. Sam też już o tym mówił, ale wydawało mu się, że jakoś nie dotarło to do jej świadomości. Podkreślił, że zanim się ożeni, musi rozwiązać problem pieniędzy dla Lolity, a Ania odpowiedziała, że gotowa jest mu pomóc. Ale więcej do sprawy nie wracała, Paryginowi zaś chodziło o to, żeby sama, z własnej inicjatywy podjęła ten temat. Żeby wyszło tak, że to ona tego chce, a nie, że on ją wciąga w całą historię.

Wziął Annę za rękę, posadził na kanapie, wsunął dłoń w jej gęste, lśniące włosy i zaczął delikatnie gładzić ją po głowie.

– Anieczko, żeby zdobyć tak wielką sumę, potrzeba naprawdę dużo czasu. Jesteś rozsądną kobietą i powinnaś rozumieć, że szybko nie da się tego osiągnąć uczciwą drogą. Ja sam tak uważałem do wczoraj. Ale od wczoraj myślę tylko o jednym: żebyśmy byli razem, żebyś została moją żoną.

I nie chcę na to zbyt długo czekać. Nie wiem, czy mi wierzysz, ale tak właśnie jest, chociaż muszę przyznać, że sam sobie się dziwię. Nigdy w życiu nie pragnąłem tak bardzo być z kobietą, jak teraz. I wciąż zastanawiam się nad tym, jak zdobyć pieniądze dla Lolity szybciej, mimo że wiem, iż to przyśpieszenie wiąże się z ryzykiem. Jest niebezpieczne. Co więcej, Anieczko, pachnie kryminałem. Dlatego chcę cię zapytać, moja dziewczynko, czy nadal będziesz mnie kochała, nawet jeśli zrobię coś wbrew prawu po to, żeby zdobyć pieniądze. Teraz decyzja należy do ciebie: albo postaram się o forszę uczciwą drogą, ale wtedy nasz ślub musimy odłożyć na czas nieokreślony, albo zorganizuję je szybko, tyle że balansując na granicy prawa, a ty mi w całej tej operacji pomożesz. Jak powiesz, tak będzie.

Ania podciągnęła nogi i zwinęła się w kłębek na kanapie, głowę położyła Paryginowi na piersi i objęła go za szyję.

– Ja też nie chcę czekać – oświadczyła stanowczo. – Całe życie nic innego nie robiłam, tylko czekałam nie wiadomo na co. Mam już tego dosyć. Zrobię wszystko, co zechcesz. Możesz na mnie polegać.

ROZDZIAŁ 12

Dzisiaj Wasilij Walerianowicz Gałuzo znów osobiście pojechał do centrum szkolenia. Wybrał dzień, kiedy Stojanow na pewno będzie w Moskwie. Musiał pogadać z Zieleninem w cztery oczy, ale gdyby spotkali się gdzieś na mieście, Stojanow niechybnie by się o tym dowiedział i uznał, że intrygują za jego plecami. Jeżeli natomiast on, Wasilij Walerianowicz, wybierze dobry moment i przyjedzie do centrum, zawsze może udać, że chciał się widzieć ze Stojanowem, ale szefa nie zastał, no cóż, wielka szkoda. Ale trudno – wstąpi do jego zastępcy.

Prezydent choruje. Z początku wyglądało to niezbyt groźnie, jest chory – wiadomo, ludzka rzecz, człowiek nie maszyna, zresztą maszyna też się psuje. Choroba każdemu może się przytrafić. Po operacji zresztą stan prezydenta poprawiał się zadziwiająco szybko, lekarze nawet w najbardziej optymistycznych prognozach nie spodziewali się takiego obrotu sprawy. Ale potem prezydent znowu się rozchorował – jakaś grypa czy może zapalenie płuc – i złośliwcy jęli szeptać, śmieiej podnieśli głowy, czym prędzej zaczęli w Dumie przepychać projekt uchwały o złożeniu przez prezydenta urzędu ze względu na zły stan zdrowia... I tak dalej.

Gałuzo nie był po ich stronie, w ogóle do obecnego kierownictwa odnosił się raczej obojętnie, a właściwie nawet lojalnie, ale przecież jego idea, plan – ukochane dziecię – miał największe szanse na realizację w okresie zmiany władzy. Gałuzo sądził, że na tę chwilę przyjdzie mu czekać jeszcze trzy i pół roku, tymczasem okazało się, że wszystko może się zdarzyć już teraz. Oczywiście, na razie nie jest jeszcze w pełni przygotowany, sprawa została ledwie zapoczątkowana, ale nie wolno zmarnować okazji. Jeżeli szykują się nowe wybory, trzeba pomyśleć i o własnych interesach.

Zielenin powitał Wasilija Walerianowicza życzliwym uśmiechem, ale jego oczy, jak zwykle, były chmurne. Czasami Wasilij zastanawiał się, czy spojrzenie Aleksandra Pietrowicza w ogóle bywa inne, na przykład kiedy ten śmieje się z dobrze opowiedzianego dowcipu lub rozmawia z kobietą, która mu się podoba. Sam Gałuzo w każdym razie nigdy innego wyrazu oczu u Zielenina nie widział.

– Zapoznałem się z opracowaną przez pana koncepcją działania centrum szkoleniowego – zaczął Gałuzo – i muszę powiedzieć, że mi się ona podoba. Od razu widać, że została dogłębnie przemyślana, nie ma w niej żadnych słabych punktów. Ale teraz musimy pomówić o czymś innym. Obecnie sytuacja wygląda tak, że nie można wykluczyć przedterminowych wyborów, a pośród aktywu mamy niewielu sponsorów. Rozumie pan, co chcę przez to powiedzieć?

Zielenin skinął głową z lekkim uśmiechem.

– Jeżeli stanie się tak, że wybory zostaną ogłoszone i rozpocznie się kampania, musimy być na czas pod bronią. Proponuję zrobić przegląd naszych dłużników, to znaczy ludzi, którzy mają wobec nas zobowiązania, i zastanowić się, w jaki sposób mogliby być dla nas najbardziej użyteczni. Chodzi mi o firmy, które nas finansują w zamian za własny spokój. Powtarzam, program jest w początkowej fazie, i takich firm na razie nie mamy do dyspozycji tyle, ile byśmy chcieli, ale naszym terminem docelowym był rok dwutysięczny, a nie dziewięćdziesiąty siódmy. Musimy pomyśleć, jak zwiększyć liczbę zależnych od nas osób, i to w możliwie najkrótszym czasie. W pierwszej kolejności zwracam się z tym do pana, Aleksandrze Pietrowiczu, jako że właśnie pan pośrednio przyczynił się do tego, że sprawa programu została trochę przyhamowana. Powinniśmy byli pracować pełną parą już z drugim rocznikiem kursantów, ale stworzyliśmy panu możliwość opracowania własnej koncepcji, żeby mógł pan wykorzystać swój potencjał twórczy. Zielenin spojrzął w okno, a wyraz twarzy miał przy tym tak nieobecny, że Wasilijowi Walerianowiczowi wydało się, iż rozmówca w ogóle go nie słucha. Naprawdę dziwny osobnik z tego Zielenina, niebezpiecznie pchać go w górę, trudno go zrozumieć, jest nieprzewidywalny i skryty. Ale nie można się wycofać, obietnice zostały złożone, gwarancje przypieczętowane.

– Aleksandrze Pietrowiczu, słyszy mnie pan? – upewnił się Gałuzo.

– Słyszę. Przepraszam bardzo, chwila nieuwagi. Wie pan, przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Nie wiem, jak się panu spodoba.

– Jaki to pomysł? Proszę, niech pan powie – zachęcił go Wasilij Walerianowicz.

– Pomysł, jak naszych przeciwników zamieniać w sprzymierzeńców. Zgadza się z panem, że dofinansowanie, jakie otrzymujemy, jest absolutnie niewystarczające, zwłaszcza jeśli traktuje pan poważnie moją koncepcję działania centrum. Zdziwiło mnie nawet, że nie ma pan do niej żadnych zastrzeżeń, spodziewałem się jakichś uwag krytycznych.

Gałuzo przyklasnął Zieleninowi w myślach. Oczywiście, miał wiele zastrzeżeń, czytając jego tekst, i to jakich! Co innego trzymać człowieka w szachu, mając na niego haka w postaci kompromitujących materiałów, a zupełnie co innego pracować z nim bez czegoś takiego w zanadrzu! Rządzić ludźmi można jedynie za pomocą strachu i pieniędzy. Jeżeli nie wchodził w grę strach, którego zdecydowanym przeciwnikiem był Zielenin, to pieniądze. Ale skąd je wziąć? Poza tym, tenże Zielenin nalegał na to, żeby kursanci nie byli skoszarowani, lecz codziennie przyjeżdżali na zajęcia z domu. Tym, którzy nie mieszkają w Moskwie, należy umożliwić wynajęcie lokum, a to też kosztuje. Również problem dojazdów powinien być jakoś rozwiązany. Jeżeli kursant mieszka na miejscu, to żadna sprawa, ale jeśli musi codziennie dojeżdżać i wracać – zupełnie co innego. Droga od najbliższej stacji kolejowej – pieszo – trwa godzinę piętnaście, godzinę dwadzieścia minut. Każdemu trzeba zapewnić samochód. Nie będą ich przecież wszystkich w kupie wozić autobusem... Za

dobrze by się poznali, nie daj Boże, zaprzyjaźnili, tylko tego brakowało... Nauczanie w centrum jest indywidualne, każdy kursant ma osobistego instruktora do poszczególnych zajęć i osobny pokój. Harmonogram korzystania z hali sportowej i krytej strzelnicy jest ułożony tak, żeby uczestnicy kursów mogli doskonalić swoje umiejętności w pojedynkę, tylko w obecności trenera, lekarza i psychologa. Ile pieniędzy pochłania ta indywidualna metoda, aż strach pomyśleć, ale to konieczne dla uniknięcia ewentualności, że taka osoba zostanie później rozszyfrowana. Nie można ryzykować zmarnowania takich „inwestycji kapitałowych”, pakując wszystkich do jednego autobusu. To byłby idiotyzm. Oczywiście, że dla każdego potrzebny jest samochód. Może być rodzimej produkcji, nienowyy, ale i to kosztuje, nie mówiąc już o benzynie i utrzymaniu wozów w odpowiednim stanie technicznym.

– A więc co pan wymyślił, jeśli chodzi o nowe źródła finansowania? – z życzliwym zainteresowaniem spytał Gałuzo.

– Widzi pan – ostrożnie zaczął Zielenin – o ile dobrze zrozumiałem, pan nie proponuje konkretnym firmom, by dawały pieniądze na program w zamian za pewne usługi. Czeka pan, kiedy ich przedstawiciele sami wpadną na ten pomysł i zwrócą się do pana ze stosowną propozycją. Czy tak?

– Tak – potwierdził Wasilij Walerianowicz.

– Ale takich domyślnych nie ma dzisiaj wielu, sam pan to przyznaje. Program, bądź co bądź, jest państwowy, i mało kto po prostu zaryzykuje wystąpienie z taką propozycją, w obawie, że zostanie niewłaściwie zrozumiany. Zwracają się do pana tylko ci, którzy znają osobiście kogoś z kierownictwa programu i dzięki temu mogą najpierw wy badać grunt.

– No tak. – Wasilij znowu skinął głową. – A pan uważa, że powinniśmy zorganizować akcję reklamową i proponować swoje usługi jak tania dziwka z agencji towarzyskiej?

– Nic podobnego. Sądzę tylko, że należy umieć wyciągać korzyści z zaistniałej sytuacji. Weźmy dla przykładu Rosyjską Trojkę, najbogatszy bank z oddziałami w całej Rosji. Forsy jak lodu. A na liście naszych sponsorów ich nie ma. To nie w porządku.

– I co pan proponuje, żeby zmienić ten stan rzeczy?

– Sądzę, że należy wykorzystać historię z Nurbagandowem. Nie mieliśmy tego w planie, to przypadkowy zbieg okoliczności, który teraz, moim zdaniem, może się stać kartą przetargową. Uwolniliśmy Trojkę od, łagodnie mówiąc, wtyczki fiskusa, i w dodatku na tyle szybko, że facet nie zdążył niczego się dokopać. Czy to nie wystarczający powód do wdzięczności? Trzeba tylko znaleźć człowieka, który weźmie wszystko na siebie.

Gałuzo uśmiechnął się. Dobry numer z tego Zielenina. Całe życie pracował naukowo, zajmował się konkretnymi, a tymczasem pomysły ma nie gorsze niż on sam. Trzeba znaleźć człowieka, który stoi blisko kierownictwa Rosyjskiej Trojki, mało

tego, uchodzi za oddanego przyjaciela, ale zarazem nie jest całkiem uczciwy. Powinien mieć na sumieniu jakiś grzeszek wobec właścicieli Trojki, który chciałby zatrzeć. No i umieć rozegrać historię z Nurbagandowem, tak by obie strony były zadowolone. W sumie mogłoby to wyglądać mniej więcej tak: „Kochani, dowiedziałem się przypadkowo, że podesłali wam wtykę i wszystkie wasze machinacje podatkowe w niedalekiej przyszłości wyjdą na jaw. Wziąłem sprawę na siebie, załatwiłem – więcej nie będzie wam dokuczał. Ale wy też nie zapominajcie o tym, że państwo bardzo ostro traktuje teraz sprawę podatków, skoro zabrakło tego faceta, na jego miejsce przyjdzie inny, tak czy siak wam nie odpuszczą, choćbyście byli nie wiem jak bogaci i potężni. Dlatego moja rada jest taka: nie czekajcie, aż wasze przekręty, jeśli je robicie, wyjdą na jaw, tylko ułóżcie się z tymi, którzy te wtyczki wszędzie nasyłają, spróbujcie się jakoś dogadać. Tak na pewno będzie lepiej”.

– Interesujący pomysł – rzekł po chwili milczenia Gałuzo.

– Ale sam pan słusznie zauważył, że historia z Nurbagandowem to przypadek, nieprzewidziany zbieg okoliczności. Niewątpliwie można i trzeba go wykorzystać, ale trudno liczyć na to, że podobna sytuacja się powtórzy.

– I nigdy nie należy tego robić. – Zielenin znów się uśmiechnął. – Proponuję potraktować ten przypadek jako precedens, rozpatrzyć go dokładnie i w sposób przemyślany przekształcić w system. I w przyszłości nie opierać się na oderwanych incydentach, lecz samemu kreować określone sytuacje.

Gałuzo poczuł, jak zimny dreszcz przebiega mu po krzyżu. „Kreować określone sytuacje”! Za tymi uczenie brzmiącymi słowami krył się tak nieprawdopodobny cynizm, że nawet on, z pewnością nie mięczak, wzdrygnął się wewnętrznie. Oto jasne postawienie sprawy! Czegoś takiego spodziewałby się raczej po Stojanowie, ale nigdy po tym molu książkowym. Boże, aż strach myśleć o tym, co facet proponuje. Wprowadzanie do „niepokornych” banków i firm nieświadomych niczego osób, potem – w krótkim czasie – zabijanie ich, a następnie podsyłanie do właścicieli zaufanych ludzi, którzy powiedzą: poświęciłem się dla was, popełniłem grzech, ale lepiej oddajcie się sami, zanim zostaniecie zgwałceni. Jak mówią mądrzy Anglicy, skoro nie można uniknąć gwałtu, należy się rozluźnić i postarać mieć z tego jak najwięcej przyjemności.

– Co więcej – ciągnął Zielenin – dzięki temu zdobędziemy wdzięczność nie tylko banków i firm, ale również od osób, które będą z nimi prowadziły pertraktacje. Te osoby, jak już mówiliśmy, powinny mieć jakiś grzeszek na sumieniu, bo wtedy za możliwość odzyskania zaufania przyjaciół lub – na przykład – odłożenia terminu spłaty kredytu zgodzą się drogo zapłacić. W ten sposób upieczemy dwie pieczenie na jednym ogniu.

Tak, na taką myśl nawet Gałuzo by nie wpadł. Nie bez powodu tak pchają tego Zielenina w górę, pewnie niejedną taką intrygę zaplanował dla swoich protektorów ze świata wielkiej polityki. Wiele osób ma wobec niego zobowiązania.

I bez wątpienia wielu się go boi. Nic dziwnego! A tak, na oko, nigdy by człowiek nie powiedział, ot, niziutki, rumiany, oczka się świecą, chociaż spojrzenie chmurne. O takich rumianych konusach nikt nigdy nie pomyśli, że są niebezpieczni. A to błąd. Oni właśnie są najniebezpieczniejsi. Stojanow w porównaniu z Zieleninem to niewinne dziecko. Jak zwykł działać Grisza Stojanow? Tak jak w poprzednim systemie pracowała cała milicja – czyli opierając się na kompromitujących materiałach i na strachu. Właśnie dzięki tym materiałom wspiał się w górę, trzymał w szachu radzieckich partyjnych bonzów, straszył ich ujawnieniem pozasłużbowych kontaktów i uczestnictwa w orgiach seksualnych – i wszystko w życiu układało mu się tak, jak chciał. Dewizowe prostytutki trzymał na krótkiej smyczy, one dostarczały mu informacji, on nie ścigał ich za umyślne uchylanie się od pracy i nielegalne dochody. Krótko mówiąc, prymityw, nieprzygotowany do bardziej wyrafinowanego sposobu działania. Zielenin to co innego. Ciekawe, skąd w nim tyle cynizmu? I taka łatwość szafowania ludzkim życiem? No cóż, uznał Gałuzo, pewnie stąd, że w odróżnieniu od Stojanowa nigdy nie zetknął się z rzeczywistą, realną przestępczością i nigdy też nie widział na własne oczy kobiety, której zamordowano syna lub zgwałcono nieletnią córkę. Nie widział prawdziwego nieszczęścia i łez, nie ocierał się z plwociny, tak jak często robili to śledczy i oficerowie operacyjni, którym rodzice ofiar nieraz całkiem dosłownie pluli w twarz za to, że milicja nie potrafi znaleźć winnych, a zamiast tego zadaje jeszcze upokarzające pytania.

– No cóż, Aleksandrze Pietrowiczu – możliwie najbardziej neutralnym tonem rzekł Gałuzo – zastanowię się nad pańską propozycją. W aspekcie strategicznym wydaje się bardzo obiecująca, ale boję się, że w taktycznym może być trochę niebezpieczna. Musi pan wziąć pod uwagę, że zabójstwem Nurbagandowa zajmuje się milicja. Jak to będzie wyglądało, jeśli nagle zacznie się mówić, że ma z tym coś wspólnego konkretna osoba?

– Nie należy upraszczać sprawy, Wasiliju Walerianowiczu. Zapewnił mnie pan, że trzyma rękę na pulsie, a więc, jak rozumiem, tok śledztwa w sprawie tego zabójstwa powinien być panu znany. Rozumiem, że nie może pan kontrolować sytuacji ani na nią wpływać, ale musi pan wiedzieć, co się dzieje. Na podstawie tej wiedzy opracujemy technikę przeprowadzania całej operacji. Zwłaszcza że mamy tu tak doświadczonego oficera operacyjnego, jak Grigorij Iwanowicz. Mogę pana zapewnić, że ta technika nie będzie prymitywna, szyta grubymi nićmi. Jeżeli wyrazi pan oficjalną zgodę, przedstawię panu ogólny schemat teoretyczny, który następnie skorygujemy na podstawie toku śledztwa w sprawie zabójstwa Nurbagandowa.

– Zastanowię się – powtórzył Gałuzo, uchylając się od zdecydowanej odpowiedzi.

Przez całą powrotną drogę do Moskwy usiłował wyzbyć się uczucia jakiejś dziwnej niepewności i pomieszania. Diabli wiedzą tego Zielenina... Z jednej strony, niewątpliwie ma rację, trzeba przyśpieszyć bieg wypadków w związku z ewentualnością przedterminowych wyborów, a jeśli nawet do nich nie dojdzie,

pieniądze i tak są potrzebne na realizację programu, zwłaszcza jego utajnioną część. Z drugiej jednak, koncepcja Zielenina budzi wątpliwości. Jest niebezpieczna. Groźna. Chociaż – to trzeci aspekt sprawy – po to przecież właśnie istnieje owa najtajniejsza część programu, o której wie tylko wąski krąg ludzi. Więc może zaryzykować?

Kiedy skręcili z obwodnicy, Gałuzo z samochodu zadzwonił do Borowkowa.

– Witaliju Arkadjewiczu, proszę na mnie poczekać, nie wychodzić. Musimy porozmawiać.

*

Anna Łazariewa nie знаła słowa „wątpliwości”. Wszelkie wahania były jej obce, decyzje podejmowała łatwo i szybko, chociaż wiedziała doskonale, że ten pośpiech często prowadzi do błędów. Jeszcze w tamtym, innym życiu jej koleżanki z drużyny zawsze dziwiło, jak szybko Ania potrafi robić zakupy. One długo wybierały każdą rzecz, zastanawiały się nad ceną, porównywały, ile to samo kosztuje na innych straganach, obawiając się przepłacić lub kupić towar w gorszym gatunku. Ona kupowała od razu, bez namysłu, brała pierwszy z brzegu przedmiot, który jej się podobał, i była zadowolona. Ale też trzeba jej przyznać, że nigdy nie okazywała irytacji, jeśli na następnym straganie to samo okazywało się dwa razy tańsze. „Aniu, to przecież bazar – tłumaczyły jej koleżanki – nie kupuj od razu, obejdz wszystkich sprzedawców, na pewno u niektórych jest taniej, tu przecież nie ma stałych cen, jak w socjalizmie, biorą je z sufitu. Albo przynajmniej się targuj”. Ale ona nie słuchała tych rad, chociaż zdawała sobie sprawę, że im bliżej wejścia na bazar, tym ceny są wyższe.

I nigdy się także nie targowała.

Podobnie było w innych sprawach. Anna pochopnie wdawała się w przelotne romanse, a kiedy już podjęła jakąś decyzję, nie wątpiła w jej słuszność. Miała też jeszcze jedną cechę: zupełnie nie umiała czekać. Są ludzie cierpliwi, którzy odznaczają się niezwykłą zdolnością czekania tygodniami, miesiącami, latami, nie denerwując się i nie ubolewając, że upragniony rezultat wciąż nie następuje. Umieją się od tego oderwać, zająć codziennymi sprawami, świadomi, że są one nie mniej ważne niż to, na co czekają. Ania zupełnie tego nie potrafiła. Przyśpieszała bieg wydarzeń, wybiegała im naprzeciw, nie oglądając się na nic i popełniając przy tym błędy, a nawet niewybaczalne głupstwa, potem zaś, kiedy rezultat okazywał się opłakany, wpadała w rozpacz.

Teraz gorąco pragnęła wyjść za mąż za Parygina. To pragnienie było tym silniejsze, że wydawało się całkiem realne, przecież Jewgienij to pierwszy w życiu Anny mężczyzna, który jej się oświadczył. A ponieważ jak najszybsze spełnienie marzeń wiązało się ze zdobyciem pieniędzy, gotowa była bez najmniejszego wahania zrobić wszystko, co Parygin uzna za konieczne. Nawet gdyby miało to być działanie niezgodne z prawem, o czym ją zresztą uprzedzał.

– Musisz pójść do redakcji i odszukać tam dziennikarza nazwiskiem Bagluk –

oświadczył Jewgienij.

– I co mam mu powiedzieć?

– Powiedz, że pewien człowiek chce z nim porozmawiać na temat artykułu *Zwłoki na śmietniku* i przekazać mu kilka dodatkowych informacji.

– Ten człowiek to ty?

– Oczywiście, że ja. Ale sprawa jest delikatna i nie chcę sam pokazywać się w redakcji, nie wiedząc, co to za facet z tego Bagluka. W tej sprawie zdaję się na ciebie, jesteś mądrą, rozsądną dziewczynką, sama się zorientujesz. Jeżeli wyczujesz, że chce się wykręcić, nie przyduszaj go, nie nalegaj, podziękuj mu uprzejmie i pożegnaj się, rozumiesz?

– Ale jak to, Żenia... – zaczęła z powątpiewaniem Anna.

– Jeżeli nie będę nalegała, Bagluk nie zechce się z tobą spotkać. Wobec tego po co to wszystko?

– Anieczko, w tak delikatnej sprawie wszelkie naciski mogą tylko zaszkodzić. Jeżeli Bagluk jest uczciwym facetem, od razu się zgodzi, a to będzie znaczyło, że można z nim rozmawiać otwarcie. Jeśli natomiast zacznie kręcić, i tak się z gościem nie dogadam, działając prostą drogą. Ty wyjdiesz, na nic nie nalegając, a ja już się nim zajmę, sprawdzę, do kogo poleci, żeby opowiedzieć o twojej wizycie w redakcji, i dzięki temu trafię na ludzi, którzy są w posiadaniu tajnych informacji. Właśnie o nich mi chodzi.

– Będziesz ich szantażował? – domyśliła się Anna.

– Zobaczymy. Być może, jeszcze nie wiem. Zrobisz to, o co cię proszę?

– Oczywiście, Żenia. – Anna obdarzyła Parygina ciepłym uśmiechem. – Rozkazuj, mój książę, a wszystko spełnię.

W drodze do redakcji trochę się denerwowała, w obawie, że stanie się tam ośrodkiem ogólnego zainteresowania, wszyscy się dowiedzą, że szuka Bagluka, i zaczną zadawać pytania: kim jest, skąd przyszła, dlaczego zależy jej na kontakcie z dziennikarzem. Ale gdy tylko weszła do budynku i na pierwszym piętrze zobaczyła na drzwiach tabliczkę z nazwą gazety, momentalnie się uspokoiła. Było tam pełno ludzi, wszyscy kręcili się, biegali, prowadzili głośne rozmowy, wykrzykując coś do siebie z dwóch przeciwległych końców długiego korytarza, i nikt nawet nie zwrócił uwagi na zbyt wysoką dziewczynę. Anna nie wiadomo dlaczego wyobrażała sobie, że przy wejściu będzie siedział groźny ochroniarz albo jakiś strażnik, któremu ona powie, że szuka Walentina Bagluka, a ów stróż porządku skieruje ją do właściwych drzwi. Nic podobnego jednak się nie stało. Nie było żadnego ochroniarza i nikt nie zadawał jej żadnych pytań.

Anna rozejrzała się i zdecydowanie nacisnęła klamkę pierwszych z brzegu drzwi.

– Przepraszam, gdzie mogę znaleźć pana Walentina Bagluka?

W pokoju było sporo osób, ale usłyszawszy jej pytanie, wszyscy podnieśli głowy i zamilkli. Od najdalej stojącego biurka wstał barczysty mężczyzna około czterdziestki,

który przedtem rozmawiał o czymś z niepozorną, chudą blondynką. Skinął Annie ręką i powiedział głośno:

– Proszę chwileczkę poczekać, zaraz do pani przyjdę.

Inni znów wrócili do swoich zajęć i Anna ze zdziwieniem pomyślała, jakie wszystko okazało się proste. Weszła, otworzyła pierwsze lepsze drzwi i od razu trafiła na tego, kogo szukała. Niepotrzebnie tak się bała, denerwowała. Na jej wzrost też nikt nie zwrócił uwagi, widocznie do redakcji przychodzą różni ludzie, nawet bardziej nietypowi niż ona.

Wyszła na korytarz, a dosłownie w kilka chwil po niej – tamten mężczyzna.

– Dzień dobry – powitał ją z czarującym uśmiechem.

– Dzień dobry. – Anna także uśmiechnęła się w odpowiedzi. – Pan Bagluk?

*

Serce Korotkowa zabiło mocniej. Są dwa wyjścia. Albo przedstawić się jako Bagluk, albo powiedzieć prawdę. Tylko dwa wyjścia, a w dodatku decyzję należy podjąć niezwłocznie, w ułamku sekundy, bez chwili widocznego namysłu. Miał wielką ochotę odegrać rolę Bagluka, ale wiedział, że Nastia, która została w pokoju, nie zaakceptuje tego wyskoku. Kim jest ta dziewczyna? Nie może być znajomą dziennikarza, bo wtedy wiedziałyby, jak facet wygląda. A więc kto to? Może po prostu zwyczajna młoda kobieta, tyle że bardzo wysoka... Wysoka. O cholera, przecież to Łazariewa! No oczywiście, koszykarka, którą Misza rozpracowywał w sprawie siedmiu zabójstw. Co wspólnego może mieć ta niezrównowazona osoba o cechach psychopatycznych, jak ją scharakteryzował Docenko, z dziennikarzem, który pisał o Mamontowie?

– Wala jest chwilowo w delegacji – zełgał bez zmrżenia oka. – Ale prosił, żebym przyjmował wszystkich, którzy mają do niego jakąś sprawę, i szczegółowo zanotował, kto i co pragnie mu przekazać.

– A kiedy wróci?

– Trudno powiedzieć. Pojechał do Tadżykistanu zbierać materiały na temat porwanych dziennikarzy. Mogę pani w czymś pomóc?

– Raczej nie. Zaczekam, aż wróci.

– A jeżeli zadzwoni, co mu przekazać?

– Nic. Zgłoszę się po jego powrocie. Do widzenia.

Dziewczyna odwróciła się i energicznym krokiem ruszyła do wyjścia. Korotkow wpadł jak bomba do pokoju, gdzie zostawił Nastię, próbującą dowiedzieć się od kolegów Bagluka, z kim ten mógł się spotkać po opuszczeniu Pietrowki w dniu, gdy zginął.

– Pozwól na chwileczkę – mruknął, chwytając Nastię za rękę i przepychając się razem z nią przez zatłoczony pokój w stronę drzwi.

Na korytarzu zaciągnął ją w najdalszy koniec, gdzie było w miarę spokojnie.

- Wiesz, kto szukał Bagluka?
- Nie widziałam, siedziałam tyłem do drzwi.
- Twoja Łazariewa.
- Kto?
- Łazariewa, ta koszykarka.
- Jesteś pewien? Podała swoje nazwisko?
- Prawie dwa metry wzrostu, twarz taka sama jak na zdjęciu, któreście mi pokazywali razem z Miszą. Takich sobowtórów nie ma.
- Raczej nie – zgodziła się Nastia. – Czego chciała?
- Nie mówiła. Ale Bagluka nie zna, w każdym razie nigdy przedtem go nie widziała. Z początku wzięła mnie za niego. Co robimy, Aśka? Może warto ją mieć na oku? Daleko jeszcze nie uszła, a ja jestem samochodem. Dogonię ją.
- I co dalej?
- Zobaczę, dokąd pójdzie, z kim się spotka.
- Poczekaj, Jurik, nie gorączkuj się. Dziewczyna już cię widziała, więc długo za nią nie pochodzisz. Poza tym wiemy, kim jest, gdzie pracuje i mieszka, tak że z pewnością nam nie zginie. Dojście do niej też mamy. Oczywiście, źle się stało, żeśmy się pośpieszyli ze zwolnieniem Miszy, ale przecież ledwie dwa dni minęły, jak się z nią nie widział. Wszystko jeszcze można odkręcić. I Misza się dowie, dlaczego Łazariewa szukała Bagluka.
- Racja – zgodził się Korotkow. – Wobec tego wracajmy do pokoju, nie wszystkich jeszcze przepytaliśmy.

W redakcji spędzili ładnych parę godzin, ale i tak nie zdołali ustalić, z kim pił feralnego wieczoru lekkomyślny dziennikarz. Bagluk był człowiekiem towarzyskim i bezpośrednim, miał wielu znajomych, których z przyjemnością ze sobą zapoznawał; Nastia i Korotkow zdobyli nazwiska i numery telefonów wszystkich jego przyjaciół. Pozostawała nadzieja, że po rozmowie z Paniskiem Bagluk spotkał się i pił z którymś z pozaredakcyjnych znajomych. Sprawę ułatwiał nieco przedział czasowy: między wyjściem Bagluka z Pietrowki a wypadkiem upłynęło nie więcej niż dwie i pół godziny, a w ciągu tego czasu, i to przy ślizgawicy na jezdniach, trudno by było dojechać na drugi koniec Moskwy, żeby tam się napić. Tak więc po raz ostatni w swoim życiu Walentin Bagluk zalał się najprawdopodobniej gdzieś w centrum miasta.

Po wyjściu z redakcji Nastia i Korotkow rozjechali się w różne strony. Jura zajął się innymi sprawami, a Nastia wróciła na Pietrowkę metrem. Przed wejściem do budynku zauważyła Mielnika, który wsiadał do samochodu. Potem wjechała na czwarte piętro i zajrzała do Żeriechowa, zastępcy szefa.

- Pawle Wasiljewiczu, na długo Mielnik wyjechał?
- Już dzisiaj nie wróci. Jest ci potrzebny?
- Przeciwnie.
- Anastazjo, nie podoba mi się twoje nastawienie. Wiktor Aleksiejewicz nie byłby

z ciebie zadowolony – zauważył Żeriechow. – Nie można unikać zwierzchników.

– Wiem o tym. Poprawię się – obłudnie obiecała Nastia.

No cóż, dobre i to, przynajmniej dzisiaj Panisko nie będzie się czepiał. A jeżeli jeszcze się jej uda usiąść przy telefonie, obdzwonić wszystkich przyjaciół Bagluka i odszukać tego, z którym dziennikarz spędził ostatnie godziny swego życia, to niewykluczone, że przekłeta butelka z zarysowaną etykietą przestanie ją tak dręczyć. Wtedy nastrój się Nasti poprawi i tchórzliwa myśl o odejściu z pracy sama się rozplynie.

*

Kapitan Docenko zadzwonił do człowieka, którego telefon dała mu rano Nastia, i prawie pół dnia spędził u pracownika Dzielnicowego Urzędu do spraw Przystępności Zorganizowanej, Władimira Owczarowa. Na razie zabójstwo szefa służby bezpieczeństwa banku Rosyjska Trojka, Dmitrija Wawiłowa, pozostawało niewyjaśnione. Obecnie rozpracowywano różne wersje robocze, związane z ewentualnymi próbami machinacji, w celu opanowania banku. Wawiłow rozprawiał się z facetami od takich operacji ostro, potrafił z nimi rozmawiać ich językiem, a poza tym, przepracowawszy pewien czas w Urzędzie, który teraz usiłował rozwiązać zagadkę jego zabójstwa, miał osobiste kontakty z niektórymi przedstawicielami świata przestępczego. Oczywiście, nie były to kontakty przyjacielskie, ale całkowicie wystarczające, by podnieść słuchawkę, zadzwonić, do kogo trzeba, i powiedzieć, co należy, czyli słowa, których sens sprowadzał się do tego: odwołaj swoje psy, niech szukają łupów gdzie indziej, bo inaczej sam wiesz, co będzie.

Pracownicy urzędu do spraw przestępstwa zorganizowanej badali, kto ostatnio usiłował wywołać konflikt z bankiem, i szukali podejrzanych zarówno w środowisku biznesowym, jak i przestępczym. Na razie jednak bez rezultatu. Przy okazji, naturalnie, prześwietlali życie prywatne Wawiłowa, jako że wszystkim dobrze wiadomo, iż często do zabójstw osób znanych i wpływowych dochodzi z przyczyn czysto osobistych; motywem może być na przykład zazdrość. Tutaj jednak nic takiego nie wchodziło w grę, Wawiłow był żonaty od piętnastu lat, i wszyscy zapewniali, że jego małżeństwo jest tak solidne i trwałe, iż można mu tylko pozazdrościć. Dzieci też miał udane.

– A tobie o co chodzi? – zapytał bez zbędnych wstępów Owczarow. – Dlaczego interesuje cię Wawiłow?

Kamieńska surowo zabroniła Michaiłowi wymieniać bez koniecznej potrzeby nazwiska Nurbagandowa. Dlatego też kapitan Docenko przygotował sobie wysoce prawdopodobne kłamstwo.

– Słyszałeś o artykule *Zwłoki na śmietniku*? – A jakże. Wszyscy tu go czytali i aż się zaplurali ze złości.

– No właśnie. Facet się tam przejechał po naszym Jurce Korotkowie. A ten chłopak, o którego chodziło, Nikita Mamontow, pracował nie tylko dla nas, ale i dla was. Całkiem możliwe, że Wawiłow akurat coś z nim miał. No i przyszło nam do głowy, że między tymi zabójstwami może istnieć jakiś związek. Różnie to bywa, no nie? Jurka nie werbował tego faceta, ale niewykluczone, że zrobił to Wawiłow. I w rezultacie go sypanął.

– No to co? – Owczarow nie rozumiał. – Jeżeli nawet tak było, to jasne, że Mamontowa rąbnęli swoi za donosicielstwo. Ale za co Wawiłowa?

– Znalazłyby się różne powody – enigmatycznie zauważył Docenko. – Może na przykład za to, że swego czasu przy pomocy Mamontowa Wawiłow uniemożliwił im jakiś skok. Albo za coś innego w tym rodzaju. Muszę się zorientować, czy istnieje coś, co mogłoby łączyć te dwa zabójstwa, a już dalej sami będziemy się w tym grzebać.

O dziwo, te słabiutki, naciągane, prawdę powiedziawszy, argumenty całkowicie przekonały Owczarowa, który przerzucając papiery w teczce, zaczął szczegółowo relacjonować Michaiłowi wszystko, co udało się ustalić, czyli jak spędził ostatnie dni życia szef ochrony banku Rosyjska Trojka.

Odtworzono przebieg wydarzeń z okresu mniej więcej trzech tygodni przed zabójstwem. Pracownicy banku twierdzili, że Wawiłow był jakiś, no, może nie tyle rozkojarzony, co zamyślony, jakby usiłował sobie coś przypomnieć lub zrozumieć. Albo rozwiązać jakiś problem. Nie, nie wydawał się zdenerwowany, nie wyglądał też na rozdrażnionego czy przygnębionego. Nie, nikt szczególny w tym czasie go nie odwiedzał, w każdym razie nikt taki, kogo by nie znano i nie widywano wcześniej. Nie było też do niego żadnych podejrzanych telefonów, w każdym razie pracownicy nic takiego sobie nie przypominali.

To samo zeznała wdowa. Żadnych telefonów, które wprawiałyby Dmitrija w zły nastrój, ani żadnych wizyt nieznanymi osobami w domu.

Słuchając relacji Owczarowa, Misza Docenko zapamiętał nazwisko świadka, które powtarzało się w niej najczęściej: Wasilij Kłykow, najbliższy pomocnik Wawiłowa spośród pracowników ochrony banku. Pokiwawszy na koniec głową i westchnąwszy współczująco, Michaił pożegnał się z Owczarowem i pod wieczór wrócił na Pietrowkę.

– Anastazjo Pawłowno – zaczął – wciąż usiłuję zrozumieć, jak pracuje ochrona w tego rodzaju wielkich firmach bankowych czy handlowych. Ci ludzie nie mają przecież żadnej możliwości zdobywania informacji, chyba że wydepczą sobie ścieżki własnymi nogami. Są nikiem, ani urzędnikami, ani funkcjonariuszami, nikt ich nie ma obowiązku o niczym powiadamiać. A na własną rękę niewiele da się zrobić. Dlatego jest rzeczą zrozumiałą, że do służby ochroniarskiej zgłaszają się najczęściej nasi chłopcy. Mają przynajmniej jakieś powiązania, kontakty, mogą się czegoś dowiedzieć.

– Racja. – Nastia kiwnęła głową, nie odrywając się od wykreślenia kolejnej tabeli, co pomagało jej skupić myśli.

– No więc zapoznałem się z przebiegiem służby Wawiłowa. I wie pani, co się okazało? Jako oficer operacyjny pracował zaledwie dwa lata. A cała jego kariera służbowa – oprócz tych dwóch lat – to GAI i tak zwana dawniej praca polityczno-wychowawcza z kadrą. Wawiłow był właśnie takim instruktorem polityczno-wychowawczym. I dopiero w dziewięćdziesiątym czwartym przeszedł, że tak powiem, do praktyki. Rok przepracował w kryminalnym i rok w Urzędzie do spraw Przestępczości Zorganizowanej. Chciałbym wiedzieć, dlaczego go tam wzięli. Akurat dużo się na tym rozumiał!

– Przypuszczam, że nawet wcale – zgodziła się Nastia. - Ale wiadomo, jak prowadzono nabór. Kto tylko się dał namówić, tego brali, kto się zgodził, ten był dobry. Ludzi wszędzie brakuje, wie pan to tak samo dobrze, jak ja. Miszeńka, niech się pan nie krępuje, proszę przedstawić swoją genialną koncepcję, przecież widzę, że pan ją ma, a kryguje się pan jak panienka.

Nastia odsunęła papiery i przeciągnęła się z zadowoleniem, rozprostowując zeszywniałe plecy. Wyobrażała sobie mniej więcej, co za chwilę usłyszy od Docenki, i w zupełności się z tym zgadzała. Nic przecież nie wiedziała o Wawiłowie, kiedy wysyłała młodego kapitana do Owczarowa, dlatego taka prosta myśl nie przyszła jej do głowy. Wawiłow, pracując w banku, musiał się regularnie zwracać do dawnych kolegów ze służby z różnymi prośbami, zwłaszcza o informacje personalne. Gdyby prosił o nie znajomków z urzędu do spraw przestępczości zorganizowanej, Owczarow na pewno by o tym wiedział. A to znaczy, że Wawiłow nie zwracał się do nich, lecz do kolegów z kryminalnego. Znaleźć ich czy też jego – jeśli to był jeden człowiek – to nic trudnego. Znaleźć i zapytać, czy Wawiłow miał do niego jakieś prośby lub pytania w grudniu ubiegłego roku. Może z ich charakteru będzie się można zorientować, co tak zaprzętało jego myśli. Najprościej będzie rozpocząć poszukiwania od Wasilija Kłykowa, którego nazwisko najczęściej przewijało się w zeznaniach świadków.

Zgadła, Misza Docenko właśnie to chciał jej zaproponować.

– Dobrze, Miszeńka, niech się pan skontaktuje z Kłykowem i poprosi go, żeby sobie przypomniał wszystkie imiona i nazwiska, które kiedykolwiek w ogóle słyszał z ust swojego szefa. To akurat coś dla pana, nikt tego lepiej nie zrobi w całej Moskwie. A wieczorem niech pan pojedzie do swojej przyjaciółki, którą pan tak pochopnie i radośnie porzucił, i sprawdzi, jak ona się czuje i co porabia.

– Anastazjo Pawłowno!

Docenko miał minę tak nieszczęśliwą i obrażoną, jak dziecko zmuszane do jedzenia znienawidzonej kaszy manny, chociaż nie dalej niż pół godziny temu rodzice obiecali, że jeśli posprząta w swoim pokoju i schowa wszystkie zabawki do szuflady, zamiast kaszy pozwolą mu zjeść wielki kawałek tortu.

– Tak trzeba, Misza, trudno. Pańska ślicznotka pojawiła się dzisiaj w całkiem nieoczekiwanym miejscu, a mianowicie w redakcji gazety, w której pracował Bagluk. I pan musi się niezwłocznie dowiedzieć, czego dziewczyna chciała od nieżyjącego

dziennikarza.

Ponury i przygarbiony powlókł się Misza do siebie. Najpierw trzeba zadzwonić do Kłykowa i umówić się z nim na spotkanie. Potem pojechać na komisariat, w którym pracował Wawiłow, i poprosić o spis zatrudnionych tam osób. To już o wiele trudniejsza sprawa, do rąk z pewnością mu tego nie dadzą, nie ma nawet co marzyć. Lepiej chyba najpierw poszukać tam jakichś znajomków i poprosić, żeby podali mu nazwiska z pamięci. Tak, tak trzeba zrobić. A jeżeli nikt znajomy się nie znajdzie, będzie musiał jakoś sprytnie pokombinować, żeby nie wciągać w to nikogo ze zwierzchników. Jemu zresztą wszystko jedno, poszedłby i do samego szefa i wyjaśnił, do czego potrzebny mu taki spis, ale Kamińska zabroniła. Coś jej się w tym wszystkim chyba nie podoba, dlatego tak omija zwierzchników. I w ogóle jest dzisiaj jakaś dziwna... Smutna. Przygnębiona.

Docence poszczyliło się przynajmniej w tym, że dawne miejsce pracy Wawiłowa znajdowało się w tej samej części miasta, co stacja metra Profsojuzna. Jeżeli trzeba będzie tam pojechać, do Anny będzie miał niedaleko. Byłoby pełnią szczęścia, gdyby trafił na jakichś znajomych. Jednakże tak się nie stało, chociaż jechać, jak się okazało, Docenko nie musiał. Człowiek, którego mógłby poprosić o przysługę, już tam nie pracował, przeszedł do innej służby. Za to udało się Michaiłowi od razu go znaleźć.

– Potrzebna mi pomoc, sprawa dotyczy waszego terenu, ale to wszystko ściśle tajne – łągał desperacko Docenko. – Mógłbyś mi wymienić nazwiska wszystkich pracowników oddziału? Potem nasi chłopcy przejrzą listę i zorientują się, który z twoich dawnych kolegów mógłby się przydać.

– No, nie wiem, czy potrafię wyliczyć wszystkich – zastrzegł się rozmówca Docenki. – Pewnie jacyś nowi przyszli już po moim odejściu.

– To nic – uspokoił go Michaił. – Nowi nie są nam potrzebni, chodzi właśnie o starych, którzy dobrze znają teren.

– W porządku – zgodził się tamten i nie zwlekając, zaczął podawać Docence nazwiska i stopnie.

Nie minęło pół godziny, gdy listę osób, z którymi niegdyś pracował Wawiłow, Michaił już miał w ręku. Jutro pojedzie z nią na spotkanie z Kłykowem, wtedy rozmowa o ludziach, których nazwiska wymieniał Wawiłow, będzie bardzo konkretna. Docenko dobrze wiedział, że przypominać sobie coś samemu jest o wiele trudniej niż z podsuniętych informacji oddzielić to, co znane, od nieznanego. Jeżeli Kłykow nie będzie umiał powiedzieć, do kogo z pracowników milicji zwracał się z prośbą o pomoc jego szef, Docenko dopomoże jego pamięci.

Zakończywszy przygotowania na jutro, Michaił pojechał na Profsojuzną. Ku jego wielkiemu zdziwieniu, Anny przy stoisku z prasą nie było. Zamiast niej stał wielki, brodaty facet, stentorowym głosem wykrzykujący tytuły najbardziej sensacyjnych i skandalizujących artykułów z rozłożonych przed nim gazet i czasopism.

– Popularny piosenkarz okazał się psychopatą! Starzejąca się aktorka wychodzi za

mąż za młodego statystę! Krwawe zabójstwo w Mytiszczach! Nowy superskuteczny środek odchudzający! Dla posiadaczy kuponu ze „Świata Nowości” zniżka! Kupujcie najnowsze wydania!

Michaił podszedł do sprzedawcy i kupił kilka najzupełniej mu niepotrzebnych pism.

– A gdzie jest Ania? – zapytał brodacza.

– Dzisiaj nie pracuje. To ty, Michaił? – Facet obrzucił Docenkę zaciekawionym spojrzeniem.

– Ja – nieco zdziwiony potwierdził kapitan. – A pan już o mnie wie?

– Nie tylko ja, cała firma, chłopaki przecież widzą, jak tu z Aniutką stoisz, kiedy zabierają towar do magazynu. Ona zresztą też o tobie opowiadała, zachwycała się, jaki jesteś nadzwyczajny.

– A dlaczego Ani dziś nie ma? Zachorowała?

– Nie wiem. – Brodacz wzruszył potężnymi ramionami.

– Dzwoniła, powiedziała, że przez najbliższe dwa tygodnie nie będzie pracowała, i koniec. Taką ma umowę, nie przyjdzie – nie zarobi, proste. Musi tylko uprzedzić, żeby zdążyli znaleźć kogoś innego do tego punktu.

Jakieś niedobre przeczucie, a właściwie na razie jakby słaby jego cień, zrodziło się w duszy Michaiła. Nie pokazywał się tu dwa dni, nie dzwonił też do Anny do domu. Widocznie uznała, że ją rzucił. Zresztą zupełnie słusznie. Docenko zdążył już trochę poznać Anię Łazariewą, wiedział zwłaszcza, że podejmuje decyzje i wyciąga wnioski szybko i bez wahania. A trzeba pamiętać, że już dwa razy w życiu podjęła naprawdę straszną decyzję, więc...

Nie, lepiej o tym nie myśleć. Trzeba po prostu zaraz do niej zadzwonić, i tyle.

Michaił szybko zjechał do metra, kupił w kasie żeton, znalazł automat i wybrał numer domowego telefonu Ani. Słuchawkę podniósł ojciec. Anna opowiadała, że nie grzeszy on delikatnością, a sposób życia córki zdecydowanie mu się nie podoba, o czym powiadamia każdego, kto się akurat nawinie, nie przebierając specjalnie w słowach. Ojciec Ani robił jakieś interesy, wiodło mu się całkiem dobrze, pieniędzy w domu nie brakowało, dlatego też za każdym razem, kiedy jego jedyna córka prosiła, żeby przynajmniej w obecności osób trzecich trochę się hamował, odpowiadał, że warunki będzie mogła stawiać wtedy, gdy wreszcie przestanie mu siedzieć na karku.

– Dobry wieczór – zaczął uprzejmie Docenko – czy mogę rozmawiać z Anną?

– Nie ma jej – obojętnie poinformował ojciec.

– A o której wróci? Kiedy mogę ją zastać?

– Diabli wiedzą. Nie nocuje w domu. – Ton rozmówcy wciąż pozostawał równie obojętny.

– Może mógłbym zadzwonić tam, gdzie teraz jest?

– Nie zostawiła numeru. Nie chce, żebyśmy się z nią kontaktowali. Zawsze jest tak samo – jak tylko sobie znajdzie nowego gacha, zapomina o całym świecie i nie wyłazi

z łóżka. Za trzy dni się pokaże, kocica cholerna, bo gdzie się podzieje?

– Mówiła, że wróci za trzy dni?

– A jakże – burknął niechętnie Łazariew. – Dłużej niż trzy dni jeszcze żaden chłop z nią nie wytrzymał.

– Dlaczego pan od razu tak... – sprzeciwił się ostrożnie Michaił. – Czemu pan myśli, że Ania nocuje akurat u nowego kawalera? Może jakaś jej przyjaciółka ma kłopoty i potrzebne jej towarzystwo? Albo coś w tym rodzaju...

– A co to ja, nie znam własnej córki?! – rozzłościł się ojciec Anny. – Po jej głosie poznaję, co jest grane.

Niczego więcej Michaiłowi nie udało się od niego dowiedzieć. Ciekawe, skąd taka pewność, że córka „znowu wpadła” i ma nowego gacha? Można by pomyśleć, że wielbiciele stoją do niej w kolejce, wystarczy się oddalić na chwilę, a już następny wskakuje na twoje miejsce, o mało nóg nie połamie... Swoją drogą, dziwne. Gdzie Anna się mogła podziać? W pracy uprzedziła, że nie będzie przychodzić, w domu – że się przenosi gdzie indziej. Klasyczny przykład próby ukrycia się w taki sposób, by nie wzbudzić niepokoju bliskich. Skoro wszystkich dookoła uprzedziła, że znika, nikt nie będzie jej szukał. Co tam Łazariew wspominał o jej głosie? Jest przekonany, że Anna ma nowego kochanka, bo mówiła wesołym, radosnym, dźwięcznym tonem? Na pewno. Ale z czego się tu cieszyć, Anno Siergiejewno, jeśli dopiero co porzucił panią przystojny dziennikarz?

Coś tu jest nie tak. Dzieje się coś dziwnego. Ania Łazariewa bez widocznej przyczyny zniknęła raptem Michaiłowi z oczu jak sen. I gdzie jej teraz szukać?

ROZDZIAŁ 13

Dawno już Nastia Kamieńska nie spędzała tak niespokojnych nocy. „Dawno” w tym konkretnym przypadku znaczyło dwa miesiące. Mało, że kretyńska butelka kretyńskiego alkoholika dziennikarza wciąż ją prześladowała, to jeszcze zniknęła Anna Łazariewa. A wszystko to spowodowała jej własna lekkomyślność i nadmiar zaufania. Dlaczego Anastazja uznała, że Łazariewa nie ma nic wspólnego z zabójstwami? Tylko na tej podstawie, że coś takiego twierdził wielce uczony profesor? Też mi argument. Nauka wysuwa różne hipotezy, trudno we wszystkie uwierzyć. Tym bardziej że Samojłow wcale nie powiedział, że Anna jest niewinna, mówił tylko, że tych siedem zabójstw nie stanowi serii. Może Łazariewa nie jest seryjną morderczynią, ale niewykluczone, że popełniła jedno z owych przestępstw. Dlaczego nie? A teraz się okazuje, że z byłą koszykarką jest coś nie w porządku.

Do domu Nastia wróciła późno i już wysiadając z windy, usłyszała, że telefon w mieszkaniu się urywa. Nie miała ochoty z nikim rozmawiać i postanowiła się nie śpieszyć. Jeśli dzwoniący poczeka, aż ona otworzy drzwi i zrzuci zabłocone buty, wtedy ma pewne szanse, ale jeśli się zniecierpliwi, to znaczy, że nic z tego, i tak właśnie miało być. Nasti nie bardzo chciało się rozmawiać. A tak z ręką na sercu – wcale jej się nie chciało.

Natręt okazał się jednak cierpliwy i trzeba było podnieść słuchawkę. Dzwoniła matka Nasti, która zawsze wieczorem dowiadywała się, co słyhać, czy wszystko w porządku.

– Masz smutny głos – zauważyła Nadieżda Rostisławowna. – Stało się coś?

– Jestem po prostu zmęczona – ze znużeniem odparła Nastia. – Głos mam normalny, zresztą jaki można mieć głos po całym dniu pracy?

– Jak się czujesz? Plecy cię nie bolą?

– Nie, nic mnie nie boli, wszystko w porządku.

– Co masz dzisiaj na kolację?

– Jeszcze nie wiem, dopiero przed chwilą weszłam. Zaraz zobaczę, co jest w lodówce.

– Córeńko, musisz jutro do nas przyjechać – kategorycznie oświadczyła matka. – To bez sensu.

– Co bez sensu? – odruchowo powtórzyła Nastia, myśląc o czymś zupełnie innym.

– To, jak się odżywasz. Przyjedź jutro po pracy, zrobię wcześniej zakupy i ugotuję ci, co trzeba, na kilka dni. Rozumiem, że nie masz siły ani czasu chodzić po sklepach i stać przy kuchni, wracasz późno i jesteś zmęczona. Dlatego musisz do nas

przyjechać i zabrać jedzenie.

– Mamo...

– Nie chcę tego słuchać – stanowczo przerwała matka. - Chyba nie chcesz, żebym się przeniosła do ciebie na czas pobytu Aloszy za granicą.

Istotnie, Nastia bynajmniej nie miała na to ochoty. Dlatego też od razu się zgodziła przyjechać, byle tylko uniknąć niebezpiecznego tematu i nie obrażać Nadzieży Rostisławowny.

– Dobrze, mamusku, jutro przyjadę – obiecała pokornie.

– No to świetnie – uspokoiła się matka – wszystko będzie gotowe. Ugotować ci barszcz?

– Nie, nie, barszczu nie. W ogóle żadnej zupy nie gotuj.

– A co chcesz? Kotlety?

– Aha. I kurczęta ojca roboty.

– Dobrze, jeszcze zobaczę. Koło której będziesz?

– Nie wiem, mamo, w mojej pracy trudno to przewidzieć. Myślę, że nie wcześniej niż o dziewiątej.

Może to dobrze, że pojedzie jutro do rodziców. Musi koniecznie zastanowić się nad sobą, nad swoim nagłym pragnieniem zmiany pracy. Nie znajdzie lepszego doradcy niż ojczym.

Po rozmowie z matką Nastia przebrała się w ciepły frotowy szlafrok i usiadła w kuchni, gdzie zrobiła sobie coś w rodzaju kanapki. Oczywiście znów zapomniała kupić pieczywo i jedynym jego kawałkiem, jaki udało jej się znaleźć, była na wpół zeschnięta przylepka, którą można było odświeżyć w piekarniku lub mikrofalówce. Szynki w lodówce okazało się całkiem sporo, za to żółtego sera zostało tyle co nic, ale jeśli się położyło na nieszczęsną przylepkę tłusty plasterek wędliny, na to marne resztki sera, udekorowało się całość kilkoma kroplami keczupu i wsunęło tego improwizowanego sandwicza do mikrofalówki, można było z powodzeniem oszukać głód.

Zwykle Nastia nie potrzebowała doradców, jeśli sprawa dotyczyła jej własnego sumienia. W skomplikowanych problemach służbowych mogła się zwrócić o radę do Pączka, czyli Gordiejewa, lub na przykład poprosić o konsultację generała Zatocznego z Głównego Urzędu do spraw Przestępczości Zorganizowanej. W kwestii różnego rodzaju konstrukcji logicznych i niuansów zachowań ludzkich najlepszym doradcą był jej mąż. Myśl Loszki biegła innym torem i często potrafił on dzięki temu spojrzeć na sprawę pod zupełnie nowym kątem. Ale ze swoim sumieniem Nastia Kamieńska zwykła radzić sobie sama. Co prawda, sytuacja była wyjątkowa, jako że przez cały czas służby w milicji Nastia zmieniła miejsce pracy tylko jeden raz, wiele lat temu, kiedy to ją, nikomu nieznaną młodą dziewczynę w stopniu lejtnanta, „odkrył” pułkownik Gordiejew w jednym z moskiewskich urzędów dzielnicowych i zabrał do siebie, na Pietrowkę. Nie musiała wtedy podejmować żadnych skomplikowanych

decyzji, gdyż wszystko rozegrało się jak w filmie: Nastia sumiennie wykonywała swoją pracę, wnosząc do niej elementy twórcze i koncepcyjne, podśmiewano się z niej i nie rozumiano jej pomysłów, opowiadano o niej zabawne historyjki, ale ona z uporem robiła wszystko po swojemu, i nagle znalazł się człowiek, któremu ktoś taki akurat był potrzebny. Przyszedł wtedy do Nasti i powiedział: pluń na to, spakuj manatki i chodź do mnie, tutaj i tak cię nie docenią, twoje zdolności nikomu się nie przydadzą, a u mnie będziesz się zajmowała tą właśnie pracą analityczną, która najbardziej ci odpowiada i najlepiej wychodzi. Czyż w tej sytuacji konieczna była jakakolwiek decyzja? Nastia musiała tylko zebrać swoje papiery i przekazać rozpoczęte sprawy. Taki szczęśliwy traf zdarza się raz w życiu, i to bynajmniej nie każdemu.

Teraz więc, siedząc w swojej małej i od dawna wymagającej remontu kuchni i powoli żując gorącą grzanekę, Nastia myślała o tym, że każdy taki szczęśliwy traf prędzej czy później zamienia się w pecha. Kiedyś nieoczekiwanie jej się powiodło: została podwładną wspaniałego szefa, który – po pierwsze – sam doskonale znał się na tym, czym się zajmowali jego pracownicy, i dlatego mógł ich uczyć i służyć pomocą, po drugie – umiał być mądrym i cierpliwym zwierzchnikiem, a także – po trzecie – nie lekcewał wrodzonych zdolności i cech charakteru żadnego ze swoich oficerów operacyjnych. Podśmiewał się z patologicznego lenistwa Nasti, strofował ją za to, że nie uprawia żadnego sportu i nie dba o zdrowie, ale jednocześnie rozumiał, że już za późno, by ją zmienić, dlatego też jej właśnie powierzył pracę analityczną, co wychodziło na korzyść całej sekcji. Nigdy nie musiała nigdzie daleko jeździć, śpieszyć się, brać nocnych dyżurów i w ogóle zajmować się sprawami, w których niewiele byłoby z niej pożytku. Nastia uwielbiała swoją pracę, gotowa była nie sypiać całymi tygodniami i nie brać urlopu, jeśli sytuacja tego wymagała, ale takie szczęśliwe życie spowodowało, że do innego okazała się zupełnie nieprzygotowana. Po prostu nie miała okazji się nauczyć, jak należy się przystosować do wymagań nowego szefa, który jej się nie podoba. Poza tym ten nowy szef wcale nie zamierza – w przeciwieństwie do Gordiejewa – powierzać jej wyłącznie roboty analitycznej, chce ją obciążyć takimi samymi zadaniami jak wszystkich innych pracowników sekcji, a analitykę traktuje jedynie jako dodatek do podstawowych obowiązków wywiadowcy, zresztą dodatek, który należy wyegzekwować.

Czy Nastia może pracować tak jak wszyscy pozostali? Tak, może, praca jest ciężka, nieprzyjemna, ale ludzie zajmują się nią od stuleci. Pytanie teraz, czy chce tak pracować? Nie. Nie, nie, nie. Jest na to zbyt leniwa. Nie ma wystarczającej odporności psychicznej, by co dnia zanurzać się w morzu nienawiści, rozpacz, nieszczęścia, złości i strachu. Nie... zresztą szkoda czasu na mnożenie argumentów, po prostu nie chce pracować tak jak inni. Chce pracować tak, jak do tego przywykła pod kierunkiem Gordiejewa.

Więc co ma robić? Pogodzić się z tym, że tak jak dawniej już nigdy nie będzie, i

otworzyć nową kartę w swoim życiu, w którym wszystko, wszystko się teraz zmieni? Czy też spróbować znaleźć takie miejsce, gdzie będzie mogła zachować własny styl pracy, robiąc przy tym rzeczy ważne i potrzebne innym, a zarazem interesujące dla niej samej? Jak postąpić? Zostawić kolegów, z którymi przepracowała razem ponad dziesięć lat i z którymi łączy ją nie tylko wykryte wspólnym wysiłkiem przestępstwa? Czy też zostać z nimi w imię wiernej przyjaźni i męczyć się, wykonując zadania, których przedtem nie podejmowała? Oczywiście, to nie znaczy, że Anastazja Kamieńska nigdy nie pracowała ze świadkami czy nie jeździła na miejsce przestępstwa. Nic podobnego! I szukała naocznych świadków, i organizowała konfrontacje, i nieraz oglądała rozkładające się czy rozkawałkowane zwłoki, i wiele godzin spędziła sam na sam z zabójcami na zlecenie. Wszystko to umiała zrobić, i robiła, gdy zaistniała taka potrzeba. Ale co innego, gdy przychodziła do Gordiejewa i mówiła: „Wiktorze Aleksiejewiczu, trzeba by to zrobić tak... I dlatego ktoś powinien się zająć tym a tym... A ja sama spróbuję się do tego zabrać w ten sposób...”. Co innego zaś, kiedy Mielnik będzie ją zmuszał do robienia tego, co o n uzna za konieczne, a nie pozwoli j e j realizować własnych koncepcji. Pierwszy miesiąc pracy pod jego kierownictwem pokazał jasno, że szef do pomysłów Nasti odnosi się bardzo sceptycznie i stanowczo sprzeciwia się wszelkim nowinkom, nie mówiąc już o eksperymentach. Za to siebie uważa Panisko za alfę i omegę, ba, niemal wyrocznie delficką. Z kimś takim nie tylko nie sposób dyskutować, ale nie można nawet przedstawić własnego zdania, jeśli człowiek nie chce się narazić na awanturę czy zostać publicznie obrażony.

Tak, mąż jej w tej sprawie nie doradzi, trzeba pogadać z kimś, kto dobrze się orientuje w pracy operacyjnej i zrozumie, co Nastię niepokoi i na czym jej zależy. A może ona po prostu wstydzi się i czuje niezręcznie z powodu swojej dosyć komfortowej sytuacji? Ma własne mieszkanie, które nie pochodzi z puli Głównego Urzędu. Mąż jest znanym naukowcem, wciąż otrzymuje zaproszenia z najbardziej renomowanych zagranicznych uniwersytetów, tak więc mieliby z czego żyć, wystarczy tylko, żeby Losza wyjeżdżał na wykłady nie raz w roku, lecz stale. Dzieci nie mają. Rodzice, dzięki Bogu, są zdrowi. Po prostu nie życie, ale bajka. W dodatku Nastia zna pięć języków obcych i jako tłumacz zarabiałaby o wiele więcej niż w wydziale kryminalnym, tak że może w ogóle plunąć na tę beznadziejną milicyjną harówkę i szefa, który się akurat księżniczce nie podoba. I pławiąc się w tym szczęściu, biegnie jeszcze do tatusia po radę. A tatuś – ściślej biorąc, mąż matki, ma dobre kontakty w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i duże doświadczenie zawodowe w ściganiu przestępców. Tak więc jeśli chodzi o rodziców, do księżniczki również los się uśmiechnął. Czyli: dziecko szczęścia, doskonale wykształcone (dzięki mamusi), żona profesora i członka Akademii Nauk – sytuacja doprawdy godna pozazdroszczenia.

Nastia nie zauważyła nawet, kiedy zdążyła zzuć wyschniętą, a zarazem ciągliwą

jak guma grzaną, tak zaprzętnęła ją analiza własnych odczuć. Skąd wzięły się te myśli? Czyżby ktoś z kolegów mógł ją w ten sposób postrzegać? Chyba nie, nigdy nie dawała do tego powodów, nie korzystała z pomocy ojczyma, nie zwracała się do niego ze swoimi problemami zawodowymi. Zresztą na ogół ich nie było, a jeśli się pojawiały, zawsze służył radą ukochany szef Wiktor Aleksiejewicz Gordiejew. Nigdy też Nastia nie zadzierała nosa z tego powodu, że – w odróżnieniu od kolegów – znała nie tylko prawo, ale i matematykę, i języki obce: nie, nie wywyższała się, takie uczucia były jej po prostu obce. Skąd więc wziął się ów paskudny, złośliwy głos, który szeptał jej do ucha te wszystkie wstrętne rzeczy o niej samej? Boże, co się z nią dzieje?

Nagle rozpaczliwie zapragnęła porozmawiać z Loszą. I raptem, jakby w odpowiedzi na to pragnienie, zadzwonił telefon.

– Co się tam u ciebie stało? – zapytał mąż, nawet się nie witając.

– A... – Nastia nie mogła przez chwilę ochłonąć ze zdumienia – jak się domyśliłeś? To znaczy, chciałam powiedzieć, skąd ci to przyszło do głowy? Nic się nie stało.

– Aśka, kłamać możesz komu innemu, nie mnie. Więc co się dzieje?

– Loszka, powiem ci, słowo honoru, ale mów, jak na to wpadłeś. Umieram z ciekawości.

– Elementarna logika, drogi Watsonie. – Czistiakow roześmiał się. – Przed chwilą rozmawiałem z ukochaną teściową, która cię niecierpliwie zasypała, skarżąc się, że masz jakiś przygnębiony głos i w ogóle jesteś przemęczona. A ponieważ znam cię i wiem, że w rozmowach z rodzicami starasz się zawsze robić wrażenie energicznej i wesołej i nie okazywać złego samopoczucia, od razu się zorientowałem, że skoro teściowa wyczuła, że coś jest nie w porządku, musisz być w kompletnym dołku. I co, może mi teraz powiesz, że nie mam racji?

– Masz. – Nastia westchnęła. – Jestem w fatalnym nastroju. Tak fatalnym, że nie potrafiłam tego ukryć przed mamą.

– Ale z jakiego powodu? Ktoś cię skrzywdził?

– Sama sobie zrobiłam krzywdę. Głupio postępuję, a nie ma kto spuścić mi za to lania.

– Podejźmy do sprawy konstruktywnie. Jak chcesz, to dam ci telefon mojego kolegi, mieszka niedaleko, jeżeli go poprosisz, przyjdzie i złozi ci skórę.

– Faktycznie, bardzo konstruktywny pomysł. – Nastia poweselała. – Lepiej zrób coś, żebym była mądrzejsza.

– To na nic, za stara jesteś na takie eksperymenty. Nie ma rady, muszę żyć z kobietą głupią. A czy można wiedzieć, w jaki to sposób głupota tak zepsuła ci nastrój?

– Loszka, zaraz ci opowiem, ale daj słowo, że nie będziesz się wściekał i martwił. To naprawdę nie powód do zdenerwowania.

– No, mów.

– Myślę o tym, żeby odejść z pracy.

– W ogóle? I siedzieć w domu?

– Nie, coś ty, z sekcji. Nie mogę dojść do ładu z nowym szefem.

– Ach, o to chodzi... No cóż, to normalne. Musisz się trochę powściąkać. Wytrzymasz do mojego powrotu czy sytuacja grozi wybuchem?

– Sama nie wiem. Loszeńka, naprawdę nic już nie wiem, mam w głowie taki zamęt, że nie mogę w ogóle sensownie myśleć.

– Siądź i napisz to wszystko – doradził mąż. – Weź pióro i kartkę i przelej swoje wątpliwości i problemy na papier. W stanie takiego rozkojarzenia rzeczywiście trudno coś rozsądnego wymyślić, więc wszystkie decyzje wówczas podjęte bywają na ogół idiotyczne. Podczas gdy będziesz systematyzować argumenty za i przeciw i formułować wnioski, mgła się rozwieje. Jak chcesz, to prześlij mi tę kartkę faksem, żebyśmy mogli rozmawiać bardziej konkretnie.

– Dzięki ci, słoneczko. – Nastia uśmiechnęła się smutno.

– Udzieliłeś mi mądrej rady. Ale, ale – po co dzwoniłeś do rodziców? Sprawdzasz mnie?

– Chciałybyś! – Czistiakow parsknął śmiechem. – Złożyłem im po prostu gratulacje, jak przystało na dobrego zięcia.

– Gratulacje? Z jakiej okazji?

– No tak, jesteśmy w domu. Z okazji rocznicy ślubu. Co, zapomniałaś?

– Zapomniałam – jęknęła Nastia. – Co za idiotka ze mnie! To dlatego mama zapraszała mnie na jutro, a ja się wymawiałam, plotłam w kółko o tym, jaka jestem zajęta! Kretynka!

To ją jeszcze bardziej wytrąciło z równowagi. Po pierwsze, nieładnie, że zapomniała o pogratulowaniu mamie i ojczymowi. Po drugie, Nastia Kamieńska nigdy o niczym nie zapomniała, zwłaszcza o takich sprawach, jak urodziny i inne rocznice krewnych i przyjaciół, więc skoro wyleciała jej z pamięci taka data, to znaczy, że rzeczywiście coś z nią jest nie w porządku. I to do tego stopnia, że grozi jej wkrótce zupełna katastrofa intelektualna. Szare komórki ją zawodzą i pamięć odmawia posłuszeństwa. Czyli podstawowe narzędzia jej pracy przestają działać. To koniec.

Uświadomienie sobie tego przykrego faktu w połączeniu z uporczywą myślą o zarysowanej etykietce, o Annie Łazariewej, która nie wiadomo gdzie przepadła, oraz o zmianie miejsca pracy wystarczyło, żeby o spokojnym śnie przestać marzyć. Mimo zastosowania pomocnych zwykle środków w postaci gorącego prysznic, szklanki martini i dwóch termoforów Nastia wierciła się i kręciła w łóżku przez całą noc, nie zmrużywszy oka.

Rano wstała kompletnie rozbita i niewypoczęta, w nastroju dziesięć razy gorszym niż wczorajszy.

Rozmowa kapitana Docenki z Wasilijem Kłykowem przebiegła zgodnie z oczekiwaniami, jeśli nie liczyć tego, że trwała aż trzy godziny, chociaż wszystko można by wyjaśnić w ciągu dwudziestu minut. Kłykow okazał się marudnym facetem, rozwodził się długo nad sprawami nieistotnymi i pod byle pretekstem wdawał się w zawile rozważania i dygresje. Najwyraźniej zaliczał się do ludzi, którzy najbardziej na świecie kochają samych siebie, a dźwięk własnego głosu brzmi dla nich jak najśłodsza muzyka. Po śmierci Wawiłowa Kłykow przejął jego obowiązki i bardzo mu zależało na tym, by kierownictwu banku pokazać się z jak najlepszej strony w nadziei na to, że nie będzie ono szukać innego szefa ochrony. Dlatego też podczas rozmowy z Docenką odbierał wszystkie telefony i zatrzymywał każdego, kto zajął do jego gabinetu, starając się zademonstrować zaangażowanie i operatywność, szybkość w podejmowaniu bieżących decyzji, a każdy najmniejszy przejaw swojej aktywności opatrywał długimi i szczegółowymi komentarzami, tak aby i Michaił mógł docenić jego kompetencje, dzięki którym potrafi się skutecznie uporać z prawdziwym nawałem obowiązków.

Przy takim przebiegu spotkania trudno było oczekiwać, że Kłykow potrafi się skupić i sam, bez naprowadzania, przypomnieć sobie to, co interesowało Docenkę. Dlatego też kapitan postanowił wybrać łatwiejszą drogę, rozłożył przed rozmówcą wcześniej przygotowane karteczki z wypisanymi nazwiskami dawnych kolegów Dmitrija Wawiłowa i poprosił, by Kłykow najpierw podzielił je na dwie grupy: nazwisk zupełnie mu nieznanymi oraz takich, które, jak mu się zdaje, słyszał. Kiedy ten pierwszy etap mieli w końcu za sobą, Docenko schował karteczki z nieznanymi nazwiskami.

– A teraz proszę brać po kolei pozostałe i powiedzcie mi, kiedy i w związku z czym Wawiłow wymieniał te nazwiska.

Celowo nie poinformował Kłykowa, do kogo one należą, i był przygotowany na to, że ten nazwisko Tichonow, na przykład, skojarzy ze znanym aktorem filmowym. Jego przewidywania częściowo się potwierdziły, niektóre nazwiska Kłykow dopasowywał bynajmniej nie do pracowników milicji, ale dwie osoby z przedstawionej przez Michaiła listy sobie przypomniał. Kapitana zainteresował zwłaszcza niejaki Filippow, którego Wawiłow nazywał po prostu Filipyczem i wymieniał zwykle jego nazwisko w następującym kontekście: „Zadzwoń do Filipycza, poproszę, żeby sprawdził”.

Należało teraz zająć się tym Filippowem.

*

Jednakże wydusić z „Filipycza” choćby jedno słowo okazało się sprawą bynajmniej nie prostą. Zbliżał się już do emerytury, a ponieważ przyszedł do pracy w milicji dość późno, skierowany z resortu gospodarki, to teraz, w wieku pięćdziesięciu dwóch lat, miał zaledwie dwadzieścia cztery lata służby i zależało mu na tym, by

ostatni rok zaliczyć bezkolizyjnie. Spojrzawszy na niego, Docenko od razu się domyślił, że pić Filippow lubi o wiele bardziej niż nie pić. Co więcej, trzynaście lat temu, za ministra Fiedorczyka, został zwolniony z pracy w służbie bezpieczeństwa, jak wielu innych, którzy byli posiadaczami prywatnych samochodów, dacz i mieszkań spółdzielczych. Był taki rozdział w historii wspomnianych służb. Potem, kiedy Fiedorczyka zdjęto, niesłusznie zwolnionych przywrócono do stanowisk i stopni, w ich liczbie Filippowa, a przymusową przerwę w służbie zaliczono mu jako lata pracy. Cała ta historia pozostawiła jednak w jego duszy niezatarty ślad i głębokie przeświadczenie, że państwo, ustanawiając przepisy, nie zadaje sobie trudu indywidualnego podejścia i rozpatrywania oddzielnie każdego konkretnego przypadku – nie ma co liczyć na to, że ktoś będzie wdawał się w szczegóły. Dlatego kiedy wprowadzono dla pracowników organów bezpieczeństwa zakaz podejmowania zatrudnienia w przedsiębiorstwach komercyjnych, Filippow potraktował rzecz dosłownie. Dosłownie do tego stopnia, że uważał, iż nie ma prawa nawet pić wódki z przedstawicielami tego rodzaju firm pod groźbą dyscyplinarnego zwolnienia ze służby, to znaczy bez prawa do emerytury.

Dlatego usłyszawszy nazwisko Dmitrija Wawiłowa, odparł bez namysłu:

– On już u nas dawno nie pracuje. Nic mi o nim nie wiadomo.

Michaiłowi na moment nawet zrobiło się żal przepitego, zastraszonego majora. Można by go oczywiście przycisnąć, zarzucić mu nielegalną współpracę z prywatnymi przedsiębiorstwami i doprowadzić do tego, by ze strachu zaczął się tłumaczyć, usprawiedliwiać i zapewniać, że przecież nic takiego nie robił, sprawdzał tylko to czy owo... Itede, itepe. Sprawa jednak nie była warta takiego zachodu. O wiele prościej postawić Filippowowi butelkę i poczekać, aż język sam mu się rozwiąże. Kto inny na miejscu majora zastanowiłby się pewnie, dlaczego młody wywiadowca z Pietrowki ni z tego, ni z owego proponuje, żeby się napić, i uśmiecha się przy tym porozumiewawczo; coś w tym chyba musi być, więc lepiej zachować czujność. Tak, kto inny, ale nie Filipycz, który lubił wódkę do tego stopnia, że gdy tylko zobaczył przed sobą kieliszek, wszelkie wątpliwości natychmiast się rozwiewały. Najważniejsze, że mu nalewają, a po co, w jakim celu, z jakimi zamiarami, to bez znaczenia.

Docenko był bardzo ostrożny i zaprosiłszy Filippowa do pobliskiego baru, żeby „wałnąć po maluchu” za miłą znajomość, nie wspominał już ani słowem o Wawiłowie. Zręcznie poprowadził rozmowę i po półtorej godzinie dowiedział się, że Filippow – na czyjąś prośbę – w grudniu jeździł do archiwum miejskiego, diabelnie daleko, na drugi koniec miasta, i gdyby to przyjaciel nie zwrócił się do niego o pomoc, nigdy i za nic by się tam nie wybrał.

W archiwum kapitan Docenko dość szybko uzyskał informację, że major Filippow pragnął się zapoznać ze sprawą pewnego chuligańskiego wybryku, umorzoną przez śledczego ze względu na małą szkodliwość społeczną czynu. Michaił uważnie

przeczytał wszystko, sporządził notatki i wrócił na Pietrowkę.

– Anastazjo Pawłowno, moim zdaniem, Wawiłow prosił swojego dawnego kolegę Filippowa, by przejrzał w archiwum materiały w pewnej sprawie o chuligaństwo, ale nie rozumiem, co mogło go w niej zainteresować. Chyba że Filippow zrobił to na prośbę kogoś innego.

– Zaraz, po kolei – poprosiła Nastia. – Z jakiego roku jest ta sprawa?

– Z dziewięćdziesiątego piątego.

– I kto dopuścił się chuligańskiego czynu?

– Trzech mężczyzn wdało się w sprzeczkę w miejscu publicznym, w restauracji, potłukli zastawę, rozkwasili sobie gęby, kelnerom też się co nieco dostało. Wezwano milicję, awanturnicy zostali spacyfikowani, długo przepaszali kierownika lokalu, natychmiast uregulowali należność za rozbite naczynia, przyznali się do winy i opłacili pomoc medyczną, której trzeba było udzielić kelnerom. Krótko mówiąc, okazali skruchę. Zwłaszcza jeden był bardzo gorliwy, od razu wyciągnął pieniądze i strasznie się kajał. Dwaj inni zachowywali się nieco wstrzemięźliwiej. Po trzech dniach śledczy umorzył sprawę. I dobrze zrobił. Oto nazwiska i dane z dowodów osobistych sprawców.

Docenko położył przed Nastią kartkę z notatkami.

– A tutaj zamiary na śledczego, który prowadził sprawę.

– Dziękuję. – Nastia skinęła głową. – Trzeba się dowiedzieć, co ci trzej robią obecnie, co się z nimi dzieje. Chciałabym zrozumieć, dlaczego Wawiłow interesował się nimi w okresie, gdy rzekomo popadł w tę głęboką zadumę. Jeżeli oczywiście popadł w nią z ich powodu.

– I jeżeli Filippow grzebał w archiwum na prośbę Wawiłowa, a nie kogoś innego – dodał Docenko.

Tak, zbyt wiele tu było „jeżeli”. Zbyt wiele... Ale od czegoś przecież trzeba zacząć. Jeśli Eduard Denisow ręczył głową, że między zabójstwami Wawiłowa i Nurbagandowa istnieje jakiś związek, to należy go znaleźć. W przeciwnym razie sprawa wszystkich siedmiu ofiar, oficjalnie przypisywanych nieznanemu maniakowi, pozostanie nierozwiązana, a rzeczywisty sprawca – nieujęty.

Nastia już miała zadać Michaiłowi kolejne pytanie, gdy nagle pchnięte przez kogoś drzwi gwałtownie się otworzyły. W progu stanął Mielnik we własnej osobie. Minę miał surową, a zimne błyski w jasnych oczach nie zapowiadały nic dobrego.

– Oboje tutaj – skonstatował z dziwną satysfakcją. – Doskonale. Wnioskuje z tego, że sprawca seryjnych zabójstw został ujęty, skoro z czystym sumieniem możecie siedzieć w gabinecie i popijać kawkę. Gratuluję. Proszę meldować.

Krew uderzyła Nasti do twarzy, policzki paliły i ręce już zaczynały drżeć. Trzeba przyznać, że Docenko panował nad sobą znacznie lepiej. Może po prostu był młodszy i zdrowszy, więc jego reakcje nie były tak gwałtowne.

– Władimirze Borisowiczu – zaczęła Nastia, starając się, by głos nie zdradzał jej

emocji – oprócz sprawy seryjnego zabójcy mamy wiele innych przestępstw, nad którymi trzeba się spokojnie zastanowić, pomyśleć, a nie gnać na ośle przed siebie.

– Szanowna Anastazjo Pawłowno – rzekł zimno Mielnik – proszę nie mieszać swoich i moich kompetencji. Nie trzeba mi wyjaśniać, jakimi sprawami zajmuje się sekcja, którą kieruję. Tym bardziej nie musi pani mi tłumaczyć zasad pracy w wydziale kryminalnym. Zadałem najzupełniej konkretne pytanie: na jakim etapie jest sprawa Łazariowej. I oczekuję równie konkretnej odpowiedzi. A więc?

– Łazariowa jest pod kontrolą, rozpracowuje ją Docenko – odparła Nastia. Czowała się jak ktoś, kto wyskoczył ze śmigłowca, nie wiedząc, czy ma spadochron, czy nie. – Dzisiaj jednak jestem jeszcze bardziej przekonana o tym, że nie ma ona nic wspólnego z żadnym z tych siedmiu zabójstw, i proszę, by pan odwołał polecenie stałej obserwacji Łazariowej.

Oczy Mielnika zwężyły się i stały jeszcze jaśniejsze.

– Oczywiście, pani przekonanie opiera się na tym, że pani w ogóle nie wie, gdzie jest Łazariowa i co robi.

„No tak – pomyślała Nastia – jednak był to skok bez spadochronu. Szkoda. Trzeba będzie lecieć w dół na złamanie karku”.

– Próbuje pani, Anastazjo Pawłowno – ciągnął Mielnik – wprowadzić w błąd, a mówiąc wprost, okłamać mnie, swojego zwierzchnika. Mało tego, wciąga pani w tę brzydką grę młodszego stopniem kolegę, który powinien się od pani uczyć i brać z pani przykład. Łazariowa zniknęła, a to znaczy, że ja miałem rację. Coś ją wiąże z tymi zabójstwami, jest winna i teraz wyczuła niebezpieczeństwo. A pani, zamiast bić na alarm i rozpocząć jej poszukiwania, siedzi sobie spokojnie i, przepraszam za wyrażenie, bąki zbija. Można pozazdrościć takiego optymizmu. Jeżeli w ciągu piętnastu minut nie podejmie pani odpowiednich kroków w sprawie Łazariowej, może mi pani położyć na biurku podanie o zwolnienie z pracy. Dotyczy to również pana – zwrócił się do Docenki, po czym wyszedł z gabinetu, głośno trzasnąwszy drzwiami.

– No i proszę – cicho odezwał się Michał. – Jak się dowiedział? Pani mu powiedziała?

– Nie, nic nie mówiłam. A pan?

– Też nie. Więc kto nas wydał?

– Nie mam pojęcia. Najprawdopodobniej nikt tego nie zrobił specjalnie. Po prostu Panisko wyczuwa wewnętrzny sprzeciw poddanych, boi się, że robimy coś za jego plecami, i usiłuje na każdym kroku nas sprawdzać. Być może zlecił komuś po cichu, żeby się zajął Łazariową, nic nie wspominając o tym, że ktoś już ją rozpracowuje, a tamten w dobrej wierze poszedł do niej do domu, porozmawiał z rodzicami i dowiedział się, że Łazariowa nie wraca na noc i w pracy też się nie pojawia. Teraz Panisko się cieszy, że przyłapał nas na kłamstwie, i będzie nam to wypominał do końca świata. Niektórzy zwierzchnicy bardzo chętnie stosują taki chwyt: złapać na czymś podwładnego, a potem, szantażując go tym przewinieniem, trzymać krótko w

cuglach.

– Słowem, oboje wpadliśmy. – Docenko zmartwiony pokiwał głową. – A wszystkiemu jestem winien ja, stękałem, marudziłem, bo chciałem jak najszybciej uwolnić się od Anny.

– Ja też zawiniłam – rzekła z westchnieniem Nastia. – Przecież to ja panu powiedziałam, że można ją zostawić w spokoju. No cóż, myliliśmy się, ale sprawa nie wygląda tak groźnie, jak usiłuje to przedstawić Mielnik. Łazariewa nie uciekła, nawet nie wyjechała z Moskwy, Korotkow widział ją w redakcji na własne oczy. Inna sprawa, że ani pan, ani ja nie wiemy, po co tam przyszła i dlaczego szukała Bagluka, ale Bagluk to zupełnie odrębne zagadnienie, i z siedmioma trupami nie ma nic wspólnego. Dobrze, Misza, zamiast posypywać głowę popiołem, trzeba teraz zadzwonić do śledczego, niech wyda rozporządzenie o rozesłaniu za Łazariewą listu gończego. Po co mamy się narażać na jeszcze większe nieprzyjemności?

– A jeżeli go nie będzie?

– Kogo? Śledczego?

– No tak. Przecież Mielnik powiedział, że za piętnaście minut sprawdzi, czy sprawa jest załatwiona, a jeśli nie, zwolni nas oboje.

– Och, Misza, że też pan bierze sobie do serca te wszystkie głupstwa! „Powiedział, powiedział...” Mielnik za kwadrans może sprawdzić co najwyżej, czy śledczy został powiadomiony o sprawie, ale nie może mu wydawać poleceń, kiedy ma podjąć stosowne kroki. Zwalniać też nikogo nie zamierza, nie jest idiotą, dobrze wie, że i tak brakuje ludzi do pracy. Zaraz zadzwonię do Kostia Olszańskiego, pokajam się za wszystkie grzechy, i miejmy nadzieję, że Kostia pójdzie nam na rękę.

– A jeśli go pani nie zastanie? – nie mógł się uspokoić Docenko.

– To trudno, ale niech pan się przestanie wreszcie denerwować, bardzo pana proszę.

Nastia powiedziała to dość ostrym tonem, za co zaraz skarciła się w duchu. Nie ma żadnego prawa rozmawiać w ten sposób z Michailem. Dobrze jej mówić, bo sama już niemal podjęła decyzję, że nie zostanie u Mielnika, zwłaszcza po dzisiejszej awanturze, więc jedna scysja mniej czy więcej nie robi różnicy. Ale Docenko? Będzie musiał pracować pod jego kierownictwem jeszcze długie lata, i dlatego nie chciałby mu podpaść. Istnieje rozsądna zasada, że jeśli człowiek otrzyma nagane, powinien się natychmiast poprawić, a im szybciej to zrobi, tym pewniej odzyska dobrą opinię. Nastia mogła sobie gwizdać na to, co Mielnik o niej myśli, ale sytuacja Miszy była zupełnie inna. A zatem ona nie ma żadnego prawa się na niego złościć.

Przewidywania Docenki się sprawdziły: w gabinecie Olszańskiego nikt nie podnosił słuchawki, a gdy Nastia zadzwoniła na drugi numer, sekretarka ją poinformowała, że Konstantin Michajłowicz pojechał na przeszukanie. Ponieważ jednak ta dama była zagorzałą wielbicielką powieści kryminalnych, zwłaszcza pióra Tatiany, żony Stasowa, Nastia zaś kilka razy – żeby się podlizać – przynosiła je

sekretarce z własnoręczną dedykacją autorki, czym zyskała sobie całkowite i głębokie zaufanie jednej z najstarszych pracownic wydziału śledczego miejskiej prokuratury, bez trudu wyciągnęła z niej adres, pod którym przebywał Olszański.

– Jedziemy, Miszeńka – powiedziała Nastia, wkładając kurtkę. – Spróbujemy złapać Kostię, zanim to zrobi Panisko. Już szósta, Olszański może po przeszukaniu nie wrócić do prokuratury.

– A wieczorny raport? – przypomniał zgnębiony Docenko. – Powinniśmy się zwolnić u Mielnika, a wtedy jeszcze bardziej się rozwrzeszczy.

– Misza, niech pan nie będzie dzieckiem. Fakt, że Gordiejew trochę nas rozpuścił. Nigdy nie musieliśmy się głowić nad tym, jak podejść czy oszukać szefa. Ale trudno, trzeba się teraz tego nauczyć.

Zdjęła słuchawkę telefonu wewnętrznego i wybrała numer Żeriechowa, zastępcy Mielnika.

– Pawle Wasiljczu, jedziemy z Docenką coś pilnie załatwić na polecenie szefa. Gdyby nas szukał, proszę mu o tym przypomnieć, bo sprawa może mu wylecieć z głowy, a wtedy będzie zły, że nie zgłosiliśmy się z raportem.

Nastia umacniała się z każdą chwilą w swym postanowieniu o zmianie pracy. Nie można powiedzieć, żeby była absolutnie uczciwa i prawdomówna, oczywiście, że nie, inaczej nie mogłaby pracować w wydziale kryminalnym. Ale przez dziesięć ostatnich lat naprawdę nie musiała oszukiwać zwierzchnika. Po prostu nie było takiej konieczności, co więcej, mogłoby się to okazać niemądre i niebezpieczne, jako że Pączek potrafił udzielić rzeczowej rady i pomocy. Miał zaufanie do swoich podwładnych, do ich doświadczenia i intuicji, i nie tupał z wściekłości, kiedy ci nie wypełniali ściśle jego poleceń lub nie robili tego w ogóle, jeśli tylko powody okazywały się wystarczająco ważne. Natomiast pracując pod kierunkiem Mielnika, trzeba było stale myśleć nie tyle o wykrywaniu przestępstw, ile o tym, żeby broń Boże, przypadkiem nie podpaść. Doprawdy, sytuacja obrzydliwa i upokarzająca.

*

Dosyć szybko dotarli do miejsca wskazanego przez życzliwą sekretarkę. Przed domem stały dwa samochody – wóz milicyjny i niebieskie żiguli Olszańskiego.

– Zdążyliśmy – powiedziała z ulgą Nastia. – Teraz możemy spokojnie zaczekać, aż Kostia wyjdzie. Przy okazji poodychamy świeżym powietrzem.

Wyjęła papierosy i wzdrygnęła się z zimna. Mrozu nie było, pod nogami wciąż chlupał roztajały śnieg, ale porywy wilgotnego wiatru co chwila ciskały w twarz ohydłą mieszaninę drobnego śniegu z deszczem. Spacer przy takiej aurze to średnia przyjemność. Nastia zajrzała do klatki schodowej w nadziei, że znajdą tam chwilowe schronienie, ale od razu się cofnęła. Dom był stary, schody brudne, ściany odrapane. Lepiej już zostać na dworze.

Zdążyła przemarznąć do szpiku kości, kiedy wreszcie pojawił się Olszański, a z

nim jeszcze trzech mężczyzn.

– Anastazja? Co cię sprowadza? Cześć, kapitanie. – Olszański skinął głową Michaiłowi. – Co się stało?

– Musimy porozmawiać, Konstantinie Michajłowiczu.

– Jedną chwileczkę, zaraz będę wolny.

Olszański odszedł na bok, zamienił parę słów z kolegami i otworzył drzwi swego samochodu.

– Wsiadajcie, pogadamy w cieple – zaprosił.

Nastia szybko zajęła miejsce z tyłu i wyjęła z torby chusteczkę, żeby wytrzeć mokrą od deszczu i śniegu twarz. Nie trzeba było długich wyjaśnień, Konstantin Michajłowicz od razu zrozumiał, o co chodzi.

– Ostro sobie z wami poczyna nowy szef – sarknął. - Ciężka sprawa, co?

– Łagodnie powiedziane – odparła Nastia.

– No a ty, kapitanie – zwrócił się śledczy do Docenki – pamiętasz naszą dawną rozmowę? Moim zdaniem, akurat przyszła pora, żebyś zmienił służbę.

Nastia wiedziała, że Olszański od dawna już stara się ściągnąć Michaiła do wydziału śledczego prokuratury, wysoko ceniąc jego umiejętność wydobywania szczegółowych i wiarygodnych zeznań od świadków i poszkodowanych. Wiedziała również, że Docenko zawsze wykręcał się od tych propozycji. Ciekawe, czy i teraz to robi?

– Pomyślę o tym – bardzo serio odparł Michaił. – Może rzeczywiście ma pan rację, że pora odejść.

– Ja zawsze mam rację – zapewnił z uśmiechem Olszański. – Dlatego że jestem śledczym. Decyduj się, Misza, nie zwlekaj, nie przeciągaj sprawy, szkoda nerwów, skoro z nowym szefem się nie układa. A ja zostanę twoim mentorem, wezmę cię pod swoje skrzydła jako młodego specjalistę. Niczego nie musisz się obawiać, nie święci garnki lepią.

– Pomyślę – powtórzył Docenko.

Nasti zrobiło się smutno. Ona odejdzie, to już postanowione. Misza też z pewnością to zrobi, po co ma się narażać na przykrości. Za nimi pójdą inni. Wszystko, co tak zapobiegliwie i z takim oddaniem tworzył, kształtował i doskonalił Gordiejew, runie w jednej chwili, rozsypie się jak domek z kart. Aż się płakać chce. A w dodatku wstyd przed Pączkiem, że nie przezwyciężyli początkowych trudności, stchórzyli, uciekli jak szczury z tonącego okrętu. Może jednak nie powinna odchodzić? Miszka chłonie każde jej słowo, ona jest dla niego niepodważalnym autorytetem, więc jeśli odejdzie, to i Docenko przyjmie propozycję Olszańskiego, co do tego nie ma wątpliwości, a jeżeli Nastia zostanie, pewnie uda się go zatrzymać. Powinna jeszcze trochę wytrzymać, może zdoła się jakoś przyzwyczaić. Przecież wszystkim jest trudno, wszyscy mają kłopoty z nowym szefem, ale jakoś to znoszą, nikt nie mówi o odejściu. Tylko ona. Cóż to, jest słabsza niż inni?

– Konstantynie Michajłowiczu – powiedziała z udanym oburzeniem – co też pan wymyślił? Chce pan przekabacić i zwabić do siebie naszych pracowników? Nie szuka się siekiery pod cudzą ławką.

– Oczywiście, lepiej, żeby ta siekiera została w rękach waszego Mielnika – odciął się Olszański. – Facet narąbie drewno, że na trzy chałupy starczy i jeszcze zostanie. Chcecie na to czekać? No dobrze, żartuję, sami zdecydujecie, gdzie będziecie pracować. A co zrobimy z waszą Łazariewą? Roześlemy za nią list gończy?

– Aha. Mielnik i tak nie da się przekonać. Uważa, że jest winna tych zabójstw i nie odstąpi od swego zdania.

– A może rzeczywiście to ona? – zapytał Olszański. – Mielnik nie upierałby się bezpodstawnie, więc jakieś podstawy chyba ma.

– Konstantynie Michajłowiczu, ma podstawy przy założeniu, że tych siedem zabójstw uważa się za serię.

– A zatem?...

– Ja natomiast jestem zdania, że to nie seria. Musi pan się zdecydować, komu bardziej pan wierzy, mnie czy Mielnikowi.

– A to dopiero! – Olszański zaczął się śmiać. – Normalny facet, jeśli ma wybierać między mężczyzną i kobietą, powinien wybrać kobietę. A ja jestem normalny. Chcę tylko zrozumieć, dlaczego Mielnik odrzuca twoją koncepcję. Mnie wydała się ona w pełni przekonująca. Tym bardziej że wiem o pracach Samojłowa i o tej historii z Zielenogradu. Ja na miejscu twojego szefa bym ci uwierzył. Więc jeżeli facet postępuje inaczej, chciałbym zrozumieć, dlaczego to robi. Chyba że znów nie powiedziałaś mu całej prawdy?

– Nie, nie, tym razem nic nie pominęłam. Ale Mielnikowi rzeczywiście nie wspomniałam o Samojłowie.

– A dlaczego? Przecież to podstawa twojej koncepcji.

– No tak... – Nastia wzruszyła ramionami. – Panu też powiedziałam o tym tylko przez szacunek. Mielnik by mnie wyśmiał. Sam pan wie, jak się u nas traktuje naukowe podejście. Mielnik nie ma żadnych argumentów, to tylko ślepy upór i niezdolność do odstąpienia od swoich opinii, nawet jeśli ewidentnie nie ma się racji. Facet tak gorliwie popierał nasze działania, kiedy szukaliśmy seryjnego zabójcy, opracowywaliśmy jego portret psychologiczny, wysunęliśmy koncepcję wysokiej kobiety-sportsmenki, a potem trafiliśmy na Łazariewą, że teraz nie jest w stanie przyznać się sam przed sobą, że to na nic. Wtedy przecież tak nas chwalił, na każdej operatywnie stawiał wszystkim za wzór. I co teraz ludzie pomyślą? Że wyszedł na durnia, podtrzymując z zapalem fałszywą wersję swoich nierozgarniętych podwładnych? O nie, Mielnik nigdy w życiu do tego nie dopuści. Tacy jak on wolą już raczej, żeby seryjny zabójca nie został ujęty, niż żeby się okazało, iż sami się mylili. Przed chwilą powiedział pan, że zawsze ma pan rację, bo jest pan śledczym. A Mielnik zawsze ma rację, dlatego że jest szefem. Rozumie pan, na czym polega

różnica?

– Och, jak ty go nie lubisz! – Olszański pokiwał głową.

– Zawsze uważałem cię za osobę opanowaną, nawet pozbawioną emocji, a tu nienawiść z ciebie aż kipi. Naprawdę cię wzięło. Ciekawe, czy słyszysz samą siebie?

– Nie, a co?

– Prawie krzyczysz.

– Naprawdę? – Nastia spieszyła się. – Przepraszam. Nerwy mi puściły.

– Uspokój się. Zły szef to nie powód do irytacji, normalna rzecz, zdarza się nagminnie. Dokąd was podzucić?

– Do najbliższej stacji metra, jeśli można.

– Można i do dalszej. Jaka linia cię urządza? Jedziesz do domu?

– Do domu. – Nastia, zmęczona, kiwnęła głową i zaraz się poprawiła: – Och nie, przepraszam, nie do domu, do rodziców. Zupełnie zapomniałam, że obiecałam do nich wstąpić. To linia na Sierpuchowo.

– Dobrze. A ty dokąd, kapitanie?

– W tę samą stronę.

Nastia i Docenko wysiedli z samochodu przy stacji Nagorna. Na dole Nastia kupiła ogromny bukiet wspaniałych róż dla matki i ojczyma. Pasażerów w wagonie było niewiele, pociąg jechał od strony „sypialnianych” dzielnic miasta i o tej porze, gdy ludzie kończyli pracę, tłok panował w składach jadących w przeciwnym kierunku.

– Anastazjo Pawłowno, będzie mi pani miała za złe, jeśli przejdę do Olszańskiego? – chciał się dowiedzieć Docenko.

To było pytanie, którego tak się obawiała. Co odpowiedzieć? Odradzać mu, a potem samej odejść? Czy namawiać go do zmiany pracy? Jak postąpić?

– Misza, nie powinien pan sugerować się moją opinią. Niech pan robi to, co uważa pan za słuszne. Najważniejsze, żeby nie podejmował pan decyzji pochopnie.

Hipokrytka! „Najważniejsze, żeby nie podejmował pan decyzji pochopnie”. A czy ona sama właśnie tak nie postąpiła? Można by pomyśleć, że zastanawiała się nad tym miesiącami, wahała się, rozważała wszystkie „za” i „przeciw”! A przecież podjęła decyzję nagle, pod wpływem chwili. Kierowana emocjami. I teraz to postanowienie umacnia się w niej z każdą godziną. Tyle że jednocześnie nasila się uczucie wstydu. Wstydu za własne tchórzostwo, słabość. Wstydu przed pułkownikiem Gordiejewem.

Na stacji Borowicka Michaił pożegnał się i wysiadł, miał tu przesiadkę, a Nastia pojechała dalej, pogrążona w swoich niewesołych myślach. Może po rozmowie z ojczymem poczuje ulgę? Może uspokoi się jakoś zamęt w jej duszy?

*

W mieszkaniu rodziców było pełno gości, co dla Nasti stanowiło nieprzyjemną niespodziankę. Niczego chyba teraz nie pragnęła mniej, niż znaleźć się pośród dużego towarzystwa, uśmiechać się i rozmawiać. Gdyby mama uprzedziła ją wczoraj, Nastia

wynalazłaby milion powodów, dla których właśnie dziś nie mogłaby przyjechać. Ale matka podstępnie przemilczała fakt, że spodziewają się gości, i wciąż tylko mówiła o konieczności właściwego odżywiania.

Nastia mężnie spełniała obowiązki towarzyskie, co jakiś czas spoglądając na zegarek. Czy można już niepostrzeżenie, po angielsku zniknąć, czy też trzeba jeszcze trochę pokręcić się wśród gości, żeby nie obrazić mamy i Leonida Pietrowicza? Zawsze zdumiewała ją u rodziców umiejętność nawiązywania znajomości i utrzymywania przyjacielskich stosunków z ludźmi spoza ich środowiska zawodowego. Gdyby Nastia miała zaprosić gości, byłiby to wyłącznie jej koledzy z Pietrowki albo koledzy Loszki z instytutu. A teraz otaczali ją ludzie różnych profesji, z którymi mama i ojczym poznawali się na przyjęciach, bankietach, urlopach – były tu nawet dwie szkolne koleżanki mamy.

Nastia precyzyjnie się do ojczyma i pociągnęła go za rękaw.

– Tato, chodźmy do kuchni, muszę się ciebie poradzić.

Leonid Pietrowicz przeprosił zabawnego, starszawego grubaska, z którym o czymś zżywieniem rozmawiał, i wstał od stołu. Kuchnia jednak okazała się zajęta, siedziały tam dwie panie i ćwierkając wesoło, dekorowały kotlety z kością wymyślnymi kokardkami z wąskich paseczków kolorowego papieru. Nastia bezradnie popatrzyła na ojczyma, który ruchem głowy wskazał jej drzwi wyjściowe. Starając się nie szcząć zamkiem, po cichu wyśliznęli się na klatkę schodową.

– No, dziecino, mów, co cię gryzie.

Nastia postanowiła nie owijać sprawy w bawełnę:

– Nie mogę pracować z Mielnikiem.

– Nie możesz czy nie chcesz?

– Nie chcę, dlatego że nie mogę. Tato, zastanawiam się, czy nie odejść z sekcji. Co ty na to?

– Cóż, dziecko, jesteś już dorosła, zamężna, i wątpię, czy naprawdę potrzebujesz moich rad. Powiedz wprost, czy potrzebna ci pomoc. Mogę pogadać w ministerstwie...

– Nie, tato – Nastia przecząco pokręciła głową – chodzi mi właśnie o radę.

– W jakiej sprawie?

– Czy odejść, czy nie. Nie chcę pracować z Mielnikiem. Ale jednocześnie jakoś mi głupio... Jakby wstyd.

– To zrozumiałe. – Ojczym kiwnął głową. – Nie musisz się tłumaczyć.

Boże, jak to dobrze, że ojciec wszystko rozumie. Sam przepracował w resorcie całe życie, doskonale wie, co to „sekcja Gordiejewa”, jak powstawała i co w niej robiła Nastia, dlatego pojmuje, o co chodzi, bez zbędnych słów.

– Dziecko, przecież dobrze wiesz, że niewolnicza praca jest najmniej efektywna. Człowiek, którego zmusza się do tego kijem, nigdy nie wykona swego zadania dobrze, choćby nawet bardzo się starał. Albo musisz zmienić swój stosunek do tego, co się dzieje, albo rzeczywiście odejść. Jeżeli zostaniesz u Mielnika i będziesz się codziennie

zмагаć z własną niechęcią do niego, i tak niewiele zdziałasz. Zaufaj mojemu doświadczeniu, wiele razy bywałem w takiej sytuacji.

– I za każdym razem zmieniałeś miejsce pracy? – z niedowierzaniem spytała Nastia.

– Gdzież tam. Zmieniałem swój stosunek do rzeczywistości. Albo dokładałem starań, żeby moje relacje z ludźmi układały się tak, jak bym chciał.

– Ja tego nie potrafię – westchnęła Nastia. – Mam inny charakter.

– Wiem. Dlatego jestem zdania, że bez skrupułów możesz odejść. Gdybyś pracowała rok czy półtora, uważałbym, że tchórzysz i uciekasz przed trudnościami. Ale siedzisz w wydziale kryminalnym ponad dziesięć lat, zawsze wypełniałaś swoje obowiązki rzetelnie i uczciwie, nie migąłaś się od roboty, wszystko to wiem od Gordiejewa, który regularnie mnie informował, jak pracuje moja córka. Dlatego masz pełne moralne prawo odejść, nie obawiając się, że ktoś będzie krzywo na to patrzył.

– Tak myślisz?

– Jestem pewien. Musisz tylko pomyśleć dokąd.

– Co za różnica? – Nastia machnęła ręką. – Byle jak najdalej od Mielnika.

– Tu akurat nie masz racji – sprzeciwił się Leonid Pietrowicz. – To wcale nie jest obojętne. Masz teraz bardzo niewygodną pozycję.

– Jak to niewygodną? – nie zrozumiała Nastia.

– Jesteś starszym oficerem operacyjnym. Odejść z Pietrowki do okręgu na takie samo stanowisko to w istocie zejść o oczko niżej. Żeby nic nie stracić, trzeba mierzyć wysoko. Zostać naczelnikiem sekcji, wydziału itede. Jesteś kobietą. Rozumiesz, o co chodzi?

– Rozumiem. Nikt mi nie zaproponuje kierowniczego stanowiska.

– Właśnie. To znaczy, że organy terenowe skreślamy od razu, jeśli chcesz nadal robić to, co robisz. Jediną możliwością pracy w okręgu bez obniżania swojej pozycji stwarza zajęcie się przestępczością nieletnich, a ściślej – prewencją. Tam zatrudnia się kobiety na wszystkich szczeblach. Poszłabyś na to?

– Za nic na świecie! Trzeba lubić dzieci, rozumieć je, wybaczać, mieć przygotowanie pedagogiczne! A jaki ze mnie pedagog!

– To prawda, żaden. A gdybyś została na Pietrowce, na przykład w sztabie albo w centrum informacyjnym?

– Nie, tato, nie mogę. Co dzień widzieć kolegów i nie móc spojrzeć im w oczy... Nie.

– Dobrze, Pietrowkę też skreślamy. Trudno ci dogodzić, dziecino.

– Ale tat...

– Dobrze, dobrze. A co myślisz o pracy naukowej? Brałaś to pod uwagę? Latem skończysz trzydzieści siedem lat, co prawda, na staż do stopnia adiunkta przyjmują kandydatów do trzydziestego szóstego roku życia, egzaminy wstępne są jesienią, ale dość często robi się wyjątki, w końcu chodzi tylko o trzy miesiące. Jak ci się podoba

taki pomysł?

– Coś ty, tato, jaki ze mnie naukowiec?

– Jeśli o to chodzi, z pewnością masz zadatki. Jesteś bystra, masz analityczny umysł, ogromną wytrwałość. Napiszesz pracę, obronisz, zostaniesz wykładowcą.

– Wszystko to bardzo piękne, ale...

– Co „ale”? O jakie znowu „ale” chodzi?

– Nie wytrzymam do jesieni. Chcę odejść teraz. Zaraz.

– Ta-a-ak, widzę, że Mielnik naprawdę ci dopiekl. A mnie się wydał zupełnie w porządku. Co stoi na przeszkodzie, żebyście się jakoś dogadali?

– Na przeszkodzie? Jego wygórowane ambicje i zadufanie. Ja mam zupełnie inne podejście do pracy. Nie lekceważę żadnych wątpliwości, tego mnie nauczył Pączek, nigdy nie trzymam się jednej hipotezy, choćby nie wiem jak mi odpowiadała, jeśli widzę, że nie ma dość mocnych podstaw. Chodzi o to, tatusiu, że traktuję swoją pracę twórczo i bardzo często żał mi odstępować od tego, do czego z takim trudem doszłam, ale robię to, nawet jeśli na skonstruowanie jakiejś koncepcji straciłam masę czasu i sił. Bo w ostatecznym rozrachunku najważniejsze jest przecież wykrycie przestępstwa i ujęcie jego sprawcy, a nie moje ambicje i teorie. Nie wstydzę się przyznać do błędu. A Mielnik to facet, który zawsze ma rację po prostu z definicji. Tak rozumie swoją rolę zwierzchnika.

– Ciężki przypadek. No cóż, musisz odejść. Pomyślę, jak ci pomóc, pogadam ze znajomymi.

– Tato, nie chcę pomocy, proszę cię, nic nie rób. Chciałam tylko wiedzieć, co o tym sądzisz, to dla mnie ważne. A resztę sama jakoś załatwię.

– Cóż, teraz znasz moje zdanie. Nie możesz pracować z Mielnikiem – odejdziesz, nie zostawaj na siłę, wbrew sobie. Jeszcze jakieś pytania?

– Nie, to wszystko. – Nastia uśmiechnęła się.

– No to wracajmy. Wciąż patrzysz na zegarek. Śpieszysz się?

– Trochę. Sam powrót do domu zajmie mi półtorej godziny.

– Dobrze, jedź już. Tylko nie zapomnij wziąć jedzenia, mama przyszykowała ci wałówkę na cały tydzień.

Kiedy wrócili do mieszkania, kuchnia już była wolna. Leonid Pietrowicz pomógł Nasti włożyć do dużej torby paczuszki, słoiki i garnuszki, zapobiegliwie przygotowane przez Nadieżdę Rostisławownę.

– A to – co to jest? – zapytała Nastia, biorąc do ręki dość ciężką paczkę, zawiniętą w papier.

– Ryba. Surowa, ale już oczyszczona i odfiletowana, musisz ją tylko oprószyć mąką i – na patelnię. Chyba potrafisz usmażyć?

Nastia z powątpiewaniem spojrzała na zawiniątko.

– Nie jestem pewna, ale spróbuję. Chociaż właściwie olej mi się skończył. Może nie będę brała tej ryby? Lepiej zastawię ją wam.

– Jeszcze czego. Poczekaj chwilę, w domu jest sporo oleju, zaraz poproszę tu mamę, to ci da.

Po chwili wpadła do kuchni Nadieżda Rostisławowna i od razu zaatakowała córkę:

– Dlaczego nie chcesz wziąć ryby? Co to za obrzydliwy zwyczaj wciąż tylko żywić się kanapkami! Powinnaś koniecznie chociaż raz dziennie zjeść gorący posiłek.

– Mamusku, nie potrafię jej porządnie usmażyć i nie mam oleju. A nie wiem, kiedy mi się uda wstąpić do sklepu. Szkoda, żeby się zmarnowała.

– To żadna filozofia. Kładziesz rybę na patelni i smażysz. A oliwy zaraz ci naleję do butelki.

Matka Nasti wyjęła z szafki dużą blaszaną puszkę oliwy z oliwek, pustą butelkę po koniaku i lejek.

– No i po kłopotcie – oświadczyła po chwili z zadowoleniem, wsuwając butelkę do torby pomiędzy paczuszki i słoiki. – Już idziesz?

– Tak, polecę. Zanim dojadę, będzie strasznie późno. Mogę się wymknąć po cichu, nie żegnając się z gośćmi?

– Idź, idź. – Matka uśmiechnęła się. – Wyglądasz na zmęczoną, wypocznij dobrze.

Torba była ciężka i Nastia z trudem doniosła ją do domu. „Zaraz przełożę to wszystko do lodówki – pomyślała, zdejmując kurtkę i rozcierając bolący krzyż – i spać. Poprzedniej nocy w ogóle nie zmrużyłam oka, ledwie żyję ze zmęczenia. Jak najprędzej do łóżka!” Umieściła garnuszki i słoiki w lodówce, po czym wyjęła z torby butelkę z oliwą. Nagle ręce jej omdlały, kolana zadrżały. Zwyczajna butelka po koniaku. Ze zwyczajną etykietą. Tyle że wolne miejsca na niej ktoś zarysował ołówkiem.

Ostrożnie odstawiwszy butelkę na stół, jakby mogła się rozbić od najłżejszego dotknięcia, Nastia zrobiła trzy głębokie wdech, żeby uspokoić bicie serca, i podniosła słuchawkę.

– Mamusku, dojechałam, bądźcie spokojni.

– Dobrze, że zadzwoniłaś. Nie zapomnij włożyć wszystkiego do lodówki, już ja cię znam, rzucisz torbę w przedpokoju, zapomnisz o niej i jedzenie się zepsuje.

– Już je schowałam do lodówki. Ale wiesz co, zauważyłam, że bywają u was jacyś dziwni goście – rzuciła Nastia lekkim tonem. – Rysują na etykietach butelek. Kto z takim zamiłowaniem uprawia twórczość artystyczną?

– Co ty, Nastiusza – zdziwiła się matka – to tata ma taki zwyczaj, nigdy nie zauważyłaś?

– Tata?

Mocno zacisnęła wolną dłoń w pięść, aż paznokcie wbiły się w skórę i łyzy bólu napłynęły do oczu, ale to pozwoliło się Nasti opanować.

– Nigdy nie widziałam, żeby mazał ołówkiem po etykietach.

– To dlatego, że nigdy z nim nie pijesz sam na sam – zaśmiała się Nadieżda Rostisławowna. – W większym towarzystwie tatuś zachowuje się przy stole

przyzwocie. Ale kiedy popija z kimś we dwójkę, omawiając jakieś ważne sprawy, zawsze bierze ołówek i maże po etykiecie. Twierdzi, że to mu pomaga się skupić. A, Nastiusza, zapomniałam ci powiedzieć, że w słoiku po pomidorach masz sałatkę, ale nieprzyprawioną, żeby nie skwaśniała. Przed zjedzeniem musisz ją posolić i dodać majonezu.

– Będę pamiętała, mamusku, dziękuję – machinalnie odparła Nastia.

A więc tatuś. „Boże, tylko nie to! – pomyślała z rozpaczą, bezsilnie osuwając się na krzesło. – Nie chcę! Nie chcę! Za co mnie tak doświadczasz, Panie! Czym Ci zawiniłam? Tatuś... On mnie wychował, on w znacznym stopniu uczynił mnie tym, kim jestem. Nauczył tylu rzeczy. Tak wiele mi dał. Przecież ja sama rysuję i zamazuję romby i kwadraty, kiedy się nad czymś zastanawiam, a to dlatego, że jestem jego córką, chociaż nierodzoną. Dlatego tak mnie męczyła myśl o etykiecie na butelce znalezionej w samochodzie Bagluka. Teraz sobie przypominam, że widywałam u rodziców w kuchni puste butelki z zakreskowanymi etykietkami, ale podświadomie bałam się to ze sobą skojarzyć. Nie bez powodu nie chciałam dzisiaj iść do rodziców, bo czułam, że to się źle skończy. I po co zaczęłam mówić o tym kretyńskim oleju? Lepiej by było, gdybym nic nie wiedziała. Tatuś...” Ale udawała sama przed sobą, bo w gruncie rzeczy żywiła najgłębsze przekonanie, że zawsze lepiej znać prawdę, choćby najgorszą. Nawet taką, która zabija. I co ma teraz z tą prawdą począć?

ROZDZIAŁ 14

Wiadomość o tym, że redaktor Walentin Bagluk, autor artykułu *Zwłoki na śmietniku*, jest, by tak rzec, niedostępny, zmartwiła Parygina. A więc ten wariant zdobycia pieniędzy odpadał. Jewgienij Iljicz miał również wariant alternatywny, ale wolałby się do niego nie uciekać. To było niebezpieczne. Co więcej, gdyby go zastosował, musiałby się raz na zawsze pożegnać z ewentualnymi zamówieniami i na karierze zabójcy na zlecenie nieodwracalnie postawić krzyżyk, jeśli w ogóle uda mu się wyjść cało z tej skomplikowanej sytuacji. Ale nie miał wyjścia, Lolita w kompletnej panice, powinien jak najszybciej zorganizować pieniądze i oddać dług brata.

Parygin starannie i szczegółowo instruował Annę, jak i co należy zrobić. Dziewczyna wcale nie była głupia i nie dała się długo oszukiwać, choć Jewgienij usiłował dobierać słowa w taki sposób, by zawoalować niemiłą prawdę.

– Dowiedziałem się przypadkowo, że pewien facet chce wynająć płatnego zabójcę – wyjaśniał narzeczonej. – Z początku nie przywiązywałem do tego wagi, ale potem przeczytałem w gazecie, że człowiek, który miał zostać zabity, rzeczywiście zginął, czyli rzecz doszła do skutku. Ponieważ wiem, kto był zleceniodawcą, chcę, żeby mi zapłacił za milczenie. Moim zdaniem, to uczciwe postawienie sprawy. Jak uważasz?

– Uczciwe – potwierdziła Anna.

Zgadzała się ze wszystkim, co mówił Jewgienij, wpatrywała się w niego zakochanymi oczyma i chłonęła każde jego słowo. Był dla niej bóstwem, prawdziwym mężczyzną, odważnym, zdecydowanym, mądrym, a jednocześnie troskliwym i czułym. Dla niego gotowa była zrobić wszystko. Dla niego i dla siebie, oczywiście, ponieważ rozumiała, że im wcześniej Jewgienij zdobędzie pieniądze, tym szybciej ona zostanie jego żoną. A tego pragnęła jak niczego na świecie.

– Musisz mu podać jego nazwisko: Nurbagandow. Zapamiętałaś?

– Zapamiętałam. Nurbandow.

– Nie Nurbandow, tylko Nurbagandow. Nur-ba-gan-dow – cierpliwie powtarzał Parygin, sylaba po sylabie. – Powiesz mu, że wiesz o zleceniu w sprawie Nurbagandowa. I jeszcze, że wiesz, kto je miał wykonać. I że chcesz otrzymać rekompensatę za to, że zatrzymasz te informacje dla siebie.

– Ile ma kosztować moje milczenie?

– Czterdzieści tysięcy dolarów. Tyle, ile Lolita musi zwrócić wierzycielom.

– A dla siebie nie chciałbyś zatrzymać ani grosza? Tak się kłopotujesz, starasz, i wszystko to za darmo? – zdziwiła się Anna.

– Mnie pieniądze nie są potrzebne – odparł stanowczo Parygin. – W każdym razie nie takie pieniądze. My będziemy żyć z innych dochodów, uczciwych. A w to bagno pakuję się wyłącznie ze względu na Lolitę i bratanka.

– To znaczy, że dla mnie byś się na to nie zdecydował?

– Anieczko, gdyby tobie były potrzebne pieniądze, na pewno bym je zdobył. I więcej do tego nie wracajmy, dobrze?

– Dobrze. – Anna posłusznie skinęła głową. – Mam powiedzieć, że wiem, komu ten człowiek zlecił zabójstwo. Ale jeżeli tak jest, to dlaczego żądam pieniędzy od niego, a nie od tego, kto zabił? Może mnie przecież o to zapytać.

– Zapyta, to pewne – potwierdzi! Parygin. – Nie ma co do tego wątpliwości. A ty mu powiesz, że od zabójcy także zażądałaś pieniędzy. I dostałaś je. Teraz kolej na niego.

– Jak to? – przestraszyła się Anna. – A jeżeli on zechce to sprawdzić? I każe mi podać jego nazwisko, bo inaczej nie uwierzy?

– To podasz. Nie znam go, co prawda, bo prawdziwych nazwisk zabójców na zlecenie nikt nie zna, ale wiem, jaki facet ma pseudonim. Pod nim znany jest swoim klientom. Zotow.

– Zotow? – powtórzyła Anna. – No proszę, jakie to proste. Aż trudno uwierzyć.

– W co trudno uwierzyć?

– W to, że zabójca na zlecenie może mieć taki zwyczajny pseudonim. Myślałam, że to musi być jakaś groźna ksywa, na przykład Bestia, Szatan, Garbus. A tu Zotow. Po prostu Zotow.

– W takich sprawach im prościej, tym lepiej. Wystarczy, jeśli mu powiesz, że Zotow już ci zapłacił. Facet, do którego będziesz dzwoniła, także nie zna jego prawdziwego nazwiska.

– A jeśli on skontaktuje się z tym Zotowem i zapyta go? I tamten mu powie, że nikt nie żądał od niego żadnych pieniędzy? Co wtedy?

– Nie bój się, wszystko będzie w porządku.

– Skąd wiesz?

– Wiem.

Dziewczyna jakiś czas milczała, potem wyszła z pokoju do kuchni. Parygin usłyszał szum wody leżącej z kranu i trzask pocieranej o draskę zapałki. Anna nastawiała czajnik.

– Będziemy pić herbatę? – zawołał do niej.

Dziewczyna nie odpowiedziała. Parygin wszedł za nią do kuchni i zobaczył, że Anna stoi przy oknie, plecami do drzwi, i wpatruje się w nagie gałęzie drzew.

– Co ci jest, Anieczko? – zapytał łagodnie. – Masz chandrę?

– Myślę – odparła, nie odwracając się.

– O czym? A może o kim?

– O tobie.

– I co takiego o mnie myślisz?

– Myślę, że Zotow to ty.

Nadal stała tyłem do niego, więc Parygin nie mógł widzieć wyrazu jej twarzy. Na mgnienie oka zmartwiał, ale już po chwili podjął decyzję. No i dobrze, niech wie. I tak go nie zostawi. W ciągu tych kilku dni dobrze ją poznał i był pewien, że ta nowina jej nie odstraszy. I to nie dlatego, że Anna jest cyniczna i amoralna, lecz dlatego, że nade wszystko pragnie wyjść za mąż. I wyjdzie za każdego, byleby tylko nie być gorszą od innych, a więc przyzwoicie urządzoną, zamożną i kochaną. A jeżeli nawet pomylił się co do niej, to cóż... Przecież nikt nie wie, gdzie dziewczyna się podziewa, z kim mieszka. Pewnego pięknego dnia wyszła z domu do pracy i więcej nie wróciła, zadzwoniła i powiedziała, że u niej wszystko w porządku, a więc nikt jej nie szuka. Żaden ze znajomych Anny razem ich nie widział. Szkoda dziewczyny, to fakt, ale dla niego to przecież obcy człowiek, a Lolitę i chłopaka musi wyciągnąć z tarapatów przez pamięć nieżyjącego brata.

Powoli podszedł do Anny, ujął ją za łokieć, posadził na krześle i stanął obok. Ostrożnie pogładził dziewczynę po głowie, schylił się i lekko pocałował ją w usta.

– Jesteś za sprytna na to, żebym cię okłamywał. Tak, masz rację. Zotow to ja. Przestraszyło cię to?

– Nie, niespecjalnie. Spodziewałam się czegoś w tym rodzaju. Żeby posłużyć się twoimi słowami, wydawałeś mi się za sprytny jak na zwykłego inżyniera. I to się potwierdziło. Ty zabiłeś Nurbagandowa?

– Nie, Anieczko, nie zrobiłem tego, i na tym właśnie polega cała sztuczka. Dobrze, zaraz ci wszystko opowiem, a wnioski wyciągniesz już sama. Naprawdę jestem inżynierem w fabryce samochodów, mam bardzo długi staż i cieszę się doskonałą opinią. Właśnie dlatego zwrócił się do mnie człowiek, do którego masz dzwonić. W wypadku zabójstw na zlecenie wcale nie zawsze korzysta się z usług profesjonalistów. Nie wiedziałaś o tym? Bardzo często o wiele wygodniej i taniej jest wynająć kogoś o nieposzlakowanej opinii, na kogo nigdy w życiu nie padnie choćby cień podejrzenia. Rozumiesz?

Anna w milczeniu skinęła głową, nie podnosząc oczu. Parygin zaniepokoił się. Czyżby znowu popadła w depresję? Nie byłoby w tym zresztą nic dziwnego – dowiedzieć się takich rewelacji na temat przysłego męża... Trzeba działać szybko, wyciągnąć dziewczynę z odrętwienia, inaczej wszystkie jego wysiłki, żeby była zadowolona i wesoła, pójdą na marne. Szli do łóżka co najmniej trzy razy dziennie, dawał jej prezenty, komplementował. Anna po prostu rozkwitła, to było widać, nawet wyładniała, a tu masz ci los – znowu.

– Były mi potrzebne pieniądze dla Loli, więc się zgodziłem. Wiem, Anieczko, jak facet do mnie trafił. Wierzyście brata oczywiście doskonale wiedzieli, że oprócz mnie Lolita nie ma nikogo, kto mógłby jej pomóc, i zdawali sobie sprawę, że dla zdobycia tych pieniędzy pójdę na wszystko. Dlatego właśnie wskazali zleceniodawcy mnie,

zapewniając, że usługa zostanie wykonana tanio i bez ryzyka. A ja się zgodziłem. Podano mi nazwisko człowieka, którego miałem usunąć, i zacząłem się przygotowywać. A dwa dni później otrzymałem wiadomość, że zleceniodawca rezygnuje z moich usług. Wszystko zostało odwołane. Sądziłem, że likwidacja tego Nurbagandowa nie jest już konieczna. Może faceci się pogodzili, może się jakoś dogadali – słowem, coś w tym rodzaju. Ale niedawno przypadkiem przeczytałem w gazecie, że jednak Nurbagandowa zabito. Wtedy zrozumiałem, że musieli znaleźć jakiegoś innego wykonawcę, tańszego. Albo też postanowili nie oszczędzać i wynajęli kogoś z większym doświadczeniem, prawdziwego zawodowca. I to wszystko. Tak więc, jak widzisz, nikogo nie zabiłem. Zamierzałem – tak, to prawda, nie będę cię oszukiwał. Ale nie zostałem mordercą. Bóg ustrzegł mnie od grzechu.

Anna podniosła głowę, popatrzyła na niego i jej wargi drgnęły w nieśmiałym uśmiechu. Paryginowi kamień spadł z serca. Wszystko w porządku, uwierzyła w jego bajczkę, nie będzie się go bać. I nie poleci na milicję, to najważniejsze.

– A oto na czym polega mój plan. Człowiek, do którego zadzwonisz, doskonale wie, że nikogo nie zabiłem, dlatego bardzo się zdziwi, kiedy usłyszy, że zażądałaś ode mnie pieniędzy, a ja ci zapłaciłem. Dlaczego to zrobiłem, skoro nie mam nic na sumieniu?

– No właśnie, czemu dałaś pieniądze, skoro nie zabiłaś?

Parygin zwrócił uwagę na to, że głos Ani jest ożywiony i dźwięczny, brzmi zupełnie inaczej niż tamtego, pierwszego wieczoru, kiedy się poznali. Chyba wszystko z nią w porządku, w porę zainterweniował i niebezpieczny moment minął, dziewczynie nie grozi już apatia ani spadek nastroju.

– Zapłaciłem, żebyś milczała na temat tego, co wiesz o sprawie. Jeżeli milicja się dowie, że zgodziłem się przyjąć zlecenie, nic dobrego z tego nie wyniknie, możesz mi wierzyć. Zakwalifikują czyn jako przygotowanie do zabójstwa z premedytacją, a za to grozi wyrok. Mniejszy, co prawda, niż za dokonanie rzeczywistego przestępstwa, ale i tak nie mam ochoty siedzieć. Sama rozumiesz, Aniuta, nikt nie chce utracić wolności. I mało kto zastanawia się nad tym, że mały wyrok to nic strasznego. Bardzo często człowiek, chcąc uniknąć choćby krótkiej odsiadki, robi ze strachu straszne głupstwa i popełnia nowe przestępstwa, za które grozi znacznie większa kara. Umówmy się więc, że Zotow ci zapłacił, bo się bał. Jesteś teraz dla niego bardzo niebezpieczna, więc wolał ci zapłacić niż wyjaśniać, że w rzeczywistości nikogo nie zabił.

– Dlaczego jestem niebezpieczna? Z jakiego powodu?

Parygin roześmiał się, znowu się nachylił i pocałował Annę. Pocałunek nie był zbyt długi, ale bardzo obiecujący.

– Tego jeszcze nie wymyśliłem. Ale do chwili, kiedy facet się ze mną skontaktuje i zapyta o ciebie, na pewno wymyślę jakąś mrozącą krew w żyłach i bardzo przekonującą historię.

1 wytłumaczę mu, że lepiej na tym wyjdzie, jeśli ci zapłaci. Na pewno zrozumie,

że skoro ja, Bogu ducha winny, zdecydowałem się zapłacić, to on, siedząc w tej sprawie po uszy, też powinien to zrobić. Wyłoży forszę, my damy ją Lolicie, a dalej wszystko będzie tak, jak ci obiecałem. Weźmiemy ślub cywilny i pojedziemy na dwutygodniową wycieczkę do Sri Lanki, w marcu temperatura dochodzi tam do dwudziestu pięciu stopni. Zobaczysz ocean.

– A delfiny tam są? – zapytała Anna jak mała dziewczynka, podnosząc na niego ogromne oczy.

Przez moment Parygin poczuł się nieswojo. Mój Boże, przecież to jeszcze zupełny dzieciak, a on wciąga ją w brudne męskie gry. Doprawdy to śmieszne – taka wysoka, umięśniona, silna, i nagle dziecięce marzenia o delfinach. Zalała go fala czułości.

– Są – powiedział, rozpinając guziki jej bluzki. – Są tam delfiny. I wspaniała tropikalna roślinność, która upajająco pachnie w nocy. I uprzejmi kelnerzy, roznoszący zimne napoje na plaży. A my będziemy się tam kochać od rana do nocy.

Znów się uśmiechnęła, tym razem już mniej niewinnie.

– Chciałbyś może zacząć od razu?

– Już zacząłem. Jeszcze się nie zorientowałaś? – Pociągnął ją za rękę. – Chodź, moja kochana dziewczynko, pokażę ci, jak będę cię kochał nad brzegiem oceanu.

Dawno już Parygin nie czuł się tak paskudnie jak w tej chwili.

*

Straciła zupełnie poczucie czasu. Wydawało jej się, że ból wypełnił ją całkowicie i zniweczył wszystkie odczucia, które pozwalają człowiekowi orientować się i nie zagubić w otaczającym go świecie. Nie czuła ani zmęczenia, ani głodu, ani zimnych dreszczy, nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz piła kawę i czy w ogóle coś jadła, tylko wciąż wpatrywała się tępo w tarczę zegarka, usiłując zrozumieć, która godzina. Nadludzkim wysiłkiem woli Nastia zmuszała się do działania, niewiele pojmując z tego, co i po co robi;

liczyła jedynie na to, że dzięki wypracowanym przez lata nawykom nie popełni jakichś elementarnych głupstw.

Odtwarzano wydarzenia z ostatnich dni życia Dmitrija Wawiłowa, a jednocześnie sprawdzano informacje dotyczące Alikadiego Nurbagandowa. Docenko próbował dowiedzieć się w banku Rosyjska Trojka, dlaczego nowy pracownik zwolnił się po zaledwie czterech dniach i czy za tą pośpieszną rezygnacją z posady nie kryje się coś podejrzanego, co może pachnieć kryminałem. Nie, zapewniono go, Nurbagandow został zatrudniony z polecenia człowieka pod każdym względem uczciwego i godnego szacunku, ale dosłownie w dwa dni po podjęciu przezeń obowiązków, w Dagestanie, skąd pochodził, zdarzyło się wielkie nieszczęście, terroryści wysadzili w powietrze blok, w którym akurat mieszkała jego rodzina. Alik poszedł do dyrektora administracyjnego z podaniem o zwolnienie, ubolewając jednocześnie nad tym, że musi zrezygnować z tak interesującej, prestiżowej i wysoko płatnej pracy, ale ma

obowiązek zająć się swoimi bliskimi, a więc powinien niezwłocznie pojechać do Dagestanu i pomóc im się urządzić, poszukać jakiegoś prowizorycznego dachu nad głową oraz zatroszczyć się o nowe lokum. Jego argumenty wydały się wszystkim logiczne i zrozumiałe, o wybuchu w dagestańskim mieście na wybrzeżu Morza Kaspijskiego donosiły w tamtych dniach wszystkie media, więc koledzy współczuli Alikowi i życzyli mu szczęśliwej drogi. Pytanie, kto udzielił Nurbagandowowi rekomendacji, pozostawało na razie bez odpowiedzi, ponieważ polecono Alikę telefonicznie, w bezpośredniej rozmowie z dyrektorem wykonawczym, który akurat przebywał na Cyprze w związku z negocjacjami w sprawie założenia tam przedstawicielstwa Rosyjskiej Trojki i przez najbliższe dwa miesiące miał być nieobecny w Moskwie. Oczywiście uprzejmy i czarujący Docenko dostał w Trojce numer, pod którym można się było z dyrektorem skontaktować telefonicznie, co więcej, pozwolono mu nawet dzwonić na koszt firmy, ale rozmowa z bankierem go rozczarowała.

– Tak, coś sobie przypominam – zapewnił dyrektor – jeśli przyjąłem go do pracy, to znaczy, że ktoś musiał mi o nim wspomnieć, naturalnie, inaczej być nie mogło. Ale zupełnie nie pamiętam, kto.

– Może pan sobie przypomni choćby w przybliżeniu – nalegał Docenko. – Z jakich kręgów był człowiek, z jakiego resortu?

– Niestety, nie pamiętam. Codziennie kontaktuję się z takim mnóstwem ludzi, w tym również nieznanym, że nie mogę sobie pozwolić na zapamiętywanie każdego nazwiska, bobym po prostu dostał pomieszania zmysłów – ze śmiechem wyjaśnił dyrektor.

Nie wiadomo, dlaczego Docenko, spoglądając przez okno na brudny, zabłocony chodnik, którym szli ludzie w jednakowych niemal, ciemnych paltach i kurtkach, wyobraził sobie zadowolonego z życia dyrektora przy kawiarnianym stoliku na zalanej słońcem ulicy, wysadzonej palmami o jaskrawozielonych, grubych, soczystych liściach. Mijali go turyści w białych szortach i kolorowych T-shirtach, przejeżdżały lśniące samochody, niewymagające codziennego mycia, gdyż w śródziemnomorskim kurorcie jezdnie są suche i czyste. Michaił nie miał pojęcia, jaka jest pogoda na Cyprze w początkach lutego, ale taką miał wizję. W najmniejszym stopniu nie zazdrościł dyrektorowi wykonawczemu Rosyjskiej Trojki, raczej martwiło go, że urwała się jeszcze jedna nitka informacji.

W celu zebrania wiadomości o Nurbagandowie Docenko zwrócił się o pomoc do odpowiednich organów w Dagestanie, skąd pochodził zabity i gdzie powinna być się znajdować jego rodzina. Odpowiedź zadziwiła go niepomrotnie. A właściwie jej brak. Co w przekładzie na język operacyjno--wywiadowczy oznaczało: na temat Nurbagandowa informacji nie udzielamy. Sam fakt tego rodzaju odpowiedzi nie był oczywiście niczym niezwykłym, każdy oficer operacyjny stykał się z podobną sytuacją setki razy, ale także wiedział, że zadzwonią do niego i spytają, dlaczego

interesuje się daną osobą. Kapitan odczekał więc spokojnie kilka dni, ale nikt się do niego nie odezwał. I to już było bardzo dziwne.

Podczas gdy Docenko w dobrej wierze czekał na telefon od człowieka, z którego inicjatywy o Nurbagandowie „nie udzielano informacji”, nadeszła odpowiedź w sprawie trójki rozbawionych awanturników, którzy potłukli zastawę oraz pobili kelnerów w restauracji. Jeden z nich jeszcze rok temu siedział za narkotyki, drugi należał do pewnej drugorzędnej grupy przestępczej i został zastrzelony w czasie jakiegoś ostrego starcia. W sprawie trzeciego odpowiedź brzmiała: nienotowany. I tego samego dnia Michaił odebrał interesujący telefon.

– Chciałbym się z panem zobaczyć w związku z Gadżijewem – odezwał się w słuchawce sympatyczny męski głos.

– Jeżeli oczywiście jest pan zainteresowany.

– Oczywiście, jestem – zapewnił z przekonaniem Docenko.

No cóż, tutaj przynajmniej sytuacja była jasna. Murad Magomiedowicz Gadżijew okazał się tym „chuliganem”, który pierwszy zaczął gorliwie przeproszać kierownictwo restauracji i zapewniać, że koszty poniesionych przez lokal strat zostaną zwrócone. W ogóle, gdyby sądzić na podstawie materiałów z archiwum, on właśnie robił najlepsze wrażenie z całej trójki. Gadżijewowi najprawdopodobniej zlecono jakieś zadanie, z którego się nie wywiązał, gdyż sytuacja się skomplikowała, w wyniku czego wszyscy trzej kompani znaleźli się w komisariacie, więc musiał wziąć inicjatywę w swoje ręce i działać tak, żeby nie nadano sprawie dalszego biegu. Co mu się zresztą udało.

Docenko spotkał się z mężczyzną, który do niego dzwonił, i wrócił na Pietrowkę, żeby poinformować o wszystkim Kamieńską.

– Gadżijew był agentem tego faceta – opowiadał. – Który zresztą jest całkiem w porządku. Nazywa się Czuprow. Któregoś dnia zawiadomiono go, że poszukuje się kogoś, kto ma dojścia do pewnej restauracji. Ponieważ Czuprow miał pod ręką Gadżijewa, stałego bywalca tego właśnie lokalu, w dobrej wierze zatelefonował pod podany numer. W ten właśnie sposób poznał Dmitrija Wawiłowa. Wawiłow rozpracowywał akurat wtedy grupę związaną z handlem narkotykami i do przeprowadzenia akcji potrzebny był mu człowiek z tej restauracji. Sprawa została załatwiona, z tym że, oczywiście, Wawiłow nie znał jego prawdziwego nazwiska. Czuprow chronił swoich ludzi, zgodnie z zasadami. Ale czy zawinił tu brak doświadczenia Wawiłowa, czy też coś innego nie zagrało – grunt, że cała kombinacja wzięła w łeb. Doszło do bójki, i dwójka rozpracowywana przez Wawiłowa razem z agentem Czuprowa wylądowała na milicji, gdzie wszyscy musieli się wylegitymować. Gadżijew po tej historii zrobił Czuprowowi historyczną scenę, krzyczał, że nie godził się pracować z idiotami, że ryzykuje własną skórę i tak dalej. Czuprow z trudem Gadżijewa uspokoił i dał mu słowo honoru, że postara się zostawić go w spokoju przez najbliższych parę miesięcy, dopóki sprawa rozróby w restauracji nie przyschnie.

A w maju zeszłego roku Gadżijew zniknął i od tego czasu jest poszukiwany.

– Teraz wszystko jasne. – Nastia pokiwała głową. – To dlatego Wawilow potrzebował materiałów z archiwum. Chodziło mu o prawdziwe nazwisko tego faceta od Czuprowa.

– Ale po co? Myśli pani, że chciał wrócić do starej sprawy i znów szykował jakąś akcję?

– Nie, Misza, nic podobnego. Ale niech pan pomyśli: w banku zatrudnia się Alikadi Nurbagandow – i szefa wewnętrznej służby bezpieczeństwa nachodzą nagle jakieś natrętne myśli. Jest nimi zaprzątnięty do tego stopnia, że dostrzegają to wszyscy z jego otoczenia. Nie mijają cztery dni, a Nurbagandow z całkiem wiarygodnego i niekwestionowanego powodu zwalnia się z pracy, rzekomo po to, by wrócić do rodzinnego Dagestanu. Jednakże nigdzie nie wyjeżdża, zostaje w Moskwie i zaraz potem zostaje zamordowany. Wkrótce po jego śmierci Wawilow nagle ni z tego, ni z owego próbuje ustalić nazwisko cudzego agenta, którego mu kiedyś „pożyczono”. Po co? Nie dość, że tego właśnie cudzego agenta omal nie spalił swoimi nieudolnymi posunięciami, to jeszcze sprawdza jego prawdziwe nazwisko. Po co, jak pan sądzi?

Michaił uznał to pytanie za retoryczne i czekał na dalszy ciąg wywodów Nasti, ale ta umilkła i wpatrzyła się niewidzącym wzrokiem w ścianę gdzieś ponad głową Docenki. Twarz miała mizerną, policzki zapadnięte, cienie pod oczyma. Ołówek, który cały czas obracała w palcach, teraz znieruchomiał i Miszy się wydało, że Kamieńska nagle skamieniała, ogłuchła i oślepla.

– Anastazjo Pawłowno... – zaczął ostrożnie.

Nastia drgnęła i upuściła ołówek, który z lekkim stukiem upadł na blat biurka.

– Tak?... Ach, przepraszam, Miszeńka. Na czym to stanęłam?

– Na tym, że Wawilow nie wiadomo w jakim celu starał się odnaleźć cudzego agenta.

– Tak, słusznie. Krótko mówiąc, wszystko jasne. Rozpoznał w nowym pracowniku banku człowieka, którego kiedyś dostał do przeprowadzenia swojej akcji, i usiłował wyjaśnić, co jest grane. Z początku po prostu jego twarz wydała mu się znajoma i próbował sobie przypomnieć, gdzie i kiedy widział tego faceta. Potem, możliwe, że już po śmierci Nurbagandowa, uświadomił sobie, że to człowiek Czuprowa, i zaczął podejrzewać, że coś tu śmierdzi. Ale żeby nikogo pochopnie nie obwiniać, postanowił najpierw ustalić nazwisko gościa, który mu pomagał w dziewięćdziesiątym piątym roku; w końcu ludzi podobnych do siebie jest bardzo wielu, sam pan o tym dobrze wie, Misza. Nie był pewien, czy się nie myli. Wydawało się to nawet tym bardziej prawdopodobne, że Wawilow z człowiekiem Czuprowa widział się zaledwie jeden raz, kiedy udzielał mu instrukcji, a więc mógł nie zapamiętać zbyt dokładnie jego twarzy. Zarówno nowy pracownik banku, jak i agent Czuprowa pochodzili z Kaukazu, dlatego też zwracały uwagę raczej ich cechy etniczne niż jakieś szczegóły wyglądu, które odróżniają jednego człowieka od drugiego. Czarne włosy, gęste brwi, duży nos,

silnie wygięta górna warga – wygląda tak co dziesiąty rodowity Kaukazczyk, a naszym słowiańskim oczom wydają się oni identyczni. Jednym słowem, Wawiłow jest tego wszystkiego świadom, boi się popełnić omyłkę, nie chce bez powodu nikogo się czepiać i dlatego prosi swego przyjaciela Filipycza, żeby sprawdził w archiwum nazwiska zatrzymanych. Filipycz spełnił prośbę Wawiłowa, ale pośród danych, które odszukał, nie było nazwiska Nurbagandowa. Jaki zatem Wawiłow powinien był wyciągnąć z tego wniosek?

– Że się pomylił – odparł Docenko.

– Misza, rozumuje pan jak sklerotyczny emeryt – z przyganą oświadczyła Nastia.

– Niech pan się postawi na miejscu szefa służby bezpieczeństwa dużego banku.

– Wówczas podejrzewałbym, że Gadżijew pod innym nazwiskiem usiłuje przeniknąć w jego struktury.

– I jak by się to panu podobało?

– Wcale by mi się nie podobało – przyznał Michaił. - Pierwszą moją myślą byłoby, że Gadżijew popełnił jakieś przestępstwo, ukrywa się przed wymiarem sprawiedliwości i za ciężkie pieniądze załatwił sobie nowe dokumenty. Jako szef bankowej służby bezpieczeństwa z pewnością miałbym co do tego poważne zastrzeżenia, jako że ten bank jest solidny, działa zgodnie z prawem, a więc nie ma w nim miejsca dla kryminalistów.

– Dobrze – pochwaliła Docenkę Nastia. – A jaki byłby dalszy tok pańskiego rozumowania?

– Zastanowiłbym się, dlaczego Gadżijew, jeżeli nie popełnił żadnego przestępstwa i nie ukrywa się, występuje pod innym nazwiskiem? Pewnie dlatego, że nadal współpracuje z organami, może z policją skarbową lub Federalną Służbą Bezpieczeństwa, i w tym charakterze został skierowany do naszego banku. Z formalnego punktu widzenia bezpieczeństwu instytucji nie zagraża. Jeżeli istnieje jakiś aspekt nieformalny, to już zmartwienie dyrekcji. Moim obowiązkiem jest sprawdzić osobę pracownika i zameldować o wynikach przełożonym, do których należą dalsze decyzje. Notabene, Anastazjo Pawłowno, Nurbagandowa przyjęto do pracy, akurat kiedy Wawiłow był chory. I to przyjęto bez szczególnego sprawdzania, po prostu przejrzano dokumenty, które przedstawił, przeprowadzono test pod kątem jego umiejętności zawodowych, oceniono, że doskonale zna się na księgowości, biegle opanował programy komputerowe, i zakwalifikowano go na odpowiednie stanowisko.

– Tak więc Wawiłow miał do wyboru trzy warianty: albo Gadżijew-Nurbagandow to ukrywający się przed milicją przestępca, albo – wtyczka organów bezpieczeństwa, albo Nurbagandow to po prostu Nurbagandow i z Gadżijewem nie ma nic wspólnego. Wawiłow przypuszczalnie podjął jakieś kroki, żeby sprawę wyjaśnić. Najprawdopodobniej poprosił swego przyjaciela Filipycza o sprawdzenie Gadżijewa, dokładnie tak, jak i pan to zrobił, Misza. Trzeba zapytać Czuprowa, czy coś takiego miało miejsce, bo jeżeli Filippow występował o informacje, Czuprow niewątpliwie

został o tym powiadomiony.

– A następnie Wawiłowa zamordowana – podjął Docenko. – Widocznie komuś były bardzo nie na rękę jego próby wyjaśnienia sytuacji. Anastazjo Pawłowno, zdaje się, że znowu w coś niechcący wdepnęliśmy.

– Tak, wdepnęliśmy – potwierdziła Nastia, wyraźnie bez humoru.

Bardzo dobrze zdawała sobie sprawę, dokąd zabrnęli. Właśnie o tym uprzedzał ją Denisow. Ale teraz wszystko wydawało się jej nieinteresujące i bezsensowne, gdyż nurtujący ją ból zagłuszał wszelkie pozostałe sprawy.

– Niech pan już idzie, Miszeńka – powiedziała półgłosem.

– Ma pan sporo innych spraw, niech się pan nimi zajmie. A ja tymczasem pomyślę.

– Anastazjo Pawłowno...

– Niech pan idzie, Misza – powtórzyła Nastia bardziej stanowczo. – I proszę się na mnie nie gniewać. Muszę pobyć sama.

Widziała, że Docenko naprawdę poczuł się dotknięty. Cóż, na jego miejscu także czułaby się urażona i pełna niedowierzania, jako że teraz właśnie praca powinna ruszyć pełną parą, a ona, Nastia, wykazuje wobec niej całkowitą obojętność.

– Oboje musimy wykryć sprawcę siedmiu zabójstw, a to, czego udało nam się dowiedzieć, świadczy jedynie o tym, że Nurbagandow nie był – z całą pewnością – ofiarą maniaka. I o tym przede wszystkim powinniśmy pamiętać. A kto zabił Wawiłowa, to już nie nasze zmartwienie, tylko sprawa urzędu dzielnicowego – dodała, czując się naprawdę paskudnie. Brzydziła się sama sobą.

– W porządku – powiedział tylko Michaił i wyszedł z gabinetu.

„Obraził się – skonstatowała obojętnie Nastia. – Całkiem słusznie. Spełniam ostatnią prośbę Denisowa... Można by pomyśleć, że był dla mnie kimś najważniejszym na świecie. Dlaczego się tak upieram? Powinnam powiedzieć Miszy wszystko, co wiem o tym programie państwowym. Przecież to jasne, że Nurbagandow działał w jego ramach, dlatego dostał nowe dokumenty i nowy życiorys. Zupełnie przypadkiem trafił tam, gdzie go rozpoznano. Niemal niewiarygodny zbieg okoliczności, ale cóż – zdarzyło się. Dlatego był z góry skazany. Wycofano go z Trojki pod najzupełniej prawdopodobnym pretekstem i niemal od razu zabito, żeby nie kręcił się gdzieś na widoku. A potem sprzątnięto Wawiłowa, który go rozpoznał i zamierzał sprawdzić, a właściwie już zaczął to robić. Eduard Pietrowicz miał rację, między tymi dwoma zabójstwami istnieje związek. Ci, którzy wykończyli Nurbagandowa-Gadžijewa, to ludzie bardzo sprytni, usunęli go w sposób, który dawał niemal całkowitą gwarancję, że nic nie wypłynie na wierzch. Kiedy chodzi o ofiarę maniaka, nikt zbytnio się nie zagłębia w przeszłość zamordowanego, ponieważ nie ma to żadnego znaczenia. Ofiary maniaków to zawsze osoby przypadkowe, niezwiązane z mordercą... Tatuś. Boże, jakie to straszne! Tatuś! Ale dlaczego? Dlaczego?

I dlaczego właśnie mnie musiało się to przydarzyć? Nie mogę myśleć o niczym

innym. I nikomu nie mogę o tym opowiedzieć. Nawet Loszce, któremu zawsze mogę zwierzyć się ze wszystkiego”.

Wyobraziła sobie, jak wróci wieczorem do pustego mieszkania i znów zostanie tam sama ze swoim bólem. Jak długo już tak żyje? Dzień, dwa, tydzień? Wciąż jej się wydaje, że tamto życie, inne, dawne, dzieli od dnia dzisiejszego tysiące lat, i że wtedy, przed wiekami, miała wszystko, by czuć się w pełni szczęśliwą, a tymczasem wciąż była z czegoś niezadowolona, znajdowała jakieś idiotyczne powody do zmartwień i ponurych nastrojów. Ale czyż potrafiła sobie w ogóle wyobrazić, że może istnieć taki ból i takie życie? Gdyby potrafiła, z pewnością czułaby się wówczas absolutnie szczęśliwa i wdzięczna losowi za każdy dzień, przeżyty bez tego potwornego bólu, który przenika całe ciało, od którego robi się ciemno w oczach...

Teraz na przykład powinna się wziąć w garść i dokądś pójść... Zaraz, dokąd? Aha, do domu, oczywiście, już wpół do dziewiątej. Jak długo tak siedzi, wpatrując się nieruchomym spojrzeniem w rysę na ścianie? Godzinę, dwie, trzy? Zdaje się, że niedawno był tu Miszka, rozmawiali... Potem poszła do Mielnika ze sprawozdaniem z dzisiejszego dnia. Co mu powiedziała? Dobrze, że oprócz sprawy siedmiu uduszonych ma jeszcze inne, chyba dzięki temu jakoś się wykpiła. O dusiciela Mielnik na razie nie pyta, ponieważ za Łazariewą rozesłano list gończy, i dopóki jej nie znajdą, Panisko nie będzie Nasti tą sprawą nękał.

Nastia zmusiła się z trudem, by wstać z biurka i schować papiery do sejfu. Zapięła już kurtkę i sięgała do kontaktu, by zgasić światło, ale nagle zawróciła od drzwi, zdjęła słuchawkę telefonu i wybrała numer.

– Iwanie Aleksiejewiczu, proszę mnie dzisiaj zaprosić na kolację – powiedziała, nie czując się niezręcznie czy niepewnie, choć kiedy indziej za nic na świecie nie wprosiłaby się z wizytą do generała Zatocznego.

– Zapraszam – odparł krótko generał. – Trafi pani sama czy wyjść po panią na stację metra?

– Trafię, pamiętam drogę.

Odłożyła słuchawkę, zgasiła światło, zamknęła drzwi i powoli ruszyła długim korytarzem budynku przy Pietrowce 38, nie bardzo zdając sobie sprawę, po co przed chwilą zadzwoniła do generała i czego się spodziewa po spotkaniu z nim.

*

Generał otworzył jej drzwi. Był w dresie. Szczupły, trzymał się prosto i wcale nie wyglądał na swój wiek. Zdradzały ten wiek jedynie przeredzone włosy i zmarszczki, za to żółtawe, tygrysie oczy potrafiły przemieniać się w płynne złoto, kiedy Iwan Aleksiejewicz chciał być czarujący i zawojować rozmówcę. Generał pomógł Nasti zdjąć kurtkę i gestem zaprosił ją do kuchni.

– Przepraszam, nie spodziewałem się pani wizyty, dlatego kolacja będzie raczej skromna.

– To nic, nie jestem głodna. Chciałabym tylko posiedzieć gdzieś w kąciku – wymamrotała Nastia.

Zatoczny usiadł naprzeciw Anastazji przy stole i popatrzył na nią uważnie.

– Źle pani wygląda – powiedział. – Nie jest pani chora?

– Nie.

– Powinna pani znowu zacząć ze mną spacerować w wolne dni. Zupełnie się pani rozleniwiła, Anastazjo. Nie podoba mi się to.

– Dlaczego wszyscy tak się troszczą o moje zdrowie fizyczne? Mama codziennie wierci mi dziurę w brzuchu, żebym się zdrowo odżywiła, a pan żąda ode mnie spacerów na świeżym powietrzu!

Z trudem się opanowywała, widać było, że jest rozdrażniona i zdenerwowana, ale generał się nie obraził.

– A co pani w tym widzi złego? – zapytał żartem.

– Ależ nie, macie rację, tylko dlaczego nikt nie troszczy się o spokój ducha drugiego człowieka, lecz jedynie o to, czy ma pełny żołądek? Niech pan nie zwraca uwagi, Iwanie Aleksiejewiczu, na moje zrzędenie, jestem po prostu w złym humorze. A gdzie Maksim?

– Pojechał z kolegami na narty.

– A szkoła? – zdziwiła się Nastia.

– Jaka szkoła, Nastieńko? Maksim już studiuje, ma ferie do dziesiątego lutego.

– Och, przepraszam – Nastia uśmiechnęła się speszona – wciąż zapominam, że nie jest uczniem.

Zatoczny postawił na stole koszyk z chlebem, butelkę keczupu i talerz z kiszoną kapustą.

– Ziemniaki zaraz dojdą, musi pani jeszcze chwilę poczekać. A tak nawiasem mówiąc, dlaczego pani się nie śpieszy do domu? Gdzie mąż?

– W Ameryce. We wspaniałej, dalekiej Ameryce, tym rajku na ziemi w opinii dziewięćdziesięciu dziewięciu procent naszych współziomków.

– Cóż to za sarkazm? – zdziwił się generał. – Ma pani coś przeciw Ameryce?

– Nie. Absolutnie nic. Ale „za” także nic. Dlatego po prostu nie rozumiem, co tam jest takiego dobrego i czemu wszyscy tak się do niej pchają. Mnie na przykład nic tam nie ciągnie. Kraj jak kraj. I dookoła sami obcy ludzie.

– Anastazjo, naprawdę dzisiaj pani nie poznaję. Jest pani jak odmieniona. Co się stało? Oczywiście domyślam się, że nie odwiedziła mnie pani dlatego, że głód pani doskwierał, a w domu nie ma nic do jedzenia. Coś panią gnębi, chce się pani mnie poradzić w jakiejś sprawie, więc co panią powstrzymuje? Proszę mówić, śmiało. Przecież po to pani przyszła, a nie dlatego, żeby zjeść w moim towarzystwie ziemniaki z kiszoną kapustą, prawda?

– Prawda. Rzeczywiście chciałabym z panem porozmawiać, ale jakoś trudno mi zacząć.

– Proszę się nie krępować. Kartofle są już gotowe, zaraz zaczniemy jeść, łatwiej pani pójdzie.

Zręcznie odcedził ziemniaki nad zlewozmywakiem, postawił na chwilę garnek na gazie, żeby kartofle odparowały, po czym wysypał je na duży półmisek.

– Proszę sobie nakładać, kapusta jest domowej roboty, kisiliśmy ją sami z Maksimem, bardzo się udała. Może napiłaby się pani jakiegoś alkoholu?

– Nie, dziękuję.

Nastia położyła sobie na talerz dwa parujące kartofle i odruchowo zaczęła je rozgniatać widelcem, wbiwszy spojrzenie w ledwie widoczną plamkę na zielono-niebieskiej ceracie, którą był przykryty kuchenny stół. Nie chciało jej się jeść, ale przyzwoitość wymagała, żeby przynajmniej udawać, że gość wspólnie z gospodarzem spożywa posiłek.

– Iwanie Aleksiejewiczu, pamiętam, mówił pan kiedyś, że jeśli zechcę zmienić pracę, mogę liczyć na posadę u pana – zaczęła w końcu, zebrawszy się na odwagę.

– Mówiłem. I mogę powtórzyć to teraz. A co, zaistniał jakiś powód, żebyśmy wrócili do tamtej rozmowy?

– Owszem. Niech mnie pan weźmie do siebie. Bardzo proszę – dodała żałośnie i nagle rozplakała się cicho.

Zatoczny bez słowa wstał i wyszedł z kuchni. Nastia uznała, że generał nie znosi kobiecych łez, i starała się uspokoić, ganiąc samą siebie w duchu za słabość i brak opanowania. Ale te próby doprowadziły jedynie do tego, że łzy popłynęły jeszcze obfitszym strumieniem, a gardło ścisnęło się coraz bardziej. Nastia podeszła do zlewozmywaka, nalała pełną szklankę zimnej wody i wypila ją duszkiem, a potem zwilżyła sobie twarz. Ucisk w gardle stopniowo ustąpił, a łzy przestały płynąć. Wytarła mokre policzki kuchenną ściereczką, na powrót usiadła przy stole i zapaliła papierosa. Prawie od razu też pojawił się Zatoczny. Pewnie, poczuwszy zapach dymu, zorientował się, że gość już nie płacze.

– Uspokoila się pani? – zapytał sucho. – Możemy wrócić do naszej rozmowy?

– Proszę wybaczyć, Iwanie Aleksiejewiczu, postaram się wziąć w garść.

– Będę zobowiązany. A więc co się stało? Gordiejew odszedł, przyszedł nowy szef i już zdążyła się pani z nim pokłócić?

– Nie o to chodzi... Chociaż można by to tak ująć. W każdym razie groził mi już zwolnieniem. Ale co do jednego ma pan rację, rzeczywiście nie mogę i nie chcę z nim pracować.

I bardzo dobrze pamiętam, jak pan powiedział: Jeżeli zechce pani zmienić pracę, niech mi pani da słowo, że najpierw pomyśli pani o mnie. Dałam panu wtedy słowo i chcę go dotrzymać.

– A więc tylko o to chodzi? – Generał uśmiechnął się. – Wcale nie ma pani ochoty u mnie pracować, po prostu chce pani honorowo dotrzymać danego niegdyś słowa? Brawo. Cenię pani uczciwość. Tylko dlaczego oblewa pani to wszystko rzewnymi

łzami?

– Przepraszam. Chyba jestem zmęczona, mam za sobą przechodzoną gripę, nie wytrzymuję napięcia, nerwy mi puszczają. Myślę, że niepotrzebnie do pana przyszedłam. Przepraszam, że w ogóle zwracałam panu głowę.

Chciała wstać, ale Zatoczny szybkim ruchem usadził ją z powrotem na krześle.

– Niech pani się ze mną nie bawi w kotka i myszkę, Anastazjo. To dobre dla nastolatków. Ach, tak mi ciężko na duszy, przyszedłam do ciebie, a tyś mnie nie zrozumiał, wolę zostać sama, lepiej już pójdę, nie zatrzymuj mnie, chcę umrzeć. Takie rzeczy tylko w młodości wydają się prawdziwie dramatyczne i robią wrażenie, wszystkie dorastające dziewczyny i chłopcy przechodzą romantyczny syndrom Childe Harolda, ale w pani wieku to już raczej kojarzy się z babską histerią. A ponieważ znam panią zbyt dobrze, żeby uwierzyć, iż istotnie ma pani zadatki na histeryczkę, wnioskuję z tego, że stara się pani coś przede mną ukryć.

I bynajmniej nie pretenduję do roli powiernika pani sercowych tajemnic, nie jestem nimi w najmniejszym stopniu zainteresowany. Skoro jednak pani do mnie przyszła, to, jak sądzę, chciała pani o czymś ze mną porozmawiać, a teraz nagle rozmyśliła się pani i zmieniła zdanie. Zgodzi się pani, że jako stary wyga w swoim wywiadowczym fachu nie byłbym sobą, gdybym zlekceważył taką niecodzienną sytuację. Oboje, jeśli pani dobrze pamięta, mamy już za sobą trudny etap wzajemnego braku zaufania i podejrzliwości, ale skoro to przeszłość, nie istnieją chyba żadne powody, byśmy sobie teraz nie dowierzali, prawda? Cóż więc panią powstrzymuje, żeby powiedzieć wreszcie, o co chodzi?

Nastia milczała zgnębiona. Zgadzała się całkowicie z wywodami generała, niemniej nie spodziewała się, że będzie z nią rozmawiał w takim tonie. Zнали się prawie dwa lata i ani razu przez cały ten czas Iwan Aleksiejewicz nie zachowywał się wobec niej tak oschle, chłodno i surowo. Czym sobie na to zasłużyła? Czyżby chodziło tylko o to, że się rozplakała? Idiotka, po co do niego przyszła! Miała nadzieję na szczerą, serdeczną rozmowę, na wsparcie duchowe, a tymczasem co z tego wyszło? Jest jeszcze gorzej. Dlaczego nie potrafi się wziąć w garść, dlaczego wszystko idzie jej na opak?

– Proszę nie spoglądać na mnie oczyma zbitego psa, nie wzbudzi pani w ten sposób mojego współczucia – ciągnął Zatoczny. – I proszę się nie obrażać za ten stanowczy ton, jestem mężczyzną i mogę być dla pani tylko przyjacielem. Niech pani nie próbuje zrobić ze mnie przyjaciółki od serca. Nie godzę się na rolę powiernicy i nie będę wypytywał o przyczyny pani cierpienia, żeby je potem wspólnie z panią długo i nudno roztrząsać, podlewając w dodatku łzami. Albo uczciwie mi pani powie, co doprowadziło panią do stanu bliskiego załamania nerwowego, albo pani wyjdzie, pozostawiając mnie w przekonaniu, że nie ma pani do mnie zaufania, a tym samym postawi krzyżyk na naszej przyjaźni. Proszę wybierać.

Nastia miała wrażenie, że gra w jakiejś niezwyklej sztuce, której treść nie ma nic

wspólnego z prawdziwym życiem jej, Nasti Kamieńskiej. Dlaczego ona, Anastazja, siedzi tu, w tym cudzym mieszkaniu, u zupełnie jej obcego człowieka, wielkiej szyszki z ministerstwa? Po co tu przyszła? Czego chciała, czego oczekiwała? Jakie z tym wiązała nadzieje? Czy spodziewała się, że generał Zatoczny będzie jej ocierał łzy, pocieszał ją i uspokajał? Przed chwilą jasno dał przecież do zrozumienia, żeby na to nie liczyła. Ale też wcale nie liczyła. Miała wielką nadzieję, że rozmowa z ojczymem pozwoli jej trzeźwo ocenić sytuację, i tak się stało, w każdym razie przez półtorej godziny, kiedy jechała od rodziców do domu, była niemal spokojna i postanowienie odejścia z pracy już nie wydawało jej się decyzją zdrajczyni i tchórza. Ale potem zdarzyło się to, co się zdarzyło, i mądre słowa Leonida Pietrowicza w mgnieniu oka utraciły swoją wagę i siłę przekonywania. Cóż warte są rady i opinie człowieka, który jest zamieszany w... Nastia nie potrafiła nawet w myślach dokończyć tego zdania. I bez tego wszystko było jasne. Szła do Zatocznego, żeby jeszcze raz się poradzić: odejść czy nie. A on oblał ją kubłem zimnej wody. Dlaczego? Co takiego zrobiła?

Raptem poczuła przypływ szaleńczej desperacji. Proszę bardzo, niech tam, zaraz poróżni się z generałem. Owszem, ceniła sobie tę przyjaźń, więcej, był moment, jakieś dwa miesiące przed ślubem z Loszką, że niemal zakochała się w Iwanie Aleksiejewiczu; tak, ten człowiek nie był jej obojętny i wiele razy okazywał się pomocny, ale teraz ona, Nastia, czuje się tak bezsilna i zrozpaczona, że w porównaniu z bólem, który ją przenika do głębi, wszystko inne wydaje się nieważne, bez znaczenia. Nastia może bez chwili wahania zniszczyć nawet przyjaźń z Zatocznym. Wcale się tego nie boi. Co generał jej powiedział? Że ma tylko dwa wyjścia i musi wybierać? Dobrze, niechaj tak się stanie.

– A jeżeli poproszę pana, żeby pan sam dokonał wyboru? – zapytała, hardo podnosząc głowę. – Nie chcę narzucać panu swojej decyzji. Co pan woli – żebym opowiedziała czy żebym wyszła? Wybór należy do pana, generale.

Zatoczny roześmiał się, i jego żółte, tygrysie oczy natychmiast rozświeciły wszystko wokół, topiąc lody i ogrzewając Nastię swoim ciepłem niby dwa małe słońca.

– No, wreszcie! Widzę w końcu tę Anastazję, którą znam i lubię. A już prawie postanowiłem, że więcej nigdy się z panią nie zobaczę, że zamieniła się pani w nudną, płakawą pannicę, pozbawioną wiary w siebie. Ale nie, znów zamiast bolesciwego uśmiechu pokazała pani ostre zębki. To mnie cieszy. A więc słucham. Niech pani opowiada.

Nastia uśmiechnęła się w odpowiedzi, przez krótką chwilę poczuła się lekka i radosna, nawet straszliwy, wszechogarniający ból jakby na moment przycichł.

– Nie mam nic szczególnego do powiedzenia, Iwanie Aleksiejewiczu. Chcę odejść z sekcji, rzeczywiście nie możemy się jakoś dogadać z nowym szefem. Ale gryzie mnie poczucie wstydu. Mam nadzieję, że panu nie muszę wyjaśniać, jaka jest tego przyczyna. I to właściwie wszystko.

– Cóż, zadziwia mnie pani, Anastazjo. – Zatoczny uniósł ręce. – Bynajmniej nie jestem skłonny przeceniać swojego wpływu na panią. Mówiąc prościej, zdaję sobie sprawę, że nie uważa mnie pani za głównego ani pierwszego doradcę i przyjaciela w swoim życiu. Co do męża, to zrozumiałe, sama pani powiedziała, że jest daleko, ale przecież pozostaje jeszcze mąż matki pani. Zawsze tak dobrze pani o nim mówiła! Dlaczego nie udała się pani ze swoimi wątpliwościami do niego? Też się pani krępowała?

– Tak – skłamała Nastia i poczuła, że się czerwieni. – To znaczy nie. Chodzi o co innego. Rozmawiałam z nim.

– Aha. I cóż pani doradził?

– Powiedział, że bez skrupułów mogę odejść, nie ma w tym nic wstydliwego. Zastanawiał się nawet, dokąd powinnam się przenieść.

– I jakie miała pani zastrzeżenia do jego rad? Dlaczego przyszła pani do mnie?

– Boję się, że Lonia nie jest całkiem obiektywny. Jak każdy ojciec. Chce, żeby wszystko się ułożyło możliwie najlepiej dla mnie.

– To zrozumiałe. Jak długo pani pracuje z nowym szefem?

– Miesiąc. To znaczy, zaczął się drugi.

– I już chce się pani poddać? To do pani niepodobne.

– Sama o tym wiem. I dlatego mi wstyd.

– Dobrze, dobrze, nic więcej nie powiem, skoro sama pani to rozumie. Chciałbym, żeby pani pracowała u mnie, to oczywiście. Ale nie mam teraz ani jednego wolnego etatu.

– A więc nic z tego. – Nastia westchnęła.

Uczucie radości, którą obudził w niej słoneczny uśmiech generała, zgasło, i ból znowu przeniknął całą jej istotę.

– Będę musiała zatrudnić się u kogoś innego, chociaż chciałam u pana. Szkoda.

– Niech się pani tak nie śpieszy – odezwał się Zatoczny.

– Nie jest pani dzieckiem, Anastazjo. Cóż to, nie wytrzyma pani jeszcze dwóch, trzech miesięcy? W kwietniu, może w maju, zwolni się u mnie etat, jeden z pracowników przejdzie na emeryturę i wtedy z radością panią przyjmę. No więc, jak będzie?

– Nie. – Nastia pokręciła głową przecząco. – Nie wytrzymam tak długo. Zwariuję. Każdy ranek to dla mnie tortura, ponieważ zmuszam się na siłę, żeby iść do pracy, do Mielnika. Zmęczyło mnie to, Iwanie Aleksiejewiczu, dłużej nie dam rady. Gotowa jestem odejść dokądkolwiek, mogę nawet zostać pomywaczką, byleby nie pracować z Mielnikiem.

– Jeśli choć trochę jest pani ciekawa mojej opinii – szorstko powiedział generał – to proszę pamiętać: nie pochwalam tego. Wykonuje pani trudną, poważną pracę, która wymaga twardego charakteru. Jeśli teraz okaże pani słabość i szybko się podda, pani akcje w moich oczach mocno spadną. I jeszcze długo będę się zastanawiał, czy wziąć

panią do siebie. Mogę też panią zapewnić, że tak samo będą myśleli inni, do których zwróci się pani z prośbą o przyjęcie na etat. A jeżeli tego nie zrobią, to będzie znaczyło, że marni z nich zwierzchnicy i że źle organizują pracę w podległych sobie jednostkach, zatrudniając każdego, kto się zgłosi, byleby tylko zapchać dziury. Chciałaby pani pracować pod kierownictwem kogoś takiego?

– Iwanie Aleksiejewiczu, rozum każe mi uznać pańskie racje, ale nie potrafię się przemóc. Klasyczny przypadek, kiedy co innego dyktuje umysł, a co innego serce.

– To niedobrze. Jest pani pracownikiem operacyjnym, który nie powinien sobie pozwalać na rozterki emocjonalne. Nie mówiąc już o tym, że nie ma pani prawa ani do słabości, ani do tchórzostwa. I niech pani nawet nie próbuje powoływać się na fakt, że jest pani kobietą. Nikt pani nie ciągnął siłą do wydziału kryminalnego, przyszła tam pani sama i powinna była pani zdawać sobie sprawę z tego, w co się pakuje. Krótko mówiąc, Anastazjo, jeśli chce pani mojej rady w sprawie „odejść czy zostać”, to osobiście uważam, że powinna pani zostać. Jeżeli zaś taka rada nie jest pani potrzebna, bo już i tak podjęła pani decyzję, jedyne, co mogę pani zaproponować, to to, żeby pani poczekała, aż zwolni się u mnie etat. Potrwa to około trzech miesięcy. I jeśli pani pozwoli, mimo wszystko coś pani doradzę: niech pani wytrzyma, przekona się o tym, że była to słuszna decyzja, i nie odchodzi nigdzie indziej, tylko do mnie. Proszę poczekać, aż zwolni się miejsce dla pani.

– Dziękuję – wymamrotała Anastazja i sięgnęła po torbę stojącą na podłodze.

Wszystko już zostało powiedziane, wyjaśnione. Pora iść. Nogi i ręce odmawiały Nasti posłuszeństwa, tak jak w ciągu ostatnich dni; poruszała się z trudem, miała jakieś zaburzenia wzroku i wciąż bała się potknąć nawet na prostej drodze. Generał nie zatrzymywał jej, wyszedł za nią do przedpokoju i podał jej kurtkę. Zanim jednak otworzył drzwi, zapytał:

– Posłucha pani mojej rady? I poczeka, aż będę mógł panią u siebie zatrudnić?

Nastia w milczeniu wzruszyła ramionami. Jak mogła cokolwiek mu obiecać, skoro nie wiedziała, co przyniesie jej następny dzień?

– Taka odpowiedź mi nie wystarcza – z naciskiem powiedział Zatoczny. – Chcę usłyszeć bardziej jednoznaczną. Trzy miesiące, Anastazjo, tylko trzy miesiące, ale za to będzie pani miała szefa, który nie przysporzy pani najmniejszych problemów. Zbytni pośpiech może sprawić, że wyląduje pani u kogoś takiego jak Mielnik, od którego tak bardzo chce pani uciec.

– Nie chcę pana oszukiwać, Iwanie Aleksiejewiczu, nie mogę panu niczego obiecać. Po prostu nie wiem.

– Czego pani nie wie?

– Niczego. Niczego nie wiem! Niczego!

I błyskawicznie wypadła na klatkę schodową, z trudem powstrzymując łzy, które znów cisnęły się do oczu. Zatoczny mieszkał na dziesiątym piętrze, ale Nastia nie czekała na windę, lecz ruszyła ciemnymi schodami w dół, trzymając się poręczy.

Szlochała przy tym i wolną ręką ocierała łzy z twarzy. Czuła straszliwy ból i rozpacz.

ROZDZIAŁ 15

Nawet do najostrzejszego bólu można się przyzwyczaić, to Nastia Kamieńska wiedziała bardzo dobrze. Po jeszcze jednej niemal bezsennej nocy, spędzonej w jakimś ciężkim pólnie, potrafiła nadal rozsądnie myśleć. Co prawda, każdy krok na drodze konstruowania logicznego wywodu był po prostu męką, ale Nastia znosiła mężnie cierpienie, gdyż leżało to po prostu w jej naturze. Lepsza najbardziej gorzka prawda niż pocieszające iluzje.

A więc ojczym ma coś wspólnego z tą dziwną historią, w którą okazał się zamieszany Bagluk. Związek ten nie jest bynajmniej pośredni, skoro właśnie prosto do niego, Leonida Pietrowicza, pojechał dziennikarz po wizycie u Mielnika na Pietrowce. To ojczym poił Bagluka whisky podczas poważnej rozmowy w cztery oczy. Dał mu nawet potem niedopitą butelkę, chociaż wiedział, nie mógł nie wiedzieć, że – po pierwsze – dziennikarz jest wozem, po drugie zaś – że ma zwyczaj upijania się do nieprzytomności. Jak interpretować takie postępowanie? Czy było to działanie rozmyślne, mające na celu spowodowanie wypadku, czy też niezrozumiała i tak obca przewidującemu Loni lekkomyślność?

Co więcej, historia z dziwnej zamieniła się w przerażającą, jako że Bagluk napisał w swoim artykule o zdemaskowanych agentach. I jako podstawowy przykład przytoczył nagrania audio i wideo, do których zmuszono Nikitę Mamontowa pod groźbą przemocy. Nagrania przedstawiono doświadczonemu specjalście od czytania z ruchu warg, który twierdzi, że Nikita w rzeczywistości zaprzeczał, jakoby został zwerbowany. Jaki z tego wniosek? Wygląda na to, że jacyś ludzie przyszli do Mamontowa, przekonani o jego powiązaniach z milicją, pobili go i zmusili do wypowiedzi przed kamerą i mikrofonem. Ponieważ mówił co innego, niż chcieli usłyszeć, sfalszowali nagranie. To rozumiałe, ale dlaczego w ogóle się u niego zjawili? Jak się dowiedzieli, że był czyimś informatorem? Ktoś musiał ich wprowadzić w błąd, rozmyślnie lub mimo woli. Ktoś się pomylił. Kto?

Dobrze, ten problem można odłożyć na później. Ale teraz pojawia się niejaki Nurbagandow, który po bliższym zbadaniu sprawy okazuje się agentem pracownika milicji. Co prawda, byłym, gdyż kontakt z nim został całkowicie zerwany. Teraz pora przypomnieć sobie, co mówił Denisow. A mówił mianowicie, że Nurbagandow jest jednym z absolwentów centrum szkoleniowego, które działa w ramach programu rządowego, powołanego do wykrywania i zwalczania machinacji podatkowych. Denisow dodał jeszcze, że ten program, chociaż oficjalnie rządowy, wydaje się jakiś podejrzany. Mocno pachnie kryminałem.

Zbyt wielu tu agentów... Zbyt wielu, by można to uznać za zwykły przypadek.

Jeżeli zaś nie jest to przypadek, lecz ogniwa jednego łańcucha, sprawa wygląda mniej więcej tak: do centrum szkoleniowego przyjmowane są osoby posiadające doświadczenie we współpracy z organami ochrony porządku prawnego, przy czym owo doświadczenie musi mieć szczególny, konkretny charakter – chodzi o działalność agenturalną. I jeszcze jeden wymagany warunek: agent powinien być zwerbowany na podstawie kompromitujących materiałów, czyli mówiąc prościej – mieć na swoim koncie jakieś przestępstwo lub też być zamieszany w sprawę o charakterze kryminalnym. I tu rodzą się nowe pytania.

Pierwsze: z jakiego źródła centrum szkoleniowe otrzymuje informacje o takich osobach, kto mu podsuwa takich agentów z kryminalną przeszłością?

Drugie: w jaki sposób osoby te są zmuszane do uczestniczenia w sławetnym programie? Przecież jeżeli Denisow się nie mylił i rzeczywiście cała sprawa jest mocno podejrzana, musi istnieć jakaś gwarancja, że ci ludzie będą milczeć.

Odpowiedź nasuwa się sama. W programie uczestniczą pracownicy milicji, którzy mają dostęp do informacji o siatkach agenturalnych. Dalej wszystko idzie już jak po maśle – najlepszy przykład to sprawa Mamontowa. Przychodzi do człowieka paru facetów i takim czy innym sposobem wymuszają na nim przyznanie się do popełnienia przestępstwa, a jeśli się uda – także do współpracy z organami bezpieczeństwa. Można zresztą uznać, że fakt takiej współpracy nie odgrywa pierwszoplanowej roli przy wyborze kandydata. Najważniejsze jest, by był zamieszany w jakąś sprawę kryminalną, bo wtedy będzie potem trzymał gębę na kłódkę i milczał jak grób. Inna sprawa, że tacy faceci, jeśli wie o nich milicja, dość często rzeczywiście okazują się tajnymi współpracownikami.

W taki właśnie sposób do centrum szkoleniowego, a następnie do banku Rosyjska Trojka dostał się Murad Gadżijew, który zamienił się w Alikadiego Nurbagandowa. I przypadkiem natknął się na człowieka, który rozpoznał w nim przestępcę, noszącego swego czasu inne nazwisko. Dokładnie tak samo zamierzano ściągnąć do centrum Nikitę Mamontowa. Mamontow istotnie popełnił przestępstwo, dokonał zabójstwa na Dworcu Paweleckim, do czego przyznał się pod przymusem fizycznym; zresztą i Korotkow nie miał co do tego wątpliwości. Dlaczego więc z Nikitą coś poszło nie tak? Popełnił przestępstwo, przyznał się, a zamiast skierowania do centrum szkoleniowego – zarobił kulkę. Bagluk zdobył materiał do sensacyjnego artykułu, Korotkow zaś naraził się na całą masę nieprzyjemności.

A na dodatek okazał się w to wszystko zamieszany Leonid Pietrowicz. Dzisiaj cała sprawa wyglądała jeszcze gorzej niż wczoraj. O wiele gorzej...

No cóż, trzeba zapomnieć o emocjach, i jeszcze raz wszystko przemyśleć. Skąd w centrum wiedzieli o Mamontowie? Kto mógł im powiedzieć, że wydział kryminalny miał wszelkie podstawy, by uznać Nikitę za zabójcę, ale zabrakło dowodów? Kto? Tylko człowiek, który zajmował się tą sprawą. Na przykład Jura Korotkow.

Nie! Wystarczy historia z tatą, drugiego takiego ciosu Nastia po prostu nie

wytrzyma. Musi natychmiast znaleźć inną odpowiedź na to pytanie, inaczej zwariuje. Jeżeli nie Jurka, to kto? Każdy inny oficer operacyjny, który również zajmował się zabójstwem na Dworcu Paweleckim. Albo człowiek spoza środowiska milicji, który dysponował dokładną informacją, kto zabił, choć sprawca pozostał niewykryty. Ktoś z grupy przestępczej, w której skład wchodził niegdyś Mamontow. Dziś ta osoba może współpracować z centrum szkoleniowym. Niezłe powiązania, jak na program rządowy! Nie bez kozery Denisow twierdził, że to jakaś nieczysta sprawa. Stary mafioso trafił w dziesiątkę, intuicja go nie zawiodła.

*

Przed pierwszym telefonem Anna bardzo się denerwowała.

– Czego się boisz, dziewczyno? – uspokajał ją cierpliwie Parygin. – Przecież to nie spotkanie twarzą w twarz, tylko zwykła rozmowa telefoniczna. Facet cię nie zje, nie obrazi, nie uderzy. Co najwyżej odłoży słuchawkę. To w końcu nic strasznego.

– A jeżeli zrobię coś nie tak i zawalę całą sprawę? – niepokoila się Anna.

– No to co? Jakoś to przeżyjemy. Wykombinujemy coś innego.

Parygin oczywiście nadrabiał miną, nic innego nie mógł wymyślić, nie mógł się przecież posunąć do napadu rabunkowego. Miał jednak nadzieję, że sprawa się powiedzie; długie lata jego niebezpiecznej działalności sprawiły bowiem, że dobrze się znał na ludziach, swoich zleceniodawców potrafił przejrzeć na wylot i nauczył się bezbłędnie zgadywać, jak z kim należy postępować. Piotr Michajłowicz (a tak właśnie nazywał się człowiek, który zlecił zabójstwo Nurbagandowa) nie targował się i nie robił wrażenia sknery; od razu było widać, że nie płaci z własnej kieszeni, po prostu działa w czyimś imieniu. Dlatego podczas pierwszej rozmowy z nieznaną szantażystką nie będzie się zbytnio opierał, poprosi o czas „do namysłu” i natychmiast przekaże wszystko temu, dla kogo pracuje. Wszelkie nieprzyjemne i trudne kwestie wynikną dopiero podczas drugiej rozmowy. Poza tym facet jest złym strategiem, inaczej nigdy by nie dopuścił do tego, żeby zrezygnowano z usług Parygina, czyli Zotowa. Po pierwsze, dla ludzi, którzy znają się na rzeczy, Zotow to gwarancja bezpieczeństwa, pewności i wysokich kwalifikacji. Po drugie, z takimi jak on nie należy zadzierać i odbierać im tego, co już obiecano, niczego w dodatku nie wyjaśniając, nie przeprasząc i nie wypłacając odpowiedniego odszkodowania za niedotrzymanie warunków umowy. Tak robić nie wolno. Każda gra ma swoje zasady. Piotr Michajłowicz nie jest zbyt przewidujący i nie umie patrzeć w przyszłość. A Parygin to potrafi. Dlatego wie, że w grę wchodzi tylko dwie możliwości. Albo Piotr Michajłowicz wypłaci bez sprzeciwu żadaną sumę, albo będzie próbował wyśledzić i zlikwidować szantażystkę, a wtedy sam wpadnie. Tak czy inaczej, Jewgienij wydusi z niego forszę. Żal mu Ani, to prawda, dobra z niej dziewczyna, ale obowiązki wobec zmarłego brata, jego żony i syna to rzecz najważniejsza.

W końcu Ania zebrała się na odwagę i sięgnęła po słuchawkę.

– Wybierz numer – powiedziała do Parygina i wzięła głęboki oddech.

Abonent odezwał się od razu. Jewgienij wiedział, że to telefon komórkowy, na którym nie wyświetla się numer dzwoniącego.

– Piotr Michajłowicz? Mam do pana dyskretną sprawę. Może pan rozmawiać czy zadzwonić później? – zaczęła Anna tak, jak uczył ją Jewgienij Iljicz. – Nie, osobistą. Dobrze, za dwadzieścia minut. Do usłyszenia.

Z widoczną ulgą odłożyła słuchawkę.

– No proszę, a tak się bałaś. – Parygin uśmiechnął się.

– Sama widzisz, że to nic strasznego.

– Żenia, ale to wszystko jakieś takie dziwne... Zawsze myślałam, że szantażyści, kiedy dzwonią, od razu zaczynają grozić, straszyć, wrzeszczeć...

– A ty już poczułaś się szantażystką? – z uśmiechem przerwał jej Jewgienij. – Weszłaś w rolę? Moja dziewczuszko kochana, wszystkie twoje wyobrażenia na ten temat pochodzą ze złych filmów. Od gróźb zaczynają ci, którzy chcą człowieka zastraszyć, dezorientować. Wtedy rzeczywiście niewiele ich obchodzi, czy chwila jest odpowiednia, a człowiek może z nimi swobodnie rozmawiać. My natomiast nie chcemy nikogo straszyć, chodzi nam o normalną, rzeczową rozmowę, która ma doprowadzić do tego, że sprzedamy swój towar, czyli milczenie, za określoną sumę. To zwykła transakcja handlowa, nie żaden szantaż.

Dwadzieścia minut spędzili na całkiem niewinnym, gospodarskim zajęciu – łupali orzechy do gruzińskiej potrawy sacywi. Parygin bardzo polubił kuchnię Anny, dziewczyna rzeczywiście dobrze gotowała, a w dodatku lata uprawiania sportu nauczyły ją takiego sposobu odżywiania, jaki akurat najbardziej odpowiadał przyzwyczajeniom Jewgienija. Dużo witamin, jedzenie pożywne, ale nie tłuste. I znów Paryginowi przemknęła przez głowę myśl o prawdziwym, a nie iluzorycznym małżeństwie z Anną. Ania oczywiście nie należy do osób, które przełkną gładko każdą bzdurę, nie zadając żadnych pytań, jest całkiem niegłupia, ale jej największa zaleta to to, że kiedy już uzyska odpowiedzi na swoje pytania, nie wpada w histerię, nie miota się i nie krzyczy: „Ty łobuzie! Nie waż się do mnie zbliżyć!”, lecz przyjmuje wszystko w sposób zupełnie naturalny, jak rzecz najzwyklejszą pod słońcem. Od razu tworzy ze swoim mężczyzną zgrany zespół, gotowa grać do końca. Nie ma się co dziwić, ma psychikę sportsmenki, która zna swoje miejsce w drużynie, nie jest nastawiona na indywidualny sukces. To on, Parygin, całe życie był wilkiem-samotnikiem, zawsze on jeden kontra przeciwnik; Ania to co innego, potrzebne jej poczucie, że ma wsparcie, nie jest sama, że w razie czego zawsze ktoś przyjdzie jej z pomocą – wtedy może góry przenosić i niczego się nie ulęknie. Właśnie taka żona jest mu potrzebna.

– No, Aniuta, czas minął – powiedział Parygin, spoglądając na zegarek. – Pora zadzwonić.

– Już? – Ania z przestraszoną miną podniosła głowę, ściskając mocno w ręku dziadka do orzechów.

– Tak, tak, już. Musimy być punktualni, jeżeli chcemy, żeby nas szanowano i uważano za prawdziwych ludzi interesu.

Rozmowa przebiegła nawet pomyślniej, niż to przewidywał Parygin. Piotr Michajłowicz był zwięzły, rzeczowy i od razu przeszedł do rzeczy. Gdy tylko usłyszał nazwisko „Zotow”, od razu zapytał:

– Ile pani za to chce?

– Czterdzieści tysięcy – odparł Ania.

– To sporo. Muszę się zastanowić. Poza tym potrzebne mi są gwarancje, że transakcja jest uczciwa. Chciałbym też wiedzieć, jaki zakres informacji obejmuje wymieniona przez was suma.

– Chce pan to usłyszeć przez telefon?

– Oczywiście, że nie. Liczę na to, że i pani nie jest zwolenniczką zbyt pośpiesznych decyzji. Proszę mi dać czas na przemyślenie sprawy.

– Ile?

– Dwa dni. Proszę do mnie zadzwonić za dwa dni i wtedy umówimy się na spotkanie.

Połączenie było bez zakłóceń, Parygin, zbliżywszy ucho do słuchawki, słyszał całą rozmowę, i ostatnie słowa wcale mu się nie spodobały. Tego jeszcze brakowało, żeby spotkać się z człowiekiem, który ma zapłacić za milczenie. To niezgodne z zasadami. Szantażysta w ogóle nie powinien kontaktować się bezpośrednio ze swoją ofiarą, to elementarna reguła bezpieczeństwa, a już spotkanie w celu wstępnych pertraktacji to zupełny bezsens. Widocznie, Piotrze Michajłowiczu, nie ma pan wcale zamiaru płacić, to jasne. Chce pan po prostu namierzyć damulkę, która za dużo wie, i pozbyć się jej. Ale nic z tego, łaskawco, tak czy siak będzie pan musiał zapłacić. Jak mówi stare porzekadło: nie umiesz – to cię nauczymy, nie chcesz – to cię zmusimy.

Szybko dotknął ręki Anny i przecząco pokręcił głową. Od razu zrozumiała, o co chodzi.

– Nie, Piotrze Michajłowiczu, nie ma mowy. Albo uwierzy mi pan na słowo, albo powiem to, co wiem, przez telefon.

– Ale proszę mnie zrozumieć – Piotr Michajłowicz nieco spuścił z tonu – mówimy o dużej sumie, więc powinienem wiedzieć, za co płacę.

– To już pański problem. Może pan nie zapłacić, a wtedy o tym, ile wiem, przeczyta pan w prasie albo powie panu śledczy. Czy to panu odpowiada?

– Proszę posłuchać, jesteśmy ludźmi interesu, a ludzie interesu zawsze sprawdzają jakość towaru. Nikt nie kupuje kota w worku. Chyba zgodzi się pani ze mną.

– Niestety, nie. Teoretycznie ma pan rację, ale praktycznie takie rozwiązanie mnie nie urządza.

– No cóż, wobec tego proszę poszukać innego kupca na swój towar – z rozdrażnieniem odparł Piotr Michajłowicz.

– Inny kupiec już zapłacił.

– Kogo ma pani na myśli?

– Zotowa.

– A więc to tak...

– Tak, Piotrze Michajłowiczu, właśnie tak. Każdy z was musi wnieść swój udział. Zotow już to zrobił, teraz kolej na pana. Więc kiedy mam zadzwonić?

– Tak jak powiedziałem, za dwa dni.

Na tym rozmowa się skończyła. Jej rezultat całkowicie zadowolili Parygina; teraz tylko należy poczekać i przekonać się, czy Piotr Michajłowicz nie będzie próbował skontaktować się z Zotowem, by dowiedzieć się od niego czegoś o szantażystce.

Jewgienij pomógł Annie zemleć w maszynce orzechy, warzywa i czosnek i wyluzować ugotowaną kurę. Połączywszy otrzymaną masę warzywną z esencjonalnym bulionem, zalali nią rozdrobnione mięso, a po zagotowaniu i ostudzeniu całości wstawili garnek do lodówki.

– I co teraz? – zapytała Anna, zdejmując fartuch. Pod nim miała spodnie i koszulę.

– Będziemy tylko siedzieć i czekać całe dwa dni?

– Nic podobnego! – Jewgienij Iljicz roześmiał się. – Wcale nie musimy się nudzić. Po pierwsze, mamy dwa dni, żeby pobyć razem, a to już coś. Po drugie, pod wieczór trzeba będzie sprawdzić, czy nasz drogi Piotr Michajłowicz nie próbował się ze mną skontaktować. To zadanie dla ciebie, ponieważ ja sam nie chciałbym niepotrzebnie pokazywać się tam, gdzie mogliby mnie zobaczyć koledzy z pracy. Wziąłem przecież urlop ze względu na sprawy rodzinne.

– Czy to niebezpieczne?

Jej oczy znów stały się ogromne i przerażone, jak u dziecka, któremu za jakieś przewinienie grozi zamknięcie w ciemnej komórce. Parygin kolejny raz poczuł się nieswojo.

– Ależ skąd, kochanie, nic ci nie grozi. Pojedziesz tylko do jednego sklepu, powiem ci, gdzie to jest, zajrzysz do działu kosmetycznego i sprawdzisz, która ekspedientka akurat pracuje. Nic prostszego, ponieważ każda z nich ma do bluzki przypięty identyfikator z imieniem. Ta, która nam jest potrzebna, nazywa się Ała. Jeśli jej nie zastaniesz, zapytaj, kiedy będzie w pracy. Jeżeli natomiast trafisz akurat na nią, powiedz, że jesteś od Zotowa. Czyli ode mnie. I to wszystko.

– Jak to wszystko? – zdumiała się Anna. – A co potem?

– Ała coś ci powie, a ty jej podziękujesz i odejdiesz.

– Co mi powie?

– Nie wiem. – Parygin wzruszył ramionami. – Ale na pewno coś od niej usłyszysz. Na przykład, że przekazuje mi pozdrowienia. Albo życzenia z okazji urodzin. Może zaproponuje ci, żebyś kupiła szcnotkę do włosów. Najważniejsze, żebyś niczemu się nie dziwiła, reagowała naturalnie i zachowywała się tak, jak będzie tego wymagała sytuacja.

Sklep mieścił się w pobliżu fabryki, gdzie pracował Parygin. Jewgienij wstępował

tam regularnie, wiele ekspedientek znało go z widzenia, ot, stały klient, zawsze skory do prawienia komplementów, ale tylko jedna, Ałłoczka, była wtajemniczona w pewien sekret, choć właściwie i to za dużo powiedziane. Po prostu istniał między nimi dwojgiem nieformalny kontakt, który polegał na tym, że niekiedy ten miły facet, Zotow, telefonował do Ałły do pracy i pytał, na przykład, czy są niemieckie szczotki do włosów, suszarki Brauna lub golarki określonej firmy. Wtedy Ałłoczka odpowiadała, że tak, proszę bardzo, w każdej chwili, albo też, że akurat tego asortymentu nie ma chwilowo w sprzedaży, ale spodziewają się dostawy. Zotow dziękował uprzejmie i zapowiadał, że w najbliższych dniach wpadnie. I rzeczywiście, zwykle się pojawiał, a prostoduszna Ałła natychmiast witała go z entuzjazmem: „Jest to, o co pan pytał! Zapakować?”. Z reguły kupował, nawet jeśli rzecz była droga. Skąd Ałłoczka miała wiedzieć, że „Zotow” z rozmów telefonicznych i ten miły klient, który zawsze prawił jej komplementy, to zupełnie różne osoby. W rzeczywistości dzwonili do Ałły zleceniodawcy Parygina lub ich pomocnicy, Jewgienij zaś jedynie w miarę systematycznie odwiedzał sympatyczną ekspedientkę i z jej reakcji wnioskował, czy ktoś telefonował, chcąc się z nim skontaktować, czy nie. Jeżeli Ałła na widok starego znajomego miło się uśmiechała i pytała, czym może służyć, znaczyło to, że nikt Parygina nie szukał, jeżeli zaś witała go słowami: „Weźmie pan...?”, czy też: „Niestety, tego, o co pan pytał, na razie nie ma”, wiedział, że ktoś pragnie się z nim skontaktować. Najważniejsze było to, żeby wstępować do sklepu jak najczęściej – inaczej Parygin mógłby przegapić jakiś telefon. Następnie, kiedy już otrzymał sygnał, pojawiał się we wcześniej ustalonym czasie i miejscu. I czas, i miejsce pozostawały niezmiennie od dwóch lat, czyli od chwili, gdy zaczął się kontaktować ze zleceniodawcami przez Ałłę – wcześniej miał inny kontakt, podobnie jak ustalony czas i miejsce. Wszystko to zmieniał Parygin co dwa-trzy lata, powiadamiając o tym jedynie pewnego niewidzialnego nadzorcę, który załatwiał „styk” zleceniodawców z wykonawcami. Ałłoczka nie miała o niczym pojęcia i gdyby ktoś ją o coś zapytał, odpowiedziałyby w dobrej wierze, że nikomu nie przekazywała od nikogo żadnych informacji i nikt nigdy nie prosił jej o jakieś podejrzone przysługi.

Udzieliwszy Annie instrukcji i wyprawiwszy ją do sklepu, Parygin snuł się przez pewien czas po mieszkaniu, a następnie położył się na kanapie. Był skupiony i gotów do akcji, jak zwykle, kiedy przystępował do realizacji zadania. W takich chwilach nie czuł zmęczenia, jego organizm – w podzięce za stałą troskę, zdrowe pożywienie i systematyczne ćwiczenia – mobilizował całą swą wytrzymałość i odporność.

Parygin nie zaprzętał sobie głowy tym, jaką odpowiedź przyniesie mu Anna, był absolutnie pewien, że Piotr Michajłowicz już dzwonił do sklepu. On sam musiał teraz przygotować logiczną konstrukcję argumentów, które przedstawi Piotrowi. Argumentów wystarczająco ważkich, by przekonały go, dlaczego Zotow musiał zapłacić szantażystce i z jakich powodów on powinien uczynić to samo. Poza tym należy na wszelki wypadek sklecić jakąś trzymającą się kupy historyjkę, wyjaśniającą,

skąd szantażystka o wszystkim wie. Oczywiście nie ma mowy o tym, by brać winę na siebie i przyznawać się do własnych błędów – Zotow cieszy się taką opinią, że wielu może mu pozazdrościć; on nie popełnia pomyłek, a więc musi pomyśleć, jak obciążyć samego Piotra Michajłowicza, czy jak go tam zwał. Oczywiście nie jest to jego prawdziwe imię, ale innego Parygin nie zna. W takich delikatnych sprawach wszyscy posługują się pseudonimami i starają się spotykać możliwie najrzadziej, a jeszcze lepiej – w ogóle unikać osobistych kontaktów. Im mniej człowiek wie, tym spokojniej śpi.

Jednakże wymyślenie wiarygodnej wersji pojawienia się szantażystki przysparzało niemałych trudności, system kontaktowania się zleceniodawców z wykonawcami był całkowicie bezpieczny, wypróbowany i dobrze chroniony, tak że znalezienie w nim słabego ogniwa okazało się wcale niełatwym zadaniem.

Usłyszawszy zgrzyt klucza w zamku, Parygin zdziwił się, że czas minął mu tak szybko. Czyżby Anna już wróciła? A może to przyszli właściciele mieszkania?

Ale rzeczywiście była to Anna. W ręce trzymała reklamówkę, w której znajdowało się chyba jakieś pudełko.

– Żenia, musiałam kupić zestaw męskich kosmetyków, nie szkodzi? Twoja Ała od razu powiedziała, że są, i to bardzo odpowiednie na prezent. Nie wypadało mi odmówić, ale wybrałam najtańszy. Dobrze zrobiłam czy nie powinnam była kupować?

– Mądra dziewczynka. – Parygin uśmiechnął się ciepło, całując Annę i pomagając jej zdjąć kurtkę. – Wszystko zrobiłaś jak należy. Z taką pomocnicą można konie kraść.

A więc wszystko w porządku, Piotrze Michajłowiczu, zareagował pan szybko i chce pan sprawdzić, czy damulka nie blefuje. Nie, nie blefuje, już ja postaram się pana o tym przekonać.

*

Na spotkanie z Piotrem Michajłowiczem Parygin udał się dopiero późnym wieczorem. Miejsce wybrał niegdyś sam, rozbawiony komizmem całej sytuacji. Szczególną satysfakcję sprawiał mu fakt, że zleceniodawcy, kimkolwiek byli, musieli spotkać się z nim w tak „prostackim” miejscu. Ale prostackość stanowi właśnie swoistą gwarancję bezpieczeństwa, nawet jeśli niezbyt ładnie pachnie. A istotnie nie pachniała drogimi perfumami ani dobrym tytoniem.

Jako miejsce spotkań ze zleceniodawcami Parygin wybrał szalet publiczny w jednym z moskiewskich parków. Przybytek na noc zamykano, ale Jewgienij miał swój klucz. Przyszedł, jak zwykle, pół godziny przed umówionym terminem, otworzył drzwi, starannie zamknął je za sobą, zapalił latarkę i rozejrzał się. Okrągły budynek szaletu stał pośród gęstej kępy drzew i krzewów, z dala od najbliższej latarni, więc trudno było rozpoznać twarze odwiedzających. Parygin na wszelki wypadek sprawdził wszystkie kabiny, gdyż pewnego razu natknął się w podobnych okolicznościach na twardo śpiącego klienta. Dziś jednak nie było niespodzianek, wszędzie pusto, ciszę

zakłócał tylko szmer wody lejącej się do muszli z zepsutego zbiornika w jednej z kabin.

Parygin wybrał dwie kabiny – w jednej pozostanie on sam, drugą zajmie Piotr Michajłowicz czy jak mu tam. Otworzył drzwi, żeby facet wiedział, gdzie ma wejść, wszystkie inne zamknął. No, gotowe, teraz można wyrzucić przez okno.

Okienko było małe i, jak to zwykle bywa, do wysokości ludzkiego wzrostu zamalowane na biało, ale gdy się stanęło na palcach, wejście do budyneczku i prowadząca do niego pośród zarośli ścieżka wyraźnie ukazywały się oczom patrzącego z wewnątrz obserwatora. Ciekawe, dlaczego wszyscy uważają, że naturalne czynności fizjologiczne są sprawą wstydliwą, i starają się ukryć toalety publiczne w jak najdalszych od ludzkiego wzroku zakątkach? Kiedy człowieka przyciśnie nagła potrzeba, trudno wtedy szukać na gwałt okrągłego budyneczku. Paryginowi zawsze wydawało się to głupie i nieracjonalne, chociaż taka lokalizacja szaletu była akurat korzystna dla jego własnych celów.

W ciemności zamajaczyła jakaś postać, mężczyzna nieśpiesznie szedł ścieżką między drzewami i chociaż jego twarzy, oczywiście, nie było widać, Parygin od razu rozpoznał, kto zacz, po sposobie poruszania się i nawyku lekkiego wymachiwania rękami przy każdym kroku. Bez wątpienia był to ten sam facet, z którym spotkał się w grudniu. Mężczyzna szedł spokojnie, nie wykonując żadnych podejrzanych gestów, które mogłyby świadczyć o tym, że daje komuś znaki. Nie, szanowny Piotr Michajłowicz przybył sam, bez obstawy. To dobrze.

Parygin cofnął się od okienka i bezszelestnie przemknął do kabiny sąsiadującej z tą, której drzwi przedtem uchylił. Usłyszał skrzypnięcie drzwi, a potem niepewne kroki. Przybysz rozglądał się, szukając wyznaczonego miejsca. Wreszcie zbliżył się do kabiny, wszedł, zamknął za sobą drzwi i zapytał cichym głosem:

– Jest pan tu?

– Tak. Słucham pana uważnie.

Parygin umyślnie nie zwrócił się do rozmówcy „Piotrze Michajłowiczu”. Skąd miał wiedzieć, kto wezwał go na spotkanie? Może chodzi o zupełnie nowe zlecenie. I w ogóle po co Piotr Michajłowicz ma się domyślać, że Zotow wyglądał przez okno?

– Nazywam się Piotr Michajłowicz, spotkaliśmy się już w grudniu, jeśli pan sobie przypomina.

– Pamiętam – przytaknął krótko Zotow.

– Dzwoniła do mnie pewna pani.

– Ach, do pana także? A to suka. Nienasycona bestia. Ile zażądała od pana?

– Dużo. Zapłacił jej pan?

– A jakże. Radzę dmuchać na zimne. Z takimi jak ona lepiej nie wdawać się w dyskusje. Woląłem zapłacić od razu niż tłumaczyć, że w nic nie jestem zamieszany.

– Nie rozumiem, w jaki sposób do pana trafiła? Popełnił pan jakiś błąd?

– Co za dziwne przyzwyczajenie od razu szukać winnych – odparował Parygin. –

Z pewnością za czasów radzieckich był pan działaczem partyjnym? To ani pana błąd, ani mój, tylko pechowy zbieg okoliczności, który zawsze może się zdarzyć i nikt nie jest w stanie się przed nim uchronić. W każdym razie informacje tej pani są fragmentaryczne, niepełne. Wie, że otrzymałem zlecenie, ale nie wie, że zostało odwołane.

– Powiedział jej pan, że wykonał je kto inny? – z wyraźnym zaniepokojeniem spytał rozmówca Parygina.

– A po co? Siedzę w tym interesie parę dziesiątków lat, Piotrze Michajłowiczu, znam zasady. Skoro już ta baba mnie dopadła, lepiej wziąć wszystko na siebie, niż mieszać w to osoby trzecie.

– Co za szlachetne podejście! – rozległ się za ścianką cichy, krótki śmiech.

– Kpiny są tu nie na miejscu – sucho odparł Parygin. - To nie szlachetność, tylko elementarne zasady bezpieczeństwa. Skąd mogę wiedzieć, komu zlecono wykonanie zadania? Niewykluczone, że to ktoś spoza branży, jakiś dureń czy narwaniec. Cholera wie, z jakiego źródła ta suka czerpie informacje. Gdybym jej powiedział, że jeszcze jeden człowiek jest zamieszany w sprawę, wzięłaby pieniądze ode mnie i w te pędy zaczęłaby szukać tamtego. A gdyby go znalazła?

Może pan za niego ręczyć? Nie może pan, Piotrze Michajłowiczu. I ja również nie mogłem. Nie mogę też ręczyć za pana, tylko za siebie samego, dlatego zapłaciłem, nie mieszając w to nikogo więcej. Do pańskiej wiadomości, wciąż żyję i pozostaję na wolności jedynie dlatego, że zawsze przestrzegałem reguł naszej specyficznej gry. Co i panu szczerze radzę.

– Mimo wszystko nie pojmuję, w jaki sposób na nas trafiła – z naciskiem powtórzył mężczyzna w sąsiedniej kabinie.

– Nie rozumiem.

To był najtrudniejszy moment w rozmowie. Parygin przygotował się do niego, niemniej zdawał sobie sprawę, że jego konstrukcje myślowe nie wytrzymują krytyki. Przy takim systemie konspiracji wysledzić zleciodawcę i najemnego zabójcę to rzecz po prostu niemożliwa. Oczywiście jeśli szantażysta działa w pojedynkę. Co innego, gdy wspierają go ludzie dobrze poinformowani. Ale w takim wypadku nie trzeba płacić, tu już zaczyna się całkiem inna gra. A tymczasem chodzi o to, żeby Piotr zapłacił.

– Coś niecoś o niej wiem – zaczął ostrożnie. – W każdym razie udało mi się trochę rozwiązać jej język. To, jeśli można się tak wyrazić, zwariowana racjonalizatorka. Pracowała w jakimś tajnym instytucie naukowo-badawczym. Specjalne rozwiązania techniczne, no, wie pan, o czym mówię. Teraz już drugi rok jest bez pracy, instytut padł, zabrakło środków finansowych. Ona na własną rękę nadal pracuje nad skonstruowaniem jakiejś skomplikowanej aparatury, co – ma nadzieję – przyniesie jej światowy rozgłos i sławę. Chce bryknąć za granicę i tam opatentować te wynalazki. W tym właśnie parku po nocach wypróbowywała swoje fikuśne urządzenia. I przydybała

nas w czasie poprzedniego spotkania. Pan wtedy podał mi numer telefonu, pod którym można się z panem skontaktować w razie ostatecznej konieczności. Tak więc o panu wiedziała znacznie więcej niż o mnie – znała i pańskie imię, i telefon. Potem, kiedy się rozeszliśmy, zajęła się moją osobą. Nie wiem, jak jej się udało mnie wyśledzić, ale podejrzewam, że miała jakieś urządzenie w rodzaju bardzo silnego noktowizora. Obejrzała mnie sobie jak należy, kiedy wychodziłem, ale nie szła za mną przez park, było zupełnie pusto, więc od razu bym ją zauważył. Musiała skorzystać z drugiego wyjścia, które jest o wiele bliżej metra, i tam na mnie czekała. Szła za mną aż do domu, zobaczyła, w których oknach zapaliło się światło, i już miała namierzone mieszkanie. Dalej – sam pan wie.

– Zna pan dużo szczegółów – zauważył Piotr Michajłowicz i z jego niedowierzającego tonu Parygin wywnioskował, że chyba przedobrzył. Trzeba będzie teraz zrobić krok do tyłu.

– Nie tyle znam, ile logika mi podpowiada, że tak musiało być. Metoda dedukcji, jak u Sherlocka Holmesa. Nie znała przecież mojego numeru telefonu, więc wrzuciła mi list do skrzynki pocztowej. I wszystko, co wie, wie tylko z podsłuchanej rozmowy, którą odbyliśmy. Zobaczyła, że dwóch mężczyzn wchodzi w nocy do nieczynnego szaletu, zorientowała się, że to może być coś interesującego, i przyczepiła pluskwę do szyby w oknie. Sama mi zresztą powiedziała, że z początku wzięła nas za homoseksualistów i z ciekawości chciała podsłuchać, jak robią to ze sobą faceci, co przy tym mówią. Tymczasem usłyszała coś zupełnie innego, o wiele bardziej frapującego. I kiedy się rozchodziliśmy, postanowiła śledzić tego z nas, o którym miała mniej informacji. To zupełnie naturalne, bo pański telefon już znała.

– A jednak wciąż nie rozumiem, skąd wiedziała, za którym z dwóch mężczyzn powinna iść. Przecież nas tylko słyszała, nie widziała. Nie ma pan w końcu napisane na czole, że Zotow to pan.

– Racja – zgodził się Parygin – ale niech pan sobie przypomni, jak było. Skończyliśmy rozmowę i ja powiedziałem: „Proszę iść, Piotrze Michajłowiczu. Pan pierwszy. A ja chwilę potem”. Pamięta pan?

– No tak, to prawda – mruknął rozmówca Parygina. - Przypominam sobie. Zdawało mi się wtedy, że widzę jakiś cień między drzewami, ale pomyślałem, że to przywidzenie.

„No, chwała Bogu! – Jewgienij niemal bezgłośnie westchnął z uczuciem ulgi. – Dotarło do niego wreszcie, że sytuacja jest poważna. Teraz najważniejsze, to przekonać go, że szantażystka działa w pojedynkę, nikt za nią nie stoi. Inaczej facet nie zapłaci. Od grupy nie można się wykupić, trzeba zorganizować całą kontrakcję. Z pojedynczym człowiekiem gra się inaczej. Albo mu się płaci, albo trzeba się go pozbyć”.

– Czyli pan jej zapłacił?

– Zapłaciłem.

– I potem dała już panu spokój?

– Tak. Może to dziwne, ale w tym wypadku okazała się uczciwa i dotrzymała warunków umowy.

– I uważa pan, że ja też powinienem zapłacić?

– Decyzja należy do pana.

– A skąd pewność, że nikt za nią nie stoi?

– Tak mi się zdaje. Wnioskuje to z tego, ile wie. Jak się do pana zwracała, kiedy dzwoniła?

– Tak samo jak pan.

– A czy to pańskie prawdziwe imię?

– Oczywiście, że nie.

– No widzi pan. Do mnie także zwracała się per „Zotow”. To świadczy o tym, że nie ma możliwości dotarcia do dodatkowych informacji. Albo po prostu nie chce tego robić. Może też nie przyszło jej nawet do głowy, że nie są to prawdziwe imiona i nazwiska, tylko ksywy. Gdyby stał za nią ktoś doświadczony i o mocnej pozycji, wiedziałby, jak się naprawdę nazywam, ponieważ znała adres. Łatwo by to sprawdzili. Zresztą pana też. Chociaż zdobyć nazwisko byłoby o wiele trudniej, nie przeczę, bo posługuje się pan przecież telefonem komórkowym. Ale powtarzam, dla profesjonalnych szantażystów nie jest to rzecz niemożliwa. Dowiedzieliby się na pewno. Zgodzi się pan chyba ze mną?

– W zasadzie tak – z powątpiewaniem w głosie odparł Piotr Michajłowicz. – Jestem skłonny przyznać panu rację.

„Cóż, ale do płacenia wcale się nie pali – pomyślał Parygin. – Chce się po prostu upewnić, czy szantażystka działa w pojedynkę, i sprzątnąć ją. Ale tak już musi być, a on tak czy siak zapłaci, wszarz śmierdzący”.

– Piotrze Michajłowiczu, nasza rozmowa się przeciąga, musimy kończyć. Ma pan do mnie jeszcze jakieś pytania?

– Nie – z westchnieniem odezwał się mężczyzna za ścianką. – Wszystko jasne.

– Podjął pan decyzję?

– Muszę się jeszcze zastanowić. Dziękuję, że zechciał się pan ze mną spotkać.

– Proszę nie dziękować, nie wiedziałem przecież, że to pan – żartobliwym tonem rzekł Parygin. – Sądziłem, że to kolejny zleceniodawca.

Wyszli tak jak poprzednim razem, najpierw Piotr, a Parygin dwadzieścia minut później zamknął od środka drzwi męskiej toalety, drugim kluczem otworzył wewnętrzne, prowadzące do damskiej części przybytku, po czym, używając jeszcze innego klucza, opuścił budynek tylnym wyjściem i skierował się w przeciwną stronę niż jego rozmówca. Czuł się pewniej, zachowując wszystkie środki ostrożności.

*

Rano zadzwonił do Lolity i dowiedział się, że sytuacja jest naprawdę

podbramkowa. Lola nie wytrzymała przymusowego zamknięcia i pojechała do siebie do domu po jakiś drobiazg, bez którego, zdaniem Parygina, można było spokojnie żyć jeszcze sto lat. Ale Lola najwidoczniej uważała inaczej. Krótko mówiąc, wybrali się do swego mieszkania, a tam już, oczywiście, wierzyciele na nią czekali. Nie w środku, naturalnie, tylko na schodach.

– Żenia, ledwie się im wyrwałam! – krzyczała Lolita w słuchawkę, zachłystując się łzami. – Przywieźli mnie tutaj i siedzą teraz w samochodzie pod samymi oknami. Powiedzieli, że jeśli pieniędzy nie będzie w ciągu trzech dni, przyjdą do mieszkania i zabiorą Sieriożenkę.

– Po kiego diabła tam jechałaś! – wściekł się Jewgienij.

– Zabroniłem ci przecież wychodzić z domu! Głupia jesteś, czy co?

– Och, Żenieczka, co robić? – szlochała rozhisteryzowana Lolita. – Chyba oszaleję ze strachu, oni przecież mogą w każdej chwili włamać się do mieszkania!

– Uspokój się – krzyknął na nią Jewgienij. – Powiedzieli ci: masz trzy dni. W ciągu trzech dni pieniądze będą.

– Tyle czasu już obiecujesz...

Znów zachlipała, urażona, i Parygin skrzywił się. Niech to cholera, Lola rozmawia z nim tak, jakby był jej mężem i jeszcze na zeszłoroczną Gwiazdkę obiecał jej nowe futro, bo nie ma ciepłego okrycia. Żeby chociaż powiedziała „dziękuję” za to, że w ogóle zdecydował się jej pomóc zamiast posłać babę do diabła. Ach, braciszku, braciszku, coś ty narobił! Oczywiście, przez pamięć o tobie zrobię wszystko, co się da, wylezę ze skóry, a zrobię, chociaż Bóg świadkiem, ile mnie to kosztuje.

– Powiedziałem: pieniądze będą – powtórzył twardo i odłożył słuchawkę.

Anna siedziała na podłodze, głowę położyła mu na kolanach i nie spuszczała z jego twarzy czujnego spojrzenia.

– O co chodzi, Żenia? – zapytała cicho. – Wynikły jakieś komplikacje?

Machinalnie pogładził ją po włosach, wciąż zaprzątnięty swoimi sprawami, ale mimo to któryś już raz z rzędu uświadomił sobie, jakie są jedwabiste, błyszczące, gęste i miłe w dotyku.

– Lolita popełniła kolejne głupstwo i teraz wierzyciele brata wiedzą, gdzie przebywa. Trzeba będzie przyśpieszyć bieg wydarzeń. Nie możemy już dłużej czekać.

– Ale Piotr Michajłowicz mówił, żeby zadzwonić za dwa dni...

– I co z tego? Kim on dla ciebie jest? Szefem? Trenerem drużyny? Trzeba będzie skontaktować się z nim jeszcze dzisiaj.

– Ale przecież sam mówiłeś, że powinniśmy być słowni i punktualni – nie ustępowała Anna.

Parygin w duchu przyznawał jej rację. W innej sytuacji z pewnością trzymałby się tych zasad. Niestety, wypadki potoczyły się nie po jego myśli – a na to już nie miał rady. Termin wyznacza nie on, tylko ci, którzy teraz siedzą w samochodzie pod oknami Loli. Cholera by wzięła tę babę, że też nie mogła, idiotka, usiedzieć na

miejscu!

– Aniuta, nie zawsze wszystko pomyślnie się układa. Koniec końców, nam obojgu także zależy na tym, żeby cała sprawa jak najszybciej została załatwiona, prawda?

Popatrzył na nią wymownie i mrugnął, jakby przypominając w ten sposób o ślubie i wycieczce nad ocean. Anna uśmiechnęła się lekko w odpowiedzi, a jej oczy rozbliły; świadczyło to o tym, że rozumiała, co Parygin miał na myśli.

– Musisz do niego zadzwonić i powiedzieć, że sytuacja uległa zmianie i pieniądze są ci pilnie potrzebne. Możesz nawet nie ukrywać zdenerwowania, to będzie jeszcze bardziej przekonujące.

– Na czym miałyby polegać ta zmiana sytuacji?

– No, na przykład na tym, że dostałaś już wizę oraz opłacony bilet i lada dzień musisz wyjechać.

– Opłacony bilet?

– Jesteś inżynierem, wysokiej klasy specjalistą od tajnych urządzeń technicznych. No wiesz, podsłuchy, nagrywanie, podgląd. Chcesz wyjechać za granicę i sprzedać tam swoje wynalazki, których masz bardzo wiele. Przekazałaś informacje na ten temat do różnych krajów, a teraz z jednego z nich przysłano ci zaproszenie i bilet. Szczegóły nie są ważne, rozmowa powinna być krótka. Jesteś zdenerwowana, śpieszysz się, potrzebujesz pieniędzy. Jeżeli będzie ci zadawał trudne pytania, po prostu nie odpowiadaj.

– Jak to nie odpowiadać?

– Zwyczajnie. Mów wtedy rozdrażnionym głosem, żeby nie odbiegał od tematu, nie chodzi o to, nad czym pracujesz, tylko o pieniądze.

– Dobrze, Żenia, spróbuję – powiedziała niepewnie Anna.

– Nie spróbujesz, tylko załatwisz sprawę – nakazał surowo Jewgienij. – Od tego zależy nasze wspólne szczęście, nie zapominaj. I niczego się nie bój, na razie możesz się odprężyć, zadzwonisz w dzień, o drugiej, trzeciej.

Anna poweselała i od razu zaczęła robić plany na przedpołudnie. Jewgienij Iljicz słuchał jednym uchem i w roztargnieniu kiwał głową, myśląc o tym, jak rozegrać sprawę. Piotr Michajłowicz musi zrozumieć, że szantażystka się denerwuje i śpieszy, więc jeśli nie jest zupełnym durniem, z pewnością spróbuje wykorzystać sytuację. Zdecydowanie tak właśnie postąpi.

Parygin musi pojechać do swojego mieszkania i zabrać stamtąd wszystko, co będzie potrzebne. Niebezpieczeństwo chyba minęło, wizyta trzech nieznanomych z kamerą wideo nie miała żadnych następstw. Oczywiście, ostrożność nie zawadzi, ale pojechać trzeba. Co tam Ania mówi? Proponuje, żeby się wybrać do kompleksu sportowego, zwanego Olimpijskim, poszukać dobrych książek?

– Nie, dziecino, po książki pojedziemy innym razem – powiedział stanowczo. – Teraz mam coś pilnego do załatwienia. Musisz za mną potęsknić do południa.

– Dokąd się wybierasz? – zaniepokoiła się Anna.

– Aniuta, nie denerwuj się, na pewno nie zniknę, pojedę szybciotko i zaraz wrócę. No? O co chodzi?

Oczy jej zwilgotniały, łzy zawisły na rzęsach i Parygin znów doznał niemiłego uczucia wstydu i litości wobec tej szczerzej, ufnej i dobrej dziewczyny.

– A jeżeli nie wrócisz? – zapytała Anna niemal szeptem.

– Dlaczego miałbym nie wrócić, głuptasie?

– Nie wiem. Wy wszyscy wcześniej czy później odchodzicie i nie wracacie.

Nachylił się do siedzącej na podłodze Anny, objął ją mocno, pocałował, pogładził po włosach, po ramionach, po plecach.

– Anieczko, Anieczko, moja kochana dziewczynko – uspokajał ją łagodnie – dokąd miałbym od ciebie odejść, sama pomyśl. Oczywiście, że wrócę, wrócę jak najszybciej, nie zaprzataj sobie główki tymi niemądrymi myślami. Wierzysz mi?

Anna pokręciła głową przecząco.

– Nie. Czuję, że mnie oszukujesz.

No tak, znowu się zaczyna. I to akurat w najmniej odpowiednim momencie. Parygin z trudem się powstrzymał, żeby nie zgrzytnąć zębami ze złości. Czyż nie zrobił wszystkiego, żeby mu zaufała? Czy się nie stara? Co tu gadać, nie zrównoważona baba to samo, co beczka prochu pod łóżkiem, nigdy nie wiadomo, kiedy wybuchnie. „Czuję, że mnie oszukujesz”. Oczywiście, że ją oszukuje, ale jak ona może to czuć? Kompletna bzdura. Co prawda, podobno kobiety mają niebывałą intuicję, niczego nie analizują, przyjmują wszystko jako integralną całość. Gdyby przeanalizować jego zachowanie, nic w nim nie wskazywałoby na oszustwo, postępuje zrozumiale i logicznie. W każdym razie mężczyzna niczego złego by nie podejrzewał. Ale co robić? Trzeba ją będzie chyba wziąć ze sobą, chociaż lepiej by było nie. No cóż, nie ma wyjścia, dziewczyna musi się uspokoić i przekonać, że on nie zamierza dać nogi, bo inaczej, nie daj Boże, znowu wpadnie w trans albo dostanie ataku hysterii. A tymczasem jest mu potrzebna w najzupełniej normalnym stanie psychicznym.

– Jeżeli chcesz, pojedziemy razem – powiedział. – Mogę się z tego tylko cieszyć, bo nie mam ochoty się z tobą rozstawać. Po prostu nie chodzi o nic interesującego, i sądziłem, że będzie ci przyjemniej posiedzieć w domu albo pochodzić po sklepach.

Łzy na jej rzęsach momentalnie obeschły, a na wargach znów pojawił się uśmiech.

– Naprawdę weźmiesz mnie ze sobą?

– Ubieraj się. Co ja bym począł bez ciebie? – powiedział Jewgienij z uśmiechem.

To prawda, dodał w myślach. Cóż by teraz bez niej począł? Wciągnął ją do gry, kazał jej dzwonić do zleceniodawcy – trudno, musi pójść na całość.

*

Ulica przy której mieszkał, wydała się Paryginowi cicha i spokojna. Żadnych podejrzanych samochodów ani wałęsających się niby to bez celu typów nie zauważył.

Może niepotrzebnie się bał. Jeśli nawet ktoś próbował go znaleźć bezpośrednio po incydencie z nieproszonymi gośćmi, to minęło już wystarczająco dużo czasu, by przestać się niepokoić. Niewykluczone zresztą, że nikt go nie szukał...

Schodami szli razem z sąsiadką Parygina, emerytką, ale jeszcze w pretensjach.

– Oj, Jewgieniju Iljiczu – ucieszyła się wyraźnie kobieta – coś dawno pana nie widać, myślałam już, że pan gdzieś wyjechał.

– Nie, Irino Kondratjewno, nie wyjechałem. Zakochałem się i przepadłem z kretesem. Wie pani, jak bywa z mężczyznami. Długo pozostawałem w kawalerskim stanie, ale spotkałem tę oto ślicznotkę – ujął Annę za ramię – i już po mnie. Nie mogę się z nią rozstać. Może mi pani, Irino Kondratjewno, pogratulować narzeczonej.

Oczy Anny przy tych słowach rozbłysły i Parygin zganił się w duchu. Wszystko robi nie tak, jak trzeba, nie powinien był brać dziewczyny ze sobą, a tym bardziej opowiadać o niej sąsiadce, ale Ania to teraz dla niego sprawa numer jeden. Musi mu ufać, słuchać go, dlatego świadomie podjął to ryzyko. Być może zresztą wszystko pójdzie gładko, Piotr Michajłowicz zapłaci, a Parygin naprawdę ożeni się z Anną.

– Tutaj właśnie mieszkam – powiedział, otwierając drzwi.

Ania bystrym spojrzeniem obrzuciła maleńki przedpokój, zajrzała do pokoju i Jewgienij zrozumiał, że szuka śladów kobiety. Cóż, niech szuka, z pewnością ich nie znajdzie, od razu widać, że mieszka tu samotny mężczyzna, pedantyczny, samodzielny i gospodarny.

– Rozejrzyj się dokładnie, to będzie przecież twój dom, a ja szybko spakuję potrzebne rzeczy.

Anna zdjęła buty i weszła do kuchni, potem do łazienki, Parygin zaś tymczasem wyjął i starannie umieścił w torbie niezbędne wyposażenie. Na wierzch położył kilka swetrów i czystą bieliznę, niech Anna myśli, że przyjechał po ubranie na zmianę.

– Aniuta, jestem gotowy! – zawołał. – Co tam robisz?

– Oglądam twoją pralkę – dobiegł z łazienki głos dziewczyny.

– I jak ci się podoba?

– Bardzo. Nie trzeba będzie kupować nowej.

Paryginowi kamień spadł z serca. A więc Anna wierzy mu i znów snuje plany na przyszłość. Chyba spotkanie z sąsiadką wyszło na dobre, dzięki, Irino Kondratjewno, w samą porę wróciła pani z zakupów.

– Cieszę się, że ci się podoba. A co powiesz o lodówce? Może być?

Anna wyszła z łazienki i zaczęła wciągać botki.

– Dla nas dwojga wystarczy. Ale jeżeli pojawią się dzieci, będziemy potrzebowali większej.

– Dziewczynka – szybko wtrącił Parygin. – Koniecznie musi być dziewczynka, maleńka, okrągłutka, z czerwoną wstążeczką od uroku na rączce. Dobrze? A o chłopakach pomyślimy później. Najpierw dziewczynka.

Anna zaciągnęła suwaki w botkach i wyprostowała się. Patrzyła na niego z góry,

twarz miała surową i zarazem szczęśliwą.

– Żenia...

– Tak?

– Żenia, dotąd nie mogę uwierzyć, że to prawda. Wszystko jak w bajce. Czy to się dzieje na jawie, czy we śnie?

– Na jawie. Pobierzemy się, będziemy żyli długo i szczęśliwie, a potem razem umrzemy. No dobrze, Aniu, chodźmy, mamy jeszcze dużo spraw do załatwienia.

Bez przygód wrócili na ulicę Mosfilmu. Parygin spojrział na zegarek i podprowadził Annę do telefonu.

– Pora dzwonić, Anieczko.

– Może najpierw zjemy obiad?

Jewgienij zrozumiał, że dziewczyna się boi i chce odwlec nieunikniony moment.

– Nie, zadzwonimy teraz, a potem spokojnie siądziemy do stołu. No już, Aniuta, chodź, weź się w garść, raz już przecież z nim rozmawiałaś i wiesz, że to nic strasznego. Wczoraj porządnie go nastraszyłem, więc dzisiaj na pewno będzie bardziej ustępliwy. Jeżeli zaproponuje spotkanie, zgódź się, przystań na wszelkie warunki, byleby tylko dostać pieniądze. Rozumiesz?

Niemal siłą wcisnął jej słuchawkę do ręki i wybrał numer. Piotr odezwał się od razu, widać nie rozstawał się ze swoją komórką ani na minutę. Pierwsze słowa Anny zabrzmiały niepewnie, jej głos drżał zdradliwie, ale to akurat pozostawało w zgodzie z planami Parygina.

– Moja sytuacja się zmienia i nie mogę dłużej czekać. Pieniądze są mi pilnie potrzebne.

– Ale umawialiśmy się na telefon za dwa dni – odparł wyraźnie niezadowolony Piotr Michajłowicz. – Rozumie pani chyba, suma jest tak duża, że zgromadzić całą w tak krótkim czasie to po prostu niemożliwe...

– To mnie nie interesuje – powiedziała mu Anna. – Jeżeli potrafił pan wejść w układy z Zotowem, to i pieniądze z pewnością pan znajdzie.

Parygin pogratulował jej w duchu. Anna intuicyjnie utrafiła we właściwy ton. Agresywna, nerwowa kobieta, której grunt pali się pod nogami, więc przestaje myśleć logicznie; taka osoba musi się wydawać Piotrowi Michajłowiczowi wymarzoną ofiarą. Ciekawe, czy chwyci przynętę.

– No dobrze. Spróbuję zorganizować pieniądze jeszcze dzisiaj. Może pani zaczekać przynajmniej do wieczora?

– Do wieczora mogę. Gdzie i jak zostaną mi przekazane?

– Zna pani dzielnicę Butowo-Północ?

– Proszę mówić dalej, znajdę.

Parygin, przyłożywszy ucho do słuchawki, notował w myślach każde słowo rozmówcy. Piotr chciał, żeby szantażystka przyjechała po pieniądze w rejon nowo wybudowanych bloków. To miało sens. Nowi mieszkańcy nie poznali się jeszcze

nawzajem, nieznana twarz nie zwróci niczyjej uwagi.

–...Obok tego domu buduje się biurowiec, to wielopiętrowy budynek, od razu rzuci się pani w oczy. Nie ma jeszcze ścian, tylko betonowe stropy i klatki schodowe. Wejdzie pani na siódme piętro, zobaczy tam pani jeszcze jedne szerokie schody, to ma być amfiteatralna sala konferencyjna. Spotkamy się na górze, na podeście.

– A niżej nie można? – zapytała Anna. – Po co pchać się na siódme piętro bez windy?

– Muszę mieć pewność, że mnie pani nie oszukuje i przyjdzie sama. Z tego miejsca jest dobry widok. Jeżeli pani kogoś ze sobą przyprowadzi, żadnych pieniędzy pani nie dostanie.

– W porządku. O której?

– Wpół do dwunastej.

– To bardzo późno.

– Ale wcześniej nie zdołam zebrać całej sumy. Tłumaczyłem już pani. Nie chce pani przecież czekać do jutra.

– No dobrze. Ale proszę pamiętać, Piotrze Michajłowiczu, że jeśli o mnie chodzi, nie mam nic do stracenia, i tak wyjadę, mam bilet na pojutrze, a pieniędzy, które dostałam od Zotowa, wystarczy mi aż nadto. Dlatego jeżeli dzisiaj nie pojawi się pan z uzgodnioną sumą, nie będę więcej dzwoniła, za to zaraz po moim wyjeździe przyjdą po pana. Nie rzucam słów na wiatr.

– Rozumiem. Do zobaczenia.

Zamiary Piotra Michajłowicza były dla Parygina najzupełniej jasne. No cóż, znaczy, że dobrze zrobił, jadąc do swego mieszkania, by zabrać to, co niezbędne. Anna spoglądała na niego pytająco, ciekawa, jak oceni przebieg rozmowy.

– No i co, Żenia? Wszystko było w porządku, czy zrobiłam coś nie tak?

– W porządku, kochanie, w jak najlepszym porządku – pochwalił ją Parygin, z trudem odbiegając od toku własnych myśli. – Wieczorem dostaniemy pieniądze, jutro rano je oddamy, odwieziemy Lolę z małym do domu i będziemy mogli uznać, że wszystkie problemy w naszym wspólnym życiu zostały pomyślnie rozwiązane. Jutro pójdziemy do urzędu stanu cywilnego.

– Naprawdę? Nie oszukujesz mnie?

– Nie oszukuję. Chodź do mnie, moja kochana.

Przyciągnął ją do siebie. Dziewczyna musi się odprężyć.

Być może ten dzień jest ostatnim w jej życiu, więc niech przynajmniej zazna trochę przyjemności.

ROZDZIAŁ 16

Nastia nigdy nie bała się samotności. Nie nudziła się i nie smuciła, kiedy była sama, zawsze miała o czym myśleć. Teraz jednak czuła się zupełnie zagubiona. Loszki nie ma, wątpliwe zresztą, czy opowiedziałaby mu o ojczymie. Sam Leonid Pietrowicz jako doradca i pocieszyciel oczywiście odpada. Jeszcze dwa miesiące temu bez namysłu poszłaby ze swoim problemem do Gordiejewa, ale teraz nie chciała zawracać mu głowy. Znalazł się w nowym miejscu, miał nowe zmartwienia, otaczali go nowi ludzie, nie wypadało więc pchać się do niego z własnymi kłopotami, jakby nie dość miał swoich spraw. Wracając myślami do ostatnich dni, uprzytomniła sobie, że i do Zatocznego wprosiła się z wizytą w nadziei, że uda się z nim pogadać o tym, co ją gryzie. Gdyby potraktował ją inaczej, o wszystkim by mu opowiedziała. Iwanowi Aleksiejewiczowi ufała prawie tak samo, jak Gordiejewowi. Ale Zatoczny ją zawiódł, był chłodny i oschły; wydawało się Nasti, że jej niemądre wyznania tylko drażnią generała, złościąc go, że uważa je za dziecinadę, i w ogóle jej wizyta i prośba o przyjęcie do pracy mocno go do niej rozczarowała.

Nigdy dotąd Anastazja Kamieńska nie znalazła się w sytuacji, kiedy słowo „samotność” oznacza po prostu: „nie ma się kogo poradzić”. Przyjaciele, tacy jak na przykład Jura Korotkow czy choćby Stasow, nie wchodzą w grę. Sprawa jest na tyle poważna, że Nasti nie chodzi o koleżeńskie zainteresowanie, lecz o profesjonalne doświadczenie i ową mądrość, która przychodzi z latami i której nie zastąpi najsprawniejszy nawet intelekt.

Anastazja tak pogрузyła się w swoich niewesołych rozmyślaniach, że prawie zupełnie straciła zainteresowanie pracą. Nawet kolejny przejaw braku zaufania ze strony szefa nie zdołał jej dotknąć, chociaż Misza Docenko był oburzony do głębi:

– Niech pani sobie wyobrazi, Anastazjo Pawłowno, Mielnik zaraz po rozesłaniu listów gończych za Łazariewą wystosował dodatkowe pismo, w którym powiadamia, że poszukiwana Anna Łazariewa jest szczególnie niebezpieczną przestępczynią, cierpi na poważny rozstrój psychiczny i może stawiać opór przy zatrzymaniu. Kompletnie zgłupiał, czy co? Jaki rozstrój psychiczny?

– Sam pan mówił, że wykazuje pewne cechy psychopatyczne – wtrąciła Nastia. Anna Łazariewa zupełnie jej nie obchodziła, podobnie jak wszystko, co nie miało bezpośredniego związku z jej osobistym problemem.

– Owszem, mówiłem – gorączkował się Michaił – ale to nie żaden rozstrój psychiczny.

– Skąd pan wie? Nie jest pan przecież lekarzem.

– Mielnik też nie jest. Ja przynajmniej znam Annę, spotykałem się z nią, a on jej nie widział na oczy. Skąd mu przyszło do głowy, że dziewczyna może stawiać opór przy zatrzymaniu?

– To sportsmenka, silna fizycznie, dobrze zbudowana. Niewiele tu można zdziałać gołymi rękami. To wszystko głupstwa, Miszeńka. Niech pan nie zapomina, że Mielnik nadal trwa w przekonaniu, iż Łazariewa popełniła te przestępstwa, a więc z tego punktu widzenia jego posunięcia są absolutnie słuszne. Wie pan doskonale, że bez takiej dodatkowej dyrektywy nikt Anny nie będzie szukał, Olszański, nakazując rozesłanie listów gończych, zakwalifikował Łazariewą jako świadka, a o świadków nikt się u nas nie zabija, jest dość ważniejszych spraw. No cóż, nam obojgu nie udało się przekonać Mielnika, że Anna nie ma z zabójstwami nic wspólnego, ale to już nasze zmartwienie, a nie jego. Poza tym dziewczyna rzeczywiście zniknęła. Ciekawe, gdzie teraz przebywa i dlaczego nie mieszka w domu i nie pokazuje się w pracy? Nie możemy tak po prostu zamknąć na to oczu.

Nastia zmuszała się do wypowiedzania tych słów, starając się uspokoić Michaiła i usprawiedliwić posunięcia szefa, żeby nie pokazać po sobie, jak bardzo to wszystko jest jej obojętne. Łazariewa nie jest żadną morderczynią. Ciekawe tylko, dlaczego szukała w redakcji Bagluka. Ale ponieważ nie знаła go osobiście, bo przecież z początku wzięła za niego Korotkowa, wygląda na to, że raczej nie jest zamieszana w historię z artykułem, czyli tę, z którą ma jakiś związek ojczym, Leonid Pietrowicz. Tylko to w tej chwili wydaje się Nasti istotne. Tylko to. Wszystko inne nie ma znaczenia.

*

Wieczorem, po dziesiątej, Anna zaczęła się ubierać. Ręce jej drżały i Parygin widział, że dziewczyna jest zdenerwowana i wystraszona.

– Aniuta, nic się nie bój, będę obok – uspokajał ją, ale sam z trudem ukrywał dziwne napięcie.

– Nie możesz przecież być obok, Piotr Michajłowicz powiedział, że z góry wszystko widać. Jeżeli nie będę sama, nie da pieniędzy.

„I tak jej nie da – pomyślał Parygin. – Najważniejsze, żeby przyniósł, a ja już potrafię je odebrać”.

– No cóż, nie jesteśmy głupszy od szanownego Piotra Michajłowicza, specjalnie przyjedziemy wcześniej i rozejrzemy się jak należy. Ja wejdę na górę i sam sprawdzę, które miejsca stamtąd widać, a które nie. Rozumiesz, Anieczko, on wychodzi z założenia, że ty nigdy przedtem tam nie byłaś, więc nie znasz okolicy. Facet blefuje, możesz mi wierzyć. Stuprocentowa widoczność może być tylko z wieży stojącej w szczerym polu, w miejskim terenie zabudowanym to praktycznie niemożliwe.

Anna trochę się uspokoiła, podeszła do okna i popatrzyła w skupieniu na sąsiednie domy i pobliskie ulice. Jewgienij zorientował się, że sprawdza, czy istotnie jest tak,

jak powiedział.

– No cóż, chyba masz rację. Chodźmy, Żenia, jestem gotowa. Tylko pocałuj mnie na szczęście.

Pocałował ją mocno i czule, i znów pomyślał, że to pewnie ich ostatni pocałunek.

Do Butowa jechali samochodem, na łebka. Przez całą drogę, siedząc obok siebie z tyłu, trzymali się za ręce i nie zamienili ani słowa. O przecznicy przed umówionym miejscem wysiedli i dalej poszli pieszo.

– A może on także przyjechał wcześniej i teraz nas obserwuje? – zaniepokoiła się Anna.

– Myślisz, że ma tyle czasu? Musi przecież zebrać pieniądze. Sądysz, że to takie proste zgromadzić czterdzieści tysięcy dolarów?

– Nie wiem. – Anna westchnęła cichutko. – Dla mnie i tysiąc byłby problemem, musiałabym tydzień chodzić po znajomych.

– No widzisz. Spóźni się co najmniej o godzinę, będziemy musieli na niego czekać, sama się przekonasz.

Skreśliли za róg i od razu zobaczyli biurowiec w budowie. Na prawo i na lewo od niego stały wykończone już domy, przy czym w jednym z nich tu i ówdzie paliło się w oknach światło, drugi zaś był zupełnie ciemny, najwidoczniej jeszcze niezasiedlony. Osiedle powstawało na pustkowiu, wzdłuż ulicy nie ustawiono jeszcze latarni, było ciemno choć oko wykol. Drogi Piotr Michajłowicz blefuje, chce nastraszyć szantażystkę, w takich ciemnościach z wysokości siódmego piętra guzik widać, można nawet nie sprawdzać. Facet widocznie liczył na to, że kobieta, nie wiedząc o braku wszelkiego oświetlenia, uwierzy mu i będzie się bała wziąć ze sobą obstawę.

– Idź, Aniuta. – Parygin leciutko popchnął dziewczynę.

– Wejdz na górę, rozejrzyj się, przyzwyczaj wzrok do tej czerni, wyczuwaj odległości. Jak mawiają aktorzy, przymierz się do sceny. Wtedy łatwiej ci będzie z nim rozmawiać. A ja tymczasem rozejrzę się za dogodnym miejscem do obserwacji, żebym mógł mieć na was oko. Idź, kochanie.

W milczeniu wzięła jego rękę i przyłożyła sobie do policzka, postąpiła tak bez ruchu parę sekund, po czym powoli ruszyła w stronę budynku. Jewgienij Iljicz patrzył za nią jakiś czas, a potem, nie spuszczać oczu z ledwie widocznej w ciemnościach sylwetki, skierował się do domu obok, tego, gdzie w kilku oknach paliło się światło. Oczywiście, wolałby ten drugi, pusty, ale, niestety, przyszłej sali konferencyjnej z niezasiedlonego bloku nie było widać.

Dom był długi, miał dziesięć klatek schodowych, i Parygin wybrał tę, która była najdogodniejsza do prowadzenia obserwacji. Otworzył torbę, którą miał na ramieniu, wyjął z niej noktowizor i podniósł go do oczu. Sylwetka rosnącej dziewczyny była dobrze widoczna. Anna powoli wchodziła po schodach, znajdowała się między drugim a trzecim piętrem. Przystanąła na podeście, obmacała ręką ścianę, podeszła do krawędzi betonowej konstrukcji, jeszcze chwilę postąpiła i znów ruszyła w górę, na

następne piętro. Jewgienij zawiesił noktowizor na szyi i wyjął kamerę. Swego czasu zapłacił za nią straszliwe pieniądze, ale była tego warta. Nie tylko filmowała w ciemnościach, lecz jeszcze silnie powiększała obraz. Jeżeli Piotr Michajłowicz zacznie sobie pozwalać na jakieś nieprzewidziane numery, wszystko zostanie utrwalone na taśmie, a wtedy facet już się nie wykręci. Co innego słowa, pusta gadanina, co innego – zarejestrowane fakty.

Za słowa nie zechce płacić, to jasne, ale za fakty – będzie musiał.

Anna dotarła do szerokich stopni sali konferencyjnej i zatrzymała się. Parygin zerknął na fosforyzującą tarczę zegarka. Dwudziesta trzecia dwadzieścia, zostało jeszcze dziesięć minut, ale nie miał wątpliwości, że Piotr Michajłowicz każe na siebie czekać. Kamerę można na razie odłożyć, wystarczy noktowizor. Anna powoli, bardzo powoli wchodziła po szerokich schodach. Już była na podeście. Teraz w dół, trochę szybciej. I znów w górę i w dół, przeskakując stopnie. Parygin zorientował się, że Anna próbuje się przyzwyczaić do tych schodów, żeby móc sprawnie poruszać się w ciemnościach. Mądra dziewczyna. Wszystko robi jak należy. Chociaż nie wiadomo, czy kiedykolwiek jeszcze jej się to przyda. Najprawdopodobniej nie.

Kiedy na ulicy pojawił się mężczyzna, Anna już z powrotem stała na podeście, tam gdzie jej polecił Piotr, bez ruchu, przywarłszy plecami do betonowego słupa, podtrzymującego strop. W tym miejscu nie było ściany. Mężczyzna wszedł do budynku i ruszył schodami w górę. Jewgienij Iljicz na chwilę rozluźnił mięśnie, żeby dać im odpocząć, po czym zarzucił kamerę na ramię, ale na razie jej nie włączał, patrzył tylko w obiektyw. Annę i Piotra Michajłowicza dzieliły trzy kondygnacje, dwie, jedna... Dwadzieścia metrów... Już. Piotr był na podeście. Stał, rozglądając się. Anna wyszła z ukrycia, zbliżyła się do niego. Parygin nie słyszał, o czym rozmawiają, ale z ich gestów i póż wnioskował, że doszło do ostrożnej wymiany zdań. Anna jest czujna, napięta, ręce trzyma w kieszeniach. Piotr przeciwnie, zamasyście gestykułuje. Ale Parygina nie oszuka. Parygin jest zbyt wytrawnym profesjonalistą, by dać się podejść. Sam tak robił. Udawał człowieka, który zwykł swobodnie wymachiwać rękami, a przeciwnik tracił czujność i nie dostrzegał niebezpieczeństwa. Ale ono istniało. Następował bowiem krótki moment, kiedy jeden spośród tych bezładnych, chaotycznych gestów okazywał się groźny i celny. Ten, którym wbijało się nóż. Albo odwodziło kurek. Albo wymierzało cios w szyję.

Jewgienij Iljicz uruchomił kamerę. Już pora.

Wprawnym okiem rozpoznał od razu ten właśnie gest, który miał dosięgnąć Annę. Ale ta, sportsmenka o szybkim refleksie, zdążyła uskoczyć. Piotr usiłował chwycić ją jedną ręką za długie włosy, drugą – za gardło. To znaczy, że nie będzie strzału ani noża. Facet zamierza zrzucić ją na bruk z siódmego piętra. Normalka, pomyślał Parygin. Niewykończony budynek świetnie się do tego nadaje. Normalka. Anna już zbiegała w dół po szerokich schodach przyszłego amfiteatru, przeskakując po dwa stopnie, Piotr pozostawał nieco w tyle, ale poruszał się lekko i pewnie, widocznie

bywał tu już wcześniej.

I nagle Anna popełniła błąd – zamiast dalej biec w dół, nie wiadomo dlaczego skierowała się w górę, na ósme piętro. Straciła głowę.

Paryginowi raptem zaświtała myśl, że może nie docenia Anny. Dlaczego miałyby stracić głowę! A jeżeli nie? Jeżeli celowo wciąga Piotra wyżej, zamierzając zrobić to, co on planował w stosunku do niej? Z jakichś powodów Parygin uznał ją za bezbronną i słabą istotę. Czy zapomniał, jak omal się z nią nie pobił tamtego pierwszego wieczoru, kiedy wpadła w szal, i jaką nadludzką niemal siłę wyczuwał w jej napiętych mięśniach? Nie, nie zapomniał. Wcale nie jest głupia i z pewnością już dawno się zorientowała, że Piotr nie chce zapłacić i zamierza po prostu pozbyć się szantażystki. I jeżeli również tym razem poczuła w sobie tę wściekłą złość, to Piotrowi już można zacząć współczuć, bo nie wyjdzie ze starcia z Anną żywy.

Ale do tego nie wolno dopuścić. Jeżeli Piotr nie przyniósł ze sobą pieniędzy, to jego śmierć nie rozwiąże problemu Parygina. A jeżeli przyniósł? Wtedy trzeba będzie obszukać zwłoki, co też nie należy do przyjemności. Ciekawe, przyniósł pieniądze czy nie? Podczas pierwszych minut rozmowy w sali konferencyjnej rozpiął kurtkę, wyjmował coś z wewnętrznej kieszeni i pokazywał Annie, a potem znowu schował. Całkiem możliwe, że pieniądze, przecież pierwsze pytanie szantażysty brzmi w takiej sytuacji zawsze: „Przyniósł pan? Proszę pokazać”. Piotr zademonstrował paczki dolarów, schował je i zażądał gwarancji. To też było normalne, bez gwarancji nikt nie płaci. Można liczyć, że Piotr ma przy sobie pewną sumę, może nie całą, ale zawsze coś. Chyba że to po prostu pocięte gazety.

Dwie sylwetki pojawiły się teraz między dziesiątym i jedenastym piętrem. Piotr dopadł Annę. Stali, wczepieni w siebie, na niewielkim podeście, i z daleka wydawało się, że to para zakochanych padła sobie w objęcia. Wszystko trwało zaledwie trzy-cztery sekundy, ale dla Parygina to była wieczność. Postacie oderwały się od siebie i wyższa znów pobiegła w górę. Dotarłszy na jedenaste piętro, Anna zatrzymała się na środku betonowego stropu. Teraz od prześladowcy dzieliła ją odległość ponad dwóch metrów. Piotr stał naprzeciw niej; zastanawiał się chyba, z której strony najlepiej dziewczynę zająć, żeby zepchnąć ją na skraj stropu. Kamera ledwie dosłyszalnie szumiała przy uchu Parygina, a on nie spuszczał oczu z dwóch postaci, bezgłośnie poruszających się w ciemności. Piotr Michajłowicz powoli, ostrożnie, prawie niedostrzegalnie przybliżał się do swojej ofiary, Anna równie powoli się cofała, czujnie zachowując bezpieczny dystans, tak by mężczyzna nie mógł dosięgnąć jej rękami, ale żeby ona mogła widzieć każdy jego ruch. Parygin nie wątpił, że była koszykarka potrafi prawidłowo ocenić odległość.

Anna wciąż się cofała, i Jewgienij Iljicz ze strachem zobaczył, że kilkadziesiąt centymetrów od jej potylicy przebiega pozioma belka konstrukcyjna. Umieszczono ją na wysokości obliczonej na normalny ludzki wzrost, ale Anna z pewnością uderzy w nią głową, jeśli się nie pochyli. Dziewczyna coraz bardziej zbliżała się do fatalnej

pułapki i Parygin był już niemal gotów krzyknąć na cały głos, żeby ją ostrzec, ale zaraz przywołał się do porządku: po co? Wszystko toczy się zgodnie z przewidywaniami. Piotr chce zabić szantażystkę, nieświadom, że tym samym da powód do jeszcze poważniejszego szantażu. Jeśli uda mu się pozbyć Anny, będzie musiał zapłacić. Jeżeli dziewczyna okaże się górą, przyjdzie zadowolić się sumą, którą Piotr ma przy sobie, a to już gorzej.

Parygin szczerze pragnął, żeby Anna uszła z życiem. Jednakże jeszcze bardziej zależało mu na pieniądzach dla Lolity. A w tej sytuacji jedno, niestety, wykluczało drugie. Musiał dokonać wyboru.

Do belki pozostawało zaledwie parę centymetrów. Parygin zamarł, wyteżając wzrok. Anna zrobiła jeszcze jeden krok do tyłu, jeden maleńki kroczek... Poruszała się powoli i ostrożnie, dlatego nie uderzyła w belkę mocno, ledwie o nią zahaczyła, ale to wystarczyło, by rozproszyć jej uwagę. Odwróciła się, by sprawdzić, co to za niespodziewana przeszkoda, a Piotr nie przegapił tego momentu, błyskawicznie rzucił się do przodu – i oto oboje tarzali się już po betonowej platformie. Byli niemal na jej skraju. Może już za ułamek sekundy wszystko się skończy...

Ale nie, Anna zwinna i silna, wyrwała się Piotrowi i stanęła na nogi. Nie uciekała przed mężczyzną, lecz sama próbowała go zaatakować. Teraz nie przypominała sportsmenki w grze, lecz raczej ogromnego, rozwścieczonego kota, który z ufnością zbliżył się do przyjaźnie wyciągniętej ręki, ale poczuwszy bolesne uderzenie, gotów jest wydrapać oczy albo wczepić się we włosy lub rozorać twarz. Jeden podstępny, zwodniczy gest, drugi – i oto już udało jej się chwycić Piotra z tyłu za czuprynę, a drugą ręką założyć mu nelsona. Piotr Michajłowicz ważył sporo, co najmniej osiemdziesiąt kilogramów, ale Parygin dobrze pamiętał, jaka nadludzka siła wstępuje w Annę, kiedy dziewczynę ogarnia złość. Piotr opierał się ze wszystkich sił, niemniej jednak z każdą chwilą był bliżej brzegu platformy. Jewgienij Iljicz widział, że tamten usiłuje wczepić się paznokciami w rękę Anny, i uśmiechnął się w duchu. Jakież paznokcie może mieć mężczyzna, toż to paznokcie tylko z nazwy. Gdyby zresztą Piotr Michajłowicz nawet je miał, Anna teraz prawie nie czuje bólu, Parygin wiedział to z doświadczenia.

Emocje Jewgienija zmieniały się jak w kalejdoskopie. Są mu potrzebne pieniądze. Ale tak mu żal Anny. Chyba teraz ona jest górą, zaraz zepchnie Piotra z jedenastego piętra. A co ze szmałem? Nie, zdaje się, że Piotr skutecznie stawiał opór, znów są na środku podestu. Czyżby Anna słabła? Może przyływ sił, powodowany wściekłą złością, jest krótkotrwały? Jeśli tak, to jeszcze chwila i Piotr zatryumfuje nad dziewczyną. Wtedy z całą pewnością można liczyć na kasę. Tylko że nie będzie już Ani...

Nagle Jewgienij usłyszał warkot samochodów, co zaostrzyło jego czujność. Owszem, auta przejeżdżały ulicą, chociaż nie było dużego ruchu; przez ten czas, który Parygin tu spędził na obserwacji, przemknęło może dziesięć wozów. Ale te nie jechały

dalej, hamowały. Sądząc z odgłosów, było ich co najmniej trzy.

Dalej wypadki potoczyły się zbyt szybko, by Parygin mógł je mieć pod kontrolą, ba, rejestrować. Nie widział ani samochodów, ani tego, co się dzieje w pobliżu nich, starał się bowiem nie stracić z pola widzenia dwóch sylwetek na jedenastym piętrze niewykończonego budynku. W każdej chwili mógł nastąpić kulminacyjny moment, na który Jewgienij Iljicz czekał w napięciu tu, w ciemnej klatce schodowej nowego domu, tak więc – by ocenić sytuację – musiał się zdać jedynie na słuch. Trzasnęły drzwi samochodu, rozległy się męskie głosy.

– Gdzie ona jest?

– Chyba na górze. Z jakimś facetem.

– Co tam robią?

– Skąd mogę wiedzieć? Ciemno tu jak... Widziałem tylko, że weszła na budowę, potem zjawił się on, i tyle. Do tej pory nie wyszli.

– Pieprzą się tam, czy co?

– Niewykluczone. Jedno pewne, że wódki razem nie piją. W ogóle nie słychać głosów.

– Ale czy to ona?

– Ona, ona! Wzrost prawie dwa metry, widać ją na kilometr, wszystkich przewyższa o głowę. I twarz ta sama, co na zdjęciu, długi nos, włosy...

– Jak mogłeś dojrzeć twarz w takich ciemnościach?

– Przyważyłem tę laskę, jak wysiadała z samochodu, akurat koło sklepu, tam jest jasno. Aha, i był z nią jakiś facet.

– A na budowę poszła sama?

– Sama. On widać czeka gdzieś w pobliżu. Może to jej współnik?

– Pewnie tak. Jeżeli czeka, to go znajdziemy, nie wymknie się. No, co tam, chłopaki, gotowi?

W tej chwili na czarną sylwetę niewykończonego biurowca padł snop światła. Przybysze włączyli potężny reflektor. Jego promień chaotycznie przeskakiwał po piętrach, aż wreszcie wychwycił z ciemności dwie szczepione śmiertelnym uściskiem postacie. Parygin błyskawicznie schował kamerę i noktowizor do torby. Serce waliło mu jak oszalałe, nie pojmował, co się dzieje. Skąd się tu wzięła milicja? Dlaczego? Kto ją wezwał? Jak to się stało, że ktoś rozpoznał Annę? O jakim zdjęciu mówili ci na dole?

– Łazariewa! – rozległo się przez megafon. – Anno Łazariewa! Proszę zejść! Natychmiast!

W jaskrawym świetle reflektora Jewgienij widział dwie zlewające się ze sobą sylwetki na krawędzi stropu.

– Łazariewa, na dół! Teren jest otoczony, proszę robić, co mówię!

Postacie na jedenastym piętrze poruszyły się, jeszcze bardziej przybliżając się do skraju podestu.

– Popraw reflektor – rozległ się głos tuż pod klatką schodową, na której stał Jewgienij. – Pada na nich cień, marnie widać.

Snop światła odrobinę się przesunął, ale to wystarczyło, by zakłócić chwiejną równowagę, która dotąd pozwalała Annie i Piotrowi balansować na skraju przepaści. Parygin nie spostrzegł, które z nich zrobiło ten ostatni ruch. Patrzył, jak dwoje ludzi spada z wysokości, i w czasie tych krótkich chwil ich lotu w dół przestał cokolwiek czuć i rozumieć, niemal przestał istnieć. Ocknął się dopiero kiedy ciała zderzyły się z ziemią i znieruchomiały.

W tym samym momencie gdzieś na górze trzasnęły drzwi i rozległy się kroki i głosy – kobiety i dziecięcy.

– Lila, ostrożnie, uważaj, patrz pod nogi. Nie potknij się. Daj mi ten pakunek, weź lepiej moją torbę. I powiedz swojemu ojcu, że jeżeli nie porozmawia po męsku z tym durniem od windy, to wynajmę bandziorów, żeby mu nogi z tyłka powyrywali.

– Komu? Tatusiowi czy windziarzowi?

– Windziarzowi. I elektrykom przy okazji. Dlaczego na klatce nie ma światła? Tego tylko brakuje, żebyśmy sobie nogi połamały. Możemy długo czekać, zanim nas tu ktoś znajdzie.

– Ciociu Iro, a kiedy się przeprowadzimy?

– Myślę, że za jakieś dwa miesiące. Sama widziałaś, ile tam jeszcze zostało do zrobienia. A jeżeli zamiast pracować robotnicy będą do południa nosić deski na własnych grzbietach na szóste piętro, dlatego że facet wyłączył windę i nie wiadomo gdzie przepadł, to upłynie ze cztery miesiące, nim się wprowadzimy. Lilu, nie za ciężko ci? Daj mi torbę, sama poniosę.

– Nie, ciociu, wcale mi nie jest ciężko. Tylko trochę strach.

– Boisz się ciemności? Nie bój się, oprócz nas nikogo tu nie ma.

– A szczury?

– Jakie szczury, słoneczko! – Kobieta roześmiała się dźwięcznie. – Szczury pojawiają się tylko tam, gdzie jest jedzenie. A tutaj w ogóle nic nie ma. Wprowadziły się dopiero trzy rodziny.

Kobieta i dziewczynka umilkły, teraz Parygin słyszał tylko ich ostrożne kroki i oddechy. Obie były zasapane, widocznie niosły coś ciężkiego.

Zostało mu zaledwie kilka sekund na podjęcie decyzji. Ania zginęła. Piotr także. Pieniądzy, jeśli je nawet miał przy sobie, zabrać się nie da, bo wokół kręci się kupa milicjantów. Co więcej, jakiś pieprzony gliniarz widział Anię razem z nim, wziął go za jej współnika (zresztą zupełnie słusznie), więc teraz i jego szukają. Wobec tego zadaniem numer jeden jest: najpierw się stąd wydostać. Jeśli to się uda, można będzie pomyśleć o pieniądzach dla Loli. Ale przede wszystkim – wydostać się.

Zrobił kilka umyślnie głośnych kroków schodami w górę i zapalił latarkę.

– Dziewczęta, poświecić wam? Żebyście sobie nie zrobiły krzywdy w tych ciemnościach.

– Kto tam? – odezwała się przestraszona kobieta.

– To ja. Zaraz do was podejść, sama pani zobaczy.

Nie gasząc latarki, szybko wbiegł po schodach. Zobaczył kobietę, tę o melodyjnym, miłym głosie, i sporą dziesięcioletnią grubaszkę. Kobieta w obu rękach niosła duże papierowe worki, pełne śmieci, a dziewczynka przyciskała do siebie ogromną torbę z mnóstwem kieszeni.

– Dajcie no wasze bagaże, bo nie widzicie, co macie pod nogami, a wy weźcie latarkę. – Jewgienij zręcznie chwycił pakunki. – Boże, ależ to waży! Jak mogłyście udźwignąć taki ciężar?

– Z trudem – wesoło odpowiedziała kobieta. – Widzisz, Lilu, mamy szczęście, a tak się bałaś. Daj mi torbę, trzymaj się mocno poręczy i patrz pod nogi.

Zeszli na dół – pierwsza szła kobieta imieniem Ira, z latarką w ręce, gotowa w każdej chwili podtrzymać dziewczynkę, jeśli ta się potknie, zamykał zaś pochód Parygin z workami pełnymi gruzu i śmieci, wiadomo, jak to przy remoncie. Światło latarki było wystarczające, by widział, co ma pod nogami.

– Coś późno wracacie – zauważył mimochodem – pusto tu, okolica jeszcze niezamieszкана, komunikacja marna. Chyba że mieszkanie w pobliżu?

– Nie – beztrąsko poinformowała Parygina Ira – mieszkamy daleko, w Czeriomuszkach. Wszystko przez tego montera od windy. A pan pewnie mieszka niżej, tak? Może się pan obejść bez windy. Ale nasze mieszkanie jest na szóstym piętrze. I jak tylko ten łobuz wyłączy windę i gdzieś zniknie, od razu zaczynają się problemy z robotnikami. Dziś na przykład przywieźli deski na regały do książek i parę innych mebli, długie na trzy i pół metra, grube na trzy centymetry, szerokie na sześćdziesiąt. Może pan sobie wyobrazić, ile waży jedna taka deska! Strach pomyśleć. A robotnicy musieli je wnosić z dołu, każdą po dwóch, na szóste piętro. Razem dwadzieścia cztery sztuki. Przyjechałam o siódmej, żeby być przy dostawie, patrzę – deski leżą na ulicy, jeden robotnik ich pilnuje, drugi poszedł szukać windziarza. Kiedy o wpół do dziewiątej wciąż tego durnia nie było ani śladu, robotnicy powiedzieli, że trzeba będzie wnieść deski na górę schodami, zostawić ich na ulicy do rana nie można, bo rozkradną. Ale ich jest tylko dwóch, i we dwóch muszą nosić, a ktoś musi zostać na dole przy deskach. No i warowałyśmy z Lilą jak psy. Potem poszłyśmy na górę, dałyśmy chłopakom jeść, posprzątałyśmy trochę... Uf, chwała Bogu, wreszcie koniec tych schodów. Czy byłby pan tak miły i pomógł mi zataścić te torby na śmietnik? Jest o dwie klatki schodowe stąd.

– Ależ oczywiście – ochoczo zgodził się Parygin.

– A pan już się wprowadził czy też dopiero się pan urządza? – zapytała Ira, otwierając drzwi od klatki i przytrzymując je, żeby Jewgienij mógł wygodniej przejść.

Nie zdążył odpowiedzieć, gdyż od zaparkowanego niedaleko milicyjnego radiowozu śmignął ku nim młody chłopak.

– Chwileczkę. Pozwólcie państwo.

– A o co chodzi? – zupełnie spokojnie zapytała Ira.

Z jej tonu Parygin wywnioskował, że kobieta nie boi się milicji, ani w tej konkretnej sytuacji, ani w ogóle. To dobrze, nie będzie drażniła gliniarzy nerwowym zachowaniem.

– Proszę okazać dokumenty – uprzejmie zwrócił się do nich milicjant, oświetlając latarką ich twarze.

– Nie mam przy sobie dokumentów – oznajmiła Ira pogodnie. – Nie wożę ich ze sobą, ale może pan zadzwonić tam, gdzie mieszkam, i dowie się pan wszystkiego przez telefon.

– To pani córka?

– Prawie.

– Co to znaczy „prawie”?

– Ciocia Ira jest krewną cioci Tani, a ciocia Tania żoną mojego tatusia – wyjaśniła Lila.

Milicjant obrzucił ją zdumionym spojrzeniem, które jednak zaraz przeniósł na Parygina.

– Ten pan jest z panią?

Ira zawahała się na moment, ale Jewgienij przejął inicjatywę. Uchwyciwszy mocniej ciężkie worki, odwiódł lekko zgięte w łokciach ręce na boki, ułatwiając w ten sposób dostęp do suwaka swojej kurtki.

– Mam zajęte ręce, proszę wyjąć moje dokumenty, są w wewnętrznej kieszeni – powiedział najnaturalniej i najuprzejmiej, jak mógł.

Mógłby oczywiście postawić worki na ziemi i sam sięgnąć po dowód, ale celowo nie chciał tego robić. Nie mam nic do ukrycia, panowie, proszę bardzo, sprawdzajcie, rewidujcie. Wiedział, że w kieszeniach nie znajdą nic podejrzanego, dokumenty też były w idealnym porządku. Niech się chłopak czymś zajmie, może zapomni o zadawaniu pytań. Najważniejsze, że zza pojemnych worków nie było widać torby przewieszanej przez ramię. Gdyby Parygin je odstawił, torba od razu rzuciłaby się w oczy bystremu młodziakowi, a wtedy kto wie, czy nie zechciałby sprawdzić, co jest w środku. Parygin poznał jego głos i sposób mówienia; to był ten sam gość, który twierdził, że widział Łazariewą wysiadającą z samochodu razem z mężczyzną. Pozostawała nadzieja, że temu mężczyźnie zbytnio się nie przyglądał, skupił się na Ani, bo przede wszystkim jej osobą był zainteresowany.

Obecność mężczyzny po prostu zarejestrował jako fakt drugorzędny.

Młody milicjant po chwili namysłu zdecydowanym ruchem sięgnął do zamka błyskawicznego w kurtce Parygina, rozpiął ją i wsunął rękę do kieszeni. Jewgienij tymczasem zerknął na bok. Tam gdzie parę minut temu upadły dwa ciała, snuli się ludzie, instalowali oświetlenie, z daleka słychać było sygnał nadjeżdżającej karetki. „Jak szybko wszystko się w życiu zmienia – przemknęła mu przez głowę myśl.

– Jeszcze kilka godzin temu kochałem się z Anią, przed godziną z nią

rozmawiałem, dziesięć minut wcześniej obserwowałem, jak się porusza, biegnie, i zastanawiałem się, w jaki sposób ją ocalić i jednocześnie zdobyć pieniądze. Zaledwie dziesięć minut temu próbowałem połączyć w jedno życie Ani i tę przekłętą forszę dla Lolity, i wydawało mi się, że – przy odrobinie szczęścia – jest to możliwe. Dziesięć minut... A teraz stoję przed milicjantem, który mnie legitymuje, chcąc pewnie zatrzymać, i myślę tylko o tym, jak by tu dać nogę. Ani już nie ma. Pieniądzy dla Lolity także. Kasę może jakoś zdobędę, ale Ani życia już nie wrócę. Jakie to wszystko dziwne... ” – Proszę wsiąść do wozu i zaczekać – polecił młody milicjant, zamykając dowód osobisty Parygina, który wpierw starannie przestudiował.

Jewgienij Iljicz oczekiwał, że Ira zaniepokoi się i zacznie prosić, żeby ją puścili, bo już późno i dziecko powinno iść spać. Ale – ku swemu zdziwieniu – mylił się. Ira bez słowa, nie przestając się uśmiechać, wzięła dziewczynkę za rękę i posłusznie skierowała się do samochodu, nawet się nie obejrzawszy na mężczyznę, który przed chwilą pomagał jej zejść po ciemnych schodach i dźwigał ciężkie worki. Parygin ruszył za nią.

– Co jest w workach? – zainteresował się milicjant.

– Śmiecie. Gruz. W mieszkaniu jest remont – rzucił Jewgienij przez ramię.

– Niech pan zostawi worki, proszę mi je dać i wsiąść do wozu.

Parygin z widoczną ulgą przekazał ciężkie worki w ręce milicjanta, jednocześnie łokciem przesuwając torbę jak najdalej za plecy, żeby nie rzucała się w oczy. Niech sobie sprawdza zawartość worków, to jego obowiązek, skoro zostało popełnione przestępstwo, nikogo nie można wypuścić z podejrzanego miejsca bez dokładnej kontroli.

Wcisnęli się we troje na tylne siedzenie żiguli. Siedzący za kierownicą funkcjonariusz obrzucił ich pochmurnym spojrzeniem. Ten pierwszy, młody, przekazawszy komuś worki, nachylił się nad nimi z notesem w ręce.

– Proszę podać swoje nazwisko, adres i telefon oraz nazwisko i adres dziecka – zwrócił się do Iry.

– Irina Pawłowna Miłowanowa. Adres i telefon oczywiście podam, ale nie jestem w Moskwie zameldowana.

– U kogo pani mieszka?

– U krewnych. Proszę do nich zadzwonić, potwierdzą.

– Dziecko także nie ma moskiewskiego meldunku?

– Nie, Lila jest urodzoną moskwianką. Ja mieszkam u jej ojca i jego żony.

– Co pani tu robiła o tej porze?

– Mówiłam przecież, że mamy się przeprowadzić do tego domu, kupiliśmy tu mieszkanie, ale teraz trwają jeszcze różne przeróbki, montaż dodatkowego wyposażenia i tak dalej. Zeszło nam trochę dłużej, bo monter wyłączył windę, a ponieważ przywieziono zamówione deski, robotnicy musieli je wnosić po jednej na szóste piętro. Jeżeli pan sądzi, że to idzie łatwo i szybko, proszę sprawdzić, ile czasu

wymaga taka robota.

Parygin był zdumiony, że kobieta wciąż jest w pogodnym, nawet żartobliwym nastroju i odpowiada na pytania milicjanta bez śladu rozdrażnienia, wyczerpująco i szczegółowo.

– Będzie pani musiała posiedzieć tu i poczekać, dopóki nie uzyskamy potwierdzenia pani tożsamości.

– Oczywiście – odparła kobieta i znów się uśmiechnęła.

– Co tu się stało? – zapytał Parygin kierowcę możliwie najobojętniejszym tonem.

– Z jakiego powodu całe to zamieszanie?

– Kobieta i mężczyzna wypadli z któregoś z wyższych pięter budynku i zabili się – lakonicznie odpowiedział mężczyzna. – Nic więcej nie wiem.

Najwyraźniej nie był usposobiony do rozmowy, ale Parygin musiał się dowiedzieć, co jest grane: jak to się stało, że ktoś rozpoznał Anię na podstawie jakiegoś zdjęcia. Czyżby była poszukiwana? Ale dlaczego? Za co?

– No trudno – skwitował słowa kierowcy. – A co to pańscy koledzy wykrzykiwali przez megafon? Wzywali jakąś Łarionową czy Łazariewą, kazali jej zejść, mówili, że teren jest otoczony.

– Właśnie ona się zabiła. To seryjna morderczyni, chora psychicznie, udusiła dziesięć osób, ukrywała się, więc była poszukiwana.

– Dziesięć osób? – zachnęła się zdumiona Ira.

– No – potwierdził kierowca. – Ten facet był jedenastą ofiarą.

– Co za ten? – Ira nie zrozumiała, o kim mowa.

– Ten, z którym razem spadła. Już go dusiła, przyjechaliśmy o parę minut za późno. Gdyby nie to, człowiek by żył.

Parygin z trudem się powstrzymywał, żeby nie nawrzeszczeć na kierowcę. Jak śmiał nazwać Anię chorą psychicznie seryjną morderczynią? Udusiła dziesięć osób! A ten był jedenasty. To jakaś bzdura, koszmar! „Spokojnie, Żenia, spokojnie – przywołał się do porządku – nie denerwuj się, nie złość, skąd facet może wiedzieć, jak było naprawdę. Milcz, Żenia, siedź cicho, ty sam też nic nie wiesz, bo i skąd? Nie znasz przecież kobiety, która się zabiła... Z którego to piętra spadła? Z jedenastego? Nie, Żenieczka, nie z jedenastego, w ogóle nie wiesz, z którego, nic nie widziałeś, prawda? I ten młody gliniarz też ci tego nie powiedział. Powiedział: «Kobieta i mężczyzna... wypadli z któregoś z wyższych pięter». Nie dodawaj żadnych szczegółów od siebie, bo nie wyjdzie ci to na dobre”.

Nagle w radiu zachrypiało:

– Wóz numer osiem dwa siedem, wóz numer osiem dwa siedem, tu Trzeci, zgłoś się.

– Osiem dwa siedem do Trzeciego, zgłaszam się.

– Mężczyznę, kobietę i dziecko odstawić tutaj. Zrozumiałeś?

– Zrozumiałem, Trzeci, mężczyznę, kobietę i dziecko, znajdujących się w wozie

osiem dwa siedem, odstawić do bazy.

Kierowca parę razy mocno nacisnął klakson i prawie od razu podbiegł do radiowozu młody milicjant.

– Co tam?

– Jest rozkaz, tych tutaj – kiwnął głową w stronę tylnego siedzenia – przywieźć na bazę. Siadaj, jedziemy.

– Dokąd nas zabieracie? – zapytała wciąż zupełnie spokojna Ira.

I znów zdumiało Parygina jej opanowanie oraz fakt, że nawet mała Lila nie okazuje najmniejszego strachu czy choćby zaniepokojenia, jak gdyby codziennie wracała do domu po północy, i to, co się tu wydarzyło, było dla niej chlebem powszednim.

– Na komisariat – odpowiedział krótko milicjant, siadając koło kierowcy.

*

Jeśli chodzi o zmartwienia i rozterki, Nastia Kamińska miała bogate doświadczenie; inna sprawa, że zbyt często z czystego lenistwa nie chciało jej się podejmować żadnych kroków, by wyrwać się z tego męczącego stanu – liczyła na to, że „samo przejdzie, lepiej nie dotykać”. Tym razem jednak samo nie przechodziło, co więcej, choroba najwyraźniej się zaostrzyła i chociaż Nastia czuła, że się do niej przyzwyczajają i gotowa jest z nią żyć do końca swoich dni, nie mogła nie zauważyć, iż, niestety, wszystko idzie coraz gorzej. Brak entuzjazmu do pracy przerodził się w zupełną apatię, Nasti nie tylko nie chciało się nigdzie ruszyć (ten objaw zresztą był u niej czymś absolutnie normalnym), ale nawet rozmawiać, a z czasem i myśleć – i to już wydawało się zupełnie niezwykle. Wszelkie próby opanowania zniecierpliwienia podczas rozmów telefonicznych z mężem i matką kończyły się tym, że Anastazja po odłożeniu słuchawki szła do łazienki, by zajodynować ślady własnych paznokci, które wbijała sobie przy okazji tych pogawędek w dłoń, przedramię lub udo.

Dziś wieczorem, wróciwszy z pracy, spojrzała w lustro i aż się zachnęła. Z głębi tafli patrzyła na nią licząca sobie co najmniej sto dwadzieścia cztery lata, ohydna stara baba, która straciła całkowicie zainteresowanie życiem i zdolność cieszenia się tym, co ono przynosi. Zobojętniała na wszystko staruszka, ze źle skrywanym rozdrażnieniem licząca dni, które jej pozostały. „To nie ja – wyszeptała w oszołomieniu Nastia! – Co za koszmar! Niemożliwe, żebym to była ja”. Wstrząśnięta, rzuciła się do pokoju, gdzie nie było lustra, runęła na kanapę, zacisnęła powieki, zakryła twarz rękami i zamarła w bezruchu. Po piętnastu minutach otworzyła oczy, wstała i oznajmiła głośno:

– Muszę coś z tym zrobić.

Dźwięk własnego głosu wydał jej się odstręczający, a wypowiedziane słowa – głupie i małostkowe. Z grymasem wstrętu do samej siebie Nastia ściągnęła przez głowę sweter i podkoszulek, zostając w samych dzinsach, i zaczęła szybko chodzić od

okna do drzwi i z powrotem, żeby nie zamarznąć. W mieszkaniu było zimno, zwłaszcza przez szpary w drzwiach balkonowych wdierało się mroźne powietrze, bo znów ona i Loszka zapomnieli je uszczelnić, wciąż odkładając tę robotę na później. Już któryś rok z rzędu oboje przeklinali własne lenistwo i te cholerne szpary, ale nigdy nie zdążali, nie mieli czasu, ochoty lub po prostu zapominali, że trzeba wreszcie coś z tym zrobić.

Po paru minutach intensywnego marszu Nastia rozgrzała się, mimo że była pólnaga. Teraz już mogła zdjąć dzinsy.

Jeszcze kilka szybkich ruchów w zimnym pokoju w skąpych majteczkach i Nastia zaryzykowała powrót przed lustro w łazience. No dobrze, początek zrobiony, skóra poróżowiała, w każdym razie utraciła okropny, ziemistoszary odcień, charakterystyczny dla osób, które przez długi czas nie wychodzą na świeże powietrze.

Nastia, nachylona nad umywalką, wycisnęła na dłoń trochę delikatnej emulsji i starannie umyła twarz lodowatą wodą. Palce zdrętwiały jej z zimna, ale policzki nabrały lekkiego rumieńca. Dobrze, teraz włosy. Otworzyła szafkę i szybko przejrzała tubki z farbami. Jaki kolor wybrać? Rudy? Nie, ten odcień nakładała tak często, że już jej się znudził. Złoty blond? Też nie; Nastia z natury była popielatą blondynką i ten kolor wydawał jej się mdły i mało wyrazisty. A gdyby przefarbować się na czarno? Tak, to chyba najlepszy pomysł. Brunetka powinna być energiczna, aktywna, namiętna – może ten nowy wizerunek sprawi, że Nastia wyrwie się z apatii i obojętności.

Umyła włosy, nałożyła farbę, twarz posmarowała intensywnie działającą maseczką odżywczą i usiadła w kuchni z papierosem. Dopaliwszy go, zerwała się gwałtownie. Nie ma się co rozsiadać, skoro podjęła decyzję, trzeba przejść do działania, a nie czekać, aż przyjdzie dobry wujaszek i wszystko za nią zrobi. Nie przyjdzie i nie zrobi, ponieważ twoje problemy – to tylko twoje problemy, twój ból jest twoim bólem, niczym więcej, i nikt nie będzie się martwił tym, że cierpisz i oczekujesz pomocy. Nie możesz liczyć na nikogo. Nikomu nie jesteś potrzebna...

Stop! Co ci jest, zwariowałaś? Kto ci pozwolił tak myśleć? No proszę, masz już nawet w oczach łzy żalu nad samą sobą, nikomu niepotrzebną męczennicą! Porzucona szmaciana lalka z oderwanymi nogami. Proszę bardzo, no dalej, nakręcaj się, uskarżaj się, jaka to jesteś nieszczęśliwa i opuszczona. Dostyc, wystarczy. Loszka cię kocha, potrzebuje cię, ty potrzebujesz jego, po prostu nie ma go obok, ale nie dlatego, że jest obojętny na twoje cierpienia, tylko dlatego, że pojechał zarabiać pieniądze. Także i dla ciebie. Kocha cię twoja mama, i chociaż zadręcza cię swoimi wyobrażeniami na temat zdrowego trybu życia, doskonale wiesz, że robi wszystko, nawet ze szkodą dla siebie i Leonida Pietrowicza, bylebyś ty była szczęśliwa. I jeżeli wciąż jeszcze wygląda młodo, jest elegancka i atrakcyjna, dużo pracuje, także za granicą, i prowadzi światowe życie, to wcale nie znaczy, że cię nie kocha i nie martwi się o ciebie. Tatus... Koniec, kropka, ani słowa, nie ma go, nie ma, nie ma! Jest za to brat Sania, jego urocza żona Daszeńka i ich półtoraroczny synek. Oni ponad wszelką wątpliwość

kochają Nastię i będą ją kochać, cokolwiek się stanie. A prawda, Sania. On przecież też pracuje w banku. I to w dużym. Może pogadać z nim o programie? Niewykluczone, że wie coś na ten temat, że jego bank jest jednym ze sponsorów programu, tak jak firmy Denisowa? Dlaczego od razu nie pomyślała o bracie? Naprawdę, kretynka z niej. To ten strach, wieczny strach ludzi jej fachu: byle tylko nie wciągnąć w coś kogoś bliskiego.

Nawet nie zauważyła, kiedy zaczęła szeptem rozmawiać sama ze sobą, zorientowała się dopiero wtedy, kiedy uświadomiła sobie, że nie tylko mówi na głos, ale myje kuchenkę. Bosa, w skąpych koronkowych majteczkach, z mokrymi włosami, pokrytymi czarnym szamponem koloryzującym i spiętymi wysoko na czubku głowy, i z szarozieloną maseczką na twarzy, Nastia Kamieńska szorowała gładką powierzchnię, mamrocząc coś pod nosem. W tej chwili można się jej było przestraszyć, ale – pogrążona we własnych myślach – nie potrafiła spojrzeć na siebie z boku. Gdyby jej się to udało, z pewnością długo i szczerze by się śmiała.

Kiedy minęło przepisowe dwadzieścia minut, Nastia stanęła pod prysznicem, zmyła farbę z włosów i maseczkę z twarzy. Wytarła się, bezlitośnie trąc skórę frotowym ręcznikiem, i włączyła suszarkę. Gęste, ciężkie włosy schły długo, ale Nastia znów pogrążyła się w swoich niewesołych myślach i nie zauważyła, że czas płynie. Suszarka zresztą, trzeba przyznać, była naprawdę dobra, solidna.

Teraz z lustra patrzyła na Anastazję brunetka o jasnej cerze. Oczywiście, ta brunetka była trochę jakby „niedorobiona”, gdyż u kobiet, które mają z natury czarne włosy, nie spotyka się zupełnie jasnych, niemal bezbarwnych brwi i rzęs, jak u Nasti. Wyglądała, jakby była w peruce. Ale to da się naprawić.

Nastia starannie rozczesała szczotką włosy i upięła je gładko w ciężki węzeł na karku. Wyjęła duży zestaw do makijażu i zaczęła się malować. Najpierw płynny podkład, potem puder w kamieniu. Odcień opalony, prawdziwe brunetki nie mają przecież tak bladej cery, skóra powinna być nieco bardziej smagła, a przynajmniej lekko brzoskwiniowa. W pewnej chwili Nastia pomyślała, że robienie tak wyszukanego makijażu o jedenastej wieczorem to co najmniej głupota, dobrze, jeśli skończy go o północy, po czym trzeba będzie wszystko zmyć i iść spać. Ale musi to zrobić. Jeżeli trzeba, obejdzie się w ogóle bez snu, przesiedzi noc w kuchni albo będzie się snuła po mieszkaniu, żeby zachować do rana i umocnić w sobie stan wewnętrzny, który powinna osiągnąć dzięki nowemu wizerunkowi. A może wcale tak się nie stanie? Nie, musi się stać, dopóty będzie pracowała nad swoim wyglądem, dopóki nie poczuje, że słaba, apatyczna, rozbita i przygnębiona troskami Anastazja Kamieńska została gdzieś poza nią.

No, wreszcie osiągnęła zamierzony efekt, cera lśni, jakby rozjaśniona jakimś wewnętrznym światłem. Subtelny owal twarzy, pod wysokimi kośćmi policzkowymi lekkie cienie. Teraz kontur ust. Zaznaczyć go lekko czy może bardziej kontrastowo? Niech będzie delikatniejszy zarys, nie robi przecież z siebie wampa. Brwi powinna

podkreślić i przyciemnić. Oczy... Najważniejsze w tym makijażu są oczy. Jeżeli wargi będą pełne i soczyste, z oczami nie można przesadzić, to zbyt wulgarne. Wyraźnie obrysowane usta wymagają mocno podkreślonych oczu, ale kiedy wargi są miękkie i pełne, trzeba bardzo umiejętnie umalować oczy. Muszą być ogromne i lśniące, a jednocześnie wyglądać naturalnie. Osiągnięcie takiego efektu zajmie mnóstwo czasu. Jak sprawić, by jasnoszare oczy nabrały blasku? Można oczywiście posłużyć się soczewkami kontaktowymi, wówczas tęczówki staną się ciemnopiwe lub nawet czarne, ale kolorowe kontakty słabo przepuszczają tlen i bardzo szybko zaczyna boleć głowa. Zresztą już zdecydowała, że nie robi się na wampa. A brunetka o jasnych oczach to całkiem oryginalne... I efektowne.

Kiedy Nastia około północy skończyła malowanie oczu, czuła się już o wiele lepiej. W pewnym momencie tak dalece przestała poznawać własną twarz w lustrze, że wydawało jej się, iż nakłada makijaż obcej kobiecie. No dobrze, gotowe, Nastia stała się już prawie inną osobą. Prawie – dlatego, że sama twarz to jeszcze za mało, potrzebne jest odpowiednie ubranie, mimika, sposób poruszania się, głos, manieri. Człowiek to cały zestaw najrozmaitszych elementów, a twarz jest zaledwie jednym z nich.

Co włożyć? Bardzo w stylu będzie długa czarna suknia z rozcięciami do bioder, którą Losza kupił jej w prezencie dwa lata temu. Miała ją na sobie najwyżej dwa, może trzy razy, ponieważ sukienka wymagała pantofli na wysokich obcasach, co było dla Nasti prawdziwą męką. Nie, trzeba wykombinować coś mniej wyrafinowanego. Na przykład bardzo, bardzo wąskie i obcisłe czarne spodnie, które mama przywiozła jej skądś z Ameryki Południowej. I gdzie je nosić? Do pracy? Po pierwsze, są zbyt wyzywające, nadają się raczej dla kobiety określonej profesji, niż dla funkcjonariuszki służby państwowej. Po drugie, niewygodne. Wyglądają, oczywiście, bombowo, bez dwóch zdań, ale siedzieć w nich nie można. Piją, ciągną, wrzynają się... Ale jeśli się nie siedzi i nie myśli o powstających na materiale zagnieceniach, ujdą.

Nastia wciągnęła spodnie i aż lekko krzyknęła, zaskoczona. Tak, wtedy kiedy mama je przywiozła, piły, ciągnęły i wrzynały się. Teraz natomiast odstawały w talii tak, że można tam było wetknąć grubą książkę. Ostatnie dni zrobiły swoje. Przybyło zmarszczek wokół oczu, za to ubyło dobrych parę kilogramów. No cóż, tym lepiej, w każdym razie czarne spodnie mają szansę wychynąć z przepastnych głębi szafy na światło dzienne.

Teraz top. Czy bluzka? A może sweter? Nie, już początek lutego, jaki top, top jest dobry w lecie. Ale sweter to chyba zbyt mało wyszukany ubiór dla wytwornej elegantki, którą Nastia wykreowała. Wąskie spodnie i luźny sweter to strój dla osoby młodej, o świeżej, naturalnej cerze i opadających swobodnie na ramiona włosach. Nastia przypomniała sobie, że ma obcisłą trykotową koszulkę z długimi rękawami, za to głęboko wyciętą na plecach. Może w niej nie zmarznie. Tylko gdzie jej szukać?

W szafie bluzki nie było, Nastia musiała wejść na taboret i grzebać w pawlaczu,

gdzie trzymała walizki i duże torby podróżne. Naturalnie – zgodnie ze zwykłą kolejną rzeczy – upragniona bluzka znalazła się w walizce leżącej na samym spodzie. Ale, bądź co bądź, Nastia ją znalazła, czego pogratulowała sobie w duchu.

„Co za głupota – myślała, wciągając bluzkę i wsadzając ją w spodnie – żeby przez pół nocy ryć we wszystkich walizkach i torbach w poszukiwaniu jakiejś idiotycznej bluzki, i to tylko po to, żeby dziesięć minut pochodzić w niej po domu. Zupełnie ci odbiło, Kamieńska, nie masz nic do roboty, więc wymyślasz Bóg wie co”.

– Oczywiście, nie mam zupełnie nic do roboty – odpowiedziała sobie na głos. – Jestem leniwym próżniakiem bez żadnych trosk i kłopotów, wszystko idzie mi jak po maśle, a ponieważ mam mnóstwo czasu, mogę się pokrygować przed lustrem i wybrać sobie image odpowiedni na okazje towarzyskie lub urlop w kurorcie. I w ogóle...

Nie zdążyła dopowiedzieć, co „w ogóle”, ponieważ zadzwonił telefon. Ze zdziwieniem rzuciwszy okiem na zegarek, Nastia podniosła słuchawkę i usłyszała znajomy tenorek Olszańskiego:

– Kamieńska, znowu mnie w coś wrobiłaś. Znaleźli twoją Łazariewą.

– No i chwała Bogu. Czy to panu nie na rękę? – zapytała ostrożnie, nie rozumiejąc, dlaczego Olszański musi ją o tym zawiadamiać o wpół do pierwszej w nocy, i na dodatek tak niezadowolonym tonem.

– Oczywiście, że mi nie na rękę. Po pierwsze, Łazariewa zginęła.

– Jak to zginęła?!

– A tak. Spadła z dużej wysokości na bruk.

– Nikt jej nie powstrzymał?

– Usiłowano to zrobić. Ale teraz powiem ci rzecz najmniej przyjemną. Otóż próbowano ją powstrzymać w chwili, gdy na jedenastym piętrze niewykończony budynek dusiła jakiegoś mężczyznę. Spadła zresztą razem z nim. Oboje zginęli na miejscu. Tak że pośpieszyłaś się z wnioskiem, że nie miała nic wspólnego z siedmioma trupami. Teraz następna sprawa. Chłopcy z komendy stołecznej rozpoznali Łazariewą, kiedy szła na tę budowę w towarzystwie mężczyzny. Ale nie tego, którego usiłowała udusić, tylko innego. Dlatego przed akcją otoczyli duży teren – sądzili, że to może być współnik, który ją ubezpiecza. Zatrzymali jakiegoś mężczyznę i kobietę z dzieckiem. Odstawili ich na komisariat i poprosili nas o decyzję: przytrzymać ich czy puścić? Mówi ci coś nazwisko Jewgienij Iljicz Parygin? Nie przewinęło się nigdzie w sprawie tych siedmiu uduszonych osób?

– Nie, nigdzie.

– A Irina Pawłowna Miłowanowa?

– Miłowanowa?! A dziecko? Dziewczynka, dziesięć lat? Ma na imię Lila?

– Zgadza się – potwierdził Olszański, zdziwiony. – Mają coś wspólnego z tamtą sprawą?

– Ale skąd, Konstantynie Michajłowiczu, Irę Miłowanową znam prywatnie. To krewna moich przyjaciół. A Lila jest ich córką. Gdzie się to wszystko stało?

– W Butowie-Pólnoc.

– No tak. Kupili tam mieszkanie, które teraz wykańczają. Ira codziennie jeździ do Butowa i prawie zawsze zabiera ze sobą Lilę, wiem, bo sama mi opowiadała.

– Krótko mówiąc, twoja znajoma siedzi teraz razem z dzieckiem na komisariacie i czeka, aż zostanie potwierdzona jej tożsamość i fakt, że nie ma nic wspólnego ze sprawą. Więc jeżeli chcesz, to pojedź tam, bo inaczej będzie siedziała do rana, a może i dłużej. A co do Parygina, jesteś pewna? Na pewno to nazwisko nigdzie się nie przewinęło?

– Na pewno, Konstantynie Michajłowiczu.

– Dobrze, jutro z samego rana przyjedź do mnie, zajmiemy się twoją Łazariewą.

Nastia rzuciła słuchawkę i wybiegła do przedpokoju, po adidas. Jak dobrze, że nie odstawiła jeszcze samochodu Loszki do garażu! Teraz się przyda. Już zapinała kurtkę, kiedy uprzytomniła sobie, że powinna zadzwonić do Stasowa. Może nie wie, gdzie są Ira i dziewczynka, odchodzi od zmysłów, denerwuje się? Szybko wystukała numer.

– Tak? – niemal od razu usłyszała pełen napięcia głos Władysława.

– To ja, Władik. Nie śpisz?

– Jestem w samochodzie, jadę tam. Za dziesięć minut będę na miejscu. Do ciebie też dzwonił?

– Oczywiście.

– Po co? Sprawdzali Irę?

– Coś ty. Telefonował do mnie śledczy. Na moją prośbę rozesłał list gończy za osobą, podczas zatrzymania której twoje dziewczyny znalazły się na otoczonym terenie. Ja też jadę.

– Dobrze, Nastiucha, do zobaczenia. Na razie.

Nastia wypadła z mieszkania z torbą w jednej ręce i kluczykami do samochodu męża w drugiej. W tej chwili zupełnie nie pamiętała o tym, co ma na sobie i jak wygląda.

ROZDZIAŁ 17

Iroccka Milowanowa zbyt długo mieszkała razem z Tatianą Obrazcową, która – podobnie jak Olszański – pracowała jako śledczy, by się denerwować i złościć z powodu nieoczekiwanego odstawienia na komisariat. Z opowieści Tatiany dobrze wiedziała, że coś takiego może się przytrafić każdemu i nie należy winić „złych milicjantów”, to bezsens i głupota, gdyż wykonują oni jedynie swoje obowiązki, a żaden człowiek nie ma wypisane na czole, kim naprawdę jest ani czy popadł w konflikt z prawem. Wszelkie kontrole i drobiazgowo ustalenia mają właśnie zastąpić owe brakujące „szyldy”. Ponadto Iroccka wiedziała także, że często się zdarza, iż człowiek zostaje zatrzymany bez dokumentów – i wtedy proponuje mu się, żeby zapłacił, jeśli nie chce mieć nieprzyjemności: w Pitrze taryfa wynosiła sto-sto pięćdziesiąt tysięcy, a ona nie miała najmniejszych podstaw, by sądzić, że Moskwa różni się w tym względzie od północnej stolicy. Więc jeśli będą się domagać pieniędzy, zapłaci, nie powołując się ani na Tanię, ani na Stasowa. Tak będzie prościej, szybciej i – w ostatecznym rozrachunku – taniej; po co się irytować i tracić niepotrzebnie komórki nerwowe, które, jak wszystkim wiadomo, nie regenerują się. Jedyne, co niepokoiło Irę, to Lila, która mogła się wystraszyć, ale wyglądało na to, że dziewczynka zachowała w tej niecodziennej sytuacji olimpijski spokój. Po pierwsze, w ciągu dziesięciu lat (bez dwóch miesięcy) swego życia przeczytała nieprawdopodobną ilość kryminałów, zwłaszcza napisanych przez Tatianę Obrazcową, pod pseudonimem Tatiana Tomilina, po drugie zaś, jako córka pracownika milicji (byłego wprawdzie, ale przecież Stasow oszedł stamtąd nie tak dawno), doskonale pamiętała, jak często podobne sytuacje zdarzają się właśnie późnym wieczorem, kiedy akurat pora kłaść się spać. Poza tym Lila była normalnym dzieckiem i – jak niemal wszystkie normalne dzieci – niezbyt lubiła chodzić do szkoły, liczyła więc na to, że dzięki nocnej przygodzie wykręci się jutro od nauki.

Kto by wyprawiał na lekcje dziecko, które ma za sobą nieprzespaną noc? Tym bardziej że to dziecko jest prymuską i zaległości w nauce z pewnością mu nie grożą.

Dlatego też ładniutka Iroccka, znalazłszy się na komisariacie, natychmiast zaczęła zawierać znajomości ze wszystkimi funkcjonariuszami, którzy pełnili o tej porze dyżur. Szczebiotała, kokietowała, śmiała się srebrzyście i mówiła, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, gdyż już niedługo zamieszka w tej właśnie dzielnicy, więc świetnie się składa, że będzie znała milicjantów, którzy mają strzec jej spokoju i bezpieczeństwa. Trudno się było oprzeć urokowi młodej kobiety, toteż już po dwudziestu minutach wszyscy wokół zaczęli się uśmiechać, dyżurny zaproponował

jej herbatę, a Lilę poczęstował cukierkami.

Wkrótce pojawił się Stasow, z Czeriomuszek nie miał daleko. Obrzucił szybkim spojrzeniem Irę i córkę, po czym skierował się wprost do dyżurnego i podał mu dokumenty, swoje i Iriny. Później porozmawiał chwilę z funkcjonariuszem, który przywiózł je tutaj, ze zrozumieniem kiwał głową i odpowiadał na pytania.

– Trzeba będzie poczekać na Nastię – oznajmił, podchodząc do Iry.

– A tobie nie uwierzyli?

– Nie o to chodzi. Tej kobiety, która się zabiła, poszukiwała Nastia, i teraz musi tu przyjechać, żeby na własne oczy zobaczyć osoby, które zostały zatrzymane w pobliżu miejsca przestępstwa. Takie są zasady, i nikt z mojego powodu nie będzie ich łamał. Tak że musicie jeszcze trochę poczekać. Lilu, powiedziałem mamie, że przenocujesz u nas.

– Dobrze, tatusiu – posłusznie zgodziła się dziewczynka.

– Jesteś głodna?

– Nie, jadłam cukierki.

– Przywiozłem ci książkę, posiedź spokojnie i poczytaj, ja muszę chwilę porozmawiać z ciocią Irą.

Lila natychmiast zagłębiła się w lekturze i przestała dostrzegać otoczenie. Irocza odeszła ze Stasowem na bok, gdzie stała popielniczka i było wydzielone miejsce dla palących.

– Opowiedz mi szczegółowo i po kolei, co się stało – poprosił Irę Stasow.

Spojrzała na niego zdziwiona.

– Nic się nie stało. Wszystko było tak, jak ci powiedzieli.

– Nie szkodzi, teraz ty mi opowiedz. Dzwoniłaś koło dziewiątej i mówiłaś, że ponieważ winda nie działa, robotnicy muszą wnosić schodami deski na górę, dlatego zabawicie dłużej. Co było potem?

– Nic szczególnego, Władik, słowo honoru! Zanieśli wszystkie deski do mieszkania, dałam im jeść, potem poszli, a ja sprzątnęłam, umyłam podłogi i gdzieś tak o wpół do dwunastej ruszyliśmy z powrotem do domu. Na ulicy podszedł do nas milicjant i poprosił o dokumenty. Nie miałam ich przy sobie, więc nie mogłam się wylegitymować, wtedy on zanotował twój telefon i kazał nam poczekać w samochodzie, a potem przywiózł nas tutaj. To wszystko.

– Wszystko? – z niedowierzaniem zapytał Stasow. – A ten mężczyzna? Skąd się wziął?

– To nasz sąsiad. To znaczy, przyszedł sąsiad – poprawiła się Ira. – Mieszka na pierwszym albo na drugim piętrze. Też na razie się nie wprowadza, robi różne przeróbki. Pomógł nam zejść na dół, poświecił latarką, ciemno tam, że oko wykol, nie ma światła. Wziął ode mnie worki ze śmieciami, były bardzo ciężkie. Potem wyszliśmy razem i na tym koniec.

– Na pewno?

– Na pewno. O co ci chodzi, Władik? Nie wierzysz mi? Zapytaj Lilę, była przy tym.

Trzasnęły drzwi wejściowe, przez pomieszczenie z okienkiem dyżurnego szybkim krokiem przeszła efektowna brunetka w kurtce i obcisłych błyszczących spodniach. Brunetka podała dyżurnemu swój dowód, ten skinął głową w milczeniu, nie patrząc na nią, i zaczął dokądś dzwonić. Kobieta tymczasem odwróciła się w stronę Iry i Stasowa i pomachała do nich na przywitanie.

– Znasz ją? – zapytał Stasow.

– Pierwszy raz ją widzę. Myślałam, że kiwa do ciebie. Chociaż nie, chyba gdzieś już ją widziałam, ale nie mogę sobie przypomnieć gdzie.

Odwróciła się, ale w tej samej chwili usłyszała znajomy głos:

– Cześć, to ja. Czyżbym była niepodobna do siebie?

Ira i Stasow wytrzeszczyli oczy na brunetkę, po czym wybuchnęli śmiechem.

– Boże, Anastazjo, a niech cię! Cóż to za maskarada?

– Tak sobie. – Nastia wzruszyła ramionami. – Z nudów. Dla odmiany.

Podeszła bliżej, żeby mogli dokładnie się jej przyjrzeć.

– Ale heca. – Stasow pokręcił głową. – Zupełnie inna osoba. Gdybyś się nie odezwała, w ogóle bym cię nie poznał. Ale Irka jest spostrzegawcza, od razu zauważyła coś znajomego. No dobrze, o tajemnice służbowe nie pytam, powiedz tylko: długo to jeszcze potrwa?

– Sama nie wiem. Ale ty możesz zabrać Lilę i wracać do domu.

– Jak to? A co z Irką, będzie tu siedziała do rana?

– Pojedziemy potem razem do mnie. Dobrze, Irisza? Zgadzasz się?

– Oczywiście – natychmiast zaakceptowała ten pomysł Ira. – Bierz Lilę, Władik, już dawno powinna spać. W ogóle to nie miejsce dla dziecka, zimno i pełno dymu z papierosów.

– No, nie wiem – zafrasował się Stasow. – Mam cię tu zostawić? Zresztą, koleżanko, jak chcesz o tej porze dojechać z Irą do siebie? A może myślisz, że będziecie tu sterczeć do rana?

– Jestem samochodem – wyjaśniła Nastia. – Loszka mi go zostawił, kiedy wyjeżdżał.

– No nie, świat się przewraca do góry nogami! – zdumiał się Władisław. – W modnych spodniach, samochodem i zmieniona nie do poznania. Nie zakochałaś się przypadkiem?

– Na razie nie. – Nastia uśmiechnęła się. – Ira, co to za facet był z tobą? Skąd się wziął?

Irocinka jeszcze raz opowiedziała wszystko dokładnie od samego początku. O deskach, o nieczynnej windzie, o nieobecny monterze, o robotnikach, którzy wnosili deski na własnym grzbiecie na szóste piętro, o ciemnościach na klatce schodowej, o uczynnym sąsiedzie z latarką i o ciężkich workach. Nie rozumiała, dlaczego tak

wszystkich interesuje ten uprzejmy i sympatyczny mężczyzna, ale opowiadała, jak umiała najdokładniej, gdyż szczerze lubiła Stasowa i bardzo jej się podobała Nastia. Skoro pytają, trzeba odpowiadać.

*

Stasow w końcu uległ namowom i zabrał Lilę do domu, a Irocza została na dole, w dyżurce, i dalej kokietowała milicjantów, podczas gdy Nastia omawiała sytuację z oficerem operacyjnym imieniem Wołodia.

– Na wszelki wypadek ich rozdzieliłem – poinformował ją milicjant, spytany o zatrzymanego mężczyznę. – Facet czeka w pokoju obok.

– Denerwuje się?

– Nie, zachowuje się raczej spokojnie. Jest trochę zły, ale to zrozumiałe.

– Jak wyjaśnił swoją obecność na miejscu przestępstwa? To rzeczywiście właściciel jednego z mieszkań?

– Nie – roześmiał się Wołodia – wszystko jest o wiele prostsze. Przechodził tamtędy, zachciało mu się do ubikacji, na ulicy jakoś nie wypada, więc wszedł do pierwszej lepszej klatki schodowej, a tu schodzi z góry kobieta z dzieckiem. Było ciemno, więc poświecił im latarką, żeby sobie nóg nie połamały. I pomógł donieść worki do śmietnika. A kiedy kobieta zaczęła wypytywać, z którego facet jest piętra, skłamał.

To zrozumiałe, nie będzie przecież wyjaśniał młodej i atrakcyjnej babce, że wszedł do klatki za potrzebą, zwłaszcza przy dziecku.

– Dokumenty ma w porządku?

– Całkowitym. Sprawdziliśmy, rzeczywiście jest zameldowany pod adresem wpisanym do dowodu. To inżynier z zakładów samochodowych.

– A co mówi ten młodziak, który pierwszy rozpoznał Łazariewą? Czy wasz inżynier przypomina mężczyznę, z którym przyjechała samochodem?

– Twarzy nie widział. Ale tamten facet był o wiele niższy.

– Czy tożsamość zabitego została ustalona?

– Tak, miał przy sobie dokumenty.

– Proszę mi je dać, zanotuję sobie dane. I dowód zatrzymanego również.

Nastia usiadła przy biurku i zaczęła przepisywać nazwiska i pozostałe informacje z dowodów osobistych, które położył przed nią funkcjonariusz operacyjny.

– Ten, co się zabił, to nie był zwykły gość – rzucił Wołodia, słodko ziewając. – Miał przy sobie cztery paczki studolarówek. Dwie prawdziwych banknotów i dwie fałszywek. Czyli jakiś kombinator. Wciąż tak sobie myślę, po co facet polazł na tę budowę, mając w kieszeni taki szmal. Czyżby był zwykłym durniem, tak jak wszyscy mężczyźni?

– Co pan chce przez to powiedzieć? – Nastia podniosła głowę znad notatek. – Dlaczego, pana zdaniem, wszyscy mężczyźni to durnie?

– No, nie wszyscy, ot, tak mi się powiedziało. – Uśmiechnął się. – Ale my, mężczyźni, bardzo często uganiamy się za tanimi przyjemnościami, zapominając o bożym świecie.

– Zapewniam pana, że my, kobiety, nie jesteśmy lepsze – z niezwykłą powagą odparła Nastia. – Myśli pan, że Łazariewa zaciągnęła go tam, obiecując szybki seks?

– Jakżeby inaczej? – zdziwił się szczerze milicjant. – Albo chciał się bzyknąć, albo napić, inaczej po co by tam szedł?

„A pieniądze? – uzupełniła w myślach Nastia. – Dwie paczki prawdziwych i dwie fałszywych studolarówek. To wyraźnie wskazuje na jakiś przekręt. Albo szantaż. Wówczas staje się zrozumiałe, po co poszedł na budowę. Tam miał umówione spotkanie. Ciekawe, z kim? Czyżby z Łazariewą? Lub może z kimś innym, a Łazariewa znalazła się w tym miejscu przypadkiem i usiłowała popełnić kolejne morderstwo. Pora była ta sama co zwykle, po jedenastej. Sposób także – uduszenie. Cholera, czyżbym się co do niej myliła? A to się Mielnik ucieszy, kiedy się okaże, że on miał rację i morderczynią jest Łazariewa! Cóż, wtedy trzeba będzie oddać sprawiedliwość jego doświadczeniu zawodowemu i intuicji wywiadowcy. A ja wyjdę na skończoną idiotkę, która nie ma czego szukać w tej robocie. Dobrze, niech i tak będzie, odchodzę przecież z sekcji, to rzecz postanowiona”.

Minęła z górą godzina, gdy Nastia wreszcie zakończyła rozmowę z oficerem operacyjnym, a następnie z zatrzymanym Paryginem. Wsiadając z Irą do samochodu, powiedziała:

– Zaraz pojedziemy tam, gdzie to się stało, rzucę tylko okiem na to miejsce, a potem prosto do domu. Popilotuj mnie. Dowiem się przy okazji, gdzie was będę odwiedzać, kiedy się już przeprowadzicie.

Widząc milicyjne radiowozy i karetkę pogotowia obok niewykończonego budynku, Nastia wysiadła z samochodu, zostawiając Irę w środku samą. Cóż, niezbyt pociągająca okolica. Wciąż obowiązuje zasada, że najpierw się buduje bloki mieszkalne, a dopiero potem, po dość długim czasie, tworzy się infrastrukturę niezbędną, by ludzie mogli na takim osiedlu normalnie żyć. Prawdopodobnie przyjmuje się założenie, że problem mieszkaniowy jest u nas tak nabrzmiały, iż człowiek gotów się przeprowadzić do nowego lokum mimo braku dróg, oświetlenia, komunikacji miejskiej i sklepów.

Po kwadransie Nastia wróciła i otworzyła drzwi po stronie pasażera.

– Siadaj za kółkiem – poleciła Irze. – Powiem ci, jak jechać.

Irocza posłusznie zajęła fotel kierowcy i uruchomiła silnik, a Nastia odchyliła się do tyłu i wparła w zagłówek, usiłując powstrzymać mdłości. Wciąż stały jej przed oczyma dwa zmasakrowane ciała, leżące w ogromnej kałuży roztającego śniegu. Oczywiście, wszyscy ludzie muszą wcześniej czy później umrzeć. Ale to... Powinno się umierać wtedy, kiedy śmierć pozostaje w zgodzie z prawami natury. Tylko wówczas i tylko tak. Nigdy inaczej.

*

Ira krytycznym okiem oglądała domowe pielesze Nasti. Tej domatorce i wspaniałej gospodyni wystarczyło się rozejrzeć, by wiedzieć wszystko o lokatorach małego mieszkanca.

– To znaczy, mieszkacie tu we dwoje, ty i twój mąż.

– Tak – potwierdziła w roztargnieniu Nastia – tutaj mieszkamy. Nie zwracaj uwagi na bałagan, jest nieposprzątane.

Ira szybko weszła do kuchni.

– No, to zależy gdzie – rozległ się stamtąd jej dźwięczny głosik – czysto tu u ciebie niczym w sali operacyjnej. Kuchenka lśni, zlewozmywak błyszczący. Nie oczerniaj się.

Nastia usiadła na kanapie, wyciągnęła przed siebie nogi i zapatrzyła się w ścianę naprzeciw. Jest środek nocy, kłaść się spać nie ma sensu, obraz tamtych dwóch ciał i tak nie pozwoli jej usnąć. Trzeba by pościelić Irocze, niech się kładzie i odpoczywa. Ona sama usiadzie w kuchni z filiżanką kawy i pomyśli...

– Nastia, co się z tobą dzieje? – rozległ się nad jej uchem głos Iry.

– Bo co?

– Jesteś dzisiaj jakaś dziwna. Godzinę temu na komisariacie zasuwałaś jak mały samochodzik, biegałaś po schodach, błyskałaś oczami, a teraz nagle stałaś się taka jak zawsze. O co chodzi?

– O nic, wszystko w porządku, Irisza. Chodź, pościelę ci.

Ira stanęła przed nią, w jej wzroku była nagana. Nastia mimo woli zachwyciła się zgrabną figurką, ciemnymi falującymi włosami i ładną twarzą młodej kobiety.

– Nie wciskaj mi kitu – twardo rzuciła Ira. – Możesz pieprzyć Stasowowi o tym, że to wszystko dla urozmaicenia, z nudów...

– Ira – przerwała jej zdumiona Nastia – co to za żargon? Gdzieś się nauczyła tych słów?

– A jak mam z tobą rozmawiać, jeżeli po ludzku nie rozumiesz? Mam oczy i widzę, że wcale nie chodzi o nudę. Coś cię zżera, i od tego czegoś usiłujesz uciec. Tak czy nie?

– Przypuśćmy, że tak. Mam ci złożyć raport?

To było zbyt ostre, ale Nastia za późno się połapała. Mina Iroczi w jednej chwili z pełnej przygany zmieniła się w obrażoną.

– Nie żądam żadnego raportu, ale jeżeli masz kłopoty, może mogłabym ci pomóc.

– Przepraszam – Nastia pieszczotliwie pogłaskała Irę po rękę – nie gniewaj się na mnie. Nie chciałam cię obrazić. Rzeczywiście mam kłopoty, ale wątpię, czy ktoś jest w stanie mi pomóc.

– Nie mów tak – żarliwie zaprotestowała Ira. – Wiem, że jesteś okropnie samodzielna i nie lubisz prosić o pomoc, ale tak nie wolno, Nastiu! Uwierz mi, tak nie

wolno. Człowiek nie może zawsze radzić sobie ze swoimi zmartwieniami sam, potrzebuje pomocy i wsparcia, to żaden wstyd. Spójrz tylko, co ze sobą zrobiłaś!

– Nie podoba ci się? – chciała wiedzieć Nastia.

– Nie w tym rzecz. Z punktu widzenia urody to majstersztyk, oczu nie można oderwać, ale przecież to nie ty. To nie ty, Nastiu. Do jakiego stopnia musiałaś sobie obrzydzić samą siebie, żeby przestać być sobą!

– Co do tego, masz rację. Rzeczywiście sama do siebie czuję obrzydzenie. Ale jeżeli cię to niepokoi, zaraz wezmę prysznic i zmyję całą tę urodę. Przecież nie mogę tak wymalowana iść do pracy.

– Nie chcesz mi opowiedzieć, co się stało?

– Nie chcę. Przepraszam, Ira, nie bądź na mnie zła, ale muszę dać sobie z tym radę sama. Dzięki za współczucie.

– No, jak uważasz – westchnęła Irocza, która zawsze była gotowa śpieszyć z pomocą na pierwsze wezwanie.

Nastia pościeliła jej na kanapie, a sama weszła do kuchni i starannie zamknęła za sobą drzwi. Eksperyment się nie udał, zmiana wizerunku tym razem nie pomogła. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie Łazariewa. Co się tam właściwie wydarzyło? Jeśli młodszy lejtnant się nie mylił, z Łazariewą był mężczyzna. Gdzie się podział? Odprowadził ją na miejsce i odszedł? Czy też czekał na nią, a milicjanci go przegapili? I dlaczego na nią czekał?

Są dwie możliwości. Albo Łazariewa rzeczywiście jest morderczynią, która udusiła siedem osób i usiłowała udusić ósmą, a jeżeli tak, wygląda na to, że we wszystkich ośmiu zabójstwach miała współnika. Ale maniacy nie miewają współników, możliwe więc, iż miał rację profesor Samojułow, twierdząc, że to nie robota seryjnego mordercy. Tych siedem zabójstw musi łączyć coś innego. Druga możliwość: Łazariewa nie ma z nimi nic wspólnego, przyszła po prostu na umówione spotkanie, a więc to zupełnie naturalne, że ktoś ją ubezpieczał. Ale gdzie się podział? Zobaczył, że sprawa pachnie kryminałem, i ukrył się? Ale przecież, sądząc z relacji, sytuacja stała się krytyczna dopiero wówczas, gdy funkcjonariusze byli już na miejscu. Tragedia rozegrała się na ich oczach, w świetle reflektorów. Wątpliwe, czy ów tajemniczy mężczyzna mógł się przedrzeć po tym wszystkim przez milicyjne posterunki, które otaczały teren zajścia.

A więc znowu mamy dwie możliwości. Albo odszedł o wiele wcześniej i nie ubezpieczał Łazariewej, może był po prostu kimś przypadkowo spotkanym po drodze. Albo...

Tak, trzeba się zastanowić i nad tym. Co powiedział młodszy lejtnant o Paryginie? Że jest o wiele wyższy od mężczyzny, który wysiadł z Łazariewą z samochodu. Cholera jasna, a to ci asy kryminalistyki! Przy Łazariewej każdy mężczyzna musiał się wydawać krasnoludkiem, chyba że miał dwa metry wzrostu. Dlaczego nie pomyślała o tym od razu? Idiotka!

Nie pomyślała dlatego, że była zbyt pogrążona we własnych sprawach. Zanadto się przejęła swoją ewentualną pomyłką i faktem, że Łazariewa może się okazać morderczynią, co stanowiłoby ostateczny dowód na to, że Mielnik miał rację. Emocje, emocje! Dość, Kamińska, wystarczy, czas skończyć z tym koszmarem. Mało to na świecie ludzi, którzy nagle odkrywają, że pośród ich bliskich znajduje się zdrajca? To jeszcze nie katastrofa. Owszem, taka świadomość doskwiera, ciąży, boli, ale to nie znaczy, że można dać wszystko i odpuścić sobie na całej linii.

Spojrzała na zegarek – za dziesięć czwarta. Chyba nie wypada dzwonić do Miszy Docenki o takiej godzinie, chłopak słodko śpi. Niech sobie pośpi jeszcze trzy godziny, a ona obudzi go o siódmej. I trzeba będzie pilnie zdobyć informacje o mężczyźnie, który zginął razem z Łazariewą. Grigorij Iwanowicz Stojanow. Kto to taki? Oprócz dowodu osobistego nie miał przy sobie żadnych innych dokumentów. Chociaż nazwisko wydaje się znajome. Może sprawdzić w komputerze? Ale nie, to przecież niemożliwe, w pokoju śpi Ira, jej też się należy odpoczynek. Tak, musiała się już kiedyś zetknąć z tym nazwiskiem. Odnajdzie je bez trudu, jeśli gdzieś choćby tylko przemknęło w ciągu ostatnich dziesięciu lat.

Nastia udzieliła sobie w duchu pochwały za to, że wprowadzając dane do komputera, zestawiała od razu alfabetyczny spis wszystkich nazwisk, występujących w tych danych – a więc nazwisk przestępców, poszkodowanych, świadków, podejrzanych, a nawet przypadkowych osób. Nigdy nie wiadomo, kiedy taka informacja może się przydać. Swego czasu dzięki tej kartotece udało się Nasti wyłowić człowieka, który miał już na swoim koncie trzy zabójstwa i planował czwarte.

Nawet potencjalną czwartą ofiarę odnalazła dzięki swojej komputerowej liście nazwisk. Bardzo pożyteczny wynalazek.

Niecierpliwość szalała w Nasti jak pożar, ale sumienie nie pozwalało jej budzić Iry. Żeby zabić czas, udała się do łazienki „zmyć urodę”. Z twarzą nie będzie problemu, ale zmycie farby z włosów nie pójdzie już tak łatwo. Wprawdzie nie jest zbyt trwała, obliczona na „jednorazowy” efekt, ale będzie musiała parę razy dobrze umyć włosy szamponem – aż w końcu odzyskają swój naturalny, platynowy odcień.

Przy przywracaniu poprzedniego wyglądu udało jej się „zabić” całą godzinę. Teraz znów była bezbarwną blondynką o jaśniuteńkich brwiach i rzęsach. Starła się nie patrzeć na siebie w lustro, żeby nie stracić ochoty na doprowadzenie sprawy do końca. I tak nie udało jej się ostatecznie zagłuszyć wewnętrznego głosu, który co chwila szeptał: „Nie pchaj się w to, nie grzeb, nie kop, bo na pewno dokopiesz się jakichś dowodów, potwierdzających, że ojczym jest w coś zamieszany, a wtedy będziesz się czuła jeszcze gorzej. Zamknij na wszystko oczy i pomyśl sobie, że nic się nie stało, że o niczym nie wiesz, że ci się po prostu wydawało. Przecież nie tylko twój ojczym ma zwyczaj zarysowywać etykiety na butelkach! Z pewnością jest więcej osób, które to robią. Uwierz, że tak jest, i uspokój się”. Nastia bardzo chciała usłuchać tego, co radził

ów zdradziecki głosik, trudno jej było zwalczyć pokusę powrotu do spokojnego i bezpiecznego życia, gdzie był dobry, kochany tata Lonia, którego zawsze można było poprosić o radę. A teraz go nie ma...

Siedziała w kuchni, piła kawę i metodycznie kreśliła na papierze jakieś schematy i tabele. Tak było jej łatwiej uporządkować myśli.

U góry po lewej stronie arkusza, Nastia umieściła dane o siedmiu ofiarach. Pośród nich figurował Nurbagandow, dawniej Gadżijew, absolwent centrum szkoleniowego, powstałego w ramach programu rządowego. Niegdyś informator wydziału kryminalnego, przypadkiem rozpoznany przez Dmitrija Wawiłowa.

U góry po prawej w kółka i kwadraciki wpisała informacje o Nikicie Mamontowie, potencjalnym kursancie centrum, i Bagluku, dziennikarzu, który zginął w wypadku samochodowym. Od nazwiska „Mamontow” do kwadracika „centrum szkoleniowe” prowadziła kropkowana linia. Tu istniał oczywisty związek.

Na dole strony znalazły się informacje o Łazariewej i dwóch mężczyznach: Stojanowie, który zginął, i zatrzymanym Paryginie. Między górną i dolną częścią arkusza wyraźne było tylko jedno powiązanie: Łazariewa – Bagluk. Nic więcej się nie łączyło. A więc, żeby powiązać wszystko w całość, trzeba wyjaśnić, po co koszykarka przyszła do redakcji. To było najślabsze ogniwo, gdyż i dziewczyna, i dziennikarz nie żyli. Ich nie można było już o nic zapytać. A bez ustalenia prawdy trudno będzie posunąć sprawę do przodu.

Chociaż zaraz, istnieje jeszcze jedno powiązanie: Bagluk – Leonid Pietrowicz. Ale nie będzie przecież pytała ojczyma... Nie, za nic tego nie robi. Co za idiotyczna sytuacja: prowadzi śledztwo przeciwko własnemu ojczymowi, który zastępował jej ojca i którego od dzieciństwa nazywała tatusiem.

Punktualnie o siódmej weszła do pokoju i zapaliła światło. Irocza poruszyła się pod kocem, odwróciła się do ściany i przykryła z głową. Nastia włączyła komputer na biurku, szybko odnalazła swój alfabetyczny spis i wprowadziła nazwisko: Stojanow. Była absolutnie pewna, że znajdzie informacje o tym człowieku. Czekają ją jednak rozczarowanie. Stojanowów było niewielu, zaledwie osiemnastu, ale pośród nich ani jednego Grigorija Iwanowicza. Nic dziwnego, że nazwisko wydało jej się znajome. Spośród osiemnastu Stojanowów dwóch było braćmi, brutalnymi zabójcami, i swego czasu Nastia mocno się napracowała nad ich ujęciem. Następnym pięciu stanowiło rodzinę: rodzice, syn, synowa i wnuczka – wszyscy zginęli podczas eksplozji samochodu, gdy właśnie wybierali się nim na daczę. Syn był poważnym biznesmenem, a wysadzenie auta – aktem zemsty. Nastia dobrze pamiętała tę sprawę, która była jeszcze całkiem świeża.

A więc nie ma w swoim domowym archiwum Grigorija Iwanowicza Stojanowa. No cóż, trudno, spróbuje poszukać Parygina. Może się akurat uda, skoro nie udało się ze Stojanowem. Bez większej nadziei wpisała nazwisko „Parygin” i nacisnęła klawisz poszukiwania. No proszę, jest, Jewgienij Iljicz Parygin, rok urodzenia 1948. Czyżby

to był rzeczywiście on?

Obok nazwiska widniały symbole oznaczające plik, który zawierał bardziej szczegółowe dane. Nastia szybko przebiegła wzrokiem cały materiał. Interesujące! Jewgienija Iljicza Parygina zatrzymano i przesłuchiowano – pośród wielu innych osób – w sprawie o zabójstwo. Pracował z nim Misza Docenko. Żadnych dowodów przeciwko Paryginowi nie znaleziono, więc został zwolniony. Adres też się zgadza. Tak, to ten sam człowiek.

A zatem cóż my tu mamy? Parygin, podobnie jak zamordowany Nikita Mamontow, znalazł się w polu widzenia sekcji zabójstw w związku z prowadzonym śledztwem, nie udowodniono jednak jego związku ze sprawą. Parygina, tak jak Annę Łazariewą, rozpracowywał Docenko. I wreszcie Parygin zapragnął skorzystać z toalety akurat tam i wtedy, gdzie i kiedy toczyli walkę na śmierć i życie Łazariewa i Stojanow.

Parygin jednak zaprzecza, jakoby znał Łazariewą, i utrzymuje, że na miejscu zajścia znalazł się przypadkowo. Cóż, w życiu różnie bywa... Zdarzają się takie przypadki, o jakich nie śniłoby się nawet autorowi powieści fantastycznych.

Nastia zdecydowanym ruchem wyłączyła komputer. Zaraz zadzwoni do Miszy Docenki.

*

Ogromnym wysiłkiem woli Parygin zmusił się, by nie opuścić komisariatu, kiedy mu oznajmiono, że jest wolny. Dokąd normalny człowiek może pójść o trzeciej w nocy?

Co zrobi bez samochodu? W takiej sytuacji będzie się śpieszył tylko ten, kto nie czuje się zbyt komfortowo w milicyjnym przybytku i pragnie znaleźć się odeń jak najdalej.

Jewgienij Iljicz czuł się nie tylko niekomfortowo, ale wręcz fatalnie, mimo to jednak doskonale wiedział, że lepiej zostać. Do najbliższej stacji metra była godzina marszu, a więc on musi tu zostać co najmniej do wpół do piątej, na dodatek robiąc wrażenie człowieka zmęczonego, niezadowolonego, ale zarazem rozumiejącego sytuację.

– Może mógłbym gdzieś tu u was posiedzieć, dopóki metro nie zacznie chodzić? – zapytał sucho oficera operacyjnego imieniem Wołodia.

Ten zaprowadził Parygina do jakiejś nieprzytulnej kłitki, gdzie nie było nic oprócz ławki i dużej popielnicy. Jewgienij przesiedział cały czas bez ruchu, z łokciami opartymi o kolana, pogrążony w rozmyślaniach.

A więc wszystko się skończyło. Ania nie żyje. Piotr Michajłowicz, czy jak on się tam naprawdę nazywa, także. Pieniądzy nie ma. A czas ucieka, zostało go niewiele, zaledwie dwa dni. Wątpliwe, czy zdąży. Musi szybko coś wykombinować, żeby ratować Lolitę i bratanka. Może sprzedać mieszkanie, to, w którym teraz ukrywa się

Lola? Cóż, to chyba jedyne wyjście. Z dotychczasowym sposobem zarobkowania trzeba będzie skończyć, niewykluczone, że na zawsze, płatny zabójca nie może działać, nie mając choćby jednej rezerwowej bazy. Musi ściśle przestrzegać podziału dwóch różnych przestrzeni życiowych – tej, w której funkcjonuje jako praworządny obywatel, i tej, gdzie jest mordercą do wynajęcia. To jedna z podstawowych zasad, których przestrzeganie gwarantuje bezpieczeństwo.

Za dwadzieścia piątą wyszedł z klitki, uprzejmie, ale chłodno pożegnał dyżurnego i skierował się w stronę stacji metra. O siódmej piętnaście, kiedy Nastia Kamińska czytała w komputerze informacje o nim, Jewgienij Iljicz Parygin leżał na kanapie w mieszkaniu przy ulicy Mosfilmu. Jeszcze wczoraj o tej samej porze była przy nim Anna, żywa, czuła i namiętna. Parę godzin temu razem stąd wychodzili, a ona prosiła, żeby ją pocałował „na drogę”. Pomyślał wtedy, że to ich ostatni pocałunek. I okazało się, że miał rację.

Nagle uświadomił sobie, że żał mu Anny. Jakie to dziwne... Prawie nigdy nikogo nie żałował, zachowywał chłodny dystans, uważając, że każdy człowiek sam jest winien swoich nieszczęść. Ale Ania nie była niczemu winna, zginęła dlatego, że Paryginowi potrzebne były pieniądze dla owdowiałej bratowej. Brat pożyczył dużą sumę, nie mógł oddać, sam znalazł się już po drugiej stronie, a żonę i syna zostawił na pastwę żarłocznych rekinów wierzycieli. Tych dwoje było teraz na łasce Parygina. Brat nie postąpił jak należy, to oczywiste. Ale co miała z tym wspólnego Ania? Dlaczego musiała zapłacić za cudze błędy?

Dlatego, że tak zdecydował on, Jewgienij Parygin. Dlatego, że ta kretynka Lolita i jej syn byli mu bliżsi niż mało w istocie znana kobieta, którą zabrał ze stacji metra porzuconą, szlochającą z rozpacz po odejściu niewiernego ukochanego. Ale czy rzeczywiście tak wyglądała prawda? A może Parygin oszukuje sam siebie? Może, odpowiedział sobie w duchu. Bo nie chodziło o Lolę i chłopca, ale o zmarłego brata i bliską przyjaźń, która przez całe życie ich obu łączyła. A Anna była dla niego nie przelotną znajomą, lecz kobietą, która pragnęła wyjść za niego za męża, spała z nim, gotowała dla niego, patrzyła nań pełnymi oddania, ufnymi oczyma i gotowa była zrobić wszystko, co on jej każe. A Parygin, działając planowo i świadomie, przywiązał ją do siebie, obiecał małżeństwo i złote góry w przyszłości, starał się zdobyć jej zaufanie i skłonić ją, by mu pomagała. I temu, że zginęła, winien jest tylko on. Wiedział, że może do tego dojść, i nie zrobił nic, żeby zapobiec nieszczęściu. Mało tego, wziął ze sobą kamerę, żeby sfilmować przewidywane wypadki i móc potem szantażować Piotra Michajłowicza, jeśli ten nie przyniesie pieniędzy na umówione spotkanie, a zamiast tego będzie usiłował pozbyć się Anny. Parygin postąpił jak człowiek zimny, wyrachowany, cyniczny i okrutny, wysyłając Annę na śmierć. Nie ma co udawać przed sobą samym, że było inaczej, i odgrywać nieszczęśnika, którego niesprawiedliwie skrzywdził przewrotny los.

Ale Ania mogła przecież żyć. Mogłaby, gdyby Piotr nie zaczął się stawiać i oddał

pieniądze. Albo gdyby nie rzucił jej czarnooki kapitan Docenko. Wówczas Parygin by jej nie poznał i nigdy by się nie stało to, co się stało. Może na jej miejscu znalazłaby się jakaś inna kobieta. Lub też on opracowałby jakiś inny sposób działania. Tak, oczywiście, wszystko zaczęło się od tego, że Ania płakała na stacji metra z powodu swego faceta – wówczas właśnie w głowie Parygina zrodził się ten plan. To jasne, winien jest kapitan. Gdyby nie rzucił Anny, teraz by żyła.

Ta myśl sprawiła, że trochę mu ulżyło. Świadomość, iż może nie obwiniać już tylko siebie, otworzyła tamy, przez które chlusnęła fala gorzkiej litości nad sobą. Naprawdę przecież mógłby ożenić się z Anną i żyć szczęśliwie. Dlaczego nie? Ania byłaby dla niego dobrą żoną, urodziłaby mu córeczkę. A teraz nic już z tego nie będzie.

Rozum podpowiadał Paryginowi, że powinien się teraz zmusić, by wstać, pojechać do domu, wziąć dokumenty potwierdzające, że drugie mieszkanie jest jego własnością, i jak najszybciej znaleźć jakąś firmę pośredniczącą w kupnie i sprzedaży nieruchomości. Mieszkanie, w którym obecnie przebywa Lola, jest warte o wiele więcej niż czterdzieści tysięcy dolarów, więc – nawet jeśli przy pośpiesznej sprzedaży cena będzie nieco niższa – bez trudu powinien uzyskać za nie potrzebną sumę. Mógłby też obejść się bez pośrednika i po prostu odstąpić mieszkanie wierzycielom. Umowę kupna-sprzedaży kancelaria notarialna sporządzi bardzo szybko.

Tak, trzeba wstać i jechać. Ale nie wiadomo dlaczego, Parygin jakoś długo nie mógł zmusić się do działania. Był jakby sparaliżowany. I chyba po raz pierwszy w życiu zrozumiał, co to tęsknota.

*

Nastia wydawało się, że ma w sobie mocno ściśniętą sprężynę, która już nigdy się nie rozciągnie, nie rozluźni. Z samego rana wezwał ją do siebie Mielnik i zdławionym z wściekłości głosem poinformował, jaka to z niej tępa, ślepa idiotka. Na dodatek samowolna, pewna siebie, niedoświadczona i w ogóle bez pojęcia. Ona, i tylko ona, jest winna temu, że Łazariewa nie była pod obserwacją, ona popchnęła w złym kierunku młodszego stopniem Docenkę i zamąciła mu w głowie, wykorzystując swój wpływ na niego i zmusiła go do podjęcia niewłaściwych działań, co ostatejnie nocy doprowadziło do tragedii. Teraz już nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Anna Łazariewa jest morderczynią, udusiła siedem osób i usiłowała udusić ósmą. Kamieńska w sposób niewybaczalny opóźniła rozesłanie listu gończego za niezrównoważoną psychicznie, niebezpieczną przestępczynią, przez co ta nie została ujęta we właściwym czasie. Za śmierć Stojanowa i samej Łazariewej odpowiada wyłącznie starszy oficer operacyjny Kamieńska. Na wniosek szefa wydziału w ciągu najbliższych dni otrzyma surową naganą.

Nastia wysłuchiwała Mielnika w milczeniu, po czym wróciła do swego gabinetu. Nawet w myślach nie usiłowała polemizować z nim i usprawiedliwiać się. Panisko

miął rację. Miał absolutną rację. Ona nie ma czego szukać w wydziale kryminalnym. Dopóki był Gordiejew, pozwalano jej robić to, co umiała najlepiej – myśleć i analizować. Z całą resztą – jak się teraz okazało – w ogóle sobie nie radzi, a pod rządami nowego szefa będzie musiała robić wszystko, nie tylko to, co dobrze jej wychodzi. Decyzja o odejściu była słuszna, Nastia z każdą chwilą umacniała się w tym przekonaniu.

Nie udawało jej się nawet porządnie rozzłościć, zwoje spirali w ściśniętej sprężynie przylegały do siebie tak ciasno, że wszelkie emocje zostały przez nie zdławione i nie były w stanie wyrwać się na zewnątrz. Za to umysł, wolny od nich, działał szybko, precyzyjnie i niezawodnie.

Pierwsza wiadomość przyszła od Miszy. Grigorij Iwanowicz Stojanow, który zginął razem z Łazariewą na budowie, okazał się byłym pracownikiem organów bezpieczeństwa wewnętrznego, który odszedł na emeryturę ze stanowiska zastępcy naczelnika urzędu okręgowego. Ostatnio zajmował jakieś podrzędne stanowisko w administracji rządowej.

Nastia zanotowała tę informację w odpowiednim miejscu na swoim schemacie i już miała włączyć grzałkę, żeby zrobić sobie kawę, kiedy do jej gabinetu wpadł Jura Korotkow, który wczesnym rankiem wybrał się „na spacer” w okolice, gdzie był oficjalnie zameldowany Jewgienij Parygin. Jurij był zarazem wzburzony i zaaferowany, jak gdyby coś go wyprowadziło z równowagi, a on w żaden sposób nie mógł pojąć, co by to miało znaczyć.

– Wasz Parygin od początku do końca kłamie – rzucił od progu. – Włączaj grzałkę, włączaj, jestem dzisiaj przez ciebie bez śniadania.

To była prawda. Zaraz po porannej rozmowie telefonicznej z Miszą Nastia zadzwoniła do Korotkowa i poprosiła go, żeby wybrał się do Parygina do domu. Misza nie mógł tego zrobić, gdyż Parygin mógł pamiętać oficera, który go przesłuchiwał. Michaił był przystojny, atrakcyjny, łatwo wpadał w oko, więc jeśli nawet nie przypominał sobie Parygina, co jest zupełnie naturalne, tamten na pewno go nie zapomniał. W końcu nie co dzień człowiek zostaje zatrzymany na ulicy i odstawiony na Pietrowkę.

– A więc tak – zaczął relację Jura, rozsiadając się wygodnie i częstując kostkami cukru, po które co chwila sięgał i rozgryzał z chrzęstem białymi zębami. – Parygina nie ma w domu. I to od dawna. Co najmniej od dziesięciu dni. Zawarłem znajomość z jego sąsiadką, która mi z wymownym uśmiechem oznajmiła, że Jewgienij Iljicz zamierza się ożenić. Chwała Bogu, nareszcie, to taki porządny człowiek, a wciąż pozostaje w kawalerskim stanie. Przedstawił nawet sąsiadce swoją narzeczoną, co przekonało kobietę, że poważnie myśli o ożenku. Dziewczyna jest bardzo wysoka, Jewgienij Iljicz wydaje się przy niej malutki, ale widać, że narzeczona go kocha, oczu od niego nie odrywa i cała promienieje szczęściem.

– No tak. – Nastia pokiwała głową. Nie była zaskoczona.

– Bóg wie, ile już popełniłam omyłek, palców u rąk nie starczy, żeby zliczyć. Parygin był bliskim znajomym Łazariewej, a ja go przegapiłam. To on przyjechał z nią na budowę, następnie ukrył się na klatce schodowej, a kiedy zjawiała się milicja, skorzystał z tego, że szczęśliwym zbiegiem okoliczności spotkał kobietę z dzieckiem. Co prawda, nie do końca zdołał się wykręcić, i tak trafił na komisariat. Nasi chłopcy nie uwierzyli w jego wyjaśnienia, zatrzymali go. A ja, idiotka, nie zwróciłam na niego uwagi. Cóż, nie mam czego szukać w wydziale kryminalnym. Opowiadaj dalej.

Korotkow popatrzył na nią uważnie i wrzucił z powrotem do pudełka kostkę cukru, którą już miał włożyć do ust.

– Asiu, nie podoba mi się twój nastrój. Kiedy jesteś taka spokojna, zwykle zwiastuje to burzę. Nie powiem ani słowa więcej, dopóki mi nie wyjaśnisz, co się dzieje.

– Można by pomyśleć, że boisz się burzy. – Nastia uśmiechnęła się. – Nie zwracaj głowy, tylko opowiadaj.

– Od rana poszukiwał mnie ten facet z GAI, u którego razem byliśmy. Pamiętasz go?

– Saszę, którego teściową okradziono w autobusie? Pamiętam.

– Przed chwilą do niego dzwoniłem i powiedział mi, że ekspertyza techniczna samochodu Bagluka jest już gotowa.

– No tak. – Nastia znów kiwnęła głową, wyłączyła grzałkę i nasypała do filiżanek kawy rozpuszczalnej. – Tak właśnie myślałam.

– Co myślałaś? Co „no tak”?

– Że ktoś majstrował przy jego wozie.

– A niech cię, Aśka! – Jura z rozdrażnieniem machnął ręką. – Nigdy nie dasz człowiekowi cienia satysfakcji. Chciałem cię zaskoczyć, a ty...

– Przepraszam, tak wyszło.

Nastia jak gdyby obserwowowała siebie z boku, cudzymi, uważnymi oczyma. Jura miał rację, jeszcze miesiąc temu podskoczyłaby z radości, słysząc taką nowinę, i nie kryłaby zdumienia, a gdyby się jej spodziewała, cieszyłaby się z własnej domyślności. Teraz nie okazywała ani zdziwienia, ani radości. Zrozumiała już wcześniej, że materiały dotyczące Mamontowa, które trafiły do rąk Bagluka, wiążą się jakoś z programem rządowym, o którym mówił Denisow. A jeśli tak, to śmierci dziennikarza, tak bardzo „w porę”, nie wolno traktować jako przypadku. W życiu różne rzeczy się zdarzają, nawet dziwniejsze, niż można sobie wyobrazić, ale istnieją pewne granice, poza którymi ilość przechodzi w jakość. Każdy oficer operacyjny, podobnie jak śledczy, powinien być obdarzony intuicją, która pozwalałaby mu wyczuć, co jest zwykłym zbiegiem okoliczności, a co zaplanowanym i wyreżyserowanym incydentem. Chociaż niekiedy różnica jest ledwie uchwytna... Cóż, teraz to zupełnie jasne, że Bagluk został rozmyślnie wyeliminowany. Ktoś pomajstrował przy jego samochodzie, podczas gdy on sam pił whisky z Leonidem Pietrowiczem. Alkohol też

podsunęto mu celowo. Kiedy kierowca, który się rozbija, jest w stanie silnego upojenia, a na drogach panuje gołoledź, nikt zbyt uważnie nie analizuje wypadku. Wszystko do siebie pasuje...

Tatusiu... O Boże, dlaczego? „Dość, Anastazjo, weź się w garść. Nie jesteś Pawlikiem Morozowem, żeby wkopywać ukochanego ojczyma. Ale też nie bezwonną kukłą, która daje się mieszać z błotem. Postanowiłaś odejść? To odejdz. Ale najpierw doprowadź sprawę do końca. Inaczej zrobią to za ciebie inni, a ty będziesz miała opinię powierzchownej, nieumiejącej przewidzieć rozwoju wypadków idiotki, która potrafi przegapić słonia pod własnym nosem. Nie zapominaj też, że dałaś słowo Denisowowi: w razie konieczności zajmiesz się wszystkim sama i uprzedzisz jego ludzi.

Ty, major milicji, dałaś słowo aferzyście finansowemu, potężnemu mafiosowi. Czy w ogóle wiedziałaś, co robisz?

Masz chyba nie po kolei w głowie, moja kochana – zgała się w duchu Nastia i zaraz utwierdziła się w tym przekonaniu: – Tak, nawet na pewno. Ale już za późno, dałaś słowo, przyrzekłaś, może w chwili słabości, w końcu żal ci było umierającego starca, i teraz już nie wolno ci się wycofać. Tak, racja, nie należało tego robić, to był błąd. Ostatnio wiele ich popełniłam.

Ale przecież obietnica dana umierającemu to zupełnie wyjątkowy wypadek. Przydarzyło mi się to, o czym dawniej tylko czytałam w książkach. Konflikt między honorowym zobowiązaniem a lojalnością służbową. Zdrowy rozsądek nakazywałby przedstawić wszystkie materiały przełożonym i spowodować, by przekazano je Zatocznemu do Komitetu, a samej po cichutku, bez zbędnego hałasu napisać podanie o dymisję. Niech sprawą zajmą się ludzie doświadczeni i rozumni, a nie ja, głupia, nieporadna, skołowana idiotka, i do tego działająca w pojedynkę. Ale obiecałam. I na to już nie ma rady”.

– Jura, musimy jak najszybciej znaleźć Parygina. Jest to możliwe jedynie przez powiązania Łazariewej, inaczej nigdy nie wpadniemy na jego trop, jeżeli nie mieszka w domu. Dzwoniłeś do fabryki, gdzie rzekomo jest zatrudniony?

– Dlaczego rzekomo? Jest zatrudniony, ma doskonałą opinię, to zasłużony pracownik przemysłu samochodowego. Jakies dwa tygodnie przebywał na zwolnieniu lekarskim z powodu grypy, następnie wziął bezpłatny urlop na załatwienie spraw rodzinnych. Ten urlop załatwił sobie mniej więcej wtedy, kiedy opuścił mieszkanie, w którym jest zameldowany.

– Czyli chorował w domu?

– Tak. Chorował sobie, chorował, a potem stało się coś, co spowodowało, że wziął urlop i nie pokazywał się ani w pracy, ani w domu. Asiu, wiesz co, zadzwońmy na Zielony Prospekt, może facet ma jeszcze jedną chatę, jak myślisz?

– Albo nie jedną – uzupełniła Nastia. – Dobry pomysł.

Wyjęła z biurka spis telefonów i zadzwoniła do Moskiewskiego Biura

Prywatyzacyjnego, gdzie w pamięci komputerów przechowywane są informacje o wszystkich stołecznych mieszkaniach, wykupionych na własność. Oczywiście nie udzielono im odpowiedzi telefonicznie.

– Zaraz weźmiemy od Żeriechowa odpowiedni papierek i pojedziemy tam – powiedziała Nastia. – Twój samochód jest na chodzie?

– Na razie tak, a co będzie za pół godziny, tego nie wiem.

– Korotkow wzruszył ramionami. – W ogóle się dziwię, że jeszcze jeździ, już dawno powinien umrzeć śmiercią naturalną.

Nastia lekko się uśmiechnęła, zamknęła pudełko z cukrem i schowała je razem z kawą i opróżnionymi filiżankami do biurka.

– Musimy zaryzykować. Chodźmy, słoneczko. Ja przegapiłam Parygina i ja muszę go odszukać. A ponieważ między Paryginem a twoim osobistym wrogiem Bagłukiem istnieją jakieś powiązania, będziesz mi towarzyszył i pomagał w tym niewdzięcznym zadaniu.

*

W Moskiewskim Biurze Prywatyzacyjnym dość szybko uzyskali informację, że Jewgienij Iljicz Parygin posiada jeszcze jedno mieszkanie, jednopokojowe, za to w budynku o podwyższonym standardzie i w prestiżowej dzielnicy.

– Dzwon – powiedział Korotkow, wręczając Nasti karteczkę z numerem telefonu.

– Dlaczego ja? Sam nie możesz?

Nastia dała mu łagodnego prztyczka w czoło i zaczęła wyciskać numer. W słuchawce odezwał się kobiecy głos:

– Halo! Żenia?

– Mówię z biura obsługi klientów – powiedziała Nastia, starając się, by jej głos brzmiał jak najbardziej obojętnie, oficjalnie i bezosobowo. – Ma pani nieopłacony rachunek za październik, listopad i grudzień. Jutro wyłączymy telefon.

– Jak to? Chwileczkę, proszę poczekać – zaniepokoiła się kobieta, która podniosła słuchawkę w mieszkaniu Parygina – ja nic nie wiem... Muszę zapytać właściciela, może zapłacił, a rachunek do was nie dotarł. Ja tu nie mieszkam, jestem krewną.

– Proszę zapytać – obojętnie rzuciła Nastia. – A następnie poszukać dowodu wpłaty i przynieść go, w przeciwnym razie jutro o dziesiątej telefon zostanie wyłączony. Pracujemy dziś do dziewiętnastej trzydzieści.

– Ale zaraz, jak to... – jękała się zaskoczona kobieta.

– Nie wiem, co mam zrobić. Nie mieszkam tu, nie wiem, gdzie szukać tych rachunków. Właściciel wyjechał, nie mogę się z nim skontaktować. Proszę nie wyłączać, bardzo panią proszę.

– To już pani sprawa. Rachunki trzeba płacić w terminie. Uprzedziłam panią.

Nastia odłożyła słuchawkę i spojrzała na Korotkova.

– A więc tak, słoneczko. W mieszkaniu przebywa jakaś dama, która nie wie, gdzie

się podziewa Jewgienij Iljicz. To znaczy, może i wie, ale nie jest w stanie się z nim skontaktować. Albo tam, gdzie on przebywa, nie ma telefonu, albo dama nie zna numeru. Wygląda na to, że nawet nie wie na pewno, kiedy Parygin się u niej pojawi.

– Trzeba tam zorganizować zasadzkę – powiedział Korotkow. – Wcześniej czy później musi się pokazać.

– Jura...

– Tak?

– Nie, nic, chodźmy stąd, muszę z tobą pogadać.

Wyszli z dużego gmachu przy Zielonym Prospekcie i powoli ruszyli w stronę stareńkiego samochodu Korotkowa, zaparkowanego po przeciwnej stronie ulicy.

– Wiesz co, postójmy chwilę na świeżym powietrzu, głowy będą lepiej pracować – poprosiła Nastia.

– Dobra. O czym chciałaś ze mną pogadać?

– O Paryginie. Nie mogę i nie chcę mówić Mielnikowi o tym mieszkaniu i o konieczności zorganizowania zasadzki.

Własnymi siłami sobie z tym nie poradzimy, dlatego jedyne wyjście to spróbować znaleźć Parygina, a nie czekać, aż się pojawi.

– Aśka, nie poznaję cię. – Korotkow popatrzył na nią ze zdziwieniem. – Chcesz zataić informację przed przełożonym i spodziewasz się, że taka sprawa nie wypłynie? Po pierwsze, to głupie i ryzykowne, narazisz się tylko na kolejną awanturę. A po drugie, po co? Nie rozumiem.

– Odpowiadam na pierwsze pytanie: Panisko nic nie wie o Paryginie. Wie tylko tyle, że zginęła Łazariewa i niejaki Stojanow oraz że pojechałam na komisariat sprawdzić, kto został zatrzymany w pobliżu miejsca zajścia, i wróciłam z niczym. To wszystko. Więcej nic nie wie, bo miałam dość rozumu, żeby mu nie opowiadać tego, co mówiłam tobie i Miszy. Więc jeżeli obaj będziecie siedzieli cicho, nic złego się nie stanie.

– Przypuśćmy. Ale po co te wszystkie podchody? Dawniej na nic takiego się nie porywałaś, sama stale mówiłaś: prosta droga i prawda są najlepsze. A tu nagle jakieś zupełnie niewytłumaczalne spiętrzenie kłamstw. Przecież wtykasz kit nie tylko Panisku, ale i mnie. Oczywiście, wiesz, jak cię lubię, ale powiem szczerze: to mnie obraża. Przestałaś mi ufać czy co?

Nabrała więcej powietrza w płuca, wstrzymała na chwilę oddech, po czym powoli je wypuściła.

– Powiem ci prawdę, ale pod jednym warunkiem – że nie będziesz mi prawić morałów. Dość już ich sobie naprawiłam sama. Jeżeli po tym, co usłyszysz, uznasz, że nie możesz mi pomóc, daj słowo, że przynajmniej nie zaczniesz przeszkadzać.

– Ależ nie zamierzam ci prawić żadnych morałów – zaprzeczył ze złością Korotkow. – Też coś! To i tak byłby groch o ścianę.

– Wsiądźmy do samochodu, zmarzłam.

W środku Nastia powoli, jakby pokonując jakiś wewnętrzny opór, opowiedziała Korotkowowi wszystko. Kiedy skończyła, Jura przez dłuższą chwilę siedział w milczeniu, a potem delikatnie pogłaskał ją po ramieniu.

– Moje ty biedactwo – powiedział cicho. – I przez cały ten czas zadreślałaś się tym sama jak palec? Gdybym cię tak nie lubił, po prostu bym cię zabił.

– Za co?

– Za to, że od razu nie powiedziałaś. Co za idiotyczny nawyk tak cierpieć w samotności!

– Obiecałeś nie prawić mi morałów – przypomniała Nastia.

– Nie prawię morałów, tylko wyrażam współczucie. Oczywiście, że ci pomogę, bez dwóch zdań. Ale tak w ogóle to...

– Jura!

– No dobrze, dobrze, już się zamykam. Dokąd teraz?

– Do firmy, w której pracowała Łazariewa. Poszukamy jej znajomych i kolegów. Ktoś chyba powinien wiedzieć, gdzie ostatnio mieszkała. Moje serce czuje, że zaszyła się tam razem z Paryginem... A on do tej pory ukrywa się w tym miejscu.

ROZDZIAŁ 18

W miejscu pracy Anny nikt nie wiedział o jej śmierci, toteż pojawienie się milicji wzbudziło niepokój. Było widać, że nawet jeśli nie była tu jakoś szczególnie lubiana, to traktowano ją życzliwie, tak że z początku na pytania Nasti i Korotkowa wszyscy odpowiadali pytaniami:

– A co się stało?

– Dlaczego jej szukacie? Przecież ona by nawet muchy nie skrzywdziła.

– O co chodzi? Anieczka jest bardzo dobrym pracownikiem, nie mamy do niej żadnych zastrzeżeń.

Musieli opowiedzieć o tym, co się wydarzyło w nocy. Niewiele to jednak dało, ludzie kiwali głowami, wzdychali ze smutkiem, byli poruszeni, ale gdzie się podziewała Anna przez cały ten czas – nikt nie wiedział.

– Może wiedzą państwo, od kogo mogła wynająć mieszkanie? – zapytała Nastia.

– Mieszkanie? Trzeba zapytać Ładę, ona o wynajmowaniu mieszkań wie wszystko.

– Kto to jest Łada?

– Nasza sprzedawczyni, pracuje na stoisku przy stacji Timiriaziewska, na ulicy, tuż przy wyjściu z tunelu. Znajdziecie ją państwo na pewno, stoi tam tylko ona jedna, nie ma więcej punktów sprzedaży. Jej siostra zajmuje się mieszkaniami, więc jeśli komuś czegoś potrzeba, zawsze kierujemy go do Łady. Tak, tak, proszę ją zapytać, jeżeli Aniuta szukała mieszkania do wynajęcia, na pewno zwróciła się z tym do niej.

Samochód Korotkowa, parskając i krztusząc się, dowiózł ich do stacji Timiriaziewska, gdzie rzeczywiście tuż przy wejściu do metra sprzedawała prasę sympatyczna, uśmiechnięta blondynka o ciemnych oczach. Wiadomość o śmierci Łazariewej zupełnie ją zaszokowała, Łada omal nie wybuchnęła płaczem, ale gdy już się opanowała, dała im adres i telefon swojej siostry i powiedziała, że Anna jakieś dwa tygodnie temu pytała ją o mieszkanie do wynajęcia.

– Nie mówiła, po co jej mieszkanie? – zainteresował się Korotkow. – Miała przecież gdzie mieszkać.

– Mieszkać tak, ale spotkać się z mężczyzną? Nie mogła przecież przyprowadzić ich do mamy i taty – odparła Łada.

– Aniutka, jak wdawała się w romans z nowym facetem, od razu wynajmowała mieszkanie, żeby mieć się z nim gdzie spotykać. Od chłopca żadnej inicjatywy się człowiek nie doczeka. Oni wszyscy tylko czekają, żebyśmy my, baby, rozwiązały za nich każdy problem.

– Znaczy, że to było już nie pierwszy raz? – uściśliła Nastia. – Ania już wcześniej korzystała z pomocy pani siostry przy wynajmowaniu mieszkania?

– Oczywiście. Trzy czy cztery razy, dokładnie nie pamiętam.

Z Timiriaziewskiej udali się do firmy siostry Łady. Korotkow całą drogę jęczał, skarżąc się na straszliwy głód, ale Nastia – wbrew swoim zwyczajom – nie użalała się nad nim. Sama nie czuła ani głodu, choć ostatni raz jadła prawie dobę temu, ani chłodu, co też było u niej niezwykle, gdyż zimą na ogół bardzo marzła, ani zmęczenia. Nie czuła prawie nic, oprócz nieugiętej woli skończenia z tą sprawą raz na zawsze i przejścia do innej pracy.

Kiedy przejeżdżali obok kolejnego kiosku z napisem Zapiekaniki, Korotkow zatrzymał wóz.

– Ty jak chcesz, ale ja już dłużej nie mogę – oświadczył.

– Muszę sobie kupić coś do jedzenia. Tobie też przynieść?

– Nic nie chcę.

– Daj spokój, Aśka, to bez sensu, w końcu jeść też trzeba.

– Naprawdę nic nie chcę, Jurik, daję słowo.

– Dobra – rzucił gniewnie i wysiadł z samochodu.

Wrócił po paru minutach, z kanapkami zapakowanymi w papier w jednej ręce i z plastikowym kubkiem kawy w drugiej.

– Trzymaj – powiedział, wręczając kubeczek Nasti.

Wzięła kawę i uśmiechnęła się z wdzięcznością.

– Dziękuję. Prawdziwy z ciebie przyjaciel.

Korotkow wszedł do auta, wyjął z opakowania jedną kanapkę i chciwie odgryzł od razu połowę.

– Chciałbym, koleżanko, żebyś o tym nie zapomniała – oznajmił.

– O czym?

– O tym, że jestem prawdziwym przyjacielem.

– Dziękuję – powtórzyła Nastia.

„Masz, Kamińska, to, na co zasłużyłaś – pomyślała. - Jurka naprawdę jest twoim przyjacielem, zawsze ci pomagał i ani razu cię nie zawiódł, a ty go obrażasz, okazując brak zaufania i nie zważając się z tego, co cię niepokoi, ba, za mało powiedziane, doprowadza do obłądzenia. Od czego w takim razie są przyjaciele, jeśli cały czas dajesz im odczuć, że nie są ci w ogóle potrzebni? Iroczka chyba miała rację. Zresztą ostatnio wciąż tak się dzieje: wszyscy naokoło mają rację oprócz ciebie, Kamińska. Ty jedna jej nie masz. Ty jedna stale się mylisz”.

– Jura, jak myślisz, do czego Paryginowi była potrzebna Anna?

Korotkow na chwilę przestał żuć i odwrócił się do Nasti przodem.

– Do niczego – odparł ze zdziwieniem. – Mieli romans. Zwyczajny romans, jaki miewają miliony mężczyzn z milionami kobiet. W tym też widzisz jakiś podstęp?

– Nie widzę, ale podejrzewam, że jest. Zbyt dużo tu zbiegów okoliczności,

normalnie w życiu tak nie bywa. Oboje zetknęli się z Docenką, znają go. Poza tym doskonale pamiętam to, co Michaił opowiadał o swoich kontaktach z Łazariewą. Była w nim zakochana i tylko czekała, żeby napomknął coś o bardziej intymnych kontaktach. Skąd tu nagle romans z Paryginem?

– Cóż, może miała go już wcześniej, a potem przerodził się w czysto przyjacielskie stosunki – podsunął Jura.

Pochłonął już łąpczywie pierwszego hamburgera i zaszeleścił papierem, rozwijając drugi.

– Niezłe – powiedział. – Szkoda, że nie dałaś się namówić. A dlaczego odrzucasz prawdopodobieństwo nagłego romansu? Łazariewa, również sądząc z opowieści Miszki, była dziewczyną impulsywną, kochliwą, łatwo i szybko ulegającą emocjom. Misza zniknął, nie przychodził na spotkania, a tymczasem nawinął się nowy facet. Dlaczego z tego nie skorzystać? Nie rozumiem, co cię w tym niepokoi.

– Niepokoi mnie, słoneczko, fakt, że nowy romans nawiązuje Łazariewa akurat z mężczyzną, który zna jej wiarołomnego ukochanego.

– Daj spokój, Aśka – prychnął Korotkow – to się zdarza nagminnie. Tak się szcycisz swoją znajomością literatury, no to sobie przypomnij: co trzecia książka opisuje podobną sytuację. I co trzeci film o niej opowiada. A życie, jak ci wiadomo, potrafi przerosnąć wszelką fikcję. Powiedz mi, ale szczerze, gdybyś przeczytała w powieści, że trzech wysokich szefów tej samej instytucji nosi to samo nazwisko, nie będąc przy tym krewniakami, i z tego powodu w toku akcji wynikają najróżniejsze nieporozumienia i komplikacje, uwierzyłabyś? Nigdy w życiu. Co najwyżej byś uznała, że to jakiś pastisz literacki, parodia kryminału czy coś w tym rodzaju. A tymczasem naprawdę, oboje o tym wiemy, minister, stołeczny szef Głównego Urzędu Spraw Wewnętrznych i szef okręgu moskiewskiego nazywają się tak samo. I co, koleżanko, możesz zaprzeczyć?

– Nie mogę – poddała się Nastia. – Ale mimo to nie podoba mi się ta historia z Paryginem i Anną, coś tu jest nie tak.

*

Odnalezienie człowieka, który wynajął Annie Łazariewej mieszkanie, okazało się sprawą całkiem prostą. Był to energiczny i strasznie przedsiębiorczy młody chłopak, kierowca, zatrudniony w tej samej firmie, co siostra Łady. Miał nader stateczną damę serca, z którą mieszkał już dwa lata w dużym mieszkaniu w centrum, a swoje M-1 przy ulicy Mosfilmu po cichu wynajmował, ale nie za pośrednictwem firmy, tylko przez „kontakty osobiste”, żeby nie płacić podatków.

Właściciel mieszkania przestraszył się nie na żarty, widząc, że interesuje się nim milicja. Przy tym nie chodziło mu bynajmniej o sprawy podatkowe.

– Ale jak to?! – powtarzał zdesperowany, z całej siły waląc się pięścią w kolano. – Specjalnie się przecież starałem wynajmować mieszkanie ludziom, przez których na

pewno nie będę miał żadnych nieprzyjemności. Sto razy o wszystko wypytywałem, sprawdzałem, czym się zajmują i po co im mieszkanie. Wiecie państwo przecież, jak to bywa. Zrobią ci z mieszkania jakiś magazyn, punkt przerzutowy, a potem się okazuje, że w grę wchodzi narkotyki, broń czy inna kontrabanda. Albo zrobią demolkę, rozwalą meble, wyłamią drzwi. A ta Ania wydawała się taka miła, spokojna, po za tym wynajmowała już ode mnie mieszkanie wcześniej, i wszystko było w porządku. Nie spodziewałem się tego po niej!

– Ależ niech się pan nie denerwuje – uspokajała go Nastia – nic strasznego w pańskim mieszkaniu się nie stało.

– Jak to nie, jeżeli się tym interesuje milicja – upierał się kierowca. – O co chodzi? Urządzili tam melinę? Zabili kogoś?

– Nic podobnego. Dziewczyna, która wynajęła mieszkanie, zginęła, a my musimy koniecznie rzucić okiem na jej rzeczy.

– No tak – skonstatował udręczony właściciel – to znaczy, że była złodziejką i skradzione dobra trzymała w moim mieszkaniu.

Nawet nie zareagował na wiadomość o śmierci swojej lokatorki, tak bardzo był zaprzątnięty samym mieszkaniem, meblami i tym, czy drzwi wejściowe nie zostały wyważone. Mimo woli podsunął Korotkowowi pewien pomysł.

– Tak – powiedział Jura – niestety, zgadł pan. Chcielibyśmy, żeby pan wziął klucze i pojechał z nami, w przeciwnym razie będziemy musieli wyważyć drzwi. A naprawdę wcale nam się to nie uśmiecha.

Tego by tylko brakowało! Właścicielowi nie uśmiechało się to jeszcze bardziej. Trząśł się nad swoim skarbem – mieszkaniem – i gotów był nawet dopłacić milicjantom, byle tylko nie uszkodzili zamka.

Na ulicę Mosfilmu przyjechali około ósmej wieczorem. Zanim wysiedli z samochodu, Korotkow uprzedził:

– Zaraz pana poinstruuje i proszę, by postępował pan zgodnie z moimi wskazówkami. Niewykluczone, że pańska lokatorka miała współnika, który wciąż może znajdować się w mieszkaniu.

– W takim razie nie idę – zdecydowanie oświadczył właściciel. – Nie jestem poszukiwaczem przygód. Dziękuję uprzejmie.

– Niech pan zrozumie – łagodnie powiedziała Nastia – że jeżeli współnik tam jest, nie otworzy drzwi nikomu oprócz pana. Pan jest właścicielem mieszkania i ma pan pełne prawo tam wejść.

– Niech on – kierowca ruchem głowy wskazał Korotkova – powie, że jest właścicielem. Wam płacą za to, że ryzykujecie głowę, mnie nie.

– Czy w drzwiach jest wizjer?

– No pewnie.

– Widzi pan. A może ten człowiek, który tam jest, zna pana?

– Jak może mnie znać? – oburzył się kierowca. – Ja się nie zadaję ze złodziejami,

nie mam takich znajomości.

– Spotkał się pan z Anną, żeby przekazać jej klucze i wziąć pieniądze?

– Oczywiście.

– Gdzie i kiedy to było?

– Przyjechała do firmy.

– Weszła do budynku?

– Nie, umówiliśmy się na zewnątrz. Miałem o trzeciej zawieźć szefa na negocjacje i powiedziałem Annie, żeby przysłała między wpół do trzeciej a trzecią, będę czekał w samochodzie na ulicy, przed wejściem. No i przysłała. Dała mi pieniądze za miesiąc z góry i wzięła klucz.

– Wysiadł pan z wozu, kiedy się zjawiała?

– Wysiadłem. To jakoś głupio, ja siedzę, a ona stoi zgięta wpół, jest wysoka jak nie wiem co.

– No widzi pan – powtórzył Korotkow – to znaczy, że ten, kto z nią był, mógł pana widzieć.

– Ale nie było z nią nikogo! Przyszła sama.

– To pan tak myśli. W rzeczywistości mogła zabrać ze sobą współnika, tyle że z jakichś powodów tamten nie chciał podchodzić bliżej.

Korotkow starał się argumentować przekonująco, gdyż namówienie właściciela, by wszedł na górę, było absolutnie konieczne. Oczywiście, sądząc z tego, kiedy Anna wynajęła mieszkanie, można by przyjąć, że zamierzała spotykać się tutaj z Docenką, ale kto wie, czy Parygin istotnie nie był jej dawnym znajomym. Z drugiej strony, nie sposób też całkowicie wykluczyć, iż mieszkanie zostało wynajęte z jego powodu. Mógł także po prostu być z nią w tamtej chwili, z wielu różnych przyczyn... Jeśli Jewgienij Iljicz Parygin jest tym, za kogo go biorą, z pewnością musi być bardzo ostrożny. Nie mogą ryzykować.

– No dobrze – poddał się w końcu chłopak – kurde, przekonaliście mnie. Mam zadzwonić do drzwi, tak? I co dalej?

– Jeżeli nikt nie otworzy, zadzwoni pan jeszcze raz i zacznie głośno wołać Annę. I koniecznie musi pan powiedzieć, kim pan jest. Jeśli ktoś tam będzie, powinien być pewien, że to pan i że przyszedł pan z powodu jakiejś błahostki, na przykład, chce pan wziąć coś ze swoich rzeczy.

– A jeśli ktoś otworzy?

– Postąpi pan tak samo. Przedstawi się pan, zapyta, gdzie jest Anna, wyjaśni, że chce pan coś wziąć z domu. Jeżeli pana nie wpuści, proszę nie nalegać, tylko spytać, kiedy Anna wróci, i poprosić, żeby do pana zadzwoniła. Jeżeli wpuści, niech pan weźmie pierwszą lepszą rzecz, jaka wpadnie panu w ręce, i zaraz wyjdzie. To wszystko.

– Jak to wszystko? – chłopak osłupiał. – A państwo? Mówiliście przecież, że chcecie zobaczyć skradzione rzeczy.

– Nie będziemy ich przecież oglądać w obecności współnika. – Korotkow uśmiechnął się pobłaźliwie. – To by już raczej przypominało zatrzymanie, a przy zatrzymaniach wie pan, jak bywa? Stawianie oporu, awantura, szyby leca, meble połamane. Nie chcemy narażać pana na straty.

Ten argument przemówił do właściciela mieszkania i od razu lepiej go nastawił wobec funkcjonariuszy wydziału kryminalnego.

Weszli do klatki schodowej, gdzie Korotkow zatrzymał się.

– Ja i Anastazja pójdziemy schodami, a pan niech odczeka trzy minuty i wjedzie windą. Proszę się zachowywać naturalnie, nie starać się poruszać cicho. Pan jest gospodarzem, idzie pan do własnego mieszkania, przed nikim się pan nie chowa, nikogo pan nie ukrywa. Nie musi się pan skradać. Jasne?

Korotkow i Nastia szli schodami. Na właściwym piętrze rozejrzeli się w poszukiwaniu dogodnego miejsca. Nie zamierzali wdzierać się do mieszkania, ale w razie jakichś nieprzewidzianych okoliczności powinni móc w porę przyjść z pomocą właścicielowi. Zaszumiała winda, drzwi się rozsunęły i młody kierowca wysiadł. Minę miał niepewną i wystraszoną. Rozejrzał się, usiłując dostrzec Korotkova. Jura zrobił krok do przodu i znalazł się w polu widzenia chłopaka. Zachęcającym gestem dodał mu odwagi – no już, dzwoni do drzwi, nic się nie bój.

Na pierwszy dzwonek nikt nie zareagował. Tak samo na drugi, dłuższy.

– Aniu! – krzyknął głośno chłopak, szarpiąc za klamkę.

– Aniu, jesteś w domu? To ja, Giennadij. Otwórz!

Cisza.

– Aniuta, słyszysz? Otwórz, jeżeli jesteś w domu, muszę wziąć kurtkę. Aniu!

Nacisnął dzwonek jeszcze parę razy, ale z mieszkania nie dobiegł najlżejszy szmer. Korotkow ostrożnie wysunął się z ukrycia i na migi pokazał Giennadijowi, żeby otworzył drzwi swoim kluczem.

– Aniu, otwieram! Jeżeli nie jesteś sama, przymknij drzwi do pokoju, nie będę tam wchodził, wezmę tylko kurtkę z wieszaka. Słyszysz, Aniuta? Wchodzę!

Jeszcze raz nacisnął dzwonek. Najwidoczniej zdołał wziąć się w garść, gdyż przysunął usta do dziurki od klucza i wrzasnął dzikim głosem:

– Ostatnie uprzedzenie przed szturmem! Anka! Chowaj faceta pod koldrę, wchodzę!

Korotkow mrugnął do Nasti i podniósł kciuk w górę, co miało być wyrazem uznania dla talentów aktorskich Giennadija. Zazgrzytał otwierany zamek, skrzypnęły drzwi, po czym właściciel ostrożnie wszedł do mieszkania. Korotkow czekał w napięciu, gotów w każdej chwili rzucić się na pomoc. Ale nic się nie wydarzyło. Giennadij wyszedł, trzymając w ręku lekką ciemną kurtkę, i zatrasnął drzwi. Już otwierał usta, żeby coś powiedzieć, ale Nastia szybko przyłożyła palec do warg i pokazała na windę. Kiedy drzwi się rozsunęły, wszyscy troje weszli do kabiny.

– Nikogo tam nie ma – poinformował ich Giennadij z wyraźną ulgą.

– Jest pan pewien?

– Absolutnie. Drzwi do pokoju były otwarte, do łazienki także. Wszystko widać. Kuchnia też jest pusta. A poza tym w przedpokoju nie ma cudzych ubrań ani butów.

– Jedziemy z powrotem – zarządził Jura, kiedy drzwi windy otworzyły się na parterze. – Wejdziemy wszyscy razem. Jeżeli w tym czasie ktoś się pojawi, działamy zgodnie z obowiązującą instrukcją. Pan wstąpił po kurtkę, my – pańscy znajomi – jesteśmy z panem.

Giennadij chyba zasmakował w pracy operacyjnej, gdyż bez sprzeciwów zgodził się kontynuować eksperyment. Wrócili do mieszkania.

Korotkow zajrzał do kuchni i do łazienki, Nastia szybko zlustrowała pokój.

– Mężczyzna – z satysfakcją stwierdził Jurij. – Nieświeża męska koszula, zdecydowanie mniejszy rozmiar niż Anny. I przybory do golenia. A co u ciebie, Asiu?

– Jakiś sprzęt elektroniczny. Giena, czy to pana?

Giennadij spojrział na stojące w kącie futerały i przecząco pokręcił głową.

– Nie, pierwszy raz je widzę. Są kradzione? Właśnie tego szukaliście?

– Tego też – odparła Nastia bez mrugnięcia okiem.

– Może to własność Ani?

– Może. Jura, zobacz z łaski swojej, co to takiego, ja się na tym nie znam.

Korotkow zręcznie otworzył futerały.

– Zobaczmy, co tu mamy... Kamera, ale jakaś wymyślna, z bajerami, nigdy takiej nie widziałem. Co to za urządzenie? A, wiem! To nasadka do robienia zdjęć w nocy, ale jakiejś niezwyklej konstrukcji. A tutaj? Aha, noktowizor.

Nastia denerwowała się, wydawało jej się, że już za długo przebywają w mieszkaniu i zostawiają zbyt wiele śladów.

– Giennadiju, proszę wziąć kawałek papieru i napisać do Anny kilka słów – poprosiła chłopaka.

– Do Anny? – zdumiał się. – Przecież mówiliście, że ona nie żyje.

– Ale skąd pan miałby o tym wiedzieć? – odparła Nastia.

– Przyszedł pan do swojego mieszkania, nie zastał lokatorki, wziął kurtkę, więc – to zupełnie naturalne – zostawił jej karteczkę, żeby nie myślała, że kurtkę ktoś ukradł. Najwyraźniej mieszka tu jakiś mężczyzna i na pewno się przestraszy, jeśli przyjdzie i stwierdzi, że pod jego nieobecność, ktoś tutaj był. Nie ma sensu go bez powodu niepokoić.

– Mogę przecież kurtkę z powrotem powiesić na wieszaku, nie jest mi potrzebna.

– A ślady? Giena, trzy osoby nie mogą przebywać i przemieszczać się w niewielkiej przestrzeni, nie pozostawiając śladów. Na pewno coś przesunęliśmy, poruszyliśmy. Przestępcy to ludzie uważni i ostrożni, zauważają takie rzeczy odruchowo.

Giennadij ze zrozumieniem kiwnął głową, wyjął z kieszeni notes i na wyrwanej z niego kartce nagryzmolił parę słów. Zostawiwszy notatkę na widocznym miejscu,

wszyscy opuścili mieszkanie, w którym spędziła ostatnie dni swego życia Anna Łazariewa.

*

– Co robimy? – zapytał Korotkow.

Z ulicy Mosfilmu Nastia i Jura pojechali na Szosę Szczełkowską, gdzie mieszkała Nastia. Na Pietrowkę nie było sensu wracać, dzień roboczy dawno się już skończył, jeśli przyjąć, że wywiadowcy mają jakiś określony wymiar czasu pracy.

– Nie wiem, Jurik, muszę się zastanowić. W ogóle to trzeba by chyba powiadomić szefów, bo sam przecież Parygina nie zgarniesz, a ze mnie marny pomocnik. Ja potrafię tylko myśleć, a i to, jak pokazały ostatnie dni, słabo mi wychodzi.

– Z Miszki też nie będę miał pożytku – ponuro skostatował Korotkow. – Parygin go zna, wie, jak wygląda. Może wziąć Kołę Siełujanowa?

– Noga go jeszcze boli – przypomniała Nastia.

– Racja, zapomniałem. No to Igora Lesnikowa. Nie bój się, Asiu, Parygin nam się nie wymknie, nie przeczuwa niebezpieczeństwa.

– Tak myślisz? – spytała Nastia z powątpiewaniem.

– Jestem pewien na sto procent. Pomyśl sama. Facet jest przekonany, że jego kontakty z Łazariewą nie wyszły na jaw, w milicji przesłuchano go jak przypadkowego przechodnia, i wypuszczono bez cienia wątpliwości, w chacie na ulicy Mosfilmu Parygin mieszka i trzyma drogi sprzęt, na pewno nigdzie nie uciekł, po prostu dokąś poszedł. Jest pewien, że znów wykręcił się sianem. Czy po zatrzymaniu wtedy, w nocy, został zrewidowany?

– Podobno tak.

– Miał przy sobie broń?

– Nie.

– No widzisz! – Korotkow podniósł palec. – Nawet broni nie nosi przy sobie. Czy poważny przestępca pozwoliłby sobie na taką lekkomyślność, wiedząc, że w każdej chwili może zostać zaskoczony? Nigdy w życiu. A więc Parygin nie spodziewa się żadnej wpadki.

– Albo nie jest poważnym przestępcą – uzupełniła Nastia.

– A kim, według ciebie? Niewinnym dziecięciem?

– Diabli go wiedzą! – rzuciła Anastazja ze złością. – W tej sprawie są same niespodzianki. Przykładny księgowy Nurbagandow okazał się kryminalistą Gadżijewem. Skromna sprzedawczyni gazet w środku nocy na niedokończonej budowie toczy z facetem walkę na śmierć i życie. Nawet tatuś...

Nie dokończyła, wyjęła papierosa, szcękniętą zapalniczką. Znów spazm rozpaczy ścisnęła ją za gardło i łzy napłynęły do oczu. Jura rozumiał, co się z nią dzieje, i starał się skierować rozmowę na bezpieczne tory.

– Jeżeli Parygin nie jest wytrawnym przestępcą, z jego zatrzymaniem nie będzie

problemu. Ech, gdyby tak mieszkał u siebie, można by mu wysłać wezwanie jako świadkowi w celu uzupełnienia zeznań w sprawie nocnego zajścia. Niby że chcemy go jeszcze raz wypytać, co wiedział, co słyszał, co zauważył. A tak z wezwania nici. Listu gończego za nim nie rozesłaliśmy. Wysłaliśmy za Łazariewą – i w rezultacie mamy trupa.

– Racja – przytaknęła Nastia – w tym wypadku będzie tak samo, tyle że nie zginie Parygin, ale któryś z naszych ludzi. Wiesz co, Jura, myślę, że nie powinniśmy Parygina zatrzymywać na ulicy Mosfilmu.

– Dlaczego?

– Bo tam otoczenie działa na jego korzyść. W tym mieszkaniu Parygin przez cały czas jest nastawiony psychicznie na wszelkiego rodzaju niespodzianki, przebywa w nim przecież nielegalnie, nie on je w końcu wynajmował i nie on umawiał się z właścicielem. A prawdziwej lokatorki nie ma, nie można się na nią powołać. Facet jest stale w napięciu, w oczekiwaniu, nie uda nam się go zaskoczyć. Myślę, że trzeba go zwabić do jego własnego mieszkania, tego drugiego. Jeżeli intuicja cię nie zawodzi i Parygin istotnie nie spodziewa się żadnych kłopotów, to bez obaw pojawi się tam, gdzie mieszka teraz ta jego znajoma czy krewna.

– Rozwiń tę myśl – zażądał Korotkow – tylko rób to powoli, bo nie mogę za tobą nadążyć.

– Rozumiesz, Jurik, o co chodzi: jeżeli człowiek prowadzi tego rodzaju życie, że potrzebna mu jest stale zapasowa baza, to nikogo w niej nie umieści, gdyż w każdej chwili może mu ona być potrzebna. A więc skoro nagle pojawiają się tam mieszkańcy, musimy wyciągnąć dwa wnioski. Pierwszy: w najbliższej przyszłości Parygin nie przewiduje konieczności ukrywania się, gdyż prowadzi spokojne, normalne życie przykładowego obywatela. Jeżeli tak jest, musimy uznać, że wszystkie nasze koncepcje są głupie i bezpodstawne, Parygin nie jest zamieszany w żadną sprawę kryminalną, nie ma nic wspólnego z zabójstwem obywatela Szepielowa pół roku temu, był tylko przypadkowym świadkiem, a z Anną łączył go po prostu zwyczajny romans, on zaś – jako prawdziwy dżentelmen – nie mógł późną nocą nie odprowadzić damy swego serca na miejsce podejrzanego spotkania. I drugi wniosek: jeżeli jednak mamy rację i Parygin jest w to wszystko zamieszany, to znaczy, że istnieje jakiś bardzo ważki powód, dla którego ulokował tę kobietę w swojej rezerwowej bazie. Na przykład, owa kobieta nie jest mu obojętna, więc on czuje się w obowiązku zapewnić jej dach nad głową. To właśnie powinniśmy dobrze rozegrać. Jeżeli ona poprosi o pomoc, Parygin oczywiście się pojawi. I nie będzie się wtedy zastanawiał, czy milicja powiązała go z Łazariewą, lecz nad tym, że tej kobiecie grozi niebezpieczeństwo. Incydent z jego zatrzymaniem pokazuje wyraźnie, że facet doskonale panuje nad sobą i nie okazuje niepotrzebnej agresji, kiedy liczy na to, że może mu się uda jakoś wykręcić. Nie próbował przecież wyrwać się z okrażenia, nie uciekał z miejsca zajścia, nie stawiał się milicjantom, tylko szybko zorientował się w sytuacji, przyłączył się do Iriszki i Lili

i zachowywał się absolutnie normalnie, jak zwykły przypadkowy przechodzień, który rozumie specyfikę milicyjnych działań i nie ma żadnych powodów do obaw. Tak samo może się zachować, idąc do kobiety, która u niego mieszka i zwróciła się doń o pomoc. Kiedy natknie się przed domem na milicjantów, nie sięgnie po pistolet, lecz będzie się starał załatwić sprawę spokojnie, nie wzbudzając niepotrzebnych podejrzeń. Jeżeli natomiast zechcemy przeprowadzić akcję na ulicy Mosfilmu, od razu zrozumie, że to koniec, i będzie się zażarcie bronił do ostatniego naboju. Do tego mieszkania przyprowadziła go Anna, a właśnie kontakty z nią Parygin przede wszystkim stara się ukryć. Zatrzymanie go na ulicy Mosfilmu może się zamienić w krwawą jatkę.

– Główka pracuje – pochwalił Nastię Jura. – Nie bądź dla siebie taka surowa, koleżanko, całkiem dobrze potrafisz myśleć. Pewnie masz też już plan, jak go stamtąd wyciągnąć.

– Boże, nic prostszego! Kiedy ludzie nie płacą rachunków za telefon, wyłączają się go. A wiesz, co się dzieje, kiedy lokatorzy nie płacą za prąd?

– Chyba nic. Bo co można zrobić? Telefon podłącza się indywidualnie, a elektryczność nie. Trudno z powodu jednego niesolidnego odbiorcy pozbawiać prądu cały dom czy nawet kwartał.

– Bardzo ludzkie podejście. Ale naprawdę przychodzą monterzy z rejonu energetycznego i przecinają przewody prowadzące do mieszkania.

– Niemożliwe! – zachnął się Jura. – Coś ty! Po prostu przychodzą sobie i jakby nigdy nic przecinają przewody?

– Wyobraź sobie. W naszej klatce odcięto w ten sposób prąd w dwóch mieszkaniach. Kobieta, z którą dzisiaj rozmawiałam przez telefon, przełknęła kłamstwo na temat nieopłaconych rachunków, a więc musi tam mieszkać od niedawna, inaczej za telefon płaciłaby sama i wiedziałaby, czy mówię prawdę, czy nie. Tymczasem ona nawet nie wie, gdzie leżą rachunki. Prawdopodobnie kupi również bajeczkę dotyczącą energii elektrycznej, skoro sama za nią nie płaciła. Bez telefonu żyć trudno, ale można. Spróbuj jednak żyć bez światła, i to zimą, kiedy późno robi się jasno i wcześniej – ciemno. Lodówka przestaje działać, w łazience nic nie widać, telewizji nie obejrzysz. Dłużej niż dwie godziny nasza paniusia tego nie wytrzyma i jeżeli pozostaje w jakimś kontakcie z Paryginem, z pewnością zażąda, żeby przyjechał, naprawił przewody i załatwił sprawę z rejonem energetycznym. Jeżeli rzeczywiście nie jest mu obojętna, muszą się ze sobą kontaktować, zwłaszcza gdy dzieje się coś nieprzewidzianego. Jeśli nawet ona nie zna numeru jego telefonu, on z pewnością do niej dzwoni. Rozumiesz?

– No. Jutro z samego rana pojedziemy i wszystko odłączymy. Ale istnieje niebezpieczeństwo, że babka zadzwoni do rejonu i dowie się, że rachunki są w porządku i żadnych monterów do niej nie wysłano. Co wtedy?

– A niech sobie dzwoni. – Nastia wzruszyła ramionami.

– Od tego, że dowie się prawdy, nic się nie zmieni, światła dalej nie będzie.

Możesz mi wierzyć, rejonowcy energetyczne latami zwlekają z odłączeniem, nie kwapią się do wysyłania fachowców, a o podłączenie w ogóle nie można się doprosić. Tym bardziej że u naszej delikwentki przetrną przewody nie ludzie z rejonu, tylko jacyś samozwańcy. Zaręczam ci, powiedzą jej, że to nie ich sprawa i żeby wezwała elektryka z administracji. Powtarzam: ona tam mieszka od niedawna, telefonu do administracji na pewno nie zna, nie wie nawet, gdzie ta administracja się mieści. A na podstawie dzisiejszej rozmowy z nią mogę ci powiedzieć, że na pewno nie należy do osób, które potrafią skutecznie załatwić podobne sprawy. Nie przyjdzie jej nawet do głowy, żeby sięgać przy telefonie i obdzwonić różne informacje, zdobyć potrzebne numery i zrobić z nich właściwy użytek. Nie, będzie utyskiwać, rwać włosy z głowy, lamentować i czekać, kiedy Parygin się odezwie, żeby mu zrobić historyczną awanturę i zażądać jego przyjazdu. Są na świecie dwie kategorie ludzi: ci, którzy wolą rozwiązywać problemy samodzielnie, i ci, którzy się przyzwyczaili do tego, że ich problemy rozwiązują za nich inni. Dama, która zajmuje teraz mieszkanie naszego drogiego Jewgienija Iljicza, niewątpliwie należy do tej drugiej kategorii.

– A ty, oczywiście, do pierwszej – nie wytrzymał Korotkow. – Aśka, gdybyś nie była taka do bólu samodzielna i nie borykała się dumnie ze swoimi problemami w samotności, sprawy nie zaszłyby tak daleko. Gdybyś od razu opowiedziała mi o kontaktach Bagluka z Leonidem Pietrowiczem, wydostałbym twoją Łazariewą spod ziemi zaraz po tym, jak się pojawiła w redakcji, i nie zawracalibyśmy sobie teraz głowy Paryginem.

– I Anna by żyła – dodała cicho Nastia. – Masz rację, Jura, to ja jestem wszystkiemu winna. Jeszcze jedna śmierć obciąża moje sumienie.

– A niech cię – rozłościł się Korotkow – słowa ci już nie można powiedzieć, bo od razu zaczynasz mieć głupie myśli. Bierz przykład ze mnie, ja zawsze myślę pozytywnie. Udało mi się przeżyć jeszcze jeden dzień, rodzina w porządku – no i chwała Bogu. Na przykład teraz: dowiozłem cię do domu, samochód się nie popsuł, nie mieliśmy wypadku – to wielki sukces i trzeba się z niego cieszyć. Los nie lubi, Asieńko, kiedy człowiek nie czuje dlań wdzięczności, pamiętaj o tym.

– Zapamiętam.

Uzgodnili, że się spotkają nazajutrz wcześniej rano, Jura odjechał, a Nastia wreszcie znalazła się w domu. W lodówce były jeszcze zapasy przywiezione od rodziców. Anastazja pogrzebała chwilę widelcem w słoiku z sałatką i poczuła, że nie może nic przełknąć.

– Trzeba się zmusić, inaczej zabraknie mi sił – odezwała się na głos – a siły są mi potrzebne, żeby doprowadzić sprawę do końca. Jura ma rację, nie wolno być niewdzięczną. Oby się okazało, że tatuś... nie, nie chcę tego wypowiadać, i czuję taki ból, że aż mi trudno oddychać. Ale przynajmniej żyje. Żyje. I za to trzeba być wdzięczną losowi. Podziękować mu.

*

Cały dzień poświęcił Parygin na bieganię związaną ze zdobywaniem papierków potrzebnych do sprzedaży swego drugiego mieszkania. Najtrudniejszą sprawą była jego wycena, ale i to załatwił. W urzędowym piśmie, wydanym przez eksperta od nieruchomości, widniała suma „sześćdziesiąt dwa tysiące dolarów” – mając ten paperek w ręku, można było przynajmniej zacząć negocjacje z wierzycielami. Niech sami zdecydują, czy wolą dostać gotówkę, czy mieszkanie.

Przyszło mu na myśl, że może teraz warto byłoby podjechać tam, gdzie wierzyciele siedzą w samochodzie, i pogadać z nimi już dzisiaj, żeby jutro od samego rana zacząć szukać nabywcy, jeżeli będą nalegać na spłatę długu w gotówce. Ale nie miał na to siły. Śmierć Anny, bezsenna noc, spędzona na komisariacie, całodzienna krzątanina – wszystko to nagle go obezwładniło. Dobrze, zdecydował Jewgienij Iljicz, wierzyciele mogą poczekać do rana, problem w każdym razie jest rozwiązany. Jedyne, co musi zrobić dzisiaj, to zadzwonić do Lolity i uspokoić ją, niech przynajmniej ona się nie denerwuje.

Kiedy Parygin wszedł do mieszkania przy ulicy Mosfilmu, od razu wyczuł, że ktoś tu był. Wprawne oko natychmiast zarejestrowało ledwie dostrzegalne oznaki cudzej obecności, i sprężył się wewnątrz. W następnej chwili uświadomił sobie, że na wieszaku w przedpokoju brakuje brązowej kurtki. „Włamanie!” – błysnęła mu myśl i rzucił się do pokoju, gdzie stały futerały z aparatami. Wszystko było na miejscu, a na małym stoliku leżała jakaś kartka.

Aniuta, wpadłem po kurtkę, nie denerwuj się, to nie złodzieje. Serdecznie pozdrawiam.

Giena

Parygin odetchnął. Udało się. Może to jego anioł stróż nad nim czuwa. Przypomniał sobie, że Anna, wspominając o właścicielu mieszkania, rzeczywiście nazwała go Gieną. Ale karteczka adresowana do zmarłej wywarła na nim nieprzyjemne wrażenie – jakby nagle zobaczył widmo. Anieczki już nie ma, a ludzie wciąż jeszcze uważają ją za żywą, myślą o niej jak o osobie żyjącej i piszą do niej w nadziei, że odbierze wiadomość.

Podszedł do telefonu i wybrał numer Lolity. Długo nikt się nie zgłaszał i Parygin pomyślał, że Lola pewnie machnęła ręką na wszystkie jego polecenia i zakazy i wyszła z domu; skoro wierzyciele i tak ją namierzyli – dalsze ukrywanie się nie miało sensu. Chciał już odłożyć słuchawkę, kiedy odezwał się w niej głos siedmioletniego Sierioży:

- Halo!
- Sieriożeńka, tu stryjek Żenia. Gdzie jest mama?
- W łazience. Myje się.
- Powtórz jej, że wszystko w porządku, pieniądze będą i jutro wszystko się

wreszcie skończy. Nie zapomnisz?

– Jasne, że nie. Stryjku, to znaczy, że jutro wrócimy do domu?

– Tak, synku, jutro, a najdalej pojutrze.

– Hura! – wykrzyknął malec i rzucił słuchawkę, z radości zapominając się pożegnać.

Parygin czuł ulgę, że wszystko udało się pomyślnie załatwić i na dodatek nie musiał rozmawiać z Lolitą. Na pewno zaczęłyby pleść jakieś głupstwa, a on z grzeczności usiłowałby podtrzymywać idiotyczną, bezsensowną rozmowę. Zdał sobie nagle sprawę, że teraz, kiedy nie ma obok Anny, prawie wszystko wydaje mu się bez sensu. Czyżby zdążył się do niej przywiązać? Nie spodziewał się po sobie takiej słabości.

Nawet przez myśl mu nie przeszło, że to nie słabość, lecz normalna ludzka reakcja na śmierć bliskiego człowieka. Pewnie dlatego, że nikogo naprawdę bliskiego nigdy nie miał – nikogo oprócz brata. Ale brat to brat, przyjaciel dzieciństwa, rodzina, więc smutek odczuwany po jego śmierci nie wydawał się Paryginowi niczym dziwnym, wszyscy inni ludzie jednak byli dlań po prostu obcy.

*

Starszy lejtnant milicji Tiurin nie był rdzennym moskwianinem. Urodził się w podmoskiewskiej wsi i mieszkał tam, póki nie otrzymał powołania do wojska. Ale ani służba wojskowa, ani długie lata, spędzone w stolicy, nie zdołały wykorzenić z Tiurina fundamentalnego przekonania: na moim podwórku musi być porządek. Inni niech robią, jak chcą, ale w moim ogródku nie będą rosły chwasty, a polana mają leżeć ułożone w równiutki sąg. Pewnie dlatego właśnie lejtnantowi tak odpowiadała jego praca, że o żadnej innej nawet nie pomyślał. Tiurin był dzielnicowym. Jednym z najlepszych.

Na jego „podwórku”, czyli na podległym mu terenie, panował wzorowy porządek. Tiurin, mężczyzna krzepki i energiczny, odwiedzał mieszkańców, nie żałował czasu na długie pogawędki z gospodyniami i emerytami, nauczycielami ze szkoły i lekarzami z przychodni. Na jego terenie znajdował się też punkt pierwszej pomocy, gdzie dzielnicowy zachodził codziennie. Bo jakżeby inaczej? Wstępował, rozmawiał, dowiadywał się, kto i z jakimi urazami się zgłaszał, i w te pędy biegł do uszkodzonego, żeby wyjaśnić, czy naprawdę rozbił sobie głowę przy upadku ze schodów, czy też ktoś mu w tym dopomógł. Maltretowanym przez mężów kobietom, choćby nie wiem jak starały się osłaniać swoich ślubnych, nigdy nie udało się Tiurina oszukać. Każda rodzina „z problemami” pozostawała pod jego czujną i nieustającą kontrolą, a jeśli były w niej dzieci, lejtnant stale naprzykrzał się inspektorom do spraw zapobiegania przestępczości nieletnich, przypominając im, by ani na chwilę nie spuszczały z oka tych dzieciaków. Słowem, swoją pracę Tiurin znał i lubił, chociaż w dzisiejszych czasach brzmi to nader dziwnie.

Wczoraj, obchodząc swój teren, znów zobaczył czarnego forda scorpio, zaparkowanego pod domem numer dwanaście. Ten wóz widział już przedwczoraj wieczorem w tym samym miejscu, i też siedziało w nim trzech mężczyzn. Tiurin postanowił na razie nie podejmować żadnych kroków, tylko sprawdzić ulicę jeszcze raz rano. Jeśli samochód z kierowcą i dwoma pasażerami nadal będzie stał, on zacznie działać. Siedzenie w aucie oczywiście nie jest zabronione, zwłaszcza w dozwolonym miejscu, ale on musi wiedzieć, po co ci ludzie sterczą tu tyle czasu, od tego jest dzielnicowym, żeby pilnować swego rewiru.

Dziś rano ford wciąż stał i Tiurin uznał, że pora działać. Zbyt to wszystko przypominało zasadzkę, i to nie milicyjną, lecz bandycką. Stałe trasy chłopaków ze służby patrolowej dobrze znał, a sam był zbyt doświadczonym funkcjonariuszem, by w pojedynkę porywać się na trzech ostrych facetów, siedzących w drogim zagranicznym wozie. Zauważywszy samochód z daleka, nie podchodził bliżej, tylko skręcił za róg i wolnym krokiem zaczął spacerować po zaułku, czekając, aż pojawi się patrol. Według jego rachuby, powinno się to stać za dziesięć minut.

*

Rano Parygin z niedowierzaniem przyłapał się na myśli, co właściwie robi w tym mieszkaniu. Dlaczego nie wraca do domu? Jest już przecież prawie pewien, że jego stała baza jest zupełnie bezpieczna.

A więc postanowione, dziś postara się załatwić do końca sprawę z wierzycielami brata, wróci do domu, wyśpi się jak należy, a pojutrze stawi się w pracy. I już. Żadnych więcej głupstw. Bez zapasowego mieszkania i tak nie może się podjąć nowych zleceń, a pieniędzy dużo nie zgromadził. Zlecenia zdarzały się nieczęsto, i choć kazał sobie słono płacić, to za swoje honoraria po prostu żył – zarobki zwykłego inżyniera nie są nadzwyczajne. No, jeszcze coś tam odkładał na starość, na wypadek choroby. Tylko raz udało mu się zgromadzić dużą sumę i za te pieniądze kupił mieszkanie. To właśnie, które dzisiaj zamierzał sprzedać.

Zresztą czy w ogóle będą jakieś nowe zlecenia? Bardzo wątpliwe. Po pierwsze, to, że ostatnie zostało odwołane, niedwuznacznie świadczy o fakcie, że zainteresowane osoby znalazły inny sposób rozwiązywania swoich problemów, albo tańszy, albo szybszy i prostszy. Natomiast tacy zawodowcy wysokiej klasy, jak Parygin, preferujący skomplikowany system konspiracji i za gwarancję bezpieczeństwa pobierający wysokie honoraria, stanowią nikomu niepotrzebny relikwyt przeszłości, coś w rodzaju ciężkiego dębowego kredensu w nowoczesnym mieszkaniu, który jest wielki, zabiera miejsce i wymaga stałego zachodu, gdyż rzeźbione ozdóbki nie tak łatwo odkurzyć i trzeba dobrze się namachać ścierką, by dotrzeć do wszystkich zakamarków. Po drugie, w kręgu zainteresowanych informacje rozchodzą się błyskawicznie, i wkrótce wszyscy będą wiedzieli o tym, że człowiek, który zlecił Zotowowi wykonanie zadania, a potem zlecenie odwołał, nie zmarł naturalną

śmiercią. I nikt nie będzie się zagłębiał w to, dlaczego tak się stało, lecz wyciągnie najprostszy wniosek: od Zotowa lepiej trzymać się z daleka.

A więc postanowione. Zaraz pojedzie do Lolity, i pogada z ludźmi wierzycieli, a potem szybko zamknie całą tę historię. Historię własnego życia przestępczego także. Jeśli mistrz sportu potrafi w porę się wycofać, pozostając niepokonanym, to zawodowy killer też powinien umieć zakończyć swoją karierę we właściwym czasie, jeśli chce cieszyć się wolnością.

Parygin wyszedł z domu przy ulicy Mosfilmu, wszedł do swego samochodu, który jeszcze wczoraj wziął z garażu, gdyż inaczej w żadnym wypadku nie zdążyłby załatwić wszystkich potrzebnych papierków, i pojechał do Lolity. Pod domem stał tylko jeden wóz – czarny ford scorpio, i Jewgienij Iljicz od razu zrozumiał, że ludzie w aucie pilnują Loli i czekają na forszę. Zaparkował piętnaście metrów od forda, zamknął samochód, podszedł do tamtych i zastukał w okno. Szyba jęła się powoli opuszczać i w tej samej chwili zaczęło się dziać coś dziwnego. Zza rogu wyszli ludzie w milicyjnych mundurach, kaskach i kamizelkach kuloodpornych i szybkim, pewnym krokiem ruszyli w stronę czarnego forda.

„To po mnie” – przemknęło Paryginowi przez głowę. Gdyby miał jeszcze choć kilka sekund, z pewnością wziąłby się w garść, opanował i zachował jak należy. Ta taktyka nieraz zdawała egzamin. Ale Jewgienij Iljicz nie miał nawet jednej sekundy na ocenę sytuacji, jako że ludzie siedzący w fordzie najwyraźniej preferowali inną taktykę. I Parygin znalazł się dokładnie na linii ognia.

Pierwsza kula trafiła go w bok, druga w brzuch.

*

O dziesiątej rano kapitan Docenko stawiał się na całodobowym dyżurze, a pięć minut później radio odezwało się ochrypłym głosem:

– Grupa dyżurna! Wyjazd!

– Co się dzieje? – zapytał Michaił, szybko zapinając paski kabury.

– Strzelanina. Komuś z samego rana nie spodobał się zwykły patrol – poinformował dyżurny.

– Są ofiary?

– Są.

Na miejsce jechali długo mimo włączonej syreny i koguta na dachu. Jezdnie były mokre i śliskie, kierowcy musieli zwalniać, więc wszędzie tworzyły się korki, które nie zawsze udawało się wyminąć. Funkcjonariuszy drogówki w Moskwie stale brakowało, a ludzie za kółkiem nie uważali za stosowne przestrzegać przepisów i nie blokować lewego pasa, gdyż także się śpieszyli i własne sprawy uważali za najważniejsze na świecie.

Na miejscu zajścia stały już radiowozy z komisariatu, dwie karetki pogotowia i ambulans reanimacyjny. Na chodniku, oparty o ścianę budynku, siedział sierżant w

kamizelce kuloodpornej, a pochylony nad nim lekarz opatrywał mu ranę na nodze. Jeszcze jeden funkcjonariusz z patrolu razem z dwoma lekarzami wydobywali z czarnego forda krzyczącego z bólu mężczyznę.

– Ilu poszkodowanych? – zapytał Docenko nieznanego majora, który wydawał rozkazy.

– Pięć osób. Jedna lekko, dwie ciężko, dwie już zabrano, ale chyba się nie wygrzebią. Jeden z tej dwójki to nasz dzielnicowy Tiurin. Szkoda go, fajny był z niego chłop. Chłopcy z patrolu byli w kamizelkach, nie ucierpieli, jednego tylko drasnęło w nogę, ale dzielnicowy zarobił kulkę.

Docenko, już zorientowany w sytuacji, podszedł do karetki reanimacyjnej. Powiedziano mu tam, że ekipa udziela pomocy człowiekowi, którego związek z zajściem jest na razie niejasny. Nie używał broni, stał koło samochodu, z którego przestępcy otworzyli ogień do milicjantów.

W ambulansie Docenko zobaczył człowieka na noszach, kroplówkę, mnóstwo aparatury. Lekarka odwróciła głowę i pytająco spojrzała na Michaiła.

– Jest przytomny? – zapytał Docenko.

– Tak. Chce pan z nim rozmawiać?

– Owszem. Ale najpierw z panią.

Wyprostowała się z wysiłkiem i dopiero wtedy Michaił zobaczył, że jest niemłoda i tęga. Podał jej rękę i pomógł wsiąść.

– Co z nim?

– Stan ciężki. Boję się, że jazda mu zaszkodzi. To i owo już mu zaaplikowałam, ale sam pan wie, że niewiele mamy. Wolałabym trochę poczekać, może stan się trochę ustabilizuje, a wtedy można go zawieźć do szpitala.

– Jak długo mogę z nim rozmawiać?

– No cóż – lekarka uśmiechnęła się smutno – w takiej sytuacji dobrzy lekarze w ogóle nie pozwalają niepokoić chorego. Ale ja jestem pewnie złym lekarzem. Pięć lat temu zginęli mój syn i synowa, zabójców dotąd nie znaleziono, myślę, że teraz już nawet ich nie szukają. Syn zginął na miejscu, a synowa żyła jeszcze trzy godziny, była przytomna, ale lekarze nie dopuścili do niej śledczego, bali się wstrząsu, mieli nadzieję, że uda się ją uratować. Nie udało się. A przecież mogła coś powiedzieć... Dla lekarza najważniejsze jest życie chorego, dla milicji ujęcie przestępcy. Więc każdy patrzy swego. – Machnięciem ręki wskazała Michaiłowi drzwi karetki. – Niech pan spróbuje z nim pogadać. Tylko proszę uważać, żeby się nie ruszał. W razie czego proszę mnie zawołać, będę tutaj stała. Zapalę sobie.

Docenko zgiął się wpół i wszedł do ambulansu. Spojrzawszy na szarą, zapadłą twarz mężczyzny leżącego na noszach, nie uwierzył własnym oczom. Wczoraj cały dzień co chwila wpatrywał się w fotografię tego człowieka, przesłaną przez biuro ewidencji ludności. „To niemożliwe” – pomyślał, ale ledwie zauważalne drgnienie mięśni twarzy rannego upewniło go, że się nie myli. Tamten też go poznał.

– Jewgienij Iljicz? – ostrożnie zapytał Michaił.

– Witam, kapitanie. Pamiętasz, jak się nazywam... No, no... Ja też cię nie zapomniałem...

Parygin mówił z trudem, ledwie poruszając wargami, bardzo cicho, ale wyraźnie.

– Co się stało, Jewgieniju Iljiczu? Jak pan się tu znalazł?

– Przechodziłem obok. Nie kłamię, kapitanie. Na drugim piętrze jest mieszkanie numer dziewiętnaście, a w nim kobieta z dzieckiem, moja bratowa. Szedłem do niej. A ci bandyci w fordzie jej pilnowali, była im winna pieniądze. Mam w kieszeni papiery, zamierzałem sprzedać mieszkanie, żeby mogła oddać dług. Nie zdążyłem załatwić... – Parygin umilkł i zamknął oczy.

– Jewgieniju Iljiczu! – spróbował zaniepokojony Docenko.

Powieki drgnęły, ale oczy pozostały zamknięte.

– Wiesz, kapitanie, za co nienawidzę glin? – zaszemrał cichym głosem Parygin.

– Domyślam się. Za co miałyby pan nas lubić? Uciekacie przed nami, a my was ścigamy. Więc nas nie kochacie.

– Nie, kapitanie, nie o to chodzi. Ścigacie nas, bo na tym polega wasza praca. To zrozumiałe. Wy macie swoją robotę, my swoją, każdy pilnuje własnego interesu. To w porządku.

– Więc o co chodzi?

– Dla was, gliniarzy, ludzie to mierzwa. Idzicie po trupach, byle tylko wygrać z nami w tę grę. Przejdziecie obok człowieka, wdeptacie go w ziemię, zgnoicie i nawet się za siebie nie obejrzyście. Gonicie za szczytnymi ideałami. A on zdycha w błocie. Właśnie za to was nienawidzę. Ania przez ciebie zginęła. Nigdy ci tego nie wybaczę.

– Jewgieniju Iljiczu, Ania zginęła na pańskich oczach, to pan zaprowadził ją na budowę, gdzie miała się spotkać ze Stojanowem. Pan, a nie ja.

– To znaczy, że nazywał się Stojanow? A imię?

– Grigorij Iwanowicz. To pan go nie znał?

– Nie. Mnie inaczej się przedstawił. Ale to się stało przez ciebie. Ty rzuciłeś Anię. Wykorzystałeś ją dla swoich celów i kopnąłeś jak brudną szmatę. A ona cię kochała. Gdybyś widział, jak rozpaczała po tobie, kapitanie! Życ jej się nie chciało. A ja ją znalazłem, pocieszyłem, odchuchałem, przywróciłem jej radość życia. Ty jesteś wszystkiemu winien. Gdybyś Ani nie rzucił, nigdy by się nie znalazła na tej budowie.

– Nie widzę związku. Proszę mi to wyjaśnić, Jewgieniju Iljiczu. Kim jest Stojanow? Po co Ania poszła na budowę?

– Zaczekaj, kapitanie, zmęczyłem się.

Parygin znów zamilkł na dłuższą chwilę, Michaiłowi wydawało się nawet, że przestał oddychać. Ale wargi rannego znów się poruszyły.

– Stojanow miał przy sobie pieniądze? – zapytał.

– Miał. I prawdziwe, i fałszywki.

– Skurwiel... Tak jak myślałem. Zapamiętaj nazwisko, kapitanie. Nurbagandow.

Zapamiętałeś?

– Tak. Znam to nazwisko.

– Stojanow dał na niego zlecenie.

– Panu?

– Nie, komuś innemu. Ale dowiedziałem się o tym. Chciałem wyciągnąć od niego forszę... dla Lolity. Nie udało się. Dlatego postanowiłem sprzedać mieszkanie. Chciałem jej pomóc.

– Szantażował go pan? – domyślił się Docenko.

– Nie, bawiłem się z nim w ciuciubabkę. – Niedobry uśmieszek wykrzywił wargi Parygina. – Ja i ty, kapitanie, gramy w różnych drużynach, i opowiadam ci wszystko tylko dlatego, żebyś nie mieszał w to Ani. Już ja znam wasze chwytaki, wszystko zwalacie na nieboszczyków, żeby żywym było lżej. Nie tykaj Ani, nie kalaj jej pamięci, proszę cię. Zostaw ją w spokoju. Dobra z niej była dziewczyna.

– Zabiła Stojanowa – sprzeciwił się Michał. – Milicjanci widzieli, jak spychała go w dół.

– Kłamstwo... Filmowałem, miałem kamerę, wszystko widziałem... Ania się tylko broniła. Nie chciał zapłacić...

Stan Parygina wyraźnie się pogarszał, ranny oddychał ciężko, urywanie.

– Zawołałam lekarza – powiedział Docenko.

– Nie warto. I tak z tego nie wyjdę... Daj słowo, że pomożesz Lolicie... Musi zwrócić dług, inaczej znowu kogoś na nią naślą... Ma przecież dziecko...

– Co trzeba zrobić?

– Oprócz niej nie mam żadnych krewnych, mieszkanie i tak ona odziedziczy, ale to dłuższa sprawa, wiem o tym... Daj jej ochronę, dopóki się nie rozliczy. Pogadaj z wierzycielami, niech poczekają, Lolita zwróci pieniądze, mieszkanie jest sporo warte...

– Dobrze, Jewgieniju Iljiczu, zrobię, co będę mógł.

– Dziękuję, kapitanie... Co za to chcesz? Mów, zaliczę dobry uczynek przed śmiercią.

Docenko chciał zapytać o tamto dawne zabójstwo, kiedy to Parygina zatrzymano z rozbitą twarzą i przetrąconą nogą, ale powiedział całkiem co innego:

– Dlaczego Ania szukała Bagluka?

– A więc wiesz... Bystry jesteś, kapitanie. Bagluk napisał artykuł... Pewnie słyszałeś?

– Słyszałem – potwierdził Docenko.

– Ze mną było dokładnie tak samo. Wdarli się do mieszkania, wyjęli kamerę, zaczęli mnie bić... Chcieli, żebym się przyznał do zabójstwa... Więc postanowiłem odnaleźć tego dziennikarza, żeby zapytać, co to za faceci. Może ty wiesz?

– Nie wiem. Sam chciałbym to wyjaśnić. A skąd pan się dowiedział, że z Mamontowem było tak samo, jak z panem?

– Domyśliłem się... Nie jestem głupszy od ciebie... Też umiem czytać. Dosyć, kapitanie, nie mogę więcej, wołaj lekarza...

Docenko wyskoczył z ambulansu i niemal siłą wepchnął do niego tęgą lekarkę. Sytuacja na zewnątrz tymczasem się zmieniła, obie karetki odjechały, a miejsce zajścia badali technicy. Michaił dostrzegł w pobliżu krępą sylwetkę znajomego śledczego, który deptał specjalistom po piętach. Trzymał w ręku blok i szybko notował przebieg i rezultaty oględzin. Michaił już miał do niego podejść, kiedy nagle drzwi ambulansu się otworzyły i wyjrzała z nich lekarka.

– Woła pana – rzuciła w stronę Docenki. Oddychała ciężko.

Docenko znów wszedł do środka.

– Jestem tutaj, Jewgieniju Iljiczu.

Parygin nie odezwał się, patrzył na niego w milczeniu.

– Chciał mi pan coś powiedzieć?

– Pamiętaj, kapitanie... – ledwie dosłyszalnie wyszeptał Parygin. – Męskie gry to rzecz poważna. Bywają ostre... bywają bezpardonowe... okrutne... ale powinny być uczciwe. Jeżeli grasz przeciwko mnie, to nasza sprawa, twoja i moja. Innych do tego nie mieszaj.

– Nie grałem przeciwko panu. Nie miałem okazji.

– Nie chodzi o mnie... Mówię tylko tak, dla przykładu... Nie wiem, przeciwko komu grałeś, kiedy Anię... kiedy z Anią... Ale nie miałeś prawa. Tak nie wolno, kapitanie. Była żywym człowiekiem, a ty kazałeś jej cierpieć... Nienawidzę cię.

– Trudno. Ale to pan kazał jej podjąć śmiertelne ryzyko. Nie jest pan lepszy ode mnie.

– Nie jestem. Takie samo ze mnie bydlę, jak i ty. Ale ja przynajmniej to zrozumiałem. A ty nie. Ania umarła szczęśliwa... dałem jej radość... a ty tylko rozpacz i łzy... Przeklęty glina!

To były jego ostatnie słowa, wypowiedziane ledwie dosłyszalnie, niemal szeptem, ale Docence się zdawało, że Parygin krzyczał. Lekarka siedziała obok, mierząc puls rannego i śledząc wskazania monitorów. W milczeniu dała Michaiłowi znak ruchem głowy, że to koniec.

– I tak by nie dojechał do szpitala – powiedziała z westchnieniem. – Cóż, przynajmniej pan z nim porozmawiał. Udało się panu czegoś dowiedzieć?

– Tak, dziękuję pani.

– Dlaczego tak do pana mówił? O co miał pretensje?

– O własne życie. I o śmierć chyba też.

Michaił wysiadł z ambulansu i przez chwilę patrzył na świat wokół jakby z wielkiego dystansu. Brudny, mokry, roztajały śnieg chlupał pod nogami. Na chodniku plamy krwi, technicy coś mierzą i zapisują, oznaczają miejsce nabojów i łusek, liczą dziurki po kulach na karoserii czarnego forda. Major z dzielnicy obejmuje płaczącą kobietę, to pewnie żona dzielnicowego, który zginął. Z tyłu, w karetce reanimacyjnej

– niemłoda kobieta, która straciła nie tylko syna i synową, ale i nadzieję na to, że przestępcy zostaną kiedykolwiek ujęci i ukarani. Obok niej – zmarły zabójca Jewgienij Parygin, którego ostatnie słowa były wyrazem nienawiści i goryczy.

Czyżby to właśnie było to życie, którym codziennie żyje on, zwykły młody chłopak, Misza Docenko? Błoto, krew, łzy, śmierć, nienawiść. Strzały i przekleństwa. Rozpacz i beznadzieja. I żadnej radości.

ROZDZIAŁ 19

Kiedys bardzo dawno Nastia Kamieńska sformułowała na własny użytek prawo, które nazwała „prawem grzybowej polany”. Praca, którą należało wykonać, by wykryć przestępstwo, jawiła się jako ogromna polana, pełna grzybów. Z pozoru wszystkie one wyglądają jednakowo; patrząc na nie, można powiedzieć tylko, że to grzyby. Ale który jest jadalny, a który trujący – nie. Grzyb trzeba ostrożnie ściąć, pobrać z niego preparat i położyć na szkiełku pod mikroskopem – wtedy dopiero można stwierdzić, czy go zostawić, czy wyrzucić. Jadalne grzyby w istocie rosną wzdłuż ścieżki, która prowadzi do celu, czyli do wykrycia przestępstwa. Ale zostały rozrzucone po polanie chaotycznie, bez żadnego porządku, dlatego też, by osiągnąć cel, trzeba sprawdzić wszystkie grzyby po kolei, odrzucając trujące, potem wychwycić system rozmieszczenia jadalnych, nakreślić w myśli kręty bieg ścieżki i iść nią dalej, zbierając już tylko te grzyby, które rosną wzdłuż niej. Najbardziej czasochłonny jest pierwszy etap, kiedy żmudnie, mozolnie sprawdzasz po kolei wszystkie, które wpadną ci w rękę. Najbardziej skomplikowany natomiast i ważny – drugi, gdy znalazłszy kilka jadalnych, starasz się wytyczyć bieg ścieżki. Po pierwsze, możesz się pomylić, i te grzyby, które uznałeś za jadalne, to w istocie bedłki, nadające się tylko do wyrzucenia. Po drugie, zdarza się wybrać niewłaściwy kierunek – ścieżka biegnie zupełnie inaczej, niż ci się wydawało. Za to jeśli wytyczyłeś ją prawidłowo, dalej wszystko idzie już bardzo szybko i grzyby rosnące wzdłuż ścieżki jeden po drugim wkładasz do koszyka.

Kiedy Nastia była jeszcze zupełnie młoda i przygotowywała się dopiero do pracy w milicji, Leonid Pietrowicz wiele razy powtarzał jej, że praca nad wykryciem przestępstwa to nic innego, jak tylko walka o informację. Chcesz się czegoś dowiedzieć, ale są ludzie, którzy usiłują ci w tym przeszkodzić, oto cała zagadka. Ojczym mówił też zawsze, jak ważna i niezbędna jest praca analityczna.

Głowiąc się nad sprawą zabójstwa siedmiu osób, które znaleziono uduszone późnym wieczorem w bramach domów, Nastia półtora miesiąca straciła na próbach oddzielenia grzybów jadalnych od trujących, czyli ocenie każdego nowo odkrytego faktu z punktu widzenia jego wiarygodności i przydatności w drodze do celu. W ciągu tego czasu wiele razy popełniała omyłki, fałszywie wytyczała kierunek ścieżki, i wydawało jej się, że wszystko robi źle i nigdy nie upora się ze swoim zadaniem.

Ale dzisiaj ścieżka wreszcie stała się wyraźnie widoczna. Były kryminalista i były informator Gadżijew został zwerbowany i skierowany na kurs do pewnego centrum szkoleniowego, przygotowującego specjalistów do pracy w ramach rządowego programu wzmocnienia dyscypliny podatkowej. Otrzymał nowe dokumenty i nowy

życiorys, ale nie zatroszczono się o uchronienie go przed przypadkową wpadką. To właśnie się zdarzyło, Gadżijew-Nurbagandow został rozpoznany, i trzeba go było szybko usunąć z pola widzenia tego, kto go poznał, a wkrótce potem zabić. Najpierw zabójstwo Gadżijewa zlecono zawodowemu płatnemu mordercy Paryginowi, ale potem wycofano się z umowy. Oczywiście, Parygin Miszy Docence nie powiedział tego wprost, ale sprawa i tak jest jasna. Skąd bowiem Jewgienij Iljicz mógłby wiedzieć, że Stojanow zlecił zamordowanie Nurbagandowa, gdyby sam nie otrzymał tego zlecenia? A jeśli nawet je wykonał, nie zdradziłby się z tym przed Miszą ani jednym słowem nawet na łożu śmierci. Oczywiście, historia zna wypadki, że gdy kostucha zagląda w oczy, najbardziej zatwardziali przestępcy zamieniają się w skruszonych grzeszników i przyznają się do wszystkiego, ale rozmowa Docenki z Paryginem nie była wyznaniem win przestępcy. Skruszony grzesznik nie przeklina swego spowiednika.

A więc wydano zlecenie, następnie je odwołano, powierzono zadanie komu innemu, i w rezultacie Nurbagandow został zabity. Dlaczego Stojanow wycofał się z umowy z Paryginem? Ponieważ wolał tańszego wykonawcę. Skąd się wziął ten nowy? Gdzie pracownik aparatu państwowego mógł go znaleźć? I najważniejsze, po co właściwie go szukał? Pożądał pieniędzy? Przecież nie płacił z własnej kieszeni. Stojanow najwyraźniej był jakoś związany z programem rządowym i centrum szkolenia, dlatego musiał podjąć kroki w celu „zneutralizowania” niepożądanych konsekwencji, którymi groziło zdemaskowanie Nurbagandowa.

Stojanow, dawny pracownik milicji, był oficerem operacyjnym przez wiele lat, i fakt, że ludzi do centrum szkoleniowego wybierano spośród kryminalistów, którym udało się ujść wymiarowi sprawiedliwości, bądź obawiających się zdemaskowania informatorów, i werbowano za pomocą szantażu, strasząc ujawnieniem kompromitujących materiałów, niedwuznaczenie świadczy o zaangażowaniu w te działania Stojanowa. Działano bowiem w sposób typowy dla lat siedemdziesiątych – początku osiemdziesiątych. Przytłaczająca większość oficerów operacyjnych korzystała wówczas z tego schematu, po prostu zastraszając ludzi.

Teraz nasuwa się pytanie: dlaczego Stojanow działał sam, nawiązując kontakt z killerem Paryginem i dając mu w ten sposób do ręki groźną broń – szantaż? Nie miał pomocników? Najwidoczniej nie. Być może w tym programie rządowym nie zajmował żadnego kierowniczego stanowiska. Ale nie był też zwykłą płotką, inaczej nikt nie skontaktowałby go z zawodowym zabójcą. Może działał gdzieś na niższym szczeblu, za to miał bezpośrednie dojście do samej góry. Powiedzmy, że był szefem centrum szkoleniowego. Na milicyjną emeryturę odszedł z wysokiego stanowiska i – oczywiście – nie zgodziłby się na jakieś podrzędne, gdzie musiałby odwalać za innych brudną robotę. Był przecież jeszcze stosunkowo młody i z pewnością ambitny.

- Dotąd wszystko wydaje się zrozumiałe – powiedział słuchający pilnie Korotkow.
- A co nie jest dla ciebie jasne?

– Skąd Stojanow wytrzasnął tańszego killera, w dodatku tak szybko. W takim tempie rodzą się tylko kocięta, a i to ślepe. Pod ręką zawsze jakieś byle co się znajdzie, ale żeby trafić na coś dobrego, trzeba się naszukać.

– Masz rację, Jurik, absolutną rację. – Nastia kiwnęła głową. – Taniego killera Stojanow rzeczywiście mógł znaleźć bez trudu. Rozumujmy dalej w tym kierunku. Kogo ma zawsze pod ręką wysoki funkcjonariusz milicji?

– Milicjantów.

– A dyrektor teatru?

– Aktorów.

– A szef centrum szkoleniowego?

– Studentów.

– Studentów... to znaczy, tych, no... kursantów – z rozpędu rzucił Korotkow i nagle wpatrzył się w Nastię zdumionymi oczyma. – Coś ty? Chcesz przez to powiedzieć, że Nurbagandowa załatwił jeden z nich?

– A dlaczego nie? Przecież to element kryminalny. Ci ludzie kiedyś wymknęli się nam z rąk albo też z własnej woli donosili na swoich. Myślisz, że któryś z nich zawahałby się przed czymś takim?

– Poczekaj. – Jura zmarszczył nos jak pierwszoklasista, starannie wypisujący litery w zeszytach. – A inne ofiary? Co z maniakami?

– Nic. Nie było żadnego maniaka, wiedzieliśmy o tym oboje od dawna, tylko nie potrafiliśmy znaleźć wyjaśnienia dla tej sprawy. Nie było maniaka ani serii zabójstw – w tym sensie, w jakim normalnie to rozumiemy. Było natomiast siedem różnych zabójstw, dokonanych przez różnych sprawców, ale w ten sam sposób. Wzorca najwyraźniej nie opracowywał dyletant, lecz człowiek doświadczony i znający zasady kryminalistyki. Zadbął przecież nawet o to, żeby na podstawie śladów na szyi trupa można było wnioskować o wysokim wzroście napastnika. I sam przebieg napadów zaaranżował tak, żeby ofiary nie czuły niebezpieczeństwa i nie zdążyły stawić oporu. Zresztą oboje uznaliśmy, że to była wysoka kobieta, której nikt z napadniętych się nie przestraszył. Byliśmy przecież pewni, że to robota maniaka, a maniak zawsze działa w pojedynkę. I tu właśnie popełniłam błąd. Nie działali pojedynczo. Albo były to same kobiety, albo zabójcy działali we dwójkę. I udawali w bramie zakochanych. A kto poczuje strach na widok obejmującej się pary?

– Chcesz powiedzieć, że w każdym z tych przestępstw brali udział mężczyzna i kobieta?

– Niekoniecznie. Mogło być na przykład dwóch mężczyzn. Jeżeli mężczyzna średniej budowy włoży futerko albo damską zimową kurtkę z kapturem i odwróci się tyłem, a drugi będzie go czule obejmował i całował, nie zauważysz nic podejrzanego. Otwarte pozostaje pytanie: po co to wszystko?

– Jak to po co? Żeby ukryć zabójstwo Nurbagandowa, to oczywiste. Ty sama sto razy cytowałaś mi Chestertona i mówiłaś o listku w lesie i martwym ciele na polu

walki.

– Mówiłam – w zamyśleniu powtórzyła Nastia. – Ale tak czy siak nie rozumiem, Nurbagandow nie był kimś, dla kogo warto byłoby zadawać sobie tyle trudu. Nie, Jurka, za tym kryje się coś jeszcze. Coś poważnego... Och, miał rację stary Denisow, kiedy mnie ostrzegał, że ten program to śmierdząca sprawa, kryminał. A ja, głupia, mu nie wierzyłam.

– Asiu...

Jura umilkł i pogrążył się w kontemplacji pudełka cukru na stole, jakby mając nadzieję dostrzec w biało-niebieskim kartonowym opakowaniu coś niezwykle interesującego i odkrywczego.

– Tak? Co chciałeś powiedzieć?

– Wygląda na to, że Leonid Pietrowicz ma coś wspólnego z tym programem.

– No właśnie – potwierdziła, patrząc w bok.

Bała się spotkać oczyma z Korotkowem, gdyż doskonale wiedziała, o czym zamierza z nią rozmawiać. A ona nie miała ochoty na tę rozmowę.

– Jak chcesz działać dalej?

– Jeszcze nie wiem. Nie potrafię tak szybko zdecydować, muszę jeszcze pomyśleć, zastanowić się. A ty co byś proponował?

– Mam pewien pomysł, ale wiem, że mnie zabijesz.

– Zaryzykuj – zachęciła go z nikłym, wymuszonym uśmiechem, gdyż wiedziała z góry, co jej powie Jura. Wiedziała też, że nie zgodzi się na jego pomysł pod żadnym warunkiem.

– I tak nie mamy na oku innych osób związanych z programem. Stojanow zginął. Pozostaje tylko twój ojczym.

– No i?

– No i nic. Trzeba go obserwować, na pewno doprowadzi nas do innych.

– Nie – powiedziała zimno, nadal nie patrząc na Jurija.

– Asieńko, ale zdajesz sobie przecież sprawę, że drogą oficjalną do niczego nie dojdziemy. Jeżeli Stojanow był urzędnikiem państwowym, jakimś tam referentem, dla przykrywki, a w rzeczywistości kierował centrum szkoleniowym, to znaczy, że tym na samej górze zależy na utrzymaniu sprawy w sekrecie. Ani się obejrzymy, jak już będziemy ulice zamiatać.

– Powiedziałam: nie.

– Aśka, nie bądź głupia. Pomyśl sama, nie mamy innego wyjścia. Chcesz przecież doprowadzić sprawę do końca?

– Chcę. Ale nie taką drogą.

– Innej nie ma.

– Poszukamy.

– Nie rozumiem, czemu się tak upierasz! – wybuchnął Korotkow. – O co ci chodzi? Co zyskujesz? Przecież i tak wiesz, że Leonid Pietrowicz bierze w tym udział,

więc co za sens zamykać oczy i udawać, że nic się nie dzieje? Sama cały czas o tym myślisz, zadręczasz się, cierpisz.

Nastia wstała i powoli przeszła się po gabinecie, najpierw do okna, potem zawróciła do drzwi i oparła się o nie. Korotkow obrócił się na krześle, żeby siedzieć do niej przodem, i patrzył na nią wyczekująco.

– No i czemu milczysz? Zaprzecz mi, powiedz coś, podaj jakiś rozsądny, poważny argument, tylko nie patrz na mnie z takim wyrzutem!

– Jura – powiedziała Nastia cicho – nigdy nie zdobędę się na to, żeby śledzić swego ojczyma. Możesz o tym myśleć, co chcesz, możesz mnie uważać za skończoną idiotkę, nic na to nie poradzę. Nie będę go o nic pytała ani nie będę go śledziła. To wszystko. Spróbujmy wymyślić jakiś inny sposób.

– Ale dlaczego? – wykrzyknął zdesperowany Korotkow.

– Dlaczego? Przecież i tak znasz prawdę. Co za sens chować głowę w piasek?

Pokręciła głową, odsunęła się od drzwi i podeszła do okna.

– Mylisz się, nie usiłuję zamykać oczu na prawdę. Rzeczywiście wciąż o tym myślę, chociaż Bóg wie, jak bardzo chciałabym zapomnieć. Ale są rzeczy, których zrobić nie mogę. Rozumiesz? Nie mogę i koniec. Nie potrafię śledzić człowieka, który mnie wychował, którego kochałam i do tej pory Kocham, którego nazywam ojcem. Nie potrafię, Jura! Nie, nie, nie!

Prawie krzyczała, ale zaraz wzięła się w garść. Odwróciła się plecami i patrzyła w okno, na gęsty, puszysty śnieg, który padał od kilku godzin, przysypując zabłocone ulice i szare domy. W gęstniejącym zmierzchu nie było prawie nic widać oprócz śniegu, który okrył bielą miasto. Nastia nagle zapragnęła, żeby śnieg padał i padał, całe godziny, całe dni, tygodnie, miesiące, żeby w końcu zasypał wszystko wokół, razem z domami i ludźmi, żeby się to wreszcie skończyło. Ludzie, pogrzebani pod śniegiem, wcześniej czy później umrą. Nikt nie będzie nigdzie chodził, nikt nie będzie do nikogo dzwonił, każdy pozostanie tam, gdzie go zastała śnieżycą, i życie nagle zamrze. I nie stanie się więcej nic złego. Dobrego, co prawda, także, ale można się z tym pogodzić, dobre rzeczy i tak nieczęsto się zdarzają.

*

Wasilij Kłykow, czasowo sprawujący funkcję szefa służby bezpieczeństwa banku Rosyjska Trojka, od dzieciństwa uwielbiał powieści szpiegowskie i filmy o wywiadzie. Nigdy nie czytał i nie słyszał o słynnej ekspertyzie CIA, zgodnie z którą zaledwie dziesięć do piętnastu procent danych uzyskuje się za pomocą środków technicznych, a pozostałe osiemdziesiąt pięć-dziewięćdziesiąt wywiad otrzymuje od żywych ludzi. Kłykow miał bzika na punkcie techniki i naprawdę uważał ją za panaceum na wszystkie kłopoty, od których mają chronić bank służby ochrony. Jego dawny szef, Dmitrij Wawiłow, często powtarzał, że każdy człowiek z zewnątrz, który znajduje się w pomieszczeniach banku, stanowi potencjalne zagrożenie. Może

podłożyć materiał wybuchowy, umieścić pluskwę, ukraść leżący na biurku dokument, wejść do komputera i wpuścić tam wirus itede, itepe, dlatego też nie powinno się go pozostawiać bez dozoru. Kłykow przyswoił sobie te nauki, ale z czasem rozwinął ich główną ideę. Uznał, że jeżeli osób z zewnątrz jest dwie lub więcej, najlepiej zostawić je same w pomieszczeniu, gdzie zainstalowano podsłuch, wówczas wszystkie ich sekrety zostaną nagłośnione.

Dlatego też kiedy dyrektor oddziału kredytowego zdecydował, że jego gabinet byłaby pora odnowić, Wasilij od razu pomyślał o tym, że w powierzonym jego opiece banku będą się teraz kręcić robotnicy, architekt, projektant wnętrz i Bóg wie kto jeszcze – przy czym zupełnie bez nadzoru. Nie można przecież pracownika ochrony oddelegować specjalnie w tym celu, żeby całymi dniami przebywał razem z nimi wszystkimi w remontowanym pomieszczeniu. O wiele prościej będzie zamontować podsłuch, podłączyć go do magnetofonu w jednym z pokoi ochrony i dwa, trzy razy dziennie przesłuchać nagranie, żeby się przekonać, o czym rozmawiają pozostawieni bez nadzoru robotnicy. Tak też zrobiono. Urządzenie podsłuchowe Kłykow zamontował późnym wieczorem, kiedy wszyscy już wyszli, a on odbywał kontrolny obchód pomieszczeń banku. Wprawdzie nie należało to do jego obowiązków, od tego była ochrona, a szef służb bezpieczeństwa winien zajmować się strategią, ale Kłykow zlekceważył ten umowny podział pracy, zwłaszcza że nie miał zamiaru nikogo wtajemniczać w swoje poczynania. Pomysł z zainstalowaniem podsłuchu uważał za swój prywatny, oryginalny wynalazek i wolał poczekać, aż przyniesie pierwsze rezultaty, zanim on, Kłykow, poinformuje o tym kierownictwo Trojki. Nazajutrz miał się zjawić architekt, projektant wnętrz i kierownik ekipy remontowej, żeby obejrzyć biuro dyrektora działu kredytów i zrobić wstępne pomiary, więc Kłykow chciał, żeby już wszystko było gotowe; jutro, kiedy tamci przyjdą, wystarczy tylko włączyć magnetofon.

Zgłosili się następnego dnia około południa i Kłykow, który otrzymał sygnał od ochroniarza przy wejściu, szybko skierował się do niewielkiego pokoiku, otworzył drzwi własnym kluczem i nacisnął klawisz magnetofonu, po czym zamknął pomieszczenie i wrócił do swoich codziennych zajęć. Mniej więcej o wpół do drugiej opuścił bank – zadzwoniono do niego z kursów dla pracowników ochrony, że może się rozejrzeć pośród dziewcząt-ochroniarek. Przedstawiciel zarządu Rosyjskiej Trojki nie chciał pozostawać w tyle za modą i prosił, by znaleźć dla niego ochroniarza płci żeńskiej – pożądane były długie nogi, sympatyczna buźka i umiejętność celnego strzelania. Kłykow skontaktował się z kilkoma moskiewskimi szkołami kształcącymi pracowników ochrony i poprosił o wybranie kandydatek.

Z ogłędzin wrócił około szóstej po południu. Architekt, projektant i brygadzysta dawno już wyszli, więc Wasilij postanowił zacząć od przesłuchania magnetofonowego zapisu ich rozmowy. Taśma powoli się przesuwiała, posłusznie rejestrując wszystko, co się działo w biurze szefa działu kredytów, który miał opuścić pomieszczenie

dopiero jutro, a na razie razem z sekretarką porządkował papiery, wkładał je do teczek i szuflad, przygotowując się do czasowej przeprowadzki. Dyrektor cieszył się wśród pracowników banku opinią człowieka uprzejmego i dobrze wychowanego, ale teraz, sam na sam ze swoją sekretarką, tak gęsto sypał piętrowymi przekleństwami, że Kłykow był autentycznie zdumiony. Tamten zupełnie się nie krępował używać wulgarnych wyrażenia w obecności młodej kobiety. „Pewnie ją bzyka, dlatego tak sobie pozwala” – pomyślał Wasilij i mimo woli poczerwieniał, gdyż zdał sobie sprawę, że słucha ich rozmowy zamiast wyłączyć aparaturę.

Zaraz jednak to zrobił, po czym przewinał taśmę i puścił ją od początku, by sprawdzić, co się działo w biurze w ciągu dnia. Rozmowy fachowców od remontu nie budziły żadnych podejrzeń, wszystko, co mówili, dotyczyło wyłącznie planowanych prac. Co jakiś czas wchodził do pomieszczenia dyrektor, ten sam, który w tej chwili tak ordynarnie przeklinał, porządkując dokumenty, i szczegółowo wyjaśniał, dlaczego nie podoba mu się obecny wystrój gabinetu i co konkretnie chciałby w nim zmienić. Projektant wewnątrz i architekt rozmawiali z nim uprzejmie, pełni szacunku dla wymagań zleceniodawcy, ale za każdym razem, kiedy wychodził z pokoju, nie zostawiali na nim suchej nitki, nazywając go „żłobem, który sam nie wie, czego chce” i „kretynem, który myśli, że za zielone można zmienić prawa fizyki”. Wreszcie szef działu znowu zajrzał do biura, ale tym razem nie z kolejną listą zachcianek i dobrych rad.

... – Prędko skończycie?– Tak, właściwie już skończyliśmy. Zaraz wychodzimy.– Doskonale. Wejdz, porozmawiamy tutaj.– Czyli zaczynamy jutro o dziesiątej.– To był głos architekta. – Robotnicy przygotowują pomieszczenie do wstępnych prac, a ja rano przedstawię panu kilka propozycji przebudowy. Ale, tak czy siak, tę ścianę trzeba będzie przesunąć, a tutaj zrobić otwór drzwiowy...– Tak, tak, oczywiście. To już uzgodniliśmy. Do jutra. Wchodź, siadaj. Kłykow zrozumiał, że do dyrektora działu kredytów przyszedł jakiś gość. Już miał wyłączyć magnetofon, ponieważ fachowcy zakończyli wizytę, ale nagle, wiedziony czysto chłopcę ciekawością, postanowił jeszcze chwilę posłuchać. Interesowało go, czy dyrektor będzie tak samo niewymuszenie i wymyślnie przeklinał w obecności swego gościa, jak to robił przy swojej atrakcyjnej sekretarce.

Jednakże nim upłynęły dwie minuty, Wasilij w napięciu wsłuchiwał się w rozmowę, bojąc się uronić choćby jedno słowo. Trwała ona prawie godzinę; w tym czasie sekretarka dwa razy podawała kawę i kilkakrotnie pytała przez interkom, czy łączyć rozmowę telefoniczną. Dyrektor nie przyjmował jednak telefonów; najwidoczniej o wiele bardziej zainteresowany był wizytą swojego gościa.

Kłykow szybko się zorientował, o czym mowa. Pamiętał zabawnego Kaukazczyka Nurbagandowa, który z ogromnym entuzjazmem zabrał się do pracy, by po kilku dniach napisać podanie o zwolnienie „na własną prośbę”, gdyż jego krewnych w Dagestanie spotkało nieszczęście, a on czuje się w obowiązku im pomóc. Wszyscy

wówczas odnieśli się do tego ze zrozumieniem i współczuciem, zwłaszcza że w wiadomościach telewizyjnych pokazywano w kółko zburzony wielopiętrowy dom, okaleczone, martwe ciała oraz szlochające na ziemi kobiety i dzieci, które straciły bliskich i zostały bez dachu nad głową.

Ze słów gościa wynikało, że Nurbagandowa umieszczono w ich banku, żeby informował ludzi realizujących rządowy program walki z przestępstwami podatkowymi o nieprawidłowościach wykrytych w Rosyjskiej Trojce. Był po prostu wtyczką. Pewni ludzie, którzy dobrze życzą kierownictwu banku i szczerze pragną mu się przysłużyć, spowodowali, że Nurbagandow się zwolnił, a parę dni później pozbyli się go na dobre. Z troszczyli się także o to, aby ten nasłany szpieg nie figurował nigdzie jako pracownik Trojki. Słowem, ci życzliwcy uchronili bank przed poważnymi kłopotami.

„Dlaczego?” – zadał sobie pytanie Wasilij Kłykow i w tej samej chwili usłyszał je z taśmy. Widać jego tok myślenia był taki sam, jak dyrektora działu kredytów. Gość, trzeba przyznać, zachowywał się bardzo ostrożnie, nie wymieniając żadnych nazwisk oprócz nazwiska nieżyjącego Nurbagandowa, nikogo o nic wprost nie obwiniął i słów w rodzaju „zabił”, „umoczył” czy „wykończył” w ogóle nie używał. Mimo to Kłykow doskonale pojmował, o czym tamten mówi.

Nie wiedział tylko, kim był ten gość.

Wysłuchał nagrania do końca, po czym udał się do domu, bo zrobiło się już bardzo późno i w banku prawie nikt nie został. Wasilij odtwarzał przecież w całości rozmowy, które trwały ponad trzy godziny. Nazajutrz z samego rana wstąpił do szefa ochroniarzy, żeby się dowiedzieć, kto przychodził wczoraj do biur kierownictwa banku. Następnie zajrzał do sekretariatu dyrektora działu kredytów, żeby zapytać, co słychać, czy dyrektor jest zadowolony z ekipy remontowej i kiedy nastąpi przeprowadzka. Sekretarka siedziała już przy swoim biurku i pakowała rzeczy do kartonowych pudeł, gdyż miała się przenieść razem z szefem. Po kilku chwilach niezobowiązującej rozmowy Kłykow dowiedział się, kto odwiedził dyrektora, akurat kiedy fachowcy od remontu wychodzili. Zapamiętał nazwisko gościa, ale nic mu ono nie mówiło. I naraz przypomniał sobie, co w takich razach mówił zwykle jego dawny szef Wawiłow: „Zadzwoń do Filipycza, niech sprawdzi”. Kłykow nie miał swojego Filipycza, ale mógł się przecież zwrócić z prośbą o pomoc do kapitana z Pietrowki, który był u niego i pytał o znajomych zabitego Wawiłowa. Po raz pierwszy, odkąd pełnił obowiązki szefa bankowych służb bezpieczeństwa, Kłykow uświadomił sobie, że bez pomocy milicji daleko nie zajędzie. Dawniej zajmował się takimi sprawami sam Wawiłow, i Kłykow, człowiek młody, nie zastanawiał się specjalnie nad tym, jak to się właściwie odbywa. Teraz zrozumiał. Zrozumiał też, kto to taki „Filipycz”. No cóż, Wawiłow miał Filipycza, a on, Kłykow, musi znaleźć kogoś, do kogo będzie mógł się zwracać z wszelkimi tego rodzaju prośbami. Spróbuje zacząć od tego kapitana.

Szybko ruszył do gabinetu, który wcześniej zajmował Wawilow, a teraz on sam, i tam zaczął gorączkowo przetrząsać wszystko, co leżało na biurku. Miał koszmary zwyczaj notowania adresów i telefonów na małych kolorowych karteczkach, a potem wsuwania ich, podobnie jak wizytówki, pomiędzy kartki biurkowego kalendarza, pod różne podstawki, do przegródek na fiszki, słowem, gdzie popadnie, tylko nie do notesu i nie do wizytownika. Prawie już stracił nadzieję, kiedy nagle natknął się na jaskrawozielony kwadracik z nazwiskiem i numerami telefonów.

Pod żadnym z tych numerów nikt jednak nie odpowiadał, ale spojrzawszy na zegarek, Kłykow uświadomił sobie, że to zupełnie nieodpowiednia pora na telefony. Było wpół do dziesiątej. Na Pietrowce pracuje się od dziesiątej, to pamiętał. Widocznie Docenko wyszedł już z domu, a do pracy jeszcze nie dojechał. Trzeba będzie poczekać.

*

Korotkow wpadł do gabinetu Nasti jak huragan zmiatający wszystko na swojej drodze. Po raz pierwszy od kilku dni uśmiech gościł na jego twarzy.

– Aśka, jaką chcesz najpierw wiadomość, dobrą czy złą? – zapytał wibrującym radością głosem.

– Dobrą – mruknęła Nastia, nie podnosząc głowy znad rozłożonych na biurku papierów.

– Spójrz na mnie przynajmniej, rzuć okiem, najobojętniejsza z obojętnych! – błagał Jura. – Mam naprawdę wspaniałą nowinę!

Nastia przemogła się, przywołała uśmiech na twarz i popatrzyła na Korotkova najżyczliwiej, jak potrafiła.

– Patrzę. I czekam na dobrą wiadomość.

– Panisko zachorował. Wyobrażasz sobie, Aśka? Zachorował! On! Dziwiliśmy się wczoraj, że się nas nie czepia i nie tłumaczy kolejny raz, jacy z nas durnie: najpierw pozwoliliśmy się wymknąć Łazariewej, a teraz jej przyjacielowi Paryginowi.

– Nie z nas, tylko ze mnie – poprawiła go Nastia. – Ciebie nie może się za to czepiać, oficjalnie nie zajmujesz się tą sprawą.

– No dobrze, to nie z nas, tylko z ciebie i z Miszki, ale przecież mówię, nie wyjechał z żadnymi pretensjami. Nie łap mnie za słówka. No więc okazuje się, że wczoraj miał ponad trzydzieści dziewięć stopni gorączki, ledwie wysiedział do końca dnia, a dzisiaj w ogóle padł. Sama wiesz, jaka grypa szaleje w tym roku.

– Nie wiem, nie chorowałam.

– Za to ja chorowałam i mogę ci powiedzieć, że wyrobiłem normę na dłuższy czas. Torsje, biegunka, w środku aż cię skręca z bólu, plus wysoka temperatura.

– Juroczka – Nastia tym razem uśmiechnęła się szczerze, bez przymusu – zachowujesz się jak dzieciak. Hura, pani wychowawczyni zachorowała, nie będzie lekcji! Masz już czterdziestkę z okładem, nie jesteś smarkaczem, a cieszysz się, że

szefa powaliła grypa.

– Nieprawda, Aśka, ale nawet się nie obrażę, bo kompletnie nic nie rozumiesz. Nie „szefa powaliła grypa”, tylko Panisko przekazał wszystkie sprawy na czas choroby Paszy Żeriechowowi. Chwytasz różnicę?

– Chwytam. I to jest takie ważne?

– Jeszcze jak! Nie słyszałaś jeszcze złej wiadomości. Jak usłyszysz, od razu wszystko zrozumiesz. Krótko mówiąc: bank Rosyjska Trojka odwiedził pewien facet, który utrzymuje, że wie, kto zabił Nurbagandowa i dlaczego. Był u dyrektora działu kredytów, a człowiek, na którego wskazuje – nie wymieniając wprost jego nazwiska – jako na organizatora zabójstwa, wziął w Trojce pokaźny kredyt i obecnie ma wielkie trudności z jego spłaceniem. Nazwisko gościa, który odwiedził dyrektora, znamy.

– Skąd masz te informacje?

– Z banku, od tego gościa, który teraz wskoczył na miejsce Wawiłowa. Ufa naszemu Miszce, więc zadzwonił do niego z prośbą, żeby sprawdzić tego faceta.

– Można mu wierzyć?

– Myślę, że tak. – Korotkow wzruszył ramionami i usiadł okrakiem na krześle jak na koniu. – Chociaż nie zaszkodzi i jego sprawdzić. Tak że sama rozumiesz, nieobecność Paniska i brak nadzoru z jego strony rozwiązuje nam ręce, bo Pasza Żeriechow to swój człowiek, ufa nam i bez zbędnych pytań da zezwolenie na obserwację.

Nastia milczała chwilę, machinalnie rysując na czystej kartce koncentryczne kręgi.

– Wychodzi na to, że znów nie miałam racji. Kolejny raz się pomyliłam. Jura, nie liczyłeś przypadkiem, ile razy popełniłam głupi błąd w ciągu ostatniego miesiąca?

– Jeden – odpowiedział bez namysłu. – Wtedy kiedy uznałaś, że o niczym mi nie powiesz. To był rzeczywiście poważny błąd, a cała reszta normalka. Taki mamy tok pracy.

– Dobra, nie musisz mnie pocieszać. – Nastia uśmiechnęła się słabo. – W tym roku pobiłam rekord pomyłek. Sądziłam, że Wawiłow rozpoznał w Nurbagandowie byłego agenta Gadżijewa i że to stało się przyczyną zabójstwa najpierw samego Gadżijewa, a potem Wawiłowa, który nie uporał się do końca ze swoimi wątpliwościami. Ale jeżeli morderstwa Gadżijewa dokonano jako „aktu dobrej woli”, niby to w interesie banku, a naprawdę chcąc uzyskać odroczenie spłaty kredytu lub jej dogodniejsze warunki, to nie rozumiem, dlaczego musiał zginąć Wawiłow. Jego zabójstwo w żaden sposób nie da się wpasować w historię z Nurbagandowem. Trzeba dla niego szukać innego wyjaśnienia. Albo też wczorajszy gość dyrektora działu kredytów kłamie, a wtedy musimy się zastanowić, dlaczego to robi.

– Najlepiej zadzwoń do Miszy, nie pojechał jeszcze po dyżurze do domu, siedzi u siebie – doradził Korotkow. – Ten facet z banku obiecał, że przywiezie taśmę z nagraniem rozmowy. Może już jest.

Ale Kłykowa jeszcze nie było. Docenko powiedział, że przyniesie taśmę, jak tylko

będzie ją miał w ręku. Nastia znów zapatrzyła się w okno. Jeżeli wczoraj i przedwczoraj zimna wściekłość rodziła w niej szaleńczą energię i chęć doprowadzenia sprawy do końca za wszelką cenę, to dziś ogarnęło ją zmęczenie, zniechęcenie i obojętność. Wiedziała, co i jak powinna zrobić, ale nie miała siły wstać i zacząć działać. Czuła się tak, jakby ktoś zrzucił jej na barki stukilowy ciężar.

– Aśka, no co tak siedzisz jak kwoka na jajach? – zirytował się Korotkow, któremu pilno było zrobić milowy krok naprzód, kiedy wreszcie stało się to możliwe, zamiast posuwać się milimetr po milimetrze. – Idź do Paszy, wyjaśnij mu sytuację, załatw obserwację tego typu, który był w banku, i tamtego drugiego, który wziął kredyt.

– Sam do niego idź – odcięła się Nastia.

– No pewnie! A niby z jakiej paki? W żadnej z moich spraw nawet się nie przewinęła Rosyjska Trojka. Co innego ty, to ostatnie miejsce pracy jednej z siedmiu ofiar psychopaty, którego szukasz. Ja nie mam żadnego zahaczenia. No, Aśka, weź się w garść. Co się z tobą dzieje, dziewczyno?

Patrzyła na niego w milczeniu, nieświadoma, że po jej twarzy spływają łzy. Czuła się okropnie. Kiedy do końca było jeszcze daleko, starczało jej sił, by nie myśleć o tym, co będzie. Może zresztą sprawa nigdy się nie skończy i wszystko po prostu przyschnie; sprawca zabójstwa pozostanie niewykryty, a ona zachowa dla siebie dręczącą tajemnicę – prawdę o ojczymie. Teraz natomiast, kiedy historia tak szybko zmierzała ku zakończeniu, Nastia już nie mogła nie myśleć, co się z nim stanie. To znaczy z Leonidem Pietrowiczem. Z ojczymem. Z tatusiem. Aresztuje go milicja. Albo zabiją t a m c i. A co będzie z mamą? I z nią, Nastią?

– Sam do niego idź – powtórzyła powoli, wciąż jeszcze nie rozumiejąc, skąd pojawił się na jej wargach smak soli.

– Idź i powiedz Paszy, co chcesz. Ja nie pójdę.

Korotkow wstał, podszedł do Nasti, pogłaskał ją po głowie i delikatnie pocałował w policzek.

– Przepraszam cię, jestem idiotą, nie pomyślałem. Wybacz, Asiu. Może lepiej idź do domu?

Pokręciła głową.

– Chcę jeszcze przesłuchać taśmę.

– To zamknij się od środka, żeby nikt cię nie zobaczył w takim stanie. Ja zapukam, jak zawsze.

– Dobrze, dziękuję.

Jura wyszedł do zastępcy szefa, Pawła Wasiljewicza Żeriechowa, a Nastia zamknęła za nim drzwi i znów zapadła w trans.

*

Dzisiaj Wasilij Walerianowicz Gałuzo nie mógł sam pojechać do centrum

szkoleniowego, harmonogram miał bardzo napięty, wszystko zaplanowane niemal co do minuty, a musiał koniecznie porozmawiać z Zieleninem. Kombinował i tak, i owak, starając się jakoś wygospodarować czas na spotkanie, ale więcej niż czterdzieści minut nie udawało się wykroić, a gdyby chciał pojechać do Zielenina, sama droga – tam i z powrotem – zajęłaby półtorej godziny, może nawet więcej, bo jak na złość spadł śnieg. Postanowił zadzwonić do Aleksandra Pietrowicza i zaprosić go do siebie, chociaż nie miał ochoty tego robić. Po fatalnej wpadce z Nurbagandowem stał się szczególnie ostrożny. Że też coś podobnego w ogóle się zdarzyło! Przecież w wielomilionowej, ogromnej, tłumnej i zarazem bezosobowej Moskwie tylko dwie osoby mogły rozpoznać w Nurbagandowie dawnego kryminalistę--informatora milicji, i akurat jedną z nich okazał się szef służby ochrony tego właśnie banku, do którego skierowali tamtego. Jednak Aleksander Pietrowicz Zielenin tłumaczył, że nie ma w tym nic niezwykłego, należało być na to przygotowanym od początku, od chwili gdy postanowiono działać zgodnie z zarządzeniami Stojanowa, a nie tak, jak radził on, Zielenin. Ochroniarze rekrutują się w połowie ze sportowców, w połowie – z milicjantów, dlatego możliwość, że były agent natknie się na znajomego go choćby z widzenia byłego gliniarza, jest zupełnie realna. Gdyby posłuchano jego, Zielenina, nie szukano by ludzi wśród kryminalistów i dawnych pracowników służb specjalnych – i wszystko byłoby w porządku. Ale nie, górą musiał być Stojanow, który rozumu ma tyle, co kot napłakał, ale za to ambicja go rozsadza, a ponieważ na samej górze zna ludzi, którzy mają wobec niego pewne zobowiązania, niebezpiecznie jest z nim zadzierać.

Jednakże z wywodów Zielenina wynikało również niezbitcie, że ani on, ani Stojanow nie powinni pokazywać się w gmachu, w którym pracuje Gałuzo i jego najbardziej zaufany przyjaciel Witalij Arkadjewicz Borowkow. Ochroniarze działaczy wysokiego szczebla to bardzo często byli funkcjonariusze milicji, a referenci i asystenci – zwykle dawni pracownicy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, mający wykształcenie prawnicze, szerokie kontakty i biurokratyczny nawyk papierkowej roboty. Tak więc jest wśród nich z pewnością sporo takich, którzy znają i byłego zastępcę szefa urzędu okręgowego, pułkownika Stojanowa, i doktora praw, docenta podpułkownika Zielenina. Obaj formalnie zajmują jakieś tam stanowiska w aparacie i teoretycznie mają pełne prawo znajdować się w tym wielkim, pięknym gmachu, ale gdyby tak ktoś się zainteresował sprawą bliżej, okazałoby się od razu, że żaden nie ma ani własnego gabinetu, ani nawet biurka czy choćby sejfu, a inni pracownicy pierwszy raz ich widzą i nigdy w życiu nie słyszeli nazwisk Stojanow i Zielenin.

Ale dzisiaj, niestety, Gałuzo nie miał innego wyjścia. Stojanow zginął, jego miejsce się zwolniło, trzeba niezwłocznie mianować na to stanowisko Zielenina. I, co najważniejsze, szybko wycofać z gry kretynów Stojanowa, którzy szaleją po całym kraju, uzbrojeni w dyktafon i kamerę wideo. Już wtedy, kiedy doszło do wpadki z Nurbagandowem i stało się jasne, że należy zmienić taktykę, okazało się również, iż

Grigorij Iwanowicz Stojanow tak łatwo nie odda swoich pozycji. Za nic nie przyzna, że jego decyzja była błędna, a wybrany sposób rekrutacji kursantów do centrum szkoleniowego – głupi i krótkowzroczny. Nigdy w życiu nie ustąpi przed naukowcem, parszywym gryziopiórką, mołem książkowym. A jeżeli ktoś będzie wywierał na niego presję – Stojanow wpadnie we wściekłość i w te pędy poleci na skargę do wysoko postawionych dłużników, których swego czasu wyciągał spod kurew i ratował przed oskarżeniem o nielegalne transakcje walutowe. Kodeks przewidywał wówczas za takie machlojki nawet najwyższy wymiar kary.

Wdawać się w spory z wdzięcznymi dłużnikami Stojanowa Wasilij Walerianowicz nie miał ochoty, w ogóle nie lubił sytuacji konfliktowych, dlatego zresztą rozpoczął tę skomplikowaną i niebezpieczną grę, której wynik powinien wyeliminować Grigorija Iwanowicza. Stojanow okaże się skompromitowany jako człowiek na kierowniczym stanowisku, a ani Gałuzo, ani Borowkow, ani tym bardziej Zielenin nie będą mieć nic wspólnego z jego porażką. Można nawet formalnie nie pozbawiać go stanowiska, żeby nie drażnić jego protektorów i nie dawać mu powodów do skarg, niech nadal pozostanie szefem, ale faktycznie kierować wszystkim i ustalać strategię będzie Zielenin, człowiek mądry, przewidujący, umiejący myśleć perspektywicznie.

Przecież całą kombinację z Nikitą Mamontowem i Korotkowem wymyślił Zielenin. Ścisłej mówiąc, wymyślił ją i opracował teoretycznie, a potem trzeba było tylko wybrać odpowiedniego człowieka o kryminalnej przeszłości. Takiego, który boi się bicia, przyzna się do zabójstwa, nawet jeśli go nie popełnił, i zwróci się o pomoc do oficera milicji, który go kiedyś przesłuchiwał. Następnie należało się upewnić, że kryminalista i milicjant umówili się na spotkanie, i szybko zlikwidować przestępcę, tak żeby oficer znalazł go pierwszy, a taśmę z przyznaniem się faceta do winy (prawdziwym lub fałszywym) przekazać prasie. Ale znów – nie pierwszemu lepszemu dziennikarzowi, który się nawinie, tylko człowiekowi nieźrównoważonemu, wybuchowemu, napalonemu na „gorący” temat i nienoszącemu w sercu milicji. Sens całego tego przedsięwzięcia był następujący: wykazać na jaskrawym i wymownym przykładzie, że wybrany przez Stojanowa system rekrutacji kursantów do centrum szkoleniowego jest z gruntu niewłaściwy, przy naborze pierwszej grupy nie zdarzył się żaden niepożądany incydent jedynie przez przypadek, łut szczęścia, za to przy drugim wszystko się sypnęło.

Trafili na Mamontowa, który zwrócił się o pomoc do milicji, a ta, nie daj Boże, zacznie się teraz grzebać w całej sprawie, wyjaśniać, kto i skąd mógł wiedzieć o Nikicie i napuścić prasę. Proszę, gazety już coś wywęchały, podnoszą krzyk, a gliniarze tego nie ścierpią, zaczną się wściekać, staną na głowie, żeby udowodnić, że dziennikarz nie miał racji, i kto wie, czego się po drodze dogrzebią. Wszystko może się zdarzyć...

Artykuł w popularnej gazecie był koniecznie potrzebny, żeby mieć w ręce niezbity materialny dowód na to, że system rekrutacji Stojanowa jest do niczego. Kto wie, nie

można wykluczyć, że Grigirij Iwanowicz jednak poskarży się na górze, że nie jest oceniany obiektywnie i odsuwany od kierowania centrum. Wtedy zarzuty, że system się sprawdził, nie będą miały żadnego znaczenia, jeśli nie zostaną niczym poparte. Słowa Gałuzi, Borowkowa i Zielenina to za mało. Ale artykuł w gazecie ma zupełnie inną wagę. Trudno go zlekceważyć. Programowi rządowemu nie wyjdą na korzyść takie publikacje, zwłaszcza jego najtajniejszej części.

A oto jeszcze jedna wpadka, spowodowana przez niewłaściwy system rekrutacji, panie Stojanow. Niejaki Parygin. W ogóle nie przestraszył się pańskich ludzi, zachował się w sposób nieprzewidywalny, ale – trzeba przyznać – właściwy w takiej sytuacji, a obwieszeni urządzeniami rejestrującymi napastnicy sami o mało nie wpadli w ręce milicji. Mieli po prostu szczęście, że ulicą nie przechodził patrol, akurat kiedy dzielny obywatel Parygin chwycił krzesło, walnął nim w szybę i cisnął je przez okno...

Słowem, gra była skomplikowana, wymierzona w wygórowane ambicje Stojanowa. Grigorij Iwanowicz nie zechce się przecież czerwienić za każdym razem, kiedy popełni błąd, dwa, trzy razy zniesie porażkę, a potem się wycofa, ustąpi, powie: no, dobrze, spróbujemy innego sposobu, może przyniesie lepsze rezultaty. Oczywiście, i Gałuzo, i Zielenin rozumieli, że nie będzie to szczerze przyznanie się do błędu, lecz jedynie pozorne. Stojanow zgodzi się, żeby Zielenin wdrożył swój system, i zacznie doszukiwać się w nim błędów, braków, niedoróbek, będzie wyolbrzymiał każde niepowodzenie i umniejszał sukcesy. Tak, Grigorij Iwanowicz jest święcie przekonany o własnej słuszności, innego systemu niż swój nie uznaje i uważa, że kolejne wpadki to jedynie skutek niepomysłnego zbiegu okoliczności, i z przyjemnością ustąpi miejsca Zieleninowi, żeby też spróbował, by później podśmiewać się z nieporadnych wysiłków gryziopórka. Co do tego, że będą nieporadne i zakończą się niepowodzeniem, Stojanow nie wątpił ani przez chwilę.

Oto jak wyobrażali sobie Gałuzo i Zielenin, a wraz z nimi Borowkow, rozwój wydarzeń. Stojanow będzie siedział cicho, czekając na nieunikniony błąd swego rywala, na pierwszą klapę systemu Zielenina. A klapa nie nastąpi... I wszyscy powoli przywykną do tego, że naprawdę to Zielenin jest w centrum najważniejszy, a Stojanow jest tylko figurantem. Aksamitna rewolucja. O wiele skuteczniejsza niż otwarty bunt.

Ech, gdyby wiedzieli, że Stojanow tak szybko zniknie ze sceny, zginie, spadając z jedenastego piętra, nie bawiliby się w te podchody. Tyle energii poszło na marne, tyle niepotrzebnego ryzyka to kosztowało! A ludzie! Sytuacja nieraz już była, jak to się mówi, podbramkowa i tylko cudem wszystko wracało do normy. Chyba trzeba będzie zacząć chodzić do wrózek, pomyślał Gałuzo i uśmiechnął się. Podobno potrafią dokładnie przepowiedzieć datę śmierci. Gdyby człowiek wiedział, że jego przeciwnik w sposób naturalny pożegna się z życiem, ileż czasu i wysiłku można by zaoszczędzić...

Ale żarty na bok. Najważniejsze teraz to niezwłocznie przerwać działalność

werbowników Stojanowa, póki nie zdarzyła się kolejna nieprzyjemna wpadka. I tu powstaje pytanie: jak to zrobić? Jak nawiązać z nimi kontakt? Kim są? Gdzie ich szukać? I jak wydać rozkaz, którego usłuchają, a nie puszczą mimo uszu, uznając, że muszą go wypełniać? Z werbownikami miał do czynienia jedynie Grigorij Iwanowicz, Gałuzo i Zielenin sądzili, że gdy tylko Stojanow dojrzeje do tego, żeby ustąpić placu, poleci tamtym zaprzestać działalności. Nikomu nie przyszło do głowy, że Grigorij Iwanowicz może nagle zginąć, a podlegli mu ludzie pozostaną faktycznie poza kontrolą.

Właśnie po to, żeby omówić ten problem, chciał się Wasilij Walerianowicz zobaczyć z Zieleninem. W końcu po długich rozważaniach i przymiarkach wykroił na spotkanie czas od siedemnastej trzydzieści do osiemnastej piętnaście.

ROZDZIAŁ 20

Nazajutrz Paweł Wasiljewicz Żeriechow udzielił Korotkowowi formalnej zgody na obserwację dwóch obiektów, z których jeden odwiedził bank Rosyjska Trojka, a drugi był tym, o którym – nie wymieniając nazwiska – napomykał pierwszy.

Obserwacja pierwszego nie przyniosła nic interesującego poza tym, że spotkał się on z obiektem numer dwa. Za to numer dwa poprowadził obserwatorów ciekawym szlakiem. W rezultacie w ciągu dwóch dni wypłynęli Aleksander Pietrowicz Zielenin i Wasilij Walerianowicz Gałuzo. Obiekt numer dwa nawiązał kontakt z Zieleninem, po czym Zielenin skierował się wprost do wielkiego, pięknego gmachu, gdzie spędził równo czterdzieści osiem minut. Wyszedł stamtąd razem z jakimś mężczyzną, podali sobie ręce na pożegnanie, po czym Zielenin odjechał samochodem.

Prowadzący Zielenina obserwatorzy dotarli do zamkniętego terenu, na który nie udało im się przedostać. Druga grupa obserwatorów wzięła „pod opiekę” człowieka, z którym Zielenin wyszedł z budynku, i wkrótce ustalono jego personalia. Wasilij Walerianowicz Gałuzo był jednym z naczelników wyższego szczebla w administracji państwowej.

– I po co to wszystko rozpętałam? – spytała ze smutkiem Nastia, przebiegając wzrokiem przyniesiony przez Korotkowa raport.

– Jak to po co? – zdziwił się Jura. – Nie rozumiem cię. Masz jakieś zastrzeżenia?

– A pewnie. Co teraz pocniemy z tym wszystkim? Jasne, że teren, na który chłopcy nie mogli się przedostać, to właśnie owo osławione centrum szkoleniowe. Równie jasne jest to, że pan Gałuzo aktywnie działa w rządowym programie do walki z przestępstwami podatkowymi. I co dalej? Ja i ty, we dwoje, mamy się przeciwstawić całej tej machinie? Kiedy obiecywałam Denisowowi, że się tym zajmę, jakoś o tym nie pomyślałam.

– Nie podoba mi się twój nastrój. I ty sama też mi się nie podobasz. Nie lubię, kiedy jesteś taka.

– Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma – smętnie zażartowała Nastia. – Jura, kiedy się nauczę dalekowzroczności, jak myślisz?

– Aśka, przestań. Weź się w garść. I zadzwoń do swojego przyjaciela Zatocznego.

– Po co?

– Po to. Swoją część roboty odwaliłaś, rzeczywiście nic więcej nie możesz zdziałać, ani sama, ani razem ze mną. Tym, na cośmy trafili, muszą się zająć ludzie stojący o wiele wyżej. To nie nasza działka.

– Nie będę do niego dzwoniła.

– Zaczyna się! – Jura teatralnym gestem rozłożył ręce.

– A dlaczego, jeśli wolno zapytać?

– Jura... No tak, jestem niemądra, mam zbyt emocjonalne podejście, to przeszkadza w pracy, ale naprawdę nie mogę zadzwonić do Iwana. Odniosłam wrażenie, że był bardzo niezadowolony z naszej ostatniej rozmowy i że wiele straciłam w jego oczach. Wstydzę się.

Podniosła oczy, westchnęła głęboko, znów opuściła powieki, posiedziała tak parę minut, po czym spojrzała na Korotkova i uśmiechnęła się.

– W porządku, Jurik, jestem gotowa. Już dobrze. Masz rację, rozpuściłam się jak dziadowski bicz. W końcu praca to praca.

*

Tym razem Nastia nie pojechała do generała do domu. Zadzwoiła do niego do pracy i poprosiła o wyznaczenie terminu spotkania, a Zatoczny chłodno i sucho zaproponował, by odbyło się ono nazajutrz o siódmej rano. Nastia wiedziała, że Iwan Aleksiejewicz lubi rankami spacerować po parku Izmajłowskim, ale tylko w niedzielę, nie w dni powszednie. Mimo woli wzdrygnęła się. Trzeba będzie wstać o szóstej, a dla niej to katorga, o siódmej z trudem przeciera oczy, zwłaszcza kiedy za oknem jest jeszcze ciemno.

Punktualnie o siódmej następnego dnia wyszła z metra i od razu zobaczyła samochód generała. To też było niezwykle. Wiele razy spacerowali rano po parku, ale Zatoczny zawsze przyjeżdżał metrem i był w sportowym stroju i lekkiej kurtce, a dziś w płaszczu. Widocznie po spacerze nie zamierza wracać do domu, tylko pojedzie prosto do pracy, pomyślała Nastia.

W milczeniu doszli do wejścia, ochota do rozmowy zupełnie Nastię opuściła, generał też był pogrążony we własnych myślach. W końcu Anastazja doszła do wniosku, że nie wypada dłużej milczeć.

– Iwanie Aleksiejewiczu, wiem, że naruszam zasady subordynacji – zaczęła. – Kiedy indziej zwróciłabym się ze swoimi problemami do Gordiejewa, a on do pana, i to nie osobiście, lecz przez zwierzchników. Dlatego z góry proszę o wybaczenie.

– Nie szkodzi, proszę mówić. – Zatoczny skinął głową. - Słucham panią.

Nastia zaczęła opowiadać, starając się niczego nie pominąć i nie pokręcić. Iwan Aleksiejewicz słuchał z uwagą, prawie nie przerywał, tylko niekiedy zadawał dodatkowe pytania. Kiedy Anastazja skończyła, uśmiechnął się, a jego żółte, tygrysie oczy rozbłysły jak dwa małe słoneczka.

– I co panią w tym wszystkim niepokoi?

– Jak to co? Wszystko! – gwałtownie zareagowała Nastia.

– Pracownicy mojego szczebla nie mogą przeniknąć do tego centrum szkoleniowego, a tylko tam mogę znaleźć odpowiedź na swoje pytania. Jestem prawie pewna, że tym razem się nie mylę, zabójca, który udusił siedem osób, jest związany z

tym centrum, ze Stojanowem i Zieleninem. Chcę go znaleźć.

– Albo ich – uściślił Zatoczny. – Bardzo przekonująco opowiedziała pani przed chwilą o tym, jak można było dokonać tych zabójstw, nie budząc czujności ofiary, i z pani słów wynikało, że przestępców było co najmniej dwóch.

– Dobrze, niech będzie „ich” – posłusznie zgodziła się Nastia. – Ale tak czy owak, chcę znaleźć winnych.

– I jeszcze jedna uwaga, Anastazjo. Miała pani rację, że odwołanie zlecenia na zabójstwo Nurbagandowa i powierzenie egzekucji innemu wykonawcy nie było spowodowane względami oszczędności. Chodziło nie tyle o to, by mniej zapłacić, lecz o łatwość i wygodę dokonania zabójstwa. Wysuwam z tego interesujący wniosek. Ludzie kierujący centrum szkoleniowym nie zwykli liczyć się z pieniędzmi. I tu jestem skłonny zgodzić się z panią co do Stojanowa. Możliwe, że rzeczywiście był jednym z jego szefów.

– Nie bardzo rozumiem – ostrożnie zastrzegła się Nastia, obawiając się wyjść na idiotkę. Mało, że poprzednim razem zaprezentowała się generałowi jako kompletna histeryczka, to teraz jeszcze okaże się, że jest po prostu głupia.

– Zaraz wyjaśnię. Pieniądze, jak wiadomo, wymagają liczenia. To banalna stara prawda. Dlatego w każdej instytucji państwowej czy prywatnej istnieje buchalteria. Ale w instytucjach prywatnych do pieniędzy ludzie odnoszą się ostrożnie, naprawdę je liczą, i to nie tylko służby finansowe, ale i kierownictwo, żeby trafnie ustalić strategię i taktykę rozwoju całego przedsięwzięcia. W sferze budżetowej wszystko wygląda inaczej. Instytucja otrzymuje pieniądze z budżetu i dzięki nim ma funkcjonować. Jeśli coś zaoszczędzi, nie przynosi jej to żadnego zysku, bo gdy zamiast dwudziestu drogich komputerów zakupi dziesięć tanich, reszty pieniędzy i tak nie może przeznaczyć na premie dla pracowników czy utworzenie nowego, niezbędnego etatu. I odwrotnie, jeżeli ma niedobór ludzi i fundusz płac jest nie w pełni wykorzystany, nie wolno za te pieniądze kupić komputerów. Środki na wypłatę pensji i zakup wyposażenia pochodzą z różnych „kieszoni” i ich spożytkowanie niezgodnie z przeznaczeniem jest poważnym naruszeniem dyscypliny finansowej. Ale mówię to tylko tak, dla przykładu, ponieważ chcę wykazać, że człowiek, który całe życie pracował w sferze budżetowej, zwykle w ogóle nie myśli o takich sprawach jak buchalteria, i zapomina, że istnieją księgowi. Bo po co zaprzętać sobie tym głowę, skoro i tak wszystko z góry wiadomo? Przecież nic nie da się zmienić.

– Stojanow wiele lat przepracował w milicji, Zielenin też – zauważyła Nastia. – Sądzi pan, że zgodnie ze starym nawykiem nie myślą o finansach centrum?

– Mądra dziewczynka. – Generał znów się uśmiechnął. - Tak właśnie sędzę. Nigdy o tym nie pamiętają. Najważniejsze dla nich to mieć pewność, że pieniądze, i to niemałe, wpłynęły na konto i można je zacząć wydawać na potrzeby centrum. I wydają. A przecież każda kopiejka jest tam wyliczona, może pani być pewna. W takie gry, Anastazjo, nie gra się za prywatne pieniądze, to inna skala. Żeby wdać się w

podobne przedsięwzięcie i opłacać je z własnej kieszeni, trzeba być co najmniej stukniętym milionerem. Ma pani takich w tej sprawie?

– Ani jednego. – Nastia roześmiała się. – Nie mam nawet żadnego milionera zrównoważonego psychicznie.

– No cóż, możemy uznać, że się dogadaliśmy. Jeszcze dziś komisja nadzwyczajna do spraw podatkowych dowie się z dobrze poinformowanego źródła, że ogromne środki, które państwo przeznaczają na walkę z nieuczciwymi podatnikami, są marnotrawione, szczególną zaś rozrzutnością wyróżnia się centrum szkoleniowe.

– A konkretne zarzuty?

– Anastazjo, niech pani nie będzie naiwna. – Generał skrzywił się. – Najrozmaitsze. Na przykład równoległe z kształceniem specjalistów do pracy w wielkich przedsiębiorstwach bankowych i handlowych zorganizowano w tym centrum odpłatne kursy księgowości. Może się na nie zapisać każdy, kto ma pieniądze, bo opłaty są niebotycznie wysokie. O ile wiem, oficjalnie centrum powinno kształcić przyszłych specjalistów na dwóch kierunkach. To księgowość i analiza ekonomiczna, a przy tym – podstawy pracy operacyjnej. Wykładowcy przedmiotów ekonomicznych tam są, a więc wersja o odpłatnych kursach jest bardziej niż prawdopodobna. To wystarczy, żeby spowodować w centrum szkoleniowym niespodziewaną kontrolę.

Generał rzucił okiem na zegarek i zawrócił do wyjścia.

– Nasz czas się skończył, pora do pracy. Dokąd pani się wybiera? Na Pietrowkę?

– A gdzie by? – Nastia westchnęła.

– Nie słyszę entuzjazmu w pani głosie – zażartował Iwan Aleksiejewicz. – Kiedyś rwała się pani do pracy i w ogóle nie chciała stamtąd wychodzić.

– Tłumaczyłam panu przecież...

– Oczywiście, pamiętam. Pamiętam, jak zalewała się pani łzami w mojej kuchni i błagała, żeby panią ratować przed niedobrym szefem. Ja jednak uznałem, że to przelotna chwila słabości. Czyżbym się co do pani pomylił?

– Chyba tak. Nadal myślę tak samo. Zakończę tę sprawę i napiszę podanie o zwolnienie.

– Proszę się nie śpieszyć, Anastazjo.

– Niech mnie pan nie powstrzymuje, Iwanie Aleksiejewiczu. Wiem, że będzie pan o mnie źle myślał, ale pracować z Mielnikiem nie będę. Nie mogę. Powiem panu więcej, nie mogę dłużej pracować w wydziale kryminalnym.

Zatoczny stanął, odwrócił się do Nasti i spojrzał jej prosto w twarz.

– A to coś nowego. Nie chce pani tego ze mną omówić?

– Nie. Przedtem chciałam, ale pan nie podtrzymał tematu. Odniosłam wrażenie, że moja wizyta pana zmęczyła i zirytowała. Proszę się nie obawiać, Iwanie Aleksiejewiczu, więcej nie będę panu zawracała głowy tymi błahostkami. To rzeczywiście była chwilowa słabość. Wydawało mi się, że jesteśmy przyjaciółmi i że mogę zawsze przyjść do pana ze swoimi zmartwieniami. Przyznaję, że niewłaściwie

oceniłam sytuację, szeregowy pracownik operacyjny nie może się wyplakiwać w kamizelkę generałowi. Przepraszam.

Mówiła, patrząc wprost w żółte oczy Zatocznego, a one nie ogrzewały jej już swoim ciepłym światłem, jak wcześniej. Teraz były chłodne i skupione.

– Nie przyjmuję przeprosin. Obraziła się pani na mnie? No cóż, ma pani prawo. Każda kobieta na pani miejscu by to zrobiła. Ale ja nie będę się usprawiedliwiać i przepraszać. Zachowałem się tak, jak w danej chwili uznałem za słuszne i rozsądne. Jeśli to panią dotknęło, widocznie tak miało być. Chodźmy, czas nagli.

Wyszli z parku i szybkim krokiem skierowali się w stronę metra, gdzie generał zostawił samochód.

– Podwieźć panią? – zapytał, wyjmując z kieszeni kluczyki.

– Nie, dziękuję, pojedę metrem.

– I co, wciąż jest pani na mnie zła?

– Nie, skąd, oczywiście, że nie. Gdyby tak było, nie dzwoniłabym do pana i nie prosiła o spotkanie.

– Niech pani nie udaje, Anastazjo.

Podszedł do niej bardzo blisko. Teraz jego oczy znów były ciepłe, jak dwie duże krople płynnego złota. Śnieżnobiałe zęby błysnęły w uśmiechu.

– Jeśli jest pani na mnie zła i obrażona, a mimo to przyszła pani do mnie, żeby rozmawiać o sprawie, którą się pani zajmuje, to znaczy, że nadal kocha pani swoją pracę i ceni ją wyżej niż własne niemądre ambicje i urazy. Więc niech się pani nie waży opowiadać mi o tym, że nie chce pani pracować dłużej w wydziale kryminalnym.

Nastia z wysiłkiem oderwała wzrok od żółtych, rozjarzonych oczu Zatocznego. Nigdy nie mogła zrozumieć, czym generał tak ją fascynuje. Znali się prawie dwa lata, i przez cały ten czas czuła, że nie potrafi się sprzeciwić temu człowiekowi. Nie może się na niego gniewać, choćby się nie wiem co działo.

– I nie widzi pan innego wyjaśnienia? – zapytała, starając się nie ulec ciepłemu spojrzeniu żółtych oczu.

– Widzę. Ale wątpię, czy ono panią zadowoli. Po prostu lubi mnie pani i nie potrafi się na mnie gniewać. No, Anastazjo, czas się skończył. Pytam jeszcze raz: pojedzie pani ze mną do śródmieścia?

– Metrem będzie szybciej. Dziękuję.

Nastia stała chwilę na chodniku, spoglądając za oddalającym się samochodem Zatocznego. Nie śpieszyła się. Generał zaczynał pracę o dziewiątej, ona – o dziesiątej.

*

Dzwonek do drzwi zaskoczył Nastię. Niedawno wróciła z pracy, bohatercko pokonała swoją zwykłą niechęć do jedzenia i przegryzła co nieco, a teraz zamierzała wejść pod gorący prysznic.

„Nie otwierać? – To była jej pierwsza myśl. – Niespodziewane wieczorne wizyty nigdy nie przynoszą nic dobrego. Chociaż to może być po prostu sąsiadka”.

Nastia popatrzyła w wizjer i otworzyła drzwi. W progu stał ojczym z dużą torbą w rękach.

– Tata?

Cofnęła się o krok, i wpuściła go do mieszkania, starając się ukryć nagłe przerażenie. Jak ma się wobec ojca zachować? Od tamtego dnia, kiedy odkryła prawdę o nim, rozmawiała telefonicznie tylko z matką, która dzwoniła regularnie co wieczór. Trudno będzie się opanować i nie zdradzić, Leonid Pietrowicz zna ją na wylot, od razu się zorientuje, że coś jest nie w porządku. Więc co? Próbować wyjaśnić sytuację? Zadawać pytania, których córka nigdy by ukochanemu ojcu nie zadała? Co robić? I w ogóle, po co Leonid Pietrowicz przyszedł?

– Przepraszam, że bez uprzedzenia – powiedział ojciec.

– Jesteś sama?

– Oczywiście. Loszki przecież nie ma, a gości tak późno nie zapraszam. Co się stało, tatku?

– Nic. Przywiozłem ci wałówkę. Mama jest przekonana, że znowu się głodzisz, ale wie, że zmusić cię, abyś przyjechała do nas, na pewno się nie uda.

– Rozbierz się.

Ojczym zdjął kurtkę i buty, włożył domowe pantofle Loszy.

– Poczęstuj ojca herbatą, dzieciно – powiedział, wchodząc do kuchni.

Nastia włączyła czajnik i zaczęła wyjmować jedzenie z torby. Ręce jej drżały i bała się, że Leonid Pietrowicz to zauważy. Nie chciała wdawać się w żadne wyjaśnienia i z goryczą myślała, że po raz pierwszy w życiu nie czuje się w obecności ojczyma spokojnie i swobodnie. Czy teraz zawsze już będzie musiała dźwigać ten ciężar na sercu?

– Co się dzieje, dzieciно? – zapytał ojczym, spoglądając na nią przenikliwym wzrokiem.

– Nic – skłamała. – A co miałyby się dzieć?

– Nie wykręcaj się. Mama jest przekonana, że coś u ciebie nie w porządku. Rozmawia z tobą codziennie. Nie podoba jej się twój nastrój.

– I przysłała cię, żebyś sprawdził, czy nie sprowadziłam tu kochankę, skoro mąż jest za granicą?

– Jak ci nie wstyd, dzieciно. – Leonid Pietrowicz z wyrzutem pokiwał głową. – Niesmaczne żarty. Ja i mama nigdy nie wtrącaliśmy się do twojego życia osobistego. Po prostu wydaje jej się, że nastrój pogarsza ci się z dnia na dzień. Nie myśl, że jeśli nic matce nie mówisz, ona niczego nie zauważy. Poznaje po twoim głosie, że dzieje się coś niedobrego. O co chodzi?

– Tatusiu, niedługo skończę trzydzieści siedem lat, nie zapomniałeś o tym przypadkiem? Pracuję i nie zawsze wszystko układa mi się łatwo i przyjemnie. Mogę

mieć czasem zły nastrój czy też przez trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku powinnam tryskać radością i być zadowolona z życia?

Nie udało jej się ukryć rozdrażnienia, odpowiedź zabrzmiała ostro. Zbyt ostro.

– A więc nie chcesz się zwierzyć – skonstatował ojczym.

– Twoje prawo. Nie bój się, nie będę naciskał. Napiję się herbaty i pójdę. Jesteś zdrowa i cała, jak powiem to mamie, może się uspokoi. A co postanowiłaś w sprawie pracy?

– Odchodzę. – Nastia wzruszyła ramionami. – Nad czym tu się zastanawiać? Nie mogę pracować z Mielnikiem. Nie układa się.

Napięcie nerwowe sprawiło, że Nastia nagle zaczęła dosłownie dygotać. Nie ukryło się to przed czujnym wzrokiem ojczyma.

– Nie jesteś przeziębiona? Chyba masz dreszcze – zauważył Leonid Pietrowicz z troską.

– Tak, trochę. – Nastia znów uciekła się do kłamstwa.

– Strasznie dzisiaj zmarzłam, jakoś nie mogę się rozgrzać.

– Wypij coś mocniejszego – doradził ojczym. – Profilaktycznie. Co masz w domu?

– Nie wiem, muszę zobaczyć, przecież wiesz, że nie kupuję alkoholu. Coś tam pewnie zostało od Nowego Roku.

Leonid Pietrowicz wstał i otworzył szafkę kuchenną, gdzie, jak wiedział, córka i zięć trzymali trunki.

– Sam sprawdzę – oznajmił zdecydowanie. – Ty na pewno wybierzesz nie to, co trzeba. Tak... Likier odpada, białe wino odpada... O, to się nadaje. Czuwaska nalewka ziołowa. Skąd masz takie specjały?

– Doktorant Loszki przywiózł. Tatusiu, to dla mnie za mocne, nie lubię tej wódki.

– Nie musisz lubić, wypij łyżeczek dla rozgrzewki. Musisz się odprężyć, zrelaksować. Nie każę ci przecież pić szklankami.

Postawił na stole dwa maleńkie kieliszki, sobie nalał jedną trzecią, Nasti – do pełna.

– Mam to wypić jednym haustem? – ze zgrozą spytała Nastia.

– A po co? Pij, jak ci się podoba. Może być drobnymi łyżeczkami. Tylko najpierw koniecznie coś zjedz, nie ma nic gorszego niż picie na pusty żołądek. Oczywiście nie jadłaś kolacji?

– Jadłam. Słowo honoru.

– Wyobrażam sobie. – Leonid Pietrowicz uśmiechnął się i zaczął szukać w lodówce szynki, którą przysłała Nadieżda Rostisławowna.

Potem wyjął na wpół szczerstwiały chleb z pojemnika na pieczywo i zrobił Nasti kanapkę.

– Muszę widzieć, że zjadłaś.

Anastazja zaczęła niechętnie żuć, nie czując smaku jedzenia. Ojciec podniósł swój

kieliszek, obrócił go parę razy w ręce, powąchał i odstawił z powrotem na stół.

– Co, niedobre?

– Ależ skąd. Bardzo dobre.

– To czemu nie pijesz?

– Czekam na ciebie. Pić samemu to żadna przyjemność. Jedz spokojnie, nie śpiesz się. Jakie wieści od Czistiakowa?

– Kwitnie. Wciąż ma jakieś wykłady. Jest tam szalenie popularny. Dzwoni do mnie codziennie.

Nastia, słysząc samą siebie, dziwiła się, że zaczęła mówić krótkimi, urywanymi zdaniami. To było nienaturalne, zwykle w obecności ojczyma rozkręcała się, opowiadając wszystko ze szczegółami i dodając dowcipne komentarze, śmiała się i żartowała. Teraz jakby ktoś ją odmienił. Czy teraz już tak będzie zawsze?

– Tęsknisz za nim?

– Nie bardzo. Czasami. Mam dużo pracy.

Leonid Pietrowicz wyjął z kieszeni długopis, przysunął do siebie butelkę z nalewką i zaczął zarysowywać etykietę. Nastia obserwowała go z zaciekawieniem. Aha, to o tym mówiła jej matka. Podczas poważnej rozmowy w cztery oczy...

– Kiedy się widziałaś z Saszą? Co tam u nich słyszać?

– Wszystko w porządku. Sasza pracuje, Daszka siedzi w domu z małym i marzy o drugim dziecku.

Ojczym umilkł, jakby czując, że rozmowa zamiera, a on nie wie, jak ją ożywić. Po chwili zapytał:

– Zjadłaś już? No to wypijmy, dzieciно. Twoje zdrowie.

– Poniósł kieliszek.

– I twoje, tatku.

Ojciec ledwie umoczył usta i odstawił kieliszek. Nastia upiła najpierw mały łyżeczek, a potem zamknęła oczy i jednym haustem wlała do gardła resztę. Nalewka wydała jej się strasznie mocna, tak naprawdę lubiła tylko martini i nic innego nie pijała. Ale teraz wychyliła trunek do dna, w nadziei, że to ją rozluźni, usunie skrzępowanie, które nie pozwala zachowywać się naturalnie. Leonid Pietrowicz znów zaczął mazać po etykietce.

– Co za dziwne przyzwyczajenie – nie wytrzymała Nastia.

– Nie wiedziałam do tej pory, że rysujesz na etykietach.

– Naprawdę? – Ojciec uniósł brwi. – Ani razu nie widziałaś?

– Ani razu.

– Coś takiego! No cóż, nigdy nie byłaś zbyt spostrzegawcza...

– Tatku...

– Przecież nie mam do ciebie o to pretensji. – Leonid Pietrowicz roześmiał się. – Po prostu stwierdzam fakt. Chociaż rzeczywiście, mogłaś o tym nie wiedzieć, w towarzystwie tego nie praktykuję, a we dwoje bodaj nigdy nie piliśmy. Chyba się nie

myle?

– Nie mylisz się, dzisiaj robimy to po raz pierwszy.

– Wobec tego przepraszam, cofam to, co powiedziałem.

Znów podniósł kieliszek do ust i upił mały łyk.

– Mnie nie proponujesz? – zapytała Nastia.

– Ty masz już dosyć. Żeby się rozgrzać i przepędzić dreszcze, jeden kieliszek wystarczy. Pomogło ci?

– Pomogło – przyznała Nastia.

– No właśnie. Jeśli chcesz, dolej kropelkę do herbaty. Też poskutkuje.

Nastia wyjęła filiżanki i nalała herbaty. Nalewka rzeczywiście podziałała, ręce miała teraz ciepłe i przestały drżeć.

– Pokaż, co tam rysujesz na tych etykietach – poprosiła ojczyma.

Leonid Pietrowicz przysunął jej butelkę, a sam wziął do ręki filiżankę z gorącą herbatą. Nastia przyglądała się nalepce, na której ojczym zakreskował wszystkie jasne miejsca.

– Zabawna twórczość. – Zmusiła się do uśmiechu i zdziwiła się, że przyszło jej to bez szczególnego wysiłku. – Tylko je zakreskowujesz czy rysujesz coś konkretnego?

– Zależy kiedy. Jeżeli na etykietce jest czyjaś podobizna, trudno mi się powstrzymać, żeby jej nie oszpecić. Dorysowuję wąsy, brodę, zmieniam uczesanie – co tylko mi przyjdzie do głowy. Czasami rzeczywiście doprowadza to do zabawnych sytuacji.

– Zabawnych? – z niedowierzaniem powtórzyła Nastia, nie rozumiejąc, co ojczym ma na myśli.

– A jakże! Człowiek nie zawsze się kontroluje, więc zdarzają się różne kłopotliwe wypadki. Zaraz ci dam przykład. Pamiętasz, byłem u twojego szefa po materiały analityczne? Miałaś mi wtedy strasznie za złe moje zachowanie, zarzucałaś mi wszystko, co najgorsze.

– Pamiętam.

Serce jej się ścisnęło niedobrym przeczuciem, chociaż nie umiałaby powiedzieć, czego się boi. To, co najgorsze, i tak się już stało. I wciąż się dzieje, tu i teraz, na jej oczach.

– No więc przyszedłem do niego z butelką, zgodnie z przyjętym obyczajem, że do mężczyzny nawet w ważnej sprawie bez flaszki ani przystęp, a już w takiej jak moja – tym bardziej. Pić oczywiście nie ma obowiązku, ale przynieść trzeba. Przychodzę, przedstawiam się, wyjaśniam, co mnie sprowadza, a on zaczął naciskać guziki, dał ci, jak pamiętam, dwadzieścia minut. Tak?

– Tak – potwierdziła Nastia.

– A potem nastąpiła trochę niezręczna pauza. Uznałem wtedy, że pora wręczyć butelkę. Mielnik jako gościnny gospodarz od razu wyjął kieliszki, nalał, wypiliśmy symbolicznie, za znajomość, i zaczęliśmy gadać o tym i owym. Ja, zgodnie ze starym

przyzwyczajeniem, wziąłem ołówek z biurka i zaczynam mazać po etykiecie. Była na niej jakaś gęba, więc rysuję, rysuję, zupełnie odruchowo, machinalnie, bo całą uwagę skupiłem na Mielniku, aż tu nagle zauważam, że przerobiłem gębulę z etykiety na portret twojego szefa. Masz pojęcie? Strasznie niezręczna sytuacja! Ja wyjdę, myślę sobie, a on schowa butelkę do sejfu, nawet nie rzuci okiem na etykietę, ale później, kiedy będzie chciał kogoś poczęstować, na pewno zauważy. Dobrze, jeżeli tylko on, a co, jeśli jego gość także? Zrobiłem nie zwykły portret, tylko karykaturę, złośliwą i łatwo rozpoznawalną. Słowem, wpakowałem się w kabałę i nie wiem, jak wybrnąć z tej sytuacji. Na szczęście w tym momencie ktoś zadzwonił. Mielnik zajął się rozmową, a ja tymczasem chwyciłem z biurka gumkę i starałem efekty swojej twórczości.

– No tak, głupia sprawa. I co, dopiliście wtedy tę butelkę?

Nastia wiedziała, że wypowiada słowa, ale ich nie słyszała. Czowała ruchy warg, tyle że nie docierał do niej żaden dźwięk. Przeraziła się nie na żarty, lecz w tej samej chwili słuch jej wrócił.

– Ale skąd, oczywiście, że nie. Mówię przecież, łyknęliśmy po jednym i na tym koniec. Twój szef raczej nie zrobił na mnie wrażenia człowieka pijącego. Ja też nie jestem alkoholikiem, przecież wiesz. No dobrze, dziecino, chyba pójdę, późno już.

Nastia patrzyła w milczeniu, jak ojczym wstaje, idzie do przedpokoju, wkłada buty i kurtkę. Trzeba by go odprowadzić do drzwi, pożegnać, coś powiedzieć i ucałować na do widzenia. Dlaczego nie czuje się na siłach tego zrobić? Dlaczego siedzi w tym odretwieniu i nie może się ruszyć?

„A więc wreszcie koniec tego koszmaru?... Czy może kłamie? Powiedział prawdę czy nie? Wstań i idź do przedpokoju, pożegnaj się z tatkiem, zachowuj się naturalnie, inaczej będzie się niepokoił. Nie jest niczemu winien. Nie pił z Bagłukiem tamtego wieczoru. Nie doprowadził go do stanu upojenia i nie dał mu niedopitej butelki. Skończył się koszmar, Anastazjo. Idź, pocałuj ojca, zachowuj się jak kochająca córka, weź się w garść, inaczej zaraz się rozbeczysz i tatko nie wyjdzie, dopóki nie wyjaśnisz mu, o co chodzi. Chyba nie masz ochoty opowiadać mu o tym, że uważałaś go za współwinnego przestępstwa? Chcesz, żeby się dowiedział, żeś go podejrzewała? No, Nastiu, wstań i idź!” Zrobiła wysiłek i wyszła do przedpokoju, gdzie Leonid Pietrowicz już zapinał kurtkę.

– Pa, tatuśku – powiedziała z uśmiechem. – Dzięki, że przywiozłeś wyżerkę. Powiedz mamie, że niepotrzebnie się martwi, u mnie wszystko w porządku.

– Sam widzę – odparł ojczym poważnie. – Tak dalece w porządku, że wyglądasz jak własny duch. Ale masz rację, jesteś wystarczająco dorosła, żeby nie tłumaczyć się przed rodzicami ze swoich nastrojów.

Nastia zamknęła za nim drzwi i bezsilnie osunęła się na podłogę w przedpokoju, po minucie jednak zerwała się na równe nogi i pobiegła do pokoju. Tam, w głębi górnej szuflady biurka, leżała zawinięta w papier butelka, znaleziona w rozbitym

samochodzie Bagluka. Nastia niecierpliwie rozerwała opakowanie, zapaliła lampę na biurku i skierowała światło na etykietę. Tak, wszystko się zgadzało, w jasnym świetle pośrodku nalepki, na podobiznie jakiegoś producenta win i koniaków, wyraźnie widać było ślady ołówka, wytarte gumką. Karykaturalny portret rzeczywiście przebijał.

A więc co tu mamy? Mielnik... Bagluk po rozmowie z nim nigdzie nie pojechał, nie pobiegł do nikogo skarżyć się ani radzić. Mielnik poił go w swoim gabinecie, a potem dał mu niedopitą butelkę. Po co? To jasne. A nazajutrz zrobił Korotkowowi awanturę, że nie znalazł czasu, by szczegółowo wypytać dziennikarza i wziąć od niego rysopis człowieka, który przekazał mu materiały o Mamontowie. Odegrał całe przedstawienie, wykorzystując przeoczenie Jury, rozdmuchał sprawę. A musiał być diabelnie zadowolony, że rysopis tajemniczego nieznanego pozostał nieznanym. I zamiast prawdziwych cech jego wyglądu podał lipne, rzekomo opisane przez dziennikarza w rozmowie z nim, Mielnikiem. W ten sposób zabezpieczał się, żeby tamtego człowieka nigdy nie zidentyfikowano i nie znaleziono.

Mielnik... Brał od oficerów operacyjnych tajne materiały spraw, które prowadzili, żeby się z nimi zapoznać, i dlatego trzymał je u siebie. Po co? Czyżby uczył się ich na pamięć? A potem zrobił Korotkowowi historyczną awanturę o to, że agenci milicji są demaskowani. Informacje na temat Mamontowa nie wyszły od Paniska, to się stało wcześniej, zanim wziął teczkę z tajnymi materiałami. Nikite wsypał ktoś inny. Ale Parygina – Mielnik. Tylko dlaczego? W materiałach nie było żadnej wzmianki, że został zwerbowany, Misza Docenko zaklinał się, że w ogóle nic takiego nie robił. Nawet nie podejrzewał Parygina. Spośród tych, których wówczas zatrzymano i których przesłuchiwał, Jewgienij Iljicz Parygin był jednym z najspokojniejszych i najprzystojniejszych, tak że wszystkie podejrzenia wobec niego praktycznie od razu upadły zaraz po – dość co prawda powierzchownym – sprawdzeniu jego opinii w miejscu pracy i zamieszkania. Dlaczego zatem Mielnik wymienił go jako kandydata na szkolenie? To jakaś bzdura.

A jeśli to jednak nie Mielnik? Może nie ma z tym nic wspólnego, a Bagluka poił w najlepszych intencjach, widział, że człowiek jest zupełnie roztrzęsiony, omal nie płacze, więc zaproponował mu kielicha. Co w tym złego? A Bagluk, alkoholik, mógł po cichu zwinąć butelkę, tak żeby Mielnik tego nie zauważył. Zalał się, nie zdołał zapanować nad samochodem na śliskiej jezdni, rozbił się... Nie, chłopcy z drogówki twierdzą, że przy wozie dziennikarza ktoś majstrował. To nie może być przypadek.

A więc jednak Mielnik...

Ale dlaczego dokonano takiego dziwnego wyboru? Zupełnie bez sensu. Ten, kto wsypał Mamontowa, powinien był wiedzieć, że chłopak jest słaby i zwróci się do kogoś o pomoc. A Parygin w ogóle miał opinię porządnego, solidnego, praworządnego obywatela. Cóż, nawet w najpoważniejszej sprawie nie jest się zabezpieczonym przed intrygami, podstępami, rozgrywkami ambicjonalnymi.

Przecież Mielnik wiedział, że Ania Łazariewa nie ma nic wspólnego z siedmioma

zabójstwami, ale z uporem zmuszał Nastię, by rozpracowywała właśnie ją, i odrzucał inne wersje. A jak się wściekł, kiedy Nastia tylko się zająknęła o tym, że Łazariewa nie jest morderczynią i że te zabójstwa w ogóle nie są dziełem maniaka! O mało nie wyszedł z siebie. I groził konsekwencjami służbowymi, jeżeli Nastia nie będzie się nadal zajmować Łazariewą. Czyli iść fałszywym tropem. Znów to samo. Kierowanie śledztwa na niewłaściwe tory i utrudnianie pracy wszelkimi sposobami.

A jeśli ona się myli? I Mielnik nie ma z tym nic wspólnego? Rzeczywiście był święcie przekonany o winie Łazariewej, i sama Nastia przez pewien czas w to wierzyła; przecież to ona sprokurowała portret rzekomego psychopaty, ona wymyśliła, gdzie go szukać, ona poszła do salonu piękności, żeby wyjaśnić sprawę paznokci... Ona, Nastia Kamieńska, też bardzo się starała i była nader przekonująca, dlaczego więc teraz się dziwi, że Mielnik jej zaufał i przywiązał się do tej hipotezy?

Nagle przypomniała sobie, jak w grudniu zeszłego roku, dwa miesiące temu, dowiedziała się od Zatocznego, że Pączek-Gordiejew zamierza odejść. Poszła wtedy do Gordiejewa i zapytała, czy to prawda. On z początku ją pocieszał, a potem oświadczył bez ogródek, że chce odejść na emeryturę w stopniu generalskim i nie widzi w tym nic złego, a w końcu się przyznał, iż jego stanowisko komuś się bardzo spodobało i tak czy owak go „odejdą”, czy tego chce, czy nie, więc woli przejść do ministerstwa i awansować na generała, bo inaczej go stąd po prostu bez pardonu wykopią.

Jego stanowisko komuś się spodobało. Mielnikowi? Centrum szkoleniowemu? Kierownictwu programu rządowego?

*

Kiedy Nastia się ocknęła, długo nie mogła się zorientować, gdzie jest. Leżała w nieznanym pokoju na nieznanym łóżku. Wokół panowały zupełne ciemności, tylko odblask ulicznych latarni dawał słabe światło. Obok ktoś oddychał cicho i miarowo. Potem zrozumiała, że to szpital, a ona sama znajduje się nie na sali, lecz w izbie przyjęć, a koło niej śpi ktoś z personelu. Jak się tu znalazła? Wieczorem wracała do domu z pracy metrem. Tyle pamiętała. Zrobiło jej się słabo, poczuła silne zawroty głowy, ale zwykle, gdy tak się działo, wysiadała na najbliższej stacji i siadała na ławce w chłodnych podziemiach, ściskając w ręku buteleczkę z amoniakiem. Tym razem nie zdążyła wysiąść ani wyjąć buteleczki, tłok w wagonie był taki, że nie mogła otworzyć torebki, w głowie kręciło się jej coraz mocniej, ręce odmawiały posłuszeństwa.

Tak, to jasne, straciła przytomność w metrze i pogotowie odwiozło ją do szpitala. Trzeba szybko się stąd wydostać. Nastia odrzuciła koc i zobaczyła, że położono ją do łóżka w ubraniu, zdjęto tylko kurtkę i buty. Wstała ostrożnie z niewygodnego pośłania, zrobiła kilka kroków i przekonała się, że mocno stoi na nogach i w głowie już się jej nie kręci. Przełomy naczyniowe zdarzały się Nasti często i dobrze wiedziała, że najważniejsze to nie bać się i przeczekać. Przetrzymać gwałtowne

pogorszenie samopoczucia, nie wpadać w panikę, nie myśleć, że się umiera. Taki kryzys trwa dziesięć-piętnaście minut, potem wszystko równie prędko wraca do normy. Widocznie dzisiaj mocno ją wzięło, ale nie był to pierwszy raz. No ale teraz wszystko jest w zupełnym porządku.

Wyszła z pokoju i zobaczyła na końcu długiego korytarza dyżurkę pielęgniarek. Podeszła do siedzącej przy biurku siostry z pewną i zdecydowaną miną.

– Proszę pani, mogę już wrócić do domu?

Siostrzyczka podniosła na nią zdumione spojrzenie.

– Do domu? Przecież dopiero co panią przywieźli.

– Świetnie się czuję i mogę już iść. Gdzie są moje rzeczy?

Pielęgniarka wzruszyła ramionami.

– Zawołam lekarza. Nie mogę pani sama wypuścić.

– Dobrze, proszę zawołać – zgodziła się uprzejmie Nastia.

Lekarz przyszedł dość szybko.

– I co? – zapytał, obrzucając Nastię sceptycznym spojrzeniem. – Już pani wstała?

– Nie tylko wstałam, ale wybieram się do domu.

– Żarty się pani trzymają – mruknął lekarz, młody mężczyzna, który mógłby być naprawdę przystojny, gdyby nie duża brzydka brodawka na policzku. – Ma pani pojęcie, która jest godzina?

Nastia odruchowo spojrzała na lewą rękę i stwierdziła, że brak na niej zegarka.

– Zdjęliśmy pani zegarek, żeby zrobić zastrzyk, leży na szafce, koło łóżka. Chcę pani uświadomić, że jest druga w nocy. Nie zamierzam pani zatrzymywać, jeśli dobrze się pani czuje, szpital jest przepełniony, każde łóżko na wagę złota, ale proszę chociaż poczekać do rana.

– Nie mogę czekać.

– Tak się tylko mówi. Czy podobne zapaści często się pani zdarzają?

– To zależy od okoliczności i od pogody. Średnio raz na dwa miesiące, raz rzadziej, raz częściej, zwłaszcza podczas upałów.

– Najwyższy czas zdać sobie sprawę z tego, że nie jest pani zdrowa. Teraz się pani zdaje, że dobrze się pani czuje, ale proszę zrozumieć, że to skutek działania leku. Za trzycztery godziny lek przestanie działać, a wtedy nie będzie pani mogła podnieść głowy z poduszki.

– Doktorze, niech pan mi wierzy, naprawdę nie mogę tu zostać, muszę koniecznie dostać się do domu i pójść rano do pracy.

– Pani chyba oszalała. – Lekarz skrzywił się, niezadowolony. – O jakiej pracy pani mówi? Jest pani przy zdrowych zmysłach? Musi pani leżeć w łóżku co najmniej tydzień.

– Panie doktorze... – Popatrzyła na lekarza żałośnie i delikatnie ujęła go za rękę...

– Proszę, niech pan mnie puści.

– Na miłość boską! – wybuchnął lekarz. – Niech pani idzie, jeśli nie ma pani dla

siebie litości. Proszę ze mną, podpisze pani oświadczenie o wyjściu na własne żądanie i może pani jechać choćby na koniec świata. Tylko jak się pani dostanie do domu?

– A gdzie ja jestem? – Nastia wreszcie wpadła na pomysł, żeby o to zapytać.

Rzeczywiście, pamiętała, że zawroty głowy poczuła gdzieś między stacją Siemionowską a parkiem Izmajłowskim. Do jakiego szpitala ją odwieziono? Jeśli w stronę stacji Szczelkowska, to może dojść do domu pieszo, ale jeśli gdzie indziej? No trudno, złamie zasady i zatrzyma łebka.

Dowiedziawszy się od lekarza, gdzie jest, podpisał papierkę o zwolnieniu na własne żądanie i odebrawszy kurtkę i buty, wyszła na ulicę. Dobrze, że szpital miał akurat ostry dyżur i salowa pilnująca odzieży pacjentów, choć burczała pod nosem, nie spała i wydała Nasti rzeczy. Do dyżurujących szpitali pogotowie przywozi ludzi przez całą dobę, w innych placówkach w nocy magazynierki nie pracują, pomieszczenia z ubraniami pacjentów są zamknięte, i nie byłoby tak łatwo znaleźć się na wolności.

Minąwszy parę przecznic, Nastia zaczęła żałować swojej nierozwagi. Tak bardzo chciała czym prędzej opuścić szpital, że jakoś nie pomyślała o tym, by zapytać, czy może skorzystać z telefonu. Naprawdę, czy ciągle musi być taką idiotką? Przywykła zawsze radzić sobie sama, a przecież ma przyjaciół, ludzi gotowych jej pomóc w każdej sytuacji. Dlaczego koniecznie musi, upajając się własnym heroizmem, pokonywać pieszo taki szmat drogi, maszerować w ciemnościach, i to jeszcze tuż po zapaści, skoro jest przecież brat Sasza, jest Jura Korotkow, jest tatko, i wszyscy oni odwieźliby ją, dokąd by tylko zechciała, o każdej porze dnia i nocy. No dobrze, tatuś odpada, Nastia za nic na świecie nie powie mu, że wyłądownała w szpitalu, oboje z mamą odchodziliby od zmysłów ze zdenerwowania, ale brat i Korotkow jak najbardziej się nadają. No i co z tego, że jest późno? W końcu ona nie co dzień mdleje w metrze. Nastia usiłowała w myślach postawić się na miejscu Saszy i zdała sobie sprawę, że czułaby się śmiertelnie obrażona, gdyby się dowiedziała, że Sasza nocą szedł pieszo ze szpitala do domu tylko dlatego, że nie chciał jej budzić.

Zaczęła się rozglądać za automatem telefonicznym, ale nagle zobaczyła nadjeżdżający samochód i zdecydowanym ruchem podniosła rękę. Niech Sasza sobie pośpi, ona sama dotrze do domu.

Kierowca zażądał bająńskiej sumy, ale Nastia zapłaciła bez szemrania. Gdy znalazła się w domu, nagle poczuła jakąś dziwną słabość i czym prędzej się położyła. Nie weszła nawet pod prysznic w obawie, że znowu zakręci jej się w głowie, upadnie w łazience i potłucze się.

Rano, po obudzeniu, chciała wstać i pójść do pracy, ale szybko zrozumiała, że przeceniła własne siły. Nie tylko nie miała ich dość, by dokądkolwiek iść, ale nawet żeby się ubrać. Nie mogła utrzymać w ręce szczoteczki do zębów, a ich umycie zajęło jej prawie pół godziny. Wtedy dopiero Nastia przyznała się sama przed sobą, że naprawdę jest chora i nie może iść do pracy. Zresztą to nic dziwnego – tyle dni w

napięciu, lęku, stresie, pośród dręczących myśli o ojczyźnie, prawie bez jedzenia i praktycznie bez snu. Taki tryb życia powaliłby nawet słonia.

Powoli, powłócząc nogami, wróciła do łóżka i nastawiła budzik na wpół do dziesiątej. Trzeba będzie zadzwonić do pracy i zawiadomić, że jest chora...

*

Minęło kilka dni, zanim zaczęła, zresztą niezbyt pewnie, poruszać się po mieszkaniu. Korotkow przyjeżdżał do niej co wieczór i ze strachem patrzył, jak Nastia, chwiejąc się i trzymając rękami ściany, posuwa się od drzwi wejściowych do kanapy, łapał się za głowę, przemawiał do niej łagodnymi, ale w gruncie rzeczy pełnymi wyrzutu słowami, usiłował ją karmić, zostawał na noc, śpiąc na łóżku polowym, gdyż bał się, że znowu może nastąpić pogorszenie, a rano biegł do pracy, najpierw obudziwszy Nastię, by zażyła przepisane leki.

Kiedy stwierdził, że przyjaciółka pokonuje wreszcie odległość od drzwi do łóżka nie w ciągu dziesięciu minut, ale jednej, oświadczył:

– Koniec, dzisiaj jadę spać do domu, Lalka strasznie mi dała do wiwatu, nie wierzy, że u ciebie nocuję, myśli, że się szlajam.

– Przecież mogła tutaj zadzwonić i sprawdzić.

– Tak, ale nie znasz Lalki. Nigdy w życiu by tego nie zrobiła, woli się zadrećcać. Taki ma charakter. – Jurij westchnął. – A, prawda, twój Iwan cię dzisiaj szukał.

– I co? – zaniepokoiła się Nastia.

– Nic. Pasza mu powiedział, że jesteś chora, więc nie chciał ci przeszkadzać.

Kiedy Jura wyszedł, Nastia po chwili wahania zadzwoniła do Zatocznego.

– Iwanie Aleksiejewiczu, szukał mnie pan?

– Powiedzieli mi, że pani choruje, więc nie chciałem pani niepokoić. Mam nowiny.

– Ja też. Co prawda, nie ręczę za prawdziwość swoich.

– Za to ja tak – oznajmił generał. – Jeżeli pani chce, mogę przyjechać.

– Chcę – bez namysłu rzuciła Nastia, ale zaraz dodała: – Ale na pewno to dla pana kłopot, jest pan zmęczony, przecież już dziesiąta.

– Wezmę samochód, a do pani jedzie się dziesięć-piętnaście minut, nie dłużej. Pamiętam, gdzie pani mieszka. Ale, ale, co pani jest? Grypa?

– Nie. – Nastia roześmiała się. – Sprawy naczyniowe. Nie zarazi się pan.

– Potrzebuje pani czegoś?

– Dziękuję, wszystko mam. Korotkow mnie dogląda. A więc czekam na pana.

– Świetnie – krótko rzucił Zatoczny. – Niedługo będę.

Nastia odłożyła słuchawkę i wpadła w popłoch, uświadamiając sobie, że ma zaledwie piętnaście minut, żeby doprowadzić mieszkanie i siebie do porządku. Posłać łóżko, wynieść do kuchni lekarstwa i brudne filiżanki, których cały rząd stoi na podłodze koło kanapy, zdjęć szlafrok i włożyć coś przyzwoitego. Normalnie

zabrałoby jej to dwie minuty, ale teraz...

A jednak zdążyła. Kiedy odezwał się dzwonek u drzwi, kanapa była złożona i przykryta narzutą, a Nastia zdążyła włożyć dzinsy i sweter. Twarz, co prawda, miała ziemistoblada, ale to już trudno.

– Tak, wygląda pani nieszczególnie. – Zatoczny z uśmiechem przyjrzał się Nasti. – Może nie powinienem przyjeżdżać? Pani jest potrzebny spokój, a nie wymiana najświeższych informacji.

– Nie ma pan racji – zaprzeczyła gorąco. – Jestem spragniona pozytywnych emocji, to najlepsze lekarstwo.

– No, tego akurat nie mogę pani zagwarantować. Wprawdzie przynoszę nowiny, ale nie jestem pewien, czy panią uradują.

„Tatko – pomyślała. – Czyżbym za wcześnie się cieszyła? Może Mielnik nie ma z tym nic wspólnego, a tatko... I teraz Iwan boi się mnie zdenerwować”.

Dobry nastrój prysł, w głowie zaczęło się kręcić. Nastia usiadła na kanapie, wskazując generałowi fotel.

– Dotrzymałem słowa i spowodowałem kontrolę działalności finansowej centrum – zaczął Zatoczny. – Wie pani, to bardzo ciekawa sprawa. Tam gdzie się obraca pieniędzmi, zawsze na wszystko muszą być rachunki. Wielu nie przywiązuje wagi do papierków, a przecież jeśli się je podda szczegółowej analizie, można się dowiedzieć interesujących rzeczy. Nie będę pani męczył szczegółową relacją, powiem tylko to, co najważniejsze. Podczas kontroli znaleziono listy osób, którym wypłacono premie. Bardzo dziwne listy. To znaczy w większości wszystko jest w porządku, premiovano na przykład za prowadzenie sesji egzaminacyjnej, za przygotowanie programów nauczania itede. Na każdej liście figurowało dziesięćdwanaście osób. A potem nagle pojawiły się inne listy, zgodnie z którymi pieniądze otrzymują tylko dwie osoby. I w dodatku zupełnie nie wiadomo za co. To znaczy napisano tam: za dobre wyniki w nauczaniu. No tak, jasne, ale dlaczego premię przyznawano jedynie dwóm osobom?

– Dlaczego? – Nastia słuchała w napięciu, nie spuszczać wzroku z generała.

– Niech pani pomyśli. Oto dane wyjściowe. Siedem list wypłaty premii za wybitne osiągnięcia w nauczaniu. Otrzymują je dwie osoby. Jednej przyznano dużą sumę, drugiej – znacznie mniejszą, ale też niemałą. Trzy-cztery dni później sporządzono następną listę. Figurują na niej takie same kwoty.

– Ale inne nazwiska?

– Właśnie, że nie. Jedno nazwisko jest inne, ale drugie się powtarza. I tak dalej. Na wszystkich listach widnieją dwa nazwiska, przy czym jedno z nich pojawia się siedem razy.

– A pozostałe są różne?

– Tak. Nawiasem mówiąc, jedno jest kobiece. Kiedy profesor Samojłow pytał panią, czy pani seryjny zabójca może być kobietą, nie mylił się.

– A co z datami?

– Tak jak pani myśli. Za każdym razem wypłacano premię w dwa dni po uduszeniu kolejnej ofiary.

– Jasne. Teraz wszystko rozumiem – powiedziała Nastia i uśmiechnęła się. – Boże, a tak sobie nad tym łamałam głowę! Tymczasem sprawa okazała się całkiem prosta. W centrum szkolono nie tylko specjalistów do pracy w instytucjach handlowych i finansowych, ale i najemnych morderców. I w grudniu, po zakończeniu kursu, zaczynały się zajęcia praktyczne. Za każdy pomyślnie zdany egzamin premiowano kursanta i instruktora, który go przygotowywał i nadzorował wykonanie zadania. Dlatego zabójstwa następowały niemal jedno za drugim. I dlatego Stojanow zrezygnował z usług Parygina. Cały czas zachodziłam w głowę, skąd w tak krótkim czasie wytrzasnął dyspozycyjnego i tańszego wykonawcę, a potem zrozumiałam, że musiał go mieć pod ręką, a więc zabójca jest najprawdopodobniej związany z centrum szkoleniowym. Ale to, że killerów było siedmiu i że to był egzamin, nie przyszło mi na myśl.

– Nic dziwnego – zauważył Iwan Aleksiejewicz. – Normalnemu człowiekowi coś takiego w głowie nie powstanie. Właściwie chciałem pani powiedzieć, żeby się pani nie martwiła, machina już poszła w ruch, dalej wszystko się potoczy normalnym trybem i bez pani udziału. Proszę spokojnie chorować i niczym się nie martwić, oczywiście, to gruba afera, skandal, centrum najpewniej rozpędzą na cztery wiatry, chociaż szkoda, bo sam pomysł takich agentów-specjalistów od spraw finansowych jest całkiem sensowny. Na cały program też padnie cień, chociaż został opracowany w najwyższym stopniu profesjonalnie. Zapoznałem się z dokumentami, które dają ogólne pojęcie o tym programie, i mogę panią zapewnić, że jest bardzo, bardzo sensowny. To przykre, kiedy z powodu jednego durnia czy łobuza upada rozumna inicjatywa.

– A kim są ci durnie i łobuzy? – chciała wiedzieć Nastia.

– O, Anastazjo, to prawdziwie interesujące towarzystwo. Szczegółów dowie się pani później, teraz szkoda na to czasu. Ich protektorami są przedstawiciele różnych ugrupowań politycznych, zwalczających się nawzajem. Na szczęście Stojanow w porę zginął, gdyż nie wiadomo, czym by się to wszystko skończyło. Zielenin był jego zastępcą, a jego mocodawcy starali się go za wszelką cenę pchnąć w górę. Krótko mówiąc, gry polityczne, jak wszędzie i zawsze w aparacie władzy. W naszym ministerstwie, jeśli się w to zagłębić, dzieje się podobnie.

– A więc to tak – powiedziała powoli Nastia. – Teraz dopiero do mnie dotarło. No proszę, jak to bywa...

– O czym pani mówi? – Generał uniósł brwi.

– O Mamontowie i Paryginie. Wciąż usiłowałam zrozumieć, skąd taki dziwny wybór kandydatów. Tymczasem wcale nie był dziwny, Iwanie Aleksiejewiczu. Wybrano ich celowo. Celowo, rozumie pan? Ten, kto wysunął kandydaturę Nikity Mamontowa, był pewien, że chłopak nie da się zwerbować do centrum

szkoleniowego. Jest słaby, wystraszy się. A Parygina zarekomendowano jako człowieka, który w ogóle nie ma przeszłości kryminalnej. Po prostu Mielnik wziął od Miszy Docenki teczkę z materiałami dotyczącymi zabójstwa Szepielowa i wybrał spośród przesłuchiwanym w tej sprawie najprzystojniejszego faceta, rdzennego moskwianina z wyższym wykształceniem, od lat pracującego jako skromny inżynier w tym samym zakładzie, spokojnego, kulturalnego. Takiego, który na pewno nie popełnił tego zabójstwa i nie przestraszy się wizyty jakichś łobuzów, którzy nachodząc go we własnym mieszkaniu, żądają, żeby przyznał się do przestępstwa. Wszystko właśnie na to było obliczone. Parygin – zgodnie z planem – miał się wściec i zwrócić do milicji, a wtedy zrobiłby się hałas wokół całej sprawy, co idealnie harmonizowałoby z wrzawą, którą podniosła prasa, czyli Bagluk. Jedno do drugiego idealnie by pasowało, rozumie pan? Kto tam kogo chciał wygryźć, Stojanow Zielenina czy odwrotnie?

– O ile wiem, odwrotnie. To Zielenin kopał dołki pod swoim szefem.

Zatoczny umilkł i Nastia zaniepokoiła się. Coś tu jest nie tak. Coś jej umknęło. Czyżby generał Zatoczny, człowiek bardzo zajęty, zajmujący wysokie stanowisko w ministerstwie, przyjechał do niej tylko po to, żeby ją o tym wszystkim powiadomić? Nie, ona, Nastia, nigdy w życiu w to nie uwierzy. Tylko w melodramatycznych wyciskaczach łez tacy ludzie zniżają się do wizyt u swoich chorych podwładnych, żeby uradować ich dobrymi nowinami.

– Iwanie Aleksiejewiczu, czekam, kiedy przejdzie pan do rzeczy najważniejszej – powiedziała ostrożnie. – Bo przecież jest jeszcze coś, z powodu czego pan przyjechał?

– Tak. Proszę mi powiedzieć, czy nie rozmyśliła się pani i nadal chce zmienić miejsce pracy?

„No tak – pomyślała Nastia z ulgą – chwala Bogu, nie chodzi o tatę. Iwan postanowił wziąć mnie do siebie”.

– Nie, nie rozmyśliłam się. Jak tylko wydobrzeję i wrócę do pracy, od razu napiszę wypowiedzenie.

– Proszę tego nie robić, Nastieńko.

Podniosła na niego zdziwione spojrzenie. Generał bardzo rzadko tak ją nazywał. Dlaczego nie chce, żeby odeszła z wydziału?

– Czemu? Zdawało mi się, że wszystko panu wyjaśniłam. A teraz mam jeszcze istotniejsze powody, żeby nie pracować z Mielnikiem. Niczego nie mogę udowodnić, Iwanie Aleksiejewiczu, ale jestem głęboko przekonana, że Mielnik ma powiązania z tym programem.

Zatoczny roześmiał się, lekko wstał z fotela, przespacerował się po pokoju i stanął przed Nastią.

– Nastieńko, naprawdę pani myślała, że pani przyjaciel Denisow wie to, czego ja nie wiem? Nie byłbym nic wart, gdybym nie był świadom tego wszystkiego, co szeptem i w największej tajemnicy zdradził pani nieboszczyk Eduard Pietrowicz.

– A więc pan wiedział? – wyszeptała oszołomiona Nastia, niepewna, co o tym myśleć.

Czuła się jak skończona idiotka, zresztą nie po raz pierwszy w ciągu ostatniego miesiąca.

– Oczywiście, że wiedziałem. I bardzo na panią liczyłem, ponieważ byłem przekonany, że prędzej czy później wszystko wróci do punktu wyjścia, czyli do pani.

– Jak to do mnie? Skąd pan mógł wiedzieć, że Denisow przed śmiercią zechce ze mną rozmawiać?

– Tego nie wiedziałem. To był akurat czysty przypadek, ale bardzo nam na rękę. Stawialiśmy na coś zupełnie innego.

– Na coś innego? Ale na co?

– Na pani niechęć do nowego szefa.

– Co takiego?!

– Tak, tak, Nastieńko, dobrze mnie pani zrozumiała. Mielnika zbyt gorliwie rekomendowano na to stanowisko, więc zainteresowało nas, komu i dlaczego tak na tym zależy. Przecież to nie jakaś tam synekura, tu trzeba naprawdę harować...

– „Was” to znaczy kogo? – przerwała mu Nastia.

– Nas. Mnie i Gordiejewa. A potem wąski krąg zainteresowanych trochę się, oczywiście, rozszerzył. No więc zaczęliśmy się Mielnikowi przyglądać i uznaliśmy, że coś z nim jest nie w porządku. Ale naciski z góry były zbyt silne, dłużej nie można było zwlekać ani się sprzeciwiać. Wtedy Gordiejew niby to odszedł ze stanowiska. Bardzo liczyliśmy na panią, Anastazjo, wiedzieliśmy, że jeśli z Mielnikiem coś jest nie tak, prędzej czy później rzecz wyjdzie na jaw, a pani nie może tego nie zauważyć. A jeśli pani zauważy, bez wątpienia rozgryzie pani sprawę do końca, taka już pani natura. Pani przecież także jest ciekawa i nie lubi nierozwiązanych zagadek. Teraz pani rozumie moją reakcję, kiedy nagle zjawiała się pani u mnie w domu i zaczęła płakać i prosić, żebym panią zabrał z wydziału? Sprawa dopiero zaczynała się rozkręcać, a pani chciała odejść. Nie mogłem do tego dopuścić. Poza tym wiedziałem, że im szybciej pani rozgryzie Mielnika, tym prędzej wróci do was Gordiejew, ale tego nie mogłem pani powiedzieć.

– Dlaczego? – Zadała to pytanie, patrząc wprost w żółte, tygrysie oczy Zatocznego. – Dlaczego nie mógł mi pan powiedzieć od razu na początku? Manipulował pan mną jak drewnianą kukiełką, przesuwając mnie niczym pionek na szachownicy, Iwanie Aleksiejewiczu, naprawdę aż tak bardzo mi pan nie ufał?

– Nie o to chodzi. Kiedy toczą się takie gry, najważniejszy jest ostateczny cel.

Nastia zamknęła oczy i odchyliła się na oparcie kanapy. Dopiero teraz poczuła, jak ją bolą napięte mięśnie pleców.

– Co pan najlepszego zrobił... Gdyby pan wiedział, co przez ten czas przeżyłam... Życie mi zbrzydło. Podejrzewałam własnego ojczyma, który zawsze był dla mnie ojcem. Co dzień budziłam się z tą straszną świadomością i nie miałam pojęcia, co

począć... Gdybym wiedziała wcześniej, że chodzi o Mielnika... O Boże! Iwanie Aleksiejewiczu, dlaczego, dlaczego pan mi nie powiedział?!

– Musiałem tak postąpić. Chodziło o to, żeby zachowywała się pani i działała w sposób naturalny. Dzięki temu Mielnik się nie spłoszył. Nie jest pani przecież aktorką i nikt nie mógł zagwarantować, że przekonująco odegra pani swoją rolę. Powtarzam pani, to ostre gry, i nikt nie może liczyć na taryfę ulgową.

– Tak, oczywiście – wymamrotała Nastia, czując jednocześnie ulgę, obrzydzenie i smutek.

Generał posiedział jeszcze chwilę i wyszedł.

– Anastazjo, proszę pamiętać, że jeszcze przez jakiś czas będzie pani musiała znosić swojego szefa. Nie jesteśmy na razie gotowi, żeby podjąć ostateczne kroki, nie zebraliśmy wszystkich dowodów. Radzę pani wziąć urlop albo pójść do szpitala. Jest pani naprawdę chora, odpoczynek i leczenie na pewno pani nie zaszkodzą. Wróci pani, kiedy będzie po wszystkim.

– Pomyślę o tym – obiecała Nastia, zamykając drzwi za gościem.

Czuła się zupełnie wykończona tą rozmową. Musi się teraz rozebrać i położyć spać. I zapomnieć o wszystkim. To, co złe, skończyło się. Z tatą wszystko w porządku, sprawa się wyjaśniła. Nie będzie musiała pracować z Mielnikiem.

Pączek wróci. Położyć się, zasnąć i nie myśleć więcej o przykrych rzeczach...

Nie, jest jeszcze jedna sprawa, którą musi załatwić. Obiecała. Dopiero potem będzie można odpocząć.

Nastia podeszła do telefonu, zastanowiła się chwilę, po czym zdecydowanie wybrała dziesięciocyfrowy numer. Dzwoniła do miasta, gdzie przez wiele lat mieszkał, a potem został pochowany Eduard Pietrowicz Denisow.

Styczeń – marzec 1997

Notatki

[[←1](#)]

MUR (Moskowskij ugolownyj rozysk) – Moskiewski Wydział Kryminalny (przyp. tłum.).

[←2]

GUWD (Główny urząd spraw wewnętrznych) – Główny Urząd Spraw Wewnętrznych (przyp. tłum.).

[← 3]

Obowiązywał wówczas, wprowadzony przez Gorbaczowa, surowy zakaz spożywania alkoholu w pracy i ograniczenie sprzedaży napojów alkoholowych (przyp. tłum.).

[← 4]

GAI (Gosudarstwiennaja awtomobilnaja inspiekcyja) – milicja drogowa (przyp. tłum.).